



Charlotte LINK

Bez winy



Gdy wiesz zbyt wiele, ciągle towarzyszy ci strach...

Charlotte **LINK**

Bez winy

Z języka niemieckiego przełożył
Dariusz Guzik



WYDAWNICTWO
SONIA DRAGA

Original title: *Ohne Schuld*
by Charlotte Link
© 2020 by Blanvalet,
a division of Penguin Random House Verlagsgruppe GmbH, München, Germany

Copyright © 2021 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga
Copyright © 2021 for the Polish translation by Dariusz Guzik
(under exclusive license to Wydawnictwo Sonia Draga)

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Marzena Kwietniewska-Talarczyk
Korekta: Maria Zając, Iwona Wyrwisz, Joanna Rodkiewicz

ISBN: 978-83-8230-216-5

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórcy i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!
Polska Izba Książki

Więcej o prawie autorskim na www.legalnakultura.pl

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.
ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice
tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28
e-mail: info@soniadraga.pl
www.soniadraga.pl
www.facebook.com/WydawnictwoSoniaDraga

E - wydanie 2021

SPIS TREŚCI

CZEŚĆ 1. Trzydzieście lat później

Piątek, 19 lipca 2019 roku

Sobota, 20 lipca

1

2

3

Poniedziałek, 22 lipca

Wtorek, 23 lipca

1

2

3

Środa, 24 lipca

1

2

3

Piątek, 26 lipca

Luty 2001 roku

Poniedziałek, 29 lipca

1

2

3

Wtorek, 30 lipca

1

2

3

4

5

Środa, 31 lipca

1

2

3

4

5

6

CZEŚĆ 2

Czwartek, 1 sierpnia

1

2

3

4

5

6

7

8

Piątek, 2 sierpnia

1

2

3

4

Sobota, 3 sierpnia

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

12

Niedziela, 4 sierpnia

1

Poniedziałek, 5 sierpnia

1

2

3

4

5

6

7

8

9

10

11

Wtorek, 6 sierpnia

1

2

3

Piątek, 9 sierpnia

West Bromwich

piątek, 3 listopada 2006 roku

Posterunkowa, która dwie minuty po godzinie siedemnastej odebrała telefon alarmowy, miała ogromne trudności ze zrozumieniem słów rozmówcy. Kobieta sapała tak ciężko, że ledwo mogła cokolwiek z siebie wydusić. Albo szybko biegła, albo była w stanie potwornego wzburzenia, a może jedno i drugie. Najprawdopodobniej to ostatnie.

– Tylko spokojnie – powiedziała łagodnym tonem funkcjonariuszka. – Proszę zrobić głęboki wdech. I spróbować się uspokoić. Proszę.

Kobieta usiłowała złapać oddech, z mizernym skutkiem. Wydawało się, że jest u kresu sił.

– On... ma dziecko... ma z sobą dziecko – wyrzuciła w końcu z siebie.

– Kto? I skąd pani dzwoni?

– West Bromwich. Shaw Street. Ale policja musi jechać do Harvills Hawthorne. Na samym końcu... Teren przemysłowy... – Łapała powietrze.

– Spokojnie, tylko spokojnie – napominała funkcjonariuszka, choć w jej głowie zapaliły się wszystkie lampki alarmowe. Ta kobieta mówiła o dziecku. Widocznie groziło mu niebezpieczeństwo. Niewiele sensu miałoby jednak zasypywanie jej teraz gradem pytań. Rozmówcy nie mogła stracić nerwów, bo wtedy pewnie by się rozłączyła. Choć podała już przybliżoną lokalizację.

– Są tam garaże. Większość z nich stoi pusta. On jest w jednym z nich. Ma z sobą dziecko.

– Ile lat ma dziecko?

– Nie wiem... trzy albo cztery...

– A on nie jest jego ojcem?

– Nie. Nie, on nie ma dzieci, sam jest jeszcze dzieckiem. Ale jest chory. Niezrównoważony. Niebezpieczny. Porwał tę małą i ją tam zabrał. Proszę, musicie się pospieszyć!

– Tak, natychmiast kogoś wyślę – zapewniła funkcjonariuszka. Uniosła wzrok.

Koleżanka, która przysłuchiwała się rozmowie, szepnęła:

– Półtorej godziny temu zgłoszono zaginięcie. Trzyletnia dziewczynka, zniknęła z przydomowego ogródka. W West Bromwich.

Policjantka dyżurująca przy telefonie wykonała ręką gest, koleżanka skinęła głową. Niezwłocznie wysła patrol pod wskazane miejsce.

– Czy zna pani nazwisko porywacza?

– Ian Slade.

– A jak się *pani* nazywa?

Zamiast podać swoje nazwisko, kobieta desperacko się zaśmiała.

– Tego nie mogę powiedzieć. To nie może się wydać. Inaczej on mnie zabije.

– Będziemy panią chronić.

– Nie zdołacie.

– Pani głos brzmi bardzo młodo. Ile ma pani lat?

– To nieistotne.

– Dzwoni pani z budki telefonicznej? – Gdźniedzie nadal stały te relikty przeszłości. Wyraźnie dał się słyszeć brzęk wrzucanej do automatu monety.

– Tak.

– Proszę posłuchać, zaraz kogoś do pani wyślemy, porozmawia z panią i...

– Nie.

– Sądzę, że obleciał panią strach, może moglibyśmy...

– Strach? – W jej głosie słychać było szloch. – Jestem *śmiertelnie przerażona*.

Możliwe, że on mnie spostrzegł – i rozpoznał.

– Możemy panią ochraniać tylko wówczas, gdy...

Trzask odkładanej słuchawki.

Koniec rozmowy.

CZĘŚĆ 1

Trzydzieści lat później

Piątek, 19 lipca 2019 roku

Lokatorka wakacyjnego apartamentu zaalarmowała policję.

– Słysząc strzały. Wydaje mi się, że w mieszkaniu obok. Proszę natychmiast przyjechać!

Tuż po jej telefonie padł kolejny strzał, co potwierdzili przybyłym na miejsce policjantom inni mieszkańcy budynku. Mieszkanie w apartamentowcu przy plaży nad Zatoką Północną w Scarborough, w którym doszło do strzelaniny, wynajął na dwa tygodnie niejaki Jayden White.

Wszyscy letnicy zostali wyprowadzeni przez funkcjonariuszy na zewnątrz, ewakuowano również klientów z mieszczących się na parterze sklepów i kawiarni oraz osoby z promenady biegnącej powyżej plaży, a odcinek deptaka ciągnący się bezpośrednio przed budynkiem zamknięto. Ponieważ dzień był gorący, a do tego właśnie rozpoczęły się wakacje, nad brzegiem morza aż się roiło od amatorów kąpieli, choć wybiła dopiero jedenasta. Błyskawicznie zrobiono wszystko, by zapewnić ludziom bezpieczeństwo, mimo to uzbrojony i z pewnością zdeterminowany mężczyzna grasujący w ośrodku wypoczynkowym to dla każdego policjanta prawdziwy koszmar. Na wszelki wypadek powiadomiono wydział śledczy. Nikt nie miał pojęcia, jak może się potoczyć ta historia. Nikt nie chciał być później obarczony winą zaniechania.

Nadkomisarz Caleb Hale przybył na miejsce razem z najbliższym współpracownikiem Robertem Stewartem, który zaledwie dwa tygodnie wcześniej awansował do stopnia inspektora śledczego i od tej pory obnosił się z tym dumnie z napuszoną miną. Caleb uznał, że stał się bardziej arogancki, choć ktoś mógłby powiedzieć: zyskał pewność siebie. W każdym razie Caleb miał wrażenie, że coś się między nimi zmieniło, poróżniła ich jakaś trudna do określenia drobnostka. Zamierzał w najbliższych dniach porozmawiać o tym z Robertem.

Teraz był po temu nader niestosowny moment.

Wpatrywał się w fasadę domu. Kompleks składał się z dwóch dużych budynków, z których pierwszy został wzniesiony na planie półkola. Mieścił apartamenty wakacyjne przeróżnego metrażu i rodzaju, jedno-, dwu- lub trzypokojowe, z widokiem na morze albo – w tańszej wersji – na tyły budynku. Niekończące się rzędy balkonów. Od frontu roztaczał się widok na morze oraz zamek w Scarborough, wzniesiony na cyplu dzielącym zatokę na część południową i północną. Na parterze sporo sklepów,

kawiarni, jadalnia, lodziarnia. A w oddali czereda spragnionych kąpiel. Przynajmniej w lecie. Zimą zionęło tu pustką.

Jeden z funkcjonariuszy, który niezwłocznie pojawił się z patrolem na miejscu zdarzenia, przystanął obok Caleba i Roberta, by zdać raport.

– Według zgodnych relacji świadków strzały padły w mieszkaniu na trzecim piętrze. Widać je stąd, mieści się nad Fish 'n' Chips. – Wskazał palcem w górę.

Caleb podążył za nim wzrokiem. Mieszkanie jak każde inne, balkon jak wszystkie pozostałe. Żaluzje w oknach były opuszczone. Nic się nie poruszało. Na balkonie nie było nikogo. Caleb zmrużył oczy. Jedynie stół i trzy krzesła.

– Najemca mieszkania nazywa się Jayden White – kontynuował funkcjonariusz. – Spędza tu dwa tygodnie razem z żoną Yasmin i dwiema córeczkami. W jakim dokładnie są wieku, tego właściciel nie potrafił powiedzieć. Ocenia, że mają sześć i siedem lat.

– Czy rodzina jest tu po raz pierwszy? – dopytywał się Caleb.

– Nie. Piąty rok z rzędu. Zawsze latem. Właściciel mówi, że pojawił się problem z kartą kredytową pana White'a, zna go jednak na tyle dobrze, że zgodził się, by White zapłacił dopiero pod koniec urlopu, bez żadnego zadatku.

– Gdzie mieszkają White'owie?

– W pobliżu Sheffield. Pan White prowadzi tam kawiarnię.

– Co inni letnicy mówią o tej rodzinie? O ile w ogóle nawiązano jakieś kontakty towarzyskie... – Istotne było wyrobienie sobie zdania, choć Caleb miał świadomość, że musi działać szybko. Ktoś strzelał w mieszkaniu. Przebywało tam dwoje małych dzieci.

– Raczej nie spotykano ich często, ale z dotychczasowych zeznań wynika, że nie uchodzili za nieuprzejmych. Ot, spokojna rodzina. Grzeczni i bardzo powściągliwi ludzie. Tak też opisuje ich właściciel.

– Wspomniał pan o problemach z kartą kredytową White'a – wtrącił Robert Stewart.

Funkcjonariusz się zawahał.

– Niezupełnie. Właściciel twierdzi, że w poprzednich latach pan White zawsze płacił kartą, tym jednak razem oznajmił, że pojawiły się jakieś trudności. Nie wyjaśnił, jakiej natury. Oświadczył, że pod koniec pobytu zapłaci gotówką. Jako że White nigdy nie sprawiał kłopotów, właściciel się zgodził.

– Chciałbym sam porozmawiać z właścicielem – oznajmił Caleb.

– Pewnie kręci się gdzieś w pobliżu – powiedział niejasno funkcjonariusz.

Caleb z trudem stłumił w sobie uwagę, że sensownie byłoby zatrzymać tego człowieka.

– Czy istnieje jakiś sposób nawiązania kontaktu z panem White'em? – zapytał Robert. – Albo z jego żoną?

Funkcjonariusz z rezygnacją wzruszył ramionami.

– W mieszkaniu jest telefon stacjonarny. Dzwoniliśmy tam kilka razy, ale nikt nie odbiera.

– Jaką mamy pewność, że ktokolwiek przebywa w mieszkaniu? – zapytał Caleb. Panowała tam absolutna cisza. Mogło się okazać, że całe zastępy policjantów obserwują puste mieszkanie, którego najemcy poszli się kąpać.

– Padły dwa strzały – oznajmił funkcjonariusz. – Potwierdziło to niezależnie od siebie kilkoro mieszkańców budynku. Wskazali jednoznacznie na trzecie piętro. Tylko w mieszkaniu White'ów nikt nam nie otworzył. Wszystkich pozostałych lokatorów ewakuowano, mieszkania zostały zabezpieczone. Tylko tam mogło dojść do strzelaniny.

– Hm – mruknął Caleb. Wiedział, że czasem można się pomylić przy rozróżnianiu dźwięków. Ponownie spojrzał w górę, wyężając wzrok, jakby gładka fasada oraz uszpiony balkon mogły mu podsunąć jakąś wskazówkę. Co się wydarzyło za opuszczonymi żaluzjami?

– Sir – odezwał się Robert Stewart – co robimy?

Caleb otarł pot z czoła. Było mu potwornie gorąco, a na deptaku nie znalazł ani skrawka zacienionego miejsca. Tęsknie spojrzał w stronę parasoli rozstawionych przed barem na końcu rzędu budynków. Zaprzagnął, by cały dramat tam właśnie się rozegrał, wtedy bowiem wszyscy mogliby się schronić w cieniu. Miał jednak wrażenie, że nikt inny nie poci się tak bardzo jak on. Robert Stewart budził w nim zazdrość, gdyż zdawał się emanować chłodem i opanowaniem, choć miał na sobie ciemnoszary garnitur i przepisowy krawat. Caleb już dawno zdjął marynarkę, a mimo to wciąż oblewał się potem. Nie powinien był o dziewiątej rano pić tej whiskey, ale siedział za biurkiem i nie potrafił skupić myśli na niczym poza butelką ukrytą w zamykanej szafce na dole po prawej. W takim upale... W ogóle nie powinno się zaczynać dnia od szklaneczki whiskey. Miał nadzieję, że Robert nic nie wyczuje. Stał tuż obok.

Zjawił się inny funkcjonariusz i wręczył Calebowi notatkę.

– Sir, młoda dziewczyna, córka właściciela lodziarni, ma numer telefonu komórkowego pani White. W ubiegłym tygodniu opiekowała się jej dziećmi, kiedy White'owie wyszli wieczorem na drinka. Wspomniała, że nie otrzymała uzgodnionej zapłaty. Pani White zabrakło gotówki, ale obiecała, że nazajutrz jej zapłaci. Tak się jednak nie stało.

– Problem z kartą kredytową, brak gotówki dla opiekunki – wyliczał Robert. – Dziwne nagromadzenie przypadków, prawda? Czyżby White'owie mieli kłopoty

finansowe?

– Być może – odparł Caleb.

Nie wyglądało to dobrze. Niestety, często właśnie trudności finansowe doprowadzały mężczyzn, w szczególności ojców rodzin, do napadów szału. Zabrał notatkę.

– Spróbuję.

Wyjął komórkę, wystukał numer. Włączył tryb głośnomówiący, żeby Robert mógł się przysłuchiwać rozmowie. Czy było to jedynie wrażenie, czy rzeczywiście jego współpracownik bacznie mu się przyglądał?

Uznał, że nie jest to właściwy moment na takie rozważania.

Po dłuższej chwili miał już dać za wygraną, gdy w końcu usłyszał drżący głos:

– Tak?

– Pani White?

– Tak. – Słowo zabrzmiało jak nikłe tchnienie.

– Pani White, mówi komisarz Caleb Hale z wydziału śledczego w Scarborough. Czy przebywa pani obecnie w jednym z apartamentów Scarborough Beach Chalets w Peasholm Gap?

– Tak.

– Razem z dwójką dzieci?

– Tak.

– A pani mąż?

W głosie Yasmin White dał się słyszeć stłumiony szloch.

– On... także tu jest...

– Pani White, czy pani i dzieciom grozi niebezpieczeństwo?

– Tak.

– Czy mąż jest uzbrojony?

– Tak.

Caleb ponownie otarł pot z czoła. Gdzie się podziewa sierżant Helen Bennett, będąca wykwalifikowaną policjantką psycholożką? Lepiej się nadawała do prowadzenia takich rozmów. Wzięła wolne, gdyż chciała spędzić długi weekend z matką, mieszkającą w Saltburn-by-the-Sea. Kiedy dodzwonili się do Helen, obiecała, że postara się przyjechać jak najszybciej, ale siedziała akurat z matką w kawiarni i najpierw musiała odwiedzić starszą kobietę do domu. Jeśli niezwłocznie wyruszy w drogę, może dotrzeć do Scarborough w godzinę. Zazwyczaj jednak jazda trwa dłużej, ponieważ szosa prowadząca wzdłuż wybrzeża jest zwykle zatłoczona powolnie sunącymi pojazdami.

Wygląda na to, że będzie musiał radzić sobie sam.

– Pani White, lokatorzy usłyszeli wystrzały. Czy to pani mąż strzelał?

– Tak.

– Czy ktoś jest ranny?

– Nie, ale... – Zniżyła głos, mówiła jeszcze ciszej.

Caleb musiał się wysilić, by cokolwiek zrozumieć.

– Musi nam pan pomóc. Proszę. On jest... On nie jest sobą. On chce nas wszystkich pozabijać.

– Pani White, proszę zachować spokój i nie tracić nerwów. Jesteśmy tu, by wam pomóc. Czy może mi pani powiedzieć, w której części mieszkania pani przebywa? W pokoju od frontu z wyjściem na balkon?

– Nie. Jestem w jednej z sypialni. Z widokiem na podwórko.

– Dobrze. Czy są z panią dzieci?

– Tak.

– A gdzie jest pani mąż?

– Nie wiem. Chyba w salonie.

– Czy może pani opuścić z dziećmi mieszkanie?

– Nie. Okno jest za wysoko. Nie damy rady skoczyć.

– Rozumiem. – Caleb kilkoma gestami dał Robertowi do zrozumienia, by poszedł na tyły budynku. Rozstawiono tam paru funkcjonariuszy, ale Robert sam miał ocenić sytuację. Caleb od razu poczuł ulgę, gdy jego współpracownik nie stał już obok niego.

– Czy zamknęła pani drzwi do sypialni?

– Zabrał nam klucz.

– Czy może pani podeprzeć klamkę? Podstawić komodę? Krzesło?

Dobiegł go cichy płacz.

– Nie. On to usłyszeli.

– Mogłaby pani zamknąć się razem z dziećmi w łazience?

– Nie. Nie, to zbyt niebezpieczne. Musiałybyśmy przejść przez cały przedpokój. – Kobieta była sparaliżowana strachem.

Caleb wyobrażał sobie, jak przykucnęła gdzieś w kącie sypialni, mocno przyciskając do siebie obie dziewczynki, wstrzymując oddech, zamarła w bezruchu.

– Wyciągniemy was stamtąd. Tylko proszę zachować spokój.

Kliknięcie, rozmowa skończona. To Yasmin White się rozłączyła. Może usłyszała kroki męża. A może po prostu puściły jej nerwy.

Robert Stewart powrócił z obchodu.

– Sir, droga prowadzi na tyły, do wjazdu na podziemny parking, i dalej przez bramę na podwórze. Wszystko wokół ładnie obsadzone zielenią, są tam także balkony. Ale nie w apartamencie White'ów, oni mają balkon od frontu.

– A co z mieszkaniami obok? Czy z ich balkonów można by się dostać do okna sypialni?

– Nie. – Robert potrząsnął głową. – Za daleko. Jeśli mamy kogoś posłać do tego mieszkania, powinniśmy to zrobić od góry. Po linie opuszczonej z dachu. Myślę, że to trochę mniej ryzykowne i znacznie pewniejsze rozwiązanie.

– Gdybyśmy zdołali w ten sposób uwolnić dzieci, wtedy...

Zabrzączał telefon. Na wyświetlaczu pojawił się numer Yasmin White. Caleb natychmiast odebrał.

– Pani White?

– Tu Jayden White. Rozmawiał pan z moją żoną.

– Tak. Panie White, mówi komisarz Caleb Hale. Cieszę się, że pan dzwoni. Bardzo się cieszę. – Rzadko kiedy tak bardzo tęsknił za obecnością Helen. Była w tym po prostu lepsza.

– Czego pan chciał od mojej żony?

– Chciałem się dowiedzieć, jak się czuje. I jak się miewają dzieci. Dwie małe dziewczynki.

– Nic im nie jest. – Jayden White mówił monotonię, w ogóle nie modulując głosu. Przynajmniej w tej chwili. Caleb przypuszczał, że zazwyczaj mówi całkiem inaczej. Sprawiał wrażenie, jakby zupełnie nie był sobą. Albo znajdował się w głębokim szoku.

Komisarz zakrył dłonią słuchawkę i syknął do Roberta:

– Potrzebujemy psychologa. Wydaje mi się, że ten człowiek majaczy.

– Helen jest już w drodze.

– To potrwa zbyt długo. Spróbuj znaleźć kogoś innego!

Robert nieznacznie przewrócił oczami. Caleb natychmiast zrozumiał przesłanie: *Sam musisz sobie radzić, szefie!*

– Panie White, może mi pan opowiedzieć, co się stało?

– Nic się nie stało.

– Sąsiedzi słyszeli, że...

– Gównu słyszeli! – Również te słowa Jayden wypowiedział całkiem beznamiętnie. – Do cholery! Niech pilnują swoich spraw.

– Panie White, doskonale rozumiem, że nie ma pan ochoty dzielić się osobistymi problemami z sąsiadami. Dlatego proponuję, żebyśmy porozmawiali. Tylko my dwaj. Na osobności.

– Niby po co?

– Rozmowa zawsze coś daje. Pozwala uporządkować sprawy.

– Nikt nie może mi pomóc.

– Jestem pewien, że możemy panu pomóc.

Nie padła żadna odpowiedź.

– Czy jest pan tam jeszcze, panie White? – zapytał Caleb.

– Jestem.

– Czy mógłby pan wysłać żonę i dzieci na dwór? Jest piękna pogoda, mogłyby posiedzieć na plaży. A wtedy ja przyjdę do pana. Sam. Moglibyśmy spokojnie porozmawiać.

– Moja rodzina nie opuści mieszkania!

– No dobrze. A czy ja mogę wejść?

Kolejne długie milczenie.

– To nie ma sensu – odparł w końcu Jayden. Ciężko oddychał.

– Cokolwiek pana trapi, znajdziemy jakieś rozwiązanie... – oznajmił Caleb. Zdawał sobie sprawę, jak nachalnie brzmią jego słowa. Musiał zachować ostrożność. Jeśli Jayden poczuje, że na niego naciska, sytuacja może wymknąć się spod kontroli. Ludzie, którzy stawiają siebie i swoją rodzinę w podobnej sytuacji, znaleźli się pod ogromną presją, kompletnie przyparci do muru.

– Jeśli tylko pan tego chce – dodał. Miał w pamięci słowa wypowiedziane niegdyś przez Helen o pewnym porywaczu – a takim porywaczem był w jakimś sensie White: *Niech poczuje, że ma wybór. Zostaw mu nieco swobody działania. Za żadne skarby go nie przyduszaj.*

– Nic nie da się zrobić – odpowiedział Jayden.

Wydawało się, że to przeświadczenie wyryło się w jego umyśle, w jego świadomości, i że będzie tak odpowiadał na wszystko, co Caleb zaproponuje, powie albo o co zapyta: nic nie da się zrobić, nie ma żadnego wyjścia, nic już nie ma sensu, wszystko stracone.

– Wiem, że nie zdołam pana teraz przekonać – odparł Caleb. – Ale proszę mi wierzyć, na trudnościach życie wcale się nie kończy. Niech pan da sobie i swojej żonie, a zwłaszcza dzieciom, szansę na dalsze życie. Nie jest pan człowiekiem, który zrobiłby coś takiego. Kto byłby zdolny zastrzelić kobietę i dwie małe dziewczynki?

– Nie ma pan o niczym pojęcia – powiedział Jayden.

Caleb miał nadzieję, że nie popełni błędu, poruszając jedyny temat, jaki nasuwał się na podstawie dostępnych informacji.

– Jeśli chodzi o kłopoty finansowe, panie White, myślę, że...

– Nie mam żadnych kłopotów finansowych – odpowiedział Jayden.

– Cóż, tym lepiej, w takim razie...

– To finansowa katastrofa – odparł Jayden.

Po czym się rozłączył.

Pół minuty później padło kilka strzałów.

Sobota, 20 lipca

1

Pociąg London North Eastern Railway opuścił londyński King's Cross punktualnie o godzinie dziewiątej i zmierzał w kierunku północnym. Mijał miasta na przemian z wioskami, sunął wśród łąk, lasów i pól. Krajobraz zalewały promienie letniego słońca. Głębokiego błękitu nieba nie przesłaniała ani jedna chmura. Wymarzony dzień, by usiąść na balkonie, pojechać rowerem nad jezioro albo wybrać się nad morze, zabierając ręcznik i koszyk piknikowy.

Ksenia Paget westchnęła, bo wiedziała, że po przyjeździe do Leeds nie będzie mogła skorzystać z żadnej z tych propozycji. Nie tylko dlatego, że w pobliżu Bramhope, gdzie mieszkała, nie było ani morza, ani jeziora; wszak miała własny ogród i taras. Niestety, miała także męża, który uznałby to za niewybaczalny przejaw lenistwa najgorszego rodzaju, gdyby po niemal trzech dniach nieobecności pozwoliła sobie na kilka miłych godzin na leżaku. Po jej wyjeździe z całą pewnością nie włączył ani odkurzacza, ani pralki, ani nawet nie podlał kwiatów. Z myślą o niej. I oczekiwał, że niezwłocznie się tym zajmie.

Ksenia wyciągnęła się na siedzeniu. Ba, rozkoszowała się podróżą. Drobną podróżą ku wolności. Minie sporo czasu, zanim znów nadarzy się po temu okazja.

Gdyby tylko facet siedzący naprzeciw niej po skosie po drugiej stronie przejścia przez cały czas nie zerkał w jej stronę. Nieustannie się na nią gapił. Od chwili wyjazdu z Londynu. Wyglądała przez okno, patrzyła w sufit, czytała książkę, którą z sobą zabrała, wysyłała przez WhatsAppa wiadomości do swojej przyjaciółki Mai, do której wybrała się w odwiedziny... lecz za każdym razem, gdy spojrzała przed siebie, napotykała jego wzrok. Mroczny. Głęboki. Pusty. Niesamowity. Mężczyzna wyglądał dosyć młodo, miał najwyżej dwadzieścia kilka lat i z pewnością nie był nią zainteresowany. Trzydziestosiedmioletnią otyłą kobietą w zwiewnej hipisowskiej sukience, w której fałdach starała się ukryć nadmiernie obfite kształty. Jego spojrzenia nie były pożądliwe. Wzrok miał na to zbyt odrętwiały.

Były za to groźne.

Kim był i czego od niej chciał?

Rozejrzała się po całym wagonie, ale nie znalazła innego wolnego miejsca, by się przesiąść. Poszła do toalety, spoglądając dokoła, jednak wszystkie miejsca w pociągu były zajęte. Nie chciała się zanadto oddalać od swojej walizki, dlatego nie sprawdziła

wszystkich wagonów. Nie odważyła się także zabrać z sobą bagażu. Nie chciała zbyt zwracać na siebie uwagi. Coś jej podpowiadało, że ten facet ruszy w ślad za nią, gdy tylko się zorientuje, że zamierza zmienić miejsce.

No dobrze, do Yorku było już niedaleko. Tam przesiądzie się do pociągu do Leeds. Mało prawdopodobne, by ten dziwny człowiek akurat tam zmierzał. A jeśli nawet, tym razem wybierze sobie lepsze miejsce. Był środek dnia, nic złego nie mogło jej się stać. W Leeds odbierze ją ze stacji jej mąż Jacob. W zwyczajnych okolicznościach wcale nie byłaby z tego zadowolona, jednak tym razem dobrze się złożyło.

Zamknęła książkę i wsunęła ją do torebki. I tak nie zdołała się skupić. Ostrożnie uniosła wzrok. Facet wciąż się na nią gapił. Sprawiał wrażenie przebiegłego. Przycząjonego. Agresywnego. I dziwnie chorego. Niezrównoważonego.

Przebiegł ją dreszcz. Gdyby tylko miała więcej pewności siebie. Wtedy wlepiłaby w niego wzrok, aż poczułby zmieszanie. Albo otwarcie by go zagadnęła. A jednak brakowało jej odwagi. Jak zawsze.

Patrzyła w sufit. Wtem usłyszała przerażone westchnienie siedzącej obok kobiety. Instynktownie spojrzała w stronę obcego mężczyzny.

Trzymał w dłoni pistolet.

Ksenia ani przez chwilę nie miała wątpliwości, że go użyje. I że to ona będzie ofiarą. Chwyciła torebkę, zerwała się z miejsca i zaczęła uciekać.

Piękny letni dzień, pomyślała Kate, a ja przez tyle godzin muszę siedzieć w klimatyzowanym pociągu!

Była zmęczona, miała kiepski humor, wiedziała jednak, że jej niezadowolenie jest po trosze nieuzasadnione. Podróż do Leeds, uwzględniając przesiadkę w Yorku, trwała dwie i pół godziny, w żadnym więc razie nie spędzi w pociągu całego dnia. A weekendowy pobyt w spa w Yorkshire Dales, wykupiony dla niej przez kolegów ze Scotland Yardu w pożegnalnym prezencie, przynajmniej dla zwykłego człowieka nie powinien być powodem do narzekań. Jednakże Kate, jak zawsze pełna samokrytycyzmu, podejrzewała czasem, że nie jest całkiem normalna. Czy nie powinna jej ucieszyć perspektywa spędzenia weekendu, a właściwie jedynie sobotniego popołudnia i połowy niedzieli, w eleganckim hotelu oferującym smaczne jedzenie, masaże, błotne okłady oraz relaks z plasterkami ogórka na twarzy? Z kąpielami w sianie i innymi dziwnymi zabiegami, które tak bardzo by jej pomogły. Nigdy wcześniej tego nie robiła. Obawiała się, że nie wytrzyma nawet pół godziny.

W czwartkowy wieczór urządziła małe przyjęcie pożegnalne dla kolegów z pracy, zamówiła dwie skrzynki szampana i bufet od firmy cateringowej. Doskonale wiedziała, że pracownicy z jej wydziału zawsze uważali ją za nieco dziwną i że padające w rozmowie na jej temat epitety w rodzaju: *zamknięta w sobie*, *introwertyczna*,

nieprzenikniona należały do najmilszych. Faktem jest, że dwadzieścia lat pracy w Scotland Yardzie uczyniło z niej zupełną outsiderkę i mimo pokaźnej liczby sukcesów dorobiła się tylko stopnia sierżanta śledczego. Przyjęło się, że to przełożeni rekomendowali swoich pracowników do awansu, a nawet zachęcali ich do zgłaszania swoich kandydatur. Jej bezpośredni przełożony nigdy tego nie zrobił. Kate przystępowała do egzaminów z własnej inicjatywy, dlatego czuła niepewność, miała też wrażenie, że pozostali sobie z niej drwią. Zgodnie z zasadą: *Na tyle arogancka, by występować bez wsparcia ze strony szefa*. Kate nie była jednak arogancka, ani trochę, często krytykowano ją nawet za brak pewności siebie.

Niekończąca się spirala. Pozbawiona logiki i wyjścia.

Oddychała głęboko, spoglądając przez okno. Pewien etap w jej życiu został zamknięty. Nowy właśnie się przed nią otwierał. Pytanie, czy wszystko zmierza ku lepszemu.

– W Scarborough doszło wczoraj do okropnej zbrodni. Przeróżającej.

Drgnęła, odwróciła się do siedzącego obok mężczyzny. Colin Blair. Jedyny bodaj jej *przyjaciół*, choć określenie to było chyba na wyrost. Tak naprawdę tworzyli swego rodzaju związek z konieczności, ot, dwoje ludzi mających trudności w nawiązywaniu kontaktów społecznych, którzy spotykali się przygodnie w weekendy, by nie spędzać czasu samotnie. Poznali się dwa lata wcześniej na internetowej randce. Nie zaiskrzyło między nimi, nie zostali parą, niemniej ich samotne dusze nawiązały nić porozumienia. Kate nawet nie miała pewności, czy rzeczywiście darzy Colina sympatią. Przynajmniej go rozumiała. I miała wrażenie, że on czuje wobec niej to samo.

Pożegnalny upominek od kolegów był przeznaczony dla dwóch osób. Kate przez cały czas się zastanawiała, czy to tylko niewinny, może wręcz perfidny sposób wytknięcia jej raz jeszcze jej samotności. Wszyscy wiedzieli, że Kate nie nawiązała w swym życiu żadnych bliskich znajomości. Nie miała przyjaciół, a już na pewno partnera czy męża. Gdzie znajdzie kogoś, kto zechce jej towarzyszyć w trakcie weekendu w spa? Oczywiście pomyślała o Colinie; ostatecznie zaprosiła go tylko po to, by zaskoczyć kolegów z pracy. A jednak kogoś ma! Była gotowa dopłacić za osobny pokój dla Colina, ale nikt nie musiał o tym wiedzieć. I rzeczywiście, jej koleżanka Christy McMarrow, której wieczorem w przeddzień wyjazdu oddała kotkę Messy pod opiekę, była całkowicie zaskoczona.

– Och, naprawdę kogoś z sobą zabierasz? – zapytała zdumiona.

– Tak – odparła Kate – przyjaciela.

Christy zastygła z rozdziawionymi ustami.

Miała za to teraz Colina na głowie. Być może kąpiele w sianie łatwiej będzie znieść we dwoje.

Colin spędził podróż z nosem przyklejonym do ekranu smartfona i widocznie natrafił na ciekawą wiadomość.

– Zbrodnia? – zapytała Kate. – W Scarborough?

– Jakiś mężczyzna zastrzelił całą swoją rodzinę. Żonę i dwójkę małych dzieci. Policja została wezwana przez sąsiadów, którzy usłyszeli wystrzały. W tym czasie wszyscy jeszcze żyli, facet strzelał w sufit. Twój nowy szef negocjował z nim przez telefon.

– Caleb Hale? – Złożyła podanie o pracę w jego wydziale – i została przyjęta. Nikt z jej otoczenia nie mógł tego zrozumieć. Była funkcjonariuszką w Scotland Yardzie, jednym z najśłynniejszych wydziałów na świecie. A teraz dołączyła do policji z North Yorkshire, wydziału śledczego w Scarborough. W północno-wschodniej Anglii, w placówce, o której nikt nie słyszał. Nieważne. Kate doskonale wiedziała, dlaczego tak postąpiła. Razem z Calebem rozwiązali dwie sprawy. Był prawdopodobnie jedynym funkcjonariuszem w całej brytyjskiej policji, który uważał ją za genialną śledczą.

– Tak. Komisarz Caleb Hale. Ale nie zdołał go powstrzymać. Facet przerwał rozmowę, po czym zastrzelił dwójkę dzieci i żonę. „Wykonano na nich wyrok”, pisze „Daily Mail”. – Colin pokiwał głową. – Potworne.

– Czy on także się zastrzelił? – zapytała Kate.

Historia straszna, ale bynajmniej nie wyjątkowa. Mężczyźni tracący z oczu życiowy cel, czujący na sobie ogromny ciężar własnych problemów i chcący ze wszystkim skończyć, nierzadko wikkali w samobójstwo całe rodziny. To właśnie mężczyźni przejawiają skłonność do inscenizowania swojego odejścia, jadąc autostradą pod prąd i skazując przy tym na śmierć niewinnych ludzi. Podobne wypadki niezwykle rzadko powodują kobiety – one zazwyczaj odbierają sobie życie w samotności.

– Nie – odparł Colin – nie zrobił tego. Po aresztowaniu wyjaśnił, że zamierzał się zastrzelić, ale nie zdołał się przemóc. Mój Boże, co za tchórz!

– Straszne – powiedziała Kate. – Potworne.

– Dla prasy to oczywiście nie lada gratka – ciągnął Colin. – Martwa kobieta. Dwoje martwych dzieci. A policja przez cały czas stała przed domem. „Czy nie za późno zdecydowano się na interwencję?”, pytają. Ten twój Caleb Hale pewnie ma teraz niezły ambaras.

Kate skinęła głową. Miała podobne obawy. W takich wypadkach potrzebny jest winowajca. Był nim oczywiście ojciec rodziny, ale na pewno znajdą się dlań okoliczności łagodzące. Znacznie prostsze – i bardziej dramatyczne – będzie

uderzenie w policję. Spekulacje można snuć w dowolnym kierunku. O ile też łatwiej wyrokować z perspektywy czasu. Gdyby policja wtargnęła do mieszkania, powodując tym śmierć dzieci, podniosłyby się głosy krytyki. Caleb Hale zdecydował się jednak podjąć negocjacje, a mimo to dzieci zginęły. I teraz to on znalazł się na celowniku. W podobnych wypadkach niejednokrotnie negowano fakt, który Kate uznawała za równie smutny, co prawdziwy i nieunikniony: w życiu bywają sytuacje, które wykluczają dobre rozwiązania. Nieważne, co się zrobi i jak się postąpi.

– Caleb będzie musiał sporo ścierpieć – stwierdziła Kate. – Ale da sobie radę. Konieczność zmierzenia się z krytyką i wrogością to część jego pracy.

Znacznie gorsze okażą się wyrzuty, które sam będzie sobie czynił. Bezbronna rodzina zamordowana w okrutny sposób we własnej sypialni. On zaś, stojąc ledwie kilka metrów dalej wraz z całym sztabem swoich ludzi, nie był w stanie jej pomóc. Znała go i doskonale wiedziała, jak bardzo będą go dręczyć obrazy, jak boleśnie będzie nurtować kwestia własnej porażki. Znała też niestety sposób, w jaki reagował na wszelkie stresy, kryzysy, na chwile zwątpienia w samego siebie – był alkoholikiem. Od wielu lat. Przez pewien czas przebywał w klinice odwykowej i od tej pory nazywał siebie *suchym alkoholikiem*. Kate wiedziała, że wcale nim nie był. Nałóg powrócił. Pozostawało pytanie, jak długo będzie mu to uchodziło płazem.

– Będzie cię teraz miał u swego boku – oznajmił Colin. – Nic złego już się nie stanie.

Uśmiechnęła się do niego. Czasami Colin potrafił być całkiem uroczy.

Spojrzała na zegarek. Za kilka minut dotrą do Yorku, gdzie czeka ich przesiadka. Podniosła się z miejsca.

– Skoczę jeszcze do toalety. Przypilnujesz mojej torebki?

– Pewnie – przytaknął Colin.

Kate ruszyła pomiędzy czerwonymi tapicerowanymi siedzeniami, a następnie przeszła przez wagon z wydzielonymi przedziałami. Prawie już dotarła do drzwi toalety, gdy za plecami usłyszała odgłos spiesznych kroków. Ktoś biegł korytarzem. Kate się odwróciła.

Wpadła na nią kobieta. Ciężko dyszała. Na jej twarzy perlił się pot. Miała wybałuszone oczy. Potknęła się i nie upadła tylko dlatego, że Kate w mgnieniu oka chwyciła ją za ramię i podtrzymała.

– O Boże. Proszę mi pomóc. Niech mi pani pomoże!

– Co się stało?

– On... On tam jest! – Kobieta wskazała w kierunku przejścia, skąd nadbiegła.

Kate podążyła wzrokiem za jej wyciągniętym palcem. Korytarz był pusty.

– Ale kto to? I proszę się uspokoić.

– Nie wiem – szepnęła kobieta. – Nie mam pojęcia, kim on jest. Ale ma broń.

Kate zamierzała uspokoić ją rozmową i zapytać o ewentualnych krewnych lub znajomych podróżujących tym samym pociągiem, sądziła bowiem, że ma do czynienia z osobą ogarniętą psychozą, gdy nagle otwarły się przeszklone automatyczne drzwi prowadzące do wagonu. Pojawił się w nich mężczyzna. Sekundę później padł strzał, kula minęła obie kobiety o włos.

Obcy krzychał.

– Nie! Nie!

Kate, nadal podtrzymując kobietę za rękę, otworzyła ramieniem drzwi toalety, wepchnęła ją do środka, wpadła za nią, zamknęła drzwi i przesunęła zasuwę. Na zewnątrz padł kolejny strzał. Kobieta zaczęła wrzeszczeć jak oszalała.

Kate pchnęła ją w kąt za drzwiami, sama stanęła tuż przed nią. Zgadła: chwilę później przez drzwi przeszła kula.

– Spokojnie, tylko spokojnie. – Kate trzymała kobietę za rękę. – Jak ma pani na imię?

Kobieta wlepiała w nią przerażony wzrok.

– Ksenia.

– Dobrze, Kseniu. Jestem Kate. Nic nam tu nie grozi. Niech się pani uspokoi.

Drzwi przebiła kolejna kula. Sprawca nie mógł celować prosto do kobiet skulonych w kącie, ale wystarczyło, że jedna z kul odbije się od ściany i trafi je rykoszetem, a wtedy nic ich nie uratuje.

W krótkim odstępie czasu padły dwa kolejne strzały.

Kate zerknęła na zegarek. Tylko dwie minuty do Yorku. Pociąg już zwalniał. Ludzie zaraz zaczną się tłoczyć na korytarzu, zmierzając w kierunku drzwi. Mogła mieć tylko nadzieję, że strzały już usłyszano i że nikt nie pojawi się w przejściu przed toaletą. To mógł być szalowiec strzelający na oślep do wszystkiego, co się porusza. Kate sięgnęła do kieszeni džinsów i jęknęła, uświadomiwszy sobie, że telefon komórkowy zostawiła w torebce. A torebkę na siedzeniu obok Colina. Nie będzie w stanie z nikim się skontaktować.

Kolejny strzał. Ksenia trzęsła się jak osika.

– Kseniu, ma pani komórkę?

– Zgubiłam torebkę, gdy biegłam przez cały pociąg. Siedziałam w jednym z ostatnich wagonów... Nie wiem, gdzie ją upuściłam. – Zaczęła płakać.

– Nie szkodzi. Proszę zachować spokój.

Oczywiście, że znalazły się w tarapatkach. Siedziały zamknięte w toalecie, a za drzwiami stał uzbrojony człowiek. Nie mogły wezwać pomocy. Na szczęście pociąg za

chwile się zatrzyma. A pozostali pasażerowie musieli usłyszeć wystrzały. Może wezwano już policję.

Spojrzenie Kate powędrowało w kierunku przesuwne go okna. Nie wiedziała, czy zdoła je otworzyć, ale warto było spróbować. Kiedy jednak zacznie przy nim majstrować, stanie się idealnym celem dla czającego się za drzwiami szaleńca. Gdyby strzelił, mógłby ją trafić prosto w plecy. Mimo to musiała podjąć próbę.

– Proszę zachować spokój – szepnęła do Kseni. – On nie może się zorientować. Spróbuję otworzyć okno.

Ksenia natychmiast złapała ją za rękę.

– Proszę tego nie robić. Proszę tu zostać. Proszę.

– Tylko otworzę okno. A potem obie przez nie wyjdziemy.

Ksenia dygotała coraz mocniej, ale skinęła głową. Kuląc się, Kate podeszła do okna. Pomieszczenie było niewielkie, od okna dzieliły ją nie więcej niż dwa kroki. Po jej lewej stronie znajdowała się umywalka ze stali nierdzewnej, z małym lustrem powyżej. Na wprost muszla klozetowa. Nad nią okno. Za plecami, w linii prostej, drzwi i stojący za nimi strzelec. Kate poczuła, że oblewa ją pot. Na szczęście stukot kół był na tyle głośny, by zagłuszyć ewentualny hałas otwieranego okna. Kate szarpnęła za uchwyty. Okno otwarło się bezgłośnie i bez przeszkód. Niestety, tylko nieznacznie.

Do wnętrza wniknęło ciepłe letnie powietrze. Łagodny podmuch.

Nie chcę umierać, pomyślała Kate. Nie teraz.

Sprawdziła wąski okienny otwór. Sama, choć z pewnym wysiłkiem, pewnie by się precisnęła, była drobna i bardzo szczupła. Ksenia nie miałaby jednak szans. Była, ogólnie mówiąc, dość pulchna. Wypchnięcie jej na zewnątrz wydawało się mało realne.

Ksenia również to zauważyła.

– Proszę nie zostawiać mnie samej. Proszę!

– Nie zostawię pani.

To oczywiste. Kate była policjantką, chociaż nie pełniła teraz służby. Dwa dni wcześniej opuściła szeregi Scotland Yardu. A pracę w Scarborough miała rozpocząć dopiero w sierpniu. W pewnym sensie pozostawała obecnie w zawodowym zawieszeniu. Mimo to nigdy nie zostawiłaby nikogo bez opieki w tak trudnym położeniu, myśląc wyłącznie o własnym bezpieczeństwie. Wykluczone.

Naraz padł kolejny strzał, niemal w tej samej chwili wśród pisku hamulców i zgrzytu kół pociąg zatrzymał się na stacji w Yorku.

Kate poczuła ból w prawej łydce, ostry i przenikliwy, lecz kilka sekund później miała wrażenie, że jedynie tak jej się zdawało. Począpiała z powrotem do skulonej w kącie Kseni. On nadal tam jest. Wciąż tam jest.

Przez otwarte okno słyhać było płynące z głośników komunikaty. Z ogłuszającym łoskotem nadjechał kolejny pociąg. Rozległ się grzechotliwy hałas ciągniętych po peronach walizek. Z oddali dobiegały głosy.

Odgłosy stacji.

– On wciąż stoi przy drzwiach – szepnęła Ksenia.

– Tak, najwyraźniej. Ale ludzie musieli coś usłyszeć, z pewnością wezwano już policję. Wydostaną nas stąd. Proszę się nie martwić.

Zastanawiała się, co teraz robi Colin. Czy się niecierpliwi, czemu ona tak długo siedzi w toalecie? Czy usłyszał wystrzały? Musiał być podenerwowany. Zaraz mieli przesiadkę, pociąg do Leeds odjeżdżał niecałe dwadzieścia minut później. Oby tylko nie poszedł jej szukać. Znalazłby się na muszce zabójcy.

Ksenia nagle wrzasnęła, przerażona wskazała na nogę Kate.

– Pani krwawi!

Kate spostrzegła, że na prawej łydce tkanina jej dzinsów zabarwiła się na kolor czerwonobrunatny. Wydawało się, że plama wciąż się powiększa. Przypomniała sobie przeszywający ból. A więc ją trafił. O dziwo, rana nie bolała. To wskutek szoku, przyływu adrenaliny.

– Lekki postrzał – szepnęła, choć przecież nie mogła tego stwierdzić – nic poważnego.

– On nas zabije. O Boże, on nas zabije!

– Czy domyśla się pani, kim on jest? I dlaczego panią ściga?

– Nie. Siedziałam w ostatnim wagonie. On naprzeciw mnie po skosie, dzieliło nas przejście. Przez cały czas gapił się na mnie, to było nieprzyjemne, czułam się nieswojo.

– I nigdy wcześniej nie widziała pani tego człowieka?

– Nie.

– Hm. Dziwne.

Zdarzają się szaleńcy, ale zazwyczaj strzelają na oślep, nieważne, kogo trafią, byleby tylko uśmiercić jak najwięcej osób. Jednak ten człowiek upatrzył sobie wyłącznie Ksenię. A to oznaczało, że istniał między nimi jakiś związek.

– Nic nie słyhać – szepnęła Ksenia. – W pociągu.

Rzeczywiście, dało się słyszeć odgłosy stacji. Ale pociąg sprawiał wrażenie opustoszałego.

– Czy myśli pani, że on nadal tam jest?

– Nie wiem. Nie chcę wychylać głowy. Powinni wsiąść nowi pasażerowie, wiedziałybyśmy o tym. Skoro tak nie jest, policja prawdopodobnie opanowała już sytuację.

Ksenia nieco się odprężyła. Nie dygotała już tak gwałtownie, jej oddech się wyrównał. Wtem ktoś zaczął przeraźliwie dobijać się do drzwi.

– Policja! Kto jest w środku?

Kate powstrzymała Ksenię, która z miejsca rzuciła się do drzwi.

– Sierżant Kate Linville. I jedna z pasażerek.

Ksenia popatrzyła oszołomiona.

– Pani jest...?

– Tu sierżant Jenkins z policji North Yorkshire. Może pani otworzyć? Wszystko jest pod kontrolą.

– A jeśli to *on*? – zapytała cicho Ksenia.

– Już dawno by tego spróbował – odparła Kate. Pokuśtykała do drzwi. Noga zaczęła sprawiać jej ból, nie mogła jej przeciążać. Odsunęła zasuwę. Ujrzała przed sobą mężczyznę w ciemnym garniturze.

– Sierżant Linville?

– Tak.

– Czy ktoś jest ranny?

– Zostałam lekko draśnięta w nogę – wyjaśniła Kate. – Poza tym w porządku.

– A więc jest pani funkcjonariuszką? – zapytał Jenkins.

– Tak. Ale nie jestem na służbie. Przez przypadek znalazłam się w samym centrum wydarzeń. – Rozejrzała się po korytarzu. Wszędzie krzątała się policja. Także na zewnątrz, na peronie.

– Kilku pasażerów wezwało pomoc. W pociągu padły strzały. Chwilę po zatrzymaniu składu przyjechaliśmy na pomoc miejscowym służbom. – Zawahał się.

Kate domyśliła się reszty.

– Nie macie go?

– Nie. Wysiadła masa ludzi, rozbiegli się we wszystkie strony, dwóch posterunkowych nie miało żadnych szans. Usiłowaliśmy zapanować nad sytuacją, ale wielu pasażerów już się oddaliło. Niektórzy są pod opieką w budynku dworca. Innych już dawno tu nie ma. Musieliśmy najpierw zablokować tory, zabezpieczyć stację. Przeszukać pociąg. – Otarł czoło. Nie poszło za dobrze. Gdzieś na zewnątrz przebywał człowiek z bronią. Zbiegł. Nie sięgnął celu.

Ksenia pobladła jeszcze bardziej.

– A jeśli ponownie spróbuje? – szepnęła. – Co ze mną, jeśli on ponownie spróbuje?

Sierżant Paul Jenkins sprawiał wrażenie nieco przybitego, mimo to usiłował wstępnie opanować sytuację. Siedział z Kate Linville i Ksenią w niewielkim pomieszczeniu, oddanym mu do dyspozycji przez ochronę stacji. Jego współpracownicy przebywali na zewnątrz, wypytyując pasażerów podróżujących pociągiem z Londynu do Yorku. Przynajmniej tych, których jeszcze tam zastali. Wielu wykorzystało powstałe zamieszanie i oddaliło się, chcąc przede wszystkim złapać połączenia i uniknąć zawirowań w rozkładzie dnia. Kate wyszła z pociągu wsparta na ramieniu sanitariusza, na peronie spotkała Colina, który ujrzawszy ją żywą, poczuł tak ogromną ulgę, że aż ją to wzruszyło. Ścisnął w rękach jej torebkę, a nawet zachował dość przytomności umysłu, by wynieść z pociągu jej dwie małe walizki na kółkach.

– Dzięki Bogu, że nic ci się nie stało! – zawołał. – Bałem się o ciebie. Ledwie poszłaś do toalety, przez wagon przebiegła jakaś kobieta. A za nią mężczyzna. Potem padły strzały. Myślałem, że... O Boże... – Nie mógł znaleźć odpowiednich słów.

Policjant dotknął jego ramienia i odsunął go na bok.

– Chciałbym zadać panu kilka pytań – oznajmił.

– Oczywiście. Naturalnie! – Colin niczego bardziej nie pragnął. Kate domyśliła się, że przedstawi mocno podkoloryzowaną wersję własnych przeżyć.

Poprosiła go, aby pod żadnym pozorem nie opuszczał stacji i pilnował obydwu walizek. Torebkę zabrała ze sobą. Następnie sanitariusz opatrzył jej nogę. Rzeczywiście była to rana postrzałowa.

– Ma pani szczęście – stwierdził pielęgniarz. – Sporo krwi, przez co wygląda to gorzej, niż jest w rzeczywistości. Przemyję ranę, założę opatrunek i dam pani środek przeciwbólowy. Ale powinna pani skonsultować się z lekarzem.

– Tak zrobię – obiecała Kate.

Sierżant Jenkins zamierzał zabrać Ksenię na przesłuchanie, lecz kobieta zareagowała histerycznie.

– Nie ruszę się bez Kate! Nigdzie nie pójdę bez Kate! – Kate uratowała jej życie. Kate była policjantką. Ksenia widziała w niej jedyną bezpieczną opokę wśród zamętu tego koszmarne go dnia.

Siedziały więc obie w nagrzanym, niewielkim pomieszczeniu. Promienie lipcowego słońca wdzierały się przez wychodzące na południe okno, ukazując pokrywający szybę kurz i zamieniając pokój z metalowymi szafkami na akta i uporządkowanym biurkiem w piekarnik. W oknie nie było żaluzji ani zasłon. Po kilku minutach Kate poczuła się jak jajko smażone na rozgrzanej do czerwoności patelni. Cudownie. Pociąg do Leeds już odjechał. Weekend w spa nieco się opóźni. Jeśli w ogóle się zacznie. Najchętniej wróciłaby do domu, usiadła na balkonie z chłodnym drinkiem w dłoni, wyciągnęła wygodnie obolałą nogę, zdjęła zakrwawione dżinsy.

Sierżant Jenkins musiał jednak dopełnić formalności. Doskonale o tym wiedziała.

Spisał dane Kseni. Ksenia Paget. Zamieszkała w Leeds-Bramhope, Yorkshire. Mężatka. Bezdzienna. Urodzona dziesiątego maja tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku.

– Gdzie się pani urodziła? – zapytał Jenkins.

Ksenia się zawahała.

– Kirow. Rosja. Wówczas jeszcze Związek Radziecki.

Jenkins się wyprostował.

– Jest pani Rosjanką?

– Mam brytyjskie obywatelstwo. – Ksenia sięgnęła w miejsce, gdzie pewnie zazwyczaj stawiała torebkę. Wtedy przypomniała sobie, że zgubiła ją w pociągu, uciekając przed prześladowcą. – Moja torebka! Nadal leży gdzieś w pociągu. Są w niej moje dokumenty. Mój paszport. Mam brytyjski paszport!

– Proszę się nie martwić, pociąg został zabezpieczony, moi ludzie go przeszukają. Znajdą pani torebkę, wszystko pani zwrócimy – zapewnił Jenkins. Wyjął chusteczkę, otarł czoło, poluzował krawat. – Boże, ależ tu gorąco.

– Wysłałam za mąż za Anglika – wyjaśniła Ksenia. – Za Jacoba Pageta. Dlatego mogłam się ubiegać o przyznanie obywatelstwa.

To było dla niej ważne, ogromnie ważne, zauważyła Kate. W żadnym razie nie chciała wzbudzić podejrzania, że mieszka w Anglii nielegalnie. Kate uznała, że mówi doskonałą angielszczyzną. Gdy się wiedziało, że pochodzi z Rosji, można było zauważyć ledwo słyszalny akcent; jeśli nie miało się o tym pojęcia lub nie zwracało się na to uwagi, trudno się było domyślić, że nie jest rodowitą Angielką.

– Jak długo mieszka pani w Anglii? – zapytał Jenkins.

– Od dwa tysiące szóstego roku. Wzięliśmy ślub w czerwcu dwa tysiące szóstego.

– Pani i pani mąż...

– Poznaliśmy się za pośrednictwem agencji – wyjaśniła Ksenia. – Mój mąż chciał za żonę Rosjankę. Nie miał szczęścia do Angielek, więc postanowił spróbować czegoś innego.

– Wtedy nazywała się pani...?

– Ksenia Pietrowna Sidorowa.

Jenkins zanotował nazwisko, szepcząc po cichu nietypową sekwencję liter.

– Cóż, pani Paget – powiedział – najbardziej interesuje mnie oczywiście to, co wydarzyło się dziś w pociągu. Strzelał do pani jakiś mężczyzna. Czy może mi pani opowiedzieć ze szczegółami całą historię?

Ksenia powtórzyła to, o czym informowała już Kate: od chwili wyjazdu z londyńskiego King's Cross jakiś nieznajomy nieustannie się na nią gapił.

– Czułam się coraz bardziej nieswojo. Ale w pobliżu nie było innego wolnego miejsca, nie mogłam się przesiąść. Tuż przed przyjazdem do Yorku nagle wyciągnął broń. Wtedy zerwałam się i pobiegłam. Torbę podróżną zostawiłam w miejscu przeznaczonym na bagaż. – Przerwała. – Moja torba...

– Ją także pani zwrócimy – zapewnił Jenkins.

– Biegłam coraz szybciej. W następnym wagonie odważyłam się obejrzeć za siebie. Podążał za mną. Biegłam jeszcze szybciej. On też.

– Przemierzyliście praktycznie cały pociąg?

– Tak. Siedziałam na samym końcu składu. Tuż przed dotarciem do wagonu, w którym spotkałam Kate, ponownie się obejrzałam. Facet był za mną jakieś pół długości wagonu. Wciąż trzymał w ręku pistolet. Wpadłam w panikę, bo wiedziałam, że zaraz dotrę do końca pociągu i nie zdołam mu uciec. Biegłam. I wtedy wpadłam na Kate. A on zaczął strzelać.

– Pani Paget, jeśli dobrze zrozumiałem, przez długi czas siedziała pani naprzeciwko tego człowieka. Gapił się na panią, gdy tylko uniosła pani wzrok, widziała go pani. Zakładam, że może nam pani podać jego dokładny rysopis?

Ksenia westchnęła.

– Byłam tak przerażona i dezorientowana... Pamiętam, że był dość młody. Co najmniej dziesięć lat młodszy ode mnie. A więc nie był typem mężczyzny, który by mi się przyglądał, bo uznał mnie za interesującą kobietę.

– Nie sądzę, by ten wniosek brzmiał przekonująco – odparł Jenkins. – Rozumiem jednak, że nie wydawał się zainteresowany poznaniem pani?

– Nie. On chciał mnie zabić.

– Ocenia go pani na dwudziestokilkulatka. Czy może pani powiedzieć coś na temat jego wyglądu? Kolor oczu? Odcień włosów?

– Był bardzo wysoki. Silny. Miał gęste czarne włosy. Kręcone. Brak rozpoznawalnej fryzury. Wydawał się zaniedbany.

– Tylko z powodu włosów? Czy może czegoś jeszcze?

– Miał wytarte, pogniecione džinsy. I chyba bluzę. Szarą. Poplamioną.

– Kolor oczu?

– Nie wiem. Chyba ciemnobrązowy. Choć może to były rozszerzone ciemne źrenice. Miał nieruchome spojrzenie. Nie było normalne.

– Chcielibyśmy z pani pomocą spróbować stworzyć jego portret pamięciowy.

– Tak, oczywiście. Pomogę, jak tylko będę mogła.

– To dobrze – odparł Jenkins. Zamyślił się. – Wspomniała pani, że mieszka w Leeds. Czym się pani zajmuje?

– Niczym. Na razie. Raz w tygodniu prowadzę nieodpłatnie kurs językowy dla uchodźców, poza tym nigdzie nie pracuję. Mój mąż twierdzi, że nie muszę.

– Kim jest z zawodu pani mąż?

– Pracuje jako zarządca nieruchomości. Dla kilku wspólnot mieszkaniowych w Leeds i okolicach.

– Rozumiem. Ale na pewno wykonywała pani jakiś zawód?

– W Rosji zaczęłam studia językowe. Języki azjatyckie. Mówię całkiem dobrze po chińsku i koreańsku.

– Ma pani prawdziwy talent – zauważył Jenkins. – Pani angielski również jest doskonały.

Ksenia zarumieniła się z radości.

– Dziękuję.

– Ale nie skończyła pani studiów?

– Nie. Moja rodzina zubożała. Ojciec pracował w przemyśle zbrojeniowym, po zakończeniu zimnej wojny wiązał koniec z końcem tylko dzięki pracy dorywczej. Tak samo jak moja matka. W końcu także tę pracę oboje stracili. Wie pan, mam czwórkę młodszego rodzeństwa. Rzuciłam więc studia i zaczęłam pomagać rodzinie. Pracowałam jako kelnerka, sprzątałam. Ale nadszedł moment, kiedy zapragnęłam...

– Tak?

– Chciałam koniecznie wyjechać z kraju. Nie widziałam tam dla siebie żadnej przyszłości. Byłam wtedy młoda i ładna. Zgłosiłam się do angielskiej agencji, która opiekuje się w Anglii kobietami ze Wschodu. Uznałam, że to moja jedyna szansa.

– Nie musi się pani usprawiedliwiać – zapewnił sierżant Jenkins.

Kate przyglądała się Kseni z ukosa. Co za tragiczna historia, pomyślała. Inteligentna osoba, która prawdopodobnie mówi płynnie w kilku językach, ale musiała zostać sprzątaczką i kelnerką, a teraz jest żoną mężczyzny, który nie chce, aby pracowała. Ciekawe, czy to dlatego tak bardzo przytyła. Czy w ten sposób rekompensuje sobie frustrację, własną pustkę?

Przywołała się jednak do porządku. To czyste spekulacje. Nie znała Kseni na tyle, by mogła sobie pozwolić na ocenę jej życia.

– Co robiła pani w Londynie? – zapytał Jenkins.

Ksenia przez chwilę sprawiała wrażenie zdezorientowanej.

– W Londynie?

– Cóż, na londyńskim King's Cross wsiadła dziś pani do pociągu.

– No tak. Oczywiście. Byłam w odwiedzinach u przyjaciółki. Pojechałam do niej w czwartek, dziś wracałam. Mój mąż odbierze mnie ze stacji w Leeds. – Nagle wydała

się potwornie przejęta. – O Boże. Będę dużo później. Koniecznie muszę go powiadomić.

– Chce pani skorzystać z mojego telefonu? – zaproponowała Kate.

– Tak, proszę. – Ksenia zerwała się z miejsca. – Czy mogę wyjść na chwilę na zewnątrz?

– Oczywiście – odparł Jenkins.

Kate odblokowała telefon, po czym Ksenia wyszła z pomieszczenia.

Gdy zostali sami, Jenkins zapytał:

– Jak pani ocenia tę sytuację? Pytam panią jako koleżankę.

Kate się zamyśliła.

– Trudno teraz cokolwiek wyrokować. Mężczyzna z pociągu nie był zwykłym szaleńcem, w przeciwnym razie urządziłby krwawą jatkę wśród pasażerów. Wyraźnie upatrzył sobie Ksenię. Ja znalazłam się na linii ognia tylko dlatego, że zabarykadowałam się razem z nią. To by sugerowało, że między nim a Ksenią musi istnieć jakiś związek.

– Czy trop może prowadzić do Rosji? Myśli pani, że warto by sprawdzić ich historię?

– Obawiam się, że byłoby to bardzo kosztowne i długotrwałe dochodzenie. Przynajmniej jeśli chodzi o część rosyjską. Może przydatna okaże się rozmowa z agencją, która skontaktowała ją z obecnym mężem.

– Może była winna pieniądze. Rosjanie są znani z drastycznych działań windykacyjnych.

– Ale to była angielska agencja.

– Mimo to mógł w tym uczestniczyć jakiś rosyjski biznesmen. Uczestniczyć w realizacji umowy, a więc i w pozyskaniu prowizji.

– To wszystko wydarzyło się trzynaście lat temu. Wyszła za męża w dwa tysiące szóstym roku, przynajmniej tak nam powiedziała. Przypuśćmy, że prowizja nie została wypłacona lub nie została wypłacona w całości, i ktoś w Rosji czuje się oszukany – czy w takim razie nie interweniowałyby wcześniej?

– Może to zrobił. Ale bezskutecznie. I właśnie dlatego zdecydował się na nieco bardziej drastyczne metody.

– To brzmi jak scenariusz filmu o rosyjskiej mafii – stwierdziła Kate.

Jenkins wzruszył ramionami.

– Ksenia Paget jest z pochodzenia Rosjanką.

– Ale takie pośrednictwo matrymonialne nie może przecież kosztować fortuny. Gdyby Jacob Paget od trzynastu lat był nękany o spłatę długu, gdyby wywierano na niego coraz większą presję... Nie sądzi pan, że spłaciłby dług, byleby tylko uniknąć kontaktu z takimi ludźmi?

– Nie wiem, jakim jest człowiekiem – odparł Jenkins. – Może uznał, że za dużo od niego żądają, i woli dać się poćwiartować, niż ustąpić.

Kate się zamyśliła.

– W każdym razie należałoby porozmawiać z panem Pagetem. Podejrzewam, że tu tkwi cały problem. Nie jestem jednak pewna, czy ma to związek z dzisiejszymi wydarzeniami w pociągu.

– Jaki problem ma pani na myśli?

– Nie wiem, czy posunęłabym się aż tak daleko, niemniej skłaniam się do twierdzenia, że Ksenia Paget boi się własnego męża. Przynajmniej sprawia wrażenie zastraszonej.

Jenkins był zaskoczony.

– Skąd taki wniosek? Bo nie chce pozwolić jej pracować?

– To może być wskazówka. Jeśli to, co mówiła, jest prawdą, mamy do czynienia z bardzo utalentowaną językowo młodą kobietą, która z powodzeniem mogłaby pracować jako tłumaczka. Dlaczego pozwala sobie na tego rodzaju bezczynność?

– Może istnieją po temu jakieś powody. Może chce mieć dzieci, może unika w ten sposób stresu. Nie wiem.

– No dobrze. Ale czy nie zauważył pan, że niemal spanikowała, gdy sobie uświadomiła, że nie dotrze o umówionej porze do Leeds i że jej mąż na próżno będzie czekał na stacji?

– Odniosłem wrażenie, że nie chciała go martwić.

– Możliwe – odparła Kate.

Wróciła Ksenia, oddała Kate telefon.

– Bardzo dziękuję. – Usiadła. Chyba nie czuła ulgi, sprawiała wrażenie jeszcze bardziej przygnębionej. – Mój mąż chciał wiedzieć, kiedy wrócę do domu. Czy długo to jeszcze potrwa?

– Nie – zapewnił Jenkins. – Rozumiem, że chce pani wrócić do domu. Ale proszę mi jeszcze powiedzieć, jak nazywa się pani przyjaciółka w Londynie. I skąd ją pani zna?

– Maja Price. Dawniej mieszkała po sąsiedzku w Leeds. Zaprzyjaźniłyśmy się. Dwa lata temu przeprowadziła się do Londynu. Ściślej mówiąc, do Southend-on-Sea pod Londynem. Bardzo za nią tęsknię. Czasem ją odwiedzam.

– Dlaczego odwiedza ją pani w czwartek i piątek, a wraca w sobotę? Dlaczego nie zostaje pani na cały weekend?

Ksenia się zawahała.

– Mój mąż chce, żebym w weekendy była w domu. Byśmy mogli spędzać ten czas razem.

Kate i Jenkins wymienili spojrzenia. No proszę, zdawał się mówić wzrok Kate.

I co z tego? – zapytywał wzrokiem Jenkins.

– Dobrze. Pani Paget, czy pamięta pani cokolwiek, co podczas pobytu w Londynie wydało się pani dziwne? Albo nawet w trakcie samej podróży?

– Dziwne?

– Może poczuła pani, że ktoś panią obserwuje. Nie tak wyraźnie i bezpośrednio jak w pociągu. Człowiek odnosi czasem wrażenie, że ktoś na niego patrzy. Albo może wydarzyło się coś niezwykłego. Coś, na co wówczas nie zwróciła pani uwagi, teraz jednak wydaje się dziwne, jeśli spojrzeć przez pryzmat dzisiejszych wydarzeń.

Ksenia wyraźnie usiłowała sobie cokolwiek przypomnieć.

– Nie – odparła. – Nic. Absolutnie nic.

– A ten mężczyzna: jest pani pewna, że nigdy wcześniej go pani nie widziała?

– Jestem pewna.

– A może przypomina pani sobie coś z przeszłości? Tutaj albo w Rosji? Czy istnieje coś, co mogłoby sprawić, że ktoś poczuł się zmuszony, by panią ścigać przez pół pociągu, a potem do pani strzelać?

– Nie – zaprzeczyła Ksenia. Chwilę później coś rozbłysło w jej oczach. Tylko na sekundę.

Kate to dostrzegła, gdyż mierzyła ją wzrokiem. Jenkins chyba tego nie zauważył.

A właśnie że tak, stwierdziła Kate, coś przemknęło ci przez myśl. Ale nie chcesz o tym mówić.

3

Wynik badania krwi był jednoznaczny: siedem dziesiątych promila.

Caleb został poproszony o dobrowolne poddanie się badaniu. Po interwencji w Zatoce Północnej. Zakończyła się koszmarne. Martwa kobieta. Dwoje martwych dzieci. I sprawca siedzący na podłodze w sypialni. Szlochał nieprzerwanie, wciąż trzymając w ręku broń.

– Nie mogłem – jęczał. – Nie potrafiłem tego zrobić. – Miał na myśli swój prawdziwy zamiar: na końcu zastrzelić samego siebie.

Godzinę później Caleb musiał się stawić u naczelnika wydziału.

– Co poszło nie tak?! – wrzeszczał naczelnik. – Troje zabitych. Dzieci miały sześć i siedem lat. Dobry Boże! Pańscy ludzie rozstawieni wokół domu czekają w pogotowiu, padają strzały, było jasne, że w mieszkaniu jakiś szaleniak grozi swojej rodzinie. A pan... nie robi nic. Najspokojniej w świecie siedzi i czeka, aż facet dokona na żonie i dwojce dzieci egzekucji. Dopiero wtedy wdziera się pan do mieszkania.

To nie było fair. Caleb o tym wiedział – wiedział też jego przełożony. Znalazł się jednak pod presją opinii publicznej. Musiał poradzić sobie z tsunami oburzenia przetaczającym się przez media, wiadomo było, że te nie odpuszczą. Martwe dzieci. To było najgorsze. Także dlatego, że gazety tym bardziej zwiększały swoje nakłady, im bardziej dramatyczne drukowały doniesienia.

– Sir, w zaistniałej sytuacji szturm mieszkania uznałem za nazbyt ryzykowny – wyjaśnił Caleb. – Niemal na pewno doprowadziłby do krwawej jatki.

– A nie tak właśnie się stało?

– Owszem. Niestety. Mieliliśmy jedną jedyną szansę, by dotrzeć do tego człowieka, by odwołać się do jego sumienia. Najpierw strzelał w sufit i ścianę. Nie od razu do własnej rodziny.

– Może należą mu się za to brawa?

– O czymś to jednak świadczy. Z początku nie był w stu procentach zdeterminowany. Wręcz przeciwnie, w chwili gdy zaczął strzelać na oślep w dużym apartamentowcu, ryzykował, że ktoś powiadomi policję.

– I?

– Sądzę, że chciał porozmawiać. Że tak naprawdę szukał pomocy.

– Ale potem doszło do katastrofy. Widocznie w trakcie rozmowy telefonicznej powiedział mu pan coś, co sprawiło, że w jednej chwili puściły mu wszelkie hamulce.

– Ja...

Naczelnik zerknął na notatkę leżącą przed nim na biurku.

– Doniesiono mi, że nachalnie zagadywał go pan o sprawy finansowe. I wtedy on oszalał.

– Chciałem go przekonać, że z pewnością istnieje jakieś rozwiązanie. Że także kłopotom finansowym można zaradzić.

– Cóż, najwyraźniej nie zdołał go pan przekonać. Wręcz przeciwnie. Praktycznie pociągnął pan za spust jego pistoletu. Świetna robota, Hale!

Te słowa kęsały. Zajadle. Druzgocąco.

Kto przekazał mu treść mojej rozmowy z Jaydenem White'em? – zastanawiał się Caleb. Jedynym człowiekiem, który stał tuż obok niego i się jej przysłuchiwał, był inspektor Robert Stewart. Jego najbliższy, zaufany współpracownik. Z drugiej strony, gdyby naczelnik zapytał go o to, Robert nie miałby innego wyjścia, jak tylko złożyć zgodny z prawdą raport. Mimo to coś przyprawilo Caleba o dreszcze.

– Sir, nie wiem... – zaczął, ale mu przerwano.

– Gdzie właściwie była sierżant Helen Bennett?

– Wzięła wolne. Pojechała do Saltburn w odwiedziny do matki. Powiadomiono ją o sprawie, była już w drodze powrotnej do Scarborough.

– I nie był pan w stanie zagadywać Jaydena White’a na tyle długo, by przekazać rozmowę *kompetentnemu funkcjonariuszowi*?

– Nie – odparł Caleb.

Naczelnik zmierzył go spojrzeniem swoich wąskich oczu.

– Doniesiono mi coś jeszcze, Hale. Kierując akcją, był pan pijany.

Caleb miał wrażenie, że się przesłyszał.

– Że co proszę?

Przełożony odchrząknął zakłopotany.

– Komisarzu, powiem panu: to da się wyczuć. Wiedziałem, że to prawda, kiedy wszedł pan do mojego gabinetu.

– Sir, ja...

– Chryste! – Naczelnik walnął pięścią w stół. – Myślałem, że z tym skończyliśmy. Myślałem, że ma pan to za sobą. Poszedł pan na terapię odwykową i solennie mnie zapewniał, że wszystko jest już w najlepszym porządku. Do cholery, zbliża się pan do pięćdziesiątki, a *nie potrafi pan sobie z tym poradzić*? Nie potrafi pan rozwiązać tego głupiego problemu?

Do pięćdziesiątki brakowało Calebowi jeszcze kilku lat, lecz rzeczywiście nie był już młodzieniaszkiem. Nie miało to jednak żadnego znaczenia, nałóg pozostaje nałogiem, bez względu na wiek.

– Wstawiłem się za panem, by mógł pan wrócić na dawne stanowisko – ciągnął naczelnik. – Wierzyłem w pana. A teraz słyszę, że znów jest pan uzależniony. Że ledwie pół roku po zakończeniu terapii znowu się pan stoczył. Że znów regularnie pan pije. I to na służbie!

– Kto tak panu powiedział?

– To nieistotne. Pytanie brzmi, czy zgadza się pan poddać badaniu krwi. Wiem, że może pan odmówić.

– Sir, ja...

– Jeśli pan tego nie zrobi, znajdę sposób, żeby pana usunąć, Hale. Jest pan niezrównoważony. Powiem o tym każdemu, kogo spotkam, i wszystkim każę meldować, gdy zobaczą, że pan pije. Jeśli jednak zdecyduje się pan teraz współpracować...

– To?

– Jeśli test alkoholowy okaże się pozytywny, czego można się spodziewać, zostanie pan zawieszony w obowiązkach. W związku z ostatnią akcją, w której zginęło dwoje dzieci. Fakt, że był pan pijany, pozostanie między nami. Będzie pan miał okazję zająć się swoimi problemami. W końcu. Mam taką nadzieję.

– A potem?

- Niczego nie mogę panu obiecać. Daję panu szansę.
 - Pozostanie między nami – powtórzył gorzko Caleb. – A jednak ktoś chętnie rozgłasza to wśród ludzi.
 - W tej kwestii nie mogę panu pomóc.
 - Rozumiem.
 - Zgadza się pan na badanie krwi?
 - Tak – odparł Caleb. Wyczerpany. Zrezygnowany.
 - W porządku. – Naczelnik odetchnął z ulgą. – A przy okazji, dochodzenie w sprawie White’a przejmuje inspektor Stewart. Poprowadzi także konferencję prasową, którą zaplanowaliśmy na jutro o dziesiątej rano. Proszę się tam nie pokazywać.
- Robert – pomyślał Caleb. Nie był zaskoczony. Za to głęboko zraniony. Robert Stewart. W końcu jest tam, gdzie zawsze chciał się znaleźć.

W sobotę lawina ruszyła. Prasa rozpętała prawdziwe piekło. Martwa matka. Dwoje martwych dzieci. Policja, wezwana na czas, stała *bezczylnie* na ulicy przed budynkiem. „Dlaczego nic nie zrobiliście?” – zapytywała „Yorkshire Post” na pierwszej stronie.

Poniżej zdjęcia ofiar: Yasmin White, młoda, delikatna kobieta o dużych ciemnych oczach i bardzo poważnej twarzy. Ava White, lat siedem. Sina White, lat sześć. Wesołe dziewczynki o brązowych lokach i ciemnych oczach.

„Czy musiały umrzeć, bo policja za długo zwlekała?” – pytano w komentarzu. Poruszono kwestię nieobecności policyjnego psychologa („Czy zdołałby powstrzymać zdesperowanego ojca przed tym strasznym czynem?”), by następnie dobrać się do skóry szefowi całej akcji, komisarzowi Calebowi Hale’owi: „Ma na rękach krew małych dziewczynek” – twierdzono, a dwa zdania później dopisano, że Hale był tak agresywny i mało taktowny w rozmowie z ojcem rodziny, że to on spowodował eskalację gniewu. Nigdzie nie wspomniano o alkoholu. Jeszcze nie. Caleb wiedział, że to się może w każdej chwili zmienić.

Caleb Hale i Robert Stewart nie spotkali się już w owo piątkowe popołudnie, każdy z nich był zajęty swoimi sprawami. Caleb głównie przyjmowaniem milczących wyrzutów i roztrząsaniem sypiącej się w proch kariery. Teraz jednak, w sobotni wieczór spędzany w pustym, cichym domu, miał wrażenie, że nie zniesie kolejnej godziny milczenia, jeżeli nie rozmówi się z Robertem Stewartem. Musiał się dowiedzieć, czy to on wbił mu właśnie nóż w plecy.

Zanim wyszedł, odsłuchał nagrania z automatycznej sekretarki. Po południu telefon dzwonił kilka razy, lecz nie podniósł słuchawki, bo po prostu nie miał ochoty z nikim rozmawiać o całej tej pokpionej sprawie. Rozległ się głos Kate Linville. „Witaj, Caleb.

Słyszałam i czytałam o wczorajszych zdarzeniach w Scarborough. Cóż, samobójstwo rozszerzone to raczej nie było, przecież facet ostatecznie się nie zabił. Mam nadzieję, że nie masz wielu kłopotów z tego powodu”. Pauza. „»The Yorkshire Post« nie pisze zbyt przychylnie. Jeśli chce pan porozmawiać, proszę do mnie zadzwonić w dowolnym momencie. Na komórkę. Spędzam upiorny weekend spa w Dales, prezent pożegnalny od kolegów z Yardu. Obawiam się, że nie przepadam za błotnymi okładami i tego typu rzeczami. Za to miałam bardzo ekscytującą podróż. Zapewne napiszą o niej w jutrzejszej gazecie”. Kolejna pauza. „A więc – dodała – do zobaczenia”.

Caleb znalazł jeszcze dwie wiadomości od byłej żony, ale nawet ich nie odsłuchał, tylko natychmiast skasował. Z pewnością przeczytała „Yorkshire Post” i chciała wiedzieć, czy podczas akcji był trzeźwy. To właśnie z powodu nałogu rzuciła go wiele lat wcześniej.

Caleb zastanawiał się przez chwilę, czy nie oddzwonić do Kate. Doszedł jednak do wniosku, że najpierw rozmówi się z Robertem Stewartem. Musiał to wyjaśnić.

Robert mieszkał w centrum miasta, w niewielkim lokum na trzecim piętrze domu stojącego przy spokojnej uliczce biegnącej równoległe do ruchliwej Victoria Road. Przyjechał akurat w tej samej chwili co Caleb, zaparkowali nawet tuż obok siebie na poboczu drogi. Wysiedli. Robert widocznie wracał z biura, gdyż mimo upału miał na sobie garnitur i krawat. W związku z wydarzeniami musiał zapewne porzucić myśl o spokojnym weekendzie. Przed południem poprowadził konferencję prasową. Popołudnie, jak przypuszczał Caleb, spędził na przesłuchaniu Jaydena White’a. Wyglądał na zmęczonego.

Przez chwilę się wydawało, że zamierza uciec, potem jednak ściągnął ramiona i podniósł głowę. Uniki na nic się zdadzą. Robert Stewart był gotów stawić czoła sytuacji.

– Inspektorze Stewart – zagadnął oficjalnie Caleb.

– Sir – odparł Robert.

Stali naprzeciw siebie w przedwieczornym blasku słońca. Pachniało ciepłym asfaltem i różami kwitnącymi w jednym z przydomowych ogródków. Dało się też wyczuć lekką woń soli i morza. Zapachy letniego wieczoru. Miastem wstrząsnęła tragedia, która znalazła się teraz na ustach wszystkich, ale wcale nie kładła się cieniem na tym łagodnym wieczornym nastroju.

– Dlaczego? – zapytał Caleb po kilku chwilach milczenia.

Robert wiedział, co ma na myśli.

– To już jest nie do zniesienia – odparł. A po chwili wahania dodał: – To *pan* stał się nie do zniesienia.

– Czy uważa pan, że byłem wczoraj pijany? I dlatego nie sprostąłem zadaniu?

– Wyczułem, że pan pił. I zauważyłem, że nie czuł się pan najlepiej. Oblewał się pan potem i desperacko rozglądał za jakimś zacienionym miejscem. Wyglądał pan tak, jakby ledwo trzymał się na nogach.

Trudno było temu zaprzeczyć. Caleb aż za dobrze pamiętał, jak mocno przygrzewało słońce. A do tego wrażenie, jakby język przykleił mu się do podniebienia. Złe samopoczucie dawało mu się we znaki – mimo to był w stu procentach przekonany, że sprawa nie potoczyłaby się inaczej, gdyby nie pił. Nawet na trzeźwo powziąłby te same decyzje.

– Nie czułem się dobrze, owszem. Ale proszę mi wytłumaczyć, w którym momencie popełniłem z *tego powodu* poważny błąd. Albo w ogóle jakikolwiek błąd.

– Nie popełnił pan żadnego błędu, sir.

– Ale...

– Żadne ale. Nie popełnił pan błędu. Nie czekał pan zbyt długo, słusznie zdecydował pan podjąć negocjacje przez telefon, zamiast w tak niejasnej sytuacji od razu przystąpić do szturmu. Fakt, że facet nagle się rozłączył, a potem całkiem znikował, jest oczywiście tragicznym zdarzeniem, ale nie dało się tego przewidzieć.

– Mimo to uznał pan za konieczne zameldować naczelnikowi, że byłem pijany. Tego właśnie nie potrafię zrozumieć.

Robert zerknął na czubki swoich nieskazitelnie wypolerowanych czarnych butów, po czym uniósł głowę, spojrzał na swojego szefa i wyrzucił z siebie:

– To jest nie do zniesienia. Dla mnie. Wciąż byłem tego świadkiem. Butelka w pańskim biurku. Picie w pośpiechu, ukradkiem. Woń wypełniająca całe pańskie biuro. I ten pański oddech. A ja musiałem robić dobrą minę do złej gry. Udawać, że to nic takiego. Wiedziałem o czymś, o czym powinienem był niezwłocznie zameldować. Nigdy to panu nie przeszkadzało. Że musiałem ukrywać coś, co wydawało mi się nie do zniesienia. Nigdy pan nie zapytał, jak się z tym czuję.

Caleb aż drgnął, słysząc gniewne słowa Roberta. Najgorsze było to, że nie mógł im zaprzeczyć. Nic z tego nie było zbyt absurdalne, przesadzone ani naciągane. On go... rozumiał.

– Nie mogłem... – zaczął, ale Robert mu przerwał.

– Oczywiście, że pan nie mógł. W ogóle nie było o tym mowy. Oficjalnie problem nie istniał. Niby jak miałyby pan ze mną o tym rozmawiać? To niepisana umowa: nic nie widzę, nie słyszę, nie czuję. Świetnie się pan ustawił.

Caleb nie użyłby takiego sformułowania. Przez cały czas znajdował się pod presją. Czuł się winny. Zdany na łaskę nałogu, a niekiedy głęboko zestresowany dążeniem do ukrycia przed otoczeniem własnego stanu. Teraz, gdy wreszcie mógł odpuścić – stało

się, jego szef o tym wiedział, został zawieszony, nie musiał dłużej udawać – zdał sobie sprawę, w jak ogromnym żył napięciu. Jak potworny przytłaczał go ciężar.

– Wczorajsze zdarzenia wstrząsnęły nami wszystkimi – ciągnął Robert. – Uzbrojony człowiek traci nerwy, strzela w mieszkaniu na oślep. Widocznie chce zakończyć swoje życie i zabrać ze sobą zupełnie bezbronną rodzinę. W końcu strzałem w głowę zabija własną żonę i dzieci. Przez wszystkie lata mojej służby tylko kilka spraw poruszyło mnie tak bardzo jak ta. Kiedy zobaczyłem te dwie martwe dziewczynki...

– Wiem – odparł Caleb.

Robert z wyrzutem wskazał na niego palcem.

– Tymczasem my stoimy na zewnątrz z pijanym dowódcą oddziału... Skąd mielibyśmy czerpać siłę do takich akcji, do podjęcia trudnych decyzji, do stawienia oporu wściekłości mediów, kiedy, jak wczoraj, nic się nie układa? O powodzeniu można mówić jedynie wtedy, gdy sami przynajmniej na służbie będziemy się zachowywać bez zarzutu. Jeśli sami nie będziemy musieli czynić sobie wyrzutów.

Caleb powoli skinął głową. Trudno było cokolwiek odpowiedzieć.

– Uważam – odezwał się w końcu – że byłoby fair, gdyby najpierw porozmawiał pan ze mną. Ostrzegł mnie. Umożliwił mi jakieś wyjście z sytuacji. Gdyby to wszystko, co mi pan teraz zarzuca, powiedział pan wczoraj. Potraktował to jako ostatnie ostrzeżenie. Zwyczajnie dał mi szansę.

Robert unikał jego wzroku.

– Przez cały ten czas – wyznał – przez lata igrałem z tą myślą. Ale nie miałem dość odwagi. Był pan moim przełożonym. Instancją, której nie odważyłem się tknąć.

– Cóż – powiedział Caleb. – To już przeszłość. Nie jestem już pańskim przełożonym. Zobaczymy, kto teraz będzie kierował wydziałem. Może nawet to pan dostanie tę posadę!

Robert Stewart niezdarnie usiłował przybrać obojętną minę. Caleb się domyślił.

– Rozumiem. Ma pan już tę posadę. A więc się opłaciło. Jest pan pewien, że myśl o awansie nie odegrała swojej roli, gdy postanowił pan przywrócić morale oddziału i pozbyć się gorszącego elementu, czyli mnie?

Robert chciał odpowiedzieć, ale Caleb nie dał mu szansy. Wsiadł do samochodu, przekręcił kluczyk w stacyjce, rozruszał silnik. Chyba nie był do końca sprawiedliwy.

Musiał jednak zaczerpnąć powietrza.

Może robię się trochę dziwny. Od dawna się tego obawiam. W styczniu skończyłem sześćdziesiąt pięć lat, od dwunastu mieszkam sam. Pół roku temu rzuciłem pracę doradcy podatkowego. Po prostu nie miałem już na to ochoty, osiągnąłem wiek, w którym inni też rezygnują. Finansowo jakoś sobie radzę. Bez żadnych fajerwerków, choć to i tak nie w moim stylu.

Nie sądziłem, że bez pracy stanę się jeszcze bardziej samotny.

Brakuje mi przyjaciół oraz jakiegoś hobby. To zabawne, że nie udało mi się ani pozyskać sympatii ludzi, ani stworzyć czegoś, co teraz dawałoby mi jakieś oparcie. Czy zawsze taki byłem? Tak mało towarzyski? Tak niezaradny?

Na pewno nie w młodości. To przez tę historię, tę straszną historię. Zszedłem na manowce. Ani ja, ani moje życie nie wróciliśmy już na właściwą ścieżkę.

Jestem sześćdziesięcioletnim, bardzo samotnym mężczyzną. Kiedy zbyt długo rozmyślam o bilansie swojego życia, popadam w melancholię. Najlepiej odwrócić wtedy uwagę. Tylko jak? Wstaję rano, jem śniadanie, ale po umyciu naczyń i posprzątaniu kuchni zastanawiam się, po co właściwie zwlokłem się z łóżka.

Przede mną rozciąga się bezkresny dzień. Jak wieczność.

Jedyną osobą, którą regularnie widuję, jest moja sprzątaczką. Isla. Przychodzi w każdy wtorek i pucuje całe mieszkanie do połysku. Jest tępa, ale za to miła. Tak naprawdę wcale nie potrzebuję sprzątaczkę, mam wystarczająco dużo czasu, aby samemu utrzymać mieszkanie w czystości. Jeśli jednak zwolnię Islę, nikt już do mnie nie przyjdzie, a to będzie jeszcze straszniejsze.

Do czego to doszło: niecierpliwie wypatruję przybycia sprzątaczkę.

Od dwunastu lat jestem rozwiedziony. Moje małżeństwo z Alice nie przetrwało tragedii, która nas spotkała. Często się mówi, że przeciwności losu cementują związki. Jesteśmy przykładem tego, że nie zawsze jest to prawdą. Żal, poczucie winy, wyrzuty... wszystko to stopniowo nas zżerało, każde z osobna. I uśmierciło naszą miłość. Po rozwodzie Alice nigdy więcej się nie pojawiła ani nie odezwała. Dalecy krewni opowiadali mi, że ponoć słyszeli, jakoby Alice zamieszkała z pewną kobietą w Kornwalii. Czy były parą, czy jedynie przyjaciółkami – nikt tego nie wie. Czyżby małżeństwo ze mną okazało się dla Alice na tyle trudne, że całkowicie odwróciła się od mężczyzn? Nie mam pojęcia.

Wydaje mi się, że stałem się okropnie płaczliwy. Sądzę, że życie nie obeszło się ze mną łagodnie. Może jeszcze przed czterdziestką. Ale potem wszystko wymknęło się spod kontroli i nigdy nie odmieniło się na lepsze.

Jest coś jeszcze. Coś, co mnie bardzo niepokoi. To trwa od jakichś trzech tygodni. Czuję, że ktoś mnie obserwuje. Kilkakrotnie, gdy wyjrzałem przez kuchenne okno wychodzące na ulicę, spostrzegłem mężczyznę stojącego po drugiej stronie jezdni. Nic tam nie ma,

żadnego przystanku autobusowego, postoju taksówek, czegokolwiek. Z początku myślałem, że na kogoś czeka. Potem jednak zauważyłem, że obserwuje mój dom. Nie patrzył to w górę, to w dół ulicy, jak wówczas, gdy się na kogoś czeka. Nie, on gapił się na dom.

Następnego dnia znów go ujrzałem. Przez dwa kolejne dni się nie pojawił, a ja śmiałem się z siebie i z własnych obaw. Lecz następnego dnia wrócił. I kolejnego, i następnego. I znowu zniknął, tym razem jednak nie mogłem odetchnąć z ulgą. Ponownie się pojawił. Stał i się gapił.

Zastanawiałem się, czy nie wyjść i go nie zagadnąć, ale zarzuciłem ten pomysł. I co miałbym mu powiedzieć? „Czemu pan tu stoi? Czemu pan patrzy na mój dom?” Bałem się, że zrobię z siebie głupca. Nie robił nic złego. Przecież można sobie stać i patrzeć. To nie jest zakazane.

Zostałem więc w domu. Obserwowałem go przez kuchenne zasłony. Nigdy wcześniej nie widziałem tego człowieka na oczy, a z tej odległości nie mogłem mu się lepiej przyjrzeć. Tak czy owak, jego fizjonomia, czarne włosy, wzrost, szerokie ramiona nie budziły w mojej pamięci żadnych skojarzeń.

Czego on chce?

Zapewne istnieje zupełnie niewinne wytłumaczenie.

Porozmawiam z Islą, gdy zjawi się we wtorek. Może jej przyjdzie coś do głowy. Jak już wspomniałem, Isla jest nieco tępa, ale twardo stąpa po ziemi. Zawsze zachowuje spokój.

Ale nie wie wszystkiego o moim życiu. I całe szczęście. W przeciwnym razie pewnie nie chciałaby dłużej u mnie pracować. To jednak nie pozwala jej właściwie ocenić, czy ten człowiek... czy ma on coś wspólnego z ówczesnymi wydarzeniami. I właśnie dlatego będzie miała na mnie kojący wpływ. Cóż za paradoks. Jedno wielkie samooszukiwanie się. Uspokaja mnie ktoś, kto nie zna faktów. Kto nie potrafiłby tego zrobić, gdyby je znał.

Taki już jestem. Obracam rzeczy dopóty, dopóki nie będą pasować. Przynajmniej z pozoru. Oto prawdziwa przyczyna wszystkich tragedii w moim życiu.

Poniedziałek, 22 lipca

Najpiękniejsze latem były świetliste poranki. Oraz długie wakacje.

Sophia Lewis od wczesnego dzieciństwa była rannym ptaszkiem, a zimowy zmrok traktowała wyłącznie jak ciężar tłumiący jej zapał. O szóstej rano, jak zawsze w ciepłej porze roku, wsiadła na rower. Nie wyobrażała sobie lepszego początku dnia. Przejechać spory dystans, odetchnąć świeżym powietrzem, porządnie rozruszać ciało – a potem powrót do domu, gorący, orzeźwiający prysznic, duży kubek kawy. Oto istota udanego życia.

Sophia miała trzydzieści jeden lat, była bardzo szczupła i sprawna, lubiła się ruszać. Sport stanowił dla niej eliksir życia. Uczyła matematyki i fizyki w Graham School w Scarborough. Była lubiana przez uczniów i mimo młodego wieku bardzo ceniona wśród kolegów.

Wsiadając na rower w ten uroczy poranek, zapowiadający kolejny upalny dzień, nagle pomyślała żarliwie: To jest piękne. Moje życie jest piękne.

Wioska Stainton Dale składała się z rozproszonych zagród położonych na płaskowyżu nad morzem. Pomiedzy nimi rozciągały się łąki, rozdzielone płotami, żywopłotami i kamiennymi murkami. Niewielkie zagajniki, wąskie ścieżki, szemrzące strumyki. Miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Dla Sophii to istny raj.

Centrum wsi, jeśli o jakimś centrum w ogóle można mówić, stanowił skromny urząd pocztowy przy Prior Wath Road, tuż za rogiem obok kościoła. Można tam było kupić znaczki, bilety autobusowe oraz niektóre artykuły spożywcze. W pobliżu stała czerwona budka telefoniczna, będąca również nieoznakowanym przystankiem autobusowym. Sophia mieszkała w niewielkiej odległości od centrum wioski, w górę Prior Wath Road. Za jej ogrodem pełnym kwiatów i jabłoni ciągnęły się łąki i pola.

Zjechała na rowerze w dół głównej ulicy, minęła pocztę, po czym skręciła w wiejską drogę. Samochody pojawiały się tu bardzo rzadko, o tej porze dnia oraz w czasie wakacji nie przejeżdżał tędy ani jeden. Sophia mocno nacisnęła na pedały. Nad ziemią wciąż unosiło się świeże, chłodne powietrze znad morza. Sophia miała na sobie tylko T-shirt oraz obcisłe czarne spodenki rowerowe, z początku trochę zmarzła, ale nic nie szkodzi. Wiedziała, że szybko się rozgrzeje.

Po kilku minutach zjechała z drogi i skręciła w prawo w szeroki polny trakt. Był usiany żwirowymi kamykami, rower turkotał i podskakiwał na wybojach. Minęła gospodarstwo położone w niewielkiej dolinie. Na dworze stał rolnik, w zamyśleniu obserwował kurczęta dziobiące w trawie u jego stóp.

– Dzień dobry, pani Lewis! – zawołał i pomachał. – Znów punktualna co do minuty!

– Typowa nauczycielka! – odkrzyknęła Sophia i pomachała na powitanie. Znała ją większość miejscowych. Choć wychowała się na przedmieściach Birmingham, a studiowała w Manchesterze, gdzie z początku uczyła w tamtejszej szkole, przyjęto ją z otwartymi ramionami, kiedy rok wcześniej przeprowadziła się do tej położonej na odludziu wioski. Mieszkańcy ją polubili. I podziwiali jej kondycję.

– Ona nieustannie jest w ruchu! – mawiali.

Rzeczywiście tak było.

Sophia zagłębiła się w leśny zagajnik. Biegła tędy bardzo wąska ścieżka, niewielki jej odcinek prowadził dość stromo pod górę. Po wysiłku czekała jednak nagroda, gdyż ze szczytu zjeżdżało się równie stromo w dół. Następnie las się przerzedzał, ścieżka przecinała łąkę, z której roztaczał się widok na morze. Ten fragment drogi Sophia lubiła najbardziej.

Pedałując pod górę, porządnie się zgrzała, wysiłek spowodował przyjemne napięcie mięśni nóg. Lubiała to. Ostatni odcinek pokonała, stając w korbach, teraz musiała dać z siebie wszystko. Dodatkową trudność sprawiały nierówności terenu, na asfaltowej drodze byłoby znacznie łatwiej. W końcu jednak wdrapała się na szczyt wzniesienia, miała teraz przed sobą ostry zjazd w dół zbocza. A wokół siebie drzewa i błogi spokój wczesnego letniego poranka. Świergotało kilka ptaków, w oddali usłyszała stukot dzięcioła. Poza tym wszędzie panowała cisza. Ogarnęło ją uczucie, jakby prócz zwierząt była na tym świecie sama.

Jeszcze raz mocno nacisnęła na pedały, pochyliła się nieco do przodu i ruszyła w dół.

Droga była najeżona korzeniami i kamieniami, ale Sophia dobrze ją znała, znała każdy występ, każdą przeszkodę. Mogła sobie pozwolić na zjazd z taką prędkością po dość stromym zboczu. W mniej znanym terenie nie odważyłaby się na takie ryzyko, lecz tutaj bez reszty poddała się szaleństwu prędkości.

Było cudownie. Naprawdę cudownie.

Przez ułamek sekundy, tuż przed upadkiem, ujrzała drut rozciągnięty w poprzek drogi. Cienki, ale widoczny. Przez gęste wierzchołki drzew padały wczesne promienie słońca, w których połyskiwał srebrnym blaskiem.

Za późno. Nie zdołała zareagować. Nie zdążyła wyhamować. Zwłaszcza przy takiej prędkości.

Sophia fiknęła kozła. Widziała szybko przemykające jej przed oczami drzewa, fragmenty błękitnego nieba, słońce, leśną ścieżkę, paprocie. Zrobiła salto, przemknęło jej przez myśl, że należało włożyć kask. Potem upadła na ścieżkę. Poczowała

krótkotrwały ból, znacznie mniej przykry, niż się spodziewała, tak naprawdę łagodny, niegroźny... Potem zapadła ciemność i było po wszystkim.

Wystrzału już nie słyszała.

Wtorek, 23 lipca

1

Jeszcze trzy dni do przeprowadzki. W piątek przyjedzie ciężarówka. Kate rozejrzała się po mieszkaniu. Weekend w hotelu wellness, jakkolwiek w zamyśle jej kolegów pożyteczny, oznaczał spore zamieszanie w jej planach. Co prawda już od roku porządkowała i segregowała rzeczy, wiele z nich wyrzuciła i spakowała, niemniej to właśnie ostatnią sobotę i niedzielę przeznaczyła na wielką kampanię, a tymczasem spędziła je w pociągu zmierzającym do Leeds, pod ostrzałem jakiegoś szaleńca, oraz na niekończących się rozmowach z funkcjonariuszami policji North Yorkshire. Ukoronowaniem weekendu było poddanie się błotnym zabiegom, z jakąś maską na twarzy. Myślała, że oszaleje. W końcu odmówiła uczestnictwa w kolejnych sesjach wchodzących w skład pakietu, będącego częścią pożegnalnego prezentu – istniały jakieś granice. Usiadła z Colinem na ławce w przyhotelowym parku i wyciągnęła wygodnie ranną nogę. Colin mówił wyłącznie o przeżyciach w pociągu, snując przy tym niestworzone teorie. To jednak było całkiem znośne, ponieważ także Kate wciąż o tym rozmyślała.

– Powinniśmy rozwiązać tę sprawę na własną rękę – rzekł w końcu Colin, który uważał się za utalentowanego detektywa. Ale Kate potrząsnęła głową.

– To jest sprawa dla oficerów śledczych z Yorku. Poradzą sobie bez naszej pomocy.

Po powrocie do domu przez cały poniedziałek pakowała pudła od rana do wieczora, a dziś, we wtorek, wstała skoro świt, by kontynuować pracę. Szło jej całkiem nieźle, choć do piątku miała jeszcze sporo do zrobienia. Kotka Messy siedziała na pustym regale i spoglądała urażona. Nie podobało jej się to, co Kate zrobiła z ich mieszkaniem.

– Znasz przecież dom w Scarborough – powiedziała do niej Kate. – Podobało ci się tam. Będziemy mieć dużo więcej miejsca. I zaczniemy wszystko od nowa.

Messy cicho zamiauczała i zaczęła czyścić sobie łapy.

Powrót do domu rodziców, do domu własnego dzieciństwa. Pięć lat wcześniej Kate odziedziczyła ten niewielki dom w dzielnicy Scalby i od tego czasu wciąż nosiła się z zamiarem jego sprzedaży. Ostatecznie jednak nie zdecydowała się na ten krok. Wynajęła go pewnej rodzinie, która ukradkiem zniknęła, pozostawiając po sobie całkowicie zdewastowane wnętrze. W środku tego zamętu siedziała mała czarna kotka

i wpatrywała się w Kate zrozpaczonym wzrokiem. Kate ją przygarnęła, od tej pory były nierozłączne.

Zadzwoił telefon. Kate, która właśnie klęczała przed pudłem, wstała i głośno syknęła z bólu. Rana na nodze ciągle jej dokuczała.

Przez chwilę miała nadzieję, że dzwoni Caleb Hale, jej nowy szef. Zostawiła mu kilka wiadomości w poczcie głosowej, ale nie oddzwaniał. Na wyświetlaczu ujrzała nieznany numer.

– Kate Linville – odebrała.

– Ach, sierżant Linville. Mówi detektyw Jenkins z policji North Yorkshire. Z pewnością pamięta pani...

– Oczywiście, sierżancie. Co się dzieje? – Kate miała nadzieję, że nie pojawiły się żadne nowe okoliczności, w które zostałaby wciągnięta. Po prostu nie miała teraz czasu.

Jenkins westchnął.

– Cała ta sprawa staje się coraz bardziej zagmatwana. Słyszała pani o wczorajszej napaści na młodą kobietę w Stainton Dale niedaleko Scarborough?

– Nie. – Była tak zajęta pakowaniem, że przegapiłaby nawet wybuch wojny. – W Stainton Dale, powiada pan? – Znała tę okolicę jak własną kieszeń. Stainton Dale to była istna idylla. Napaść?

– Miejskowa nauczycielka... Codziennie rano pokonywała na rowerze stałą trasę. W poprzek leśnej ścieżki prowadzącej w dół zbrocza, którą zapewne zjeżdżała z dużą prędkością, przeciągnięto cienki drut.

– Dobry Boże!

– Fatalnie upadła. Leży teraz w szpitalu. Żyje, ale nie reaguje. Przerwanie rdzenia kręgowego. Może to oznaczać porażenie poprzeczne, ale lekarze wciąż nie chcą się wypowiadać w tej sprawie.

– To straszne. Czy mogli to być jej uczniowie? Mówi pan, że jest nauczycielką? Czasami uczniowie robią niesamowicie głupie rzeczy.

– To jest kierunek, którym podążyłbym w normalnej sytuacji. Ale sprawa jest bardziej skomplikowana. Pewien rolnik, który pracował w swoim gospodarstwie i kilka minut wcześniej widział przejeżdżającą na rowerze nauczycielkę, nagle usłyszał wystrzał. Zaniepokojony pobiegł drogą, którą stale jeździła. Znalazł ją wkrótce po wypadku. To pewnie uratowało jej życie. Mogłaby tam leżeć przez długi czas, zanim ktokolwiek by się zjawił.

– Czy rzeczywiście do niej strzelano? Pomijając fakt, że zastawiono tę pułapkę z drutu.

– Nie ma rany postrzałowej. Ale koledzy ze Scarborough znaleźli kulę. W pniu drzewa, niedaleko jej głowy. Ktokolwiek strzelał, kiepsko celował. Dziwne, bo przecież mógł przyłożyć broń do jej skroni, leżała zupełnie bezradna. Ale naprawdę irytujące jest to... i dlatego nas wezwano... – Umilkł na chwilę.

– Tak?

– Szybko ustalono, że była to broń tego samego kalibru i producenta co pistolet, z którego strzelano w pociągu do Kseni Paget i do pani. Badanie pod mikroskopem nie pozostawia wątpliwości: do młodej kobiety ze Stainton Dale strzelano z tej samej broni, z którą mieliśmy do czynienia w sobotę na stacji w Yorku.

– Nie do wiary!

– Niestety tak.

– A zatem musi istnieć związek między Ksenią Paget i tą...

– Sophią Lewis.

– Tak. Czy coś macie?

Jenkins ponownie westchnął.

– Na prośbę wydziału śledczego w Scarborough rozmawiałem już z Ksenią Paget. Nigdy nie słyszała tego nazwiska. Nie zna nikogo ze Scarborough, żadnej nauczycielki. To samo twierdzi jej mąż.

– A co z przyjaciółmi i kolegami Sophii Lewis? Czy oni znają Ksenię?

– Zajmują się tym funkcjonariusze w Scarborough. Nie mam jeszcze raportu. W każdym razie te dwie sprawy są ze sobą powiązane. Tu musi chodzić o tego samego zabójcę. Powiedziała pani, że z początkiem sierpnia zaczyna pani pracę w wydziale w Scarborough – ciągnął Jenkins, gdy Kate wciąż się zastanawiała. – Potwierdził to inspektor Stewart, który prowadzi sprawę. Zasugerowałem mu, żeby pani...

– Chwileczkę – przerwała mu Kate. – Dochodzenie prowadzi inspektor Stewart? Nie komisarz Caleb Hale?

Jenkins się zawahał.

– Pani jeszcze nie wie?

– O czym?

– Komisarz Hale został tymczasowo zawieszony.

– Dlaczego? Z powodu tej sprawy z rodziną?

– Oficjalnie, owszem. Ale nie sądzę, że wyłącznie z tego powodu. Krążą pogłoski, że...

– O czym? Jakże znowu pogłoski?

Jenkins westchnął po raz trzeci.

– Hale był podobno pijany, kiedy stał przed budynkiem i rozmawiał z tym facetem. To dlatego chyba może zapomnieć o dalszej karierze.

Jeszcze godzinę po zakończeniu rozmowy z Jenkinsem wciąż czuła się jak uderzona obuchem w głowę. Siedziała wśród pudeł i gapiła się na ściany, na szare czworokąty znaczące miejsca, w których dotąd wisiały obrazy.

Caleb Hale.

Był bodaj jedynym policjantem, który uważał ją za genialną śledczą, który dostrzegał jej potencjał, mimo że nie potrafiła pochwalić się przed światem własnymi sukcesami i zaprezentować się jako mądra, pewna siebie policjantka. Kate przez całe życie potykała się o własne nogi z powodu swojej powściągliwości, nieśmiałości, nieufności. Pracując w Scotland Yardzie, odegrała decydującą rolę w rozwikłaniu wielu zagmatwanych przypadków, ale końcowy sukces zawsze przypisywano ostatecznie jej kolegom, ponieważ Kate tak bardzo się wycofywała, że nikt nie zdawał sobie sprawy, jak duży miała w nim udział. Kiedy pewnego razu usłyszała od przełożonego słowa pochwały, tak zajadle się przed tym broniała, że nawet jej szef doszedł w końcu do przekonania, że pomylił się w swojej ocenie. Nie uważano jej za złą policjantkę. Po prostu nie zastanawiano się nad tym, kim naprawdę jest i gdzie kryją się jej mocne strony. Była jak niewidzialna.

Tylko nie dla Caleba. Zupełnie przez przypadek została wplątana w dwa prowadzone przez niego dochodzenia, obie sprawy rozwiązała za jego plecami, zawsze podążając właściwym tropem, podczas gdy on opierał się na fałszywych założeniach i błądził po omacku. Większość przełożonych do końca życia wolałaby Kate unikać. Ale nie Caleb Hale. Wręcz przeciwnie. Nie spoczął, dopóki nie zgodziła się ubiegać o posadę w jego wydziale śledczym w Scarborough.

– Potrzebuję pierwszorzędných współpracowników – powiedział w trakcie jednej z rozmów. – A pani taka właśnie jest, Kate.

Dokonała w swoim życiu całkowitego zwrotu, nie mogąc się doczekać współpracy z Calebem Hale'em – a tu masz! Został zawieszony. Z powodu alkoholizmu. Wątpliwe, czy kiedykolwiek znów będzie mógł pracować.

Wiedziała, że po terapii odwykowej sprzed pięciu lat już dawno powrócił do nałogu. Zapominając o rozsądku, zawsze miała cichą nadzieję, że nikt poza nią tego nie zauważy. Teraz zdała sobie sprawę, jak idiotyczne było to przekonanie: nie widywała go zbyt często, a jednak o tym wiedziała. Tymczasem otaczało go mnóstwo ludzi, którzy każdego dnia z nim współpracowali. Przede wszystkim Robert Stewart.

To on zostanie teraz jej nowym szefem. Zamiast Caleba. Kate usiłowała go sobie przypomnieć. Miała z nim tak rzadko do czynienia, że ledwie mogła go opisać. Nie był wobec niej niesympatyczny, lecz tak naprawdę nie znała go na tyle dobrze, by móc ocenić, jak będzie się układać ich współpraca.

Jenkins bądź co bądź powiedział, że inspektor Stewart już teraz chce ją zaangażować w dochodzenie, skoro począwszy od sierpnia i tak będzie się zajmować tą sprawą.

– Jako że nadal przebywa pani w Londynie – stwierdził – inspektor Stewart i ja pomyśleliśmy, że może złożyłaby pani wizytę tej byłej sąsiadce Kseni Paget. Kobiecie, do której pojechała w ubiegłym tygodniu w odwiedziny. Potrzebujemy więcej informacji o pani Paget. Być może w jej rosyjskiej przeszłości kryje się coś, co przed nami przemilczała, z czego jednak zwierzyła się swojej przyjaciółce. A może zauważyła coś niezwykłego podczas jej wizyty. Kogoś kręcącego się w pobliżu, kto wydał jej się dziwny. Jeszcze dziś wysłałbym do niej funkcjonariusza, ale skoro czeka nas wspólne dochodzenie w Scarborough, skoro zaczyna pani pracę w następnym tygodniu, wciąż przebywa pani w Londynie, a do tego zna wydarzenia z pociągu niejako od podszewki... idealnie się pani do tego nadaje.

Kate zdała sobie sprawę, że miał rację. Mogłaby odmówić, nie była przecież na służbie, a do tego czekała ją przeprowadzka, nie byłby to jednak dobry początek współpracy z mało jej znanym inspektorem Stewartem. Pierwsze wrażenie decyduje czasem o dalszym rozwoju stosunków między dwojgiem ludzi.

Cicho westchnęła.

– Gdzie mieszka ta kobieta?

– Maja Price mieszka w Southend-on-Sea.

– Ach tak, racja. To nie Londyn, to dość daleko w kierunku ujścia Tamizy.

– Ale nadal bliżej stamtąd do pani niż do Yorku.

– W piątek się przeprowadzam. Siedzę tu pośrodku chaosu i mam jeszcze tysiąc rzeczy do zrobienia.

– Bardzo by nam pani pomogła – wyjaśnił Jenkins. W jego głosie nie pobrzmiwała ani odrobina zrozumienia dla jej sytuacji.

Ostatecznie się zgodziła. Potem jednak zbyt długo siedziała i gapiała się w ścianę. Dwukrotnie próbowała skontaktować się z Calebem, ale tak jak w poprzednich dniach wciąż włączała się poczta głosowa.

W końcu wstała rozzłoszczona, weszła do sypialni, zdjęła poplamiony dres do joggingu, włożyła dżinsy i T-shirt oraz trampki. Prowadząc śledztwo, zazwyczaj ubierała się bardziej stosownie, ale niemal wszystkie rzeczy już spakowała, pod ręką były tylko dżinsy, dwa podkoszulki i sweter. Bądź co bądź nie miała wpływu na rozwój sytuacji.

Wyszła z mieszkania, kulejąc.

Maja Price mieszkała w schludnym bliźniaku w Southend-on-Sea, przy biegnącej w pobliżu rzeki ulicy, wzdłuż której stało kilka identycznych domów. W ogrodach kwitły kwiaty, w liściach drzew szemrał lekki podmuch wiatru. Idylliczne miejsce, czterdzieści minut jazdy od Londynu. Większość tutejszych mieszkańców prawdopodobnie pracowała w stolicy, wychowywała tu jednak dzieci i cieszyła się zielenią, spokojniejszym rytmem życia, wieloma malowniczymi pubami nad brzegiem Tamizy oraz bliskością plaż wzdłuż wybrzeża Essexu.

Kate przyjechała samochodem, zaparkowała przed domem i wysiadła. Upał, który tak mocno dokuczał w Londynie, sprawiając, że każdy ruch stawał się męczarnią, tutaj był dużo znośniejszy. Wciąż powiewał wiatr, a w powietrzu unosiła się woń morskiej soli.

Kate co prawda oddała swoją legitymację Scotland Yardu, ale otrzymała już nową z wydziału śledczego w Scarborough, dzięki czemu mogła się wylegitymować. Zadzwoniła do drzwi. Miała cichą nadzieję, że nie zastanie Mai Price w domu. Mogłaby wtedy wrócić do siebie i zająć się pakowaniem, a mimo to okazałaby dobre chęci.

Po minucie drzwi się jednak otworzyły, w progu pojawiła się młoda kobieta. Trzymała na rękach dziecko i wyglądała na wyczerpaną.

– Tak?

Kate pokazała legitymację.

– Inspektor Kate Linville, policja North Yorkshire, wydział śledczy w Scarborough. Mogę zająć pani chwilę?

– Policja North Yorkshire? Czy to z powodu tej historii w pociągu do Yorku? Ksenia mi wszystko opowiedziała. To straszne!

– Mogę wejść?

– Tak, proszę... – Maja zrobiła krok do tyłu. – Położę tylko syna do łóżka. Proszę wejść do salonu. Zaraz wrócę.

Salon znajdował się w tylnej części domu, roztaczał się z niego widok na ogród, nie tak wypielęgnowany jak ogrody z prawej i lewej. Trawa była za wysoka, grządki pełne chwastów, tu i ówdzie widniał rozsypany piasek z urządzonej pośrodku trawnika piaskownicy. Na tarasie stało w nieładzie kilka ogrodowych krzeseł, między nimi stół z przyklejonymi do niego świecami oraz stosem foremek do piasku. Również salon wydawał się niewysprzątany: we wszystkich kątach poniewierały się dziecięce zabawki, na kanapie leżały pogniecione poduszki i koce, a na stole stała butelka z mlekiem i miseczka kaszki marchewkowej. Telewizor był włączony. Teledakupy, reklamujące akurat biżuterię.

Maja weszła do pokoju. Wyglądała na bardzo zmęczoną, co ponownie zauważyła Kate. Nastroszone włosy, perlący się na czole pot.

– Troje dzieci – wyjaśniła. – Dwoje jest w przedszkolu, mały wciąż ze mną. Ma ledwie osiem miesięcy. – Wyłączyła telewizor, trochę się zarumieniła. – Nie chce jeść. Kiedy tu siedzę całymi godzinami, próbując go nakarmić, muszę coś obejrzeć w telewizji, bo zwariuję.

– To zupełnie zrozumiałe – zapewniła Kate. Przeciążenie pracą było w przypadku Mai aż nadto widoczne. W każdym kącie pokoju i ogrodu.

Maja uprzątnęła z krzeseł kilka par śpiochów oraz klocki.

– Proszę usiąść. Straszna ta historia z Ksenią. Chryste, ależ musiała się bać. – Spojrzała na Kate. – To pani jest tą policjantką, która zabarykadowała się z nią w toalecie?

– Tak, to ja.

– O Boże. Dla pani to także musiał być koszmar, prawda? Ksenia mówiła, że została pani postrzelona w nogę. Jako policjantka pewnie pani do tego przywykła, ale...

– No cóż, nie każdego dnia do mnie strzelają – odparła Kate. – To było straszne.

Kobiety siedziały naprzeciw siebie przy stole. Maja położyła przed sobą słuchawkę elektronicznej niani.

– Mam nadzieję, że przez jakiś czas będzie spokój. Mając dziecko, człowiek jest... uwiązany. – Miała ciemne worki pod oczami. Kate domyśliła się, że mało sypia.

– Pani Price, Ksenia Paget była u pani z wizytą w dniach bezpośrednio poprzedzających to zdarzenie. Czy mogłaby pani spróbować sobie przypomnieć... czy zauważyła pani coś niezwykłego? Coś, na co być może nie zwróciła pani uwagi. Osobę, którą zadziwiająco często pani spotkała. A może miała pani wrażenie, jakby ktoś panią obserwował? Cokolwiek.

Maja wysilała pamięć.

– Przepraszam – odparła w końcu – ale nic nie zauważyłam. Niewiele też robiłyśmy. To trudne, gdy się ma takie maleństwo. Kilka razy poszłyśmy z nim na spacer brzegiem rzeki. Ale przez większość czasu przebywałyśmy w domu. Pogoda była wspaniała, dużo przesiadywałyśmy na tarasie. Gotowałyśmy razem. I rozmawiałyśmy.

– A pani mąż przy tym nie było?

– Mój mąż prowadzi praktykę w zakresie osteopatii, tutaj, w Southend. Ale w zeszłym tygodniu pojechał na kilka dni na szkolenie do Brighton. To dlatego zadzwoniłam do Kseni i poprosiłam ją, żeby przyjechała. Mój mąż lubi Ksenię, to nie stanowi problemu, ale same mogłyśmy robić, co tylko chcemy.

– Dlaczego, jeśli mogę zapytać, przeprowadziła się pani z Leeds?

– Ponieważ mój mąż otrzymał propozycję objęcia tej praktyki. W Leeds był zwykłym pracownikiem, tutaj jest swoim własnym szefem.

– Rozumiem. Jak długo mieszkała pani w sąsiedztwie Kseni i Jacoba Pagetów?

Maja się zamyśliła.

– Sąsiadką Kseni byłam... jedenaście lat. Jacoba trochę dłużej. Ona zjawiała się później.

– Poznali się przez serwis randkowy?

– Tak. Nie jest tajemnicą, że Jacob miał problemy z kobietami, więc wpadł na pomysł, by wziąć sobie żonę ze Wschodu. „Potrafią się odwdziaczyć”, mawiał. – Ostatnie zdanie Maja wymówiła z nieskrywanym obrzydzeniem w głosie.

Kate podjęła temat.

– Zabrzmiało to tak, jakby nieszczególnie lubiła pani Jacoba Pageta.

– Żałuję, że nie widuję Kseni na co dzień. Ale za Jacobem nie płakałam. Ani trochę! – pospieszyła z zapewnieniem Maja.

– Czemu go pani nie lubi? I co miała pani na myśli, mówiąc, że miał problemy z kobietami?

– Jest pedantem, okropnym sknerą i zrzędą. Wszędzie szuka tylko powodu do kłótni. Ciągłe donosi na ludzi, którzy zbyt głośno się zachowują albo nie przestrzegają zasad. Do nikogo się nie odzywa. Jest żądny władzy, kapryśny i wredny. Uwielbia ranić innych swoimi krytycznymi uwagami. – Maja umilkła. – Oto cały Jacob Paget. W skrócie.

– To nie brzmi dobrze – odparła Kate. – Zgaduję, że w tym właśnie kryje się też odpowiedź na pytanie, dlaczego nie dogaduje się z kobietami.

– Miał kilka przelotnych znajomości, ale żadna kobieta nie zdołała z nim wytrzymać dłużej niż kilka dni. Wszystkie czym prędzej uciekły.

– Ale Ksenia jest z nim od trzynastu lat.

– Co miała począć? Był jej jedyną szansą na wydostanie się z biednych i dość beznadziejnych warunków życia w Rosji. Tylko dzięki małżeństwu mogła się ubiegać o brytyjskie obywatelstwo. W zamian musiała z nim mieszkać przez dłuższy czas.

– To zrozumiałe – przyznała Kate – ale jest już obywatelką brytyjską. Może się z nim rozwieść.

Maja wzruszyła ramionami.

– Nie uwierz pani, ile razy z nią o tym rozmawiałam. Ale jakoś...

– Tak?

– Zawsze odnoszę wrażenie, jakby ona się czegoś bała.

– Boi się jego?

– Bardziej tego, co on mógłby zrobić, gdyby odeszła. Jak powiedziałam, jest niezwykle dominujący. Traktuje Ksenię jak swoją własność. Ona tak naprawdę nie może nic zrobić bez jego zgody. Myślę, że dostałby szału, gdyby nagle wystąpiła o rozwód.

– Hm – mruknęła Kate. Jej przeczucia wyniesione z rozmowy na stacji w Yorku okazały się w pełni uzasadnione: Ksenia była przez męża zastraszona.

Koniecznymu musimy z nim porozmawiać, zanotowała w myślach. Możliwe, że Ksenia rzeczywiście nosiła się z zamiarem porzucenia męża, ale jemu wcale by się to nie spodobało. Co prawda przypuszczenie, że nasłał na nią płatnego zabójcę, brzmiało dość niewiarygodnie, lecz z drugiej strony czegoś to Kate nie doświadczyła podczas swojej kariery w wydziale zabójstw.

– A jednak Ksenia *mogła* przyjechać do pani na kilka dni w odwiedzinach – zauważyła. Maja się roześmiała.

– Ale nawet z tego powodu zrobił jej wielką awanturę. Przynajmniej pięć razy w ciągu minionych tygodni odwoływał jej wizytę. Ksenia go błagała, dokładała wszelkich starań, aż wreszcie, choć niechętnie, się zgodził. Szczerze mówiąc, aż do dnia poprzedzającego jej przyjazd nie byłam pewna, czy to naprawdę się uda.

– Czy w sobotę z rana odprowadziła pani Ksenię na stację?

– Nie. Mały darł się wniebogłose. Ksenia uznała, że powinnam zostać w domu. Pojechała stąd pociągiem do Londynu, a na King's Cross przesiadła się do pociągu do Yorku.

Tym sposobem Maja nie mogła zauważyć na stacji nic niezwykłego.

– Czy imię i nazwisko Sophia Lewis coś pani mówi? – zapytała.

– Sophia Lewis? Nie. Nigdy o niej nie słyszałam. Kim ona jest?

– Uczy w szkole w Scarborough i tam też mieszka. Wczoraj doszło do zamachu na jej życie.

– O Boże. Czy ona nie żyje?

– Żyje, ale jest ciężko ranna. Jej nazwisko nic pani nie mówi?

– Niestety nie.

– Nie pamięta pani, czy Jacob Paget miał może jakąś znajomą o tym nazwisku? – Jacob Paget, człowiek odrzucony przez wszystkie kobiety, urządzał krwawy pościg za każdą, która go kiedykolwiek zawiodła i – jego zdaniem – potwornie tym upokorzyła... Kate nie dawała temu wiary. Niemniej była to jedyna nić wystająca jak dotąd z tego kłębka.

Maja zmarszczyła czoło.

– Przykro mi, ale naprawdę nic mi nie przychodzi do głowy. Zresztą prawie w ogóle nie miałam kontaktu z Jacobem, zwłaszcza w okresie przed pojawieniem się Kseni.

Nie znam żadnej kobiety, która spędziła z nim choćby weekend.

– Pani Price, czy Ksenia powiedziała pani o czymś, co mogłoby uzasadnić fakt, że ściga ją uzbrojony mężczyzna? Może coś na temat jej rosyjskiej przeszłości?

– Nie. Nic. Jej przeszłość w Rosji była naznaczona potworną biedą, ale nic szczególnego się nie wydarzyło.

– Czy ktoś mógłby mieć jej za złe, że wyjechała na Zachód i tam wyszła za mąż? Może jej były chłopak?

– Nigdy o tym nie wspominała.

– No cóż. – Kate podniosła się z miejsca. Była trochę rozczarowana, ponieważ rozmowa właściwie niewiele wniosła. Przynajmniej zyskała pewność, że małżeństwo Pagetów nie było dla Kseni usłane różami i że Jacob to nad wyraz nieprzyjemny człowiek. Niewiele, ale zawsze lepsze to niż nic.

Wręczyła Mai swoją wizytówkę.

– Proszę do mnie zadzwonić, jeśli tylko coś sobie pani przypomni.

– Dobrze. – Maja także wstała. W słuchawce rozległo się ciche kwilenie, które w ciągu kilku sekund przemieniło się w ogłuszający wrzask.

– Proszę iść na górę – powiedziała Kate. – Trafie do drzwi.

– Okropnie się wydziera – odparła Maja. – Pozostała dwójka nie była taka straszna. To jest... – Zamilkła na chwilę, ale potem ku zaskoczeniu Kate wyrzuciła z siebie z goryczą, nieomal z gniewem w głosie: – To takie tabu, prawda? Jak można być matką i się nie cieszyć, jak można nie odczuwać miłości, wdzięczności, potrzeby zaangażowania? Wie pani, jestem wdzięczna za trójkę zdrowych dzieci, ale zarazem jestem tak potwornie zmęczona, że w ogóle nie czuję się sobą. Zmagam się z tym dzień za dniem, oglądam idiotyczne programy w telewizji i przez cały czas wmawiam sobie, że muszę, do cholery, być szczęśliwa. Tymczasem czuję zwyczajną pustkę... – Przerwała, przetarła oczy. – Przepraszam. Nie chciałam się pani naprzykrzać.

– Nic nie szkodzi – zapewniła Kate. W rzeczywistości czuła się trochę bezradna. Nie miała dzieci, ale zawsze marzyła o założeniu rodziny. Mąż, dzieci, dom bliźniak. Teraz stała twarzą w twarz z kobietą, która to wszystko miała, jednak wcale nie wydawała się szczęśliwa. Krzyki ze słuchawki elektronicznej niani stały się tymczasem nieznośnie głośne. Jeśli tak jest przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, dzień i noc...

– Dobrze – odparła Maja, odzyskawszy spokój – pójdę na górę. Zadzwonię do pani, jeśli coś sobie przypomnę. – Czmychnęła.

Kate wyszła z domu i zamknęła za sobą drzwi. Czy Maja Price w ogóle znajdzie czas i odwagę, by pomyśleć o Kseni i niecodziennych zdarzeniach z jej życia? Wydawało

się, że wpadła w wir przytłaczającej codzienności i ze wszystkich sił broni się przed pójściem na dno.

Na pewno jednak spełniłam swój obowiązek – pomyślała Kate.

3

Inspektor Robert Stewart spędził rano na końcowym przesłuchaniu Jaydena White'a, mężczyzny, który strzałem w głowę zabił własną żonę i dwie małe córeczki. Po jego zakończeniu nie potrafił zrobić nic innego, jak tylko wyjść na zewnątrz i głęboko zaciągnąć się papierosem, choć już od dawna obiecywał sobie, że na dobre rzuci palenie. Był jednak taki spięty, taki sfrustrowany, wyczerpany i wściekły – i wszystko to naraz.

Jayden White przez cały czas biadolił. Nie o tym, że odebrał życie trzem osobom, lecz wyłącznie o losie, który zawsze źle go traktował. Trudne dzieciństwo, odczuwany już w okresie szkolnym strach przed niepowodzeniem, przedwczesna śmierć ojca, przerwane studia. W końcu kawiarnia, którą kupił i na którą musiał zaciągnąć niezwykle wysoki kredyt. A gości przychodziło niewiele.

– Było coraz gorzej. Już ostatnie dwa lata nie były dobre. Ale w tym roku... Inni mówią to samo. Chaos związany z brexitem... Nikt nie wie, jak się sprawy potoczą. Ci idioci z Londynu...

Robert pochylił się do przodu.

– *Ci idioci z Londynu* – powtórzył dobitnie – nie zabarykadowali się w mieszkaniu z trzema nieuzbrojonymi osobami, z których dwie nie miały jeszcze dziesięciu lat, i nie zabili ich strzałem z pistoletu, celując prosto w skroń. Chcę wiedzieć, chcę spróbować *zrozumieć*, jak można zrobić coś takiego. Jak *pan* mógł zrobić coś takiego?

Jayden prawie się rozpłakał.

– Chciałem oszczędzić żonie i dzieciom nędzy naszego upadku. Mam stos upomnień z banku. Od miesięcy. Nie mam pieniędzy. Nie mogę już utrzymać swoich pracowników w kawiarni. Nie wspominając o spłacie kredytu i odsetek za nasze mieszkanie. I kawiarnię.

– Dlaczego musiał pan kupić kawiarnię *i jednocześnie* mieszkanie? Czy to nie za dużo na jeden raz?

– Bo z początku szło całkiem dobrze. Sądziłem, że dam sobie radę. Chciałem mieć coś własnego dla swojej rodziny. Gniazdo, z którego nie można by jej wypędzić. Zamieszkać we własnych czterech ścianach... – Głos Jaydena załamał się, tak bardzo użalał się nad sobą.

– A więc chciał pan uchronić swoją rodzinę przed nadciągającym bankructwem i dlatego zastrzelił pan je wszystkie bez wahania. Ale sam zamierzał pan mężnie stawić czoła tej katastrofie?

– Ja także chciałem z sobą skończyć. Proszę mi wierzyć. Chciałem, żebyśmy wszyscy razem opuścili to straszne miejsce, ten okropny świat. Ale... – znów łamał mu się głos – to było zbyt wiele. Nie potrafiłem tego zrobić. Nie mogłem pociągnąć za spust. Chciałem, naprawdę chciałem, ale...

– Tak, rozumiem, z pewnością łatwiej strzelić w głowę dwojgu bezbronnym dzieciom niż samemu sobie – powiedział Robert.

Jayden szlochał.

– Wszystko zrobiłem źle. Wszystko. Nigdy nie powinienem był sprowadzać tych dzieci na świat, świat, o którym wiedziałem, jaki jest okrutny.

Robert miał już dość. Zakończył rozmowę. Jayden został zabrany z powrotem do celi w areszcie. Nic oprócz jęków nie dało się z niego wyciągnąć. Uważał się za ofiarę – i to jedyną.

Inspektor rzucił niedopałek na ziemię, rozdeptał go. Musiał zostawić Jaydena White'a, ten człowiek kosztował go tylko mnóstwo nerwów. Sprawa była jasna. Nie trzeba prowadzić dalszego dochodzenia. Wszystko zostało udokumentowane, akta mogły zostać przekazane prokuraturze. On i pewnie także Caleb Hale będą musieli zeznawać podczas procesu, poza tym sprawa potoczy się ustalonym trybem. Jayden White na resztę życia trafi do więzienia, to jednak nie odmieni losu jego rodziny. Pomyślał o splecionych z sobą ciałach, które znaleźli w sypialni wakacyjnego mieszkania. Yasmin White leżała na zwłokach martwych dzieci, widocznie próbowała je zasłonić własnym ciałem. Cała trójka nie miała żadnych szans, choćby najmniejszych.

Robert Stewart czasem rozumiał, dlaczego Caleb popadł w nałóg.

Wrócił do biura. Czekala tam na niego Helen Bennett. Przeżywali właśnie potworne braki kadrowe – z powodu zawieszenia Caleba oraz dlatego, że inspektor Kate Linville miała zacząć pracę dopiero z początkiem sierpnia. I akurat teraz spadła na nich jeszcze ta historia ze Stainton Dale. Powiązana z dramatycznymi wydarzeniami, które rozegrały się w minioną sobotę w pociągu, tuż przed wjazdem na stację w Yorku. Musieli prowadzić wspólne dochodzenie z kolegami z tamtejszego posterunku. Może nie było to wcale takie złe. Mieli obecnie za mało ludzi.

Sierżant Helen Bennett ukończyła dodatkowe szkolenie jako policyjna psycholożka, ale w tej chwili traktowano ją raczej jak dziewczynę do wszystkiego.

– Otrzymaliśmy raport od sierżant Linville – oznajmiła. – Dziś przed południem odwiedziła w Southend-on-Sea panią Maję Price, przyjaciółkę Kseni Paget. Niestety

nie uzyskała żadnych nowych informacji. Pani Price nie potrafi wyjaśnić, dlaczego ktoś mógłby mieć powód, by strzelać do Kseni Paget, nigdy też nie słyszała imienia ani nazwiska Sophii Lewis. Brak postępow w tej sprawie.

– Hm – mruknął Robert. Tak naprawdę niczego się nie spodziewał. Przez lata wypracował sobie metodę rozpoznawania łatwiejszych i trudniejszych przypadków. Ten był skomplikowany i nieprzenikniony, wyczuwał to.

– Jakież wieści o Sophii Lewis?

Helen potrząsnęła głową.

– Dzwoniłam do kliniki. Jest przytomna, ale nie może mówić. Podejrzenie udaru. Bardzo prawdopodobne przy tak groźnym upadku. Być może uszkodzony został ośrodek mowy. Jest też coraz bardziej prawdopodobne, że grozi jej porażenie poprzeczne.

– Czy ona przeżyje?

– Lekarz powiedział mi, że jej życie nie jest zagrożone. Nie wiadomo jednak, kiedy znów będzie mogła mówić. I już nigdy nie będzie chodzić ani poruszać ramionami. – Helen przeszedł dreszcz. – To straszne. Pewnie wołałaby...

– ...umrzeć? – Robert był pewien, że *on* z pewnością wołałby zginąć. – Ktokolwiek jej to zrobił, nie mógł wybrać nic bardziej okrutnego.

– Rozmawiałam ponownie z rolnikiem, który ją znalazł – ciągnęła Helen. – Sophia Lewis codziennie rano o stałej porze wyruszała na rowerową przejażdżkę, bladym świtem, zarówno w trakcie roku szkolnego, jak i w czasie wakacji. Od wczesnej wiosny aż do późnej jesieni, o ile pozwalały na to warunki. Powiedział, że można było według niej ustawiać zegarki.

– A kto o tym wszystkim wiedział?

– Bardzo wielu ludzi w Stainton Dale, nie tylko ci, którzy mieszkają przy trasie. Sophia Lewis przeniosła się tam dopiero przed rokiem, ale w tak małych społecznościach wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Sophia Lewis jest lubiana, każdy ją tam zna, choćby tylko przelotnie. Do szpitala wciąż napływają kwiaty i kartki.

– Czy ów rolnik wspominał o potencjalnych wrogach?

– Twierdzi, że nie zna nikogo, kto by jej nie lubił.

– To nic nie da. Musimy przeświecić jej środowisko zawodowe – oznajmił Robert. – W normalnych okolicznościach powiedziałbym, że rozciągnięty drut mógłby wskazywać na uczniowski żart. Czyste szaleństwo, to oczywiste, ale czasami nastolatki nie zdają sobie sprawy z konsekwencji własnego postępowania. Do tego nie pasuje jednak kula. Czym innym jest przeciągnąć w poprzek ścieżki drut, uznając za niewiarygodnie zabawne, że nauczyciel przeokoziółkuje i wpadnie w zarośla. Ale strzał z pistoletu... ma zupełnie inny wymiar.

– Pamiętajmy – dodała Helen – że stało się to dzień po tym, jak mężczyzna z tej samej broni strzelał do kobiety w pociągu z Londynu do Yorku. To nie wygląda na uczniowski psikus.

– Raczej żart byłego ucznia. Ktoś oblał końcowy egzamin?

– I za to próbuje ją zabić? – zaprotestowała Helen. – I gdzie tu miejsce dla Kseni? Ona nie jest nauczycielką.

– Może w oczach jakiegoś szaleńca mimo wszystko stanowi część układanki – stwierdził Robert. – Uczynilibyśmy naprawdę duży krok naprzód, gdybyśmy zdołali ustalić związek łączący Ksenię Paget i Sophię Lewis. Musi istnieć jakiś punkt styczności, niezależnie od tego, jak różne są te kobiety oraz ich życiorysy.

– Obawiam się, że na razie nie zdołamy porozmawiać z Sophią Lewis.

– Ale na pewno z jej kolegami. A co z krewnymi?

Helen wzruszyła ramionami.

– Pracuję nad tym. Jedna z sąsiadek powiedziała, że ojciec Sophii wciąż żyje, natomiast jej matka zmarła. O innych krewnych nie wspomniano.

– Czy funkcjonariusze weszli do jej domu?

– Tak. Są tam od wczoraj. Sprawdzają wszystko, szukając wskazówek, adresów, informacji kontaktowych. Wygląda jednak na to, że Sophia Lewis jest na świecie całkiem sama. Osoba towarzyska, ale bez większej rodziny.

– Przyjaciel? Partner? Były mąż?

– Nikt tego nie wie. – Helen wręczyła mu listę. – Oto nazwiska jej kolegów ze szkoły. Tych, którzy jak ustaliliśmy, nie wyjechali z miasta.

– Niewielu – stwierdził Robert. To był naprawdę zagmatwany przypadek. Na domiar złego trwały właśnie wakacje i wielu ludzi przebywało z dala od domu. – Porozmawiam z kolegami. Może ktoś zna jakąś historię, jakiś incydent, którym Sophia Lewis narobiła sobie wrogów. Może dowiem się czegoś o dalszych krewnych i znajomych. Jedyne, co możemy zrobić, to sprawdzać każdy szczegół w nadziei, że znajdziemy coś, co nam pomoże.

Wtorek. Jest u mnie Isla. Ledwie weszła do mieszkania, od razu zagaduję ją o dręczące mnie obawy.

– Na dworze wciąż stoi mężczyzna i obserwuje moje mieszkanie!

Isla patrzy na mnie ze zdumieniem.

– Mężczyzna?

– Tak. Czarne włosy. Dość wysoki. Stoi po drugiej stronie ulicy i się gapi.

– Nikogo nie widziałam – mówi Isla. Wchodzi do kuchni i patrzy przez okno. – Nikogo tam nie ma.

– Tak, akurat teraz.

– Ale mówił pan, że wciąż ktoś tam stoi! – Isla należy do osób, które ważą każde słowo. Bo nie rozumie, że czasem się przesadza, by podkreślić, że coś jest niezwykle albo wyjątkowe. Jeśli nazwę coś „olbrzymim”, nie znaczy to, że ma gigantyczne rozmiary olbrzyma, ale że to coś jest niezwykle duże. A mówiąc „wciąż”, miałem na myśli to, że ktoś zadziwiająco często pojawia się pod moim oknem. Próby wytłumaczenia tego Isli byłyby bezsensowne.

– Dobrze. Nie zawsze. Ale bardzo często.

– Cóż, ale nie teraz.

Wzdycham.

– Tak, ale dosyć często. Naprawdę.

W jej oczach dostrzegam wyraz lekkiego zwątpienia. Wiem, ona uważa, że za dużo czasu przebywam w samotności. I pewnie sądzi, że przez to jestem trochę dziwny.

– Pomyślałam, że może pani podsunie mi pomysł, kto to może być – mówię. – I dlaczego tam stoi i mnie obserwuje.

– Skąd pan wie, że pana obserwuje? Może obserwuje tylko dom.

– Tak, ale...

– A w tym domu mieszka wiele innych osób – wyjaśnia Isla.

Daję za wygraną – ona ma rację. Dlaczego nie przyszło mi to do głowy? W budynku jest sześć mieszkań, okna trzech z nich wychodzą na ulicę, pozostałych trzech – ładniejszych i trochę dla mnie za drogie – na ogród na tyłach domu. Czy ten facet rzeczywiście obserwował moje kuchenne okno, czy może cały dom? Nie mogłem tego stwierdzić z tak dużej odległości. Wziąłem za pewnik, że właśnie o mnie mu chodzi. Czy naprawdę jestem aż takim neurotykiem?

– Może jest cichym wielbicielem pięknej młodej kobiety, która mieszka piętro niżej – stwierdza Isla.

To prawda, mieszka tu bardzo atrakcyjna, dość młoda kobieta, zawsze nieco smutna, gdyż niedawno się rozwiodła i wciąż jeszcze nie przetrawiła rozstania z mężem. A może to

właśnie jej były mąż stoi na zewnątrz? Może to on nie potrafi się z tym pogodzić? Czyżbym był świadkiem działań stalkera, czyżbym właśnie przeżywał dramat ich związku?

– Tak, to możliwe – przyznaję.

– Widzi pan – uspokaja mnie Isla.

Nie lubię, gdy rozmawia ze mną jak pielęgniarka albo opiekunka geriatryczna. Po przyjacielsku i trochę tak, jakbym był niespełna rozumu.

Zostawiam ją w spokoju. Zabiera się do sprzątnięcia, zaczynając od kuchni, skąd patrzyła przez okno. Przechodzę do salonu, ciężko opadam na fotel. Z kuchni dobiegają szum bieżącej wody i szuranie krzesel wokół stołu jadalnego. Jak kojąca jest świadomość, że w pobliżu przebywa ktoś drugi, pracuje, chodzi tam i z powrotem... tak prozaicznie, tak zwyczajnie, znajomo, swojsko. Kiedyś tak właśnie bywało, zanim odeszła Alice. Trudno sobie wyobrazić, że mieszkaliśmy we czwórkę, a nawet w piątkę, jeśli doliczyć Ksenię. Tyle radości życia wokół mnie. Tyle szczęścia. Czy celowo to zniszczyliśmy, wszyscy pospołu? Nie, to było przeznaczenie, nieszczęście, potworne nieszczęście.

Okropnie się boję, że obcy za oknem ma z tym nieszczęściem coś wspólnego.

Środa, 24 lipca

1

– Naprawdę chciałbym wiedzieć, jak mogłaś wpędzić siebie i nas w takie kłopoty! – powiedział markotnie Jacob Paget. Właśnie skończył rozmowę przez telefon i gniewnie cisnął słuchawką o stół. – To był ten Jenkins z policji North Yorkshire. Chce ponownie z nami rozmawiać.

Ksenia stała w kuchni i obierała ziemniaki. Przybita spojrzała na męża.

– Nie wiem. Nie wiem, dlaczego to wszystko się wydarzyło.

– Kiedy do człowieka strzelają, zazwyczaj ma się pojęcie dlaczego – odparł Jacob, jakby od czasu do czasu przydarzało się to każdemu, ale inni potrafili sobie z tym poradzić, zamiast, jak Ksenia, trwać w strachu i nieświadomości.

– Nie wiem.

– Jesteś pewna, że nie miałaś z tym facetem romansu? – zapytał, po czym spojrzał na żonę przymrużonymi oczami. – A teraz chce cię zastrzelić, bo z nim zerwałaś?

Ksenia prawie się roześmiała. Kiedy i jak miałyby nawiązać romans, skoro tak bacznie była pilnowana? Na szczęście w porę udało jej się zmienić śmiech w chrząknięcie. Jacob bardzo nie lubił, gdy dawano mu odczuć, że nie traktuje się go poważnie.

– W każdym razie po raz ostatni pojechałaś do Mai do Southend – oznajmił. – Od samego początku byłem temu przeciwny. Niczego dobrego nie można się po nich spodziewać!

– Cóż, z pewnością nie była to Maja. Ani jej mąż. To nie ich wina.

– Mimo wszystko – warknął Jacob. I od razu dodał: – A ta druga kobieta, o którą wciąż wypytują? Sophia Lewis. Naprawdę jej nie znasz?

– Nie. Przysięgam, Jacob. Nigdy wcześniej nie słyszałam tego nazwiska. Nie znam jej.

– Hm – mruknął Jacob. Zabrzmiało to tak, jakby nie wierzył w ani jedno jej słowo. Zazwyczaj tak właśnie było.

– No więc, tak czy siak, ten Jenkins przyjdzie około pół do trzeciej i znowu będzie to z nami wałkował. Nie wiem, czego on się spodziewa, powiedzieliśmy już wszystko. To może oznaczać, że policja sądzi, że coś ukrywasz.

– Niby co miałabym ukrywać?

– Wiesz dobrze – odparł Jacob. – Dobrze o tym wiesz.

– Masz na myśli...?

– Nie udawaj. Nie udawaj, że od razu *o tym właśnie* nie pomyślałaś!

– Ale po tak długim czasie... I przysięgam, że nie znam tego człowieka. Nigdy wcześniej go nie widziałam.

– Może się zmienił. Zwłaszcza po tak długim czasie.

Potrząsnęła głową.

– Oczy. To nie były jego oczy.

Jacob wzruszył ramionami.

– W każdym razie to twoja wina, że spadły na nas kłopoty.

Wiedziała, że nie ma sensu odwoływać się do jego współczucia – po prostu nie było w nim krztyny serdeczności, pewnie nawet nie wiedział, co to takiego. Mimo to powiedziała cichym głosem:

– Mógłbyś się zwyczajnie ucieszyć. Że nadal żyję. Mogłam przecież zginąć!

– Ucieszyć się? Z tego całego gówna? Że mamy policję na karku?

– Ucieszyć się, że nadal tu jestem.

– Nie jesteś niezastąpiona, naprawdę – parsknął pogardliwie.

Poczuła, że do oczu napływają jej łzy, z trudem je powstrzymała. Właściwie dlaczego usiłował ją zranić? Po tych wszystkich latach powinna się już była uodpornić. Działo się tak pewnie dlatego, że był jedyną bliską jej osobą. Miała tylko jego. Nieważne, jak często ją rugał, trzymała się go niby pies swojego właściciela, nie mając innego wyboru.

– Spójrz na siebie – ciągnął Jacob. – Kiedy cię poznałem, byłaś jeszcze całkiem ładna, a teraz przytyłaś, nosisz okropne ciuchy, człowiek wstydzi się wyjść z tobą na ulicę.

Nie mogła dłużej powstrzymać łez.

– Jestem na diecie.

– Który to już raz? Tysięczny? Nigdy nie dawało to żadnych efektów. Cały czas tyjesz. Ty po prostu nie masz w sobie siły woli!

– Nie mam żadnego urozmaicenia. Jacob, tak często jestem sama. Ciągłe tu przesiaduję. Gdybym mogła pracować...

– Wtedy żarłabyś tyle samo. To tylko głupie wymówki.

– Ale ja...

Zamierzył się groźnie w jej kierunku, zamilkła.

– Wyciągnąłem cię z bagna, nie zapominaj o tym – powiedział cicho. – I jeśli cię puszcze, w mgnieniu oka wrócisz na dno.

Przełknęła.

– Wiem, co się wtedy stało – przypomniał, gapiąc się na nią. – I zdajesz sobie dobrze sprawę, że pójdziesz do więzienia, jeśli o tym opowiem. Na przykład sierżantowi Jenkinsowi dziś po południu?

Wydała z siebie cichy jęk przerażenia. Jacob wyszczerzył zęby.

– Nie masz ochoty trafić za kratki, prawda? Więc ze mną nie pogrywaj, dobrze? Jestem prawie pewien, że ten facet w pociągu ma coś wspólnego z tamtą historią. Będziesz mogła mówić o szczęściu, jeśli to nie wyjdzie na jaw. Policja będzie grzebać i węszyć. Nie prowokuj mnie, Kseniu. Bo podczas dzisiejszej rozmowy mogę nieopatrnie popełnić jakiś błąd. Powiem coś, czego nie powinienem mówić. Wystarczy chwila nieuwagi.

– Jacob...

– Uważaj – ostrzegł z uśmiechem na twarzy. – Uważaj, do cholery. Nie próbuj mnie wkurzyć. Zrozumiano?

– Tak – wyszeptała.

– Mam nadzieję, że nie zapomnisz – dodał.

2

Sophia Lewis, o czym inspektor Stewart przekonał się podczas wczorajszych i dzisiejszych rozmów z jej kolegami, była osobą bardzo lubianą i niezwykle towarzyską, choć zarazem niewiele mówiła o sobie. Robert posłużył się sporządzoną przez Helen listą nauczycielek i nauczycieli z Graham School w Scarborough, którzy akurat spędzali wakacje w domu. Niestety, nie było ich zbyt wielu.

Wszyscy koledzy Sophii bez wyjątku okazywali konsternację i przerażenie. Jedna z młodych nauczycielek w trakcie rozmowy wciąż zalewała się łzami.

– Przepraszam – szlochała – ale odkąd się dowiedziałam, nie mogę przestać myśleć o Sophii. To straszne. Wie pan, rozpierała ją radość życia. Nade wszystko lubiła sport i aktywność fizyczną. I pomyśleć, że do końca życia będzie musiała poruszać się na wózku inwalidzkim...

To prawda, pomyślał Robert. Dopóki nie dosięgnie człowieka surowa rzeczywistość, nikt nie jest w stanie wyobrazić sobie takiego losu.

Odczekał, aż młoda kobieta odzyska spokój, by zadać pytanie, które kierował do wszystkich:

– Czy Sophia Lewis ma wrogów? Może wśród uczniów? Uczy matematyki i fizyki. Nie są to nader lubiane przedmioty. Bardzo wymagające. Z pewnością są uczniowie, którzy winą za swoje osobiste niepowodzenia obarczają nauczycielkę.

Wszyscy poważnie zastanawiali się nad tym pytaniem.

– Oczywiście, że tacy są – przyznał jeden z kolegów, uczący tych samych co Sophia przedmiotów – ale nie znam nikogo, po kim można by się spodziewać, że z tego powodu dokona morderstwa.

W tym właśnie rzecz. Strzał z pistoletu. Większość pytanych przyznała, że przeciągnięcie drutu w poprzek ścieżki kilku uczniów pewnie uznaloby za zabawne albo nawet pomyślałoby, że bolesny upadek należy się nauczycielce, która popsuka komuś świadectwo.

– Była u nas dopiero od roku. Są oczywiście uczniowie, którzy mają ogromne kłopoty z jej przedmiotami. Ale...

Fakt, że ktoś do niej strzelał, pozostawał dla wszystkich niewytłumaczalny. Rozciągnąć drut to jedno. Strzelać z broni palnej to zupełnie co innego.

Zwłaszcza że dwa dni wcześniej użyto jej w pociągu z Londynu do Yorku – pomyślał ponuro Robert. Według zeznań inspektor Linville i Kseni Paget oraz kilku przesłuchanych tymczasem podróżnych sprawcą był co prawda młody człowiek, lecz z pewnością nie uczeń. Oczywiście mógł to być także były uczeń. Ale dlaczego miałby strzelać do Kseni Paget, rosyjskiej imigrantki, gospodyni domowej z Leeds?

Również to pytanie zadał Robert wszystkim rozmówcom: „Czy imię i nazwisko Ksenia Paget coś wam mówi? Czy Sophia Lewis wspominała kiedyś, że znała kogoś o tym nazwisku?”.

Po chwili zastanowienia wszyscy potrząsali jednak głowami. „Nigdy o niej nie słyszałem, nigdy o niej nie słyszałam. Kim ona jest?”

Nawet na pytanie o obecność mężczyzn w życiu Sophii Robert nie otrzymał odpowiedzi, która okazałaby się dlań przydatna.

– W tej chwili nie ma nikogo – odpowiedziała młoda koleżanka, nieustannie zmagając się z naporem łez. – Wiedziałabym o tym. Była singielką.

Robert widział zdjęcia Sophii. Bardzo ładna kobieta.

– W jej życiu musieli być jacyś mężczyźni, prawda?

– Odkąd się tu przeprowadziła, a stało się to całkiem niedawno, była sama. Kiedyś pewnie kogoś miała. Czasami mówiła o dawnych *przyjaciołach*, ale nie było do końca jasne, czy chodziło o związki uczuciowe, czy tylko przyjaźnie. Sądzę, że Sophia jest osobą bardzo niezależną.

To było irytujące. Kobieta, którą wszyscy znali i lubili, która miała liczne grono znajomych, pozostawała w jakimś sensie nieprzenikniona. Z dokumentów znalezionych w domu Sophii wynikało, że przed przyjazdem do Scarborough uczyła w Chorlton High School w Manchesterze. Manchester był niespokojnym miejscem. Uzbrojone gangi rządziły całymi dzielnicami, grasując nawet w szkołach. Trzeba

będzie rozpocząć tam przesłuchania. I sprawdzić, czy istniał jakiś związek łączący Ksenię Paget z tym miastem.

W południe Robert udał się do kliniki, gdzie Sophia Lewis wciąż przebywała na oddziale intensywnej terapii, i poprosił o krótką rozmowę z lekarzem prowadzącym. Doktor Dane sprawiał wrażenie niewyspanego, zabieganego i zestresowanego, ale zaprowadził Roberta do niewielkiego gabinetu i wskazał mu miejsce po drugiej stronie biurka. Sam stał oparty o okno.

– Dziesięć minut – powiedział – najwyżej dziesięć, inspektorze, przykro mi. Tutaj zawsze brakuje czasu.

Robert skinął głową.

– Wiem, że się naprzykrzam. Ale musimy wyjaśnić naprawdę potworną zbrodnię...

Doktor Dane przytaknął.

– Oczywiście. To niewiarygodne, co zrobili tej kobiecie. Jej życie już nigdy nie będzie takie samo. Nawet w przybliżeniu.

– Problem w tym – wyjaśnił Robert – że nie posuwamy się naprzód ani o krok. Sprawdzamy życie Sophii Lewis, ale nie znaleźliśmy jak dotąd żadnej wskazówki. Najgorsze jest to, że czas nam umyka. Pierwsze dni po dokonaniu zbrodni są najważniejsze, nam zaś mijają beczynn timer, bo nie możemy porozmawiać z jedyną osobą, która mogłaby nam pomóc. Z Sophią Lewis.

– Rozumiem – odparł Dane. – Ale Sophia nie nadaje się do przesłuchania. Podczas upadku doznała udaru, który spowodował afazję.

– Tak, koleżanka już mnie o tym poinformowała. Dlaczego jednak upadek był przyczyną udaru?

– To nic niezwykłego. Mocne uderzenie spowodowało rozerwanie tętnicy szyjnej. Oznacza to, że uszkodzona została wewnętrzna warstwa naczynia. Skutkiem tego krew przenika przez ścianki i może utworzyć się skrzep. To właśnie przydarzyło się Sophii Lewis i doprowadziło do powstania zatoru w mózgu. Ucierpiał przy tym ośrodek mowy.

– Brzmi okropnie.

– Jestem pewien, że kiedyś znów będzie mogła mówić. Większym problemem jest złamanie siódmego kręgu szyjnego.

– Porażenie poprzeczne? Jest pan pewien, że nie ma dla niej żadnej nadziei?

– Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa nie ma. Należy się liczyć z tym, że już nigdy nie będzie mogła poruszać rękami ani nogami.

– Dobry Boże – mruknął Robert. Poczł nagłą potrzebę rozluźnienia węzła krawata, ale się powstrzymał. Nie chciał wyjść na mięczaka przed lekarzem, który każdego dnia

miał do czynienia z tak nieprzyjemnymi kwestiami. – Ale co dalej? Czy w ogóle nie będę mógł z nią porozmawiać?

– Żałuję, ale nie. Nie może ani mówić, ani pisać, ani wysyłać żadnych innych sygnałów. Jej parametry życiowe są kiepskie. Nie mogę w tej chwili wyrazić zgody na jakiegokolwiek przesłuchanie.

Robert nie oponował. Wstał.

– Dziękuję, doktorze. Przepraszam za zawracanie głowy. Chcę tylko dorwać tego, kto jej to zrobił.

– Całkowicie pana rozumiem – odparł Dane. – Ja też poczułbym ulgę, gdyby się to panu udało. Ktokolwiek to zrobił, nie mógł doszczętniej zniszczyć życia drugiej osoby.

Chyba że lepiej celując, przemknęło Robertowi przez myśl, gdy wychodził ze szpitala. Było to przecież dziecinnie łatwe, gdy leżała zupełnie bezradna. Już by nie żyła. Dlaczego chybił?

Przystanął w upale na parkingu i się zamyślił.

Bo sprawca wiedział, że dotknie ją mocniej, skazując na życie na wózku inwalidzkim, niż gdyby po prostu ją zabił?

Dlaczego więc w ogóle strzelał?

Czyżby miał kłopot z oddaniem strzału prosto w głowę?

Jeśli to sprawca z pociągu, jest mężczyzną. W pociągu nie okazywał żadnych skrupułów.

A jednak to spora różnica, strzelać z odległości kilku kroków lub przyłożyć komuś broń do skroni i pociągnąć za spust.

Robert pomyślał o martwej kobiecie i jej dzieciach, leżących w mieszkaniu nad Zatoką Północną. Jayden White nie zawahał się oddać strzału prosto w głowę.

Pomimo upału przeszedł go dreszcz. Nagle zatęsknił za obecnością szefa. Wciąż tak go w myślach nazywał. Komisarz Caleb Hale. Szef. Choć teraz to on był szefem w prowadzonym śledztwie. Ale wcale się nim nie czuł. Z jakiegoś powodu sądził, że sama obecność na pierwszej linii oraz nadawanie tonu wyposażą go w niezależność i opanowanie potrzebne na tym stanowisku. Tak się jednak nie stało. Odczuwał niepewność i bezradność, i dałby wiele, by mieć teraz Caleba u swego boku i zasięgnąć jego rady, jak dawniej. Tak naprawdę tworzyli bardzo dobry i zgrany zespół.

Otarł pot z czoła. Zatęsknił nawet za tą Kate Linville, która miała zacząć służbę pierwszego sierpnia, choć ledwo ją znał i uważał za tak niepozorną, że nie zdołał nawet zapamiętać rysów jej twarzy. Sam by jej pewnie nie zatrudnił, ale szef wychwalał ją pod niebiosa. No dobra, rozwiązała dwie sprawy w Scarborough, ale bez upoważnienia i za pomocą bardzo dziwnych metod. Nieważne, tak czy owak będzie jego współpracownicą, a nawet podejrzana w jego oczach współpracownica będzie

lepszą niż żadną. Na Helen Bennett właściwie nie mógł liczyć, tak dalece poświęciła się zagadnieniom psychologii, że zatraciła umiejętność codziennej pracy śledczej.

Zrobił głęboki wdech. Nic, na razie będzie musiał radzić sobie sam. Wyciągnął telefon. Zadzwoił do Jenkinsa z Yorku. Wiedział, że sierżant ponownie odwiedzi dziś Ksenię Paget. Miał sprawdzić, czy coś ją łączy z Manchesterem.

3

– W czym mogę pomóc? – zapytała uprzejmie posterunkowa Mia Cavendish. Niemal się ucieszyła, że ktoś odwiedził posterunek policji w Camborne. Tego dnia kompletnie nic się nie działo. W Londynie premier właśnie ogłosiła swoją dymisję, lecz konsekwencje tej decyzji zupełnie Mii Cavendish nie dotyczyły. Kornwalię, podobnie jak większą część kraju, dotknęła fala upałów, na drogach pojawiło się mnóstwo turystów, ale właściwie wszystko toczyło się zwyczajnym trybem. Może po prostu było zbyt gorąco.

Kobieta około pięćdziesiątki podeszła z wahaniem.

– Tak... Może...

– Co panią do mnie sprowadza?

– Może to nedorzeczne, ale moja partnerka zaginęła. Nie ma jej od niedzieli.

– Od niedzieli? Jak to „zaginęła”?

– W niedzielę około południa wyszła z naszego domu. W Redruth.

Redruth to była sąsiednia miejscowość. Posterunkowa Cavendish skinęła głową.

– Dokąd się udała?

– Wybierała się do Barnstaple. Zapisła się tam na trzydniowe warsztaty. Więzy rodzinne, odkrywanie własnego ja... Takie tam rzeczy.

Ze sposobu, w jaki jej rozmówczyni wypowiedziała słowa *takie tam rzeczy*, Cavendish wywnioskowała, że partnerki miały odmienne poglądy na temat sensowności istnienia tego rodzaju grup terapeutycznych.

Sięgnęła po długopis.

– Po pierwsze, proszę mi podać swoje nazwisko.

– Munroe. Constance Munroe.

– Mieszka pani w Redruth?

Constance Munroe podyktowała dokładny adres.

– A pani partnerka?

– Alice Coleman. Lat pięćdziesiąt siedem. Mieszka pod tym samym adresem.

Posterunkowa Cavendish wszystko starannie zanotowała.

– A więc pani Coleman wyruszyła w niedzielę w kierunku Barnstaple?

– Tak. Po ostrej sprzeczce.

– Rozumiem. Nie ceni pani takich seminariów?

Constance Munroe przygryzła wargi.

– Prawdę mówiąc... nie bardzo. Alice wciąż bierze udział w podobnych spotkaniach. Rzadko bywa w domu, bo ciągle przesiaduje na seminariach. Jeśli odbywają się w pobliżu, jak tym razem w Barnstaple, mogę mówić o szczęściu. Ale raz pojechała nawet do Szkocji, przecież to kawał drogi. Właściwie prawie nie prowadzimy wspólnego życia.

– Czym zajmuje się pani Coleman? Najwyraźniej ma sporo wolnego czasu.

– Pracowała w laboratorium medycznym. Ale dwa lata temu przeszła na wcześniejszą emeryturę, bo nie była już w stanie wykonywać swojego zawodu. Drżą jej ręce...

– Parkinson? – zapytała ze współczuciem Mia.

– Nie. To raczej kwestia psychosomatyczna. Wie pani, Alice przez całe życie cierpi na depresję, a z upływem czasu jest coraz gorzej. Regularnie bierze lekarstwa, ale w gruncie rzeczy wcale nie pomagają.

– Stąd właśnie tyle seminariów na temat samopoznania – domyśliła się Mia. Miała nadzieję, że Alice Coleman wyjechała uniesiona gniewem i nie zrobiła sobie krzywdy. Niestety, w przypadku osoby z depresją nie można było tego wykluczyć. – Czym się pani zajmuje, pani Munroe?

– Jestem nauczycielką w szkole dla głuchych w Truro. Niewiele zarabiam, ale obecnie to ja utrzymuję nas obie. Mizerna emerytura Alice ledwie wystarcza na opłaty za seminaria i dojazdy. Na nic mnie nie stać, bo opłacam czynsz i ponoszę większość kosztów utrzymania. – Constance Munroe wydawała się bliska płaczu. – Ale najgorsze jest to, że ona wciąż wyjeżdża, a ja zostaję sama. A tym razem...

– Tak?

– Posprzeczałyśmy się przed jej wyjazdem do Barnstaple. Pojechała moim samochodem.

– Wielkodusznie z pani strony. W tych okolicznościach.

– Cóż, Alice cierpi na klaustrofobię w środkach komunikacji miejskiej, a ja nie chcę być małostkowa, chociaż oznacza to, że teraz muszę jeździć do pracy autobusem. W każdym razie od tej pory nie mam od niej żadnych wieści. Zazwyczaj daje mi znać, kiedy dotrze na miejsce. Myślałam, że to z powodu naszej kłótni. W poniedziałek napisałam do niej na WhatsAppie i zapytałam, czy wszystko w porządku, a ona nawet nie odczytała wiadomości. Rozzłościło mnie to i więcej się do niej nie odezwałam. Ale dzisiaj powinna była wrócić. Miała wyruszyć zaraz po śniadaniu. Z Barnstaple to dwie godziny jazdy, najwyżej trzy przy dużym ruchu. Dlatego byłam pewna, że gdy

o pierwszej wróć ze szkoły, zastanę ją w domu. Ale się nie zjawiła. Samochodu też nie ma.

– Rozumiem, że się pani martwi, ale to jeszcze nie powód, by zgłaszać zaginięcie – oznajmiła Mia. – Może pani Coleman zagadała się w Barnstaple z inną uczestniczką seminarium. Może wybrała się na wycieczkę na wybrzeże. Szczerze mówiąc, *ja* bym tak właśnie zrobiła w tym upale, gdybym tylko miała czas!

Constance potrząsnęła głową.

– Nie. Zadzwoiłam już do kierowniczkii seminarium. Numer komórki znalazłam na biurku Alice w jej papierach. I wtedy się dowiedziałam, że Alice w ogóle nie pojawiła się w Barnstaple. W niedzielę. Nie wzięła udziału w warsztatach.

– I nie anulowała zgłoszenia?

Constance skinęła głową.

– Nie wypisała się. Ta pani próbowała kilkakrotnie skontaktować się z Alice przez komórkę, ale zawsze zgłaszała się poczta głosowa. A numeru naszego domowego telefonu stacjonarnego nie miała.

– Hm.

To wszystko komplikowało. Wydawało się, że Alice Coleman bardzo zależało na uczestnictwie w seminarium – tak bardzo, że była gotowa pokłócić się o to ze swoją partnerką. Czyżby nagle zrezygnowała? Pojechała gdzieś, nie mówiąc nikomu ani słowa, po prostu zniknęła? Z drugiej strony ludzie czasem *tak* właśnie postępują po gwałtownej kłótni.

– Pani Munroe – podjęła Mia, ale Constance jej przerwała:

– Boję się, że miała wypadek. Już w niedzielę. Ale przecież wiedziałabym o tym, prawda? Miała przy sobie mnóstwo dokumentów, na których widnieje nasz wspólny adres. Komórkę z wieloma zapisanymi numerami, zwłaszcza moim. Powiadomiono by mnie, prawda?

– Z całą pewnością – zapewniła Mia. – Mimo to zapiszę numer rejestracyjny. Sprawdzę, czy zdarzył się gdzieś jakiś wypadek. Uważam jednak, że to mało prawdopodobne.

Constance podyktowała jej numer. Nadal wyglądała na zatroskaną i strapioną.

– A jeśli coś jej się przytrafiło w jakimś odludnym miejscu? Z samochodem? I nikt jej nie znalazł?

Mia potrząsnęła głową.

– Gdybyśmy mieszkali w kanadyjskiej głuszy... Ale w Kornwalii i Devonie takie odludne miejsca praktycznie już nie istnieją. Niestety. Zwłaszcza w szczycie sezonu turystycznego.

– W takim razie pozostaje tylko przestępstwo?

Mia zdobyła się na kojący uśmiech.

– O tym bym w ogóle nie myślała. Naprawdę. Doszło do kłótni, pani partnerka się rozzłościła. Może też zaczęła kwestionować sens samych seminariów, z powodu których wybuchła sprzeczka. Zaszła się gdzieś i postanowiła przemyśleć sprawę. Myślę, że to najbardziej prawdopodobne wyjaśnienie. Oczywiście nie zachowała się fair w stosunku do pani, ale pewnie nie jest tego nawet świadoma.

Constance głęboko westchnęła.

– Nie – odparła – nie sędzę, żeby to było prawdopodobne. Alice ma ogromne problemy psychiczne i z trudem radzi sobie w życiu. Owszem, jej depresja czasami sprawia, że jest wobec innych bezwzględna, ponieważ dostrzega wtedy wyłącznie siebie. Ale nie narażałaby mnie na tak potworne zmartwienia, nieważne, jak bardzo jest na mnie zła. Nie pozbawiłaby mnie również na dłużej możliwości korzystania z auta, bo dobrze wie, że bez samochodu trudno cokolwiek załatwić, łącznie z zakupami. Uważam, że tak daleko by się nie posunęła.

– Sprawdź, czy nie zdarzył się wypadek – obiecała Mia.

Constance pogrzebała w torebce i wręczyła Mii fotografię.

– To jest Alice.

Mia spojrzała na zdjęcie. Fotka znad morza. Wiatr igrał w sięgających ramion włosach Alice Coleman. Woda połyskiwała w promieniach słońca. Alice się uśmiechała. W napięciu i chyba fałszywie.

– Zatrzymam to zdjęcie – oznajmiła Mia. Nie mogła wszcząć poszukiwań. Jak dotąd nie było żadnych dowodów przestępstwa.

Constance patrzyła na nią zalęknionym wzrokiem.

– Coś się stało. Jestem tego pewna. Nie ma innego wytłumaczenia. Alice nie jest w stanie się ze mną skontaktować, a to oznacza, że coś jej się przytrafiło. Jestem tego w stu procentach pewna. I potwornie się boję!

Piątek, 26 lipca

Wnętrze domu nadal nie wyglądało przytulnie, ale Kate przynajmniej zasłała łóżko i powiesiła ręczniki w łazience. Będzie mogła się przespać, a następnego ranka wziąć prysznic. Większość jej rzeczy wciąż znajdowała się w pudłach piętrzących się w całym domu. W salonie stały naprzeciw siebie dwie małe kanapy, pomiędzy nimi stół; telewizor był co prawda podłączony, ale nie działał. Po kilku próbach włączenia go pilotem Kate dała za wygraną.

Drzwi kuchenne, prowadzące na taras i do ogrodu, były otwarte, nawet wieczorem do wnętrza domu wnikał upał. Kate chciała się pozbyć woni stęchlizny, wypełniającej zamknięte od miesiący pomieszczenia. Choć nadal odczuwała stres związany z przeprowadzką, powoli zaczęła się odprężyć. Pomógł jej w tym szampan, który na powitanie wypiła ze stojącą po drugiej stronie ogrodzenia sąsiadką. Była to samotna, czasem trochę zbyt natrętna kobieta, choć Kate zawsze wykorzystywała jej nachalną czujność: to właśnie ona odkryła, że ówcześni lokatorzy uciekli z domu Kate, całkowicie go spustoszywszy. I to właśnie sąsiadka znalazła pięć lat wcześniej jej ojca. Został zamordowany w środku nocy we własnym domu.

– Jeszcze parę dni i będzie tu całkiem przytulnie – powiedziała na głos Kate. Pocieszała samą siebie. Najsmutniejsze bowiem było to, że wciąż mieszkała sama. W łazience, jak dotychczas, stanie tylko jeden kubek na szczołeczkę do zębów i nadal będzie prała tylko własne ubrania. Pewnie kłóciłyby się o to, kto ma wynieść śmieci, gdyby tylko miała do tej sprzeczki partnera. Skończyła czterdzieści cztery lata i jeszcze nigdy nie wytrzymała w dłuższym związku. Podejrzewała, że wszelkie szanse, aby to zmienić, zostały zaprzepaszczone.

Zajrzała do ogrodu. Messy przysiadła na środku trawnika w wieczornych promieniach słońca i wydawała się nader zadowolona. Przynajmniej ona. Kate zaczęła rozpakowywać pierwsze kuchenne pudło. Ekspres do kawy stał już na kredensie, ale nazajutrz o poranku potrzebowała kubka, łyżki i cukiernicy.

Zadzwonił dzwonek do drzwi.

Pewnie znowu sąsiadka, pomyślała trochę podenerwowana. To miła i troskliwa kobieta, ale Kate wiedziała, że będzie musiała wyznaczyć wyraźne granice, jeśli nie chce, aby ją nieustannie absorbowowała.

Otworzyła drzwi. Ujrzała Caleba Hale'a. Trzymał w rękach dwa pudełka z pizzą.

– Pomyślałem, że może pani zgłodniała po całym dniu – oznajmił.

Uśmiechnęła się i otworzyła szeroko drzwi.

– W samą porę.

Usiedli na tarasie, zajadali pizzę wprost z pudełek, częstowali się czerwonym winem przywiezionym przez Kate z Londynu. Nigdy wcześniej nie proponowała Calebowi alkoholu, gdyż wiedziała o jego nałogu, teraz jednak oboje uznali milcząco, że nikt nie musi już niczego udawać.

– Zacznie pani w czwartek w przyszłym tygodniu? – zapytał Caleb po dłuższej chwili, kiedy posilali się bez słowa. Kate zgłodniała bardziej, niż sądziła.

Potrząsnęła głową.

– W normalnej sytuacji owszem, ale postanowiłam zacząć w poniedziałek. I tak jestem już zaangażowana w bieżące dochodzenie i podejrzewam, że inspektor Stewart może potrzebować pomocy.

Caleb skinął głową.

– To prawda. Będzie całował pani stopy, Kate. Sierżant Helen Bennett lojalnie informuje mnie na bieżąco o wszystkim – niech to zostanie między nami. Powiedziała, że Stewart trochę się gubi. Za mało rąk do pracy.

– Caleb, chciałabym... – zaczęła Kate, ale on machnął ręką.

– Wiem. Jestem idiotą. Nie sądziłem, że tak się to skończy.

– Kto zameldował o tym naczelnikowi?

– Stewart. Sytuacja najwyraźniej stała się dla niego nie do zniesienia.

– Niezaprzeczalnie.

– Owszem. Ale byłoby fair, gdyby najpierw porozmawiał ze mną.

Milczała. Rozumiała jego rozgoryczenie. Poczucie, że został zdradzony przez kogoś, kogo darzył zaufaniem.

– Nie popełniłem żadnego konkretnego błędu, Kate – wyrzucił z siebie gwałtownie. – W tej sprawie z facetem, który zastrzelił swoją rodzinę. Przeanalizowałem całą sytuację krok po kroku – na trzeźwo. I w żadnym momencie nie postąpiłbym inaczej. W żadnym momencie nie mógłbym inaczej postąpić.

Kate skinęła głową.

– Z tego, co przeczytałam, ja też nie dostrzegam żadnego błędu.

Spojrzał na nią rozpaczliwie, po czym dodał po cichu:

– A jednak są chwile... Wie pani, nie bełkotałem, nie zataczałem się, nie widziałem wszystkiego podwójnie. Cierpiałem wskutek upału i braku cienia, pewnie miało to związek z alkoholem w moim organizmie. Ale zachowałem jasność umysłu. Zastanawiam się jednak...

– Tak?

– Kiedy z nim rozmawiałem. Z Jaydenem White'em. Przez telefon. Czy popełniłem zasadniczy błąd, wspominając o jego problemach? Finansowych. Próbowałem dodać

mu otuchy, ale w tej właśnie chwili się rozłączył. Kiedy napomknąłem o pieniądzach.

– Postąpiłabym podobnie. Helen Bennett też by go o to zagadnęła, a ona przecież zna się na rzeczy. Jedynym sposobem nakłonienia tego człowieka do zmiany decyzji było złagodzenie jego panicznego strachu i poczucia beznadziejności. Należało spróbować go przekonać, że istnieją inne możliwości rozwiązania tej okropnej sytuacji niż tylko zastrzelenie siebie i własnej rodziny. Musiał pan o tym wspomnieć, Caleb. Nie było innego sposobu.

– Wiem. Ale gdybym był trzeźwy, czy mógłbym zachować się ostrożniej? Dobry negocjator wie, kiedy w danej sytuacji poruszyć jakiś temat i kiedy ponownie go zarzucić, aby rozładować napięcie. Musi być wyczulony na niemal niezauważalne zmiany nastroju. Po prostu nie wiem, Kate, czy gdybym nie był pijany, wyczułbym, że Jayden staje się coraz bardziej zestresowany. Że w każdej chwili może się rozłączyć, a potem wpaść w szal. Może dawał jakieś wskazówki. Może mógłbym zareagować, gdybym tylko je zauważył.

Trudno było cokolwiek powiedzieć. Kate wiedziała, że ma rację: mógł nie być na tyle przytomny, by dostrzec nadciągającą katastrofę – i jej zapobiec. Równie dobrze jednak mogły się nie pojawić żadne jej oznaki, a historia przybrałaby ten sam dramatyczny obrót, niezależnie od tego, kto negocjowałby z White'em. Nie sposób obiektywnie ocenić tej sytuacji z perspektywy czasu, każdy wniosek był tu czystą spekulacją. Złą wiadomością dla Caleba było to, że zawartość alkoholu we krwi czyniła go winnym. Tylko tyle. Nie trzeba było zawracać sobie głowy dalszymi rozważaniami skomplikowanych kwestii. Komisarz Caleb Hale zwyczajnie zawiódł.

To wszystko.

– Caleb, ja... – zaczęła, ale znów nie pozwolił jej dokończyć.

– Nie, Kate. Wiem, że chce mnie pani pocieszyć, ale wie pani równie dobrze jak ja, że nie sposób mi pomóc. Nie musi pani łamać sobie głowy nad obmyślaniem dla mnie usprawiedliwień, bo ich zwyczajnie nie ma. Oboje o tym wiemy. Przepraszam, musiałem to z siebie wyrzucić. Porozmawiajmy o toczącej się sprawie. Wiem, na jakie niebezpieczeństwo była pani narażona w pociągu. Naprawdę się cieszę, że nic się pani nie stało.

Była wdzięczna, że zmienił temat.

– Ja także. Nigdy nie sądziłam, że skończę w toalecie pociągu. Ale ta sprawa jest dziwaczna, prawda? Zwłaszcza że dokonano zamachu na nauczycielkę ze Stinton Dale.

Spojrzał na nią z zaciekawieniem.

– Jak pani ocenia sytuację?

– Jest pan na bieżąco?

Skinął głową.

– Jak już powiedziałem, dzięki Helen jestem dość dobrze poinformowany. Nie wiem tylko, czy w ogóle chce pani ze mną o tym rozmawiać.

Musiała się roześmiać.

– A dlaczego nie? Sytuacja się odwróciła, prawda? Oficjalnie to ja zajmuję się dochodzeniem, a pan mi asystuje.

Nawiązała w ten sposób do dwóch śledztw w Scarborough. Caleb był wtedy głównym śledczym, a ona wtrącała się bez upoważnienia.

On także się roześmiał.

– Ale pani wydaje się bardziej przyjaźnie nastawiona niż ja. Rozmawia pani o tym ze mną. Ja natomiast zachowywałem się wówczas raczej lekceważąco.

– Niezupełnie. Pan też czasem ze mną rozmawiał. – Zamyśliła się. – Szczerze mówiąc, wciąż błędzę po omacku – powiedziała po chwili. – Rozmawiałam z przyjaciółką, którą Ksenia odwiedziła, zanim w pociągu doszło do strzelaniny. Ta kobieta nie ma pojęcia, co mogło być powodem ataku, podczas wizyty też nie zauważyła nic szczególnego. Ona naprawdę nie ma żadnych podejrzeń. Potwierdziła jednak, że Ksenia żyje w mało udanym związku z okropnym despotą. Mimo to boi się z nim zerwać. Jej przyjaciółka sądzi, że coś napawa ją lękiem. Nie potrafiła wszakże powiedzieć, czy to uzasadniony strach przed trudną decyzją, czy też kryje się za tym coś więcej.

– Może jako rodowita Rosjanka boi się żyć samotnie w obcym kraju?

– Ksenia doskonale opanowała angielski, prowadzi nawet kursy językowe dla obcokrajowców. Z pewnością by sobie poradziła – pewnie nawet lepiej, niż żyjąc z człowiekiem, który ją maltretuje i ogranicza.

– Jeśli do tej pory czuła na sobie presję, może się obawiać wolności. Takie zjawisko wciąż spotykamy w przypadku ludzi zastraszonych. Są zupełnie pozbawieni pewności siebie.

– Być może. Ale myślę, że kryje się w tym coś więcej. Ksenia coś w sobie dusi, coś ważnego. Pytanie tylko, czy ma to związek z jej mężem.

– A z Sophią Lewis?

– Oboje z mężem twierdzą, że jej nie znają, że nigdy nie słyszeli tego nazwiska. Jenkins uważa, że ich zeznania brzmią przekonująco. Wczoraj rozmawiałam z nim przez telefon. Próbował się dowiedzieć, czy istnieje jakiś związek łączący Ksenię lub jej męża z Manchesterem, ponieważ Sophia Lewis przez długi czas tam mieszkała i uczyła w tamtejszej szkole. Nic. Żadne z nich nigdy w Manchesterze nie było. Nikogo tam nie znają.

– Przynajmniej tak twierdzą.

- Z takim zastrzeżeniem, oczywiście. Nie wiemy, czy mówią prawdę.
- Ksenia Paget prawdopodobnie nie zawsze mówi prawdę, przyzna pani.
- Tak.
- Widziała pani tego człowieka w pociągu. Rozpoznałaby go pani?

Kate wzruszyła ramionami.

– Nie wiem. To wszystko potoczyło się tak szybko. Widziałam go tylko przez krótką chwilę. Obawiam się, że nie byłabym w stanie go rozpoznać. Ale mamy portret pamięciowy. Ksenia zdołała go dokładnie opisać, ponieważ długo zajmował miejsce naprzeciwko niej. Portret opublikowano w kilku lokalnych gazetach. Jak zwykle pojawiło się trochę zgłoszeń, ale wszystkie są bezużyteczne.

– Co zamierza pani teraz zrobić, Kate?

– Chciałabym osobiście poznać Jacoba Pageta i wyrobić sobie o nim zdanie, dlatego ponownie odwiedzę jego i Ksenię. Przede wszystkim jednak pogrzebałabym w życiorysie Sophii Lewis. To bardzo trudne, ponieważ nie można jej teraz przesłuchać, niemniej musi istnieć jakiś punkt łączący ją z Ksenią Paget, i jeśli go znajdę, prawdopodobnie będę miała winowajcę.

– Jakież domysły?

Potrząsnęła głową.

– Żadnych. Nic. Jest też coś, czego w ogóle nie rozumiem: dlaczego sprawca nie zastrzelił Sophii Lewis? To byłoby takie proste. A on chybił. Dlaczego? W pociągu kilkakrotnie strzelał celnie do Kseni, zdawał się nie mieć żadnych skrupułów. Dlaczego w przypadku Sophii Lewis było inaczej?

– Bo stał za blisko? Krew, materia mózgowa... Nie każdy zdoła to przetrzymać.

– Być może. Faktem jest... – Zawahała się. – Martwię się – powiedziała po chwili. – Mamy dwa zamachy na życie dwóch kobiet. W obu przypadkach sprawca nie dopiął swego. Obie kobiety żyją. Mogą stanowić dla sprawcy zagrożenie. Ksenia Paget, jeśli zdecyduje się wyjawić to, co do tej pory ukrywa. Sophia Lewis, gdy znów będzie mogła mówić.

– Myśli pani, że on ponownie spróbuje?

– Sądzę, że będzie *musiał* jeszcze raz spróbować. Dla własnego bezpieczeństwa.

– Sophia Lewis potrzebuje w szpitalu ochrony policyjnej – oznajmił Caleb. – Jest całkowicie bezbronna.

Kate skinęła głową.

– Rozmawiałam już ze Stewartem. Postawią pod jej drzwiami funkcjonariusza. Może pan sobie wyobrazić, jakie to dla niego kłopotliwe, przy takich brakach kadrowych. Nie sposób zapewnić Kseni ochrony przez całą dobę, Jenkins co godzinę wysyła pod jej dom patrol. Zalecił jej ostrożność. Ale oboje wiemy...

– ...że zdeterminowany przestępca dosięgnie celu – dokończył Caleb. – Jedyna nadzieja w tym, że szybko go pani schwyta, Kate.

Westchnęła. Wieczór był ciepły i złocisty, miło było wrócić do domu, dobrze było mieć obok siebie Caleba. Ten wieczór mógł być jednym z owych rzadkich momentów, kiedy wszystko w jej życiu się układało, nawet jeśli wiedziała, że to była jedynie *krótka chwila*. Mimo uroków wieczoru nie była jednak zrelaksowana. Odczuwała lęk.

– Gdybym tylko miała jakąś wskazówkę – oznajmiła.

Luty 2001 roku

Coś było nie tak z tym małym chłopcem. Oboje od razu odnieśliśmy takie wrażenie, Alice i ja. Miał trzy lata, ale był jak na swój wiek za mały. Szczególnie mała wydawała się głowa, nawet w porównaniu z jego smukłym ciałem. Wyraz jego oczu był... ostrożnie mówiąc – dziwny. W jego spojrzeniu kryło się coś niejasnego.

– To pewnie dlatego, że ma trochę skośne oczy – powiedziała cicho Alice. – Delikatne rysy azjatyckie.

– Tak, ale nie chodzi o ich kształt – szepnąłem. – Ma zamglone spojrzenie.

Musieliśmy zachować ostrożność, nawet jeśli znajdowaliśmy się w samym środku Rosji, a ludzie przebywający z nami w tym niewielkim przegrzonym pokoju nie rozumieli – jak nas zapewniono – ani słowa po angielsku. Tłumaczka stała tuż za naszymi plecami. Mówiła bardzo dobrze po angielsku i rozumiała nas nawet wtedy, gdy rozmawialiśmy bardzo szybko.

– Jak te dzieci tu żyją... – Alice powiodła wzrokiem po niskim suficie, w jego narożach plenila się pleśń. – On jest zwyczajnie roztrzęsiony. Poza tym jesteśmy dla niego zupełnie obcy.

Później wyznaliśmy sobie, że oboje mieliśmy bardzo złe przeczucia, ale byliśmy zdeterminowani, by pięknymi słówkami zdusić je w zarodku.

– Mały Sasza jest po prostu uroczy – powiedziała Tatiana, tłumaczka. – Nad wyraz ładne dziecko.

Był śliczny. Ciemne włosy, ciemne oczy, cera lekko oliwkowa. Gdyby nie skośne oczy, mógłby uchodzić za chłopca z południowej Europy, z Włoch lub Hiszpanii. Prawdopodobnie miał wśród przodków Mongołów. Znajdowaliśmy się w mieście Słobodskoj, prawie tysiąc trzysta kilometrów na północny wschód od Moskwy, niedaleko Uralu. Kontynent europejski łączył się tam z Azją. Przez ostatnie dni często widywaliśmy na ulicy ludzi o takich samych skośnych oczach, jakie miał nasz przyszły syn.

Zostanie nim, jeśli tylko się zgodzimy.

Przez ostatnie pięć lat próbowaliśmy wszystkiego. Próbowaliśmy począć dziecko w sposób naturalny. Próbowaliśmy *in vitro*. Próbowaliśmy ze spermą dawcy. Z jajeczkami. Z embrionami. Mieszkaliśmy wówczas w wiosce niedaleko Nottingham, w starym wiejskim domu, który Alice odziedziczyła po rodzicach, a stamtąd całkiem blisko do Cambridge i do Bourn Hall, kliniki leczenia niepłodności, będącej częścią szpitala uniwersyteckiego. Stała się dla nas niemal drugim domem. Zналиśmy większość tamtejszych pielęgniarek i lekarzy. Byliśmy lubiani. Wszyscy nam współczuli, gdy kolejna próba zawiodła.

Przed dwoma laty, w lodowaty styczniowy poranek, gdy za oknem naszej sypialni wirowały płatki śniegu, Alice nagle powiedziała:

– Nie dam już rady, Oliver. Po prostu nie dam już rady.

W owym czasie po raz kolejny wstrzykiwała sobie hormony, aby przygotować się do następnego pobrania jajeczek, jedenastego czy dwunastego. Była nawodniona, miała opuchnięte nogi i wydęty brzuch, który paradoksalnie wyglądał tak, jakby była już w ciąży. Jej krew aż się lepiała od hormonów, dlatego musiała pić sześć litrów wody dziennie, aby zmniejszyć ryzyko zakrzepicy. Wstając z łóżka, jęczała z bólu. Od dawna zastanawiałem się, jak ona to wytrzymuje. Wciąż od nowa. A w końcu i tak zawsze przychodziło rozczarowanie.

– Dobrze, moja droga – powiedziałem.

Leżeliśmy obok siebie w łóżku, przez dłuższą chwilę obserwowaliśmy w milczeniu płatki śniegu.

– To dobra decyzja. Twoje ciało wystarczająco dużo już przeszło. To musi się skończyć.

Zaczęła płakać.

– Ale ja chcę mieć dziecko.

Westchnąłem.

– Tylko że to nie działa. Może w którymś momencie po prostu trzeba pogodzić się z losem.

– Moglibyśmy adoptować dziecko.

Kilkakrotnie już o tym wspomniała. Zareagowałem bardzo powściągliwie. Niekończąca się, kosztowna procedura – a my już zaciągnęliśmy długi, aby opłacić liczne próby sztucznego zapłodnienia. Trudno też było przewidzieć, kogo po zakończeniu procedury adopcyjnej przyjdzie nam trzymać w ramionach. Wiem, mówimy o dzieciach, nie o samochodach, które się kupuje, albo o nieruchomościach. Ale, na Boga, właśnie tego się obawiałem. Skąd się dziecko wzięło, przez co już przeszło? Jaka była jego historia, jaką ma psychikę? Właśnie skończyłem czterdzieści pięć lat, byłem osiem lat starszy od Alice. Oboje nie byliśmy już młodzi, zwłaszcza ja. Nie dostaniemy niemowlęcia, tylko malucha. Pewnie nawet nie z Anglii, ale z zagranicy. O dziecku udzielą nam oczywiście informacji. Prawdziwych albo i nie.

To było ryzykowne.

Koniec końców w lutym dwa tysiące pierwszego roku znaleźliśmy się w Słobodskim, w tym potwornym sierocińcu przywodzącym na myśl powieść Charlesa Dickensa. Przed nami stał ten mały, chudziutki chłopiec z dziwną głową, spoglądając na nas zamglonymi oczami. Jego imię odszukano w moskiewskim banku danych, wśród siedmiuset tysięcy innych dzieci przeznaczonych co roku do adopcji... Kiedy po niekończących się korowodach angielscy urzędnicy uznali nas za odpowiednich i można było rozpocząć stosowną

procedurę, zgodnie z przewidywaniami oświadczone nam, że do adopcji gotowych jest stosunkowo niewiele dzieci urodzonych w Anglii, a do tego pierwszeństwo mają młodszy rodzice. Możemy więc czekać bez końca, a wynik i tak jest niepewny.

Stąd właśnie Rosja. Słobodskoj. Sasza.

Mieliśmy niezwłocznie podpisać wniosek adopcyjny, jeszcze w tym pokoju, bez możliwości rozmowy w cztery oczy. Mogliśmy również, jak nas zapewniono, wniosek wycofać.

Leżąc wieczorem w łóżku w pokoju hotelowym, mieliśmy wreszcie okazję otwarcie porozmawiać.

– Ten chłopak jest dziwny – oznajmiłem. – Coś z nim jest nie tak.

– Wydaje mi się opóźniony w rozwoju – odparła Alice. – Może słabo karmił te dzieci. Ale to da się nadrobić.

– Nie wierzę, że dzieci są kiepsko karmione. Większość z nich wygląda całkiem zwyczajnie – zauważyłem.

– Ale jako niemowlę był zaniedbywany. I oto skutki – upierała się Alice.

Co wiedzieliśmy o Saszy? Był dzieckiem siedemnastoletniej prostytutki, która nie uważała i zaszła w ciążę z klientem. Przez rok starała się zajmować małym, ale w pewnym momencie interweniowali pracownicy socjalni. Sasza był niedożywiony i opóźniony w rozwoju – stwierdzono w raporcie, który otrzymaliśmy w tłumaczeniu. Nie umiał zrobić nic, co potrafią normalne roczne dzieci, a to świadczyło o tym, że nikt się nim nie zajmował. W końcu sąd zdecydował o odebraniu prawa do opieki. Matka zgodziła się na oddanie dziecka do adopcji, czując przy tym, jak nas zapewniła tłumaczka, ogromną ulgę. Jeśli Sasza zostanie nam przekazany, nie będzie kwestionować wyroku przed jego uprawomocnieniem. Właściwie sprawa była przesądzona: byliśmy blisko celu naszych pragnień. Posiadania dziecka.

Wiedzieliśmy także, że nie musimy się zgodzić na zabranie Saszy, a wtedy otrzymamy propozycję adopcji innego dziecka. Nie poczytano by nam tego za złe, wiadomo bowiem, że w przypadku jakichkolwiek problemów lepiej od razu zrezygnować, niż przez następne lata zadręczać się w całkowicie dysfunkcyjnej rodzinie. Któż mógł to jednak przewidzieć? Nadto procedura kolejnej adopcji mogła się przeciągnąć. Często dochodziło do ich wstrzymywania. Rosja narzucała takie decyzje bezlitośnie, kiedy tylko w jednym z krajów docelowych pojawiały się problemy. Mogły one wynikać z niedopełnienia warunków umowy, nakazującej rodzicom składanie przez pierwsze trzy lata regularnych sprawozdań. Nie dało się ich za to pociągnąć do odpowiedzialności, ale utrudnić życie czekającym w kolejce – i owszem. To był element nacisku. Może i zrozumieli. Ale w rzeczywistości powodowało to, że się brało, co oferowano, starając się szybko zakończyć procedurę – nawet jeśli w głowie kołatały się ostrzegawcze głosy.

Słyszałem cały chór takich głosów, podobnie zresztą jak Alice. Byliśmy jednak znużeni i wyczerpani. Dotarcie do tego miejsca w Rosji okazało się ponad ludzkie siły. Oboje byliśmy u kresu wytrzymałości. Chcieliśmy mieć to wreszcie za sobą i rozpocząć nowe życie, rodzinne.

W lipcu dwa tysiące pierwszego roku rosyjski sąd oddał Saszę w nasze ręce. Dwa tygodnie później wyrok się uprawomocnił.

Wróciliśmy z naszym synem do Anglii pełni nadziei na szczęśliwe życie.

Poniedziałek, 29 lipca

1

Dom, w którym mieszkała Sophia Lewis, stał w ciszy i świetle słonecznego poranka. Nic nie wskazywało na to, że tydzień wcześniej doszło do zamachu na jej życie. Ktokolwiek ujrzał ten niewielki, wzniesiony z cegły dom z nisko schodzącym dachem pośrodku kwitnącego ogrodu, mógłby przypuszczać, że mieszkają w nim szczęśliwi ludzie, których życiu nie grozi nic złego.

Coś jednak musiało się wydarzyć, pomyślała Kate, przedzierając się ku drzwiom wejściowym pod gęstwiną liści starych jabłoni. To, co przydarzyło się Sophii, nie spotyka człowieka, którego życie jest wolne od mrocznych otchłani. Coś w jej biografii doprowadziło do tego potwornego zdarzenia, które odtąd będzie kształtować jej losy.

Inspektor Stewart wręczył jej klucz, czując ulgę, że zaczęła pracę w wydziale śledczym trzy dni wcześniej, niż planowano.

– Dziękuję, pani sierżant – powiedział – bardzo to doceniam. Przyda się teraz każda para rąk.

– Nie ma za co – odparła Kate. Nie opowiedziała mu o swoich prawdziwych problemach: o życiu w nieustannym poczuciu osamotnienia, o tym, że nie czuła się do nikogo przynależna. Przez te wszystkie lata praca stała się najbezpieczniejszym sposobem ich zagłuszenia. Kartony mogła rozpakowywać stopniowo. Nie czuła żadnego przymusu.

Robert nie do końca rozumiał, czemu Kate chciała raz jeszcze rozejrzeć się w domu Sophii Lewis. „Nasi ludzie przetrząsnęli tam każdy zakamarek”. Miała wrażenie, że chętnie przydzieliliby jej jakieś inne zadanie, a jej zamiar uznał za niedorzeczny. Ona jednak z własnej woli zjawiała się w pracy wcześniej, zrobiła więcej, niż musiała, on zaś jej potrzebował. Zgodził się, dość głośno zgrzytając przy tym zębami.

Kate nie spodziewała się, że odkryje coś znaczącego. Chciała po prostu poczuć się jak Sophia. Myśl tę zachowała jednak dla siebie, wiedząc, że jej wyjawienie wywoła u Roberta jeszcze większe zdumienie.

Otworzyła drzwi i weszła do wyłożonego płytkami przedpokoju. Po prawej stronie znajdowała się szafa, pod nią widniały rzędy licznych butów, zwłaszcza trampek. Dalej wchodziło się wprost do dużego salonu z otwartą kuchnią. Przytulny pokój, od razu zauważyła Kate, jasne kanapy z kolorowymi poduszkami, na podłodze chodnik w neutralnym kolorze, stary drewniany stół jadalny z licznymi krzesłami, również

wyłożonymi barwnymi poduszkami. Kuchnia była nowoczesna i czysta, wyposażona w wiele sprzętów, co wskazywało na to, że Sophia lubiła gotować. Na blacie oddzielającym strefę kuchenną od salonu stał ekspres do kawy z najwyższej półki, który musiał kosztować fortunę. Kate poczuła nagle nieodpartą ochotę na filiżankę mocnej, aromatycznej kawy, ale zapanowała nad sobą. Nie było mowy, by mogła ją tu sobie przyrzadzić.

W domu były jeszcze dwa pomieszczenia: sypialnia Sophii oraz łazienka. Łazienka była wyłożona płytkami w kolorze brzoskwiniowym i raczej spartańsko wyposażona, jeśli chodzi o kosmetyki. Na brzegu wanny stały szampon do włosów oraz żel pod prysznic. Na półce pod lustrem w zielonym kubku ze zdjęciem zespołu popowego, którego Kate nie знаła, tkwiły stępiona kredka do oczu i tusz do rzęs. Uchwyt kubka był utracony. Tuż obok leżała tubka kremu do twarzy. To wszystko. W drewnianej szafce pod oknem, zaraz obok wanny, Kate znalazła tylko stertę ręczników. Żadnych innych środków do pielęgnacji. Najwyraźniej Sophia była kobietą wysportowaną, dla której liczyła się przede wszystkim sprawność fizyczna. Makijaż na pewno nie należał do jej hobby. Nie wydawała się też zainteresowana perfumami, kremami przeciwzmarszczkowymi ani innymi środkami poprawiającymi wygląd. Przywiązywała wagę głównie do ruchu na świeżym powietrzu.

Opinię tę potwierdzało wyposażenie sypialni. Łóżko, szafa, biurko. W szafie przede wszystkim ubrania sportowe, dresy do joggingu, szorty rowerowe, obcisłe topy, bluzy. Oczywiście również dzinsy, kilka spódnic, koszulek, swetrów. Rzeczy noszone przez Sophię w szkole. Na dnie szafy stało kilka par sandałów i butów w różnych kolorach.

Biurko. Komputer zabrali funkcjonariusze, by sprawdzić jego zawartość. Kilka stosów papieru, parę zeszytów. Na blacie oraz na podłodze leżały rozmaite książki. Kate przewróciła parę kartek. Nie znalazła niczego, co mogłoby być przydatne dla sprawy. Były to książki i skrypty z dziedziny fizyki i matematyki. Notatki do lekcji. Sprawdzone testy. Zeszyty z poprawionymi zadaniami, noszącymi jednak starsze daty. Kate dokładniej im się przyjrzała, aby sprawdzić, czy nie ma w nich gorszych ocen lub druzgocących uwag. Lecz wydawało się, że ćwiczenia nie zostały ocenione. Komentarze umieszczone przez Sophię na marginesach były konstruktywne, przyjazne i pochlebne. Kate pomyślała, że musiała być bardzo miłą kobietą, oddaną i serdeczną. Sama chciałaby mieć taką nauczycielkę matematyki. Nie była mocna z tego przedmiotu.

Otworzyła kilka szuflad, pogrzebała w nich, ale nie znalazła nic, co ujawniłoby dalsze informacje. Sophia najwyraźniej nie należała do osób, które utrwały swoją przeszłość w postaci dokumentów, świadectw, starych zdjęć czy listów. Przed rokiem przeprowadziła się z Manchesteru do Stainton Dale i wzorem wielu innych

wykorzystała tę okazję do gruntownego uporządkowania swoich spraw. Dom wyglądał tak, jakby jej życie dopiero tutaj się zaczęło, jakby wcześniej nie miała innego. Kate zastanawiała się, czy Sophia miała jakiś powód, by tak kategorycznie zerwać z przeszłością. A może była po prostu osobą, która dba o porządek i zachowanie w codziennym życiu pewnego minimalizmu.

Wystraszyła się, gdy nagle ktoś zapukał do okna tuż obok biurka. Do pokoju zaglądał jakiś mężczyzna. Kształt jego ust zdawał się mówić: Kim jesteś i co tutaj robisz?

Kate wyjęła legitymację służbową i przyłożyła ją do szyby. Mężczyzna wydawał się jeszcze bardziej zdezorientowany. Dał znak, że podejdzie do drzwi frontowych, Kate przytaknęła. Skierowała się ku wejściu, otworzyła drzwi.

– Policja? – zapytał stojący przed nią mężczyzna. Miał około czterdziestu lat. Nosił dżinsy, czarny T-shirt i dość pobrudzone trampki. Wydawał się roztrzęsiony.

– Czy coś się stało? Gdzie jest Sophia?

– Pan jest...?

– Nicolas. Nick. – Po chwili przypomniał sobie, że ma też nazwisko, i dodał: – Gelbero.

– Kate Linville, policja North Yorkshire. Jest pan znajomym Sophii Lewis?

– Jestem jej bliskim przyjacielem. Mieliśmy się dzisiaj spotkać. Pukałem do drzwi wejściowych, ale nikt nie odpowiedział. Co się stało?

Sypialnia mieściła się na tyłach domu, to dlatego Kate nic nie usłyszała.

– Proszę wejść – powiedziała.

Kilka minut później siedzieli naprzeciw siebie przy stole Sophii, Kate streściła przebieg wydarzeń. Nick bladł coraz bardziej, wyglądał na przerażonego i skonsternowanego. Jeśli nie był wprawnym aktorem, śmiało można go było skreślić z listy podejrzanych. Człowiek nie mógłby być bardziej zszokowany.

– O Boże – powtarzał wciąż. – O Boże! – Nagle zerwał się z krzesła. – Muszę natychmiast do niej iść!

– Chwileczkę – powstrzymała go Kate. – Mam do pana parę pytań. Nie sądzę, by pozwolono panu zobaczyć się teraz z Sophią.

Poszarzał na twarzy.

– To wszystko jest straszne. Potworne. Będzie sparaliżowana? Na zawsze?

– Tego właśnie obawiają się lekarze. O ile mi jednak wiadomo, sprawy mogą potoczyć się całkiem inaczej. Nie możemy tracić nadziei.

Nick jęknął. Jego czoło zrosił pot.

Sophia jest mu bardzo droga, pomyślała Kate.

– Ona wolałaby umrzeć. Wiem o tym. Gdyby już nigdy nie mogła się poruszać, wolałaby umrzeć.

– Panie Gelbero, musimy się dowiedzieć, kto jej to zrobił. Problem w tym, że tak mało wiemy o samej Sophii. Wszyscy ją lubią i szanują, ale nikt nic nie wie o jej dawnym życiu, zanim przyjechała do Stainton Dale.

– Znam ją z Manchesteru – odparł Nick. – Uczyła w Chorlton High School. Tam też była lubiana. Wśród uczniów i kolegów.

– Czy pan także był jej kolegą z pracy?

– Nie. Jestem producentem filmów dokumentalnych. Głównie o środowisku naturalnym.

– Jak poznał pan Sopię?

– Chodziliśmy do tego samego klubu fitness. Spodobała mi się. W końcu się dowiedziałem, o jakich stałych porach przychodzi. Dopasowałem do niej własne terminy. I... no cóż – zaśmiał się – zadziało. Zostaliśmy parą.

Nareszcie! Serce Kate mocniej zabiło. Wreszcie jakaś *prawdziwa* osoba z życia osobistego Sophii.

– Czy zamieszkaliście razem?

– Niestety, nie. Chciałem, ale Sophia nie potrafiła sobie tego wyobrazić. Ona jest bardzo niezależna.

– Panie Gelbero, oczywiście braliśmy pod uwagę, że ten przeciągnięty przez ścieżkę drut może być uczniowskim żartem, który mimowolnie zakończył się tragedią. Ale oddany strzał zupełnie nie pasuje do tego założenia. Co więcej, dwa dni wcześniej z tej samej broni strzelano do kobiety w pociągu z Londynu do Yorku. Sprawcą był dorosły człowiek.

Nick wyglądał na zdezorientowanego.

– Zdarzenie w pociągu? Czytałem o tym w gazecie. Ten sam sprawca zaatakował Sopię?

– Tego nie wiemy. Wiemy tylko, że użyto tej samej broni, co mogłoby wskazywać na tego samego sprawcę. – Kate wyciągnęła swojego iPhone'a, odszukała portret pamięciowy sporządzony na podstawie opisu Kseni i pokazała go Nickowi. – Zna pan tego człowieka?

– To ten facet z pociągu?

Kate skinęła głową. Nick wpatrywał się w portret z niemal wzruszającą gorliwością.

– Nie. Niestety, ta twarz nic mi nie mówi. Nigdy wcześniej jej nie widziałem.

Kate ukryła rozczarowanie.

– Czy imię i nazwisko Ksenia Paget coś panu mówią?

– Ksenia Paget?

– Dawniej Ksenia Sidorowa. Pochodzi z Rosji.

Nick ponownie wyteżył pamięć, ale w końcu potrząsnął głową.

– Nigdy wcześniej nie słyszałem tego nazwiska.

– Czy Sopię łączyło coś z Rosją? Pojechała tam na wycieczkę? Może ma tam znajomych albo przyjaciół? Może uczęszczała na kurs języka rosyjskiego? Cokolwiek?

– Nie. O ile mi wiadomo, nie zna nikogo z Rosji. Nic jej nie łączy z tym krajem. Nigdy nie miała ambicji, by nauczyć się rosyjskiego ani tam pojechać. Ona marzy o Australii. Chciała wybrać się tam na cały rok, by zwiedzić kraj. – Przełknął. – *Marzyła* o tym, tak to trzeba powiedzieć. Już nigdy nie zdoła tego zrobić.

– Opisał ją pan jako osobę powszechnie lubianą. Mimo to musi istnieć ktoś, kto bardzo jej nienawidzi. Czy ktoś przychodzi panu na myśl? Jakies zdarzenie z przeszłości? Może o czymś napomknęła, na co pewnie nie zwrócił pan uwagi. O jakiejś sprawie, przez którą mogła narobić sobie wrogów.

Nick, chcąc nie chcąc, znów musiał rozczarować Kate.

– Nie. To znaczy, niekiedy w szkole działy się różne rzeczy. Uczniowie dostawali kiepskie oceny, a potem skarżyli się z tego powodu. Wiem, że pewnego razu rodzice jakiegoś ucznia przyszli do szkoły z prawnikiem, bo uważali, że Sophia niesprawiedliwie oceniła ich syna. Sophia poczuła się przybita tą historią, ale nie aż tak, by sądzić, że ci rodzice będą odtąd dybać na jej życie. Było jej po prostu bardzo przykro.

– Pamięta pan może nazwiska tych ludzi? I kiedy to się stało?

– W pierwszym roku, który spędziliśmy razem. A więc w dwa tysiące szesnastym. Ale nazwiska nie pamiętam.

– Nie ma problemu. Dowiem się tego w szkole. Poza tym nic nie przychodzi panu do głowy?

– Nie. Tak naprawdę nigdy nie opowiadała o swojej przeszłości.

– Jeśli chodzi o jej rodziców, żyje tylko ojciec – powiedziała Kate. – Rodzeństwa nie ma. Jest tu lubiana przez wszystkich, także przez kolegów z pracy, ale mimo to nie wydaje się, by miała bliskich przyjaciół.

– Racja – przyznał Nick. – Właśnie tak to zawsze odbierałem. W Manchesterze. Znała wielu ludzi – kolegów z pracy, osoby z siłowni, sąsiadów. Z każdym była trochę zaprzyjaźniona, ale tylko trochę. Nikogo tak naprawdę do siebie nie dopuszczała. Była serdeczna i miła, bardzo pomocna. Prawdziwa kumpela dla każdego. Ale nie sądzę, by komukolwiek pozwalała zajrzeć w swoje wnętrze. Albo opowiadała dużo o sobie. Byłem jej partnerem przez dwa lata, lecz prawie nic nie wiem o jej przeszłości.

– Co doprowadziło do waszego rozstania?

– Złożyła podanie w tutejszej Graham School w Scarborough. Nic mi o tym nie mówiąc. Pewnego dnia przy kolacji oznajmiła lapidarnie, że jej podanie przyjęto i że szuka właśnie domu w Scarborough lub w okolicy. To było jak uderzenie obuchem. – Nick zamilkł, wciąż zdawał się zakłopotany wspomnieniem tamtego wieczoru. – Pamiętam dokładnie, w której włoskiej knajpie siedzieliśmy, przy którym stoliku... Chciałem z nią akurat porozmawiać o wspólnym letnim wyjeździe. A wtedy ona zmroziła mnie tą wiadomością.

– To bardzo dziwne zachowanie – przyznała Kate.

– Owszem, też tak pomyślałem. To znaczy, wprawdzie nie zamieszkaliśmy razem, ale przecież byliśmy parą. Spędzaliśmy wspólnie weekendy, opowiadaliśmy o sobie. Przynajmniej ja. Jak już wspomniałem, ona prawie nic o sobie nie mówiła.

– Może taki ma po prostu charakter. A może jednak w jej życiu kryje się jakiś poważniejszy problem.

– W każdym razie znalazła ten dom tutaj, podpisała umowę najmu i wyjechała z Manchesteru.

– Jak to panu wyjaśniła? Musiała przecież podać jakiś powód, dla którego chciała zmienić szkołę.

– Uważała, że od czasu do czasu dobrze jest zmienić otoczenie. Podjąć nowe wyzwania. Poznać nowych ludzi. Są to powody, z którymi trudno polemizować. Poczuję się bardzo dotknięty. Jej zachowanie tak naprawdę świadczyło o tym, że nie była zaangażowana w nasz związek równie mocno jak ja.

– Ale zostaliście przyjaciółmi?

– Tak, ale nawet wtedy to mnie bardziej na tym zależało. Pozostałem z nią w kontakcie, głównie przez WhatsAppa. A kiedy w tym tygodniu miałem załatwić w tej okolicy sprawy zawodowe, zaproponowałem spotkanie. Zgodziła się. Ma teraz wakacje.

– I mieliście się tutaj spotkać?

– Miałem po nią przyjechać, chcieliśmy wstąpić gdzieś na obiad. Przez ostatnich kilka dni byłem trochę zaskoczony, że nie odpowiedziała, gdy ponownie potwierdziłem spotkanie, ale pomyślałem sobie, że pewnie niepotrzebnie ją tym denerwuję, bo wszystko było ustalone. Dlatego nie kontaktowałem się z nią powtórnie i po prostu przyjechałem.

– Telefon komórkowy Sophii Lewis wskutek upadku uległ całkowitemu zniszczeniu – powiedziała Kate. – Jesteśmy w trakcie odzyskiwania danych, a także przeglądamy zawartość jej komputera.

– Nic z tego nie rozumiem – wyznał Nick. – Po prostu tego nie rozumiem.

Kate się zamyśliła.

– Kiedy nagle wyjechała z Manchesteru... czy coś wzbudziło w panu niepokój? Oczywiście poczuł się pan zraniony i wstrząśnięty. Ale czy miał pan jakieś niejasne przeczucie? Domyślał się pan prawdziwych powodów?

Skinął głową.

– Od razu pomyślałem o innym mężczyźnie. Że kogoś poznała i chce z nim być. Ale żeby milczeć na ten temat – to do niej niepodobne. O ile w kwestii życia wewnętrznego była bardzo skryta, o tyle na co dzień cechowała ją prostolinijność. Nie jest typem kobiety, która całymi miesiącami spotyka się potajemnie z innym mężczyzną, a potem znika z jakiegoś błahego powodu. Powiedziałyby mi o tym.

– Czy przyszło panu coś jeszcze do głowy? Z pewnością dużo pan o tym rozmyślał.

– Całymi nocami nie mogłem zasnąć. Myślałem głównie o tym, kiedy postąpiłem niewłaściwie. Choć ona wciąż mnie zapewniała, że nie ma to ze mną nic wspólnego.

Kate wyczekiwała. Wyczuła, że Nick próbuje jej odpowiedzieć jak najbardziej szczerze.

– Może to zabrzmiało dziwnie – rzekł w końcu – po tym wszystkim, co się wydarzyło. Ale istotnie bywały chwile, gdy miałem wrażenie, że ona się boi. Czegoś albo kogoś. Chociaż o niczym nie wspominała.

– Skąd wzięła się u pana taka myśl?

– Wydawała się bardziej załęczniona niż zwykle. Dziwnie nerwowa. Niespokojna. Nie wiązało się to z jakimś konkretnym zdarzeniem, sprawiała jedynie takie wrażenie. Wydawała się inna. Nie przez cały czas, ale chwilami. Tak, mogę to opisać tylko w ten sposób: nerwowa. Sprawiała wrażenie zdenerwowanej.

– Z powodu zbliżającej się zmiany miejsca pracy? – Kate potrafiła to zrozumieć. Miała w pamięci wszystkie te nerwowe chwile, kiedy zdecydowała się opuścić Scotland Yard i rozpocząć pracę w Scarborough.

Nick potrząsnął głową.

– Nie potrafię tego dokładnie określić. Nie odniosłem wrażenia, że chodzi o zmianę szkoły. Ale nie mogę tego uzasadnić. To było przeczucie. Trudno to opisać. Ona zwyczajnie nie była Sophią, jaką znałem. Jakby spowił ją jakiś cień. Tak, może to jest najlepsze określenie. Jej życie spowił cień. Nie mam jednak pojęcia, co było tego powodem.

2

– Cień – mruknął inspektor Robert Stewart. – To nie jest informacja, która nam wiele pomoże. Cień. Czy jest coś mniej konkretnego?

Siedzieli w jego biurze. Kate, sierżant Helen Bennett oraz Robert. Kate opowiedziała o swoim spotkaniu z Nickiem Gelbero. Robert, ze względu na brak jakichkolwiek postępów w śledztwie, rzucił się na Nicka.

– Czy nie miał powodu? Kochał ją, a ona go zostawiła. Nagle, w bardzo bolesny sposób. Teraz on chce jej za to odpłacić.

Kate potrząsnęła głową.

– Dlaczego dopiero po roku? Poza tym był naprawdę zszokowany, gdy usłyszał o ataku. Człowiek nie może aż tak dobrze udawać.

– On kręci filmy.

– Filmy dokumentalne. On je produkuje. Nie jest aktorem.

– Wpisałbym go na listę podejrzanych – oznajmił Robert.

– Na jaką listę? – wymknęło się Helen. – Przepraszam – dodała spiesznie. – Ale czy mamy jakąś *listę podejrzanych*?

To było istotnie dobre pytanie.

– Nie podoba mi się Jacob Paget – stwierdził Robert. – I ten Nick Gelbero też nie. Większość przestępstw jest popełniana w rodzinach i związkach partnerskich.

– To prawda – przyznała Kate. – Mamy dwie kobiety, które są lub były związane z innymi mężczyznami. Te dwie kobiety oraz obaj mężczyźni nie mają z sobą nic wspólnego. Jeśli weźmiemy pod uwagę te cztery osoby, żadna z nich nie słyszała nazwisk pozostałej dwójki.

– Rzecz dotyczy Kseni Paget, jej męża i tego Gelbero – powiedział Robert. – Sophia Lewis nie mogła się jeszcze wypowiedzieć. Mam przeczucie, że to ona jest tu kluczową postacią.

– Niestety, na razie musimy badać inne tropy – stwierdziła Kate.

– Następne kroki? – zapytał Robert. Nie były to słowa człowieka ogarniętego zapałem, miał jednak tak niewiele poszlak, że wszelki zapał nieuchronnie przygasał.

W roli szefa będzie się musiał dopiero odnaleźć, pomyślała Kate. Jak dotąd niewiele w nim można dostrzec cech przywódcy.

Zrobiło jej się go trochę żal. Zaraz na początku dostać taką sprawę... Z drugiej strony jej współczucie miało swoje granice. Niezupełnie fair potraktował Caleba, by przejąć jego posiadłość. Niech teraz na własnej skórze zobaczy, jak to jest.

– Pojadę do Manchesteru – oznajmiła Kate. – Porozmawiam z dyrektorem szkoły, w której uczyła Sophia. Chcę podążyć tropem rozsierdzonych rodziców, których syn został rzekomo niesprawiedliwie oceniony. Jestem niemal pewna, że ci ludzie nie mają z tym nic wspólnego, ale musimy to przynajmniej wykluczyć.

– Dobrze – przytaknął Robert – bardzo dobrze.

Telefon Helen cicho zabrzączał. Przeprosiła i wyszła z pokoju.

Robert spojrział w akta.

– Sophia Lewis urodziła się w Birmingham. Czy ma tam jeszcze rodzinę? Przyjaciół?
– Ojciec nadal żyje – odparła Kate. – Odwiedzę go. Należy teraz możliwie jak najwięcej pogrzebać w przeszłości Sophii.

– I w przeszłości Kseni Paget.

– To będzie trudniejsze. Większą część życia spędziła w Rosji, i to w dość odległej okolicy. Sama podróż oraz przesłuchania mogłyby...

– ...okazać się niezwykle kosztowne – dokończył Robert. – To byłaby ostatnia deska ratunku. Cholera, musi być jakiś sposób, by zmusić tę kobietę do złożenia zeznań, prawda? Mam na myśli Ksenię Paget. Ktoś chce ją zastrzelić w zatłoczonym pociągu, a ona nie ma pojęcia dlaczego?

Kate powtórzyła to, o czym mówiła już Calebowi.

– Myślę, że ona coś podejrzewa. Ale nie chce o tym rozmawiać. Boi się.

– Dziwne. Znalazła się dosłownie na celowniku jakiegoś szaleńca i boi się zaufać policji? Co ma do stracenia?

– Najwyraźniej to w nas dostrzega większe zagrożenie – stwierdziła zamyślona Kate. – Co może oznaczać, że jakieś zdarzenie z przeszłości doprowadziłoby do postawienia jej w stan oskarżenia. Albo przynajmniej ona tak sądzi. Dowiem się, za pośrednictwem której agencji Jacob Paget poznał Ksenię. Może to okaże się pomocne.

– W każdym razie powinna pani raz jeszcze porozmawiać z Ksenią – powiedział Robert. – Uświadomić jej, jak ważne jest, by grała z nami w otwarte karty. Tylko wtedy będziemy mogli ją chronić.

– Porozmawiam z nią. Jeszcze zanim pojedę do Manchesteru.

– Łatwiej znaleźć igłę w stogu siana niż początek nitki w tym kłębku – westchnął Robert.

Spojrziała na niego. Wydawał się nad wyraz zestresowany i przytłoczony.

Muszę opowiedzieć o tym Calebowi, pomyślała z cichą satysfakcją i od razu poczuła, że to dziecinada.

– Czy coś się wyjaśniło w sprawie White'a? – zapytała, aby odwrócić na chwilę uwagę.

Robert od razu poczuł ulgę.

– Wszystko jasne. Sytuacja jest dość jednoznaczna. Jayden White siedzi w areszcie. Trafi za kratki na długie lata. Niestety, nikogo to nie uratuje.

– Czy Caleb będzie musiał zeznawać?

– Tak. Prowadził kluczową rozmowę.

– Czy Caleba czekają jeszcze jakieś kłopoty? – Musiała się tego dowiedzieć. – Z powodu tej rozmowy?

– Być może rozpocznie się kolejne śledztwo – mruknął wymijająco Robert.

Spojrzeni na siebie. Wydawało się, że nagle stanął pomiędzy nimi Caleb, przez krótką chwilę narastało wrogie napięcie. Wkrótce jednak minęło. Zarówno Kate, jak i Robert zachowywali się na tyle profesjonalnie, by zdusić problem w zarodku.

– No więc... – zaczął Robert, ale mu przerwano. Drzwi się otworzyły, wróciła Helen.

– Dzwonili ze szpitala. Sophia Lewis mogła opuścić OIOM. To chyba dobre wieści.

– Dzięki Bogu – przyznała Kate.

– Czy może mówić? – chciał wiedzieć Robert.

Helen potrząsnęła głową.

– Od razu o to zapytałam. Niestety nie.

– Niech to szlag – zaklął Robert.

– Pozostało nam czekać dalej – odparła Kate.

3

Gdybym nie prowadziła tego kursu językowego, pomyślała Ksenia, pewnie bym oszalała.

Lubiła swoich uczniów. Z wzajemnością. Pochodzili z Syrii, Iraku, Afganistanu. Dwóch nawet z Somalii. Ksenia kochała tę pracę. Wiedziała, że jest dla swoich uczniów chodzącą motywacją.

Przez trzy czwarte swojego życia mówiłam wyłącznie po rosyjsku, zwykła wyjaśniać. A posłuchajcie mnie dzisiaj! Skoro ja tego dokonałam, wy też zdołacie.

Lubiła mieć do czynienia z ludźmi, z którymi wiązała ją podobna historia. Przybywali z obcych, odległych krajów, porzucali ojczyznę, gdyż wojna, nędza lub, jak w przypadku Kseni, przytłaczający brak perspektyw zmuszały ich do zrobienia kroku w nieznaną. Europa Zachodnia, Wielka Brytania. Trafiali między obcych ludzi, zanurzali się w obcej kulturze pełnej nieznanymi zwyczajów i tradycji, a przede wszystkim z zupełnie obcym językiem. Ksenia doskonale wiedziała, jak bardzo to wszystko potrafiło peszyć i niepokoić, jak bardzo człowiek czuł się wykorzeniony i zagubiony. Na własnej skórze doświadczyła, że kluczem jest umiejętność porozumiewania się z miejscowymi, która otwierała drzwi, stwarzała bliskość i zrozumienie. Była początkiem nowej przyszłości.

Wracając tego wieczoru do samochodu pozostawionego na dużym parkingu przed ratuszem w Headingley, jak zawsze poczuła satysfakcję płynącą z kontaktu z uczniami. Wyraźnie też sobie uświadomiła, co tak naprawdę czeka ją przez resztę tygodnia: te poniedziałkowe wieczory były dla niej jedyną okazją do wyrwania się z domu. Od przytłaczającego złego humoru Jacoba, jego żądzy władzy, jego

niecierpliwości, cynicznej złośliwości. Przez dwie godziny w tygodniu czuła się wolna. Była z sobą sam na sam. Jakby w trakcie tych dwóch godzin nabierała w płuca powietrza, by przetrwać kolejne siedem dni, nim znów będzie mogła od niego uciec.

Było krótko po godzinie dziesiątej. Kurs skończył się o dziewiątej, ale tego dnia Syryjka Aabidah miała urodziny; przyniosła ciasto i zaprosiła pozostałych kursantów na małą uroczystość. Usiedli zgodnie wokół stołu w tej ponurej salce, jedli ciasto, pili lemoniadę z kartonowych kubków, a nawet zapalili kilka świec. Ksenia czuła się, jakby brała ciepłą kąpiel, póki sobie nie przypomniała, że spóźnienie przysporzy jej w domu poważnych kłopotów. Wysłała Jacobowi wiadomość przez WhatsAppa, informując go o urodzinach i wyjaśniając, że została zaproszona i nie mogła odmówić. Teraz, stojąc w zapadającym zmroku przy samochodzie, stwierdziła, że Jacob wciąż nie odczytał wiadomości. Niedobrze. Wścieknie się, rozpęta prawdziwe piekło. Jej mąż nie posuwał się do rękoczynów, ale ranił słowami. Ksenia odnosiła czasem wrażenie, że to było znacznie gorsze. Nader chętnie wykorzystał fakt, że przez ostatnie lata straciła dawną figurę. Wiedział, jak boleśnie ją dotykał, kpiąc, a nawet wymyślając jej z powodu szerokich bioder, grubych ud i obszernych ramion.

„Jak można się tak zaniedbać”, powiedział do niej z pogardą zaledwie kilka dni wcześniej. „To obrzydliwe. Po prostu obrzydliwe”.

Wystukała drugą wiadomość: *Właśnie wyjeżdżam. Zaraz będę w domu.*

Może usłyszy dźwięk przychodzącej wiadomości i nareszcie spojrzy w ekran swojej komórki. Ksenia mogła też zadzwonić, ale nie odważyła się tego zrobić. Niezwłocznie zacząłby się nad nią znęcać. A tak zyskała nieco czasu.

Westchnąwszy, wyjechała z parkingu. Powrót do domu w Bramhope trwał ledwie dwadzieścia minut. Szybko zapadał zmrok. Włączyła reflektory. Tak bardzo chciałyby się znaleźć w domu i nikogo w nim nie zastać. Może poza psem albo kotem. Mogłaby zaparzyć sobie herbatę, gapić się w telewizor, położyć się do łóżka, poczytać. Nic z tego, jeśli się było żoną takiego mężczyzny jak Jacob.

Droga wiodła prosto z Headingley, jednego z przedmieść Leeds, a następnie wiała się wśród pól i lasów, mijając rozrzucone gospodarstwa rolne oraz stojące gdzieniegdzie magazyny, należące do działających w mieście firm. Ruch na drodze był znikomy. Headingley i Bramhope łączyła również droga ekspresowa, wykorzystywana przez większość zmotoryzowanych, jednak Ksenia wolała tę starą szosę. Podróż trwała trochę dłużej, niemniej nawet dziś, mając świadomość, że Jacob wpadnie w szal z powodu jej spóźnienia, nie zdecydowała się nadrobić nieco czasu. I tak nic by to nie dało.

Jechała powoli, gdyż bała się przebiegających przez jezdnię jeleni. Nikt za nią nie podążał, nikt jej nie zmuszał, by przyspieszyła. Nie minął jej też żaden samochód

z naprzeciwka.

Spokój. Cudowny spokój. Cisza przed czekającą ją w domu burzą.

Była tak pochłonięta własnymi myślami, że niemal w ostatniej chwili zauważyła stojący w poprzek drogi samochód. Przerazona, z całej siły nacisnęła na hamulec. Samochód wpadł w lekki poślizg, ale w porę się zatrzymał. Ksenia wlepiła wzrok w stojący przed nią pojazd. Nie sposób go było z żadnej strony ominąć.

Na litość boską, pomyślała, kto parkuje w ten sposób?

Rozejrzała się dokoła, ale nigdzie nikogo nie dostrzegła. Panował gęsty mrok. Samochód wydawał się opuszczony, lecz nie miała stuprocentowej pewności.

Czyżby zdarzył się wypadek? A kierowca powlókł się na łękę?

Ale dlaczego?

Pusty bak? W takim razie kierowca pewnie wybrał się do najbliższej stacji benzynowej. Ale mógł przecież zaparkować na poboczu. Tylko jakiś pijak zostawiłby pojazd na środku drogi.

Albo ktoś, kto rozmyślnie chciał zablokować przejazd.

Ksenię ogarnęły złe przeczucia. Było ciemno i pusto, a ona była zupełnie sama. Nie mogła ruszyć dalej i nie wiedziała, czy w tym wąskim miejscu zdoła zawrócić. Co, jeśli ktoś *właśnie ją* próbował postawić w *takiej sytuacji*?

Nieco ponad tydzień wcześniej ktoś usiłował ją zastrzelić.

Skąd ktokolwiek mógł wiedzieć, że znajdzie się akurat w tym miejscu i że nikt inny nie będzie tędy przejeżdżał?

Ktoś wiedział także, że podróżowała pociągiem z Londynu do Yorku, pomyślała zdjęta paniką.

Odpięła pas bezpieczeństwa i przez nieuwagę nacisnęła na klakson. Jego ostry dźwięk rozdarł nocną ciszę i sprawił, że Ksenia wydała z siebie jeszcze głośniejszy okrzyk przerażenia. Jak oszalała naciskała wszystkie dźwignie i przyciski, by odblokować centralny zamek, dopóki sobie nie przypomniała, że w tym starym, używanym, kupionym jej przez Jacoba aucie, wyglądającym jak zardzewiały gruchot, zamek nie działał. Znalazła się na tej opuszczonej szosie, nie mogąc ruszyć dalej. Jeśli ktoś chciał ją skrzywdzić, wystarczyło, że otworzy drzwi i wyciągnie ją z samochodu.

Zaczęła dygotać na całym ciele, nagle poczuła potworny chłód.

Uspokój się, powiedziała do siebie. To nic groźnego.

Cóż strasznego może się kryć w samochodzie zaparkowanym w ciemnościach w poprzek opuszczonej drogi?

W każdym razie nie mogła przecież stać tu przez całą noc. Przez chwilę zastanawiała się, czy nie powinna zadzwonić do Jacoba i poprosić, żeby po nią przyjechał, lecz przecież on także nic nie wskóra, bo nawet on nie będzie w stanie

usunąć samochodu z drogi. A może jednak? Czy zdołaliby zepchnąć go razem na pobocze? Ale będzie z pewnością klął na czym świat stoi i tłumaczył jej, jaka z niej bezmózga idiotka, nie zadając sobie przy tym trudu, by uzasadnić swoje oskarżenia.

Muszę spróbować zawrócić, pomyślała.

Droga w tym miejscu się zwężała. Z jednej strony ograniczał ją mur, z drugiej zaś wznoszące się łagodnie łąkowe zbocze. Podczas wykonywania manewru musiała uniknąć uderzenia w mur. Jacob stale sprawdzał, czy na samochodzie nie ma rys lub wgnieceń.

Cofnęła kawałek, po czym do oporu skręciła kierownicą. Podczas manewrowania będzie musiała bardzo powoli ruszać w przód i w tył, milimetr po milimetrze. Choć ledwie przed chwilą dygotała z zimna, teraz oblewał ją pot. W kompletnej ciemności niewiele widziała, właściwie nie widziała nic. A w takich sytuacjach nie radziła sobie zbyt dobrze.

Poczyniła jednak pewne postępy i stopniowo odzyskiwała nadzieję, że uda jej się zawrócić. Zauważyła, że powoli się uspokaja. Wtem rozbłysły reflektory. Z tego samego kierunku nadjeżdżał kolejny samochód.

Zwolnił, zatrzymał się w pewnej odległości.

Ksenia wyteęzała wzrok, lecz nic nie dostrzegła, oślepiona jaskrawym blaskiem skierowanych w jej stronę reflektorów. Kierowca ani nie wyłączył świateł, ani ich nie przyciemnił. Ksenia poczuła się jak na cenzurowanym. Oświetlona przez kogoś, kogo nie mogła zobaczyć. W pośpiechu próbowała dokończyć manewr zawracania, kiedy potężne szarpnięcie przeszywające cały pojazd oraz potworny, piskliwy dźwięk zdradziły, że uderzyła tyłem auta w mur. Cudownie! Nie wyglądało to na lekkie zadrapanie, lecz na poważne wgniecenie. Zbyt gwałtownie wcisnęła pedał gazu.

Zerknęła w stronę drugiego pojazdu. Dostrzegła jakąś postać. Przed reflektorami. Mężczyzna. Powoli szedł ku niej.

Pewnie miał przy sobie broń.

Wyłączyła silnik i otworzyła drzwi. Zostawiła wszystko, torbę, telefon, chustę zabraną na wypadek, gdyby pod wieczór się ochłodziło. Było jej wszystko jedno. Nie chciała umierać. Nie chciała zginąć uwięziona pomiędzy dwoma samochodami. Chciała uciec. Po prostu uciec.

Próbowała wspiąć się na zbocze, ale było bardziej strome, niż się wydawało. Kilkakrotnie się ześlizgnęła. Nie była zwinna jak gazela, nie nawykła do sportowego wysiłku. Pełzła na czworakach, przytrzymując się rękami kępek trawy i opierając stopy o wystające z ziemi korzenie. Wydawało jej się, że słyszy czyjeś wołanie, ale nie mogła zrozumieć słów. W uszach szumiała jej krew. Całe to zajście było pułapką,

przeczuwała to od samego początku. Nieważne, jak jej wrogowie zdołali ją znaleźć, jakimś sposobem sobie poradzili i najwyraźniej byli potwornie zdeterminowani.

Oni? Kilku? Czy tylko jeden? On? Z powodu tamtej historii? W której nigdy nie powinna była uczestniczyć. Było to złe, bezwzględne i całkowicie niemoralne, ale co miałyby uczynić? Co *mogła* zrobić w ówczesnej sytuacji?

Dotarła na szczyt, przed nią rozciągało się pole, z którego na szczęście zebrano już plony. Zaczęła biec. Teren był nierówny, nieustannie się potykała, twarde łodygi wbijały się w jej nagie łydki, w końcu zgubiła nawet but. Czuła tak silny ból, że chciała krzyczeć, mimo to biegła dalej, na nic nie zważając. To bez znaczenia, że prawie nie mogła złapać tchu, że dostała kolki, a jej serce waliło jak oszalałe. Gdyby musiała, pobiegłaby i na skraj świata, byleby tylko nie dać się zastrzelić.

W końcu nie dała już rady. Zatrzymała się, skuliła. Czuła, że zalewa się potem, zaczęła dygotać w chłodnym nocnym powietrzu. Pozbawiona buta stopa krwawiła, tak jej się przynajmniej wydawało.

Powoli się wyprostowała, próbując zapanować nad oddechem. Dopiero teraz odważyła się obejrzeć za siebie. Nie miała pojęcia, jak daleko od drogi się znalazła. Wszystko wokół skrywała ciemność. Wiatr szeleścił w listowiu drzew, gdzieś zahukał puszczyk, inny mu odpowiedział. Poza tym wszędzie panowała cisza. Nie wyglądało na to, by ktoś ją śledził.

Nasłuchiwała jeszcze przez chwilę, ale nie słyszała nic prócz bicia własnego serca oraz szumu krwi w uszach. Wtedy zaczęła rozmyślać o własnym położeniu. Oto stała w samym środku nocy na jakimś polu na obrzeżach Leeds, ubrana w cienką bawełnianą sukienkę na ramiączkach i jeden sandał, nie miała ani torebki, ani telefonu komórkowego, ani kluczyków do samochodu. Po prostu nie miała nic. Zostawiła wszystko, ponieważ jakiś mężczyzna wysiadł z samochodu i do niej podszedł. Człowiek, który podobnie jak ona, nie był w stanie dalej jechać. Czy to dziwne, że wysiadł, by z bliska ocenić sytuację? Ujrzał przecież pojazd stojący w poprzek drogi oraz drugi, którym ktoś niezdarnie próbował zawracać.

Co miał zrobić? Pewnie pomyślał, że zdarzył się wypadek. Wysiadł więc z auta. Skąd jej przyszło do głowy, że chce ją zastrzelić?

Mam kompletnie zszargane nerwy, mruknęła do siebie.

Pytanie, co powinna teraz zrobić. Choć uznała, że zdjęta paniką zareagowała przesadnie, nie odważyła się wrócić do samochodu. Nie była pewna, czy zdoła go odnaleźć. Nawet teraz nie miała pojęcia, z którego kierunku przyszła.

Przed sobą, niestety w sporej odległości, dostrzegła miejskie światła Leeds. Latarnie uliczne, podświetlane witryny sklepowe, wciąż otwarte kina... O tej porze większość

ludzi już spała. Może znajdzie posterunek policji. Ktoś musi jej pomóc. Światła.
Światła były jej drogowskazem. Gdzie światła, tam i ludzie.

Bosa stopa potwornie ją bolała.

Zacisnęła zęby i poczłapała przed siebie.

Sasha był tak naprawdę słodkim dzieckiem. Przeważnie cichym i zamkniętym w sobie. Patrzył na świat wielkimi oczami i zdawał się nieustannie zajęty przetwarzaniem tego, co zobaczył. Usiłował zrozumieć. Wpasować to we własny schemat myślowy, którego my nie znaleźliśmy. Jakże się pod tym względem różnił od swoich rówieśników.

– Co z nim? – pytali nas ludzie, przyglądając mu się przez chwilę.

Stało się jasne, że nie był „normalnym” dzieckiem, nie tylko dlatego, że zachowywał się tak spokojnie. Wyglądał dziwnie z tą swoją małą głową, szczupłym, mizernym ciałem, które mimo najlepszego odżywiania nie chciało się rozwijać, nieobecny spojrzeniem ciemnych oczu.

– Będzie dobrze – zapewnialiśmy wesoło, choć nie była to odpowiedź na pytanie.

– Alkoholowy zespół płodowy? – zapytała Alice, kiedy zostaliśmy sami.

Udaliśmy się do dwóch specjalistów, by to sprawdzić, ale obaj uznali, że AZP można wykluczyć. Niestety nie potrafili powiedzieć, co mu dolega. Mieliśmy za mało informacji na temat jego przeszłości.

– Podejrzewam wadę wrodzoną – oznajmił lekarz ze szpitala uniwersyteckiego w Cambridge, u którego również zasięgnęliśmy opinii. – Niedotlenienie podczas porodu. W dzisiejszych czasach nie zdarza się to zbyt często, ale oczywiście czasem występują takie przypadki.

– Czy doszłoby wtedy do uszkodzenia mózgu? – zapytałem ostrożnie.

– To całkiem możliwe – odparł lekarz.

– I co to oznacza? – chciała wiedzieć Alice.

– Trudno powiedzieć. Uszkodzenie mózgu to termin o szerokim zakresie. Możliwe, że w późniejszym czasie będzie miał większe niż inni trudności w nauce, ale ostatecznie uzyska dobry wynik końcowy. Może lepsza byłaby dla niego szkoła specjalna. Może mieć problemy z nawiązywaniem przyjaźni lub podtrzymaniem więzi. Tego nie sposób przewidzieć.

– Ale jest pan w stanie podać nieco dokładniejszą diagnozę, prawda? – upierałem się.

– Tak czy owak, jest znacznie opóźniony w rozwoju. Przyszłość pokaże, w jakim zakresie można to nadrobić.

To wszystko, czego się dowiedzieliśmy. Pewnie nikt nie potrafiłby nic więcej powiedzieć.

Sasha miał wyraźne trudności ze zrozumieniem pewnych kwestii. Oczywiście problemem była też bariera językowa. Czyż jednak nie jest prawdą, że dzieci w tym wieku uczą się nowego języka poprzez zabawę? Któregoś dnia Alice wpadła na pomysł przetestowania jego rosyjskiego zasobu słownictwa i wyszukała rodowitą Rosjankę, by porozmawiała z Saszą. Albo przynajmniej spróbowała z nim porozmawiać. Wynik okazał się dość szokujący.

– Jego słownictwo jest o wiele uboższe niż u zdrowego równolatka. Wyraża się niezdarne i fragmentarycznie. Trudno też zrozumieć jego wymowę. Będzie potrzebował ogromnego wsparcia.

Zamiast normalnego życia rodzinnego, pełnego wypraw na plac zabaw, do lodziarni i na dziecięce przyjęcia urodzinowe, naszą codzienność z Saszą stanowiły wizyty u logopedy, fizjoterapeuty, kręgarza i osteopaty. Opieka nad synem stała się wkrótce zajęciem na pełny etat. Zadanie to w zasadzie przejęła Alice. Rozmawialiśmy o tym, które z nas winno zrezygnować z zawodu i poświęcić się opiece nad Saszą, gdyż wkrótce stało się jasne, że nie będzie go można zapisać do przedszkola i oddać w ręce tamtejszych wychowawców. Będąc doradcą podatkowym, dopiero co mozolnie pozyskałem grono klientów, zarabiałem też trochę więcej niż Alice, zatrudniona w laboratorium farmaceutycznym.

– Jeśli chodzi o nasze dochody, byłoby rozsądniej, gdybym to ja nadal pracował – powiedziałem ostrożnie. Wiedziałem, że w ten sposób skazuję Alice na cholernie trudną i niewdzięczną rolę. Westchnęła z rezygnacją.

– Wiem. To rzeczywiście bardziej rozsądne.

Wymykałem się więc rano do swojego biura, czując ogromną ulgę, podczas gdy ona odwiedzała lekarzy i uzdrowicieli z całego East Midlands. Wieczorem wracałem do domu i chwaliłem postępy Saszy. Prawdę mówiąc, wcale nie były znaczące, lecz Alice, coraz bardziej wyczerpana i sfrustrowana, potrzebowała otuchy, a ja chciałem jej pomóc. Czasami rzeczywiście pojawiały się nikłe promyki nadziei. Sasza zdołał się nauczyć kilku angielskich słów, mieliśmy też wrażenie, że rozumie nas nieco lepiej niż na początku. Wydawał się trochę zręczniejszy, gdy wdrapywał się na huśtawkę, którą ustawiłem dla niego w ogrodzie. Mieszkańcy naszej wioski, oddalonej o kilka minut jazdy samochodem od Nottingham, bardzo serdecznie przywitali Saszę, sierotę z Rosji. Zauważałem jednak sceptyczne spojrzenia, jakimi go obdarzali.

I te pełne politowania, przeznaczone dla nas.

Mniej więcej po roku Alice postanowiła spróbować i zapisała Saszę do przedszkola. Uznała, że nie powinien przebywać tylko z nią i nie mieć praktycznie żadnego kontaktu z rówieśnikami. Sama była u kresu sił. Nie miała wyzwań zawodowych, spędzała czas wyłącznie w towarzystwie upośledzonego dziecka oraz terapeutów, wykonujących z nim żmudne ćwiczenia, którym, zmęczona i sfrustrowana, musiała się przyglądać. Była w psychicznym dołku, wyczuwałem to. W końcu mieliśmy dziecko, ale życie z nim tak bardzo różniło się od naszych wyobrażeń, że oboje byliśmy przybici. Wciąż miałem nadzieję, że zdarzy się cud. Przełom, nagły ogromny skok w rozwoju Saszy, cokolwiek. Coś, dzięki czemu zagościłaby u nas normalność małej, szczęśliwej rodziny.

– Czymże jest normalność? – zapytał kolega, któremu po skończonym dniu pracy opowiedziałem przy piwie o naszych problemach – a raczej mu się wyplakałem. To klasyczna odpowiedź rozmówcy, który nie wie, co powiedzieć, i ucieka się do najbardziej wyświechtanego i najgłupszego sformułowania, jakie może znaleźć: – Czym jest normalność?

– Normalność byłaby wtedy, gdyby nasz czteroletni już syn chodził do przedszkola albo jeszcze lepiej do zerówki – odparłem z irytacją. – Gdyby moja żona mogła wrócić do pracy. Gdyby Sasza miał przyjaciół, z którymi mógłby się bawić, zamiast przez cały czas lepić się do matki i wpędzać ją tym powoli w głęboką frustrację. Chciałbym w weekendy grać z nim w piłkę nożną, nauczyć go pływać i jeździć na rowerze. Chcielibyśmy z nim rozmawiać bez zgadywania przy co drugim słowie, co też ma na myśli. To właśnie byłaby normalność.

Kolega nic więcej nie powiedział.

Sasza zaczął więc chodzić do przedszkola. Z początku tylko na dwie godziny przed południem. Sporo dzieci było od niego młodszych, a mimo to znacznie lepiej rozwiniętych. Czasami, gdy go odbierałem, ponieważ Alice miała – zdaniem lekarza – „depresyjne usposobienie”, i bywały dni, kiedy nie wstawała z łóżka, boleśnie zauważałem różnicę dzielącą naszego syna i pozostałe przedszkolaki. Był taki cichy. Taki niezdarny. Taki powolny. Zdarzało się, jak informowały nas wychowawczynie, że próbował uczestniczyć w zabawie, ale tak bardzo wszystkich wstrzymywał, że inne dzieci albo reagowały gniewem, albo tak długo go ignorowały, aż sam odsuwał się na bok i rezygnował z dalszego udziału.

– W szkole poradzi sobie jedynie pod warunkiem wydatnej pomocy – powiedziała jedna z przedszkolank. – Moim zdaniem pewnych rzeczy niestety nie zdoła opanować.

– Przynajmniej nie jest agresywny – odparłem, mizernie próbując dodać sobie otuchy.

– Przez większość czasu – przyznała kobieta na swój wzruszający sposób.

– Dlaczego przez większość czasu?

Wyznała, że dwukrotnie doszło do incydentu, kiedy to dzieci zepchnęły Saszę na bok lub umyślnie go potrąciły, a wtedy on zaczął wydawać pomruki jak jakieś dzikie zwierzę i gwałtownie wymachiwać pięściami. Tylko przez przypadek nikomu nie stała się krzywda.

– Ale to przecież naturalne, że się broni, gdy jest atakowany! – oznajmiłem.

– Nie został zaatakowany bezpośrednio. Dzieci biegały dokoła...

– ...nie bacząc na to, że ktoś tam stoi – przerwałem jej poirytowany. – A wtedy zaczął się bronić. To zupełnie normalne.

– Jego reakcja była przesadna. Nieodpowiednia.

Pomruki dzikiego zwierzęcia... przesadna... nieodpowiednia...

Usiłowała zrobić z niego potwora. Nie pozwolę na to. Sposób, w jaki go napiętnowała, był niedorzeczny.

Jakieś cztery tygodnie po tej rozmowie w pewien upalny lipcowy dzień Alice odebrała telefon. Była właśnie w Nottingham, chciała sobie kupić nowe ubranie, po raz pierwszy, odkąd Sasza z nami zamieszkał. Sam ją do tego zachęcałem, sądziłem, że w końcu pojawił się promyk nadziei. Wydawało się, że Alice powoli wraca do życia.

Telefon zastał ją w przymierzalni. Dzwonili z przedszkola.

Sasza próbował utopić małą dziewczynkę w brodziku. To poważna sprawa. Powinna natychmiast przyjechać.

Wtorek, 30 lipca

1

Telefon obudził Kate o pierwszej w nocy. W słuchawce usłyszała szloch i nieskładną mowę. Z początku nie miała pojęcia, kto dzwoni. Nie znała numeru wyświetlonego na ekranie. Dopiero po chwili udało jej się rozpoznać głos nocnego rozmówcy.

– Ksenia? – zapytała zdumiona. – Ksenia Paget?

– Czy mogę do pani przyjść? Proszę. Proszę.

– Gdzie pani jest? – Kate usiadła na łóżku. – I co się stało?

– Jestem w policyjnym radiowozie. W Leeds.

– Co pani robi w policyjnym radiowozie? O tej porze? – Kate rozbudziła się na dobre i natężyła uwagę.

Cholera. Tego się właśnie obawiała. Ksenia po raz kolejny znalazła się na celowniku nieznanego.

Przynajmniej nadal żyje. A koledzy z Leeds od razu wkroczyli do akcji.

Ksenia używała dość niespójnych, urywanych zdań, mimo to Kate zrozumiała, co się wydarzyło tamtego wieczoru. Ksenia zadzwoniła do drzwi pierwszego napotkanego domu na osiedlu położonym na obrzeżach Leeds i poprosiła o wezwanie policji. Została zabrana przez patrol i opowiedziała o wszystkim na policyjnym posterunku. Jej sprawa była dobrze znana, potraktowano ją więc bardzo poważnie. Dwóch funkcjonariuszy udało się z nią na miejsce, gdzie zostawiła samochód. Nadal stał tam również pojazd porzucony na środku drogi, natomiast trzeci samochód i podejrzany mężczyzna zniknęli. Torebka, kluczyki, portfel i telefon komórkowy Kseni leżały nietknięte na siedzeniu pasażera.

– Kiedy niedawno w Yorku mogłam skorzystać z pani komórki, szybko wybrałam swój własny numer, stąd właśnie miałam telefon do pani – wyjaśniła Ksenia. – Jest pani jedyną osobą, z którą chcę rozmawiać. Chcę do pani przyjechać.

Głupio wyszło, pomyślała Kate, ale co miałam zrobić? Ksenia musiała wtedy jakoś zadzwonić.

– Mogę zamienić słowo z którymś z funkcjonariuszy? – zapytała.

Ksenia oddała aparat, Kate usłyszała głos posterunkowego Wilsona, który sprawiał wrażenie nieco poirytowanego.

– Każemy odholować stojący w poprzek drogi pojazd. Przeszukamy okolicę. Dowiemy się, do kogo należy auto. Chcielibyśmy odwiedzić panią Paget do domu, ale

ona nie chce tam jechać. Chce do pani.

– A co z jej samochodem?

– Kolega zaparkował go prawidłowo w przydrożnej zatoce. Już nie blokuje drogi. Sprawdzimy go pod kątem pozostawionych śladów, choć nie oczekiwałbym zbyt wiele. Gdyby ktoś majstrował przy aucie, mógłby zabrać wszystko, co zostawiła pani Paget. Portfel, komórkę. Kluczyki. Niczego jednak nie brakuje. Przypuszczam, że nikt tam nie grzebał, ale sprawdzimy to.

– W porządku. Jutro skontaktuję się z sierżantem Jenkinsem. Proszę dać mi jeszcze raz panią Paget do telefonu.

Próbowała przekonać Ksenię, by pozwoliła odwiedzić się do domu, ale kobieta niemal wpadła w histerię.

– Nie, nie. W żadnym wypadku! Proszę! Przy zawracaniu zrobiłam potworne wgniecenie w karoserii. Mogłam uszkodzić także podwozie. I jestem okropnie spóźniona. Jacob wpadnie w szal. O powrocie do domu nie ma mowy. Proszę pozwolić mi przyjechać!

Kate, choć bez krzty entuzjazmu, w końcu się zgodziła, gdyż miała wrażenie, że Ksenia lada chwila popadnie w obłąd. Prowadziła dochodzenie w sprawie, a teraz miałyby gościć w swoim domu jedną z jej uczestniczek. To nie było dobre rozwiązanie, mogło wszystko skomplikować. Zdecydowała, że to będzie krótka wizyta. Ksenia musiała jak najszybciej wrócić do siebie.

Chyba że właśnie po raz kolejny próbowano dokonać zamachu na jej życie, pomyślała nieswojo. Jeżeli samochód celowo ustawiono w poprzek drogi. A ów mężczyzna pojawił się tam nieprzypadkowo. W takim razie przejeżdżający co godzinę pod domem Kseni policyjny patrol może okazać się niewystarczający.

Opiekujący się Ksenią funkcjonariusze zareagowali lekką irytacją, słysząc prośbę, by odwiedzi Ksenię w samym środku nocy aż do Scarborough, zamiast podzucić ją jedynie na przedmieścia Leeds. Choć niechętnie, zastosowali się jednak do polecenia Kate. Na miejsce dotarli około trzeciej. Ksenia wyglądała na zmarzniętą, głodną, wyczerpaną, a zarazem kipiącą nadmiarem adrenaliny. Nie chciała się położyć. Kate zaparzyła więc gorącej herbaty, opatrzyła jej zakrwawioną, poranioną stopę, zawinęła ją w wełniany koc i posadziła na kanapie w salonie. Zjawiła się Messy, wskoczyła Kseni na kolana i zaczęła głośno mruścić. Ksenia pogłaskała kota, zalewając się przy tym łzami.

– To wszystko jest takie okropne – szlochała – takie straszne.

Nie było jasne, co dokładnie miała na myśli – rzekomy atak, uszkodzony samochód czy swojego męża. Kate uznała, że wszystko razem. Włożyła dres, porzuciła myśl o spokojnym śnie i usiadła naprzeciw Kseni.

– Nie wiemy, co się wydarzyło – powiedziała spokojnie. – Ta historia z samochodem nie musi mieć z panią nic wspólnego.

– Ale dlaczego ktoś miałby tak dziwnie zaparkować?

– Nie mam pojęcia, ale proszę pomyśleć: gdyby dotyczyło to pani, ktoś musiałby wiedzieć o pani kursie językowym. Musiałby też wiedzieć, że wróci pani do domu później, bo uczennica akurat obchodziła urodziny. Nikt nie mógł przewidzieć, że dotrze pani do tej blokady jako pierwsza, równie dobrze mógł tam stać już cały sznur samochodów. Wydaje mi się, że trudno byłoby to zaplanować.

Ksenia sprawiała wrażenie nieco spokojniejszej. Otarła łzy chusteczką podaną jej przez Kate.

– Mimo to nie chcę wracać do domu – powtórzyła.

– Dopóki nie wyjaśnimy, co dokładnie wydarzyło się wczorajszej nocy, nie powinna pani wracać do domu – uspokoiła ją Kate.

– Mogę zostać u pani?

– Kseniu...

– Proszę. Nie mogę tam wrócić. Po prostu nie mogę.

– Nie może się pani przez całe życie ukrywać.

Ksenia zerknęła przez okno. To była najmroczniejsza pora nocy. Jedynie uliczne latarnie rzucały nieco światła.

Kate dołała herbaty.

– Kseniu, czy na pewno pani nie wie, kim mógł być tamten mężczyzna z pociągu? Czy jakiegokolwiek zdarzenie z pani przeszłości mogłoby się wiązać z tą historią?

W oczach Kseni znów pojawił się na chwilę ów niepokój, który Kate dostrzegła uprzednio na stacji w Yorku. Była pewna, że tamta coś przed nią ukrywa.

– Kseniu? – indagowała.

– Niczego takiego nie ma – odparła Ksenia. – Przynajmniej ja o niczym nie wiem.

Cokolwiek się stało, musiało być straszne. Na tyle okropne, że nawet zdjęta potwornym strachem nie chciała o tym mówić.

Koniecznienie muszę jeszcze raz rozmówić się z Jacobem Pagetem, zanotowała w myślach Kate.

À propos Jacoba.

– Jakie problemy ma pani z mężem? Dlaczego w żadnym wypadku nie chce pani wracać do domu?

Ksenia ponownie wytarła oczy.

– Zachowuje się wobec mnie okropnie. Obraża mnie i poniża. Uważa mnie za grubą i nieatrakcyjną, powtarza to przy każdej okazji. A teraz zrobiłam ogromne wgniecenie w karoserii. To jest dokładne potwierdzenie jego słów: że jestem niezdara i z niczym

nie potrafię sobie poradzić. Wie pani, żeby z nim wytrzymać, przez cały czas łykam antydepresanty. – Znow wybuchła płaczem.

Kate nachyliła się ku niej.

– Nie powinnam się wtrącać w pani małżeństwo – powiedziała ostrożnie. – Ale skoro jest tak źle, jak pani twierdzi, to dlaczego pani od niego nie odejdzie? Ma pani brytyjskie obywatelstwo. Nikt nie może pani wydalić z kraju. Ma pani niezwykle uzdolnienia językowe. Jestem pewna, że może pani zajmować się tym zawodowo. Potrafi pani o siebie zadbać.

– Pewnie tak – mruknęła Ksenia.

– Ale boi się pani uczynić ten krok?

– Tak.

– Lęk przed samotnością? – Kate potrafiła to zrozumieć. Jeśli w jej życiu kryło się coś strasznego, to fakt, że nie miała nikogo naprawdę bliskiego. Kogoś, kto by na nią czekał, kiedy wracała do domu, i komu mogłaby opowiedzieć, jak minął jej dzień. Kto w niedzielny poranek wypiłby z nią w łóżku cappuccino, a pod wieczór poszedłby na spacer nad morze. Kto od czasu do czasu podarowałby jej kwiaty i wreszcie raz na zawsze rozwiązałby problem, jak, na litość boską, spędzi Boże Narodzenie. Nie wspominając już o pozostałych świątach, długich weekendach czy urlopie. Wszystkie te kwestie napawały Kate lękiem. Nie licząc tych, do których istnienia nie mogła się nikomu przyznać. Będąc kobietą, a szczególnie singielką, trzeba zachować siłę, pewność siebie oraz niezależność. A jednak, zdaniem Kate, można zarazem tęsknić za partnerem, jedno nie wyklucza drugiego. Niemniej jeśli zbyt często wyrażało się pragnienie stałego związku, łatwo było ściągnąć na siebie podejrzenie, że nie potrafi się ustać o własnych siłach. Zwłaszcza kobiety w stabilnych małżeństwach lubiły podkreślać, jak ważna jest umiejętność samodzielnego radzenia sobie w każdej sytuacji. Kate wciąż słyszała mądrości w rodzaju: „Jeśli nie potrafisz kochać samej siebie, nikt inny cię nie pokocha” albo „Musisz się nauczyć radzić sobie sama, dopiero wtedy może ci się udać z partnerem”. Kate nie znosiła frazesów, a takich w szczególności. Oczywiście, że nauczyła się radzić sobie w życiu sama. Siłą rzeczy uczyły się tego setki tysięcy kobiet i mężczyzn. A jednak wielu nie zdołało zaznać przy tym szczęścia. Jeśli nie chciało się czuć z tego powodu zawstydzenia, najlepiej było w ogóle o tym nie mówić.

Ksenia potrząsnęła głową.

– Nie. Nie boję się samotności. To znaczy, nie zawsze jest to przyjemne, ale lepsze to niż życie z Jacobem.

– Więc czego się pani boi?

Ksenia odwróciła głowę.

- Nie wiem.
- Że będzie cię prześladował? Jak stalker?
- To nie to.
- Więc co?
- Nie wiem. To tylko strach.

Kate była przekonana, że Ksenia unika odpowiedzi, ale najwyraźniej nic więcej nie zdoła z niej teraz wydusić. Wstała.

– Proszę się trochę zdrzemnąć. Jutro z samego rana zbadam dzisiejsze zajście. Być może zdołam panią nieco uspokoić przynajmniej w tej kwestii.

Ksenia nie wydawała się przekonana, że cokolwiek zdoła ją uspokoić, ale podniosła się z miejsca.

- Czy mogę zabrać z sobą Messy?
- Oczywiście – odparła Kate.

Ksenia zniknęła razem z kotką w pokoju gościnnym.

Kate zaparzyła sobie mocnej kawy i usiadła w kuchni, wśród wciąż nierozpakowanych pudeł. Za oknem noc nieco poszarzała. Kate zapragnęła, by także w jej dochodzeniu mrok ustąpił miejsca pierwszym oznakom świtu. Choćby tylko nieznacznie. Gdyby tylko Ksenia wreszcie zaczęła mówić...

Może zyskałaby taką szansę, jeśliby pozwoliła jej zostać u siebie na kilka dni. W ciągu dnia przebywała w biurze, ale były jeszcze wieczory. Wspólna kolacja, rozmowa. Z doświadczenia Kate wynikało, że ludzie chcą w końcu porozmawiać o tym, co ich dręczy. Ksenia potrzebowała kogoś, komu mogłaby się zwierzyć, to dało się wyczuć.

Chyba nie chodziło jej o policjantkę.

Skoro jednak nikogo innego nie miała?

2

– Pijana młodzież – stwierdził inspektor Robert Stewart. – Właśnie rozmawiałem z posterunkowym z Leeds. Kilku młodych ludzi kompletnie się wstawiło na przyjęciu urodzinowym w pubie. Potem chcieli wrócić samochodem do domu, choć żaden z nich nie był w stanie usiąść za kierownicą. Gdzieś w połowie drogi zdali sobie z tego sprawę i – zgodnie ze swoim mglistym wyobrażeniem – zaparkowali samochód. W rzeczywistości ustawili pojazd w poprzek drogi, ale żaden z nich już tego nie sprawdził. Wysiedli z auta, bo poczuli mdłości, poczępali kawałek na łąkę, tam się, za przeproszeniem, zrzygali i legli na ziemi. Nie zwracając uwagi na powstałe

zamieszanie. Ksenia Paget omal się o nich nie potknęła, gdy przebiegła tuż obok. Koledzy z Leeds szybko ich odnaleźli, czekają, aż chłopaki wytrzeźwieją.

– Kseni spadnie kamień z serca – powiedziała Kate. Siedziała w biurze Roberta trochę niewyspana. Nie była pewna, czy owe ustalenia powinna ocenić pozytywnie. Oczywiście dobrze się stało, że minionej nocy nie doszło do kolejnej próby zamachu na życie Kseni, choć to mogłoby się okazać pomocne w prowadzonym śledztwie. A tak nadal działali po omacku.

– Tego drugiego mężczyzny – ciągnął Robert – który wysiadł z samochodu, zatrzymawszy się za Ksenią, nie udało się zidentyfikować. Niemniej przypuszczenie, że mógł to być strzelec z pociągu, wydaje mi się zbyt naciągane, by nie powiedzieć: wielce nieprawdopodobne. Z całą pewnością był to ktoś, kto przypadkiem tamtędy przejeżdżał, nie mógł kontynuować jazdy i chciał sprawdzić, co się stało. Zapewne w końcu zawrócił i odjechał.

– Też tak sądzę – przytaknęła Kate. Wstała, wzięła swoją torebkę. Była tak zmęczona, że całe ciało ciążyło jej jak ołów. – Pojadę do Jacoba Pageta. Chcę go jeszcze raz wysondować. On coś wie o Kseni i wywiera tym na nią presję, tak ogromną, że ona nie ma odwagi z nim zerwać, choć zbrzydło jej wspólne z nim życie. Nie wiem, czy ma to jakiś związek z naszą sprawą, ale może uda mi się tego dowiedzieć.

Robert spojrział na nią z zaciekawieniem.

– Uważa pani, że Ksenia Paget i jej mąż ukrywają jakiś brudny sekret?

– Sądzę, że coś się kryje w przeszłości Kseni. Coś, czego ujawnienia ona potwornie się boi. Nawet teraz, mimo poważnego niebezpieczeństwa, nie chce wyjawić tego policji, dlatego zakładam, że weszła w konflikt z prawem. Może Jacob o tym wie.

– Przynajmniej jakiś punkt zaczepienia – przyznał Robert. Przetarł dłonią czoło. – Straszny upał, nie sądzi pani? Wczoraj powinienem był zacząć urlop, ale w tych okolicznościach nie mogę wyjechać. I pomyśleć, że właśnie wypoczywałbym przy basenie na Majorce...

Trzeba było siedzieć cicho i nie donosić na Caleba, pomyślała Kate. Nie odezwała się, tylko na niego spojrzała.

– Czy ma pani kontakt z Calebem Hale'em? – zapytał niespodziewanie, jakby odgadł jej myśli.

– Widziałam go w zeszłym tygodniu.

– Czy rozmawia z nim pani o tej sprawie?

Zachowała czujność.

– Właściwie to nie. Nie, wcale nie. – Niezupełnie było to prawdą, ale Caleb był teraz częścią jej życia osobistego, a to Stewarta nie powinno obchodzić. – Rozmawialiśmy

o innej historii. O sprawie White'a.

– Rozumiem. Ciekaw jestem zdania komisarza Hale'a na temat naszego obecnego dochodzenia, ale oczywiście nie może z nim pani o tym rozmawiać.

Nieźle się pogubiłeś, oceniła w myślach Kate. Wiedziała, że każdy potrzebuje trochę czasu, by przywyknąć do nowej roli, niemniej miała wrażenie, że Robert Stewart był nią zupełnie przytłoczony – i tak już pozostanie. Był dobrym i zaufanym współpracownikiem Caleba, ale trzeba mu było mówić, co ma dalej robić. Wykonywał polecenia rzetelnie, miał też odwagę przejąć inicjatywę, gdy wymagała tego sytuacja, lecz odpowiedzialne przywództwo to zupełnie inny kaliber. Zapewne wiele by teraz dał, by móc zasięgnąć rady byłego szefa.

– Tak, to prawda, nie znam jego opinii – stwierdziła bezlitośnie Kate.

– Tak... cóż... naturalnie. Tak tylko pomyślałem. – Robert odchrząknął. – A Ksenia Paget przebywa obecnie w pani domu?

– Nie dała się przekonać do powrotu do męża.

– To w zasadzie bardzo podejrzane, by jedna z głównych bohaterek prowadzonego dochodzenia mieszkała w domu oficer śledczej – oznajmił Robert.

Kate skinęła głową.

– Racja, to nie może długo potrwać. Jeśli ona za żadne skarby nie chce wrócić do męża, będą musiała coś wymyślić. Z drugiej jednak strony ta sytuacja może okazać się dla nas korzystna. Jeśli kryzys małżeństwa Pagetów się zaogni, być może Jacob wyjawia nam informacje skrywane przez Ksenię. – Skinęła w stronę Roberta. – Zmykam. Do Jacoba Pageta.

Niecałe dwie godziny później Kate stanęła przed szeregowcem Pagetów w Bramhope. Nie uprzedziła Jacoba o swojej wizycie, chciała go zaskoczyć. Miała nadzieję, że go zastanie, należało się tego spodziewać. Prawdopodobnie był wściekły z powodu zniknięcia Kseni i zapewne nie ruszał się z domu, by nie przegapić jej powrotu.

Istotnie, otworzył drzwi, gdy tylko zadzwonił dzwonek. Kate miała rację, stał na czatach. Wyglądał okropnie: nieumyty, w pomiętym ubraniu, jakby w nim spał. Nieprzyjemnie pachniał. Włosy sterczały mu we wszystkie strony. Miał napuchnięte i senne powieki.

– Tak? – warknął.

Kate wyciągnęła legitymację.

– Sierżant Kate Linville. Policja North Yorkshire. Wydział śledczy Scarborough. Czy mogę wejść?

Jacob wlepił w nią wzrok.

– Linville? Kate? To pani była w pociągu. Moja żona wciąż o pani mówi. Zamknęła się z nią pani w toalecie!

- Zgadza się.
- Gdzie ona jest? Gdzie jest moja żona?
- Mogę wejść? – powtórzyła Kate.

Jacob zrobił krok w tył.

– Gdzie ona jest, do jasnej cholery? Zadzwonili pani koledzy. Powiedzieli, że wczoraj w nocy miała jakiś wypadek. Zabrano ją w nieznane miejsce. W samochodzie szukają śladów. Do kurwy nędzy, co się tu dzieje?!

– Przyjechałam, by z panem o tym porozmawiać – wyjaśniła Kate.

Jacob niechętnie wprowadził ją do salonu, istnej symfonii brązu i żółci. Na oknie kwitnąca sępolia, ani drobiny kurzu, każdy przedmiot na swoim ściśle określonym miejscu. Kate domyśliła się, że to Ksenia skrupulatnie utrzymywała porządek i czystość. Podejrzewała też, że robiła to na polecenie męża.

– I? – warknął Jacob. Stanął przy oknie, podczas gdy Kate, nie czekając na zaproszenie, usiadła w jednym z foteli. Z westchnieniem porzuciła myśl o szklance wody czy kawie. Stało się jasne, że Jacobowi nawet przez myśl nie przejdzie cokolwiek jej zaproponować.

Kate w krótkich słowach opisała wydarzenia minionej nocy. Jacob stawał się coraz bardziej poirytowany.

– Co za histeryczna reakcja! Nie wierzę! W poprzek ulicy stoi samochód, bo kilku młodziaków wychyliło parę kieliszków, a moja żona zaraz wietrzy morderstwo! Cała Ksenia. Ponosi ją wyobraźnia.

– Cóż, zajście w pociągu, strzelający do niej mężczyzna... tego na pewno nie da się wytłumaczyć histerią ani wybujałą wyobraźnią – odparowała Kate. – Niestety, to zdarzyło się naprawdę. Rozumiem obawy pańskiej żony po tym, co się stało, panie Paget.

Jacob coś mruknął.

– A więc samochód jest zepsuty? – zapytał po chwili.

– Wgnieciony. Podczas zawracania uderzyła w mur. Dopiero gdy auto dotrze do warsztatu, okaże się, jak duża jest szkoda.

– Cudownie. Do tego jeszcze koszty naprawy. Nie wierzę, że można być tak głupim!

– Pańska żona wpadła w panikę. Jak już powiedziałam, doskonale ją rozumiem.

– Ale nie ja. To nie ma zresztą znaczenia. Gdzie ona jest?

– Ksenia?

– Niby kto inny? Gdzie ona jest? Czekam na nią od wielu godzin.

– Ksenia nie chce teraz wracać do domu.

Jacob wyglądał na oszołomionego.

– Co takiego?

– Ona się boi, panie Paget. Boi się pana.
– Mnie? Niby czemu miałyby się mnie bać? To nie do wiary. Czy ona zwariowała?
– Boi się, że zareaguje pan podobnie jak wtedy, gdy opowiedziałam panu całą tę historię. Boi się braku zrozumienia, wyrzutów z powodu jej *histerycznych* i *przesadnych* działań. Pańskiego gniewu z powodu uszkodzenia samochodu. To wszystko potwornie ją deprymuje.

Twarz Jacoba zmieniła barwę.

– Chyba pani żartuje! Czego ona się spodziewa? Że zacznę wiwatować na jej cześć, bo przez całą noc zamartwiałem się o nią? Zostawiłem jej ze sto wiadomości w poczcie głosowej. Napisała mi na WhatsAppie, że wyrusza spod szkoły, po czym nie ma jej przez tyle godzin! Cholera, pomyślałem, że przytrafiło jej się coś poważnego!

– Rozumiem – uspokajała Kate.

Zaczął chodzić tam i z powrotem.

– Nic pani nie rozumie, zupełnie nic! Ksenia jest *moją żoną*! I nią pozostanie!

– Proszę dać jej trochę czasu – powiedziała Kate. – Ona potrzebuje teraz nieco swobody. Panu też wyjdzie to na dobre.

Przystanął.

– Nie potrzebuję pani rad, co jest dla mnie dobre!

– Panie Paget...

– Gdzie ona jest? Gdzie jest Ksenia?

– Nie mogę w tej chwili udzielić panu żadnych informacji na ten temat.

– Musi pani!

– Nie, wcale nie muszę. – Kate wstała.

Jacob nie zamierzał usiąść, ona zaś nie chciała przez cały czas zadzierać głowy. Niewiele jej to jednak pomogło. Był bardzo wysoki. Nadal musiała kierować wzrok ku górze.

– Panie Paget, będę z panem szczerą. Sądzę, że jest coś w życiu pańskiej żony, o czym ona z jakiegoś powodu uparcie milczy. Twierdzi, że nie ma pojęcia, kim mógł być mężczyzna z pociągu i dlaczego ją ściga. Ja w to nie wierzę. Coś się wydarzyło. Potwornie boi się o tym mówić. Najwyraźniej bardziej boi się to ujawnić, niż zostać zamordowaną.

Jacob zmrużył oczy.

– No więc?

– Może pan coś o tym wie?

– Skąd miałbym wiedzieć?

– Od trzynastu lat jest pan mężem Kseni. Możliwe, że opowiadała panu o swoim życiu.

– Gdzie ona jest?

– Tego pan ode mnie nie usłyszy. I chciałabym pana prosić o odpowiedź na moje pytanie.

– Nie mam pojęcia, o czym pani mówi – upierał się Jacob.

Kate nie potrafiła jednoznacznie stwierdzić, czy kłamał, czy mówił prawdę. Twarz Kseni zawsze wyrażała wszystkie jej odczucia: strach, niepewność, niepokój. Jacob zaś miał minę wściekłą i niewzruszoną. Pozostawał zły i nieugięty, przynajmniej w tej chwili. Niezmiennie.

– Gdzie jest Ksenia? – powtórzył pytanie.

Kate je zignorowała.

– Przez którą agencję poznał pan Ksenię?

– Czy muszę o tym mówić?

– Mogę pana wezwać do sądu.

Jacob się zamyślił.

– HappyEnd – powiedział w końcu niechętnie.

Też mi nazwa, pomyślała Kate.

– Gdzie ma siedzibę?

– W Liverpoolu.

Kate zanotowała.

– W porządku.

– Czego chce się pani dowiedzieć?

– Spróbuję zdobyć informacje o pańskiej żonie. Muszę poznać jej życie, by wiedzieć, dlaczego ktoś ją prześladowa. Nie możemy tego tak po prostu zostawić.

– Wczorajszy incydent chyba nie miał z nią nic wspólnego?

– Ale incydent w pociągu owszem.

– Może ten facet ją sobie upatrzył – uznał Jacob. – Maniak, który losowo wybiera ofiary. Mogło tak być.

– Być może. Ale mogło też być zupełnie inaczej i dlatego muszę wszcząć poszukiwania.

– Nie sądzę, by w agencji mogli coś pani powiedzieć o mojej żonie. Oni sami nic nie wiedzą na temat swoich klientów. Po tylu latach pewnie nie mają jej nawet w systemie.

– Sprawdzę to. – Czy to było tylko wrażenie, czy on rzeczywiście wydawał się nieco zdenerwowany? Naprawdę trudno go było rozgryźć.

Wręczyła mu wizytówkę.

– Może pan do mnie dzwonić o każdej porze. Jeśli przypomni pan sobie coś, o czym powinnam wiedzieć. Proszę pamiętać, że chodzi nam o ochronę pańskiej żony. To jest

teraz najważniejsze – a nie kwestia, czy kiedykolwiek w życiu weszła w konflikt z prawem.

Wziął wizytówkę.

– Domyślam się, że ona jest u pani – powiedział. W jego oczach kryła się nienawiść. – Ona widzi w pani swoją wybawczynię, bo zaimponowała jej pani reakcją w pociągu. Czemu więc nie miałyby teraz schronić się u pani?

– Ode mnie się pan nie dowie, gdzie przebywa pańska żona – oznajmiła Kate. – Wróci do pana, gdy sama o tym zdecyduje. Jest wolnym człowiekiem, panie Paget.

– Ona jest moją żoną. I sprowadzę ją z powrotem.

Nie odpowiedziała, tylko ruszyła ku drzwiom. Jacob jej nie odprowadził, pozostał w salonie. Czowała na sobie jego świdrujące spojrzenie. Odetchnęła głęboko, gdy tylko znalazła się na zewnątrz.

– Jak Ksenia to wytrzymuje? – mruknęła. Była przekonana, że jej przeszłość skrywa jakąś tajemnicę. Żadna kobieta nie chciałaby mieszkać z takim tyranem. Kate miała wrażenie, że w jego obecności ledwie dało się oddychać.

Spojrzała na ekran komórki i zobaczyła na WhatsAppie wiadomość od Colina.

Mam w tym tygodniu wolne, napisał. Może przyjadę dzisiaj do Scarborough i spędzimy jutrzejszy dzień razem? Pracę zaczynasz dopiero w czwartek!

Uśmiechnęła się. Często ją irytował, ale na swój sposób był też bardzo wierny. Odkąd zrezygnował z prób zaimponowania jej za wszelką cenę, stał się całkiem przystępnym człowiekiem. Kate nie odważyłaby się nazwać go *przyjacielem*, ale przywykła do niego i zaakceptowała go w swoim życiu. Pomagał jej uporać się z samotnością – a ona jemu. Istnieją mniej ważne powody, dla których ludzie spędzają wspólnie czas.

Przepraszam, nic z tego, odpisała. Sporo się tu dzieje, dlatego zaczęłam już pracę. Innym razem!

Kliknęła *Wyślij*, po czym zerknęła na zegarek. Była już w połowie drogi do Manchesteru. Mogła pojechać dalej. Może zdoła się umówić na spotkanie z dyrektorką dawnej szkoły Sophii. Wybrała numer sierżant Helen Bennett. Helen powinna spróbować uzgodnić termin. A także zadzwonić do HappyEnd i poprosić o potwierdzenie ich pośrednictwa pomiędzy Ksenią i Jacobem Pagetem. Gdyby odmówiono jej informacji telefonicznej, Kate mogła pojechać do agencji, z Manchesteru do Liverpoolu nie było zbyt daleko.

Najpierw jednak musiała ochłonąć po spotkaniu z Jacobem. Na samą myśl o nim dostawała gęsiej skórki.

Bycie singlem nie jest bynajmniej najgorszym z rozwiązań, pomyślała.

Dzieci ostrożnie podkraśli się do samochodu. Najmłodszy, ośmiolatek Tommy, trzymał się z tyłu. Rebecca i Neil, jego starsze rodzeństwo, nieco bardziej zdecydowanie ruszyli przed siebie, mieli przecież dwanaście i czternaście lat. Na rowerach opuścili West Monkton przy południowym zjeździe, minęli piekarnię, w której zaopatrzyli się w torebki pełne muffinów i bajgli. Chcieli urządzać sobie piknik i przebomblować cały dzień. Nastąpiły wakacje, upał, większość przyjaciół wyjechała. Sami wyjechać nie mogli, jak zwykle brakowało pieniędzy. To nie było fair, nudzili się. Desperacko szukali czegoś, co wniosłoby trochę urozmaicenia. Akurat mały Tommy znalazł ten samochód.

– Patrzcie! Stoi tam od paru dni!

Biały peugeot. Stał zaparkowany w niewielkiej zatoce przy drodze, tuż przed bramą prowadzącą na pastwisko. Z powodu wysokich, dziko rosnących krzewów nie od razu rzucał się w oczy.

– Pewnie należy do rolnika – oznajmiła Rebecca.

– Stoi tu już od zeszłego tygodnia – powiedział Tommy. – Przedwczoraj też go widziałem. Zawsze stoi dokładnie tak jak teraz.

– To znaczy, że w ogóle się nie rusza? – zapytał Neil, marszcząc czoło.

Tommy energicznie pokiwał głową.

– Właśnie.

Tommy jeździł po okolicy znacznie częściej niż jego rodzeństwo, niemal zrósł się ze swoim rowerem. Nie potrafił usiedzieć na miejscu, ciągle był w ruchu. Sporo wiedział o tym, co się wokół niego działo.

– Dziwne – odezwała się Rebecca. Zatrzymali się i zsiadli z rowerów, zachowując bezpieczną odległość od pojazdu.

– Czy ktoś jest w środku? – zapytał Neil.

– Nie wydaje mi się – odparła Rebecca. – Chociaż... – Zmrużyła oczy. – Może jednak?

– Czyjeś zwłoki? – zapytał podekscytowany Tommy.

– Bzdura – stwierdził Neil. – Jeśli rzeczywiście ktoś tam jest, pewnie ucina sobie południową drzemkę.

– Od ponad tygodnia?

– Może gdzieś tu pracuje – zastanawiał się Neil. – I przyjeżdża tu w południe, żeby odpocząć.

– Możemy podejść i rzucić okiem – zasugerowała Rebecca.

Choć w ten wypełniony nudą dzień wszyscy liczyli na odkrycie czegoś niezwykłego, i tak poczuli, jak cierpie im skóra. Byli zupełnie sami wśród łąk i pól. Jak okiem sięgnąć ani żywego ducha, ani żadnego innego pojazdu. Tylko ten dziwny peugeot, o którym Tommy twierdził, że stał nieruchomo od kilku dni... Promienie słońca odbijały się w szybach jego okien, tworząc mylące cienie. Przez chwilę wydawało się, że ktoś siedzi w samochodzie. Teraz znów, że jednak jest pusty.

– Chodźcie! – nakazał Neil.

Zostawili rowery w przydrożnej trawie i powoli ruszyli pieszo w kierunku samochodu. Nie potrafiliby powiedzieć, dlaczego właśnie tak postąpili, jakby umówili się bez słów: bez rowerów poczuli się mniejsi, cichsi, mniej rzucający się w oczy.

Neil pierwszy dotarł do pojazdu, tuż za nim szła Rebecca. Siostra wyprzedziła go o krok, gdy przystanął z wahaniem, i przewyciężając własny lęk, zajrzała do środka.

– Nikogo tu nie ma! – stwierdziła zawiedziona.

Teraz również Neil zebrał się na odwagę.

– Serio?

– Tak.

W głębi ducha dzieci poczuły ulgę, choć byłoby wspaniale, gdyby rzeczywiście odkryły coś naprawdę strasznego. Coś, czym po wakacjach mogłyby się przechwalać w szkole.

Rebecca spróbowała pociągnąć za klamkę. Drzwi od strony kierowcy się otworzyły.

– Nawet nie jest zamknięty – powiedziała zdumiona.

– Jest też kluczyk w stacyjce! – zawołał Neil.

– Możemy się przejechać! – entuzjasmował się Tommy.

Neil natychmiast go powstrzymał.

– Bredzisz. Nikt z nas nie umie prowadzić samochodu. Nie wolno nam.

– Trochę to dziwne – przyznała Rebecca. – Otwarty samochód, który stoi tu od paru dni, kluczyki w stacyjce... Niemożliwe, żeby ktoś poszedł tylko sikać...

– Myślisz, że kierowca został zamordowany? – zapytał Tommy, szeroko wybałuszając oczy.

Wszyscy umilkli.

– Powinniśmy zadzwonić na policję – stwierdziła w końcu Rebecca.

4

Ksenia drgnęła, gdy zadzwonił iPhone. Telefon zwrócono jej dopiero późnym popołudniem, wraz z torebką, kluczami i podręcznikami szkolnymi. Sprawdzili je technicy kryminalistyczni, po czym trochę niezadowolony funkcjonariusz z Leeds

przywiózł wszystko do Scarborough – był tym równie uradowany jak policjanci, którzy tamtej nocy musieli pokonać taki szmat drogi. Wszyscy z pewnością woleliby, żeby została w Leeds i wróciła do domu, jak przystało na wzorową żonę. Również Kate byłoby to na rękę, nie wydawała się zachwycona pobylem w swoim domu nieoczekiwanego gościa.

Podobnie jak Jacob.

W telefonie Ksenia znalazła masę nieodebranych połączeń oraz pozostawione przez niego niezliczone wiadomości głosowe. Poprzedniego wieczoru widocznie odczytał jej wiadomość przesłaną przez WhatsAppa, w której informowała go, że rusza do domu, i pewnie się zastanawiał, dlaczego się nie pojawiła. Brakowało jednak oznak szczerzego zaniepokojenia, w jego głosie pobrzmiwała coraz większa irytacja, złość, gniew. W końcu stał się tak obelżywy, że mając już dość, usunęła pozostałe wiadomości bez ich odsłuchania. Czemu miałyby dłużej znosić jego przekleństwa i ewidentne groźby?

Nie mogę tam wrócić, pomyślała zdesperowana, po prostu nie mogę do niego wrócić. Dłużej już nie wytrzymam.

Aby wypełnić sobie czas w gościnie u Kate, zabrała się do rozpakowywania licznych pudeł, wciąż piętujących się wzdłuż ścian. Miała nadzieję, że nie rozzłości tym policjantki. Zaczęła od sprzętów kuchennych; talerze, filiżanki, miski i sztucce ułożyła w szafkach. Kate może je później ustawić po swojemu, teraz przynajmniej pozbędzie się pudeł. Po opróżnieniu złożyła kartony i zostawiła je na tarasie przed kuchennymi drzwiami. Na dworze było nad wyraz ciepło i słonecznie, rozkwitający ogród wypełniał spokój. Messy wspięła się na jabłoń i z dumą, choć trochę wystraszona, przysiadła na jednej z zakrzywionych gałęzi. Ksenia niemal fizycznie poczuła spokój dnia, spokój tego małego kawałka ziemi. Jakby w jej wnętrzu coś się rozluźniło, coś, co zbyt długo pozostawało w napięciu. Już prawie nie знаła uczucia braku wszelkiej presji. Uczucia swobodnego oddechu. Lęk i presja nadal czały się tuż za rogiem. Niemniej na chwilę odnalazła w domu Kate oazę spokoju.

Zignorowała kilka ukazujących się na ekranie prób połączeń od Jacoba. Kiedy jednak, drgnąwszy mimowolnie na dźwięk dzwonka, ujrzała imię Kate, odebrała natychmiast.

– Sierżant Linville? Kate?

– Witaj, Kseniu. Wszystko w porządku?

– Tak. Wszystko dobrze. Tak pięknie jest u pani w domu.

– Cieszę się – odpowiedziała Kate, ale w jej głosie brzmiało lekkie napięcie.

Nie chce, żebym poczuła się *zbyt* dobrze, pomyślała Ksenia.

– Gdzie pani jest? – zapytała. – Kiedy pani wróci? Mogłabym coś dla nas ugotować.

– Brzmi kusząco – przyznała Kate – ale niestety nic z tego. Jestem w Manchesterze. Zostanę tu na noc, a z samego rana jadę do Birmingham. Powrót do domu byłby kłopotliwy.

– Och – odparła zawiedziona Ksenia. Trudno jej będzie znieść samotność. Obecność Kate przywróciłaby jej spokój.

– Ale proszę wziąć z lodówki wszystko, co trzeba, i ugotować sobie coś dobrego – powiedziała Kate. – I proszę też nakarmić Messy. Puszki stoją na jednym z kuchennych regałów. I nalać trochę świeżego mleka do miski. Byłoby miło.

– Oczywiście, nie ma problemu – zapewniła Ksenia. Zauważyła, że poczucie spokoju zaczęło się rozplýwać. Był wczesny wieczór, na dworze wciąż jasno. Ale niedługo zapadnie zmrok, a ona zostanie sama. Tylko z kotem.

Nikt przecież nie wie, że tu jestem, pomyślała.

– Wrócę jutro wieczorem – zaręczyła Kate.

Jedną noc wytrzymam, stwierdziła w myślach Ksenia.

Pożegnały się. Ksenia usiadła na tarasie, próbując odzyskać spokój, którego dopiero co zaznała. Zniknął. Czar się ulotnił. Znow dopadł ją strach. Chwycił ją w swoje ostre, zimne szpony.

Kiedy to się wreszcie skończy?

Nigdy, przemknęło jej przez głowę, nigdy.

A jeśli wszystko wyznam? Jeśli opowiem Kate, co się wtedy wydarzyło?

Pójdiesz do więzienia. Jacob w kółko jej to powtarzał. Była pewna, że ma rację.

Czasem zastanawiała się nad możliwością wyjazdu z Anglii. Powrotu do Rosji. Wciąż miała tam rodzinę, przyjaciółki z dawnych lat. Nie znosiła Kirowa za panujące tam zimno, beznadzieję i biedę, ale przynajmniej była wolna. Nikt jej nie zastraszał, nie nękał ani jej nie groził. Bała się wyjść za mąż, zamieszkać w jednym z tych maleńkich prefabrykowanych mieszkań wraz z mężem i trójką dzieci i patrzeć, jak jej małżeństwo rozpada się z powodu ciasnoty oraz braku perspektyw. Cóż jednak osiągnęła w zamian? Zamieszkała w ponurym szeregowcu na przedmieściach Leeds, razem z mężczyzną, którego nienawidziła, a który związał się z nią tylko dlatego, że była pierwszą kobietą w jego życiu, która nie mogła od niego uciec – jak uczyniły wszystkie jej poprzedniczki. W domu nie tolerował choćby pojedynczej drobiny kurzu, a w ogrodzie nawet jednego zbyt wysokiego źdźbła trawy. Spełniała jego męską potrzebę kontroli; sprzątała, wycierała i wyrwała chwasty od rana do wieczora. Było to całkowicie wbrew jej naturze. Rozmyślała, kiedy się z tego wszystkiego rozchoruje.

Aż cicho krzyknęła, gdy nagle zadzwonił dzwonek do drzwi. Zerwała się z krzesła tak gwałtownie, że na chwilę zakręciło jej się w głowie. Zdołała się jednak opanować. Może to sąsiadka. Albo kurier. Nie ma powodu, by wpadać w panikę.

Przeszła przez kuchnię i korytarz, próbowała wyrzeć przez małe okienko obok drzwi, ale ten ktoś musiał stanąć dalej w prawo, nie mogła go dojrzeć.

– Halo? – zapytała.

Bez odpowiedzi.

– Halo? – powtórzyła nieco głośniej.

Znów głucho milczenie.

Może dzwonek wcale nie zadzwonił. Może tylko jej się przywidziało.

Mimo to owładnęło ją złe przecucie. Odwróciła się, pobiegła z powrotem, gdyż przypomniała sobie, że drzwi prowadzące na taras zostawiła otwarte, i uznała, że lepiej będzie je zamknąć.

Weszła do kuchni i wpadła na Jacoba, który właśnie wszedł do środka.

– A widzisz – powiedział. – Tak sobie myślałem, że cię tu znajdę.

Patrzyła na niego przerażona.

– Co ty tu robisz? – zapytała w końcu drżącym głosem.

Wymachiwał kluczykami do samochodu.

– Przyjechałem po ciebie.

Skąd wiedział, gdzie się ukryła? Nie przypuszczała, że Kate ją zdradzi.

– Ta Linville była u mnie dziś po południu – powiedział, podejrzewając, o czym myśli. – Wypytywała o twoją przeszłość. Nie jest głupia. Domyśla się, że coś jest na rzeczy. I obawiam się, że prędko nie zostawi nas w spokoju.

– Ale...

– A kiedy sobie poszła, zacząłem się zastanawiać. Nad tym, jak o niej mówiłaś po tej historii w pociągu. Była dla ciebie prawie jak święta. Twoja wybawczyni, twoja obrończyni. I pomyślałem sobie, że mogłaś schronić się u niej. Po tym wczorajszym strasznym dramacie.

– Zeszłej nocy, to było...

– Wiem. To było jedno wielkie nic. Te twoje histeryczne reakcje. Doprowadziłaś wszystkich do szału, a na dodatek zepsułaś samochód.

– Przepraszam.

– Taaa... Kiedy jest już po wszystkim, zawsze ci przykro. – Zmierzył ją zimnym, pełnym pogardy wzrokiem. – Jest ci przykro, że wszystko psujesz. Jest ci przykro, że tak bardzo tyjesz, że nie mam już ochoty cię obejmować. Jest ci przykro, że codziennie podajesz mi żarcie, którego nie strawi żaden normalny człowiek. Zawsze jest ci przykro. A wiesz, co mnie naprawdę wkurza? Że zawsze kończy się na zapewnieniach. *Przykro mi, przepraszam.* Ale ty niczego nie zmieniasz. Po prostu nie jesteś gotowa, by się zmienić.

– Staram się...

– Wcale się nie starasz. Ale o tym porozmawiamy później. Teraz wracamy do domu.

– Skąd wiedziałaś, gdzie mieszka Kate? – zapytała. Jej głos drżał coraz bardziej. Na myśl, że ma z nim wrócić, niemal dostawała mdłości.

Uśmiechnął się. Uznał się za mądrego i przebiegłego.

– Jak mówiłem, była dzisiaj u mnie. Przedstawiła się jako funkcjonariuszka wydziału śledczego w Scarborough. Pomyślałem więc, że pewnie mieszka gdzieś w pobliżu. W Scarborough albo w okolicy. Sprawdziłem internetową książkę telefoniczną. Znalazłem dwa nazwiska Linville, jedno w centrum Scarborough, a drugie *Linville, R.* tutaj, pod tym adresem w Scalby. Byłem najpierw w centrum miasta, drzwi otworzyła mi jakaś kobieta, co najmniej osiemdziesięcioletnia, nie znała nikogo o imieniu *Kate*. Potem przyjechałem tutaj, chociaż nie mogłem rozszyfrować tego *R.* Czy ta policjantka jest zamężna? Podobno faceci mają czasem dziwne gusta.

– To nie ona – odparła Ksenia. – *R.* to jej ojciec, który tu mieszkał.

Kate opowiedziała jej, że odziedziczyła po nim dom.

Myśli trzepotały jej w głowie jak zdesperowane, uwięzione w klatce ptaki. Nie mogła z nim jechać. Umarłaby, gdyby do niego wróciła. Umarłaby, bo to by ją wewnętrznie rozbiło.

– Nieważne – rzekł Jacob. – Tak czy siak cię odnalazłem. Pospiesz się. Chcę wrócić do domu. Zgłodniałem.

– Nie mogę z tobą wrócić – usłyszała własny głos.

Gapił się na nią.

– Że co proszę?

– Nie mogę.

– Nie możesz?

– Nie. Nie mogę tak dłużej.

Zmrużył oczy.

– Zupełnie oszalałaś.

– Być może. Ale dłużej już nie mogę.

Jego twarz skostniała jak lód.

– Wiesz, co będę musiał zrobić? Zawsze ci to mówiłem.

Milczała.

– Będę musiał pójść na policję – oznajmił.

Nadal nic nie mówiła. Wewnątrz czuła się spięta jak nakręcona sprężyna.

– Cóż – powiedział. – Jeśli koniecznie chcesz trafić do więzienia... I prasa też cię posieka na kawałki. To była niesamowita historia. Będiesz skończona, jeśli to wyjdzie na jaw.

Po raz drugi tego wieczoru zadzwonił dzwonek do drzwi.

- Cholera – zaklął Jacob. – Kto to, do diabła?
- Ksenia wybiegła z kuchni, zanim jej mąż zdołał zareagować.
- Otworzyła drzwi. Stał przed nią nieznajomy mężczyzna.
- Patrzył na nią równie zdumiony jak ona.
- Kim pani jest? – zapytał po kilku sekundach.
- Ksenia Paget.
- Aha. Jestem Colin Blair. – Zajrzał do wnętrza. – Gdzie jest Kate?

5

Kate siedziała w niewielkim pubie w centrum Manchesteru, tuż obok hotelu, w którym wynajęła pokój. Hotel był nędzny, za to nad wyraz tani, a Kate nie chciała zacząć pracy w wydziale śledczym w Scarborough od narażenia go na wygórowane koszty noclegu. Do tego obscurnego lokum inspektor Stewart nie mógł się przyczepić. Z Manchesteru do Birmingham, rodzinnego miasta Sophii Lewis, było znacznie bliżej niż ze Scarborough, nonsensem byłoby wracać wieczorem do domu, a nazajutrz wyruszyć stamtąd w dalszą drogę. Bądź co bądź miała gościa, który mógł zaopiekować się Messy. Jak na razie wszystko układało się całkiem rozsądnie.

Helen Bennett udało się w południe skontaktować z dyrektorką Chorlton High School w Manchesterze i umówić spotkanie z Kate. Nie było to łatwe w samym środku wakacji, ale na szczęście pani Lydia Myers nie wyjechała na urlop i zgodziła się przyjąć Kate w swoim mieszkaniu. Ślad prowadził raczej donikąd. Lydia Myers przypomniała sobie wprawdzie przypadek ucznia i jego rozgniewanych rodziców, wykluczyła jednak, by ktokolwiek z tej rodziny mógł popełnić przestępstwo po to tylko, by ukoić swój gniew.

- Poza tym – dodała – oni już od dłuższego czasu nie mieszkają w Anglii.
- Nie?
- Wkrótce potem wyjechali do Dubaju. Ojciec pracuje tam w gastronomii.
- I do dziś tam przebywają? Syn też?
- O ile mi wiadomo, tak. Ale mogę to jeszcze sprawdzić. Jedna z naszych koleżanek ma z nimi kontakt.
- Tak, byłoby miło. – Co za zagmatwana sprawa. Kate nie miała żadnego punktu zaczepienia. – Czy pamięta pani jeszcze jakiś inny przypadek? By Sophia popsuła komuś świadectwo? Źle kogoś oceniła, a potem dostawała pogróżki? Sophia podobno się bała. Nie mówiła o tym otwarcie, ale jej przyjaciel uważa, że coś było na rzeczy. Coś, co skłoniło ją do nagłego wyjazdu do Scarborough i rozpoczęcia pracy w tamtejszej szkole.

Lydia Myers się zamyśliła, wyraźnie wyęzając pamięć, ale nie przypomniała sobie żadnego przypadku na tyle znaczącego, by powiązać go z wydarzeniami w Stainton Dale. Obiecała ponownie porozmawiać o tym z kolegami, zastrzegła jednak, że będzie to możliwe dopiero po wakacjach.

Kate zadała wtedy wciąż powracające pytanie:

– Czy mówi coś pani imię i nazwisko Ksenia Paget? A może Sophia kiedykolwiek o niej wspomniała?

– Nie. Nigdy o niej nie słyszałam. Kto to?

– Możliwy związek. Ale widocznie nic nieznaczący. – Kate pożegnała się z uczynną kobietą, poszukała hotelu, po czym wstąpiła do pubu, by zjeść pierwszy od śniadania posiłek. Zamówiła frytki i ciemne piwo.

Szalenie to zdrowe, pomyślała z rozbawieniem.

Kelnerka właśnie podała zamówienie, kiedy zadzwonił telefon. Helen Bennett wydawała się podenerwowana.

– Pani sierżant, właśnie rozmawiałam z kierowniczką HappyEnd. Tej agencji matrymonialnej.

– Wiem – odparła Kate. – I co?

– No cóż, wygląda na to, że Jacob i Ksenia Paget nie mówią prawdy. Nie poznali się przez tę agencję.

– Nie? – zapytała oszołomiona Kate.

– Nie. Jacob od dawna figuruje w ich systemie. Przedstawiono mu w swoim czasie kilka kobiet. Dwukrotnie pojechał do Rosji i spotkał się z nimi, ale nic z tego nie wyszło, taki był wybredny. Kierowniczka go pamięta. Westchnęła głęboko, gdy wymieniłam jego nazwisko. Nadzwyczaj trudny klient, to jej słowa.

– I?

– Cóż, do Anglii przybyła wtedy pewna kobieta, ale nie nazywała się Ksenia Paget. Na wszelki wypadek wysłałam jej mailem zdjęcie Kseni, ale stwierdziła, że to na pewno nie ona. Ta druga kobieta została tylko na dwa tygodnie, potem wyjechała. Nie zdołała z nim wytrzymać.

– Nic dziwnego.

– Agencja przedstawiła mu później kilka kolejnych ofert, ale Jacob za każdym razem z miejsca je odrzucał. Zrezygnował też z wyjazdów do Rosji. W końcu w ogóle nie odpowiadał. Agencja przestała mu więc wysyłać zdjęcia i życiorysy Rosjanek, które chciały wyjść za mąż. Nigdy też nie doszło do żadnego kontraktu.

– To już coś – stwierdziła Kate. Zamyśliła się. – Jacob Paget ma chyba obsesję na punkcie pieniędzy. Czy to możliwe, by spotkał w Rosji kobietę i ją odrzucił, ale później

skontaktował się z nią na własną rękę? Żeby zaoszczędzić na opłatach dla agencji? Przypuszczam, że agencja nie może czemuś takiemu zapobiec.

– Całkiem możliwe – przyznała Helen. – Nie pytałam o to, ale wyobrażam sobie, że tak mogło się stać.

– Gdyby w ten właśnie sposób skontaktował się z Ksenią...

– ...już wcześniej musiałyby figurować w bazie danych agencji. Ksenia Sidorowa z Kirowa. Kierowniczką to sprawdziła. Ksenia nigdy nie była u nich zarejestrowana.

– Może pod innym nazwiskiem?

– Nie. Oni wymagają przedłożenia dokumentów, ewentualnie przesłania uwierzytelnionych kopii. Agencja wydaje się dość renomowana. Ksenia mogłaby się przedstawić fałszywym nazwiskiem na jakimś portalu internetowym, gdyby chciała uniknąć wzbudzenia podejrzeń we własnym otoczeniu – choć byłoby to oczywiście trudne ze względu na zamieszczone zdjęcie. Natomiast agencja z całą pewnością poznałaby jej prawdziwe nazwisko. A ono nigdzie nie występuje.

– Dlaczego Pagetowie kłamią w tej sprawie? – zapytała Kate.

– Ponieważ spotkali się w okolicznościach, o których w żadnym razie nie chcą rozmawiać – odparła Helen. – To może być klucz do rozwiązania zagadki.

– Strach – powiedziała Kate. – Strach Kseni Paget. To może być jego źródło.

Historia z brodzikiem, w którym nasz syn rzekomo próbował utopić małą dziewczynkę, została niewiarygodnie rozdmuchana zarówno przez personel przedszkola, jak i samych rodziców. Moim zdaniem dyrekcja dostrzegła w końcu szansę na pozbycie się nielubianego Saszy. Zwołano specjalne zebranie, w którym oprócz mnie i Alice mieli wziąć udział także rodzice dziewczynki, rada rodziców oraz kierowniczka placówki. Alice nie chciała jednak pójść.

– To jest trybunał. Nie pozwolę im się nad nami znęcać.

Sama była na skraju wyczerpania. Choć jej stan psychiczny nieco się poprawił, ta historia ponownie ją zdruzgotała.

Co się właściwie stało?

Ze względu na upał opiekunki rozłożyły w ogrodzie kilka brodzików. Bardzo małych i płytkich. Było praktycznie niemożliwe, by którekolwiek dziecko w nich utonęło, większości z nich woda sięgała ledwie do kostek. Mogły nieco pobaraskować, ochłodzić się, puszczać po powierzchni małe plastikowe zwierzęta. Ochlapać inne dzieciaki. Takie tam rzeczy. Tym bardziej że – jak podkreślała dyrekcja przedszkola – wychowawczynie przez cały czas miały na wszystko oko.

Sasza, jak wynikało z relacji, był zachwycony zabawą w brodzikach, usiadł w jednym z nich i w ogóle z niego nie wychodził. Miał z sobą kubek do picia, który napełniał wodą, a potem znów ją wylewał, śmiejąc się i wykrzykując niezrozumiałe wyrazy. (Relacja ta po raz kolejny mnie zdołowała. Sasza miał wówczas cztery lata, we wrześniu miał skończyć pięć. Jego opóźnienie w rozwoju psychicznym było niezaprzeczone). W pewnym momencie usiadła przy nim ledwie trzyletnia dziewczynka, mała Careen. Wszystko wydawało się w najlepszym porządku.

Wtem jeden z chłopców podczas wspinaczki spadł z drabinki i zaczął potwornie wrzeszczeć. Wszystkie wychowawczynie podbiegły do niego, by sprawdzić, czy nie przytrafiło mu się coś poważnego. Skończyło się na rozbitym kolanie, które jednak mocno krwawiło, więc czym prędzej przyniesiono plastry i spray odkażający. Powstało lekkie zamieszanie. To dlatego, jak wszyscy podkreślali, na kilka minut stracono pozostałe dzieci z oczu. Gdy niemal wszyscy skupili się wokół rannego chłopca, nagle podbiegła przerażona dziewczynka.

– Sasza topi Careen! – krzychała, gwałtownie wymachując rękoma.

Natychmiast wszyscy zostawili chłopca z zakrwawionym kolaniem i pobiegli w stronę brodzika, w którym Sasza siedział od samego rana. Careen najwyraźniej już się oswobodziła, gdyż stała obok brodzika, ale miała mokre włosy, rozpaloną twarz i ryczała, jakby gonił ją sam diabeł. Sasza nadal siedział w wodzie, mocno ściskając swój kubek. On także płakał, słabo i cicho. Nie stawiał oporu, kiedy go wyciągano z brodzika.

Nic też nie powiedział o całym zdarzeniu. Ani słowa.

Istniała wyłącznie relacja dziewczynki, która wezwała pomoc, oraz samej Careen. Poza tym nikt niczego nie zauważył, co wcale nie dziwi, bo wszyscy byli zajęci zabawą i jak zwykle nie zwracali uwagi na „głupiego Saszę”. Widocznie Careen, zaciekawiona tym, co robi chłopiec, sięgnęła po jego kubek, bo także chciała wylewać z niego wodę, ale Sasza nie chciał jej go oddać. Wskutek przepychanki kubek wpadł do wody, Careen chciała go podnieść. Wówczas Sasza rzucił się na nią i przygniół ją, zanurzając całą w wodzie.

– To nie wygląda na atak z premedytacją – zaprotestowałem na specjalnym spotkaniu, w którym uczestniczyłem bez Alice. – Chciał odzyskać swój kubek i nieszczęśliwie się potknął. To niefortunne, ale jestem pewien, że Sasza nie miał złych zamiarów. Wcale nie chciał utopić małej dziewczynki.

Matka Careen oceniła to zupełnie inaczej.

– Moja córka leżała z twarzą zanurzoną w wodzie. Gwałtownie się broniła. Pański syn leżał na niej, przygniatając ją swoim ciężarem. Przepraszam bardzo, ale jak by pan nazwał takie zachowanie, jeśli nie próbą utopienia? – Ostatnie słowo prawie wykrzyczała. Przez cały czas niemal pałała agresją. Jej mąż położył jej rękę na ramieniu, ale ona ją odtrąciła. – Jeśli ten niebezpieczny idiota tutaj zostanie, wypiszę swoją córkę. I opowiem o wszystkim dziennikarzom. Rozpęta się prawdziwa burza, mogę wam to obiecać!

Szefowa przedszkola wyglądała na przerażoną.

– Panie Walsh... – zwróciła się do mnie.

Wiedziałem, że jestem na straconej pozycji. Prawdopodobnie nie mieli prawa wyrzucić Saszy z przedszkola. Mogłem podjąć kroki prawne, aby do tego nie dopuścić. Kierowniczka wyraźnie się obawiała nagłośnienia całej sprawy. Faktem jest, że Careen mogła utonąć. Żadna z opiekunek niczego nie zauważyła. Czy rozstawienie brodzików nie było zbyt ryzykowne? Do przykrych incydentów dochodzi czasem nawet w trakcie niewinnej szamotaniny – jestem przekonany, że tak właśnie było w przypadku Saszy. Czy przynajmniej jedna opiekunka nie powinna była bezwzględnie pilnować pozostałych dzieci, gdy wszyscy starali się zaopiekować rannym chłopcem? Oto pytania, którymi mogłem wpędzić zarząd przedszkola w kłopoty. Ale po co? Sasza nie odzyskałby radości, od samego początku nie był tam mile widziany – tym bardziej teraz. Nie chcieli go. Ani wychowawczynie, ani pozostali rodzice. Nikt nie zadał sobie trudu, by przyjrzeć mu się bliżej. Sasza był od tej pory chłopcem z zaburzeniami, który usiłował utopić małą dziewczynkę. Jak miały w tych warunkach odnaleźć normalność?

Sasza nie wrócił już więc do przedszkola, został w domu z Alice. Ona sama popadła w takie przygnębienie, że coraz bardziej się o nią martwiłem. Snuła się w ciągu dnia jak cień. W całkowicie odruchowy, pozbawiony wszelkiej radości sposób wypełniała swoje obowiązki, w dalszym ciągu odwiedzała z Saszą logopedów, osteopatów i wszelkiego

rodzaju uzdrowicieli, niemniej sprawiała przy tym wrażenie, jakby nie oczekiwała już od życia niczego dobrego.

Czasami myślałem, że to wszystko dlatego, że chcieliśmy mieć dziecko. Że zwyczajnie pragnęliśmy założyć rodzinę.

W pewien dżdżysty październikowy wieczór wróciłem do domu, jak zwykle spodziewając się zastać Alice leżącą apatycznie na kanapie, a Saszę przed telewizorem. Siedział tam przez cały czas, bo Alice nie miała już sił, by się nim zajmować. Oglądał te wszystkie idiotyczne programy, a ja często myślałem, że gdyby nie był już opóźniony w rozwoju, pewnie stałby się taki pod wpływem tego typu audycji.

Po drodze zrobiłem zakupy. Coś ugotuję. Alice nawet tego nie była w stanie robić.

Ku mojemu zdumieniu nie leżała na kanapie. Wyszła z łazienki. Była ubrana w poplamiony dres i miała nieumyte włosy, ale jej twarz nie wydawała się tak poszarzała jak zazwyczaj. Jej policzki się zaróżowiły, jakby pod wpływem gorączki.

– Alice – zapytałem przerażony – co się stało?

Gapła się na mnie.

– To niemożliwe – mruknęła.

– Ale co?

Dopiero teraz zauważyłem biały przedmiot, który trzymała w dłoni. Test ciążowy. Dobrze znałem te rzeczy. Jakże często oboje się w nie wpatrywaliśmy, zawsze na próżno.

Podąła go mnie. Dostrzegłem wyraźną kreskę.

Łapałem powietrze.

– Alice...

– Chyba jestem w ciąży – powiedziała.

Wydawała się przytłoczona. I raczej nieufna niż szczęśliwa.

Następnego dnia wizyta u lekarza przyniosła nam potwierdzenie. Alice była w drugim miesiącu ciąży. Dziecko miało przyjść na świat w maju następnego roku.

Środa, 31 lipca

1

Ksenia zerwała się z płytkiego i niespokojnego snu, z początku nie wiedząc, co ją obudziło. Sięgnęła po telefon komórkowy leżący na podłodze obok materaca, na którym spała, i zerknęła na ekran: była już prawie pierwsza w nocy.

Westchnęła. Tęskniła za blaskiem dnia. Może wtedy jej lęki nieco by przygasły. Choć problemy wcale by nie zniknęły. W końcu ukazałyby się z jeszcze większą wyrazistością.

W poświacie ekranu spojrzała w stronę kotki, śpiącej w nogach pośłania. Messy zniknęła.

Ksenia wyprostowała się, w łunie światła rozejrzała się po pokoju. Messy siedziała przy drzwiach. Prosto, z głową zadartą wysoko, stroszyła sierść. Uszy skierowała do przodu. Wydawało się, że w napięciu czegoś nasłuchuje.

Ksenia wstała, przykucnęła obok kotki.

– Co się stało? – zapytała szeptem. Pod ręką wyczuła drzenie drobnego ciała. Messy zaczęła mrużyć.

Coś było nie tak.

Pewnie Jacob wrócił. Może próbował włamać się do domu.

Pojawienie się pod wieczór Colina Blaira wybawiło ją z opresji. Przyjaciel Kate przyjechał w odwiedziny, gdyż sądził, że jeszcze nie podjęła pracy w wydziale śledczym w Scarborough. Miała przecież zacząć od pierwszego sierpnia. Widok obcego mężczyzny wytrącił Jacoba z równowagi. Ksenia nie wykluczała, że siłą zaciągnie ją do samochodu, ale w obecności nieznanego nie odważył się na taki krok.

– Idziesz czy nie? – zapytał, gdy Colin zdjął w holu plecak, wcale nie zamierzając zawrócić z powodu nieobecności Kate.

Wiedziała, że w jego oczach będzie to jak wypowiedzenie wojny, mimo to powiedziała:

– Nie.

– Jeszcze tego pożałujesz – syknął Jacob. – Gorzko tego pożałujesz!

Wsiadł do samochodu i odjechał przy wtórze ryku silnika i pisku opon.

Colin spojrzał zmieszany.

– Co z nim? Zjawiłem się w nieodpowiednim momencie?

Ksenia potrząsnęła głową.

– Pojawił się pan w najbardziej odpowiednim momencie.

Lody zostały ostatecznie przełamane, kiedy się okazało, że Colin wie, kim jest Ksenia, gdyż podróżował razem z Kate pociągiem, w którym doszło do strzelaniny. Był podekscytowany spotkaniem z Ksenią. Wkrótce zdała sobie sprawę, że ma do czynienia z detektywem amatorem, śmiertelnie znudzonym pracą informatyka w londyńskiej firmie i pełnym podziwu dla Kate i jej profesji.

– Niestety – stwierdził z żalem – tak mało się od niej dowiaduję. Nie wolno jej nic mówić.

Z Kate poznali się dwa lata wcześniej na Parshipie, ale nie zaiskrzyło między nimi. Mimo to od tamtej pory łączyło ich coś w rodzaju przyjaźni. Wydawało się, że bardziej zależy na niej Colinowi niż Kate. Ksenia nie mogła wyjść ze zdziwienia, że Kate próbowała – a może nadal próbuje – znaleźć partnera przez internet. Z jakiegoś powodu uznała Kate za zagorzałą singielkę, w pełni zadowoloną z posiadania ciekawej pracy, ładnego domu oraz kota. Jakaż ja jestem głupia, pomyślała. Ona jest całkiem zwyczajną osobą. Oczywiście, że pragnie stałego związku.

Wieczór upłynął w miłej atmosferze. Z lichych kuchennych zapasów Colin przyrządził wyborny posiłek, a Ksenia usiadła przy stole i cały czas mu się przyglądała. Raz jeszcze streściła historię z pociągu, a następnie opisała dramat poprzedniego wieczoru, kiedy to samochód zablokował drogę, powodując u niej atak paniki. Opowiedziała o swoim małżeństwie, coraz bardziej przypominającym piekło, Colin zaś słuchał i dziwnym trafem zadawał właściwe pytania. Uznała, że jest miły. Dużo bardziej, niż kiedykolwiek okazał się Jacob.

W końcu poszła do pokoju gościnnego, którego wyposażenie składało się wyłącznie z rozłożonego na podłodze materaca oraz stojącego w kącie krzesła. I mnóstwa nierozpakowanych pudeł.

Colin spał w salonie na jednej z niewielkich kanap. Ksenia ucieszyła się z jego obecności w domu. Sama czułaby się jeszcze bardziej nieswojo.

Messy wydała z siebie wyraźny pomruk.

Ksenia miała wrażenie, że znów słyszy dobiegający z dołu dźwięk. Czy to drzwi prowadzące z kuchni na taras?

Jacob? Mogła się po nim spodziewać, że spróbuje wtargnąć do domu. Nie był typem człowieka, który potrafi zaakceptować własną porażkę, fakt zaś, że wieczorem musiał odjechać bez niej, był dla jego ego zniewagą, której nie mógł puścić płazem.

Była też inna możliwość. Facet z pociągu. Nie dopiął przecież celu.

Wyprostowała się, ostrożnie otworzyła drzwi do pokoju. Messy wyskoczyła jak z procy i zniknęła gdzieś w ciemnościach domu. Ksenia znów zaczęła nasłuchiwać.

Niczego jednak nie słyszała. Byłaby gotowa przyznać, że się pomyliła, gdyby nie dziwne zachowanie kota. Messy wyraźnie coś wyczuła.

Może mysz w kuchni, pomyślała Ksenia i próbowała się roześmiać.

Nie zdołała.

Zeszła po schodach. Jej oczy przywykły do mroku, rozjaśnionego przez nikły blask skrytego za chmurami księżycy oraz ulicznych latarni. Promienna letnia aura ostatnich dni wyraźnie się zmieniała.

Na parterze panowała cisza, tylko z salonu dochodziły stłumione odgłosy chrapania. Widocznie Colin, mimo dość niewygodnego pośłania, spał najspokojniej w świecie.

– Messy? – zawołała szeptem Ksenia.

Brak odpowiedzi. Zakradła się do salonu.

– Colin? – szepnęła.

Colin zerwał się, natychmiast włączył stojącą obok lampę i usiadł na kanapie. Włosy sterczały mu we wszystkie strony.

– Co się stało? – zapytał wystraszony.

– Ktoś tam jest – szepnęła Ksenia. – Przy drzwiach kuchennych.

– Przy drzwiach kuchennych? Jesteś pewna?

– Messy także jest bardzo roztrzęsiona.

Colin zsunął się z kanapy, po czym w samym T-shircie i bokserkach wszedł do kuchni. Zapalił światło. Messy siedziała przy drzwiach i miauczała.

– Chyba chce wyjść na dwór i zapolować na myszy – oznajmił Colin. Zamierzał uchylić drzwi, ale Ksenia natychmiast syknęła:

– Nie! Nie otwieraj!

– Dlaczego nie?

– Ktoś tam może być.

– Niby kto?

– Mój mąż. Albo ten facet z pociągu.

Colin się zawahał. Poznał tego dziwnego Jacoba Pageta, był też tamtego dnia w pociągu. Dla niego strach Kseni nie był ani przesadny, ani nazbyt histeryczny. Rozumiał jej obawy.

– Czy powinniśmy wezwać policję?

– Nie! – zaprzeczyła przerażona Ksenia.

– Czemu nie?

– Tu przecież mieszka policjantka – powiedziała Ksenia, po czym się odwróciła, by nie zauważył napływających jej do oczu łez.

– Tak, ale Kate tu nie ma. – Chwycił ją za rękę. – Czego się boisz, Kseniu?

- Strzelano do mnie. Ty też byś się bał.
- Tak, ale *nie bałbym się* policji – odparł Colin.

Zatopiła paznokcie we wnętrzu powierzchni dłoni. Ból chyba wchłonął część udręki jej duszy, nieco ją neutralizując.

– Muszę stąd zniknąć, Colin. Albo ten facet z pociągu wie, gdzie przebywam, a wtedy grozi mi niebezpieczeństwo. Albo Jacob naśle na mnie policję.

– Jak może nasłać na ciebie policję? – zawołał Colin. – Przecież to *ciebie* ściga szalencie! Ty nikomu nie zagrażasz!

– To wszystko jest o wiele bardziej skomplikowane – szepnęła. – Możesz mnie stąd wywieźć?

– Teraz?

– Tak.

Colin się zamyślił. W zasadzie lubił takie sytuacje. W jego życiu nic szczególnego się nie działo, a teraz niespodziewanie znalazł się w samym środku sprawy kryminalnej. A właściwie już półtora tygodnia wcześniej, w pociągu do Yorku. Wkurzało go przesiadywanie w Londynie, gdy nie dostawał żadnych wiadomości od Kate i nie wiedział, jak się sprawa rozwinie. To dlatego przyjechał do Scarborough, nie zważając na wiadomość od Kate, że nie będzie mieć dla niego czasu. No dobra, podjęła już pracę. To żaden problem. W ciągu dnia mógł jej pomagać w domu, rozpakować pudła, przytwierdzić regały do ścian, tego typu rzeczy. A wieczorami, po powrocie z pracy, mogłaby mu co nieco opowiedzieć.

Niespodziewanie jednak sytuacja mocno się zagmatwała. Poznał Ksenię, kobietę z pociągu. A ona błagała go o pomoc. Colin poczuł się ważny, to zaś bardzo mu się spodobało.

– Ale dokąd mielibyśmy się udać? – zastanawiał się. Oczywiście miał swoje londyńskie mieszkanie. Ale wtedy znów znalazłby się bardzo daleko stąd. Poza tym co by to oznaczało dla jego przyjaźni z Kate. Z całą pewnością nie zaakceptowałyby takiego kroku. Oczekiwałyby od niego, że w zaistniałej sytuacji natychmiast się z nią skontaktuje i nie będzie działał na własną rękę. Rozmowa z nią w obecności Kseni wydała mu się jednak bezcelowa. Mógłby się zamknąć w łazience, ale ta myśl go odstręczała. Ksenia darzyła go zaufaniem. Nie chciał jej zawieść.

– Dobrze – powiedział. – Boisz się. Rozumiem. Ale czy nie powinniśmy poczekać do rana?

Panika bez reszty nią zawładnęła.

– Nie. Jacob w każdej chwili może zadzwonić na policję.

– Wyjdziemy. Ale pozostaniemy w okolicy. W przeciwnym razie Kate będzie mi czynić wyrzuty. Poszukamy jakiegoś motelu. Ale nie możemy się tam od razu

zameldować. Noc spędzimy w samochodzie.

– W porządku. – Byleby tylko uciec. Wieczorem sprawiała wrażenie spokojniejszej. Odgłos przy drzwiach, jeśli w ogóle jakiś się rozległ, chyba uwolnił w niej wszelkie możliwe lęki. Zdaniem Colina zachowywała się całkiem irracjonalnie, ale nie miał pomysłu, jak się temu przeciwstawić. Może się opamięta, kiedy znajdzie się poza zasięgiem Jacoba. Jego samego oraz ewentualnego wezwania policji obawiała się bardziej niż szaleńca, który próbował ją zastrzelić w pociągu.

Messy tymczasem zarzuciła próby wydostania się na zewnątrz. Weszła do salonu i zwinąwszy się w kłębek, wyciągnęła się na pustej sofie.

– Zostawimy jej sporo suchej karmy i wody – oznajmił Colin. – Kiedy wraca Kate?

– Jutro – odparła Ksenia i zaraz się poprawiła: – Czyli dzisiaj. To już dzisiaj.

– Dobrze. Messy wytrzyma. – Spojrzał na Ksenię i powiedział stanowczo: – Ale chcę wiedzieć, co się dzieje. Gdziekolwiek się znajdziemy, musisz mi powiedzieć całą prawdę. Twój strach przed policją... Nie wyglądasz na seryjną zabójczynię, ale coś tu nie gra, i w końcu ja także wpadnę w tarapaty. Powiesz mi, o co tu chodzi?

Skinęła głową.

– Mam nadzieję, że zdołamy dotrzeć do samochodu – szepnęła.

Na myśl o tym Colin poczuł się nieswojo, ale starał się zachować spokój.

– Nikogo tam nie ma. Jeśli w ogóle ktoś był... Pali się już mnóstwo świateł. Myślę, że możemy zaryzykować.

– Tak – szepnęła Ksenia.

2

Ledwo inspektor Robert Stewart wszedł tego ranka do swojego biura, chcąc zaraz przynieść sobie kawę, kiedy zadzwonił leżący na jego biurku telefon. Aż zaklął cicho. Przez całą noc przewracał się w łóżku, nie mogąc zasnąć, choć był potwornie zmęczony. Chciał się nieco wzmocnić, zanim ktokolwiek się do niego odezwie.

– Doktor Dane – oznajmiła kobieta z centrali.

Robert z miejsca się rozbudził.

– Tak, proszę łączyć.

Wiadomością dnia, ba, tygodnia byłaby dla niego nowina, że Sopię Lewis nareszcie można przesłuchać. Byłby to istny dar niebios. Sophia Lewis prawdopodobnie nie była jedynym kluczem do rozwiązania tej zagmatwanej sprawy, ale w przypadku Kseni Paget łamali sobie zęby i beznadziejnie dreptali w miejscu. Śledztwo nie posunęło się naprzód ani o krok. Doprowadzało go to do szewskiej pasji, przez co nie sypiał całymi

nocami. Nigdy dotąd nie szło mu tak źle, nawet przy trudnych i zawiłych sprawach. Bo nie ponosił pełnej odpowiedzialności. Spoczywała ona na barkach Caleba.

Przywykniesz, powiedział do siebie, potrzebujesz tylko trochę czasu.

Doktor Dane rozwiął niestety nadzieje na rychłą rozmowę z Sophią.

– Wciąż nie może mówić – oznajmił – ale jej stan powoli się stabilizuje. To wielki postęp.

Robert pomyślał, że trzeba być lekarzem, by ucieszyć się z wiadomości, że stan kogoś, kto nie może ani mówić, ani się poruszać, coraz bardziej się stabilizuje. Wydało mu się to istnym makabrycznym koszmarem: leżeć nieruchomo w łóżku, nie móc nic powiedzieć. Oddychać. W zasadzie wyłącznie oddychać. Życie zredukowane do oddechu. Wdech i wydech.

Być może tylko tyle, już na zawsze.

Robert, znalazłszy się w takim położeniu, wolałby, by jego oddech również zawiódł. Wolałby umrzeć.

– Pisać też nie jest w stanie? – upewniał się, chcąc raczej otrząsnąć się z ponurych myśli, niż spodziewając się usłyszeć pozytywną odpowiedź.

– Nie. Nie może poruszać rękami. Pojawiają się jednak oznaki odruchów. Całkiem możliwe, że jej stan się poprawi.

– Ale nie będzie...

– Nie. Nie odzyska dawnej sprawności. Pozostanie sparaliżowana. Przy sporej dawce fizjoterapii i treningu być może uda się osiągnąć coś więcej. Ale nie chcę zbyt wiele obiecywać. Tego po prostu nie sposób przewidzieć.

– Czy widzi pan jakąś szansę, choćby mglistą, by ją przesłuchać?

– Niestety nie. Ale dzwonię do pana z nowiną: przenosimy ją. Jutro.

– Przenosiny? Dokąd?

– Nie możemy jej zapewnić najlepszej opieki. Jej stan jest stabilny, ale teraz trzeba zacząć z nią pracować. I nie ma czasu do stracenia.

– Klinika rehabilitacyjna?

– Tak, w Hull. Jest tam naprawdę dobra placówka. Najlepsza opieka medyczna i wysoko wykwalifikowani fizjoterapeuci. Pierwszorzędny sprzęt. My tego nie mamy. Jesteśmy tylko zwykłym szpitalem.

– Hull. – To nieco ponad godzinę jazdy. Nieważne. Pojechałby wszędzie, byleby tylko znów mogła mówić.

– Inspektorze, będzie pan mógł z nią porozmawiać – oznajmił Dane. – Wkrótce. Naprawdę w to wierzę.

– Dobrze to słyszeć – odparł Robert.

Istotnie, brzmiało nieźle. Niemniej prowadzący dochodzenie inspektor śledczy działa w innym wymiarze czasowym niż lekarz. Lekarz wie, że każdy proces leczenia wymaga czasu, że w zdecydowanej większości przypadków czas działa na korzyść pacjenta. W policyjnych dochodzeniach było, z pewnymi wyjątkami, zupełnie odwrotnie. Czas upływający bez istotnych ustaleń nazbyt często działał na rzecz sprawcy. Każdy mijający dzień coraz bardziej zacierał ślady.

– W porządku – powiedział mimo to. Co począć. Doktor Dane nie mógł niczego przyspieszyć, nawet gdyby Robert zrobił mu teraz wykład o pracy policji. – Dziękuję, doktorze, że mnie pan powiadomił. Będę odtąd w kontakcie z lekarzami z Hull.

– Jasne – powiedział Dane. – Ach, jeszcze jedno. Czy ochrona policyjna zostaje? Czy oficer siedzący teraz przed drzwiami jej pokoju będzie jej towarzyszył?

Robert się zamyślił. Ze względu na brak personelu oraz koszty nie mogli sobie pozwolić na to, by jeden z funkcjonariuszy siedział przez całą dobę na szpitalnym korytarzu. W przypadku szpitala w Scarborough uznał to jednak za uzasadnione. Prasa donosiła o poważnych obrażeniach Sophii, a sprawca łatwo mógł ustalić miejsce jej pobytu. Powstała niebezpieczna sytuacja. To się jednak zmieni. Sprawca nie wie, że Sophia ma zostać przeniesiona. A klinik rehabilitacyjnych nie brakowało.

Przez chwilę się zastanawiał, jaką decyzję powziąłby Caleb, ale zaraz odsunął od siebie tę myśl. To on był teraz szefem. Musiał kierować się własnym osądem, a nie opinią swojego poprzednika.

I to *alkoholika*, doprecyzował w myślach. Od dawna istniały wątpliwości, czy Caleb jest zdolny do podejmowania rozsądnych decyzji. Dlatego nie mógł służyć za wzór.

– Funkcjonariusz zostanie tam do jutra – oznajmił – potem go zdejmujemy. Nie będzie jej towarzyszył podczas transportu. Adres kliniki rehabilitacyjnej musi pozostać poufny.

– Dobrze – przytaknął Dane.

Pożegnali się. Ledwie Stewart odłożył słuchawkę, zadzwoniła jego komórka. Nie wyglądało na to, by w najbliższym czasie mógł zaparzyć sobie kawę.

– Tak? – zapytał zniecierpliwiony.

Kate dzwoniła z Manchesteru. Przekazała mu ustalenia Helen: Jacob i Ksenia Pagetowie nie poznali się za pośrednictwem agencji, a przynajmniej nie tej podanej przez Jacoba.

– Tak, i co z tego? – zapytał Robert. Uznał za mało istotne, jak i gdzie się poznali. Jego zdaniem Kate traciła tylko czas, niepotrzebnie przypisując temu jakiegokolwiek znaczenie.

– Powinniśmy sprawdzić, dlaczego oboje kłamią – stwierdziła Kate.

– No dobrze. Czy ona nadal przebywa u pani w domu?

– Tak. Co prawda nie mogłam się z nią dziś rano skontaktować ani przez telefon stacjonarny, ani na komórkę, ale pewnie jest w ogrodzie i po prostu nie słyszy dzwonka. Może pan mógłby do niej zajrzeć?

– Pojadę tam. – Zupełnie zbyteczne. Ale lepsze to niż bezczynne siedzenie.

Czysta przemożna chęć działania, pomyślał.

– Dziękuję. Ruszam teraz do Birmingham, spróbuję porozmawiać z ojcem Sophii Lewis. W drodze powrotnej zatrzymam się w Leeds, by ponownie odwiedzić Jacoba Pageta. Musi mi wyjaśnić, dlaczego mnie okłamał.

– W porządku. Ach, przy okazji: Sophię Lewis przewożą jutro do kliniki rehabilitacyjnej w Hull. Nadal nie można jej przesłuchać, ale lekarz twierdzi, że pojawiła się nadzieja.

– To dobra wiadomość – odparła Kate.

3

Constance Munroe miała zaczerwienione, napuchnięte oczy i poszarzałą, zaspaną twarz, kiedy otworzyła drzwi posterunkowej Mii Cavendish. Widać było, że tej nocy nie przespała ani minuty, przez cały czas zalewając się łzami. Mia odwiedziła ją zeszłego wieczoru i w ostrożnych słowach poinformowała, że niedaleko miasta Taunton w hrabstwie Somerset znaleziono jej samochód – pusty, otwarty, z kluczykami w stacyjce. Constance doznała szoku, była przerażona. Mia, choć marzyła o powrocie do domu, spędziła z nią dwie godziny i wyszła dopiero wtedy, gdy kobieta wzięła środek uspokajający i nieco się odprężyła. Tego ranka Mia postanowiła jeszcze raz z nią porozmawiać. Constance była naprawdę w kiepskim stanie. Będzie spokojniejsza, gdy ją ponownie odwiedzi.

Constance wprowadziła ją do salonu, wskazała miejsce na kanapie i zaproponowała filiżankę herbaty.

– Nie sądzę, by to się dobrze skończyło – wyznała drżącym głosem. – To znaczy... kto porzuca swój samochód na poboczu wiejskiej drogi? Otwarty. Z kluczykami w stacyjce! Coś jest nie tak. Dokąd ona poszła?

– Wyjeżdżając na to seminarium, na pewno zabrała z sobą jakiś bagaż.

– Tak. Wzięła torbę z paroma rzeczami na zmianę.

– W samochodzie nie znaleziono torby. Ani torebki.

Constance popatrzyła na Mię.

– Czyli co?

– Gdyby ktoś chciał ją obrabować... zabrałby przynajmniej torebkę, w nadziei, że znajdzie w niej pieniądze. Ale po co mu cały bagaż?

- A jeśli ktoś ją porwał?
- Dlaczego ktokolwiek miałby porywać Alice Coleman?
- Nie wiem.

Mia ostrożnie położyła dłoń na jej ramieniu.

- Alice widocznie pojechała w zupełnie inne miejsce. A to sugeruje, że nigdy nie zamierzała wziąć udziału w seminarium.

- Tak pani uważa?
- Na to wygląda, prawda? Może ktoś ją zabrał. Ktoś, z kim się umówiła.
- Dlaczego miałyby...? - Constance urwała w pół słowa, wybałuszyła oczy. - Sądzi pani, że ona mnie zostawiła? Dla kogoś innego?

- Czy byłoby to nie do pomyślenia?

Constance spuściła głowę. Z jej oczu popłynęły łzy.

- Nie - szlochała - ciągle się tylko kłóciłyśmy. Wie pani, mam straszne wyrzuty sumienia. W ogóle nie rozumiałam stanu psychicznego Alice. Wiedziałam, że cierpi na depresję, że często popada w melancholię, prawdopodobnie jeździła na te wszystkie seminaria o psychice, budowaniu więzi rodzinnych i samopoznaniu, bo miała ogromne problemy z samą sobą. A co ja robię? Winię ją za to, że ciągle wyjeżdża i mnie zostawia. Zamiast dostrzec w tym wszystkim ukryte wołanie o pomoc!

- Proszę się nie zadręczać takimi myślami. Wszyscy jesteśmy zwykłymi ludźmi w tym rozgorączkowanym codziennym życiu. Z perspektywy czasu zawsze dokładnie widzimy, jak powinniśmy byli kiedyś postąpić. W samym środku wydarzeń jest to o wiele trudniejsze.

- Powinam była zdać sobie sprawę... A nie tylko się wyklócać... - Constance płakała coraz rzewniej.

Mia odstawiła filiżankę i ze współczuciem położyła jej rękę na ramieniu. Obie kobiety siedziały tak przez kilka minut, aż Constance trochę się uspokoiła. Wyciągnęła chusteczkę, wydmuchała nos i wytarła oczy.

- Dla policji sprawa jest jasna, prawda? - zapytała.

- Niezupełnie - odparła Mia. - Pani samochód nadal jest sprawdzany pod kątem pozostawionych śladów. Nie przypuszczam jednak, byśmy znaleźli coś, co da nam jakąś wskazówkę.

- Czy mogę pozostawić zgłoszenie o zaginięciu?

- Oczywiście. Ale obawiam się, że poszukiwania nie zostaną podjęte. Nic nie wskazuje na popełnienie przestępstwa. Dorosła kobieta, która najwyraźniej zdecydowała się na rozpoczęcie nowego życia. Dla pani to straszne, ale nie usprawiedliwiałyby to wszczęcia poszukiwań na szeroką skalę.

- Że też tak po prostu odeszła. Nie rozumiem tego. Zwyczajnie tego nie rozumiem!
- Od kiedy pani i Alice jesteście parą? – zapytała delikatnie Mia.
- Już prawie od siedmiu lat.

– A przedtem? Z kim Alice była wcześniej związana?

– Była mężatką. Nie wiem, jak długo. W dwa tysiące siódmym rozwiodła się z mężem. Często pytałam Alice o powody, ale nigdy mi konkretnie nie odpowiedziała. Podobno nie byli z sobą szczęśliwi. Wiązałam to z tym, że Alice z czasem odkryła, że bardziej pociągają ją kobiety. Może dlatego nie mogła już żyć z Oliverem.

– Oliver był jej mężem?

– Oliver Walsh. Tak. Nie mówiła o nim zbyt wiele, ale w jej słowach nie słyszałam nienawiści. Prawdopodobnie rozstali się w zgodzie, ale potem nie utrzymywali już kontaktu.

– Gdzie on mieszka?

Constance wzruszyła ramionami.

– Mieszkali niedaleko Nottingham. W jakiejś wiosce.

– Po rozwodzie Alice pojechała do Kornwalii?

– Tak. Najpierw do Truro. Potem dostała pracę w Redruth. Tam się poznałyśmy.

– W jaki sposób?

Constance uśmiechnęła się smutno.

– Obie miałyśmy abonament teatralny. I zawsze siedziałyśmy obok siebie. Czysty przypadek. Podczas przerw piłyśmy szampana i rozmawiałyśmy o wszystkim i o niczym. No cóż, w końcu przemieniło się to w coś więcej.

– Rozumiem – powiedziała Mia. – Alice nie ma dzieci?

– Nie.

Mia się zamyśliła.

– Jeśli ma skłonności do depresji... Domyślam się, że próbowała się pani dowiedzieć... poznać ich przyczynę?

– Tak. Ale nie na wiele się to zdało. Pewnie sama tego nie wiedziała.

– Może po prostu nie mogła mieć dzieci – zasugerowała Mia. – I stąd rozpad jej małżeństwa. Czasem tyle wystarczy.

– Tak – odparła Constance. – Sądziłam, że ze mną jest szczęśliwa. Mimo wszystko.

– Czy Alice ma jakichś żyjących krewnych? Rodziców? Rodzeństwo?

– Nie. Rodzeństwa nie miała. A jej rodzice nie żyją.

– Rozumiem. – Mia uznała, że to nie jest tak naprawdę sprawa dla policji. Alice nie była szczęśliwa w swoim związku, czuła się niezrozumiana. Postanowiła to przerwać. Radykalnie i nie zważając na uczucia swojej partnerki. Na samotnej wiejskiej drodze w Somerset. W upalny tydzień w lipcu.

Ciekawe, co w życiu Alice Coleman poszło nie tak.

Wyjaśnienie tego, jak już powiedziała Constance, nie było jednak jej zadaniem.

4

Na parkingu przy autostradzie M6, tuż za Stoke-on-Trent, a więc mniej więcej w połowie drogi między Manchesterem a Birmingham, Kate oświadczyła niepokój. Zatrzymała się, by skorzystać z toalety i napić się kawy. Opierając się o maskę samochodu i czekając, by gorący napój nie sparzył jej ust, kilkakrotnie próbowała skontaktować się z Ksenią. Dzwoniła zarówno pod swój domowy numer stacjonarny, jak i na komórkę Kseni. Podobnie jak wczesnym rankiem, a także tuż przed wyruszeniem w drogę. Bezskutecznie. Wciąż zgłaszała się automatyczna sekretarka.

Może skoro świt poszła na spacer nad morze, pomyślała. Wtedy całe przedpołudnie mogła spędzić poza domem.

Ze Scalby do plaży w Zatoce Północnej w Scarborough szło się pieszo dobre trzy kwadranse, raczej mało wysportowana Ksenia pewnie potrzebowała więcej czasu. Mimo to Kate przeszło dziwne uczucie. Ksenia wydawała się taka zalękniona. Mogłaby przysiąc, że zostanie w domu i nie odważy się wyjść na długie godziny.

Może robiła zakupy? W takim razie już dawno powinna była wrócić.

Kate sęczyła kawę małymi łykami, patrząc na zasnute chmurami niebo. Upał na jakiś czas zelżał, ale wcale się nie ochłodziło.

Zabrzączał telefon. Miała nadzieję, że to Ksenia. Dzwonił jednak inspektor Stewart. Był poirytowany.

– Stoję przed pani domem – powiedział bez słowa powitania. – Chciałem porozmawiać z Ksenią Paget. Nikogo nie zastałem. A przynajmniej nikt nie otwiera.

– To dziwne. Od paru godzin usiłuję się dodzwonić do Kseni, bez powodzenia. Nie mogę jej złapać na numer stacjonarny. A gdyby wyszła, zabrałaby przecież komórkę.

– Może padła jej bateria.

– Mógłby pan zajrzeć do ogrodu? – poprosiła Kate. – I sprawdzić, czy wszystko w porządku? Także przy drzwiach prowadzących z tarasu do kuchni.

Robert westchnął. Gdy obchodził dom, słyszała w słuchawce chrzęst żwiru pod jego butami. Po chwili znów się odezwał.

– Wszystko wydaje się w najlepszym porządku. Drzwi są zamknięte, w ogrodzie nikogo nie ma. W kuchni siedzi kot.

– Tak, to Messy. – Kate gorączkowo się zastanawiała. Czowała, że Robert czeka, aż mu podpowie, co należy zrobić.

Świetny z niego szef, pomyślała.

– Proszę zapukać do sąsiadki – przyszło jej naraz do głowy. – Jest lepsza niż pies stróżujący. O tym, co się u mnie w domu dzieje, wie więcej niż ja sama. Może coś zauważyła.

Robert nie wydawał się tym zachwycony, ale obiecał spełnić jej prośbę, a następnie oddzwonić.

Zakończyli rozmowę. Kate dopiła kawę, po czym wsiadła do samochodu. Bardziej niż kiedykolwiek zapragnęła, by Caleb nadal z nią pracował. Nie żeby jego teorie oraz sposoby działania okazywały się słuszne, czasem różnił ich odmienny punkt widzenia. Mimo to zawsze miał jakiś pomysł, plan, kroczył naprzód, był aktywny i zaangażowany. Robert natomiast wydawał jej się niby... pigułka nasenna. Kiedy jeszcze współpracował z Calebem, wykazywał jakąś inicjatywę, ale teraz, w nowej roli, sprawiał wrażenie zmrożonego. Z obawy przed popełnieniem jakiegoś błędu nie wykonywał praktycznie żadnego ruchu.

Po dziesięciu minutach Robert ponownie zadzwonił. Kate rozmawiała z nim przez zestaw głośnomówiący.

– Tak?

– Pani sąsiadka rzeczywiście jest bardzo spostrzegawcza – przyznał Robert (miły eufemizm dla *czasem dość bezpośrednia i wścibska*, pomyślała Kate). – Wczoraj u Kseni zjawilo się dwóch mężczyzn, jeden po drugim.

– Dwóch mężczyzn?

– Tak. O pierwszym niewiele mogła powiedzieć, ale sprawiał wrażenie wściekłego i zdeterminowanego. Niesympatyczny człowiek, stwierdziła. Czy to mógł być mąż Kseni? Jacob Paget?

– Niestety, to całkiem możliwe, że Jacob ją odnalazł i próbował z sobą zabrać. Niech to szlag. Powinnam była zostać.

– Nie może pani siedzieć w domu przez okrągłą dobę i pilnować Kseni Paget. Od samego początku uważałem, że to niezbyt szczęśliwy pomysł, by przyjąć ją pod swój dach.

Miałeś może lepszą propozycję? – Kate miała to na końcu języka, ale przełknęła tę uwagę. Inspektor Stewart był jej przełożonym.

– Co powiedziała o tym drugim mężczyźnie? – zapytała.

– Stwierdziła, że już tu czasem bywał. Wcześniej, kiedy nie mieszkała pani jeszcze w Scalby, ale od czasu do czasu tu przyjeżdżała. Pochodzi z Londynu, jeździ niebieskim mini i...

– Colin – oznajmiła Kate. – To Colin. Cały on. Napisałam mu, że nie będę mieć czasu, ale mimo to przyjechał.

– Pani przyjaciel?

– Znajomy. Z Londynu. Był ze mną w pociągu do Yorku, w którym doszło do strzelaniny.

– Rozumiem. Cóż, w każdym razie wygląda na to, że już go tu nie ma. Także po samochodzie ani śladu.

– Czy sąsiadka widziała, jak odjeżdża? Sam czy razem z Ksenią?

– Mówi, że nie. Samochód stał tam wczoraj jeszcze do późnego wieczora. Miała wrażenie, że kierowca przenocował w pani domu. Kiedy dziś rano się obudziła, auta już nie było. Pani znajomy musiał wyjechać późno w nocy albo bardzo wcześnie z rana.

Razem z Ksenią? Kate się zamyśliła. W zasadzie byłoby to pocieszające rozwiązanie. Colin był upierdliwcem, ale nieszkodliwym. Jeśli w domu Kate zabawił przez dłuższy czas, oznaczało to, że Ksenia musiała go wpuścić, gdyż nie miał własnego klucza. To z kolei znaczyło, że Jacob – jeśli to on był tym drugim mężczyzną – nie zdołał jej z sobą zabrać. Być może zapobiegło temu pojawienie się Colina. Pozostawało pytanie, dokąd udał się razem z Ksenią. Dlaczego opuścili dom Kate?

– Dobrze, spróbuję skontaktować się z Colinem – powiedziała. – Za pół godziny dotrę do Birmingham. Odezwę się, jeśli rozmowa z ojcem Sophii Lewis przyniesie coś nowego.

– W porządku – odparł Robert wymuszonym rzeczowym tonem. Jakby zerkał na początek długiej listy rzeczy do zrobienia, którą musiał dziś jak najszybciej odfajkować.

Założę się, pomyślała Kate, że sam *nie* wie, co dalej.

Wybrała numer komórki Colina. Po kilku sygnałach włączyła się poczta głosowa. Niewiarygodne, on także był nieosiągalny.

Zapytała o Ksenię i poprosiła o pilny kontakt, nic więcej nie mogła w tej chwili zrobić. Miała nadzieję, że oddzwoni. Zazwyczaj był człowiekiem godnym zaufania, poza tym nie chciał jej irytować.

Nie pozostało jej nic innego, jak skupić się na zbliżającej się rozmowie z ojcem Sophii. Helen wyszukała wprawdzie jego adres, ale nie zdołała się z nim skontaktować telefonicznie. Należało mieć nadzieję, że zastanie go w domu, on zaś będzie wiedział coś, co rzuci nieco światła na tę sprawę.

Geoffrey Lewis nawet się ucieszył z niezapowiedzianej wizyty. Bez wahania zaprosił Kate do salonu, po czym czmychnął do kuchni, by zaparzyć kawę. Kate była zadowolona z nawigacji satelitarnej w swoim samochodzie. Birmingham, drugie co do wielkości po Londynie miasto w Anglii, było dla każdego kierowcy prawdziwym wyzwaniem logistycznym. Położone w samym środku Black Country, obszaru górniczego West Midlands, którego krajobraz kształtowały i zanieczyszczały niegdyś

dymiące kominy fabryczne, Birmingham przekształciło się tymczasem w wielokulturową metropolię i wciąż musiało się zmagać z poważnymi niepokojami społecznymi. Geoffrey Lewis mieszkał w Winson Green, ubogiej dzielnicy, która zyskała niechlubną sławę jako siedziba koszmarnego więzienia HM Prison Birmingham. Prywatnemu właścicielowi odebrano rok wcześniej licencję, a kierowanie placówką tymczasowo przejęły służby państwowe po tym, jak ujawniono przerażającą prawdę o katastrofalnych warunkach, w jakich przebywali więźniowie, przetrzymywani w przepełnionych celach i w niewyobrażalnych warunkach higienicznych.

Dom Geoffreya Lewisa znajdował się przy Green Lane, w dość podupadłej części tej niekończącej się ulicy. Niewiele zieleni. Małe szeregowce z niskimi sufitami i wąskimi korytarzami, asfaltowe podwórza, na których stały kubły na śmieci, a czasem też wyrzucona zmywarka lub stary kosz dla psa. Wydawało się, że mieszkańcy już dawno stracili ochotę na jakiegokolwiek upiększanie swoich domów.

Pokój dzienny Geoffreya Lewisa był tak niewielki, że trudno się w nim było poruszać, mimo to Kate doceniała fakt, że staruszek starał się uprzejmie przyjąć swego gościa. Kiedy wrócił z kawą, zaproponował jej miejsce w fotelu przy oknie. Fotel miał popsute sprężyny i niemal zapadł się do samej podłogi, gdy Kate w nim usiadła. Gospodarz podał kawę w małych porcelanowych filiżankach. Kate upiła łyk i aż się zakrztusiła: nigdy jeszcze nie próbowała tak mocnej kawy. Gdyby miała łyżkę, mogłaby po zanurzeniu jej w płynie ustawić ją w pionie.

– Panie Geoffrey, przyjechałam z powodu pańskiej córki Sophii – powiedziała.

Nie wyglądał na przerażonego, choć w drzwiach przedstawiła się jako policjantka.

– Sophia – odparł – jak cudownie.

– Miała wypadek.

– Och...

Kate powoli zdała sobie sprawę, że Geoffrey Lewis był z pozoru miłym starszym panem, może trochę roztargnionym i przez swoją samotność nienawykłym do obecności innych ludzi. Tak naprawdę jednak psychicznie podupadł. Siedział, uśmiechał się i cieszył, że ma z kim porozmawiać, ale nie całkiem rozumiał, o czym mowa, a zdarzenia kojarzył jedynie częściowo. Jej nadzieja przygasła. Trudno będzie uzyskać od niego sensowne informacje.

– Ona nadal przebywa w szpitalu. To nie był zwykły wypadek. Ktoś celowo spowodował poważną kraknę.

Na twarzy Geoffreya odmalowało się zmieszanie.

– Celowo? To nie brzmi dobrze.

Kate pomyślała o nieodwracalnym porażeniu Sophii.

– Nie. To naprawdę nie brzmi dobrze.

– Świat nie jest przyjaznym miejscem – stwierdził Geoffrey, popijając mocną kawę, jakby to była woda.

– Kiedy ostatnio widział pan Sophię?

Zamyślił się.

– Nie pamiętam dokładnie. Była jeszcze zima. Leżał śnieg. W lutym?

– Tego roku?

– Tak. Odwiedziła mnie. Wie pani, jestem bardzo samotny. Moja żona zmarła dziewięć lat temu. – Jego samotność była w tym momencie namacalna niczym jakiś ogromny przedmiot znajdujący się w pokoju. Oprócz córki pewnie nie miał nikogo, kto by się nim choćby od czasu do czasu zaopiekował. A teraz nawet ona nie będzie w stanie tego zrobić. Kate poczuła nagle głęboki, bolesny smutek. Ktokolwiek zaatakował Sophię, dotknął również tego staruszka.

– O czym rozmawialiście? – Współczucie nic tu nie pomoże. Musiała zachować profesjonalizm.

Usilnie się zastanawiał.

– O pogodzie, tak. Bo właśnie zrobiło się potwornie zimno. Wręcz lodowato.

– A poza tym? Czy Sophia opowiadała o sobie? Na przykład o tym, że czegoś lub kogoś się boi?

– Boi się?

– Tak. Albo że ma wrogów?

– Sophia nie ma żadnych wrogów – powiedział z naciskiem Geoffrey. – Wszyscy ją lubią.

Kate wciąż słyszała takie właśnie opinie. Lubiana przez wszystkich. Wszędzie mile widziana. A jednak ktoś musiał jej nienawidzić. Głęboko.

– Ktoś przeciągnął drut w poprzek ścieżki, którą codziennie rano jeździła na rowerze – oznajmiła Kate. – Ktoś, kto na pewno jej nie lubi.

– Może wcale nie chodziło mu o Sophię – zauważył Geoffrey, udowadniając, że miewał przebłęski pamięci. – Tylko próbował komuś dopiec. Dla zabawy.

– To oczywiście możliwe, ale wydaje się mało prawdopodobne. O tej porze dnia wyłącznie Sophia tamtędy przejeżdżała. Wiele osób o tym wiedziało. A do tego do niej strzelano.

– Och... – westchnął Geoffrey.

– Ale chybiono.

– To dobrze.

Trudna to była rozmowa.

– Czy Sophia dorastała tutaj, w tym domu? – zapytała Kate.

Geoffrey potrząsnął głową.

– Nie. W West Bromwich. To niedaleko Birmingham.

– Aha. I jak tam było? To znaczy, jak wyglądały jej nastoletnie lata? Czy wtedy także była lubiana? Jako nastolatka?

– Tak. Miała wielu przyjaciół. Wszyscy ją lubili. Była też bardzo wysportowana. Grała w piłkę ręczną i dużo biegała. Należała do klubu piłki ręcznej. Wszyscy ją tam lubili.

To było irytujące. Kiedy, jak i gdzie ta lubiana przez wszystkich Sophia tak bardzo się z kimś poróżniła, że teraz leży unieruchomiona w szpitalu?

– Żadnych wrogów? Nawet wcześniej?

– Na naszej ulicy – powiedział Geoffrey – był taki jeden, wciąż ją denerwował. Odkąd skończył pięć lat. A potem był jeszcze jeden...

– Tak?

– W klubie piłki ręcznej. Ciągłe za nią łąził. Ale ona go nie chciała.

– Czy był dla niej niemiły?

– Przez pewien czas kręcił się koło naszego domu. Sopię to złościło. Ale w końcu zrezygnował.

– Pamięta pan jego imię?

Geoffrey się zamyślił.

– Sam? – zapytał z wahaniem.

– Sam? A nazwisko?

Geoffrey potrząsnął głową.

– Nie wiem. Nawet nie jestem pewien, czy miał na imię Sam. Ale chyba się stamtąd wyprowadził.

Niejaki Sam, który grał w piłkę ręczną i zakochał się w Sophii Lewis. Czyżby ją prześladował? Problem polegał na tym, że nawet ostrożnie wypytywany, Geoffrey natychmiast się spinał. Mało prawdopodobne, by przypomniął sobie jego nazwisko, chyba że miałby mnóstwo czasu i spokoju. Ale wtedy pewnie znowu straciłby koncentrację.

– Jak nazywał się ten klub piłki ręcznej? – dociekała ostrożnie Kate.

Geoffrey zmarszczył czoło.

– Nie wiem. Ale na pewno z West Bromwich.

Klubów piłki ręcznej pewnie nie ma tam zbyt wielu. Tak czy owak, tajemniczy Sam był jakąś wskazówką. Choć pewnie prowadzącą donikąd. Młodzieniec, który nie potrafił pogodzić się z odrzuceniem, nie musiał jednak ponad dekadę później paść chęcią perfidnej zemsty.

Z drugiej strony Kate miała w tym względzie spore doświadczenie.

– Coś jeszcze? – zapytała. – O niczym więcej nie wspominała? Podczas ostatniej wizyty albo którejś z poprzednich? O czymś, co ją zaniepokoiło lub przerażyło? Czy wymieniła jakieś nazwisko?

Zamyślił się. Szczerze starał się pomóc, lecz Kate podejrzewała, że wewnątrz jego głowy przypominało czasem nieprzenikniony gąszcz. Gnieździły się w niej wspomnienia, obrazy, myśli, ale trudno mu było właściwie je z sobą powiązać. Z pewnością był też potwornie samotny. Kate domyśliła się, że nieraz całymi tygodniami z nikim nie zamienił ani słowa, może jedynie od czasu do czasu z kasjerką w supermarkecie. To również powodowało skostnienie jego umysłu.

Nagle jego twarz się rozjaśniła.

– Tak! Wymieniła jedno imię! Mężczyzny. Dużo o nim mówiła.

– Jak się nazywał?

– Nick.

– Nicolas Gelbero?

– Właśnie. Często przywoływała jego imię.

– Jej były chłopak. Czy stwarzał jakieś problemy? – Dowiedziawszy się o wypadku Sophii, Nick był autentycznie zaskoczony, lecz także przerażony. Kate wiedziała, że nie może go całkowicie wykluczyć. Rzeczywiście większość przestępstw z użyciem przemocy popełniano w kręgu rodzinnym, a zwłaszcza wobec partnerów. Zawód miłosny, zranione uczucia. Nick został przez Sophię dość kategorycznie odrzucony, i to bez podania prawdziwych powodów zerwania. Mimo to Kate zawsze polegała na swoim instynkcie, który jej podpowiadał, że Nick nie byłby zdolny do popełnienia przestępstwa. Mógł być smutny, nadal mieć nadzieję, że wróci do Sophii, niemniej z całą pewnością potrafił sobie poradzić z urazą, nie posuwając się do obelg czy wręcz zbrodni.

Pozostał jednak w kręgu podejrzanych, podobnie jak wszyscy, którzy w jakiś sposób zbliżyli się do Sophii Lewis.

Geoffrey spojrzał na nią ze zdumieniem.

– Problemy? Czemu znów problemy?

Więcej nie można było oczekiwać. Najwyraźniej nie do końca rozumiał, co się stało.

Jeszcze jedno pytanie.

– Czy kiedykolwiek słyszał pan o Kseni Paget?

Potrząsnął głową.

– Nie. Nigdy.

Wyruszyli w kierunku Whitby. Byli ledwie pół godziny drogi od Scarborough, mimo to Ksenia sprawiała wrażenie coraz spokojniejszej. Resztę nocy spędzili w samochodzie zaparkowanym nad morzem. Colin nie zmrużył oka na niewygodnym fotelu, natomiast Ksenia, wyczerpana, zapadła w głęboki sen. Pomimo znacznej tuszy udało jej się zwinąć w kłębek; leżała obok Colina jak wielka kluska, oddychała głęboko. Noc przemieniła się w świt, niebo zasnuły nisko zwieszane chmury, tylko sporadycznie przebijały się przez nie słoneczne promienie. Morze falowało jak bezwładna masa. W pewnym momencie Colin wysiadł z samochodu, tłumiąc odgłosy bólu, rozprostował członki, a następnie przeszedł spory odcinek drogi, aż dotarł do kawiarni. Kupił dwa duże kubki kawy i dwie kanapki z serem, po czym wrócił do samochodu. Ksenia tymczasem się obudziła, wysiadła z auta, stanęła na skraju parkingu i spoglądała na morze. Z daleka, pomyślał Colin, rzeczywiście wygląda niekształtnie, a szeroka, sięgająca do kostek kwiecista sukienka, w której stara się ukryć zbędne kilogramy, wcale nie polepsza sprawy. Dopiero z bliska zauważało się jej urodziwą twarz, piękne duże oczy i lśniące ciemne włosy.

Piętnaście kilo mniej i będzie z niej piękność, przemknęło Colinowi przez myśl.

Siedząc zgodnie na ławce nad morzem, wypili kawę i zjedli kanapki, a potem poszli na powolny spacer. Ich telefony komórkowe co chwila dzwoniły, oni jednak je ignorowali. Wiedzieli, że to Kate usiłuje się z nimi skontaktować, mieli też świadomość, że w którymś momencie będą musieli oddzwonić. Nie mieli wszakże pojęcia, co powiedzieć, postanowili więc unikać wysłuchiwanie wyrzutów. Colin potrafił sobie wyobrazić, jak Kate oceni jego zachowanie i jakich dosadnych słów przy tym użyje, na myśl o tym niemal mimowolnie kulił głowę. A jednak tkwił w samym środku tej historii. Nie mógł zostawić Kseni samej.

Później pojechali do Whitby, znaleźli tani, okropnie ponury motel przy ruchliwej trasie. Wynajęli dwa pokoje, ale oprócz noclegu do niczego więcej się nie nadawał, więc od razu stamtąd czmychnęli i już od godziny siedzieli w pubie w pobliżu portu. Była pora lunchu, powoli gromadzili się pracownicy okolicznych biur. Ksenia i Colin wybrali stolik przy oknie i zamówili wyłącznie kawę. Nie byli głodni.

Colin kilkakrotnie sprawdził swoją komórkę. Miał pięć nieodebranych połączeń od Kate, zostawiła mu dwie wiadomości w poczcie głosowej, coraz bardziej poirytowana prosiła o kontakt. Przesłała też wiadomość na WhatsAppa.

Jeśli jesteś z Ksenią, skontaktuj się ze mną niezwłocznie. To nie żarty. To nie jest gra przygodowa. Muszę wiedzieć, gdzie ona przebywa!

Gra przygodowa! Niestety, często traktowała go jak dzieciaka. A jednak Colin czuł się coraz bardziej nieswojo. Wplątał się w coś, co go chyba przerosło.

– Kate? – zapytała Ksenia, zerkając na jego telefon.

Skinął głową.

– Coś mi się wydaje, że jest nieźle wkurzona. Koniecznie chce wiedzieć, gdzie się podziewasz.

– Skąd niby wie, że jesteś ze mną?

Sam zadawał sobie to pytanie, ale właściwie nie kryło się w tym nic niezwykłego.

– Zapowiedziałem, że przyjadę. Pewnie widziała mnie sąsiadka, nic nie umknie jej uwagi. A Kate potrafi kojarzyć fakty. Nie wie tego na sto procent, ale podejrzewa, że jestem razem z tobą, fakt zaś, że nie odpowiadam na jej telefony, pewnie ją tylko utwierdza w tym przekonaniu.

– Do mnie też stara się dodzwonić.

Skinął głową.

– Nie możemy tego ciągnąć w nieskończoność, Kseniu. To naprawdę nie fair wobec Kate. I możemy zostać pociągnięci do odpowiedzialności karnej.

– Niby czemu? Jesteśmy wolnymi ludźmi. Możemy jechać razem, dokąd tylko chcemy.

– Tak, ale jesteś częścią policyjnego śledztwa. Poza tym Kate przyjęła cię pod swój dach, zaufała ci. Wydaje mi się, że postępując tak, nie zachowujemy się przyzwoicie.

– No tak – przyznała Ksenia.

Pochylił się ku niej.

– Obiecałaś mi wyjaśnić, o co tu chodzi. Dlaczego boisz się policji? Co twój mąż ma przeciwko tobie?

Unikała jego spojrzenia.

– Nie chcesz tego wiedzieć.

– Ależ chcę. Dlatego pytam.

– Dlaczego miałabym ci o tym opowiedzieć? Ledwo cię znam.

– Uciekłaś razem ze mną z domu Kate. Prosiłaś mnie o pomoc. Przez ciebie nadużyłem zaufania jedynej osoby, którą śmiało mogę nazwać... przyjaciółką. Chciałbym przynajmniej wiedzieć, po co to wszystko robię.

Westchnęła. W jej twarzy dostrzegł wyraz zmagania z samą sobą.

– W porządku – przyznała w końcu cichym głosem. – Ale to jest... to straszna historia. Pewnie mnie za to znienawidzisz.

– Nie wydaje mi się – zaproponował Colin.

Ksenia rozejrzała się dokoła. Nikt nie siedział na tyle blisko, by usłyszeć jej słowa. Zrobiła głęboki wdech.

– No więc... – zaczęła.

Kate sama nie wiedziała, dlaczego właściwie wyruszyła do West Bromwich, aby obejrzeć dom, w którym dorastała Sophia. Miejscowość leżała po drodze do Leeds, gdzie zamierzała ponownie odwiedzić Jacoba i zapytać go, dlaczego podał fałszywe informacje na temat agencji. Kierowała się intuicją. Geoffrey podyktował adres z pamięci. Jego umysł czasami działał niezawodnie.

Już w latach spędzonych w Scotland Yardzie Kate miała w zwyczaju odwiedzać miejsca, które na pierwszy rzut oka nie były związane ze śledztwem, i poddawać się ich wpływowi. Nierzadko w niczym to nie pomagało, ale czasem pozwalało jej na skrócenie dystansu do niektórych osób, na lepsze zrozumienie ludzi, wczucie się w ich sytuację życiową. Ówczesny szef kpił z niej z tego powodu, zwłaszcza że rzadko wracała z konkretnymi nowinami. Lecz miało to wpływ na jej intuicyjne postrzeganie, a w trudnych przypadkach to właśnie dzięki intuicji Kate często robiła postępy lub nawet osiągała przełom. Jej współpracownicy nierzadko kiwali wtedy głowami i dość niechętnie wyrażali swoje uznanie.

Stojąc przed domem rodzinnym Sophii, musiała jednak przyznać, że takie wizyty rzeczywiście nie zawsze wносиły cokolwiek do sprawy. Podobnie jak obecny dom jej ojca, także ten budynek, niski, wąski szeregowiec, stał w ubogiej okolicy. Tynk na elewacji miejscami się łuszczył, a rynna przerdzewiała i przełamała się wpół. Podczas opadów woda musiała spływać tuż przed oknami, w trakcie ulewy przypominając prawdziwy wodospad.

Na widok tego domu Kate uświadomiła sobie jedno: wychowawszy się w takich warunkach, Sophia zaszła w życiu zdumiewająco daleko. Bynajmniej nie urodziła się w czepku. W szkole musiała wykazać się ambicją i pracowitością, a sukcesami w sporcie dowiodła, do czego prowadzi samodyscyplina. Kate pomyślała o ładnym domu w Stainton Dale, w którym Sophia niedawno zamieszkała, o jej popularności wśród kolegów i uczniów. Sporo w życiu osiągnęła, nie popadając, jak to często w tej okolicy bywało, w uzależnienie od narkotyków czy złe towarzystwo.

Złe towarzystwo.

Chłopak z sąsiedztwa, który ją irytował, ów drugi, który się w niej zakochał i być może stał się nieco natrętny. Czy ma to jakieś znaczenie?

Bezradne czepianie się wszystkiego, pomyślała, nawet najbardziej naciąganych wątków, każdej myśli, jakkolwiek absurdalna mogła się okazać... Klasyczny dowód na to, że śledztwo utknęło w martwym punkcie. Że brnęli po omacku, jak przez mgłę. Bez wielkich nadziei.

Wróciła do samochodu. Lekko utykała. Kiedy pokonywała nieco dłuższy dystans, bolała ją noga od rany postrzałowej. Niczym przestroga: mieli do czynienia z groźnym przestępcą. Dobrze się teraz do skóry nieprzyjemnemu Jacobowi Pagetowi. Będzie

jej musiał, do cholery, wyjaśnić, gdzie naprawdę poznał Ksenię Paget. I dlaczego na ten temat kłamał.

Po drodze jeszcze kilkakrotnie próbowała dodzwonić się do Kseni i Colina.

Poczta głosowa. Wciąż tylko poczta głosowa.

Jacob Paget nie był tak arogancki i zarozumiały jak poprzednio. Gdy Kate dotarła do Leeds, zastała go w domu. Mruczając pod nosem, wprowadził ją do salonu, po czym warknął:

– Co znowu?

Dowiedziawszy się, o co chodzi, zakłopotany spuścił nieco z tonu.

– Ksenia Sidorowa nigdy nie była zarejestrowana w HappyEnd – oznajmiła Kate. – A to poważni i drobiazgowi ludzie.

– Oczywiście, że są poważni – Jacob się napuszył – w przeciwnym razie w ogóle bym się do nich nie zgłosił.

Patrzyła na niego z niewzruszoną miną.

– Gdzie pan poznał swoją żonę, panie Paget?

– Czy to ważne?

– Tak.

Machnął obiema rękami.

– Po prostu ją poznałem.

– Gdzie, panie Paget? Najwyraźniej nie poprzez agencję HappyEnd. Był pan ich stałym klientem i podejmował liczne próby nawiązania znajomości. Ksenia Sidorowa nie była jednak ich klientką.

Spojrzał na nią gniewnie.

– Tyle zrozumiałem.

– Więc?

– Spotkaliśmy się przypadkiem – oświadczył w końcu niechętnie. – Jestem zarządcą nieruchomości, pracuję dla pewnej agencji w Leeds, Bradford i Yorku. W jednym z domów...

Przerwał.

– Tak?

– Nowy budynek. Byłem odpowiedzialny za odbiór różnych prac. Znaleźliśmy ją w mieszkaniu w suterenie. Wegetowała na kocu, miała kuchenkę gazową, żyła w niewyobrażalnych warunkach. Wyglądała na zaniedbaną. Ludzie z firmy budowlanej chcieli od razu zadzwonić na policję, ale powiedziałem, żeby dali spokój, że wszystkim się zajmę.

Kate mogła to sobie wyobrazić. Jacob, który od dawna szukał żony, prawdopodobnie od razu dostrzegł swoją szansę. Kobieta, którą wyciągnie dosłownie z rynsztoka,

ujrzałyby w nim swojego wybawcę i byłyby mu dozgonnie wdzięczna – czegoż lepszego mógłby oczekiwać? Żadna kobieta nie została z nim dobrowolnie, lecz jeśli ktoś nie miał poza nim nikogo innego, sytuacja wyglądała zupełnie inaczej.

– Dlaczego ukrywała się w tym pustym mieszkaniu? – zapytała Kate. – I kiedy dokładnie to było?

– W dwa tysiące szóstym. W lutym. I wcale się tam nie ukrywała. Potrzebowała dachu nad głową.

– Co się stało? Jak dostała się do Anglii? Najwyraźniej nie miała pracy?

– Przyjechała z wizą turystyczną, a potem została. Nie chciała wracać. W Rosji nie widziała dla siebie żadnych perspektyw.

– Co dokładnie porabiała w Anglii? Opisana przez pana sytuacja nie wygląda na udaną alternatywę dla życia w Rosji.

– Niezupełnie wiedziała, czego tak naprawdę chce. Wykluczała jednak powrót do Rosji.

– Czy mówiła już wtedy po angielsku?

– Nie tak dobrze jak dzisiaj. Ale całkiem nieźle.

– Z czego się utrzymywała?

Wzruszył ramionami.

Prace dorywcze, pomyślała Kate. A może żebractwo? Kradzieże? Czy z tego powodu tak panicznie boi się policji? Dlatego że przed ponad dziesięciu laty ukradła kilka artykułów spożywczych z supermarketu? A może dlatego, że przez pewien czas wegetowała nielegalnie w niezamieszkanym budynku?

Zbyt to wszystko naciągane. Ksenia nie była głupia. Nie dałaby się zastraszyć takiemu człowiekowi jak Jacob tylko dlatego, że znał na jej temat kilka drobnostek.

– Dlaczego okłamał pan mnie i innych funkcjonariuszy w sprawie okoliczności waszego poznania?

Miał jeszcze bardziej ponurą minę niż zazwyczaj.

– Bo tak lepiej brzmi. Bo nie chciałem powiedzieć, że wyciągnąłem żonę niczym włóczkę z pustostanu.

– Nie wierzę panu – odparła Kate. – Sądzę raczej, że *już wcześniej* wydarzyło się w życiu Kseni coś, przez co straciła grunt pod nogami i znalazła się na ulicy. Pan o tym wie. To dlatego starał się pan zataić okoliczności tego spotkania. Jestem pewna, że nawet teraz nie mówi pan całej prawdy. I z powodu tamtej historii, cokolwiek się wtedy wydarzyło, poddaje pan żonę presji.

Wykrzywił twarz w pogardliwym uśmiechu.

– To tylko pani twierdzenia!

– Podjęto próbę zamachu na życie pańskiej żony. Byłam tego świadkiem. Zabójca nadal przebywa na wolności. Nic nie wiemy na temat jego tożsamości. Jeśli się okaże, że wiedział pan o czymś, co może mieć związek z tą sprawą, wówczas pańskie milczenie zostanie uznane za utrudnianie pracy policji. To przestępstwo.

– Powiedziałem wszystko, co wiem. Nie mam pojęcia, dlaczego ktoś strzelał do Kseni. Może to jakiś Rosjanin, może ma to coś wspólnego z jej przeszłością.

– Jest pan z Ksenią od trzynastu lat. Z całą pewnością opowiedziała panu co nieco o swojej przeszłości.

– Nic, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego ktoś dybie na jej życie.

On nic nie powie. Kate była absolutnie przekonana, że Jacob Paget coś wie, ale nie zdradzi się ani słowem. Być może rzeczywiście znalazł Ksenię w tamtym pustym mieszkaniu, ale mogło też być zupełnie inaczej. Pytanie, jak bardzo sam Jacob był zamieszany w jakiś nielegalny proceder. A może, znając przez tak długi czas prawdę, był zbyt mocno uwikłany, by teraz otwarcie o tym mówić?

– Dobrze – oznajmiła – nie chce pan współpracować. Może zmieni pan jeszcze zdanie, z korzyścią dla pana. W każdej chwili może pan do mnie zadzwonić.

Już podczas poprzedniej wizyty wręczyła mu swoją wizytówkę, mimo to dała mu teraz drugą. Wziął ją i bez słowa położył przed sobą na stole.

– Kiedy moja żona wróci do domu?

– Sam musi ją pan o to zapytać – odparła Kate, po czym ruszyła ku drzwiom. W obecności tego człowieka zawsze czuła przemożne pragnienie, by jak najszybciej uciec.

Jakim sposobem Ksenia tak długo z nim wytrzymała? – zastanawiała się.

Kiedyś pozna wreszcie odpowiedź na to pytanie.

Nasza córka Lena urodziła się w maju dwa tysiące trzeciego roku. Biorąc pod uwagę wszystko, przez co przeszła Alice, ciąża przebiegła zaskakująco gładko. Nie było żadnych komplikacji, których tak bardzo się obawiałem. Przez te wszystkie miesiące Alice była jednak pogrążona w melancholijnym nastroju. W końcu zdołała zająć w ciążę, ale wydawało się, że nie może uwierzyć w pomyślne jej zakończenie.

„Chyba kiepsko pójdzie”, mawiała dość często, gapiąc się przed siebie, a w jej oczach krył się ów wyraz zwątpienia, które, miałem nadzieję, nareszcie gdzieś zniknęło. Chodziła na badania, nie piła alkoholu, rozsądnie się odżywiła, sporo spacerowała. Troszczyła się o Saszę, który jesienią miał zacząć naukę w szkole, na co czekałem w napięciu. Jego upośledzenie umysłowe wraz z wiekiem stawało się coraz bardziej zauważalne. Nie wierzyłem, że będzie w stanie poradzić sobie w normalnej szkole. Jego mała głowa coraz bardziej rzucała się w oczy, do tego niepewne spojrzenie oraz niezwykle stan zamknięcia się w sobie. Z jednej strony wydawało się, że chce zrozumieć wszystko, co się wokół niego dzieje, gdyż jego oczy goniliły na prawo i lewo, jakby chciały uchwycić wszelkie zdarzenia, by potem móc o nich spokojnie rozmyślać. Zarazem jednak zdawał się wsłuchiwać w samego siebie, jakby głównie w sobie szukał czegoś, co pozwoliłoby mu zrozumieć świat. Czasami przez kilka godzin nie wymówił ani słowa. Aż nagle powiedział coś, co w pierwszej chwili było pozbawione jakiegokolwiek sensu, ale w większości przypadków okazywało się mądrym komentarzem do sytuacji sprzed kilku godzin. Jego słownictwo nie dorównywało średniej, niemniej nie było też niepokojąco ubogie. Sasza balansował na dziwnej granicy pomiędzy niepełnosprawnością, opóźnieniem w rozwoju a zaskakująco wyraźną inteligencją. Nie rozwikłałem zagadki jego osobowości. Podobnie zresztą jak neurologi i psycholodzy.

„Proszę go zaakceptować takim, jaki jest”, oznajmił jeden z lekarzy. „Proszę nie poddawać go presji. On się rozwija. W szczególny sposób. Proszę dać mu tyle czasu, ile potrzebuje”.

Urodziła się Lena, pierwsze badania przeprowadzone tuż po porodzie wykazały, że wszystko jest w porządku. Poczulem głęboką ulgę, choć przecież nie było powodu do obaw, że coś może pójść nie tak. W ciągu pierwszych tygodni i miesięcy stało się jasne, że mamy zdrowe dziecko. Jedynie dużo płakała.

„Zwykły krzykacz”, stwierdził z politowaniem pediatra, gdy zwróciliśmy mu na to uwagę. Patrzył na nasze zmęczone twarze, głębokie obwódki pod oczami. „Mało sypiacie, prawda?”

Przytąknęliśmy oboje. Lena darła się przez pół nocy, a my całymi godzinami nosiliśmy ją na rękach po domu i szeptaliśmy do niej, próbując ją uspokoić. Bez powodzenia. W końcu sama zasypiała, często jednak budziła się po godzinie i znowu się wydzieriała.

Byliśmy tak zmęczeni, że coraz bardziej przypominaliśmy z wyglądu upiory. Moja sekretarka dwukrotnie przyłapała mnie śpiącego przy biurku. Kiedy wieczorem wracałem do domu, Alice zataczała się ze znużenia.

Bywały też godziny relaksu. Całymi wieczorami tuliłem się do Leny na kanapie. Patrzyła na mnie promiennym wzrokiem, a ja mimowolnie się do niej uśmiechałem. Pomijając jej napady krzyku, była wesołym dzieckiem. Wyglądała ślicznie. Nasze marzenia się spełniły. Byliśmy czteroosobową rodziną. Z opóźnionym w rozwoju dzieckiem z adopcji oraz zdrową córką, która trochę za dużo płakała. Nic nadzwyczajnego, jak nas zapewniał pediatra.

„Niektóre dzieci takie już są. Kiedyś to minie. Proszę się tym nie przejmować”.

Gdy w styczniu następnego roku Lena skończyła osiem miesięcy, sytuacja osiągnęła punkt krytyczny. Alice wydawała się skrajnie wyczerpana. Brak snu, zajmowanie się dzieckiem, do tego Sasza, który co prawda poszedł w końcu do szkoły, ale nie radził sobie z pracą domową. Alice starała się mu pomóc w nauce czytania i pisania, a zarazem uspokajała Lenę. Coraz częściej w wyrazie jej twarzy oraz w jej ruchach kryło się coś z robota, który wprawdzie działa, ale powoli traci kontakt z samym sobą.

– Potrzebujemy niani – powiedziałem do kolegi, z którym w pewien śnieżny styczniowy wieczór wybrałem się na piwo, aby opóźnić swój powrót do domu. Oczywiście miałem z tego powodu wyrzuty sumienia. – Opiekunki do dzieci. Musiałaby zamieszkać z nami i odciążać Alice przez całą dobę.

– Czy macie dość miejsca? – zapytał kolega.

– Mamy mały pokój gościnny – odparłem z wahaniem. Właściwie było to raczej coś w rodzaju schowka, tuż obok kuchni, ale przynajmniej z oknem. Do tej pory upychaliśmy tam wszystko, co niepotrzebne. – Jakies dziewięć metrów kwadratowych.

– To niewiele – stwierdził kolega. – I niania przez całą dobę... Tanio nie będzie.

Westchnąłem. Zastanawiałem się, czy jakaś Angielka w ogóle byłaby gotowa zamieszkać w tym pokoiku w naszym domu na odludziu. Nie był nawet ogrzewany, do pewnego stopnia wypełniało go ciepło z kuchni. Ze względu na niewielkie wymiary było w nim całkiem znośnie. Mimo wszystko nie wyglądało to zbyt dobrze.

– Musiałbyś zatrudnić kogoś z zagranicy – oznajmił mój kolega. – Ze Wschodu. Mają znacznie skromniejsze wymagania.

Zacząłem się zastanawiać. To nie był głupi pomysł. Nie mieliśmy za dużo pieniędzy. Sam utrzymywałem czteroosobową rodzinę, mnie także nie omijał stres. Nie miałem sił, by aktywnie pozyskiwać nowych klientów, jak to robiłem w przeszłości. Brakowało mi też zapału do uczestnictwa w życiu towarzyskim. Stan naszych finansów nie był tragiczny, jeszcze nie, ale Bóg mi świadkiem, że nie mogliśmy sobie pozwolić na jakąkolwiek rozrzutność.

– Wasz syn pochodzi przecież z Rosji – powiedział kolega. – Czy nadal macie tam jakieś kontakty?

– Z tłumaczką. Towarzyszyła nam w trakcie procedury adopcyjnej, a także podczas rozprawy. Piszemy do siebie e-maile z okazji Bożego Narodzenia. Nic więcej.

– Zapytaj jej. Może zna kogoś, kto byłby zainteresowany pracą u was. To może się udać. Sytuacja korzystna dla obu stron.

Nie byłem do końca przekonany – czy naprawdę chciałem, żeby zamieszkał z nami ktoś obcy?

Kiedy późnym wieczorem wróciłem do domu, zastałem Alice leżącą na sofie w salonie z Leną na rękach. Obie spały, na szczęście Lena również. Spojrzałem na Alice. Głowa opadła jej na oparcie kanapy. Oddychała głęboko i miarowo. Dostrzegłem niebieskawe cienie pod jej oczami, mocno wystające kości policzkowe. Po urodzeniu naszej córki Alice niezdrowo straciła na wadze. Wiedziałem, że chudnie zbyt szybko, ale dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo zmizerniała. Wyglądała żałośnie. Liczne próby sztucznego zapłodnienia, procedura adopcyjna, problemy z Saszą, obawy, jakie w niej budził... Alice od dawna była u kresu sił. Jeśli nie chciałem, by popadła w dramatyczny stan wypalenia, musiałem zaciągnąć hamulec.

Już następnego ranka napisałem w biurze e-mail do Tatiany, naszej tłumaczki w odległym Kirowie. Opisałem naszą sytuację i zapytałem, czy może zna kogoś, kto zna kogoś, kto...

Odpowiedź nadeszła jeszcze tego samego wieczora. Napisała, że ma przyjaciółkę, która od dłuższego czasu nosi się z zamiarem wyjazdu z Rosji na Zachód, ale jak dotąd nie znalazła właściwego sposobu. Porozmawia z nią.

Minęły trzy dni. Rankiem znalazłem w skrzynce pocztowej kolejną wiadomość od Tatiany.

Przyjaciółka jest zainteresowana. Chce wyjechać choćby dzisiaj. Kocha dzieci i niestraszna jej żadna praca. Musimy jedynie uzgodnić szczegóły.

I tak oto pojawiła się w naszym życiu Ksenia Sidorowa.

CZĘŚĆ 2

Czwartek, 1 sierpnia

1

Zastanawiała się często, czy ludzie wiedzieli, że jest świadoma wszystkiego, co się wokół niej dzieje. Że wszystko słyszy. I rozumie. A może sądzili, że jej mózg jest tak samo martwy jak reszta jej ciała? Ten bezużyteczny worek kości, mięśni, tkanek. Nieruchomy, bez jakiegokolwiek czucia. Jej ciało nie było już ciałem. Było skorupą czegoś, co niegdyś zdawało się silne, prężne, spragnione ruchu. Ciało nigdy jej nie zawiodło. I dlatego nigdy tego faktu nie doceniła. Nie dość mocno. Nigdy nie czuła żarliwej wdzięczności. Za to, że tak rzadko chorowała. Że ciało nigdy nie sprawiało jej bólu. Że każdego ranka po prostu funkcjonowało bez najmniejszego problemu. Że wytrzymywało przez cały dzień, bez względu na to, co robiła, czy uprawiała jogging, jeździła na rowerze, stała przed szkolną klasą, remontowała dom, przekopywała ogród, czy też w towarzystwie kilkorga przyjaciół piła za dużo alkoholu. Jej serce zawsze biło silnie i miarowo, mięśnie pracowały, wszystko działało jak w zegarku, a ona nigdy nie musiała dawać za wygraną ani o cokolwiek się martwić.

Czy to wszystko nie miałoby miejsca, gdyby mniej igrała ze szczęściem?

Bo to w istocie było szczęście. Sophia teraz to sobie uświadomiła. To szczęście być zdrowym. Po prostu żyć. Ruszać się. Oddychać. Poczuć na skórze promienie słońca i wiatr muskający twarz. Nic więcej nie potrzeba. Niczego więcej nie pragnęłaby do końca życia, gdyby tylko mogła odzyskać swoje zdrowe ciało.

Nie zostało jej prawie nic, czym mogłaby poruszać. Ani stopą, ani nogą, ani ramieniem, ani ręką. Ani pojedynczym palcem.

Mogła odwrócić głowę. Mogła oddychać. Lekarze i pielęgniarki uznawali to za ogromne osiągnięcie, istny dar niebios.

Poza tym to ją obracano, odwracano, myto. Czesano jej włosy, obcinano paznokcie. Zakładano jej pieluchy, bo nie mogła kontrolować swoich jelit. Jej pęcherz był stale cewnikowany.

Nie mogła też mówić. Zakrzep krwi powstały wskutek upadku spowodował zator w mózgu. Lekarz twierdził, że zdolność mowy powróci, ale to wymaga czasu. Miała nadzieję, że się nie myli.

Choć rozmyślała o swoim ciele, o wszystkim, co dotąd mogła robić, a czego już zrobić nie zdoła, choć zastanawiała się nad tym, jaka była niewdzięczna, jaka nierozważna, choć w jej głowie kołatały się tysiące myśli – w gruncie rzeczy w tej

szpitalnej sali od rana do wieczora towarzyszyło jej wyłącznie jedno uczucie: że to tylko zły sen, który nie może być prawdą. Zdawała sobie sprawę z ogromu tragedii, jaka dotknęła jej ciało oraz całe jej życie, a jednocześnie uważała ją za zupełnie nierzeczywistą. To po prostu niemożliwe. W którymś momencie się obudzi. Przeciągnie się wygodnie na łóżku, potem zerwie na równe nogi, włoży sportowy strój i wyjdzie na dwór w cudowny letni poranek, wskoczy na siodełko roweru, ruszy po znajomych drogach i ścieżkach, tylko ona i poranek...

Wtedy jej mózg jakby dopadał skurcz. Zakłócenie, jak gdyby rwała się nić. Widziała, jak przejeżdża obok zagrody, wita się z nią rolnik, kury dziobią u jego stóp, podjeżdża pod wzniesienie, wyczerpana, spocona, potem dociera na szczyt i pędzi w dół zbocza. Drut, upadek. A potem... nic. Pustka. Mrok. Wszystko zamarło. Nie wiedziała, co się stało potem.

Ten miły lekarz usiadł przy jej łóżku trzy dni wcześniej. A może dwa? Nie wiedziała, czas jej się rozmywał między nocą, dniem i nieskończonością. W każdym razie nazywał się doktor Dane. Tak się przedstawił.

– Jestem doktor Dane. Mam nadzieję, że mnie pani rozumie.

Tak, krzyczało coś w niej, *tak!*

– Jeśli mnie pani rozumie, może mrugnie pani okiem? Albo oboma? Wszystko jedno. Jeśli tylko zauważy choć drobny ruch w pani oczach...

Wiedziała, że potrafi samodzielnie zamykać i otwierać powieki, ale w chwili kiedy miała to zrobić, nie udawało się. Zbierała w sobie wszystkie siły, jej mózg wysyłał do oczu desperackie rozkazy – *mrugnijcie, do jasnej cholery!* – bezskutecznie. Dlaczego kiedy indziej jej słuchały? Była wściekła i zdesperowana, czuła się zupełnie odrętwiała.

Doktor Dane westchnął.

– Cóż, mam nadzieję, że mnie pani rozumie. Opiszę pani, co się stało, dobrze?

Tak!

Opowiedział jej o drucie przeciągniętym w poprzek ścieżki, o który zawadziła.

– Przefrunęła pani spory kawałek. A potem uderzyła głową o ziemię. Była twarda jak kamień, bo długi czas nie padało, twarda jak asfalt. Niestety, nie miała pani kasku. – W głosie lekarza pobrzmiwał delikatny, smutny wyrzut.

Czasem wkładała kask. Czasem nie. Prawdą jest, że nie lubiła go nosić. Czuła, że ją trochę ogranicza, uwiera. Mimo to niekiedy rozsądek zwyciężał. Nierzadko w zależności od pory roku. Jesienią i zimą kask przeszkadzał jej trochę mniej, chronił nawet przed chłodem i wiatrem. Natomiast latem...

E tam, myślała sobie często. Nic się przecież nie stanie.

– Złamała pani sobie siódmy kręgosłup szyjny. Może zabrzmiało to cynicznie, ale to szczęście w nieszczęściu. Może pani samodzielnie oddychać.

Tak, ale dlaczego nie mogę się poruszać? Kiedy odzyskam sprawność? Proszę, niech mi pan powie, że to stan przejściowy. W przeciwnym razie byłby to kompletny absurd.

– Poza tym strzelano do pani. Tak twierdzi policja. Ale chybiono.

Strzelano?

– Policja niezwłocznie chce z panią rozmawiać. Oficer śledczy ciągle do mnie wydzwaniał. Trudno jednak w tej chwili przewidzieć, kiedy to będzie możliwe.

Boję się.

– Drzwi do pani sali pilnuje policjant. Przez cały czas. Nic tu pani nie grozi.

Słowem nie wspomniał o tym, kiedy znów będzie mogła chodzić, kiedy jej ciało powróci do dawnej sprawności. Może nie chciał szafować przewidywaniami. Jedni zdrowieją szybciej, u innych trwa to dłużej. W jej przypadku pójdzie jak z płatka. Była przecież zdrową osobą.

Złośliwy głos w jej głowie szeptał równie złośliwe słowa, w rodzaju *porażenie poprzeczne* oraz *stan beznadziejny*, a jednak szybko je od siebie odpychała. Lekarz nie użył takich określeń. Zrobiłby to, gdyby miał do tego podstawy. Bez wątpienia.

Wczoraj znów usiadł przy jej łóżku i wyjaśnił, że zostanie przeniesiona.

– Nie możemy nic więcej dla pani zrobić. Potrzebuje pani teraz fizjoterapeutów, wyspecjalizowanych w podobnych przypadkach.

I sprawią, że wkrótce będę mogła powrócić do dawnego życia?

– Niczego nie mogę pani obiecać. Ale jestem pewien, że nastąpi poprawa.

Co ma pan na myśli? Jaka poprawa?

– W każdym razie proszę nie tracić nadziei – powiedział, po czym niezręcznym gestem pogłodził ją po ramieniu. – Pani żyje. I to się liczy.

Co proszę?

Kiedy nie rozmyślała o tym, co się stało z jej ciałem i kiedy powróci do pełnej sprawności, analizowała sam moment ataku, a wtedy przejmował ją potworny strach. Przeciągnięty w poprzek drogi drut – dałaby się jeszcze przekonać, że to dzieci albo durna młodzież postępują tak bezmyślnie. Ale że potem ktoś do niej strzelał? Tego nie dało się już rozsądnie wytłumaczyć. Znała tylko jednego człowieka na świecie, który miałby powód, by jej nienawidzić. A ponieważ uważała go za niebezpiecznego psychopatę, mogła się po nim wszystkiego spodziewać. Absolutnie wszystkiego.

Grozi mi niebezpieczeństwo, chciała wykrzyknąć. Musicie mnie chronić. On spróbuje ponownie.

Przed drzwiami siedzi policjant, zapewnił doktor Dane. Czy uda się razem z nią do nowej kliniki, do której zamierzają ją przenieść? I czy zdoła zapewnić jej

bezpieczeństwo? On nawet nie wie, kto jest jej wrogiem. A ona nie może mu tego powiedzieć. Nie może!

Chciała krzyczeć. Chciałaby zacisnąć pięści.

To na nic. Leżała jak sflaczała skorupa. Żaden mięsień, żaden staw, nic w jej cholernym ciele nie drgnęło nawet o milimetr.

Poczuła wilgoć na policzkach. Łzy. Z jej oczu popłynęły łzy.

Pielęgniarka, która właśnie weszła do pokoju, sięgnęła po chusteczkę i otarła jej twarz.

– A któż to płacze? Tylko niech pani nie mówi, że nie chce nas opuszczać? Trafi pani do świetnej kliniki rehabilitacyjnej. To mili ludzie i wiele mogą dla pani zrobić.

Łzy nie przestawały płynąć.

Pielęgniarka wycierała je niewzruszenie.

– Przygotuję panią do transportu. Wszystko będzie dobrze. Nie wolno się poddawać. Nie przestawała płakać.

Przynajmniej to wciąż potrafiła.

Mogła płakać bez końca.

2

– I nie ma pani pojęcia, gdzie przebywa Ksenia Paget? – zapytał Robert. – Nie do wiary!

Bębnił palcami po blacie biurka.

Kate dosłyszała w jego głosie skryty wyrzut, był niczym cierń. Co według niego miała zrobić? Związać Ksenię i zamknąć ją w pokoju, zanim pojechała do Manchesteru i Birmingham? Kobieta miała prawo swobodnie się poruszać, pójść, dokądkolwiek tylko chciała.

– Dokonano zamachu na jej życie – ciągnął Robert. – Powinniśmy wiedzieć, gdzie przebywa.

Kate zastanawiała się, czy on naprawdę sądzi, że odkrywa przed nią Amerykę.

Ach tak? – chciała mu odpowiedzieć, ale ugryzła się w język.

– Za nic w świecie nie chce wrócić do męża – powiedziała zamiast tego.

– Ale czy musi się przed nim ukrywać?

– Tak. Zważywszy, jaki jest zawzięty.

– W jego sprawie nie poczyniła pani jednak żadnych postępów – stwierdził Robert.

– Przynajmniej przyznał, że nie poznał Kseni w agencji, lecz znalazł ją w tym pustym mieszkaniu.

– I po co nam cała ta wiedza? Zakładając rzecz jasna, że ta historia jest prawdziwa.

– Zakładając, że ta historia jest prawdziwa, wiemy, że Ksenia prawdopodobnie przyjechała do Anglii przed dwa tysiące szóstym rokiem. I że musiało się wydarzyć coś, w wyniku czego została bezdomna, schroniła się w pustostanie i zadaje się z takim obrzydliwcem jak Jacob Paget. Musiała być potwornie zdesperowana!

– A czy pani zdaniem Jacob Paget wie, co się stało?

– Jestem pewna, że tak.

Robert nie przestawał bębnić palcami po biurku.

– Moglibyśmy wezwać go na przesłuchanie.

– Możemy spróbować. Ale dlaczego miałyby wyjawić nam prawdę? A udowodnić nic mu nie zdołamy.

– Gdybyśmy odnaleźli Ksenię... może ona zgodziłaby się zeznawać – zastanawiał się Stewart.

– Jak dotąd nie udało nam się jej do tego nakłonić.

– Uważa pani, że przebywa z pani przyjacielem?

– Wiele za tym przemawia.

– I z nim także nie może się pani skontaktować? – Owo z *nim także* wymówił w taki sposób, jakby głównym zadaniem Kate było nawiązywanie kontaktu z ludźmi, a jej się to wciąż nie udawało.

– Nadal próbuję. Jestem pewna, że wkrótce oddzwoni.

– Miejmy nadzieję – odparł Robert.

– Coś nowego w sprawie Sophii Lewis? – zapytała Kate.

– To *pani* była w Birmingham.

– Niestety, niewiele to dało. Ojciec nam nie pomoże. Nie rozumie, co się stało, i nie potrafi powiedzieć nic, co by nam pomogło w śledztwie. Pytałam o nowiny od lekarzy. – Tę część dochodzenia miał przejąć Robert. Rozmowy z lekarzami.

– Dzisiaj ją przenoszą, to wszystko. Możliwie jak najszybciej odwiedzę jej lekarza prowadzącego w klinice rehabilitacyjnej. Skoro nic pani nie wskórała z Ksenią, całą nadzieję pokładamy w Sophii. – *I we mnie*, wybrzmiało niewypowiedziane. Takie Kate odniosła wrażenie. Choć może tego ranka była po prostu przewrażliwiona.

Robert musiał się spotkać z prokuratorem w sprawie Jaydena White’a, Kate zdecydowała się więc, że zajrzy na chwilę do domu, by sprawdzić, czy Colin i Ksenia przypadkiem nie wrócili, choć nie miała wielkich nadziei. Chciała również ponownie porozmawiać z sąsiadką, może widziała więcej, niż Robert chciałby wiedzieć.

Kiedy wsiadła do samochodu, zmieniła jednak plany. Do spotkania w południe zostało jej sporo czasu, a Robert był zajęty rozmową z prokuratorem. Postanowiła wpaść do Caleba. Może zastanie go w domu. Zawsze troszczył się o nią, kiedy dopadał ją kryzys. Czas, by ona zatroszczyła się o niego.

Otworzył drzwi, gdy po trzykrotnym dźwięku dzwonka była gotowa dać za wygraną i zawrócić. Już na pierwszy rzut oka widać było, że z nim kiepsko. Nieogolony, miał mętny wzrok i zaczerwienione oczy, świadczące o całej serii nieprzespanych nocy. Chodził w szortach w kolorze khaki, od dawna niepranych, oraz białym podkoszulku, na którym widniały nieokreślone plamy. Cuchnął potem, niemytym ciałem. Włosy sterczały mu na głowie. Kate przynajmniej nie wyczuła alkoholu. Albo przytłumiła go intensywna woń potu, albo Caleb rzeczywiście nie pił. Był jednak dopiero wczesny ranek.

Przeczesał włosy palcami, co wcale nie poprawiło wrażenia.

– Ach, to pani, Kate. Bałem się, że to moja była żona. Martwi się o mnie i zjawia się tu codziennie, ale jej nie wpuszczam. – Wykrzywił twarz. – Nie znoszę, gdy ktoś się nade mną lituje.

– Nie zamierzam się nad panem litować – pospieszyła z zapewnieniem Kate. – Chciałam tylko do pana zajrzeć. Ale jeśli przychodzę nie w porę...

– Nie, skądże. Jeszcze spałem, ale najwyższy czas na pobudkę, prawda? Która godzina?

– Pół do dziesiątej.

– Dobra pora dla emeryta.

– Nie jest pan na emeryturze.

Cofnął się o krok.

– Proszę wejść. Mam nadzieję, że mój strój pani nie przeszkadza. – Spojrzał po sobie. – Obawiam się, że zasnąłem w ubraniu.

Weszła za nim do dużego salonu z przeszklonym frontem od strony ogrodu oraz aneksem kuchennym, bardzo eleganckim i dyskretnym. Kate była tu tylko raz, ale pamiętała, jak piękny wydał jej się ten pokój. Proporcje oraz gustowne wyposażenie co prawda się nie zmieniły, jednak wewnątrz wyglądało na zaniedbane. Wszędzie widniały nieumyte talerze, kubki po kawie i szklanki. Butelki stojące na stole. Nieotwarta poczta, niedbale rzucona w kąt. Na stole dwie paczki, także nieotwarte. Sweter zwinięty w kłębek na kuchennym blacie ze stali nierdzewnej, na regale coś przypominającego bieliznę. To oczywiste, że Caleb stracił kontrolę nad codziennym życiem. Kate nawet nie chciała myśleć, ile z tych listów zawierało rachunki pilnie wymagające opłaty.

– Mam nadzieję, że jadła już pani śniadanie – powiedział Caleb – bo nie mam nic do zaproponowania. Tylko kawę.

– Kawy nie odmówię – odparła Kate.

Caleb włączył ekspres. Otworzył lodówkę, wyjął butelkę z mlekiem, odkręcił nakrętkę, powąchał zawartość i wykrzywił twarz.

– Nie nadaje się do spożycia. Mam nadzieję, że pije pani kawę bez mleka.
Nie piła, mimo to skinęła głową.

– W porządku.

Caleb wziął z półki dwa kubki, ostatnie dwa nieużywane. Chyba całkiem zarzucił zmywanie naczyń. Kate patrzyła na niego z lekką konsternacją. Caleb był świadom swojego świetnego wyglądu. Zawsze zadbany i dobrze ubrany, często w swobodny, ale starannie wystylizowany sposób. Nigdy nie pozbył się swojego nałogu, niemniej nigdy też nie dał po sobie poznać, że nie panuje nad swoim życiem. Wręcz przeciwnie, zawsze wydawał się pewny siebie, niezależny, charyzmatyczny.

Nic z tego nie przetrwało. Wyglądało na to, że nie tylko stracił wszelką kontrolę, ale także był o włos od zatracenia samego siebie. Jego widok ją ranił, ranił bardziej, niż mogłaby przypuszczać. Była w nim niegdyś szczerze zakochana, żywiła nadzieję, że odwzajemni jej uczucia. Tak się rzecz jasna nie stało, był zbyt atrakcyjnym mężczyzną, by zadawać się z tak niepozorną kobietą jak Kate. W którymś momencie boleśnie zdała sobie z tego sprawę. Lubił ją i cenił, jakimś sposobem stała się dla niego ważna. Mimo to w żaden sposób go nie pociągała. I to się nigdy nie zmieni. Będzie musiała się z tym pogodzić.

Wciąż świetnie wyglądał, podupadł jednak na zdrowiu. Sprawiał wrażenie, że wszystko mu jedno. Potrzebował pomocy, lecz wątpiła, że pomoć sobie pozwoli.

Postawił oba kubki z czarną kawą na stole, uprzątnął kilka listów z krzesła i usiadł.

– Proszę, Kate. Gdzieś tu powinien być cukier. – Sięgnął po puszkę stojącą na stole, zajrzał do środka. – Pusta. Mam nadzieję, że pije pani kawę także bez cukru.

– Cukier jest niezdrowy – odparła Kate. Lubiła słodzić kawę, ale miała szczęście, że w ogóle coś jej zaproponowano.

– Musi pan coś jeść, Caleb. Jak się pan odżywia?

– Kawa. Alkohol.

– Niezbyt dobrze.

– Nie. Ale w tej chwili nic się nie układa. Wie pani, nie mogę też spać. Zасыpiam, kiedy wystarczająco dużo wypiję, ale potem szybko się budzę i leżę bezsennie. Całymi godzinami. Dopiero nad ranem znowu zasypiam.

– A potem zjawiam się ja i dzwonię do drzwi.

Wykonał niedbały gest.

– I dobrze. Nie powinno się spędzać połowy dnia w łóżku. – Przetarł oczy. Były jeszcze bardziej zaczerwienione. – Cieszę się, że pani przyszła, Kate. Naprawdę.

Miała ochotę wyciągnąć rękę i dotknąć jego ramienia, ale się nie ośmieliła.

– Nie powinien pan tak dużo rozmyślać. Można się od tego rozchorować.

Spojrzał na nią wzrokiem pełnym poczucia beznadziei.

– Wciąż przez to przechodzę. Moja rozmowa z Jaydenem White'em. W kółko to samo. Staram się przypomnieć sobie każde słowo. Ton głosu Jaydena. Każdą zmianę jego artykulacji. Każde wahanie. Jego oddech... Kate, powinienem był to zauważyć. Powinienem sobie uświadomić, że *nie należało* wspominać o jego problemach. Że wywołam tym katastrofę. Trzeba było zdać sobie sprawę z niestabilności jego charakteru oraz całej sytuacji. To było zbyt ryzykowne. Po prostu zbyt ryzykowne.

– Caleb...

– Gdybym wówczas nie pił, miałbym bardziej wyczulone zmysły. Wyostrzone. A tak wszystko było nieco zamglone. Wygładzone. Uśmierzone. Jak to po alkoholu. Wszystko się rozmywa, rogi i krawędzie stają się bardziej zaokrąglone. To dlatego ludzie tak bardzo za tym szaleją. Ale w takiej sytuacji okazuje się to zabójcze. W tym przypadku zupełnie dosłownie. Nie powinienem był prowadzić tej rozmowy. Powinienem wiedzieć, że nie jestem do tego zdolny. Należało poprosić Stewarta, żeby ją przejął.

– Cóż, czy Stewart lepiej by się do tego nadawał... – mruknęła Kate.

Caleb spojrzał na nią uważnie.

– Jakież problemy?

Wzruszyła ramionami.

– Niekoniecznie z jego powodu. Prawdopodobnie nie tworzymy zgranej drużyny.

Westchnął.

– Miało być inaczej. Przykro mi. Także z tego powodu bardzo mi przykro, Kate. Że nic nie wyszło z naszej współpracy.

– Może pan wróci.

– Musiałbym raz na zawsze zapanować nad swoim uzależnieniem. A nawet wtedy nie ma pewności, czy dostałbym kolejną szansę.

Bacnie mu się przyjrzała. Bądź co bądź nie znalazła go pijanego w shtok, leżącego na kanapie albo, co gorsza, na podłodze w kuchni. Nadal popijał alkohol, prawdopodobnie niemało – świadczyły o tym szklanki i butelki malowniczo rozstawione po całym pokoju – mimo to potrafił tego ranka prowadzić całkiem rozsądną rozmowę i jasno formułować swoje myśli. Co mogło świadczyć o tym, że poprzedniego wieczoru nie spił się do nieprzytomności.

– Mam wrażenie, że naprawdę się pan stara – powiedziała ostrożnie.

Znowu westchnął.

– Tak. Walczę z tym, Kate. Chcę przerwać to błędne koło, bo jeśli tego nie zrobię, całkiem zrujnuję sobie życie. Ale nie oszukujmy się: jedynym wyjściem jest całkowity odwyk. Próbuję stronić od naprawdę mocnych rzeczy, mimo to nadal za dużo piję, a jeśli pani tego z całą ostrością nie zauważa, to dlatego, że moje ciało potrafi

cholernie dużo znieść. Zajmuje mi nieco czasu, zanim zwałę się w kącie i zacznę bełkotać. Potrafiłem w tym stanie nawet pracować. Przynajmniej z pozoru.

– A gdyby wybrał się pan do kliniki? Już wcześniej pan tak zrobił.

– Nie wytrzymałem nawet pół roku.

– Poszedł pan wtedy z polecenia przełożonych. Tym razem zrobiłby to pan z własnej woli. Niewiele o tym wiem, ale z tego, co słyszałam, w leczeniu uzależnień odgrywa to kluczową rolę. Fakt, że samemu ma się chęć to zrobić.

– Tak... z pewnością to prawda... – powiedział niejasno.

Popijali gorącą, gorzką kawę.

– Pomijając fakt, że nie zgrała się pani ze Stewartem, czy obecne śledztwo posuwa się naprzód? – zapytał Caleb.

Potrząsnęła głową.

– Jak po grudzie. – Naświetliła mu sytuację, on zaś uważnie jej słuchał. – Sophia Lewis nie może mówić, a Ksenia Paget zniknęła bez śladu – podsumowała Kate. – A ja nie mam jakiegokolwiek punktu zaczepienia. Żadnego! Przede wszystkim nie potrafię znaleźć związku łączącego Sophię i Ksenię. Nieważne, kogo zapytam, nikt z otoczenia Kseni nigdy nie słyszał o Sophii. I vice versa. Żadnych punktów styczności.

– Pewnie jedynym jest sam zabójca – stwierdził Caleb. – Każda z nich w którymś momencie swojego życia miała z nim do czynienia. Poza tym nie mają z sobą nic wspólnego.

– Ksenia coś wie – oznajmiła Kate. – I Jacob, jej mąż. Ale oboje nie chcą mówić. A Sophia mówić nie może. Istne wariactwo.

– Chciałbym coś pani poradzić, Kate, ale nic sensownego nie przychodzi mi do głowy. Czuję lekki zamęt, gdy pomyślę o oddanym do Sophii strzale. Bardzo niecelnym. Tymczasem mężczyznę z pociągu opisała pani jako pewnego strzelca.

– Absolutnie tak. Ksenia ledwo mu uciekła, a gdybym nie wciągnęła nas obu do toalety i nie wykorzystała tam martwego pola, pewnie sama bym już nie żyła.

– Właśnie. I ten sam facet krótko potem tak fatalnie pudłuje? Mierząc do nieruchomego celu?

– Może strzelił już wcześniej. Kiedy pędziła na rowerze. Trudno było ją wtedy trafić.

– Niby czemu miałyby to robić? Skoro wiedział, że zaraz przekoziółkuje nad drutem i albo złamie sobie kark, albo przynajmniej będzie leżeć nieruchomo na ziemi, stając się łatwym celem.

– Do tak leżącej osoby trafiłoby nawet dziecko – stwierdziła Kate. – Powstaje wrażenie, jakby... był niezdecydowany?

– Podczas gdy w pociągu zdawał się bardzo zdeterminowany.

– Może miał zamiar ją zastrzelić, gdy naraz przyszło mu do głowy, że pozostawienie jej przy życiu będzie dla niej znacznie surowszą karą. Jeśli motywem jest zemsta. Bardziej cieszy go kobieta na wózku inwalidzkim niż martwa.

– Chyba nie był wówczas w stanie ocenić zakresu obrażeń.

– Raczej wiedział, że nie wyjdzie z tego bez szwanku.

– Wie pani, to do siebie nie pasuje – stwierdził Caleb. – Świadomość, że kobieta będzie sparaliżowana, mogła zaspokoić jego żądzę zemsty. Ale nawet w tym stanie ona może mówić. Albo w jakiś sposób się porozumiewać. Czy nie musiał się upewnić, że ona nie przeżyje? Pewnie dlatego miał przy sobie broń. Postanowił spowodować jej upadek, a potem ją zastrzelić. Nie chciał ryzykować. Jestem tego pewien.

– Więc dlaczego...?

– Nie jest łatwo strzelić człowiekowi w głowę, gdy leży bezbronny u twoich stóp.

– Facet z pociągu nie sprawiał takiego wrażenia – odparła Kate. – Chyba nie miał żadnych skrupułów.

– Czy zastanawiała się pani nad tym – zapytał Caleb – że mogło być dwóch sprawców?

Spojrzała na niego.

– *Dwóch* sprawców? Mamy tylko *jedną* broń!

– Tak. Ale to nie musi oznaczać, że w obu przypadkach użyła jej ta sama osoba.

– Dwóch sprawców... dwie zupełnie różne historie?

– To tylko taka myśl. Ale nie całkiem nedorzeczna. W tym wypadku punktem stycznym dla Kseni Paget i Sophii Lewis nie byłby pojedynczy sprawca, ale dwóch, którzy ponadto się znają. Każdy z własnym rachunkiem do wyrównania.

– A gdzie...?

Caleb wiedział, o co chce zapytać.

– Gdzie się poznają tacy faceci? Zazwyczaj w więzieniu.

– Wychodzą stamtąd i...

– I postanawiają zrealizować plan, którego obmyślanie prawdopodobnie trzymało ich przez cały czas przy życiu. Zabicie tych, którzy zatroszczyli się o to, by tam właśnie trafili: najpierw przed sąd, a potem za kratki.

– To czysta hipoteza, Caleb.

– Pewnie. Zakłada, że zarówno Ksenia, jak i Sophia w którymś momencie przyczyniły się do skazania kogoś na karę więzienia.

– Ale o tym byśmy wiedzieli. Helen sprawdziła je obie we wszystkich kartotekach. Mielibyśmy zgłoszenia. Zeznania w sądzie. Cokolwiek. Natrafilibyśmy na ich nazwiska. Ale niczego takiego nie znaleźliśmy. Kompletnie nic.

– Ale ta teoria wiele wyjaśnia. Sophia Lewis została przez byłego chłopaka opisana jako osoba nerwowa i w pewnym sensie zamknięta w sobie. Wyjechała z Manchesteru nagle i bez żadnego widocznego powodu. Czyżby poczuła się zagrożona? I dobrze wiedziała przez kogo? Ksenia natomiast z dużą dozą prawdopodobieństwa skrywa jakąś mroczną tajemnicę. Musiała być zamieszana w jakieś przestępstwo, w przeciwnym razie nie bałaby się rozmawiać otwarcie z policją.

– Odważna teza, to wszystko – oznajmiła Kate, ale w jej głowie kotłowały się myśli. Słowa Caleba nie były całkiem niedorzeczne. – Niestety – odparła – pańskie rozważania nie posuwają sprawy naprzód.

– Zdaję sobie z tego sprawę. Ale unaoczniają problem, z którym się pani przez cały czas mierzy: jeśli w tym, co właśnie powiedziałem, tkwi jakaś część prawdy, to zarówno Sophia Lewis, jak i Ksenia Paget znalazły się w poważnym niebezpieczeństwie. Obie dokładnie wiedzą, kto je prześladowa, a to dla sprawców może oznaczać prawdziwą katastrofę. Obie uszły z życiem. Stanowią spore ryzyko. Trzeba je będzie uciszyć.

– Cholera – powiedziała Kate i zerwała się z miejsca. Miała lekkie zawroty głowy – od mocnej kawy i z powodu rozmowy. – Muszę odnaleźć Ksenię. Zanim zrobi to morderca.

– Sophia Lewis ma policyjną ochronę?

– Tak, ale... – Kate zmarszczyła czoło. – Zostanie dziś przewieziona do kliniki rehabilitacyjnej. Mam nadzieję, że Stewart nie odwołał strażnika. – Sięgnęła po komórkę, wybrała numer Stewarta, czekała. – Nie odbiera. Wyłączył telefon. Ma teraz spotkanie z prokuratorem okręgowym. – Zadzwoiła do Helen, na szczęście ją złapała.

Caleb słyszał strzępy rozmowy.

– Nie wie pani? Dobrze, Helen, proszę natychmiast zadzwonić do doktora Dane'a. Nie mam jego numeru. Podczas transportu Sophii musi jej towarzyszyć funkcjonariusz policji... Tak. Nieważne. Jeśli został zdjęty, proszę wysłać innego... Tak, biorę to na siebie... Dobrze. Proszę się pospieszyć. – Zakończyła rozmowę. Spojrzała na Caleba. – Mam złe przeczucia – powiedziała.

3

Sophię położono na przenośnym łóżku. Była gotowa. Umyta, na nowo zacewnikowana. Jedna z pielęgniarek starannie uczesała jej włosy. Ktoś przykrył ją lekkim wełnianym kocem. Jakiś pielęgniarz.

Obserwowała to wszystko z apatią i zmagiała się w myślach z pytaniem, dlaczego jak dotąd nikt jej nie zapewnił, że wkrótce powróci do zdrowia. Czy lekarze i pielęgniarki zazwyczaj tego nie mówią? By dodać pacjentom otuchy? Czy też po prostu nie było wiadomo, w jakim stopniu odzyska dawną sprawność? Lekarze nie lubią jasnych deklaracji, by potem nie zasypywano ich oskarżeniami. *Przecież mówił pan, że na Boże Narodzenie powrócę do dawnej formy.*

W wielu dziedzinach ludzie są w stanie formułować jasne przewidywania i trafne prognozy, najmniej jednak prawdopodobne w przypadku pytania, jak szybko i jak dalece ktoś zdoła powrócić do zdrowia. Nawet najbardziej doświadczeni lekarze mogą przyjąć jedynie założenia oparte na statystykach, lecz statystyki, jak wiadomo, nic nam nie mówią o konkretnym przypadku. Doktor Dane zwyczajnie nie potrafił przedstawić precyzyjnej diagnozy. To dlatego nie wypowiadał się w tej sprawie. Wiedział, że Sophia wyzdrowieje, ale nie mógł ocenić, jak długo potrwa ten proces. I czy nie pozostawi po sobie jakiegoś śladu. Może będzie potrzebowała sporej dawki fizjoterapii, by odzyskać dawną sprawność ruchową, nie był też pewien, jak bardzo będzie zdeterminowana i wytrwała. On jej nie znał. Nie wiedział, czy wykaże się uporem, siłą, gdy będzie to miało znaczenie. Byłby zaskoczony. Znalazłaby się wśród przypadków, o których opowiadałby kolegom i innym pacjentom. Że była ciężko ranna. Że przysporzyła ogromnych zmartwień. Ale potem pokazała wszystkim, że należy walczyć, dać z siebie wszystko, a wtedy nic nie może przeszkodzić w ostatecznym zwycięstwie.

Tak właśnie zakończy się jej historia.

Patrzyła na pielęgniarza, który właśnie przykrył ją kocem.

I zamarłaby, gdyby jej ciało i tak nie było już całkiem zeszywniałe.

Rozpoznała go. Pomimo upływu lat. To był on, bez cienia wątpliwości. Był już dorosłym człowiekiem. Ale jego oczy się nie zmieniły. Ten mrok. Dwie czarne dziury. Pozbawione wszelkiego życia. Oczy, z których zionęła wyłącznie nieczuła obojętność.

Rozpoznałaby te oczy w każdym miejscu i o każdej porze.

Gapił się na nią, jakby była rzadkim okazem zwierzęcia lub niezwykłą rośliną.

Wiedziała, że pewnego dnia ponownie go spotka – i chwili tej potwornie się obawiała. Nawet w najczarniejszych snach nie mogła sobie jednak wyobrazić, że będzie przed nim leżała jak jakiś chrząszcz, który upadł na wznak. Kompletnie unieruchomiona. Wydana na jego pastwę. Bezsilna. Ograbiona z najskuteczniejszej broni, swoich szybkich, mocnych nóg, dzięki którym mogła uciec przed każdym człowiekiem i każdym niebezpieczeństwem. Nic z tego jej nie zostało. Każdy mógł z nią zrobić wszystko. Można ją było rozgnieść. A ona nie byłaby nawet w stanie krzyczeć.

Wykrzywił twarz w lekkim uśmiechu. Zrozumiał, że go rozpoznała, prawdopodobnie wyczytał to w jej przerażonych oczach. A więc wiedziała, kim jest. I wpadła w panikę, nie mogąc jej w jakikolwiek sposób okazać. Z wyjątkiem wzroku. Wyraz jej oczu należało jednak poprawnie zinterpretować i zrozumieć, lecz żaden z krzątających się w pomieszczeniu ludzi nie zwrócił na to uwagi.

Delikatnie dotknął jej policzka palcem wskazującym prawej ręki.

– Witaj, Sophio – szepnął. Tak cicho, że nikt go nie usłyszał.

Oprócz niej.

Nigdy wcześniej, w trakcie tylu niekończących się godzin i dni spędzonych w tym szpitalu, nie starała się tak usilnie poruszyć *jakąkolwiek* częścią ciała. Wielokrotnie, nieustannie tego próbowała. Palec u nogi. Palec u ręki. Dłoń... Była cierpliwa, uparta. Teraz mobilizowały ją przerażenie i lęk. Usiłowała poruszyć jednocześnie nogami, rękami, głową, *czymkolwiek*. Musiała zwrócić na siebie uwagę. Przyciągnąć ją. Dać innym do zrozumienia, że stanie się coś złego, że dojdzie do jakiejś potworności, że potrzebuje pomocy, że nie można jej zostawić sam na sam z tym pielęgniarzem, ani na chwilę.

Ale... nic się nie udało. Nawet najmniejszy ruch. Leżała tak samo zeszywniała, tak samo cicha jak dotąd.

Uśmiechnął się. Nie wiedziała, jakim sposobem, ale najwyraźniej zrozumiał, że ona walczy – i że nie ma najmniejszych szans.

Przewróciła oczami i wydała z siebie chrapliwy dźwięk. Jego uśmiech się pogłębił.

Do łóżka podeszła pielęgniarka.

– A zatem, pani Lewis, z naszej strony wszystko gotowe – powiedziała. – Jack Gregory będzie pani towarzyszył do Hull. Ma przy sobie pani dokumenty. Wie, co robić. Będzie pani całkowicie bezpieczna.

Sophia wydała z siebie gulgot. Jej gałki oczne wirowały jak szalone, próbowała trzepotać powiekami, a mimo to, podobnie jak całkiem niedawno, gdy usiłowała dawać doktorowi Dane’owi jakieś sygnały, nerwy, mięśnie, wszystko w niej zeszywniało, a ona mogła tylko mieć oczy szeroko otwarte.

Pomocy! Pomocy! Pomocy!

Pielęgniarka widocznie spostrzegła, jak wywraca oczami. Uśmiechnęła się. Ciepło i wyrozumiale.

– Chce się pani pożegnać? Rozumiem. Do widzenia, pani Lewis. Życzę pani wszystkiego najlepszego. I proszę pamiętać: nigdy się nie poddajemy!

Dobry Boże! Jestem w niebezpieczeństwie! Proszę mi pomóc. Na litość boską, niech mi pani pomoże!

Pielęgniarka pogłaskała ją po ramieniu.

– Ludzie tacy jak pani – powiedziała – czerpią ze swojego przeznaczenia. Nie załamują się.

Przestań cytować te cholerne banały z kalendarza. Ten facet mnie zabije. Już raz próbował, dlatego tu leżę. Proszę go powstrzymać. Powstrzymajcie go!

Krzyczała. Tak głośno, jak tylko potrafiła. Ani jeden dźwięk nie dobył się z jej piersi czy gardła.

Pozostała niema, prócz kilku niewyartykułowanych dźwięków.

– Doktor Dane jest na bloku operacyjnym – powiedziała pielęgniarka. – Ale przekażę mu pani pozdrowienia.

Przekaż mu, że moje życie nie jest już warte ani grosza.

Do łóżka podeszły inne pielęgniarki, aby się pożegnać. Sophia patrzyła na nie z desperacją. Musiały to zauważyć. *Musiały.*

– Pacjentka ma podwyższone ciśnienie krwi. I szalejące tętno – oznajmiła jedna z nich, kontrolując ciśnieniomierz.

– Stres – odparła inna. – Z powodu przeniesienia.

Nie. Obok stoi mój morderca!

– Podam jej środek uspokajający.

Nie mogła tego poczuć, ale zauważyła, że jedna z pielęgniarek podeszła do niej ze strzykawką w ręku. Ujęła jej ramię.

– To panią uspokoi, pani Lewis. Takie przenosiny zawsze wywołują ekscytację. Nie ma się pani czego obawiać.

Zastrzyk szybko podziałał. Sophia zauważyła, że jej myśli spowolniły, zaczęły się zacierać i rozmywać. Niestety, nie zasnęła, a w głębi serca wcale nie odzyskała spokoju. Jakby na jej wirujące myśli i doznania położono gruby koc, by je na poły zdławić – nadaremnie. Było znacznie gorzej. Czuła, jakby nie tylko skrępowano całe jej ciało, lecz także ściśnięto mózg w imadle. To było nie do zniesienia. *Nie do zniesienia.*

Ktoś pchnął łóżko, na którym leżała. Ten... jak on się nazywał... *Jack*? Nie mogła go dojrzeć, więc pewnie stał przy jej głowie. Kto jeszcze będzie jej towarzyszyć? Ta cholerna strzykawka sprawiła, że Sophia miała problemy z formułowaniem i porządkowaniem myśli. Pojedzie też kierowca. Może także drugi pielęgniarz. Domyślała się, że plan Jacka zakładał, iż nie dotrą do kliniki rehabilitacyjnej. Uderzy gdzieś między Scarborough a Hull. Co zamierzał zrobić? Czy zamorduje ją cicho i niezauważenie na tyłach samochodu? Do Hull dotrze martwa kobieta i wszyscy będą przerażeni? Czy upozoruje wypadek, czy też ma wystarczające umiejętności, by ją zabić w taki sposób, że będzie to wyglądać na naturalny zgon?

Mknęli korytarzem. Sophia widziała mijających ją ludzi, widziała ich obojętne twarze. Mimo zastrzyku nadal usiłowała nawiązać kontakt wzrokowy z innymi osobami, próbowała błagać o pomoc, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. To beznadziejne. Była nieruchomą postacią transportowaną szpitalnym korytarzem.

Zatrzymali się przed windami. Otworzyły się drzwi.

Dla Sophii była to brama do piekła.

4

Ksenia wyprostowała się i z przerażeniem stwierdziła, że musiała zasnąć. Starła się tego uniknąć, ale poprzedniej nocy spała niewiele i teraz znużenie dosłownie ją obezwładniło. Choć tak naprawdę była ogromnie podekscytowana. I zdeterminowana, by zachować czujność.

Colin był kompletnie wyczerpany po wysłuchaniu jej historii. W knajpce w Whitby zaczęto na nich krzywo patrzeć, gdyż siedzieli zbyt długo, nie zamawiając nic do jedzenia, ani nawet do picia.

– A to historia – powiedział w końcu Colin, patrząc na nią oszołomiony. – To naprawdę coś!

W końcu poprosił o rachunek, zapłacili i wyszli na ulicę. Był ciepły, pochmurny dzień. Spojrzeli po sobie i powiedzieli niemal jednocześnie:

– Tylko nie do tego okropnego motelu!

Oboje mieli poczucie, że nie zdołają w tej chwili znieść tamtejszych wąskich, dusznych pokoi, musztardowożółtych wykładzin, kwiecistych tapet oraz zblazowanego portiera.

– Może pojedziemy w głąb lądu – zasugerowała w końcu Ksenia, a Colin z zadowoleniem podjął ten pomysł.

Ruszyli na wrzosowiska, jadąc wąskimi drogami, wijącymi się przez pozornie nietkniętą przyrodę, przez doliny, sprawiające tego dnia wrażenie kompletnie wymarłych, oraz przez płaskowyże, gdzie poczuli się znacznie swobodniej. Colin prawie nie odezwał się słowem. Zasięg był w niektórych miejscach słaby lub całkiem go brakowało, toteż nie mieli żadnych wiadomości od Kate. Ksenię to uspokoiło – na tym odludziu prawdopodobnie nikt nie zdoła ich namierzyć.

Zatrzymali się w urokliwej dolinie, na skraju polnej drogi. Niskie kamienne mury przecinały połacie łąk, gdzieś tam pasły się beczące owce, a w gęstych zaroślach wzdłuż szmerzącego potoku rosły dzwoneczki.

– Istny raj – powiedziała Ksenia, rozglądając się dokoła.

– I pomyśleć, że świat jest takim podłym miejscem – odparł Colin.

Zdawał się kompletnie wyczerpany. Minioną nocą. Wszystkim, co usłyszał. Świadomością, że prawdopodobnie głęboko i na długo poróżnił się z Kate. Obiecał Kseni, że nikomu nie powie ani słowa, tymczasem uzmysłowił sobie, że wplątuje się właśnie w potworną historię. Albo już się w nią wplątał.

Skulił się pod dębem na kobiercu z mchu i po minucie zasnął.

Ksenia nadal siedziała na fotelu pasażera w samochodzie, zostawiwszy otwarte na oścież drzwi. Nie chciała się położyć, ponieważ bała się zasnąć, jednak w którymś momencie głowa opadła jej na zagłówek. Zanim się obejrzała, zasnęła, nie mniej fizycznie i psychicznie wyczerpana od Colina.

Kiedy się obudziła, od razu wiedziała, gdzie się znajduje i co się stało, z przerażeniem spojrzała na Colina. Co, jeśli powiadomił Kate? Miała niemal wrażenie, że słyszy syreny zbliżających się policyjnych radiowozów. W rzeczywistości wszędzie panowała cisza. Z wyjątkiem plusku strumienia i świergotu ptaków. Oraz cichych odgłosów chrapania Colina.

Wlepiła weń wzrok. Wciąż jeszcze spał, nic nie wskazywało na to, by się tymczasem przebudził. Gdyby rozmawiał z Kate i wiedział, że za chwilę się tu zjawi, prawdopodobnie wraz z oddziałem do zadań specjalnych, pewnie nie spałby tak głęboko, prawda?

Wstrzymując oddech, Ksenia wysiadła z samochodu, stanęła na polnej drodze i się zamyśliła. Bolały ją ramiona i prawa ręka, niefortunnie ułożyła się we śnie. Miała ochotę ją rozruszać, ale poniechała tej myśli. Nie chciała obudzić Colina. Musiała się dobrze zastanowić.

Wiedziała, że nawiązanie kontaktu z Kate pozostaje tylko kwestią czasu. Colin nie zdoła dłużej znieść tej sytuacji. Kate wiele dla niego znaczyła, Ksenia poznała to po sposobie, w jaki o niej mówił. Kate go fascynowała, była bodaj jego jedyną przyjaciółką. Colin był samotnym człowiekiem, podobnie jak Kate. Ksenia wyraźnie to wyczuwała. Dlatego się odnaleźli i dlatego im na sobie zależało. On nie naraziłby na szwank swojej przyjaźni z Kate, nawet jeśli obiecał nie pisnąć ani słowa. W końcu wszystko wyjaw, chwila ta wcale nie była odległa. W zasadzie była całkiem bliska.

Groziło jej niebezpieczeństwo.

Wyznanie przyniosło jej ogromną ulgę. Podobnie jak wówczas, gdy zwierzyła się Jacobowi Pagetowi. Nie dźwigać samotnie tego ciężaru. Mieć kogoś, kto wysłucha i zada stosowne pytania. Kto zrozumie jej smutek, poczucie winy, całe to uwikłanie, którego ofiarą się stała. Za każdym jednak razem, gdy miała nieodpartą ochotę wyrzucić z siebie to wszystko, wpadała w tarapaty. Jacob miał ją odtąd w garści, kontrolował jej życie, pozostawiając niewiele swobody. A Colin powiadomi Kate.

Spojrzała w stronę samochodu. Kluczyki tkwiły w stacyjce.

Ponownie zerknęła na Colina. Skulił się i odwrócił na bok, jego telefon leżał tuż przy plecach.

Podeszła do niego możliwie jak najciszej. Nie było jej łatwo z powodu nadwagi. Musi przestać napychać się przy każdej okazji słodyczami. Pochyliła się, sięgnęła po telefon. Zamarła, wstrzymując oddech.

Nic. Colin ani drgnął. Oddychał głęboko i miarowo.

Wróciła do samochodu. Miała oczywiście wredne zamiary. Zostawić go bez auta i bez telefonu na tym kompletnym pustkowiu... Oceniała, że nie zdoła przed wieczorem dotrzeć pieszo do najbliższej drogi, którą czasem przejeżdżał jakiś pojazd. Jeśli żaden samochód się nie pojawi, jego wędrówka potrwa jeszcze dłużej. Usiłowała sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni minęli ludzką sadybę. Jakąś zagrodę, gdzieś w dolinie... Czekał go długi marsz.

Przygryzła wargi. Przecież jej pomógł. Zachował się wobec niej przyzwoicie. Jej obecne postępowanie nie było w porządku. Ale musiała się ratować.

Przecież była pełnia lata. Nie zamarznie, nawet w nocy.

Zerknęła na tylne siedzenie, dostrzegła butelkę wody mineralnej. Wciąż prawie pełną.

Bardzo powoli, nie spuszczając Colina z oczu, otworzyła drzwi, sięgnęła po butelkę, położyła ją na ścieżce. Zostawi mu wodę. Zresztą niedaleko płynął strumień, w okolicy na pewno napotka wiele innych potoków. Nie umrze z pragnienia.

Zmagając się z tuszą, obeszła samochód dokoła, usiadła za kierownicą. Colin nadal się nie poruszył.

Obudzi się, gdy tylko uruchomi silnik. Ale zanim się pozbiera i zdoła zareagować, już jej nie będzie.

Zapłon. Hałas wydał jej się ogłuszający.

Spojrzała w bok. Colin powoli się wyprostował, zmieszany obejrzał się za siebie.

Wcisnęła pedał gazu. Samochód ruszył z kopyta, zapiszczały opony. W lusterku wstecznym dostrzegła, jak Colin zrywa się na równe nogi. Macha rękami, krzycząc niezrozumiałe słowa.

Jeszcze bardziej przyspieszyła, oddalając się z dużą prędkością.

Od niego i od niebezpieczeństwa, jakie dla niej stwarzał.

5

Kayla Byron zajrzała do gabinetu doktora Dane'a.

– Doktorze?

Dane był zajęty uzupełnianiem dokumentacji medycznej. Roztargniony uniósł wzrok.

– Tak?

– Dzwonili z Tremblay Clinic w Hull. Sophia Lewis wciąż nie dotarła na miejsce. Są zaniepokojeni, bo powinna była przyjechać ponad dwie godziny temu.

– Która godzina? – Dane nigdy nie nosił zegarka i w ciągu dnia tracił poczucie czasu.

– Dochodzi druga.

– A kiedy wyruszyli?

– O dziesiątej. Powinni dotrzeć o pół do dwunastej. W przypadku wzmożonego ruchu około południa. To naprawdę dziwne, że jeszcze są w drodze.

– Tak, i co teraz? – zapytał bezradnie Dane.

– Transport jak zwykle zleciłam Winslow Ambulance.

Prywatna firma zajmująca się przewozem chorych. Doktor Dane dość dobrze znał jej właściciela, stąd od lat korzystali z jego usług.

– Zadzwoiłam do Marka Winslowa. Nie wiedział o jakimkolwiek opóźnieniu. Spróbuj się dodzwonić do kierowcy. Pomyślałam, że powinien pan o tym wiedzieć...

Zabrzączał telefon w przedpokoju. Kayla zrobiła dwa kroki w kierunku biurka i podniosła słuchawkę.

– Tak – powiedziała – to dziwne. I skontaktował się pan z pielęgniarem? – Nasłuchiwała. – Ale coś tu nie gra – odparła. Znowu zamieniła się w słuch. – W porządku. Tak, proszę nas informować. – Rozłączyła się. – To Mark Winslow. Nie może się dodzwonić ani do kierowcy, ani do towarzyszącego mu pielęgniara, co jest dość niezwykle i niepokojące.

– Rzeczywiście. Wszędzie po drodze jest zasięg.

– Sprawdziłam w internecie sytuację na drogach. Brak informacji o korkach, objazdach, nic. Powinni już być na miejscu.

– Mój Boże – powiedział Dane. Wyszedł zza biurka, stanął pośrodku gabinetu. – Sophia Lewis nie jest w stanie pozwalającym na długotrwałe wycieczki po okolicy w rozkołysanym pojeździe. To niewskazane.

– Zastanawiam się... – podjęła Kayla.

– Tak?

– Ten telefon od policjantki, zalecającej, by Sophię Lewis przewieźć do Hull w policyjnej ochronie. Gdy tymczasem strażnik został faktycznie odwołany.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł zmieszany Dane.

– No tak. Był pan na bloku operacyjnym. Zajęłam się tym, to znaczy... próbowałam. Ale transport już wyruszył. Oddzwoniłam do policjantki... Powiedziała, że wyślą

funkcjonariusza prosto do Hull.

Doktor Dane otworzył szeroko oczy.

– Myśli pani, że Sophii Lewis coś się przytrafiło? Ze strony... osoby, która jej to wszystko zrobiła?

Kayla wzruszyła ramionami.

– Prawdopodobnie policja miała swoje powody, by nagle przedłużyć jej ochronę.

– O Boże, co za historia – westchnął Dane.

– Mark Winslow ma powiadomić policję – oznajmiła Kayla. – Wtedy się dowiemy, czy są jakieś zgłoszenia o wypadkach. Może trzeba było odholować furgonetkę.

– Ale wtedy kierowca z pewnością zgłosiłby to swojemu szefowi. I zadzwoniłby do kliniki.

Spojrzeni po sobie.

– Zatelefonuję jeszcze raz do tej policjantki, z którą wcześniej rozmawiałam. Sierżant Helen Bennett – postanowiła Kayla. – Powiem jej, że Sophia Lewis nie dotarła na miejsce i nikt nie wie, gdzie obecnie znajduje się furgonetka.

– Dowie się tego, gdy z Winslow Ambulance powiadomią policję o wypadku – zauważył Dane.

– To chyba inny wydział. Zadzwonię – oznajmiła Kayla.

Po rozmowie z Calebem Kate krótko się zastanawiała, czy powinna niezwłocznie wracać do biura. Ponieważ dochodziła druga, a ona nie jadła jeszcze obiadu, postanowiła kupić coś w pobliżu portu, a następnie pojechać do domu, i, jak wcześniej planowała, porozmawiać z sąsiadką oraz sprawdzić – co znów wydało jej się mało prawdopodobne – czy Colin i Ksenia, lub przynajmniej jedno z nich, przypadkiem się nie pojawili. Próbowwała namówić Caleba, żeby zjadł z nią posiłek, on jednak odmówił.

– Nie jestem głodny.

– To niemożliwe – zaproponowała. – Nie ma pan w domu nic do jedzenia. Nie może pan żyć powietrzem!

– Zamówię później pizzę – obiecał, choć zabrzmiało to raczej jak próba zmiany tematu niż solidny zamiar.

Powinien pan też wziąć prysznic i się przebrać – chciała dodać, ale przełknęła tę uwagę. Nawet jeśli pozostawał zawieszony w obowiązkach, w pewnym sensie nadal był jej przełożonym. Przynajmniej takie miała wrażenie.

Ledwo wsiadła do samochodu, zabrzęczała jej komórka. Dzwoniła Helen. Była spięta, mówiła bardzo niepewnie.

– Mamy problem... – zaczęła. Kate od razu poczuła, jak na przedramionach jeżą jej się drobne włoski. Głos Helen nie wróżył nic dobrego.

– Tak?

– Właśnie dzwoniли ze szpitala. Karetka z Sophią Lewis się spóźnia.

– Co to znaczy: spóźnia?

– Nadal nie dotarła do kliniki w Hull.

– A kiedy wyjechali?

– O dziesiątej.

Choć Kate wiedziała, która godzina, ponownie zerknęła na zegarek.

– To niemożliwe. Już dawno powinni być na miejscu.

W głosie Helen pobrzmiwało zniechęcenie.

– Wiem. Na trasie nie ma żadnych korków, żadnych objazdów. Nic. A do tego...

– Tak?

– Szef firmy transportowej nie może się dodzwonić do kierowcy. Na komórkę. Ani do towarzyszącego mu pielęgniarza.

Kate poczuła przyspieszone bicie serca. To nie brzmiało jak jakiś problem. Brzmiało jak możliwa katastrofa.

– A co z policyjną ochroną? – zapytała. – Czy funkcjonariusz jest osiągalny?

Można było usłyszeć, jak Helen robi głęboki wdech.

– Nie było z nimi żadnego.

Kate potrzebowała sekundy, żeby przetrwać tę wiadomość.

– Że co proszę?

– Z pani polecenia zadzwoniłam do szpitala. Ale transport już wyruszył. Wysłałam funkcjonariusza prosto do kliniki w Hull.

– Czy to znaczy, że policjant siedzi tam i czeka? A transport jest w drodze bez eskorty i zniknął z pola widzenia? To nie może być prawdą! – krzyknęła Kate.

Helen milczała.

– Przecież wyraźnie powiedziałam... – zaczęła Kate, ale zaraz zamilkła, po czym dodała: – Transport należało wstrzymać. Powinien był zawrócić albo poczekać na funkcjonariusza. Nieważne. Sierżantko Bennett, to było moje wyraźne polecenie!

Kate i Helen były w tej samej randze, ale ponieważ Helen tak naprawdę pracowała jako policyjna psycholożka, podczas gdy Kate była śledczą, w trakcie dochodzenia to jej polecenia należało respektować.

– Myślałam, że w czasie jazdy nic nie może się przydarzyć – broniła się Helen. – A w Hull czeka już ochrona. Niby skąd sprawca miałby wiedzieć, że zabrano ją dzisiaj ze Scarborough do Hull?

– Nie mam pojęcia, ale być może wiedział. To wszystko nie brzmi zbyt dobrze, ale pewnie już to pani zrozumiała. – W głowie Kate aż kotłowało się od myśli. – Natychmiast wszczynamy pościg za karetką.

– Dobrze – odparła Helen.

– I przy okazji... Colin Blair, Londyn. Proszę ustalić numery rejestracyjne jego samochodu, nie znam ich na pamięć. To także część pościgu.

– Dobrze – powtórzyła Helen, choć słyhać było, że nie bardzo rozumie, o co chodzi.

Nieważne, czy to rozumiesz, czy nie, pomyślała ze złością Kate, najważniejsze, że tym razem zrobisz, co mówię!

Już miała się rozłączyć, ale coś jeszcze przyszło jej do głowy.

– Firma transportowa... ma pani pod ręką jej nazwę?

Usłyszała ciche stukanie klawiszy, najwyraźniej Helen szukała jej w komputerze.

– Winslow Ambulance. Potrzebuje pani adresu albo numeru telefonu?

– Dziękuję. Sama wygugluję. – Zakończyła rozmowę. Zmiana planów. Nie wpadnie do domu. Uda się do firmy transportowej.

6

Sienna Burton była wściekła, tak wściekła, że nie powinna siadać za kierownicą samochodu. Gdyby jednak została w mieszkaniu w Hull, pewnie by zwariowała. W tym dniu wszystko naraz się zbiegło: rankiem, gdy wychodziła do pracy, spotkała właściciela budynku, który udzielił jej reprymendy, ponieważ rzekomo zaniedbała swój balkon, przez co *stał się hańbą dla całego domu*, a także dwukrotnie nie posprzątała obejścia. W butiku, w którym pracowała, wdała się w sprzeczkę z klientką, której skandaliczna arogancja była zwyczajnie nie do zniesienia, na co szefowa oświadczyła, że może już nie wracać. Czy to oznaczało zwolnienie? Czy to takie proste? Właśnie straciła pracę? Po kłótni z szefową wyszła z butiku i wróciła do domu, by poskarżyć się swojemu przyjacielowi, który obecnie był bezrobotny, całymi dniami lenił się w mieszkaniu przed telewizorem i nie starał się nawet przygotować podań o pracę. Liam powinien okazać jej wyrozumiałość, zamiast tego się wkurzył i zaczął na nią krzyczeć, że jest kompletnie stuknięta, że teraz oboje będą zmuszeni żyć z zasiłku, i jak ona to sobie w ogóle wyobraża?

– Ty na przykład mógłbyś wreszcie spróbować poszukać pracy! – krzyknęła Sienna, na co Liam warknął, że to zrobi. Niech sobie jednak nie myśli, że będzie ją utrzymywał.

Sienna uznała to za dowód wyjątkowej bezczelności, bo przecież to on od miesięcy był na jej garnuszku. Doszło do gwałtownej wymiany epitetów, w końcu Sienna wybiegła z mieszkania, zalewając się łzami, wsiadła do samochodu i ruszyła przed siebie. Nie płakała z żalu, tylko ze złości. Liam był podłym szczurem. Jej szefowa

głupią suką. Tłustą, arogancką klientkę powinno się wepchnąć pod najbliższy pociąg, a właściciel domu niech się udławi tą swoją chciwością i wyniosłością!

Sienna szlochała, pędząc po wiejskich drogach z szaleńczą prędkością. Nie dbała o to, dokąd zmierza, nie miała przed sobą żadnego celu. Byleby tylko jak najdalej stąd uciec. Od wszystkiego.

Gdy minęła znak Market Weighton, po raz pierwszy zdała sobie sprawę, gdzie się właściwie znajduje. Znała tę miejscinę. Dorastał w niej Liam.

Niesiona kolejną falą gniewu, Sienna wcisnęła pedał gazu i pognąła główną ulicą. Z piskiem opon pokonała kilka zakrętów. Musiała jak najszybciej opuścić tę zabita dechami dziurę.

Dopiero gdy usłyszała wycie syreny, ocknęła się z ponurych myśli i zerknęła w lusterko wsteczne. Cholera, miała na karku gliny. Nigdzie nie dostrzegła policyjnego radiowozu, musieli się zacząć w bocznej uliczce, a ona przemknęła obok nich jak jakaś furiatka. Jasne, nie mają nic lepszego do roboty, niż ją ścigać. Zamiast tropić grasujących po kraju prawdziwych przestępców...

Rozważała przez chwilę, czy nie powinna zachowywać się teraz przykładnie, co oznaczało jazdę z zalecaną prędkością, licząc na to, że jej darują. Nadzieja była jednak raczej złudna. Oni się na nią uwzięli. Syrenę wprawdzie wyłączyli, ale podążali tuż za nią.

Sienna uzmysłowiła sobie, że wyruszając w pośpiechu, zostawiła w domu torebkę. Nie miała przy sobie ani prawa jazdy, ani dowodu osobistego. Wpadła w cholerne tarapaty.

Wcisnęła gaz do dechy i wystrzeliła jak z procy.

Miała mniej skrpułów niż ścigający ją policjanci, pokonywała zakręty, nie bacząc na to, czy z naprzeciwka nadjeżdża inny pojazd albo przez drogę przechodzą piesi. Kiedy wyjechała z miasta i skręciła w jakąś wiejską drogę, nie wiedząc, dokąd zmierza, w lusterku wstecznym nie dostrzegła już radiowozu.

Serce Sienny waliło jak szalone. Scena rodem z jakiegoś filmu. Przez chwilę zdołała nawet zapomnieć o swojej wściekłości na Liama i wszystkich pozostałych. Niebawem, umknęła patrolowi policji! Ogarnęła ją euforia, ale po chwili uświadomiła sobie, że funkcjonariusze prawdopodobnie zdążyli zanotować jej numer rejestracyjny. Musiała liczyć się z tym, że przy najbliższej okazji zostanie zatrzymana. Co więcej, zdała sobie sprawę, z jak karkołomną prędkością wyjechała z miasta i jak niebezpiecznie się zachowywała. Gdy poziom adrenaliny zaczął opadać, zdjęło ją potworne przerażenie.

Niech to szlag. Była w poważnych tarapatach.

Mijając polną drogę, na początku której stał znak zakazujący wjazdu samochodem, skręciła bez zastanowienia. Tłukła się między polami po żwirze i szutrze, drogą, która

zdawała się niknąć w oddali. Musiała przez chwilę pomyśleć. Jak powinna teraz postąpić?

Gdyby tylko zdołała odzyskać *rozsądek*.

Nieobce jej były podobne sytuacje. Miała wybuchowy charakter, mówiła i robiła straszne rzeczy, a potem odczuwała skruchę, zastanawiając się, jak mogło do tego dojść. Nigdy wcześniej jednak nie popadła w tak ogromne tarapaty. W sferze międzyludzkiej zdarzało jej się często popsuć przyjaźnie i związki, ale nigdy nie miała problemów z policją. Do dzisiaj. Nawet tego nie uniknęła.

W końcu się zatrzymała, gdyż nawierzchnia drogi pogorszyła się na tyle, że zaczęła się obawiać uszkodzenia opon. Po lewej ciągnęły się pola. Po prawej rósł niewielki zagajnik, pełen lśniących srebrzyscie pni brzoźowych oraz niskich, splątanych krzewów jałowca. Może znajdzie tam jakieś ustronne miejsce. Nagle poczuła, że dłużej nie wytrzyma. To pewnie z ekscytacji.

Sienna wysiadła, obeszła samochód i zakradła się między drzewa i krzewy. Nieprzyjemnie tu pachniało, może nie tylko ona korzystała z tego miejsca jako toalety. Z drugiej strony – niby kto tędy przechodził? Właściwie tylko pracujący na polach rolnicy.

Już zamierzała przykucnąć za w miarę gęstym krzakiem, kiedy ją zobaczyła.

Noga. Wystawała zza kłującego żywopłotu. Tkwiła w nogawce białych spodni i beżowym trampku.

Sienna wpatrywała się w nią, zastanawiając się, czy nie uległa jakiemuś złudzeniu. Nogi zazwyczaj nie leżą rozrzucone po okolicy, zwłaszcza nie w przydrożnych krzakach. Czy ktoś tam spał? Ale dlaczego noga wyglądała na tak dziwnie wykręconą?

W pierwszej chwili chciała natychmiast wsiąść do samochodu i jak najszybciej odjechać, ale coś ją powstrzymało. Jak urzeczona wpatrywała się w tę kończynę. Zbliżyła się o krok. Zauważyła teraz liczne połamane gałęzie i zgniecione krzewy. Tworzyły niemal małą przesiekę. Ślad. Czyżby nogę – i cokolwiek jeszcze do niej przylegało – tu przywleczono?

Sienna, sparaliżowana strachem, a zarazem pchana ciekawością, podkradła się bliżej. Przeczesała wzrokiem zarośla, aż cicho krzyknęła.

Mężczyzna. Jakiś człowiek leżał za krzewem na ziemi. Miał na sobie biały T-shirt, białe dżinsy. Beżowe trampki. Jedna noga była trochę wykręcona, leżała na ziemi, to tę właśnie kończynę najpierw dostrzegła. Druga sterczała w bok.

Głowa mężczyzny była jedną wielką otwartą raną. Trawa wokół lśniła głęboką, niemal czarną czerwienią. Krew... Mnóstwo krwi.

– O Boże! – krzyknęła Sienna. – O Boże!

Odwróciła się i wybiegła z zagajnika. Potknęła się, gdy zahaczyła stopą o korzeń, upadła na kolana i uderzyła podbródkiem o ziemię, ale nie zważając na doskwierający jej ból, szybko się podniosła. Byleby stąd uciec.

Nie zauważyła, że rozdarła spodnie, że krew spływała jej po nodze, a drobne kamyki, gałązki i ziemia kleiły się do rany.

Dostrzegła samochód. Stało przed nim dwóch policjantów i patrzyło w jej kierunku.

– Miło, że w końcu się pani zatrzymała – powiedział wyższy z nich i się uśmiechnął.

Policyjny radiowóz stał tuż za samochodem Sienny.

W normalnych – lub na poły normalnych – okolicznościach Sienna zastanawiałaby się, jak to możliwe, że ścigający ją policjanci znaleźli ją tu, w samym środku pustkowia, na skraju szutrowej drogi. W tej jednak chwili nie miało to żadnego znaczenia. Przystanąła.

– Tam w krzakach leży martwy człowiek.

– Ach tak? – zapytał policjant i ponownie wykrzywił twarz w uśmiechu.

Skinęła głową. Fakt, że facet jej nie uwierzył, nawet jej nie zirytował. Zwyczajnie stała w miejscu, zastanawiając się, dlaczego świat wokół wydawał się zupełnie nietknięty.

– W krzakach leży martwy człowiek – powtórzyła.

– Miło, że usiłuje pani odwrócić od siebie uwagę, młoda damo – powiedział drugi policjant. – Czy zdaje sobie pani sprawę, że pędziła pani przez miasto ponad sto kilometrów na godzinę i że będzie to panią kosztować utratę prawa jazdy?

O czym on mówi? Jechała za szybko, i co z tego? Czy w tych okolicznościach miało to jakieś znaczenie?

– W krzakach leży martwy człowiek – powiedziała po raz trzeci. Miała dziwne wrażenie, że nie potrafi sformułować innego zdania.

– Jest pani w poważnych tarapatach – stwierdził szczerzący się funkcjonariusz.

W poważnych tarapatach to jest ten biedny facet leżący w krzakach, jeśli w ogóle można tak powiedzieć.

– Dokumenty poproszę – odezwał się drugi policjant i wyciągnął rękę.

Nie chciała po raz czwarty powtarzać tego samego niczym głupia, nakręcana, gadająca lalka. Spróbowała znaleźć inne sformułowanie.

– W krzakach za mną – powiedziała, wskazując ręką za siebie – leży człowiek. Chyba ktoś strzelił mu w głowę.

Szczerzący się policjant westchnął. Jego kolega nieco baczniej przyjrzał się Siennie.

– Albo jest pani niespełna rozumu – powiedział – albo... – Nie dokończył. – Niby gdzie? – zapytał.

W żadnym wypadku już tam nie pójdzie. Gwałtownymi ruchami rąk wskazała za siebie.

– Tam! Z tyłu!

Policjant niechętnie się ruszył. Wydawało się, że mniej się bał tego, co tam znajdzie, niż tego, że zrobi z siebie głupca, dając wiarę gadaninie tej szalonej furiatki. Po kilku metrach krzyknął:

– Dziwnie tu cuchnie!

Sienna osunęła się na ziemię, podkurczyła nogi, twarzą przywarła do kolan.

Szczerzący się funkcjonariusz nie spuszczał jej z oka.

Wtem z zagajnika dobiegło wołanie:

– Cholera! Faktycznie! Tu ktoś leży. O rany!

Szczerzący się wyciągnął komórkę.

Co za koszmar! – pomyślała Sienna.

7

Mark Winslow, właściciel Winslow Ambulance, wydawał się potwornie roztrzęsiony. Siedział naprzeciw Kate za skrupulatnie uprzątniętym biurkiem i gorączkowo szukał czegoś w komputerze. Klawiatura wydawała głośne dźwięki od nerwowych uderzeń palców.

– Jeszcze nigdy nie miałem żadnego problemu – szeptał – nigdy.

Kate darowała sobie stwierdzenie, że problemy z pewnością się pojawiały, jak wszędzie, ale prawdopodobnie żaden nie ściągnął mu na kark policji.

– Jack Gregory – powiedział, przewijając stronę, którą najwyraźniej wreszcie odnalazł. – Tak, mam go. Pielęgniarz. Oraz Ken Burton. Kierowca.

– Obaj nie odbierają telefonów? – zapytała Kate.

– Owszem. To dziwne. Zawsze jesteśmy w kontakcie.

– Panie Winslow, samochód z Sophią Lewis powinien dotrzeć do Hull już kilka godzin temu. Na trasie nie było żadnych korków, żadnego wypadku, nic nadzwyczajnego.

– Tak, wiem. To dla mnie zagadka.

– Ci dwaj mężczyźni... Burton i Gregory. Jak długo dla pana pracują?

– Ken Burton od dawna. Pracuje tu od chwili, gdy założyłem firmę. Znamy się z czasów szkolnych. Od wieków jesteśmy przyjaciółmi.

– A ten drugi? Jack Gregory?

Powieki Marka nerwowo drgnęły. Kate od razu to zauważyła.

– Panie Winslow?

- Nie pracuje u mnie długo.
- Od kiedy?
- Od... dokładnie od tygodnia.

Łapała oddech.

- W takim razie właściwie go pan nie zna?
- No tak – przyznał Mark Winslow, ale od razu dodał: – Nikt nie zatrudnia wyłącznie tych, których dobrze zna.
- Jego referencje?
- Jest bardzo młody. Winslow Ambulance to jego pierwsza praca.
- Ale coś przecież panu przedłożył, prawda?
- Tak, oczywiście. Wylegitymował się paszportem. I miał zaświadczenie o ukończeniu szkoły pielęgniarskiej.
- Gdzie są te papiery?

Mark wstał, podszedł do szafki na dokumenty, zaczął szukać, w końcu wyjął segregator.

- Proszę – rzekł, wręczając Kate dokument, który przedstawił mu Jack Gregory, absolwent prywatnej szkoły pielęgniarskiej w Liverpoolu. – Tu jest kopia jego paszportu. – Mark wręczył jej kolejny papier.

Na pierwszy rzut oka nie było się do czego przyczepić. Jack Gregory urodził się trzydziestego lipca tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego piątego roku w Manchesterze, miał zatem dwadzieścia cztery lata. Zdjęcie paszportowe przedstawiało młodego mężczyznę o jasnym spojrzeniu, gęstych ciemnych włosach opadających nisko na czoło. Przystojny i sympatyczny.

W pewnym sensie także niepozorny.

- A pański pielęgniarz odpowiada wizerunkowi Jacka Gregory’ego na tym zdjęciu? – zapytała Kate, podsuwając Markowi kopię pod nos.

Mark spojrzął na fotografię i się zarumienił.

- Aż tak dokładnie mu się nie przyjrzałem... Właściwie, no cóż... Ma bardziej zmierzwione włosy. Ale nikt z nas nie wygląda dokładnie tak jak na zdjęciu do paszportu, prawda? Powiedziałbym: i całe szczęście – spróbował zażartować.

Kate nie przytaknęła, wykrzywiając usta w uśmiechu.

- Usta, nos, oczy... Czy to on, czy nie?

Mark dokładnie przyjrzał się fotografii.

- Nie potrafię powiedzieć... – wyznał w końcu. Kate zinterpretowała jego słowa jako dowód niewielkiego podobieństwa postaci na zdjęciu do prawdziwego Gregory’ego.

Była gotowa się założyć, że paszport należał do kogoś innego. A świadectwo ukończenia szkoły pielęgniarskiej zostało albo podrobione, albo skradzione. Przed

wszystkim należało sprawdzić, czy zgłoszono kradzież dowodu osobistego. Sięgnęła po komórkę, by skontaktować się z Helen, ale w tej właśnie chwili zadzwonił Robert Stewart.

– Znalaziono kierowcę karetki – oznajmił bez ogródek. – Ken Burton, według dokumentów. Leżał w zaroślach niedaleko Market Weighton. Znalazła go młoda kobieta. Został zabity strzałem w głowę.

Kate przez sekundę poczuła zawroty głowy.

– Cholera – powiedziała przez zęby.

– Żadnych śladów pojazdu – dodał Robert. – Ani pielęgniarskiego. Jest pani w siedzibie Winslow Ambulance?

– Rozmawiam z właścicielem – potwierdziła Kate. Jego przyjaciel z lat szkolnych nie żyje od kilku godzin, będzie musiała mu o tym powiedzieć. – Inspektorze, jestem pewna, że to pielęgniarski jest tu kluczem. Możliwe, że posługuje się skradzionym paszportem. – Przekazała wszystkie dane, Robert je zanotował.

– Zaraz to sprawdzimy – obiecał i się rozłączył.

Mark obserwował wyraz twarzy Kate.

– Jakież wieści? – zapytał.

– Tak – przytaknęła Kate. – Niestety. – Po krótkiej przerwie dodała ostrożnie: – Znalaziono Kena Burтона. Został zastrzelony.

– Co takiego? – zapytał skonsternowany Mark.

– W pobliżu Market Weighton. Nadal nie odnaleziono samochodu, Sophii Lewis ani Jacka Gregory'ego.

– Ale... – Twarz Marka przybrała niezdrową barwę. – Jak to się mogło stać?... To znaczy... zastrzelony?

Kate zrobiło się go żal. Był zdruzgotany.

– Panie Winslow, obawiam się, że Jack Gregory nie jest tym, za kogo się podaje. Pewnie nawet się tak nie nazywa. Paszport prawdopodobnie został skradziony, a świadectwo szkoły pielęgniarskiej podrobione.

– O Boże – powiedział Mark. – O Boże! – Skulił się na krześle za biurkiem, wytrącony z równowagi i zszokowany.

Kate pochyliła się do przodu.

– Panie Winslow, proszę się nie obwiniać. Nie mógł pan tego przewidzieć ani sprawdzić. Liczył pan na uczciwość tego młodego człowieka. Postąpiłaby tak większość ludzi.

– Nie przyszło mi do głowy, że on... – jękał się Mark, a potem dodał: – O Boże, o Boże! Ken! Akurat Ken!

Kate pragnęła dać mu trochę czasu, by mógł to wszystko w sobie przetrawić i dojść do siebie, ale nie mogła sobie na to pozwolić. Dla Sophii Lewis, jeśli w ogóle jeszcze żyła, liczyła się każda sekunda.

– Panie Winslow, niestety to istotne, byśmy od razu wyjaśnili kilka spraw. Tak więc Gregory zgłosił się do pana przed tygodniem. Czy rozpiisał pan konkurs na to stanowisko?

– Nie. Po prostu przyszedł do mojego biura. Powiedział, że szuka pracy. Miał szczęście. Potrzebowałem pracownika.

– Potrzebował pan kogoś, ale nie szukał aktywnie?

– Prawdę mówiąc, już od dłuższego czasu brakowało mi pracownika, choć jak dotąd udawało mi się jakoś zaradzić trudnościami. Chodzi o to, że... – Mark się zawahał. – Ze zleceniami nie zawsze jest wesoło – powiedział. – Jesteśmy stosunkowo małą firmą, większe firmy mogą zaproponować korzystniejsze warunki. Czasem rzeczywiście potrzebowałem kogoś do pomocy, czasem nie, a przecież przez cały czas musiałbym go opłacać. W tym względzie byłem trochę niezdecydowany. Kiedy zjawił się Jack Gregory, pomyślałem... Cóż, po prostu spróbujemy. To była pomyłka. Straszna pomyłka. – Ukrył głowę w dłoniach.

A jednak problemy, pomyślała Kate. To, co stworzył, nie do końca dobrze funkcjonuje. Pewnie dlatego wygląda na zmęczonego. Zapewne nie sypia nocami.

– Czy często dostaje pan zlecenia z tutejszego szpitala w Scarborough? – zapytała.

Skinął głową.

– Zwłaszcza dzięki doktorowi Dane’owi. Znam go całkiem dobrze. Sam jestem dyplomowanym pielęgniarzem i przez długi czas pracowałem na oddziale, zanim podjąłem działalność na własny rachunek. On wie, że zmagam się z trudnościami. Za każdym razem, gdy organizuje transport, zleca go mnie. Jestem mu za to bardzo wdzięczny.

Jack Gregory, czy jak tam się naprawdę nazywa, wie z prasy, że Sophia żyje i leży w tutejszym szpitalu, rozważała Kate. A potem...

Analizowała prawdopodobny przebieg wydarzeń: po tym, jak tragiczny wypadek Sophii został opisany na łamach „Yorkshire Post”, wiele osób dzwoniło na oddział i pytało o jej zdrowie. Koledzy, uczniowie, ich rodzice. Wśród nich mógł być również sam sprawca. W zasadzie nie podawano żadnych szczegółów, ale Kate wiedziała, że zadając właściwe pytania, można było otrzymać jakieś wskazówki. Sprawca najwyraźniej się dowiedział, że Sophia zostanie wkrótce przeniesiona. Może też sam to wydedukował. Jedna czy druga gadka szmatka z pracownikiem szpitala i już wiedział, że doktor Dane zawsze korzysta z usług Winslow Ambulance. Zaskakująco szybko zdobył fałszywy paszport, choć może już od dawna się nim posługiwał.

Pozyskanie świadectwa szkoły pielęgniarskiej było znacznie trudniejsze, ale Kate pamiętała słowa Caleba o dwóch sprawcach, którzy poznali się w więzieniu. Doświadczenia nabyte za kratkami zawsze owocowały dobrymi kontaktami w specyficznych kręgach. Prawdopodobnie także wśród ludzi, którzy sprawnie potrafili fałszować dokumenty. Jack Gregory przewidział, że jego świadectwo nie będzie poddane specjalnej weryfikacji. Kto by podejrzewał młodego pielęgniarza o uczestnictwo w spisku?

– Zaskakujące – powiedziała – że Jack Gregory nie miał żadnego praktycznego doświadczenia w pracy, a pan osobiście za dobrze go nie znał. Sophia Lewis wymaga bardzo intensywnej opieki. Tymczasem pan od razu przydziela jej takiego nowicjusza. Z pewnością miał pan kogoś, kto wiele razy dowiódł swoich kompetencji.

Twarz Marka zdradzała, że dźwiga na barkach całą winę tego świata.

– Bardzo mu na tym zależało. Usilnie prosił o przydzielenie go do tego transportu do Hull. Chciał mi udowodnić, że się do tego nadaje. To było dla niego ważne. Mogłem mieć pewność, że da z siebie wszystko. Wydawał się taki... taki zaangażowany... Nie był zbyt pewny siebie, a ja pomyślałem, że może dobrze będzie obdarzyć go zaufaniem.

– Niezbyt pewny siebie?

Mark sprawiał wrażenie coraz bardziej zdesperowanego.

– Był... Jak by to ująć? Po prostu bardzo niepewny. Bardzo nieśmiały. Trochę się jąkał. Ale zarazem był bardzo miły. Budził zaufanie. Tak. To właściwe słowo. – Mark w geście rezygnacji podniósł obie ręce. – Człowiek, któremu z miejsca zaufałem. Może nie był zbyt bystry, ale miał w sobie sporo empatii i wrażliwości. Przedłożył świadectwo z dobrymi ocenami. Sądziłem... Najwyraźniej się pomyliłem. Ale trudno mi to zrozumieć.

– Takie rzeczy rzeczywiście trudno pojąć.

– Miałem dziwne przekonanie, że dobrze mu pójdzie. Zwłaszcza że chodziło o niewielki dystans. Gdyby Sophia Lewis miała być przeniesiona do kliniki gdzieś na południu Anglii i w grę wchodziłaby wielogodzinna podróż, wtedy pewnie przydzieliłbym mu kogoś do pomocy. Ale... do Hull?

Gdyby ktoś został mu przydzielony do pomocy, pewnie już by nie żył, stwierdziła w myślach Kate.

Przemożne podejrzenie, że to Jack Gregory jest sprawcą, przemieniło się nieomal w pewność. Chciał mieć dostęp do Sophii Lewis. Kobiety, która przeżyła brutalny atak. Która mogła okazać się niebezpieczna dla sprawcy. Zabił kierowcę strzałem w głowę. Gregory był bezwzględny zabójcą.

Sophia Lewis była całkowicie zdana na jego łaskę. Kate dostawała gęziej skórki, kiedy pomyślała, przez co musiała przechodzić ta biedna kobieta, jeśli w ogóle jeszcze żyła. Przynajmniej nie znaleziono jej zwłok w zaroślach obok ciała kierowcy. Pytanie, czy lepiej było pozostać przy życiu, jadąc w karetce z Jackiem Gregorym.

Coś przyszło jej do głowy. Poszukała w smartfonie portretu pamięciowego zabójcy z pociągu i pokazała go Markowi.

– Czy to może być Jack Gregory?

Mark intensywnie wpatrywał się w zdjęcie, ale potrząsnął głową.

– Nie. Zdecydowanie nie.

Kate ponownie przypomniała sobie słowa Caleba: *Możliwe, że było dwóch sprawców...*

– Czy może pan udać się ze mną na komisariat i pomóc w sporządzeniu portretu pamięciowego Jacka Gregory’ego? Jego zdjęcie paszportowe daleko nas nie zaprowadzi.

Mark skinął głową.

– Tak, oczywiście. Mój Boże. Ken! Akurat on. Wie pani, czuję się jak ogłuszony. Po prostu nie mogę w to uwierzyć.

W takie rzeczy trudno uwierzyć. Kate dobrze o tym wiedziała.

– Chodźmy – powiedziała łagodnie i wstała. – Wiem, jakie to dla pana trudne. Ale chcemy jak najszybciej schwytać sprawcę i postawić go przed sądem, a pan może nam w tym pomóc.

Podniósł się z miejsca. Miał twarz białą jak kreda.

– Co teraz będzie z pacjentką? – zapytał. – Co się stanie z Sophią Lewis?

Kate nawet nie miała odwagi o tym myśleć.

8

Po prostu odjechała, nie wiedząc, co dalej, nie mając pojęcia, dokąd się udać. Byleby tylko z dala od Colina i od wyrzutów sumienia. W końcu zdała sobie sprawę, że choć od niego mogła się oddalić, znacznie trudniej było zagłuszyć głos własnego sumienia. Poza tym kończyła jej się benzyna. W małej wiosce, przez którą przejeżdżała, znalazła stację benzynową. Była zdenerwowana. Co, jeśli już szukają samochodu?

Colin nie miał przy sobie telefonu komórkowego i wciąż przebywał na odludziu, być może jednak Kate wszczęła już poszukiwania jego samochodu. Tyle razy usiłowała się z nim skontaktować, że musiała podejrzewać, a pewnie nawet wiedziała, że był razem z nią, Ksenią.

Ucieszyła się, gdy napełniła bak, zapłaciła młodemu człowiekowi za ladą, który ledwo uniósł wzrok znad ekranu swojego smartfona, i odjechała. Dzięki Bogu. Jej zdjęcie nie wisiało jeszcze na wszystkich stacjach benzynowych w kraju.

Przydrożne znaki świadczyły o tym, że znajdowała się w pobliżu Northallerton. Popołudniowe godziny mijały jedna za drugą. W pewnym momencie musiała się zastanowić, gdzie spędzi noc. I co dalej. Nieustanna ucieczka nie była dobrym pomysłem na przyszłość.

Wjechała na parking, z którego zgodnie z oznakowaniem rozgałęziało się kilka szlaków turystycznych, zatrzymała się i zamyśliła.

Znalazła się w potwornych tarapatach. Tkwiła w nich od piętnastu lat. Od piętnastu lat uciekała, opierała się, trwała. Wiodła życie, jakiego nie chciała, i wmówiła sobie, że wszystko jest w najlepszym porządku, a kiedyś sytuacja się poprawi.

Teraz zrozumiała, że lepiej wcale nie będzie, jeśli wciąż będzie uciekać. Musiała stawić czoła własnej przeszłości. Musiała posprzątać tam, gdzie zaczęło się nieszczęście, a wtedy poczuje się wolna.

Skryła twarz w dłoniach.

Usłyszała głos Jacoba. *Pójdiesz siedzieć. Dobrze o tym wiesz, prawda?*

Z tym lękiem nie potrafiła sobie poradzić. Teraz jednak znalazła się w sytuacji – po części z własnej winy – w której sprawy tak bardzo się zaogniły, że nie będzie w stanie wyjść z tego bez szwanku. Zaangażowano policję. Kate Linville nie da się tak łatwo zbić z tropu.

Tymczasem ukradłam także samochód i zostawiłam człowieka samego gdzieś na wrzosowiskach, pomyślała.

Wplątała się w jeszcze poważniejsze kłopoty.

Uniosła głowę.

– Dobrze – powiedziała na głos. – Nie możesz tu siedzieć godzinami i uzalać się nad sobą i swoim fatalnym położeniem. Musisz coś *zrobić*.

Oto punkt wyjścia.

Powrót do punktu wyjścia czasem okazywał się pomocny. Nie była jedyną osobą, która wszystko schrzaniła. Bóg tego świadkiem.

Wyciągnęła z torebki smartfona i zalogowała się na LinkedIn. Zarejestrowała się tam w nadziei, że pewnego dnia natrafi na dobrą ofertę pracy. Rzeczywiście, czasem je otrzymywała, ale Jacob zawsze był temu przeciwny. Z trudem tolerował jej kurs językowy w poniedziałkowy wieczór, prawdopodobnie tylko dlatego, że nie otrzymywała zań wynagrodzenia i mógł go potraktować jako hobby, a nie pracę. Z impetem torpedował wszystko, co mogło uczynić ją choć trochę bardziej niezależną.

Drżącymi dłońmi wystukała imię.

Może on także był tam zarejestrowany.

Może się dowie, gdzie obecnie mieszka.

Może wygoogluje jego adres.

To wszystko, co mogła teraz zrobić. Wrócić do początku.

Do Kseni Sidorowej.

Ksenia Sidorowa szybko i łatwo zintegrowała się z naszą rodziną. Byłem zdumiony, jak dobrze wszystko się układało. Po latach niepowodzeń w leczeniu niepłodności, po nużącej procedurze adopcyjnej, po wszystkich kłopotach z Saszą i z nieustannie wrzeszczącą Leną nigdy bym się nie spodziewał, że cokolwiek w moim życiu może pójść jak z płatka. Ksenia przyjechała do Anglii, mając wizę turystyczną. Odebrałem ją z lotniska Heathrow i byłem zaskoczony, że mówiła po angielsku – z lekkim trudem i trochę niepewnie, ale zrozumiale, przez co nie było między nami żadnych problemów z komunikacją. Była piękną dwudziestoparoletnią dziewczyną... A raczej młodą kobietą. O bujnych kształtach, ale nie otyłą. Miała duże piersi i krągłe biodra, miękką białą skórę i włosy ciemnoblonde, splecione w warkocz i opadające na plecy. Lubiła nosić sięgające kostek spódnice i sukienki, zimą zamszowe buty, latem sandały lub balerinki. Prezentowała się nieco staromodnie, to mnie jednak bardzo ujęło. Nie była kobietą w moim typie, ani trochę, ale bardzo mi się podobała i wzbudziła moją sympatię.

Bez słowa sprzeciwu wprowadziła się do pokoiku obok kuchni. W jej domu było znacznie ciasniej, jak nam wyjaśniła; nasz dom, a także swój pokój, uznała za niezwykle luksus. Od pierwszej chwili sprawiała wrażenie, że nie czuje się gościem – natychmiast zabrała się do pracy. Uprzątnęła zmywarke, zanim jeszcze rozpakowała swoje rzeczy, a kiedy zajęła się walizką, Sasza jej w tym pomógł, dzięki czemu Alice mogła zająć się Leną.

– Mamy cholerne szczęście – oznajmiłem Alice.

Nie odpowiedziała. Była przeciwna przyjmowaniu kogokolwiek. Obcego.

– Nici z naszego życia rodzinnego – stwierdziła. Odparłem, że dopiero teraz będziemy mogli się nim w pełni cieszyć.

– Znów możemy zrobić coś sami – wyznałem. – Bez dzieci.

Nie była przekonana – i nadal nie jest. Choć niechętnie, przyznała jednak, że Ksenia jest, przynajmniej z pozoru, sympatyczna i pracowita.

Mijały pierwsze tygodnie, a my coraz bardziej się do siebie przyzwyczajaliśmy. Ksenia miała przyjemny zwyczaj nieprzeszkadzania. Całe wieczory spędzała w swoim pokoju i tylko raz na jakiś czas wychodziła do toalety albo do kuchni, by nalać sobie coś do picia. Była niezwykle dyskretna. I przejęła od Alice mnóstwo obowiązków. Kiedy wracałem z biura do domu, stała w kuchni, trzymając na jednej ręce całkiem spokojną Lenę, a drugą mieszała w naczyniu, gotując jakąś cudownie pachnącą potrawę. W pierwsze, dość zimne jeszcze dni wiosny każdego popołudnia ubierała ciepło dzieci i zabierała je na długie spacerunki, wioząc Lenę w wózku, a obok prowadząc Saszę. Przynosiła z sobą całe naręczki tulipanów i narcyzów, które kupowała na kwietnej farmie na skraju wioski. Sasza z zapalem i radością rozstawiał je potem w wazonach i słoikach we wszystkich pokojach. Ksenia z niezwykle spokojem traktowała jego opóźnienie w rozwoju. Pozwalała mu robić

to, co potrafił i co sprawiało mu frajdę. Mógł w jej pokoju malować obrazki, które potem wieszala na kuchennych szafkach. Sasza nie posiadał się z radości. Lena ucieszenie piszczala, gdy Ksenia podchodziła do jej łóżka, i wyciągała do niej ręce. W naszym domu zapanował niezwykły spokój. Wszyscy poczuli wyraźne odprężenie.

Wszyscy oprócz Alice.

Gdy wracałem do domu, nadal przesiadywała skonana w rogu sofy, mimo że Ksenia opiekowała się dziećmi, dzięki czemu mogła się czymś zająć. Pójść na spacer, na zakupy, posłuchać muzyki, spotkać się z przyjaciółką. Mogła też pomyśleć o powrocie do pracy. A jednak, kiedy ostrożnie ją o to zapytywałem, wzbraniała się.

– Za wcześnie na to – mówiła. – Po prostu jeszcze za wcześnie.

Sprawiła wrażenie przygnębionej i samotnej, a ja nie wiedziałem, z jakiego powodu. Jeden z kolegów, z którym o tym rozmawiałem, uznał, że przez lata wypełnione nieustannym przemęczeniem, mnóstwem zmagani i rozczarowań jej depresja mogła się pogłębić i nie tak łatwo będzie się z niej otrząsnąć.

– Ale mamy teraz wszystko! – zawołałem. – Mamy zdrową córkę! Mamy uroczonego syna. Ziściły się nasze marzenia o niani! Czego ona jeszcze chce?

– Z depresji – wyjaśnił kolega – nie wychodzi się tylko dlatego, że zmieniły się okoliczności. Szczerze mówiąc, nie wierzę, by Alice zdołała sobie poradzić bez pomocy lekarza.

Alice nie chciała jednak o tym słyszeć. „Terapeuta i tak mi nie pomoże. On nie zmieni mi warunków życia. Może potrzebuję trochę więcej spokoju”.

Spokoju miała przecież pod dostatkiem. Może nawet za dużo. Ksenia przejęła prowadzenie domu i opiekę nad dziećmi, Alice zaś siedziała na kanapie, patrząc, jak innej kobiecie z łatwością przychodzi to, czego ona zrobić nie potrafiła. Sytuacja ta ponownie przysporzyła mi zmartwień.

Do cholery, czy to się nigdy nie skończy?

Kiedys się obawiałem, że Alice może się psychicznie wypalić, teraz zaś, że może się rozchorować z nudów. Mój kolega uznał, że wypalenie już ją dopadło.

– Samo nie zniknie, tylko dlatego, że ona nagle nie ma nic do roboty. To się w niej utrwaliło. Ona potrzebuje pomocy.

Kręciliśmy się w kółko.

Co gorsza, Lena, która nieustannym krzykiem doprowadzała nas do szału, przy Kseni stała się wesołym, uśmiechniętym, gaworzącym dzieckiem. Nadal wrzeszczała, gdy Alice lub ja podchodziliśmy do niej lub braliśmy ją na ręce, ale przy Kseni łyzy natychmiast wysychały, a jej twarz, dopiero co rozpalona i wykrzywiona złością, pogodniała.

– Przecież nigdy jej nie skrzywdziliśmy – powiedziałem bezradnie. – Dlaczego krzyczy na nas, a na Ksenię nie?

Nie potrafilismy rozwiązać tej zagadki. Mnie aż tak bardzo to nie przeszkadzało. Ot, Ksenia po prostu miała rękę do dzieci – i co z tego? Lena i tak nas kocha, mnie i Alice, byłem tego pewien, i kochać nas nie przestanie. Jednakże Alice oczywiście znów wzięła to do siebie.

– Niech pani to robi, Kseniu – mówiła przy każdej związanej z Leną okazji. – Przy mnie ciągle tylko krzyczy.

– Może nie powinnaś zwałać wszystkiego na Ksenię – zasugerowałem ostrożnie któregoś dnia. – Lena nie powinna się za bardzo do niej przywiązać.

– Już to zrobiła – odparła Alice, wzruszając ramionami.

Prawdopodobnie nie było to jej aż tak obojętne, jak to okazywała, ale postawa, jaką przyjęła, uniemożliwiała jakąkolwiek rozmowę na ten temat. Stworzyła dystans nie do pokonania. W którymś momencie powiedziałem sobie, że zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, i teraz muszę zdać się na kojący wpływ czasu, wierząc, że wszystko się ułoży.

Dzisiaj to sobie wyrzucam. Że poddałem się rezygnacji. Byłem wyczerpany, coraz bardziej poirytowany domowymi problemami, coraz mniej skupiałem się na pracy. Czulem, że to mnie zżera, że muszę coś z tym zrobić, i coraz częściej reagowałem, przymykając oko, ignorując coraz poważniejszy rozwój sytuacji. Wszystko jakoś się z czasem ustabilizuje.

Miałem taką nadzieję.

Nadeszło lato. Ksenia przywykła do nas, a my do niej. Wciąż przebywała w Anglii w ramach wizy turystycznej. Wiedziałem, że to nie może trwać wiecznie. Pracowała dla nas nielegalnie, nie opłacałem składek ani na ubezpieczenie społeczne, ani zdrowotne. Drażliwa sytuacja, zwłaszcza w razie jakiegoś wypadku, a najgorsze z nich, jak można przeczytać, zdarzają się właśnie w domu. Nie wiedziałem też, jak przedstawia się kwestia odpowiedzialności, gdyby to ona wyrządziła komukolwiek szkodę, ani jak wygląda sytuacja prawna, jeśliby coś się stało dzieciom będącym pod jej opieką. Musiałem się tym zająć. A jednak odkładałem to z dnia na dzień.

Jak się okazało, to nie Ksenia spowodowała tragedię.

Tylko Alice.

A ja powinienem był to przewidzieć.

Piątek, 2 sierpnia

1

Kate z samego rana zjawiała się w szpitalu, by porozmawiać z pielęgniarkami i pielęgniarzami, którzy dzień wcześniej przygotowywali Sophię Lewis do transportu. Była tam już późnym popołudniem poprzedniego dnia, ale tymczasem doszło do zmiany personelu. Jednemu z lekarzy pokazała oba portrety pamięciowe – przedstawiający strzelca z pociągu oraz nowy, wykonany zgodnie ze wskazówkami Marka. Lekarz długo się wpatrywał, po czym wzruszył ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiem. O żadnym nie mogę powiedzieć, że to on, żadnego też nie mogę wykluczyć. Panowało wówczas spore zamieszanie, a ja wpadłem tylko na chwilę. Nie zwracałem uwagi na poszczególne osoby czy twarze.

Kate odwiedziła jeszcze dwóch innych pracowników w ich mieszkaniach, ale żaden z nich niczego dokładnie nie pamiętał. Pozostałych nie zastała. Miała nadzieję, że dziś dopisze jej więcej szczęścia.

Ustalono, że szkoła pielęgniarska wymieniona na świadectwie przedłożonym przez Jacka Gregory'ego w ogóle nie istnieje. Sam certyfikat był amatorskim fałszerstwem, choć na pierwszy rzut oka wydawał się przekonujący. Mark Winslow, wciąż głęboko poruszony i zszokowany, przyznał, że baczniej mu się nie przyjrzał.

Jack Gregory, młody student z Manchesteru, od dziewięciu miesięcy uchodził za zaginionego – nie był to dobry znak, zważywszy, że jego dokumentem tożsamości posługiwał się domniemany morderca i porywacz. Helen skontaktowała się z policją w Manchesterze i dowiedziała się, że sąsiad Jacka Gregory'ego z akademika zgłosił się na komisariat po tym, jak Jack nie powrócił z długiego weekendu, który zamierzał spędzić w Szkocji w swoim starym fordzie transcie przerobionym na kamper. Jego rodzice, mieszkający w małej wiosce w Suffolk, także nie znali miejsca jego pobytu.

Od tego czasu nie widziano ani Gregory'ego, ani jego samochodu. Jakby student zapadł się pod ziemię. Kate domyślała się, że pewnie leży gdzieś martwy w zaroślach w okolicach Manchesteru. Możliwe, że nigdy nie zostanie odnaleziony.

Na szpitalnym oddziale Kate spotkała się z wieloma pracownikami, którzy dzień wcześniej byli zaangażowani w przygotowanie Sophii Lewis do transportu. Niektórzy w ogóle nie pamiętali pielęgniarza, potrząsając głowami na widok portretu pamięciowego wykonanego według informacji Marka Winslowa, natomiast dwie

pielęgniarki bez wahania rozpoznały tak zwanego Jacka Gregory'ego na portrecie strzelca z pociągu.

– To on. Bez wątplenia. To pielęgniarz, który miał wczoraj towarzyszyć Sophii!

– Och – zareagowała skonsternowana Kate.

Caleb miał więc rację. Mieli do czynienia z dwoma sprawcami.

– Ale dlaczego? – zapytał Robert trzy kwadranse później, gdy usiedli razem w jego biurze, a Kate zrelacjonowała sytuację w szpitalu. – Dlaczego jeden mężczyzna, posługując się fałszywymi dokumentami, zgłasza się do firmy transportowej, a drugi przejmuje fałszywą tożsamość i towarzyszy Sophii podczas transportu?

Wyglądał na zmęczonego. Sprawa coraz bardziej się gmatwała, zwłaszcza gdy Kate Linville wkraczała do akcji i wracała z nowymi ustaleniami. Z drugiej jednak strony nie mógł jej za to winić. Przecież nie manipulowała. Przedstawiła jedynie fakty. Całkowicie niezrozumiałe.

– Podejrzewam – odezwała się Kate – że facet z pociągu nie chciał ryzykować, że zostanie rozpoznany. Jego zdjęcie opublikowano we wszystkich gazetach. Mark Winslow mógł go rozpoznać.

– W szpitalu także mogli go rozpoznać.

– To zupełnie inna sytuacja. Podczas rozmowy kwalifikacyjnej przez pół godziny lub dłużej siedzisz naprzeciw kogoś twarzą w twarz. Masz mnóstwo czasu, by przyrzeć się aplikantowi i pomyśleć, gdzie, u licha, już go ostatnio widziałeś. Całkiem inaczej jest w klinice, tam wielu pracowników uczestniczy w przygotowywaniu pacjenta do transportu. Nikt nie ma czasu na baczne przyglądanie się pielęgniarzowi z karetki. Ponieważ tak wiele osób nie mogło go sobie przypomnieć, zakładam również, że sprawca starał się nie pokazywać zanadto twarzy, a więc spuszczał wzrok lub trzymał się z boku. Wygląda na to, że całkiem nieźle mu się to udało.

– Dlaczego kierowca niczego nie zauważył? – zapytała Helen.

Kate omówiła już tę kwestię z Markiem Winslowem.

– Kierowca i świeżo zatrudniony *Jack Gregory* się nie znali. Gregory dołączył całkiem niedawno i nie mieli dotąd okazji współpracować. Spotkali się dopiero w samochodzie. Gdyby się znali, musiałyby wkroczyć nasz strzelec z pociągu i zabić kierowcę. A tak miał ułatwione zadanie.

– Dwóch sprawców – powtórzył poirytowany Robert. – Ale dlaczego?

Kate postanowiła ujawnić teorię Caleba, ale nie chciała wymienić jego nazwiska.

– To by tłumaczyło – wyjaśniła – dlaczego mimo wszelkich wysiłków nie możemy ustalić żadnego związku między Sophią Lewis i Ksenią Paget. Możemy mieć do czynienia z dwiema zupełnie różnymi historiami, które nie mają z sobą żadnych punktów wspólnych.

– Ale... – zaczęła Helen, lecz Kate ciągnęła dalej:

– W pewnym momencie sprawcy się spotkali i połączyli siły.

– Uważam ten wniosek za zbyt daleko idący – oznajmił Robert, choć dało się zauważyć, że myśl ta zaczęła mu się kołatać po głowie.

– To może być wendeta – stwierdziła Kate.

– Sądzi pani, że zarówno Ksenię Paget, jak i Sophię Lewis ścigają jakieś typki, chcąc je zabić z zemsty? – zapytał Robert.

– Myślę, że to całkiem prawdopodobne.

– Hm. Dwóch sprawców...

– Świadczą o tym zeznania oraz portrety pamięciowe.

– A dlaczego mieliby z sobą współpracować?

Kate wzruszyła ramionami.

– Jest im łatwiej. Jak widać. Pomagają sobie nawzajem. Wobec tak zwanego Jacka Gregory’ego wszczęto już poszukiwania, w razie konieczności, jak w przypadku tej rozmowy kwalifikacyjnej, do akcji wkracza jego partner. Prawdopodobnie służą sobie pomocą również w kwestii broni, fałszywych dokumentów i innych rzeczy. Razem są silniejsi i robią w policyjnym śledztwie spore zamieszanie.

– Czy ci dwaj mężczyźni, którzy przez przypadek ścigają dwie kobiety, chcąc je zabić... – zaczął Robert.

– Być może wcale nie przez przypadek – odparła Kate. Uznała, że Robert jest trochę uparty, i bardziej niż kiedykolwiek zatęskniła za Calebem. Caleb był na tyle pewny siebie, że potrafił zaakceptować dobre pomysły innych osób. – Mogli się spotkać w więzieniu. A kara więzienia może być też powodem ich zemsty.

– Paget i Lewis wsadziły po jednym człowieku do więzienia? – zapytała Helen.

Kate skinęła głową.

– Być może złożyły kluczowe zeznania.

– Wiedzielibyśmy o tym – oznajmił Robert. – Nazwiska wpisano by do akt.

– Anonimowe zgłoszenie? – poddała Helen. – Ale sprawcy wiedzą, kto za tym stał.

– Całkiem możliwe – przyznała Kate.

– Co zatem mamy? – zapytał Robert. – Wszystko, co mamy, to cholerne portrety pamięciowe. I nic więcej.

– Mogłabym rozesłać zdjęcia do wszystkich więzień w całym kraju – zaproponowała Helen, choć nie wyglądała na zadowoloną z własnego pomysłu. – Być może dałoby się ich w ten sposób zidentyfikować.

– Nie widzę innej możliwości – stwierdził Robert.

– Najpilniejszą rzeczą jest odnalezienie Sophii Lewis – oznajmiła Kate. – Jest ciężko ranna i wpadła w ręce pozbawionego skrupułów mordercy.

– Od wczoraj trwają poszukiwania karetki – przypomniał Robert. – Nie rozumiem, dlaczego nie mamy żadnych tropów. Już dawno powinien ją zauważyć jakiś patrol. Przecież to charakterystyczny pojazd... Nie mógł się zapaść pod ziemię!

– Obawiam się – odparła Kate – że sprawca dotarł do celu, zanim ktokolwiek z nas zauważył, że coś jest nie tak i że Sophia Lewis już dawno powinna była przybyć do Hull. Oznacza to, że samochód pewnie stoi ukryty na jakimś podwórku lub w garażu – i w jakimś sensie zniknął z powierzchni ziemi.

Po jej słowach zapadła przygnębiająca cisza. Wszyscy troje myśleli o Sophii Lewis i koszmarze, który musiała przeżywać.

– Jedyna szansa na odnalezienie kryjówki, do której zabrano Lewis, to zidentyfikowanie sprawcy lub sprawców – stwierdził w końcu Robert. – Tylko w ten sposób możemy zawęzić obszar poszukiwań.

– Czas działa na naszą niekorzyść – powiedziała Helen, po czym energicznie wstała. – Pójdę sprawdzić te więzienia. Możliwe, że teoria sierżant Linville jest prawdziwa.

– A przynajmniej nie mamy w tej chwili żadnej innej – podsumował Robert, sprawiając wrażenie, jakby znów dopadł go ból głowy.

– Trwają także poszukiwania samochodu Colina Blaira, w którym prawdopodobnie znajduje się Ksenia Paget – dodała Kate. – Znalazła się w ogromnym niebezpieczeństwie, nie możemy stracić jej z oczu.

– Ładnie powiedziane – odparł uszczypliwie Robert. – Z oczu straciliśmy dwie zagrożone osoby. I to całkowicie.

Zabrzmiało to tak, jakby całą winę chciał zrzucić na Kate. Przełknęła opryskliwą odpowiedź – nie wskazał przecież konkretnie na nią – po czym podniosła się z miejsca.

– À propos czasu – powiedziała. – Wracam do szpitala. Doktor Dane miał przedtem operację, ale powinien być już dostępny. Chcę wiedzieć, jak długo Sophia Lewis może przeżyć. W tych okolicznościach.

– To znaczy – dodał Robert – ile zostało nam czasu na jej odnalezienie.

Kate skinęła głową.

– Właśnie.

2

Leżała i oddychała. Leżała i oddychała. Leżała i oddychała.

Przez pewien czas płakała. Wilgoć na jej policzkach wywoływała nieprzyjemne uczucie, ale nie była w stanie otrzeć łez i musiała czekać, aż same wyschną. Skórę na

twary miała teraz napiętą, co powodowało dyskomfort. To pewnie przez sól. Nigdy wcześniej nie doświadczyła, jak łyzy wysychają na twarzy. Zawsze mogła je zetrzeć. Nic prostszego, nie było o czym myśleć. Teraz takie rzeczy stały się kłopotliwe.

Nie był to jednak jej największy problem. Broń Boże.

Wpatrywała się w ciemność, nasłuchiwała dźwięków, które mogłyby podpowiedzieć, co ją czeka. Czy *on* wciąż tu jest? W pobliżu? Wydawało jej się, że słyszy trzask drzwi. Może wyszedł z domu. Na zakupy?

Przebywała w ciemnym pomieszczeniu, ale nie w piwnicy. Przewiózł ją na łóżku z karetki do domu, lecz nie zniósł jej po schodach.

Jak długo zdoła tu przeżyć? Utrzymywanie jej przy życiu najprawdopodobniej nie było zamiarem porywacza. Ani tego nie chciał, ani raczej nie miał takich możliwości. Wymagała kompleksowej opieki pielęgniarskiej, potrzebowała nadzoru medycznego w nowoczesnym szpitalu.

On nie miał pojęcia o takiej opiece. Przekonała się o tym, widząc nieporadność, z jaką raz czy dwa ją odwrócił. Na pewno nie wiedział, jak zmienić cewnik. Przynajmniej opróżnił worek z moczem, a następnie ponownie go założył.

– Kto by pomyślał – zauważył przy tym i zachichotał. – Ta zarozumiała Sophia Lewis! Pewnie nie przypuszczałaś, że ty i ja jeszcze się kiedyś spotkamy, i to w *takich* okolicznościach.

Nie mogła odpowiedzieć, ale łyzy upokorzenia i rozpaczy spływały jej po policzkach.

Umrzeć, pomyślała, najlepiej byłoby po prostu umrzeć.

Jednak w jej położeniu umrzeć wcale nie było łatwo.

W ciemnym pokoju, w miejscu po jej prawej stronie jaśniało nieco światła. Domyśliła się, że jest tam okno zasłonięte czarną żaluzją. Ale okno było bezużyteczne, ani nie mogła zwrócić na siebie uwagi wołaniem, ani się do niego doczołgać i przez nie wyjść.

Zastanawiała się, czy już jej szukają. Nie dotarła do Hull. Kierowca został zastrzelony. Słyszała. Z pistoletem przy skroni musiał wysiąść z samochodu, wkrótce potem padł strzał.

Jej porywacz wrócił, pochylił się nad nią i uśmiechnął. To był najpotworniejszy uśmiech, jaki kiedykolwiek widziała.

– Teraz jesteśmy już sami – powiedział, głaszcząc jej włosy.

Potem ruszyli dalej. W końcu gdzieś się zatrzymali. Zasłonił jej oczy, zanim przeniósł ją do domu, nie miała pojęcia, gdzie się znalazła. Co się stało z vanem? Na pewno nie stał przed domem na widoku. Ukryje go przed ciekawskimi spojrzeniami. Nawet jeśli szukała jej policja, jaką miała szansę na jej odnalezienie?

Poczuła narastającą, niemal ogłuszającą panikę. Tłumiła ją w sobie wszelkimi siłami.

Zastanów się. Pomyśl, co mogłabyś zrobić.

Nic, grzmiała druzgocąca świadomość. Leżała na wznak jak jakiś żuk. Tyle że on przynajmniej mógł wierzyć nogami.

Na górze drzwi znów się otworzyły. Chwilę potem z hukiem je zatrzaśnięto. Była już prawie pewna, że to drzwi wejściowe. *On* wyszedł, a teraz wrócił. Poczuła zarówno ulgę, jak i przerażenie. Bez niego była kompletnie bezradna, gdyby nie wrócił, skończyłaby marnie. On jednak był diabłem, szatanem we własnej osobie, przebywanie z nim w jednym domu, na jego łasce, to potworność.

Dlaczego nie mogła wreszcie przebudzić się z tego koszmaru?

Leżała i oddychała. Leżała i oddychała. Leżała i oddychała.

3

Po południu, gdy Kate siedziała przy swoim biurku, zadzwoniła Lydia Myers. Kate przez chwilę usiłowała sobie przypomnieć, skąd zna to nazwisko – ach tak, to dyrektorka Chorlton High School w Manchesterze, którą odwiedziła zaledwie kilka dni wcześniej. Znowu miała wrażenie, jakby od tej pory minęła już cała wieczność.

Pani Myers zasięgnęła informacji w sprawie ucznia, który winił Sophię Lewis za swoje słabe stopnie, a którego rodzice nie szczędzili jej ostrych słów.

– Rodzina nadal mieszka w Dubaju – oznajmiła. – Także syn. Prowadzą tam restaurację. To nie ulega wątpliwości. Rozmawiałam z byłym kolegą z klasy, który wciąż przyjaźni się z tym młodym człowiekiem. Według jego relacji nikt z tej rodziny od ponad dwóch lat nie był w Anglii. Ręczy za to słowem.

Kate podziękowała i tym samym skreśliła ucznia z Manchesteru z listy podejrzanych. Oczywiście mógł wrócić do Anglii bez wiedzy swojego kolegi, niemniej wydało jej się to zbyt naciągane. Nigdy nie wierzyła w prawdziwość tego tropu.

Na kartce zanotowała kilka informacji uzyskanych podczas rozmowy z doktorem Dane'em.

Jak długo Sophia Lewis może wytrwać?

Blady, zmartwiony Dane się zamyślił.

– Może sama oddychać, to dobrze – odparł w końcu. – Jelita jakoś funkcjonują, ale potrzebuje leków wspomagających. W przeciwieństwie do pęcherza, ale jest zacewnikowana, więc nie ma tu bezpośredniego zagrożenia.

– Bezpośredniego?

– Cewnik musi być regularnie wymieniany. W przeciwnym razie istnieje dość duże ryzyko infekcji.

– Czy sądzi pan, że sprawca potrafi to zrobić? Zmienić cewnik?

Dane wzruszył ramionami.

– Teoretycznie jest to możliwe, ale ktoś musiałby mu to pokazać. Może sam to potrafi... Nie wiem.

– A co z odżywianiem? – zapytała Kate.

– Może przełykać. Choć z trudem. Bardzo rozdrobnioną żywność. Myślę, że dałoby się ją nakarmić – powiedział Dane. Po chwili dodał cicho: – Pytanie, czy człowiek, który ją porwał, chce ją utrzymać przy życiu. Ona jest całkowicie od niego uzależniona. Dla niego nie ma nic prostszego, niż pozwolić jej umrzeć.

– Czy ona odczuwa ból?

– Niestety tak. Ból jest poważnym problemem, szczególnie w przypadku porażenia poprzecznego. Mogą się pojawić bóle neuropatyczne, czyli nerwowe, nawet przewlekłe. Może też czuć bóle zapalne. Na przykład jeśli z powodu cewnika wda się zapalenie pęcherza, prawdopodobnie będzie je odczuwać. A do tego mogą okazać się silniejsze, niż zakładamy.

– Rozumiem.

– Musicie ją szybko odnaleźć!

– Znajdziemy ją – zapewniła Kate. Choć nie czuła się nawet w połowie tak pewna własnych słów, jak to usiłowała okazać.

Punkt zaczepienia, pomyślała. Niezbędna jest nam jakakolwiek wskazówka. To istne szaleństwo.

Drzwi się otwarły, do biura weszli Helen Bennett i Robert Stewart. Helen wydawała się zestresowana i sfrustrowana.

– Nic – powiedziała. – Skontaktowałam się z każdym więzieniem w kraju. Nikt ich nie rozpoznał na podstawie portretów pamięciowych. Albo nigdy nie siedzieli za kratkami, albo nie sposób ich zidentyfikować na podstawie zdjęć.

– Portrety pamięciowe! – rzekł pogardliwie Robert. – Sporządzone przez komputer na podstawie wspomnień dwóch osób... To naprawdę niewiele!

– To wszystko, co mamy – odparła Kate. – Chwilowo.

– Ta chwila trwa już dość długo – warknął Robert. – Chwila zastoju.

– Obdzwoniłam kluby piłki ręcznej w West Bromwich – poinformowała Helen.

Kate pomyślała, że Helen w ciągu ostatnich kilku dni wykazała naprawdę ogromne zaangażowanie. Była policyjną psycholożką, ale obecnie wykonywała pracę asystentki, ponieważ z powodu braków kadrowych nie mieli nikogo innego, kto mógłby się tym zająć. Wciąż telefonowała, czekała na linii, przełączała się od jednego

do drugiego rozmówcy. Wyglądała na zmęczoną, pobladła. Kate była pewna, że Caleb już kilka razy by ją pochwalił i docenił jej wysiłki. Sama nie raz się przekonała, jak jasno i szczerze potrafił wyrazić uznanie dla drugiego człowieka. Brało się z głębi serca, z całą pewnością wiedział też, jak bardzo motywowało współpracowników i pobudzało ich do działania. Robert chyba w ogóle nie wpadł na pomysł, by nagrodzić kogokolwiek pochwałą. Wydawał się bardzo zestresowany. Prawdopodobnie nie potrafił w tej chwili sięgnąć wzrokiem poza horyzont tej zagmatwanej sytuacji.

– Ściśle rzecz biorąc, działają tylko dwa – kontynuowała Helen. – Sophia Lewis była członkinią jednego z nich od dziewięćdziesiątego ósmego do dwa tysiące siódmego. Informacji tej udzieliła mi pewna bardzo miła pani.

– I? – zapytał zniecierpliwiony Robert.

– W tym samym czasie do drużyny młodzieżowej należał niejaki Samuel Howard – oznajmiła Helen. – Jedyne, którego można powiązać z imieniem *Sam...* Moja rozmówczyni nie była tam jeszcze wtedy zatrudniona. Nic jej nie wiadomo o żadnym przypadku stalkingu.

– I co teraz z tym zrobimy? – zapytał Robert.

Helen się uśmiechnęła.

– Mam jego aktualny adres. Wciąż mieszka w West Bromwich.

– Czy to nam coś da? – zapytał Robert, marszcząc czoło.

– Według słów ojca Sophii prześladował ją, gdy oboje byli nastolatkami – wyjaśniła Kate. – Powinniśmy to sprawdzić.

– Myślę, że ojciec Sophii Lewis jest niespełna rozumu. Czy uważa pani, że jego zeznania w ogóle mają jakąkolwiek wartość?

Kate westchnęła. Nie spodziewała się bynajmniej, że postać Samuela Howarda, który w młodości być może po prostu szaleńczo się zakochał, ale nie zrobił absolutnie nic złego, okaże się jakimś wielkim przełomem. Co jednak mieli począć? W obecnej sytuacji nie pozostawało im nic innego, jak tylko podążać za każdą, choćby mizerną wskazówką.

– Już go sprawdziłam – powiedziała Helen. – Nie ma go w systemie. Żadnych odcisków palców, nic. To oznacza, że nie był notowany. Nigdy nie wysunięto przeciwko niemu żadnych zarzutów.

– Co wcale nie unieważnia wielkiej teorii, że on i *ten drugi* spotkali się w więzieniu – oznajmił Robert, unosząc brwi.

Nie potrafi zaakceptować pomysłów innych ludzi, pomyślała Kate.

– Owszem, to tylko teoria – powiedziała – i dopóki nie dowiemy się więcej, musimy uwzględnić również i takie informacje. W każdym razie jutro pojedę do West Bromwich. Porozmawiam z Samuelem Howardem. Ojciec Sophii może i przesadza,

mówiąc o stalkingu, ale Sam jest związany z jej przeszłością. I bardzo ją lubił. Może coś wie. Cokolwiek.

– Pojadę z panią – oświadczył Robert.

Kate uznała to za zdumiewającą decyzję, biorąc pod uwagę jego nieufność wobec tego tropu.

– Muszę bardziej zaangażować się w bezpośrednie dochodzenie. To właśnie niegdyś robiłem.

A wtedy wszystko pójdzie lepiej – wybrzmiało w powietrzu niewypowiedziane zdanie.

Kate wolałaby raczej pojechać sama.

– Chciałabym wyruszyć z samego rana, jeśli to nie problem – oznajmiła poirytowana.

Skinął głową.

– Będę u pani o siódmej – powiedział.

4

Znalazła Olivera Walsha na LinkedIn, widniało tam również jego obecne miejsce zamieszkania: Leeds.

Nie do wiary, pomyślała, mieszkaliśmy w tym samym mieście. Prawdopodobnie od lat.

Sprawdziła w rejestrze meldunkowym i znalazła adres Olivera. W podmiejskiej dzielnicy. Wpisała adres do nawigacji – nawigacji samochodowej Colina Blaira.

Wyrzuty sumienia przeszły ją w tej chwili jak rozżarzone igły. Minęła już noc. Colin pewnie nadal błędził po lesie. Nie, aż tak strasznie zapewne nie było. Zatrzymali się na poboczu drogi – i tą drogą na pewno podąży. Nie mógł zabłądzić.

Musiał jednak spać pod gołym niebem. Ksenia skuliła się pod kocem na tylnym siedzeniu samochodu, a mimo to o poranku obudziła się, dygocąc. Po fali upałów nastały rześkie noce. A Colin nie miał żadnego okrycia.

Nie myśl o tym, nakazywała sobie.

Tak łatwo było po tylu latach znaleźć Olivera Walsha, że wprost nie mogła w to uwierzyć. Zatrzymała się przed domem, nieco nudnym budynkiem wielorodzinnym z zadbanym ogrodem, spojrzała na fasadę z czerwonego klinkieru. Okna ze szprosami w lakierowanych na biało ramach, wyłożona płytami ścieżka prowadząca do drzwi wejściowych. Zastanawiała się, czy Alice wciąż żyje i czy oboje nadal są razem. Nie było o niej wzmianki ani na LinkedIn, ani w wykazie adresów, to jednak niczego nie przesądzało. Wiecznie przygnębiona Alice. Niepozorna, skryta, zagrzebana w tej swojej skomplikowanej psychice.

Ksenia wysiadła, trzymając przed sobą torebkę jak jakąś tarczę. Wygładziła fałdy sukienki, tej okropnej, zwiewnej, lnianej sukienki ze staromodnym batikowym wzorem w odcieniach zieleni. Czuła się, jakby ją owinięto w ohydny worek na ziemniaki. Poza tym od przedwczoraj nie zmieniła bielizny, a ostatni prysznic wzięła w nędznym pensjonacie w Whitby. Noc spędziła w samochodzie. Ksenia miała wrażenie, że rozpacza brzydką woń. Posługując się kieszonkowym lusterkiem i szminką, starała się przydać swojej twarzy nieco więcej uroku, włosy przeczesła paznokciami. Ogólny rezultat nie był w pełni zadowalający, ale nie miało to większego znaczenia. Nie po tym wszystkim, co się stało.

Nazwisko *Walsh* widniało na wywieszce przy dzwonku na bramie ogrodowej. Ksenia z wahaniem nacisnęła dzwonek. Po jakiejś minucie zacharczał głośnik domofonu.

– Tak? – Głos trochę zniekształcony, ale niewątpliwie należący do Olivera Walsha.

Zrobiła głęboki wdech.

– Cześć. Tu Ksenia.

Stali naprzeciw siebie w drzwiach do mieszkania. Oliver i Ksenia. Piętnaście lat później.

Jakże on się postarzał, pomyślała przerażona. Przez chwilę się zastanawiała, co on sobie o niej pomyślał. Pewnie: *ależ się roztyła*.

– Ksenia – odezwał się – dobry Boże. Tyle lat.

– Tak – odparła. – Tyle lat.

Zrobił krok do tyłu.

– Proszę, wejdz. – Nie wydawał się uradowany. Ale pozostał uprzejmym człowiekiem. Z pewnością nie zatrzasnąłby jej drzwi przed nosem ani nie odprawił z kwitkiem jak jakiegoś domokrążcę.

– Dziękuję. – Weszła do mieszkania. Na pierwszy rzut oka rozpoznała niektóre meble. Szafa na ubrania. Dywan w holu. Przez otwarte drzwi do salonu dostrzegła starą kanapę. Alice zawsze na niej leżała. Chronicznie wyczerpana. Ksenia nigdy nie widziała jej w innym stanie.

– Kawy? – zapytał Oliver. Wydawał się zdenerwowany.

– Tak. Byłoby miło.

Weszła za nim do kuchni. Nasypał kawy do filtra, po czym włączył ekspres.

– Czy Alice jest w domu? – zapytała ostrożnie.

Zawahał się przez chwilę.

– Alice i ja się rozstaliśmy.

– Och. Dawno?

– Tak. Rozstaliśmy się... po... tym.

– Rozumiem. – Przeczuwała, że tak się stanie. Że czegoś takiego małżeństwo przetrwać nie zdoła.

Kilka minut później usiedli naprzeciw siebie przy drewnianym stole kuchennym, który Ksenia pamiętała z domu w Nottingham. Wciąż widniały na nim kolorowe bazgroły. Sasza dużo malował, ale nie potrafił trzymać się brzegów kartki. Podkładała mu pod spód gazety, ale i te zamalowywał, kreśląc poza krawędzie. W końcu nakryła cały stół plastikową folią, ale było już za późno. Błat był w opłakanym stanie. Może Oliverowi się podobał, przecież mógłby go zeszlifować. Stół przypominał mu o rodzinie. O lepszych czasach.

Nigdy nie były dobre dla tej rodziny, pomyślała Ksenia. Przynajmniej nie od dnia, w którym ją poznałam, a podejrzewam, że i wcześniej.

Kawa była bez smaku, jednak Ksenia i tak wypijała ją z wdzięcznością. Przynajmniej była gorąca. Podniosła ją nieco na duchu.

– Gdzie teraz mieszka Alice? – zapytała.

Oliver wzruszył ramionami.

– Od lat nie utrzymujemy kontaktu. Nie mam pojęcia. Słyszałem, że przeprowadziła się do Kornwalii. Pewnie sprzedała dom w Nottingham, ale nawet tego nie wiem na pewno.

– Nie macie z sobą żadnego kontaktu?

– Nie. Tak sobie życzyła. Nie chciała ode mnie nawet alimentów, choć nie wiem, czyby jej przysługiwały, bo przecież była właścicielką domu i miała zapewnione utrzymanie. W każdym razie chciała definitywnego zerwania wszelkich kontaktów. Uszanowałem to.

– Grubo – powiedziała Ksenia.

– Owszem – przyznał Oliver. – Grubo.

Dla obojga słowo to brzmiało dziwnie. Nie używali go na co dzień.

Język młodzieżowy, pomyślała Ksenia. Od dawna nie czuła się już młoda. Właściwie od kiedy wyszła za Jacoba. A może po *tej sprawie*.

– A gdzie pani mieszka? – zapytał Oliver.

Roześmiała się.

– Nie tak daleko. W Leeds. W Bramhope.

– Od dawna?

– Od trzynastu lat.

On także się zaśmiał, choć nie radośnie, było to raczej zabawne zdumienie wywołane zaskakującymi odmianami losu.

– Że też nigdy się nie spotkaliśmy.

– Być może nie rozpoznaliśmy się, mijając się w przelocie. – Pewnie tak właśnie było. W istocie bardzo szybko się postarzał. A ona nadmiernie przytyła. Oboje bardzo się zmienili.

– Wyszła pani za mąż?

Skinęła głową.

– Tak. Nazywam się teraz *Paget*. Ksenia Paget.

– Czym się pani zajmuje? A mąż? – Ożywił się.

Krążyli po bezpieczniejszych wodach. Bał się, że go zagadnie o *tę sprawę*, ale może rzeczywiście wstąpiła do niego po drodze, wypiją razem kawę, niewinnie porozmawiają, a potem się pożegnają.

– On jest zarządcą nieruchomości kilku wspólnot mieszkaniowych. Ja prowadzę kursy językowe dla imigrantów.

– To wspaniale!

– Owszem, mi się to podoba. Dobrze się nam wiedzie. Mieszkamy w niewielkim szeregowcu. Prowadzimy spokojne życie. Mało spektakularne. Wszystko jest w najlepszym porządku. – Rzadko kiedy tak dobrze kłamała. Ale nie chciała opowiadać Oliverowi o mizarii swojego małżeństwa. Nigdy nie łączyła ich aż taka zażyłość, a co dopiero po tych wszystkich latach.

– Czy ma pani... dzieci? – zapytał ostrożnie.

– Nie.

Nie indagował, czy to świadoma decyzja, czy może nosiła w sobie niespełnione pragnienie. Był na to zbyt taktowny. Ucieszyło ją to. Gdyby miała mu szczerze odpowiedzieć, musiałaby wyznać, że pragnie mieć dzieci, ale na pewno nie z Jacobem Pagetem, bo to jeszcze bardziej by ją z nim związało. To jednak nadałoby rozmowie niepożądany kierunek.

– Cieszę się, że zaznała pani szczęścia w Anglii, Kseniu – powiedział.

Zaczerpnęła głęboko powietrza. To był ten moment. Dlatego tu przyszła. Żeby o tym porozmawiać. Nie o swoim małżeństwie. O tej drugiej sprawie.

– W tej chwili wcale nie jestem szczęśliwa – wyznała.

Wyglądał na nieco zdezorientowanego.

– Naprawdę? Przykro mi.

– Czytał pan o tym w gazecie? O strzelaninie w pociągu z Londynu do Yorku? Przed tygodniem?

– Tak, kiepska sprawa.

– To byłam ja. To do mnie strzelano.

– Co takiego?

– W mediach nie wymieniono mojego nazwiska. Ale to ja byłam ofiarą.

Patrzył na nią zdumiony.

– Nie do wiary!

– A jednak. I nadal czuję się zagrożona. Zabójca nie osiągnął celu. Inna kobieta przytomnie zabarykadowała się ze mną w toalecie. Policjantka, jak się okazało. Dlatego tak dobrze i sprawnie zareagowała. Miałam ogromne szczęście. Ten facet próbował mnie zabić. To był koszmar.

– Niewiarygodne. Kto mógł to zrobić?

Nie odpowiedziała.

– A policja? Czytałem, że ten człowiek zdołał uciec. Czy policja ma jakieś poszlaki? Czy może nadal błądzi po omacku?

– Kompletnie. I bardzo się o mnie martwią. Boją się, że on ponownie spróbuje.

– I nie dali pani ochrony?

Wzruszyła ramionami.

– Szczerze mówiąc, nie wiedzą, gdzie obecnie przebywam. Uciekłam, można by powiedzieć. Ten samochód stojący przed domem... ukradłam.

– Ukradła pani samochód? – zapytał oszołomiony.

– To skomplikowana historia. Oczywiście go zwrócę. Ale musiałam ukryć się w bezpiecznym miejscu. I musiałam przyjechać do pana.

– Do mnie? Jak miałbym pani pomóc?

– Chcieli mnie zamordować – powiedziała powoli i zdecydowanie. – *Mnie*. Właśnie mnie. To nie był atak szaleńca na przypadkowe ofiary. Chodziło mu o *mnie*.

– Tak, rozumiem. Ale nie wiem...

– Dlaczego ktoś chce mnie zabić? – zapytała. – Proszę pomyśleć.

Poblądł jak płótno.

Niespodziewane spotkanie z Ksenią po tylu latach całkiem wytrąciło mnie z równowagi. Najpierw usłyszałem jej głos przez domofon. „Tu Ksenia”. Z początku pomyślałem, że to jakiś żart, ale głos, choć zniekształcony przez aparat, brzmiał dość znajomo. Kiedy stanęła przede mną twarzą w twarz w drzwiach mieszkania, rozpoznałem ją, choć bardzo się zmieniła. Strasznie przytyła. Zawsze miała tendencję do nadwagi, ale teraz, szczerze mówiąc, jest naprawdę tęga. Wciąż jednak dość atrakcyjna, bo ma piękną, gładką, mlecznobiałą cerę i duże oczy.

Siedzieliśmy w kuchni, popijaliśmy kawę i rozmawialiśmy o tym i owym. Opowiedzieliśmy sobie w zarysach, jak potoczyło się nasze życie. Nic szczególnego. Wyznałem, że Alice i ja jesteśmy od lat w separacji i nic o niej nie wiem. I wtedy mogliśmy się pożegnać. „Miło było panią znowu zobaczyć, tak, tak, może kiedyś na kawie”. W porządku. Ale potem podała prawdziwy powód swojej wizyty, powód, dla którego po tylu latach mnie odszukała i ponownie odwiedziła: była ofiarą ataku. W pociągu. Ledwo przeżyła. A teraz się boi. Faceta, który usiłuje ją zabić. Ale także policji. Bo mogą odkryć, co się wówczas wydarzyło.

Boi się osaczenia. Ze wszystkich stron.

Drugi sierpnia dwa tysiące czwartego. Poniedziałek.

Nigdy, przenigdy nie zapomnę tego dnia. Żadne z nas nigdy go nie zapomni.

Kataklyzm wtargnął w nasze życie niespodziewanie, z ogłuszającą i rozpaczliwą siłą. Od tamtej pory rozpacz nigdy mnie nie opuściła. I nigdy pewnie nie opuści.

Tamtego dnia po południu byłem w Leicester, w firmie ubezpieczeniowej, która właśnie rozpoczęła działalność i szukała kogoś, kto mógłby zająć się księgowością oraz doradztwem podatkowym i finansowym. Zgłosiłem się i otrzymałem zaproszenie na rozmowę kwalifikacyjną. Właściwie był to dla mnie zbyt duży kaliber, niemniej z pewnością zaoferowaliby porządne wynagrodzenie, dlatego postanowiłem przynajmniej spróbować. Problemy rodzinne przez całe lata zmuszały mnie do angażowania w pracę zawodową najwyżej pięćdziesięciu procent mojej energii, a to zwyczajnie zbyt mało. Nie ocieraliśmy się o minimum socjalne, co to, to nie, ale przez długi czas nie byłem w stanie odłożyć żadnych oszczędności, a to mnie irytowało. Nadszedł czas, by osiągnąć więcej. Teraz, kiedy Ksenia objęła rządy i miała wszystko pod kontrolą, mogłem zaryzykować podjęcie ambitniejszych zadań i poszukać nowych klientów.

Rozmowa poszła mi całkiem dobrze, oświadczyli, że się ze mną skontaktują, a ja pełen nadziei opuściłem nowoczesny budynek ze szkła i chromu. Oczywiście mieli przeprowadzić kolejne rozmowy. Ale chemia między nami zrobiła swoje. W ten wietrzny, raczej chłodny sierpniowy wieczór byłem pełen optymizmu. Droga do domu zajęła mi sporo czasu, w normalnych warunkach trwałaby około godziny, ale utknąłem w korku. Gdy

przejeżdżałem przez Nottingham, a następnie ruszyłem wzdłuż łąk i pól w kierunku naszej wioski, zapadł już zmrok. W pewnej chwili przebiegł mi drogę jeleni, ale zdołałem w porę zahamować. Kiedy samochód się zatrzymał, zauważyłem, że cały dygoce.

To mogło się źle skończyć. Ruszyłem dalej, ale mój nastrój nagle się zmienił. Byłem zdenerwowany.

Wysiadając z samochodu przed naszym domem na odludziu, zauważyłem, że nigdzie nie pali się światło. A przynajmniej w pokojach od frontu. To było niezwykle. Odkąd Ksenia u nas mieszkała, rozrzutnie szafowaliśmy oświetleniem, ponieważ lubiła rozjaśnione okna i uważała, że to ważne dla ludzi powracających do domu. Godziłem się na to. Mnie również przypadł do gustu ów dowód goszczącego w domu życia.

Przypomniałem sobie, że Ksenia miała wolne popołudnie oraz wieczór i chciała pojechać autobusem do kina do Nottingham. Alice została więc sama z dziećmi i prawdopodobnie leżała na kanapie w ciemnym salonie, usadziwszy Saszę przed telewizorem, a Lenę starała się uspokoić. Zauważyłem, że mój nastrój jeszcze bardziej się pogorszył. Jakże byłem uzależniony od obecności Kseni. Bałem się samotnego wieczoru z Alice i dziećmi.

Po chwili przywołałem się do porządku. Zobaczysz, będzie dobrze. A Ksenia niedługo wróci.

Kiedy otworzyłem drzwi i wszedłem do środka, od razu odniosłem wrażenie, że coś jest nie tak. Korytarz pogrążony był w mroku, podobnie kuchnia. W salonie chyba paliła się lampa, przez drzwi można było dojrzeć jej blask. Telewizor nie był włączony, a przynajmniej nie słychać było żadnego dźwięku. Ani żadnych wrzasków Leny. Panowała dziwna cisza. Nie kojąca, ale pełna napięcia. Przesycona czymś nierzeczywistym. Czymś złym.

– Cześć! – zawołałem i zamknąłem za sobą drzwi.

Żadnej odpowiedzi. Zazwyczaj Sasza wybiegał mi naprzeciw, kiedy wracałem do domu. Przemknęło mi przez myśl, że może jednak Ksenia zabrała z sobą dzieci.

– Alice? Sasza? – Na wszelki wypadek nie wymieniłem imienia Leny. Gdyby tam była i o dziwo nie wrzeszczała jak najęta, sam dźwięk jej imienia mógłby wywołać lawinę.

Wszedłem do salonu. Telewizor rzeczywiście był wyłączony. Paliła się niewielka lampa w rogu kanapy. Pokój wydawał się pusty. Już miałem zamiar zawrócić, gdy kątem oka dostrzegłem ruch. Przyjrzałem się baczniej. Pod herbacianym stolikiem w wykuszu schował się Sasza. Skulił się tak bardzo, jak tylko potrafił, siedział na podłodze, obejmując nogi rękami. Trząsał się jak osika.

– Sasza! – Padłem na kolana, nachyliłem się ku niemu. Był blady jak płótno. – Co się stało? Dlaczego tu siedzisz? Gdzie jest mamusia? Gdzie twoja siostra?

Nie odpowiedział. Gapił się na mnie i nie przestawał dygotać.

Wstałem. Coś tu nie grało.

– Alice! – krzyknąłem.

Wciąż brak odpowiedzi. Wyszedłem z salonu. Saszą zajmę się później. Najpierw musiałem się dowiedzieć, co się stało.

Zauważyłem światło sączące się przez szczelinę pod drzwiami łazienki.

– Alice?

Otworzyłem drzwi.

Alice klęczała na podłodze na środku łazienki. Była ubrana, ale jej odzież pokrywały duże mokre plamy. Mokra miała również włosy. Pobladła na twarzy równie mocno jak Sasza. Trzymała w ramionach Lenę. Lena była naga. Leżała na kolanach Alice zwiotczała jak szmaciana lalka.

Przez dwie lub trzy sekundy nie mogłem dobyć z siebie głosu ani się poruszyć. Potem osunąłem się na podłogę, wyrwałem Lenę z ramion Alice.

– Co z nią? Co z nią, na litość boską?

– Wykąpałam ją – powiedziała Alice monotonnym głosem.

Teraz zobaczyłem, że wanna wciąż była pełna wody. Na powierzchni nadal unosiło się kilka małych białych koron piany, całe pomieszczenie wypełniała intensywna woń soli rozmarynowej, której Alice lubiła używać. Na krawędzi wanny siedziała mała żółta kaczuszka Leny.

Potrząsnąłem córką. Nie poruszyła się, nie wydała żadnego dźwięku. Jej głowa opadła do tyłu. Miała otwarte oczy, nieruchomy wzrok.

– O Boże! O Boże, co się stało? – Ułożyłem Lenę na macie i zacząłem masować jej klatkę piersiową. Minęły lata, odkąd ukończyłem kurs pierwszej pomocy. Jeśli Lena połknęła za dużo wody, musiała pozbyć jej się z płuc. Uciskałem jej klatkę piersiową rytmicznymi, energicznymi ruchami. Nie poruszyła się.

– Przestań – powiedziała Alice. – Ona nie żyje.

– Nonsens! – ryknąłem.

Alice aż się wzdrygnęła.

– Ona żyje! Moja córka żyje!

– Wepchnęłam ją pod wodę – powiedziała Alice. Nadal mówiła tym dziwnie monotonnym głosem. – Trzymałam, dopóki nie ucichła. I nie przestała się ruszać.

– Co ty zrobiłaś?! – wrzasnąłem. Przestałem reanimować nieruchome ciało Leny.

– Ona krzyczała. Nie przestawała się drzeć.

Zalałem się potem. Przez chwilę czułem mdłości, myślałem, że zaraz zwymiotuję. Ugięły się pode mną kolana; gdybym już nie klęczał na podłodze, pewnie bym upadł.

– Ona nie... A ty...

Alice skinęła głową.

– Chciałam, żeby się uspokoiła. Tak jak przy Kseni.

Spojrzałem na swoją córkę. Swoją martwą córkę. Na jej szyi i klatce piersiowej rysował się delikatny wzór niebieskawych żyłek. Na twarzy nie malował się spokój. Widać było walkę o życie, agonię duszenia.

Alice utopiła roczne dziecko. Naszą córkę.

Stało się jasne, że ona nie żyje. Że nie mogłem jej uratować. Nie tliła się w niej ani odrobina życia.

– Powiedz, że to nieprawda – szepnąłem. – Powiedz, proszę, że...

Nie odpowiedziała mi.

Zerwałem się na równe nogi, pochyliłem się nad Alice, chwyciłem ją za ramiona i szarpnąłem, jakbym chciał z niej wytrząsnąć to wszystko, co w niej chore, zepsute i zaburzone.

– Powiedz, że to nieprawda! – wrzasnąłem.

Nadal milczała.

Puściłem ją, ponownie zająłem się Leną, nią także potrząsnąłem, choć znacznie delikatniej. Nic. Brak jakiegokolwiek reakcji. Oczywiście.

Łazienka była wypełniona ciepłym, wilgotnym, falującym powietrzem. Z wanny wciąż pełnej ciepłej wody unosiła się zasłona wilgoci, kładła się na podłodze i ścianach, pokryła lustro nad umywalką i szyby w oknie, za którym zapadła już noc. Chciałem podejść do okna, chciałem je otworzyć i wpuścić do wnętrza powiew suchego, chłodnego powietrza, ale tego nie zrobiłem. W pobliżu nie było żywego ducha, a mimo to bałem się, by słowa, które zostaną wypowiedziane, a być może wykrzyczane w tym pomieszczeniu w ciągu kolejnych kilku minut, nie dotarły do niczyich uszu.

Czułem, że sytuacja jest zupełnie nierzeczywista, niczym z jakiegoś koszmaru, z którego miałem nadzieję jak najszybciej się obudzić. Zarazem jednak byłem, o dziwo, aż nadto przytomny, przez głowę przemykały mi myśli szybkie i krystalicznie czyste. Oto moja żona właśnie utopiła w wannie naszą piętnastomiesięczną córkę. Bo nie mogła dłużej znieść jej płaczu. Zabiła ją, by raz na zawsze ją uciszyć.

Moja żona była morderczynią.

Zjawi się policja i ją aresztuje. Zostanie postawiona przed sądem. Jej zaburzenia hormonalne, jej depresje być może zostaną uwzględnione przez życzliwego sędziego, ale nic jej nie uratuje przed karą kilkuletniego więzienia.

Nasze życie się rozpadnie. Na tysiące kawałków.

– To był wypadek – powiedziałem. – Musimy sprawić, by wyglądało to na wypadek.

Alice, patrząc przed siebie jak ogłuszona, uniosła głowę.

– Nikomu o tym nie powiemy.

Ona naprawdę oszalała.

– Jak chcesz ukryć śmierć dziecka? – zapytałem. – Jak zdołasz to zataić przed całym światem?

Spojrzała na mnie swoimi wielkimi oczami. Krył się w nich szok po tym, co się stało. Prawdopodobnie nie była w tej chwili poczytalna. Wiedziała, co zrobiła, ale nie zdawała sobie sprawy z wagi swojego czynu. Coś jej nie pozwalało tego sobie ostatecznie uświadomić.

Patrzyłem na nasze martwe dziecko. Zauważyłem czerwone ślady na ramionach, rękach, szyi. Stawały się coraz bardziej widoczne. Ślady przemocy. Nie trzeba było być lekarzem sądowym, by od razu zrozumieć, że Lena nie utonęła ot tak, po prostu, gdy jej matka przez nieuwagę wyszła na chwilę z łazienki. Ktoś wepchnął ją pod wodę. Z dużą siłą. Co znów wskazywałoby na to, że Lena energicznie się broniła. Ona walczyła o życie.

Ze swoją matką morderczynią.

Przez kilka chwil kotłowała się we mnie wściekłość, nienawiść do Alice, która zniszczyła nasze życie, tak gwałtownie, że chciałem ją pobić, udusić, potrząsnąć nią, raz po raz walić jej głową z wybałuszonymi z przerażenia oczami o ściennie płytki... Zaciśnąłem pięści, zatapiałem paznokcie w dłoniach do chwili, aż nie mogłem już znieść bólu.

Wszystko skończone, szeptał we mnie jakiś głos, wszystko skończone, wszystko skończone.

Wciąż jednak nie zdołałem zagłuszyć w sobie głosu rozsądku.

Nie będziemy w stanie upozorować śmierci Leny jako wypadku. Próba zatuszowania tego przed policją tylko pogorszyłaby sprawę. Stało się jasne, że musimy czym prędzej wezwać karetkę i policję. Lekarz prawdopodobnie zdoła dość dokładnie określić czas zgonu, byłoby wielce podejrzane, gdybyśmy godzinami zwlekali z podjęciem jakichkolwiek działań.

Z drugiej strony wydawało się to mało istotne. Bo wcale nie chodziło o to, czy zostaniemy uznani za podejrzanych, czy nie. Stan faktyczny był tu dość jasny.

– Nie rozumiem – powiedziałem. – Po prostu tego nie rozumiem.

Alice potrząsnęła głową.

– Dłużej już tego nie zniosę, Oliverze.

Wpatrywałem się w nią.

– Czego dłużej nie zniesiesz?

– Krzyku – szepnęła. – Tego, że ona nieustannie krzyczy. Że nic, tylko wrzeszczy. Że nic już nie zostało z mojego życia. Nic ze mnie nie zostało. Ja się rozpląwam, Oliverze. Rozpląwam się w dzieciach. Od lat.

Od dawna cierpiała na głęboką depresję. Wiedziałem o tym. Czy nie poświęciłem temu wystarczająco dużo uwagi? Za bardzo licząc na to, że jakimś sposobem sama przeminie.

– Dopiero teraz nic z twojego życia nie zostanie – powiedziałem. Nawet w moich uszach mój głos zabrzmiał dziwnie, zdawał się drżeć. Pewnie sam byłem w szoku. – Pójdiesz do więzienia, Alice. Zabiłaś własne dziecko. Zamkną cię. Oto co zrobiłaś ze swoim życiem.

Za plecami usłyszałem zdławiony krzyk, szybko się odwróciłem. W drzwiach łazienki stała Ksenia. Wciąż w butach, z tanią torebką na ramieniu. Wróciła do domu, a my tego nie zauważyliśmy. Z przerażeniem patrzyła na całą tę scenę.

Słyszała moje słowa. Doskonale wiedziała, co się wydarzyło.

Sobota, 3 sierpnia

1

Przez całe trzy i pół godziny jazdy ze Scarborough do West Bromwich Robert Stewart nie odezwał się ani słowem. Tylko raz mruknął pod nosem. Kiedy zrobili sobie krótką przerwę, a Kate poszła po kawę.

– Proszę się pospieszyć. – To wszystko.

Do celu dotarli dopiero pół do jedenastej przed południem, ponieważ mimo nawigacji samochodowej kilkakrotnie zabłądzili. Prace budowlane oraz zamknięte ulice zmuszały ich do objazdów, przez co, jak się zdawało, ustawicznie oddalali się od celu. Robert nadal nic nie mówił. Mocno trzymał kierownicę, miał zaciętą minę, zaciskał usta. Wydawał się tak spięty, że Kate traciła resztki odwagi przed czekającą ich rozmową z Samem Howardem.

Miejmy nadzieję, że przez większość czasu pozwoli mi mówić.

Sam Howard mieszkał w ładnej dzielnicy West Bromwich. Typowe szeregowce, niewielkie ogródki od frontu. Przed domem Howarda leżało na trawniku mnóstwo dziecięcych zabawek.

Ojciec rodziny, pomyślała Kate, prawdopodobnie całkiem nieszkodliwy.

Jednakże ojcowie nie zawsze są nieszkodliwi. Przekonali się o tym na przykładzie Jaydena White'a.

Robert zaparkował po przeciwnej stronie ulicy.

– Jesteśmy na miejscu – oznajmił. A więc jednak umiał mówić.

Wysiedli, przeszli przez ulicę, weszli do frontowego ogródka z plastikową zjeżdżalnią i plastikowymi zwierzakami, zadzwonili do drzwi. Ponieważ nie usłyszeli żadnego dźwięku, Robert mocno zapukał.

– Zepsuty dzwonek – mruknął.

Usłyszeli kroki. Otworzył im mężczyzna, obrzucił ich wzrokiem. W dłoni trzymał kubek z kawą.

– Tak? – zapytał.

Robert uniósł legitymację.

– Inspektor Stewart, policja Yorkshire, wydział śledczy Scarborough. To moja koleżanka sierżant Kate Linville. Czy pan Sam Howard?

– Tak. Czy... coś się stało? – Sam zareagował nerwowo. Rozlał trochę kawy, bo przez chwilę zdrząła mu ręka.

Kate domyślała się, nieomal wyczuła, że w oczach Stewarta właśnie awansował do roli głównego podejrzanego. Nie podzielała tego wrażenia. Ten wysoki, szczupły, nieco zaspany mężczyzna nie wydawał się na tyle zuchwały, by popełnić okrutną zbrodnię, działając przy tym wedle misternego planu. Co więcej, na pewno nie był tamtym strzelcem z pociągu. Nie przypominał też drugiego człowieka z portretu pamięciowego, w tym jednak przypadku należało zachować ostrożność: portrety pamięciowe sporządzane według zeznań świadków mogą czasem znacznie odbiegać od rzeczywistości.

– Czy możemy wejść? – zapytał Robert i nie czekając na odpowiedź, przecisnął się do przedpokoju. W rozmowie z człowiekiem pokroju Sama Howarda Kate byłaby bardziej ostrożna, ale jej szef sprawiał wrażenie zdeterminowanego, by działać w swoim stylu.

Sam zaprowadził ich do niewielkiego salonu, pełnego, podobnie jak ogródek, dziecięcych zabawek.

– Przepraszam za bałagan. Nie wiedziałem...

– To żaden problem – uspokajała Kate.

Sam śpiesznie uprzątnął kilka przedmiotów leżących na małej sofie z Ikei oraz dwóch fotelach.

– Proszę usiąść. Co się stało?

– Mamy tylko jedno pytanie – odezwała się Kate. Zajęła miejsce w jednym z foteli, Robert usiadł na drugim. – Chodzi o Sopię Lewis.

Uważnie przyglądała się jego twarzy. Niewątpliwie od razu wiedział, o kim mowa. Jego oczy się rozszerzyły.

– Sopię?

– Kobiętę, którą całymi miesiącami pan prześladował – oznajmił Robert. – Została porwana.

Sam wydawał się naprawdę zdezorientowany.

– Porwana? Sophia?

– Właśnie – potwierdził Robert.

– Ale dlaczego...? To znaczy, kto mógłby porwać Sopię?

– Jesteśmy tu po to, by się tego dowiedzieć – powiedział Robert.

Sam usiadł na kanapie, postawił kubek na stole.

– Chyba nie sądzicie, że...?

– Po prostu sprawdzamy każdy trop – uspokajała Kate.

– Minęło już piętnaście lat – oznajmił Sam. Jego blade policzki pokryły się czerwonymi plamami. – Poza tym to nie było tak... Ja jej nie prześladowałem. Kto tak twierdzi? Ja... Owszem, byłem w niej zakochany. Bardzo mi się podobała.

– Podobno ciągle kręcił się pan przed jej domem – powiedział Robert. – Chociaż była z tego powodu poirytowana.

Sam gorączkowo gestykulował.

– Byliśmy młodzi. Miałem siedemnaście lat, ona szesnaście. W tym wieku zakochanego człowieka rozpiera euforia.

– Spora różnica dzieli *euforię* od *molestowania seksualnego* – stwierdził Robert.

Kate musiała zachować powściągliwość. Nie mogła podczas przesłuchania poprawiać własnego przełożonego, choć uważała, że w swojej próbie zastraszenia posunął się za daleko. Nikt nie wspominał o molestowaniu seksualnym. Sam Howard mógł się wówczas zachowywać jak okropny natręt, ale nie był człowiekiem zdolnym do rękoczynów. Nie był też typem zabójcy. Kate w zasadzie pogodziła się z tym, że kolejny trop prowadzi donikąd. Potwornie wystraszyli biednego Sama Howarda, lecz znów odjadą bez żadnych konkretnych dowodów.

– Molestowanie seksualne? – zapytał Sam. – To nie wchodzi w rachubę. Czy tak twierdzi Sophia? To niemożliwe. To po prostu nieprawda.

– Niestety, w tej chwili Sophia nic nam nie może powiedzieć – odparł Robert – ponieważ, jak już wspomniałem, została porwana. To osoby z jej otoczenia wskazały nam pana.

– Pewnie jej ojciec – domyślił się Sam.

Robert nie zaprzeczył.

– Dobry Boże – powiedział Sam – będąc nastolatkiem, szaleńczo zakochałem się w Sophii. Tak. Spotkaliśmy się w klubie piłki ręcznej. Musiałem jej potwornie grać na nerwach, ale nigdy nic jej nie zrobiłem, nawet jej nie dotknąłem. Musicie mi uwierzyć. Minęło tyle czasu. Jestem szczęśliwym mężem. Mamy trójkę dzieci. Najmłodsze nie ma nawet dziesięciu dni. Czemu miałbym porwać Sophię?

Pięć osób w tym niewielkim domku... Na samą myśl o tym Kate poczuła zawroty głowy. Ten młody człowiek, który właśnie po raz trzeci został ojcem i stosownie do okoliczności wyglądał na niewyspanego... Zdaniem Kate nie miał nawet siły, by popełnić jakąkolwiek zbrodnię. A także najmniejszego powodu. Spojrzała na Roberta, on jednak nie odpowiedział jej wzrokiem.

– Panie Howard, gdzie pan był w czwartek dwudziestego piątego lipca? – zapytał.

Kate pamiętała, że to dzień, w którym nieznajomy starał się u Marka Winslowa o pracę pielęgniarza. Czy to mógł być Sam Howard? Bardzo w to wątpiła.

Twarz Sama Howarda się rozjaśniła.

– Ten dzień pamiętam bardzo dobrze. Urodziła się wtedy moja najmłodsza córka. Lucienne. O czwartej nad ranem zawiozłem żonę do szpitala. Lucienne przyszła na

świat dopiero o ósmej wieczorem. Przez cały czas byłem razem z żoną. Każdy w szpitalu może to potwierdzić.

Siedzieli w samochodzie zaparkowanym po drugiej stronie ulicy, naprzeciw domu Howarda. Robert ponuro gapił się przed siebie.

– Możemy to sprawdzić. A jednak...

– A jednak nie byłby na tyle głupi, żeby wciskać nam kłamstwo, które tak łatwo da się zweryfikować – dokończyła Kate. – Poza tym wydał mi się absolutnie wiarygodny.

– Zgoda, to nie on złożył podanie w Winslow Ambulance. Mimo to może być w to zamieszany.

– Wtedy jednak mielibyśmy już trzy osoby.

– A czemu nie?

– Bo chodzi tu o sprawę bardzo osobistą – odparła Kate. – To nie jest historia przeznaczona dla całego gangu.

– A co z dniem zamachu na Sopię Lewis? – zapytał Robert.

O to także zapytali. Sam Howard oświadczył, że przebywał wtedy w pracy. Był zatrudniony w magazynie firmy przewozowej.

– Spedytor? – zapytał Robert, unosząc wysoko brwi. – W takim razie dużo pan podróżuje.

– Pracuję wyłącznie w magazynie – wyjaśnił Sam. – Tamtego dnia byłem tam od rana do wieczora. Może pan zapytać mojego szefa.

– Polecę Helen to sprawdzić – oznajmił Robert. – Ale pewnie się okaże, że mówi prawdę.

– Jestem o tym przekonana – odparła Kate. – Sir, szczerze, to nie jest właściwy trop. Ten Howard to kłębek nerwów. Ojciec trójki dzieci, przytłoczony życiem i mozolną, mało motywującą pracą. Nie w głowie mu zabójstwa i porwania.

– Ale prześladował Sopię Lewis. Możliwe, że do dziś nie pogodził się z odrzuceniem.

– Płodzi jedno dziecko za drugim. Nie sądzi pan, że wygląda na to, iż jest szczęśliwy z obecną żoną i rodziną, chociaż wszystko to kosztuje go mnóstwo nerwów?

– Płodzenie dzieci jeszcze nie oznacza, że ktoś wiezie szczęśliwe życie – zaoponował Robert. – I że zdołał przezwyciężyć minione porażki. – Uderzył pięścią w kierownicę. – Nic nie mamy, prawda? Naprawdę nic nie mamy.

Kate nie odpowiedziała. Mówił prawdę. Nie mieli nic. A zegar tykał dla Sopi coraz szybciej. I coraz bardziej dramatycznie.

– Nadchodzi Howard – powiedział nagle Robert.

Rzeczywiście, Sam Howard podbiegł do nich na drugą stronę ulicy. Wciąż miał czerwone plamy na policzkach. Pochylił się i zbliżył do okna po stronie kierowcy.

Robert opuścił szybę.

– Tak?

– Coś mi przyszło do głowy. Opowiadała mi o tym Sophia. W jej sąsiedztwie mieszkał chłopak, kilka lat od niej młodszy.

– Dzieciaki – zareagował niecierpliwie Robert. – I co z tego?

– Chwileczkę – przerwała Kate. – Proszę pozwolić mu dokończyć. Ojciec Sophii także o tym napomknął. Jakiś chłopak z sąsiedztwa.

Robert westchnął.

– Wspominała o tym na dwóch czy trzech wieczorach klubowych. Zawsze kręciłem się przy niej, chłonałem każde jej słowo. – Sam się zarumienił. – Opowiadała, że na jej ulicy mieszkał chłopak, który nieustannie terroryzował inne dzieci. Nawet te starsze i większe od siebie. Dręczył zwierzęta, wszyscy się go bali.

Robert ponownie westchnął.

– Niestety, takich facetów można spotkać wszędzie.

– Tak, ale ten... Wydawał się naprawdę straszny, kiedy o nim mówiła. A potem... – Zawahał się.

– Tak? – zapytała Kate.

– Doszło do jakiegoś incydentu. W West Bromwich. Sam będąc jeszcze dzieckiem, porwał małą dziewczynkę. Udało się go złapać, w samą porę, nie było do końca jasne, co zamierzał z nią zrobić. Pewnie nic dobrego. Mówią, że ta mała dziewczynka przeżyła prawdziwą traumę.

– I to był ten chłopak z sąsiedztwa Sophii Lewis?

Sam sprawiał wrażenie zdezorientowanego.

– Tego na sto procent nie wiem. Nie było mnie tu, kiedy doszło do tego zdarzenia. Byłem w Stanach na zgrupowaniu narodowej drużyny piłki ręcznej. Przepowiadano mi wielką karierę.

Karierę, która najwyraźniej skończyła się na pakowaniu skrzyń w magazynie jakiejś firmy. Chyba domyślił się niewypowiedzianego pytania Kate, gdyż wyjaśnił:

– Miałem poważną kontuzję ramienia. Po fatalnym upadku. O profesjonalnej grze w piłkę ręczną mogłem zapomnieć. – W jego głosie pobrzmiwały rozczarowanie i smutek. Z powodu zawiedzionego marzenia. – Kiedy wróciłem, było już po wszystkim – dodał. – Nikt o tym więcej nie trąbił. Ktoś z klubu powiedział mi tylko, że to był sąsiad Sophii. *Chory facet, o którym Sophia czasem wspominała*, tak to ujął.

– Z czasem pewnie wspominała o większej liczbie osób niż tylko o jakimś idiocie z sąsiedztwa – wypalił Robert. – Pan jedynie przypuszcza, że chodzi o tego minipsychopatę?

– Tak to zabrzmiało – odparł Sam Howard. – Ale zgoda, to tylko przypuszczenie.

– Nie zna pan jego imienia?

– Niestety nie.

– Bardzo nam pan pomógł – odparła Kate. – Dziękuję, panie Howard!

Ponownie skinął ku niej głową, po czym spiesznie się oddalił w kierunku swojego domu. Życiowy frustrat o zszarganych nerwach, który prawdopodobnie hołubił dawne marzenia, lecz mimo to starał się jak najlepiej wykorzystać dzień powszedni. Kate mogłaby przysiąc, że nie jest zabójcą.

– Hm – mruknął Robert. – Zabawna historia, prawda? Z naszą sprawą pewnie nie ma nic wspólnego.

– Niestety, nie możemy sobie na taki luksus pozwolić i *nie* podążać za każdą taką sprawą – stwierdziła Kate. Wyjęła telefon komórkowy, żeby zadzwonić do Helen. Pewnie nie zerwie jej z łóżka w to sobotnie przedpołudnie, ale może przeszkodzi przy obfitym, spóźnionym śniadaniu. Jeśli nawet, nie mogła się tym teraz przejmować. – Helen musi się dowiedzieć wszystkiego o sprawie. Porwane dziecko, nazwisko sprawcy, nazwiska ewentualnych pozostałych uczestników zdarzenia. To nasza szansa.

– Nie widzę w tym dla nas żadnej szansy – oświadczył Robert. – Ale niech będzie. Co teraz?

– Mamy niedaleko do Birmingham. Chciałabym ponownie odwiedzić ojca Sophii. Może coś jeszcze mi opowie o tej historii.

Robert uruchomił samochód.

– Czy nie mówiła pani, że jest dość zgaszony i niewiele pamięta?

– Miewa przebłyski pamięci. Może się nam poszczęści. Warto spróbować. W naszej sytuacji warto spróbować *wszystkiego*.

– Miejmy nadzieję, że ma pani rację – odparł Robert i ruszył w drogę.

2

Druga noc spędzona w lesie. Colin zasnął dopiero nad ranem, dygocąc z powodu zimna i wilgoci przenikającej leśną ściółkę. Zagrzebał się w stercie liści, jak jakiś... Które zwierzęta tak robią? Dzikie? Tak czy owak, poczuł się jak dzik. Tyle że on nie był stworzony do życia w lesie. I nie był odpowiednio wyposażony.

Nie mógł uwierzyć, gdy patrzył na tylne światła odjeżdżającego samochodu i zdał sobie sprawę, że Ksenia rzeczywiście go zostawiła. Zbyt wiele mu wyznała. Zapłacił za to. Stał się dla niej zagrożeniem.

Przynajmniej nie zamordowała go we śnie – chyba nie byłaby do tego zdolna. Niemniej zostawiła go na zupełnym odludziu i zyska znaczną przewagę, nim on

jakimś sposobem zdoła wrócić w cywilizowane okolice. Chwileczkę: przewagę w czym? Co zamierzała? Uciec na kontynent? Powrócić do Rosji? Kradzionym samochodem?

Wariactwo, pomyślał, to niedorzeczne działanie w afekcie. Zda sobie sprawę, że niewiele jej to pomoże.

Nadal jednak musiał w jakiś sposób wydostać się z tej okolicy. Czekanie na ewentualny powrót skruszonej Kseni byłoby szaleństwem.

Rozejrzał się dokoła. Zabrała mu smartfona. I tak nie miał tu zasięgu, ale gdy dotrze w bardziej zaludnione regiony, nadal będzie w kropce. Niełatwo mu będzie nawiązać kontakt z Kate. Istny koszmar.

Zostawiła mu butelkę wody. Cóż za wielkoduszność. Woda nie stanowiła dlań problemu, wokół pełno było krystalicznie czystych źródeł i strumieni. Gorzej z głodem. Ale z drugiej strony człowiek przez dłuższy czas może się obejść bez pożywienia.

Ruszył przed siebie. Wzdłuż wąskiej, wyboistej, wiejskiej drogi. Tym sposobem nie zabłądzi, choć na przełaj przez las pewnie byłoby prościej i znacznie krócej. Nie wiedział jednak, czy w ogóle zdołałby wydostać się z lasu. Nadto idąc wzdłuż drogi, mógł napotkać przejeżdżający samochód. Choć ruch był tu raczej znikomy. Sfrustrowany przypomniał sobie, że po drodze nikogo nie spotkali, nikogo nie widzieli.

Pogodził się z myślą, że czeka go długa wędrówka.

Pierwsza noc była zimna i okropna, lecz zwłaszcza druga niemal doszczętnie go wyczerpała. Nigdy by nie przypuszczał, że letnia noc może być w lesie aż tak zimna. Co więcej, szybko zrobił się obolały na całym ciele. Długo szukał płaskiego kawałka terenu, uwierzył nawet, że znalazł korzystne miejsce, ale rychło się przekonał, że również tam pełno było korzeni, niewielkie zagłębienia i pagórki utrudniały wygodne ułożenie się, a do tego kłuły go maleńkie gałązki. To było straszne. Colin nie potrafił czerpać przyjemności z wypoczynku na łonie natury, nabrał takiego przekonania w młodości podczas licznych wyjazdów na kemping z rodzicami. A przecież miał wtedy do dyspozycji namiot, koce i nadmuchiwany materac. Rzeczy, o których teraz mógł jedynie pomarzyć.

W ten sobotni poranek był w podłej kondycji fizycznej, a do tego przepełniała go narastająca wściekłość. Złość przynajmniej dodawała mu sił. Bolały go wszystkie kości, także gardło, przeczuwał, że złapie potworne przeziębienie. Był tak wściekły na Ksenię, że miał ochotę ją udusić. Opowie policji – Kate – o *wszystkim*, a wtedy Ksenia trafi za kratki – i dobrze. Niewiarygodne, co zrobiła. Zasłużyła na to, by stanąć przed

sądem. Owszem, opowiadając mu o tym, obdarzyła go zaufaniem, ale on także jej zaufał, a mimo to bezlitośnie zostawiła go na lodzie.

Wlókł się drogą, a raczej wyasfaltowanym traktem, na którym od dwóch dni nie napotkał żadnego samochodu, gdy nagle dostrzegł coś w oddali... Wyteńczył wzrok. Dach? Czy zobaczył kawałek dachu?

Bał się, że ulega złudzeniu i za wcześnie się cieszy, niemniej poczuł przypływ sił i przyspieszył kroku. W końcu nie miał już wątpliwości: ujrzał dom. Zagrodę. Skuloną w dolinie między wzgórzami, szarą jak okoliczny kamień, mało gościnną, choć może to było tylko wrażenie. Do posiadłości prowadziła wijąca się wśród łąk ścieżka. Jak ludzie mogą żyć w takim osamotnieniu? Colin poczuł dreszcz. Z pewnością mieli jednak elektryczność, telefon, internet. Mógłby wezwać pomoc. Naraz spadł z niego cały przytłaczający go ciężar, żwawym krokiem ruszył ścieżką, wdychając zapach rosnących dokoła letnich kwiatów, na które dotąd nawet nie zwrócił uwagi. Dom był prawdziwy. Duży i masywny, stał pod szarym niebem w cieniu wyłaniającego się za nim wzgórze. Colin dotarł do drzwi. Nie było dzwonka, więc załomotał pięścią.

– Halo? Czy ktoś mnie słyszy? Czy ktoś jest w domu?

Nikt nie odpowiedział. Niemal w panice spojrzął na fasadę. *Dobry Boże, spraw, by nie wyjechali! Gdzie oni są, w sobotę? Chyba nie pracują, prawda?*

W końcu za drzwiami rozległ się odgłos kroków. Ktoś uchylił nieznacznie drzwi. Colin spojrzął w nieufną twarz starszej kobiety. Spróbował uśmiechem wzbudzić w niej zaufanie.

– Dzień dobry. Przepraszam, że ja...

Kobieta patrzyła nań z przerażeniem w oczach. Colin domyślił się, że pewnie wygląda odpychająco. Nieogolony, niemyty, zaniedbany. Po dwóch dniach i dwóch nocach spędzonych w leśnej głuszy miał ubrudzone i pomięte ubranie. Zaczerwienione oczy. Musiał wyglądać jak włóczęga, a kobieta pewnie była w domu sama. Nie mógłby jej winić, gdyby go nie wpuściła.

– Miałem awarię – powiedział. Brzmiało lepiej niż *Skradziono mi samochód*, co wprowadziłoby aspekt kryminalny. – Na krańcu świata. – Wskazał gestem na leśną, bezkresną okolicę za swoimi plecami. – Jest pani pierwszą osobą, którą napotkałem...

– Wynocha stąd – odpowiedziała kobieta. Prawie poczuł jej strach. – Wynocha!

Zatrzasnęła drzwi.

– Proszę! – zawołał Colin. – Proszę, potrzebuję pomocy! Może mi pani podać telefon? Ja...

– Precz!

– Proszę!

– Jeśli natychmiast się stąd nie wyniesiesz, zadzwonię na policję.

Colin oparł się plecami o drzwi, powoli osunął na ziemię. Wyczerpany siedział i gapił się przed siebie.

– Proszę – odezwał się – proszę to zrobić. Niech pani dzwoni na policję.

3

Ksenia wiedziała, że nie może zostać u Olivera na zawsze. Pozwolił jej przenocować w swoim mieszkaniu, ale raczej dlatego, że poprzedniego dnia nie była skora, by się pożegnać. W pewnym momencie poczuł, że musi się wykazać uprzejmością. Może także z powodu swej samotności. Już w południe Ksenia zaszyła się w niewielkim pokoju gościnnym, gdyż z powodu zmęczenia ledwo trzymała się na nogach. Położyła się i przespała całe popołudnie. Wieczorem zjedli coś razem, potem znowu zasnęła i zeszła do kuchni dopiero o dziesiątej rano. Oliver zaparzył świeżej kawy i podsunął jej koszyk z chlebem oraz słoik dżemu.

– Niewiele zostało – przeprosił. – Nieczęsto chodzę na zakupy. Dla jednej osoby nie zawsze się to opłaca.

– Żaden problem – zapewniła Ksenia. – Jest idealnie.

Słodząc kawę – tyle zostało z jej postanowienia o zrzuceniu nadwagi – zastanawiała się, jak mogłaby ponownie poruszyć ów temat. *Ten temat*. Poprzedniego dnia Oliver już o nim nie wspomniał. Po tym, jak opowiedziała mu o strzelaninie w pociągu i zapytała, kto mógłby mieć powód, by ją zamordować. Od razu się domyślił, o czym mówiła. Pobladł. A potem powiedział:

– Nie chcę o tym rozmawiać. Nie teraz.

Nie odważyła się na kolejną próbę.

Teraz, siedząc w kuchni w ten ponury poranek, nagle się odezwał:

– Kilka razy widziałem jakiegoś człowieka. Stał na ulicy.

Spojrzała na niego pytająco.

– Na ulicy?

Oliver wykonał ruch głową w kierunku okna.

– Po drugiej stronie. Tam, gdzie stoi teraz twój samochód. Właśnie tam. Miałem wrażenie, że obserwuje dom. Ale nie mam pewności, czy chodziło mu o mnie i moje mieszkanie.

– Czy to mógł być...

– Nie rozpoznałem go. Stał za daleko. Poza tym z pewnością zmienił się przez te lata.

– Tak, z całą pewnością.

– Ten człowiek w pociągu...

– Ja też go nie rozpoznałam.

Patrzyli na siebie ponad blatem stołu.

– To jeszcze o niczym nie świadczy – odparł w końcu Oliver.

– Fakt, że próbował zastrzelić mnie w pociągu, na pewno coś znaczy – stwierdziła Ksenia.

– Ale to nie musi się wiązać z *tamtym zdarzeniem* – zaproponował Oliver.

Umilkli. Oboje dobrze wiedzieli, że wedle wszelkiego prawdopodobieństwa z *tamtym zdarzeniem* miało to jednak coś wspólnego.

– Chciałabym... – zaczęła Ksenia, ale w tym samym momencie zabrzączał dzwonek do drzwi. Przerwała. – Spodziewa się pan gości?

– Nie. – Oliver wstał. – Właściwie to nikt mnie nie odwiedza. Może poczta.

Podszedł do drzwi. Obserwowała jego powolne człapanie. Potwornie się zestarzał, widać to było głównie w jego ruchach. Przygniatał go ciężar, uginając jego pochylone do przodu barki. Zmagał się z własną przeszłością. Nigdy się tego nie pozbędzie.

Usłyszała, jak zapytał przez domofon, kto dzwoni. Nie mogła zrozumieć odpowiedzi, ale rozległ się brzęczek zamka do drzwi.

– Kurier – powiedział Oliver. W jego głosie pobrzmiwało zaskoczenie.

Ksenia na długo zapamiętała zdumienie Olivera. I będzie się zastanawiać, dlaczego nie przywiązała do tego większej wagi. Oliver wydawał się naprawdę poirytowany. Czy nie powinna była dostrzec ostrzegawczego czerwonego światełka? Czy wewnętrzny głos nie powinien był jej podszeptać: *Uwaga?* Czy z faktu, że Oliver w ogóle nie spodziewał się wizyty kuriera i że chwilę wcześniej opowiedział jej o obcym człowieku czatującym przed jego domem, nie powinna była wyciągnąć odpowiednich wniosków? A przynajmniej doznać przeczucia? Krzyknąć, żeby zamknął drzwi, że nie powinien nikogo wpuszczać? Zamiast tego zerknęła do napełnionego w połowie kubka z kawą i pozwoliła sobie na swobodną wędrówkę myśli. Aż nagle usłyszała przed drzwiami głośny hałas. Dopiero wtedy uniosła wzrok i zobaczyła przerażonego Olivera opierającego się plecami o ścianę w przedpokoju. Przed nim stał człowiek. Trzymał w ręku broń.

– Oliver – powiedział. Potem drgnął, gdy usłyszał głos Kseni, która zerwała się z miejsca. Nie spodziewał się, że zostanie w mieszkaniu kolejną osobę, i wydawał się śmiertelnie przerażony. Wycelował w nią z pistoletu, potem wybałuszył szeroko oczy. – Ksenia! – powiedział niemal z przerażeniem w głosie.

Rozpoznała go. Pomimo upływu lat, pomimo tego, że stał się już dorosłym mężczyzną.

– Sasza – odezwała się zszokowana.

Na niespodziewaną wizytę Kate i inspektora Stewarta Geoffrey Lewis zareagował przyjaźnie, był jednak nieco zmieszany.

– Odwiedziłam pana niedawno, panie Lewis – odezwała się Kate.

Uśmiechnął się i skinął głową, lecz odniosła wrażenie, że jej nie kojarzył. W jego niewielkim domu unosiła się woń, jakby od miesięcy nie otwierano okien. Na kuchence gotowało się coś nieokreślonego. Przechodząc obok, Kate dyskretnie zgasła płomień.

Tym razem nie poczęstował kawą, ale zaproponował wodę, w szklankach albo wcale, albo nie dość dokładnie umytych. Kate i Robert grzecznie odmówili.

– Panie Lewis, opowiadając o młodości Sophii, wspomniał pan o chłopaku z sąsiedztwa – odezwała się Kate. – Pamięta pan? Sophia się go bała.

Geoffrey się zamyślił.

– Tak. To prawda – powiedział w końcu.

– Pamięta pan jego imię?

Geoffrey zmarszczył czoło.

– Kogo?

– Chłopaka mieszkającego na pańskiej ulicy. Tego, którego bała się Sophia.

Robert obrzucił Kate gniewnym wzrokiem. *A nie mówiłem...*

– Wszyscy się go bali – odparł Geoffrey. – Czy to nie on porwał potem tę dziewczynę?

Kate się nachyliła.

– Porwał dziewczynę?

– Tak. Do garażu.

– Ile miał wtedy lat?

Geoffrey się zastanawiał.

– Jedenaście. Albo dwanaście.

– A więc sam był jeszcze dzieckiem.

Geoffrey potrząsnął głową.

– On nigdy nie był dzieckiem. Zawsze był potworem.

– Ukrył dziecko w garażu? – Do rozmowy włączył się Robert.

– Mieliśmy kiedyś garaż – wyjaśnił Geoffrey. – Wynajmowaliśmy go, ale potem zaprzestaliśmy, bo sprzedaliśmy nasz samochód. – Spoglądał smutnym wzrokiem. – Straciłem pracę. Nie mieliśmy pieniędzy.

– Co się stało z tą dziewczynką? – zapytała Kate. Dyskretnie zerknęła na ekran telefonu. Helen jeszcze się nie odezwała.

- Nie wiem – odparł Geoffrey. – Z pewnością jest już dorosła.
- Więc on jej nie zabił? – dopytywał się Robert.

Geoffrey potrząsnął głową.

- Nie. On jej nie zabił. Policja przyjechała na czas.
- Rodzice dziewczynki wezwali policję?

Wydawał się zdezorientowany.

- Nie jestem pewien.
- Ale policja oczywiście szukała dziecka?
- Nie wiem.

Nie mogli pozwolić, by stracił koncentrację, a uporczywe pytania Roberta na temat policji zdawały się to prowokować. Kate musiała niezwłocznie interweniować.

– Interesuje mnie ten garaż, panie Lewis. A może mogę zwracać się do pana Geoffrey?

- Geoffrey. – Uśmiechnął się. Jego napięta twarz się rozluźniła.

Tak to się robi, z ochotą powiedziałaaby Kate do Roberta.

– Geoffrey. Czy ten garaż znajdował się przy tej samej ulicy, przy której pan i ten chłopak wówczas mieszkaliście?

– Nie. Dość daleko, przy starej fabryce, stały tam długie rzędy garaży. Dawniej można je było wynająć, ale przez długi czas stały puste, na wpół zniszczone. W fabryce też wszystko było zepsute.

- Czy Sophia знаła to miejsce?
- Tak, biegała tam. Co wieczór.
- Trasa jej joggingu wiodła przez teren opuszczonej fabryki i obok garaży?
- Tak.

– Rozumiem. Pamięta pan może imię tego chłopca? Z sąsiedztwa?

– Nie mogę sobie przypomnieć – odparł niemal zrozpaczony. Wtem jego twarz się rozjaśniła. Wstał i poczłapał w stronę regału, zaczął grzebać wśród sterty papierów, notesów, gazet. Wrócił z dużą kopertą, otworzył ją. – Mam. To zdjęcie ze święta sportu w szkole podstawowej. Były tam dzieciaki ze wszystkich klas. Sophia chodziła do szóstej. Chłopak do pierwszej. Infant School.

Kate spojrzała na zdjęcie. Zobaczyła jakieś pięćdziesięcioro dzieci w różnym wieku oraz kilkoro nauczycieli. Dzieci patrzyły w obiektyw odważnie lub w zakłopotaniu, śmiejąc się lub zachowując powagę, w zależności od temperamentu. Niektóre nie potrafiły usiedzieć na miejscu. Wszystkie miały na sobie krótkie spodenki, koszulki i tenisówki. Kate pomyślała o własnych fotografiach z czasów szkolnych. Pamiętała swoje lekkie przerażenie, bo wydawała się na nich całkiem w sobie zamknięta. Patrząc na małą Kate, myślała czasem: Już wtedy było widać. Moje przyszłe życie. To

osamotnienie. Żadnych przyjaciół. Bez partnera. Już w podstawówce wszystko było wiadomo.

Ta świadomość zawsze ją zasmucała. Że wszystko na nic się zdało. Jej nadzieja na znalezienie bliskiego człowieka. Wcale nie tak dawno, po owej fatalnej historii z Davidem, mężczyzną, w którym beznadziejnie się zakochała, zrozumiała, że jej marzenie o wielkiej miłości pozostanie dla niej jedynie... marzeniem.

Była to najsmutniejsza chwila jej życia, i to w czasie, gdy częściej płakała, niż się uśmiechała.

Otrząsnęła się. Nie pora na rozmyślanie o własnym nieudanym życiu osobistym.

– Dziewczyna w pierwszym rzędzie po prawej – powiedział Geoffrey. – To moja Sophia. – W jego głosie pobrzmiwały duma i szczęście.

Kate zobaczyła uśmiechniętą twarz dziewczynki w wieku około dziesięciu, jedenastu lat. Gęste ciemne włosy, jasne oczy. Sama nie rozpoznałaby Sophii Lewis, pomyślała jednak, że kontrast między bardzo jasnymi oczami i ciemnymi włosami był uderzający i zwracał uwagę również na zdjęciach znacznie starszej Sophii. Śliczna dziewczynka wyrosła na czarującą kobietę.

– I ten chłopak też jest na zdjęciu? – zapytała.

Geoffrey skinął głową. Drżącymi palcami przemykał po rzędach podobizn.

– Tutaj. – Wskazał. – To on.

Nie było w nim nic szczególnego, stwierdziła Kate, przyglądając się chłopcu przymrużonymi oczami. Twarz dziecka. Jeśli w chwili wykonania fotografii był w pierwszej klasie szkoły podstawowej, musiał mieć pięć lat. Mina może trochę zastygła w wyrazie, ale podobne znalazła również u innych dzieci. W wieku lat pięciu czy sześciu dzieci reagują na niecodzienną sytuację – ustawienie przed aparatem, obecność fotografa, polecenie, by patrzeć prosto w obiektyw – zwyczajną nieśmiałością. Chłopak miał ciemne włosy i ciemne oczy. Nie wyglądał zbyt sympatycznie, niemniej psychopaty by w nim nie rozpoznała. Tak naprawdę na podstawie samej fotografii nie potrafiła nic o nim powiedzieć. Zwyczajny pięciolatek. Że kilka lat później porwie małą dziewczynkę i będzie ją przetrzymywał w garażu? Pomyślała o sprawie Jamesa Bulgera, jednym z najpotworniejszych przypadków w historii brytyjskiej kryminalistyki, który na zawsze zapisał się w zbiorowej pamięci społeczeństwa: dwuletni James Bulger został porwany w biały dzień z centrum handlowego przez dwóch dziesięcioletnich chłopców, a następnie poddany sadystycznym torturom i zadźwiczony na śmierć. Cały kraj, media, wszyscy zjednoczyli się we wspólnym okrzyku przerażenia. Kate miała wtedy dziewiętnaście lub dwadzieścia lat. Przypomniała sobie, co nią wówczas najbardziej wstrząsnęło: twarze sprawców. To były twarze dzieci. Młode. Trochę przestraszone. Niegroźne.

Nie sposób w nich było cokolwiek rozpoznać.

– Sophia już od tak dawna mnie nie odwiedziła – powiedział zasmucony Geoffrey.

– Sophia została porwana – oznajmił Robert. – Dlatego tu jesteśmy.

Geoffrey gapił się na niego przerażony.

– Porwana? Przez kogo?

– Mieliśmy nadzieję uzyskać od pana jakąś wskazówkę – wyznał Robert. – Może wie pan, kto mógł mieć powód, by porwać pańską córkę?

– Czy oni chcą pieniędzy? – zapytał Geoffrey. – Pieniądzy nie mam. Dostaję niewielką emeryturę. Ledwie mogę z niej żyć.

– Tu nie chodzi o pieniądze – zapewniła Kate.

– Nie mam pieniędzy – powtórzył Geoffrey. – Mam tylko niewielką emeryturę. – Wargi zaczęły mu drżeć.

Zadzwoił telefon. Kate wstała i przeszła do wąskiego korytarza w małym mieszkaniu.

To była Helen.

– Pani sierżant, dowiedziałam się kilku rzeczy – oznajmiła. – Sprawa nie wzbudziła jakiegoś ogromnego zainteresowania, bo wszystko dobrze się skończyło, niemniej na pewien czas stała się powszechnym tematem rozmów w West Bromwich. Chłopak nazywał się Ian Slade. W momencie popełnienia zbrodni miał dwanaście lat. Późnym popołudniem trzeciego listopada dwa tysiące szóstego roku zwabił, a następnie porwał z ogródka domu rodzinnego trzyletnią wówczas Patricię Baldwin. Dziewczynka bawiła się tam w zaroślach, ale zgodziła się z nim pójść, gdy powiedział, że pokaże jej swoją kotkę i jej młode. Zaprowadził ją do garażu stojącego nieco dalej na obrzeżach miasta. Był tam cały szereg pustych garaży.

– Wiem – powiedziała Kate. – A potem?

– Nigdy tak naprawdę nie ustalono, co zamierzał z dziewczynką zrobić. Podczas policyjnego przesłuchania mówił oczywiście, że nie miał złych zamiarów. Chciał trochę wystraszyć jej rodziców. W każdym razie Patricia była cała we łzach, kiedy ją znaleźli, i nie przestawała wołać matki.

– Nie została wykorzystana seksualnie?

– Nie. Żadnych oznak. Co nie oznacza, że nie miał takiego zamiaru. Został zaskoczony przez policję.

– Jak policja znalazła ten garaż? – zapytała zaciekawiona Kate.

– To trochę tajemnicze – oznajmiła Helen.

Kate słyszała szelest przerzucanych notatek.

– Dokładnie dwie minuty po piątej na posterunku policji w West Bromwich odebrano anonimowy telefon. Z publicznej budki telefonicznej – były wtedy trochę

bardziej powszechne niż dzisiaj. Bardzo młoda dziewczyna lub kobieta wskazała na garaż, informując, że jest tam przetrzymywane dziecko. Potem się rozłączyła. Patricia Baldwin już wtedy figurowała na liście zaginionych, zgłoszona przez rodziców. Policja natychmiast podjęła stosowne działania i zdołała zapobiec najgorszemu.

– Sophia Lewis – powiedziała Kate. – To ona mogła dzwonić.

– To możliwe – zgodziła się Helen.

– Co się stało z chłopcem? Ianem Slade’em?

– Miał rozprawę w sądzie dla nieletnich. Umieszczono go w poprawczaku.

– To jest to! – odparła Kate. Poczowała mocniejsze bicie serca, jej tętno przyspieszyło.

Była przekonana, że w końcu znaleźli nitkę prowadzącą do kłębka.

Nie błędzili już jak we mgle. To był początek. Opadła z niego gruba zasłona. Powoli nabierał kształtów.

– Nie pomyliliśmy się za bardzo z tym więzieniem. Choć zamiast tego mamy poprawczak. Trafiło tam dwóch chłopców. Wyrosli na mężczyzn. Obmyślając zemstę.

– Brzmi całkiem sensownie – przyznała Helen.

– Jak się nazywa ten poprawczak?

– Państwowy Dom Poprawczy dla Trudnej Młodzieży – oznajmiła Helen. – Nie ma innej nazwy. W Birmingham. Trzymają tam najpoważniejsze przypadki.

– Inspektor Stewart i ja niezwłocznie tam pojedziemy –

oświadczyła Kate. – Jesteśmy w pobliżu. Potrzebujemy informacji o Ianie Sladzie. I o przyjaźniach, które tam nawiązał.

– W porządku – powiedziała Helen.

– Dziękuję, Helen – dodała Kate – wykonała pani świetną robotę. I proszę się skontaktować z kolegami z policji West Midlands. Niech wyślą kogoś do garażu, w którym rozegrała się ta historia. Oraz do rodziny Slade’ów – lub do ich dawnego domu, jeśli nikt z rodziny już tam nie mieszka.

– Co mieliby tam robić?

– Rozejrzeć się – odparła Kate. – Nie powinniśmy niczego zignorować. Gdzieś musi stać ukryta karetka. A Slade zaszył się gdzieś z Sophią. Trzeba to sprawdzić.

– Dobrze – przytaknęła Helen.

5

Sophia wiedziała, że jej życie nie jest warte złamanego szeląga. Nie pozwoli jej żyć, nie mógłby tego zrobić. Wiedziała, kim jest. Mógł przez nią trafić na resztę życia do więzienia. Nie zakładał, że zdoła przeżyć wypadek, dlatego będzie musiała umrzeć. Miała nadzieję, że zrobi to szybko. Strzeli jej w głowę, to wszystko. Będzie to dlań

znacznie mniej ryzykowne niż ukrywanie jej tutaj. Lecz ona go znała. Był sadystą, osobą, która z torturowania innych czerpała radość, przyjemność i zaspokojenie. Był sprytny, z całą pewnością ocenił zagrożenie, jakie stwarzało pozostawienie jej przy życiu i przetrzymywanie w niewoli. Górę wzięła jednak żądza. Na razie.

Nadal nie mogła poruszać ani rękami, ani nogami, ani nawet palcami. Próba ucieczki była całkowicie nierealna. Dlatego jej nie związał. Leżała jak jakaś nieruchoma skorupa, porywacz nie musiał się tym martwić. To, że zawsze zamykał drzwi do jej pokoju, wynikało raczej z przyzwyczajenia. Z zasady zamyka się pomieszczenia, w których ukrywa się porwanych ludzi, prawda? A może brało się to z ostrożności, by nikt nie mógł wejść i jej zobaczyć? Czy to oznaczało, że w domu przebywali inni ludzie, albo przynajmniej czasem tu przychodzili? Mało prawdopodobne. Na wypadek jednak, gdyby usłyszała dobiegające z zewnątrz głosy, starała się odzyskać zdolność mówienia. Doktor Dane narobił jej wielkich nadziei, że będzie to możliwe.

– Wielu ludzi po udarze odzyskuje mnóstwo sprawności – oznajmił. – Będzie pani mogła znowu mówić. Jestem tego pewien.

Przypomniała sobie, że wówczas uznała jego słowa za niejednoznaczne i wcale się z nich nie ucieszyła. Im więcej bowiem mówił o jej realnych szansach na odzyskanie mowy, tym wyraźniej zauważała, że starał się unikać tematu pozostałych sprawności fizycznych. Nie mogła go o to zapytać, mogła mu tylko wysyłać błagalne spojrzenia zawierające pytanie: *Co z resztą? Kiedy znów będę chodzić? Jeździć na rowerze? Kiedy moje życie znów powróci do normalności?*

Miał mądry, wrażliwy wyraz twarzy. Była niemal pewna, że potrafi wyczytać w jej oczach pytanie. To nie był dobry znak, że się przed tym opierał.

Bardzo zły znak, w rzeczy samej.

Teraz jednak, znalazłszy się w naprawdę beznadziejnym i katastrofalnym położeniu, ponownie uchwyciła się jego słów. Powiedział przecież, że znowu będzie mogła mówić. Przez cały czas, nieustannie, starała się składać słowa. Udawało jej się wydobyć z siebie niektóre dźwięki. Z początku było to coś w rodzaju cichego, ledwo słyszalnego pomruku, po którym za każdym razem była na tyle wyczerpana, że z miejsca zasypiała. Tymczasem potrafiła już wytrzymać dłużej, a siły nie opuszczały jej od razu. Mimo wszystko był to jedynie pomruk, do tego niezbyt głośny. W ten sposób nie zdoła zwrócić niczyjej uwagi. Nie wspominając o tym, by mogła wymówić słowo *Pomocy*. Raz za razem próbowała składać litery, ale jej to nie wychodziło. Może nie zdoła tego zrobić w pojedynkę. Potrzebowała wsparcia logopedy. Tutaj z pewnością nie mogła na nie liczyć. Musiała radzić sobie sama.

Nawet gdyby tego dokonała, miała niemal zerowe szanse na uwolnienie. W pobliżu bowiem prawdopodobnie nie było żywego ducha. Oprócz porywacza.

Za każdym razem, gdy o tym myślała, do oczu napływały jej łzy, które musiała z całych sił powstrzymywać. Płacz na nic się zda. Ślady łez na jej policzkach ucieszą jedynie jej dręczyciela. Dziś rano, kiedy przyniósł jej śniadanie – herbatę, okropne purée z warzyw oraz jogurt bananowy na deser – zaśmiał się, ujrawszy jej nabrzmiałe od łez oczy i wilgotną twarz. Płakała przez pół nocy. Zdesperowana i pozbawiona nadziei.

– Och, mój Boże, mała Sophia! – powiedział, szczerząc zęby. – Leży tutaj i nic, tylko ryczy. Niewiele z tego pożytku, prawda? Czasem trzeba najpierw ruszyć głową i nie robić złych rzeczy. Nie utrudniać życia innym ludziom i nie niszczyć ich młodości. Nie pomyślałaś o tym, droga Sophio, i teraz przyjdzie ci za to zapłacić. – Niemal czułym gestem wytarł jej łzy brudną chusteczką, po czym jeszcze bardziej z niej zakpił: – W życiu zawsze za wszystko się płaci. To żelazna zasada. Wszystko do człowieka wraca. Zbyt głupie, prawda? Pewnie myślałaś, że ujdzie ci to na sucho!

Następnie opróżnił jej worek na mocz i zapytał, czy potrzebuje nowej pieluchy. Jej układ trawienny nie funkcjonował, za co w tej sytuacji była wdzięczna. Poczowała lekki ból podbrzusza w bliżej nieokreślonym miejscu, miała nadzieję, że się nie nasili. Bądź co bądź *odczuwała* ból, co zważywszy na jej martwe ciało, było chyba promykiem nadziei. A raczej byłoby, w innych okolicznościach. Bo ona przecież umrze.

Może to nawet lepiej niż leżeć sparaliżowaną.

Pytanie tylko, kiedy ją zabije. I jak? I czy do tego czasu ją odnajdą?

Czy zdołają?

Nie dotarła do kliniki rehabilitacyjnej, karetka zaginęła. Urwał się kontakt z pielęgniarką i kierowcą. Nie wiedziała, czy odnaleziono już martwego szofera.

W każdym razie wszyscy chyba już zrozumieli, że wydarzyło się coś złego, kto jednak wpadnie na trop *tego sprawcy*? Skąd ktokolwiek miałby coś wiedzieć? Łamała sobie głowę nad tym, komu opowiadała o swoim strachu. We wcześniejszych latach na dobrą sprawę nikomu. Jej ojciec wiedział, że w szkole, a nawet później obawiała się Iana, ale ojciec nie myślał jasno i rzadko kiedy udawało mu się powiązać z sobą fakty. Jeśli w ogóle cokolwiek sobie przypomniał.

Ojciec. Znowu zaczęła płakać. Był taki stary. Taki samotny. Nie miał już na świecie nikogo poza córką. Już przez samo to nie mogła umrzeć. On jej potrzebował.

Stłumiła w sobie tę myśl. Była zbyt bolesna, a ból niewiele jej teraz pomoże. Tylko ją osłabia.

Musi ćwiczyć mowę. Nawet jeśli nie wierzyła, że dzięki temu zdoła przeżyć, tylko to jej pozostało. Jedyna mizerna szansa.

Zebrała w sobie wszystkie siły.

P-o-m-o-c-y.

Słowo to grzmiało echem w jej głowie. Przed oczami miała każdą jego pojedynczą literę. Usiłowała je złapać. Odbijały się jak piłki. Ilekroć sądziła, że pochwyciła jedną z nich, już jej nie było.

Wszystko to na nic. Po prostu nie potrafiła.

Zaczęła płakać, nie mogąc powstrzymać łez.

6

Siedzieli w pozbawionym ozdób gabinecie dyrektora placówki dla trudnej młodzieży i dzieci. Sean Hedges był wysokim, korpulentnym mężczyzną; uwagę zwracały jego ściągnięte do przodu ramiona oraz powolne, ociążałe ruchy. Wyglądał na zmęczonego, i to nie tylko, jak się wydawało, tego akurat dnia – sprawiał wrażenie, jakby znużenie głęboko weń wniknęło i opanowało go na stałe. Nie był zmęczony, bo tej jednej nocy źle spał. Był chronicznie wyczerpany.

Ciężka praca, pomyślała Kate.

Placówka mieściła się na obrzeżach Birmingham, niedaleko strefy przemysłowej. Za nią ciągnęły się łąki, a horyzont tworzyła falista linia niebieskoszarych wzgórz. Piętrzyły się w oddali. Wydawały się poza zasięgiem. Jakby przynależały do innego świata, który z tym miejscem nie miał nic wspólnego.

Budynek podobny do baraku. Otoczone murem podwórze. Ławki, drzewa, trawniki w obrębie ogrodzenia. Zadano sobie sporo trudu, by to miejsce nie wyglądało ponuro, ale udało się to osiągnąć jedynie częściowo. Jawiło się jako nienaturalne, nie do końca prawdziwe. Liczne małe okna. Długie, ciemne korytarze. Antyseptyczna woń silnego środka czyszczącego, który musiał zawierać mnóstwo cytrynowego aromatu. Połączenie szpitala i więzienia. Z pomieszczeń na parterze dobywały się przynajmniej głosy, gdzieś włączono telewizor, ktoś grał w piłkarzyki. Za budynkiem słychać było dreptanie oraz przeraźliwe dźwięki gwizdka.

– Turniej piłkarski – oznajmił Sean Hedges. – Odbywa się w każde sobotnie popołudnie. Staramy się, by chłopcy uprawiali możliwie jak najwięcej sportów. Nie ma lepszego sposobu na skanalizowanie ich agresji. I pomaga też w walce z depresją. I tak wszystko tu się z sobą wiąże.

– Ma pan tu wyłącznie męskich podopiecznych? – zapytał Robert Stewart.

Hedges skinął głową.

– Tak. Chłopców w wieku od siedmiu do dwudziestu pięciu lat.

– Dwudziestu pięciu? – dopytywała się Kate. – A więc także po przekroczeniu pełnoletności?

– Niektórzy zostają tu skierowani wyrokiem sądu i muszą u nas pozostać przez określony czas. Albo też nasz psycholog uznaje, że w wieku osiemnastu lat nadal stanowią zagrożenie dla społeczeństwa, i wnioskuje o przedłużenie pobytu. Dla większości zmiana miejsca stanowiłaby problem. Wiązałaby się ze zmianą terapeuty, kierownika grupy, doradcy. Grona przyjaciół. Dlatego podnieśliśmy granicę wieku.

– Rozumiem – powiedziała Kate.

– Cóż, Ian Slade... – zaczął zniecierpliwiony Robert.

Sean Hedges skinął głową.

– Tak. Ian. Trudny przypadek. Został zwolniony prawie półtora roku temu.

– Dlaczego?

– Skierowano go do nas na podstawie wyroku sądu. Przebywał tu przez jedenaście lat i kilka miesięcy. Do dnia swoich dwudziestych czwartych urodzin. Jego adwokat kilkakrotnie próbował uzyskać przedterminowe zwolnienie, ale biegli się nie zgadzali. Zarówno tutejsi, jak i kilku innych, niezależnych, powołanych przez adwokata. Slade mógł liczyć wyłącznie na ewentualne przeniesienie do aresztu dla nieletnich, ale ostatecznie wolał pozostać u nas.

– W chwili zwolnienia miał zatem dwadzieścia cztery lata?

– Dopiero co ukończone.

– A teraz ma dwadzieścia pięć?

– Tak.

– Wciąż całkiem młody – uznała Kate.

Sean z każdą chwilą wyglądał na jeszcze bardziej zmęczonego.

– Młody. Owszem. Ale...

– Tak?

– Rzadko mówię tak o którymkolwiek z tutejszych wychowanków – powiedział Sean. – Wierzę w tych młodych ludzi. W przeciwnym razie nie byłbym w stanie wykonywać tego zawodu. Ale Ian...

– Tak?

– On jest zdeprawowany w stopniu, z jakim jeszcze nigdy przez tyle lat swojej pracy się nie spotkałem. A widziałem już niejedno. Młodych ludzi mających sporo na sumieniu, których przyszłość nie jawiła się różowo. A mimo to zawsze widać w nich było jakiś promyk nadziei. Coś ten mrok rozświetlało. Ziarno dobra. Nie zawsze mogło się ono przebić. Ale istniało. Coś, czego można się było uchwycić, w co można było wierzyć, wypuszczając tych młodzieńców na wolność. Ale nie w przypadku Iana. W nim jest tylko czerń. Kompletny mrok.

Kate spostrzegła, jak Robert marszczy czoło. Sean Hedges wyrażał się dlań zbyt kwieście, za mało precyzyjnie.

– Psychopata? – zapytał z lekkim zniecierpliwieniem w głosie. – Chce pan powiedzieć, że Iana Slade’a można nazwać psychopatą?

Sean skinął głową.

– I to najgorszego rodzaju.

– Mimo to przed rokiem go wypuszczono!

Sean uśmiechnął się znużony.

– A co mielibyśmy zrobić? Nie wydarzyło się nic, co uzasadniałoby dożywotnie zatrzymanie. Do czego prędzej czy później dojdzie, jestem o tym święcie przekonany.

– Ta historia z małą dziewczynką...

– Wiedzą państwo o tym?

– Tak – przyznała Kate. – Zwabił do garażu trzyletnie dziecko.

– Czy on kiedykolwiek wyznał, co zamierzał zrobić z tą dziewczynką? – zapytał Robert.

– Twierdził, że próbował nastraszyć jej rodziców – odparł Sean. – Pozwolili tak małemu dziecku bawić się bez opieki w ogródku. To było nieodpowiedzialne zachowanie, on zaś chciał im pokazać, do czego to może doprowadzić. Potem zamierzał rzecz jasna odprowadzić małą z powrotem.

– Bezinteresowny czyn o wymowie edukacyjnej! – powiedział Robert, wykrzywiając z obrzydzeniem twarz. – Głupszej wymówki nie mógł sobie wymyślić?

– Oczywiście, że nikt mu nie uwierzył. Obarczono go winą za porwanie małej dziewczynki. Ale nic więcej. Poza tym rzeczywiście nic się nie stało.

– Ponieważ policja odebrała anonimowy telefon.

– Tak. Od kobiety, która jednak nie podała swojego nazwiska. Bardzo młodej kobiety, wnioskując po barwie jej głosu, jak wówczas stwierdziła policja.

– Niestety, nie mieliśmy jeszcze okazji porozmawiać z kolegami z West Midlands ani poprosić o akta – powiedziała Kate. – Pamięta pan, co dokładnie powiedziała ta kobieta?

Sean się zamyślił.

– Kiedy skierowano do nas Iana, przeczytałem protokół. Nie pamiętam dokładnie, co powiedziała ta kobieta, ale opisała lokalizację garaży i stwierdziła, że przebywa tam niebezpieczny chłopak z małym dzieckiem, które mógł uprowadzić. Należy się spieszyć. Już wcześniej policja otrzymała od rodziców zgłoszenie o zaginięciu dziecka. Patrol natychmiast udał się we wskazane miejsce.

– I jak ich znaleźli? W jakiej sytuacji?

– Wyszli już z garażu i ruszyli w drogę powrotną. Ian próbował nieść dziewczynkę, ale ona się opierała, głośno krzycząc. Na piechotę szli bardzo powoli. Pokonali niewielką odległość od garażu. Ian twierdził, że chciał właśnie odprowadzić małą do domu. Nie zrobił jej krzywdy.

– Pan jednak nie wierzy, że zamierzał ją zabrać do domu?

Sean potrząsnął głową.

– Nikt w to nie uwierzył. Nawet jego własny adwokat. Najprawdopodobniej Ian się dowiedział, że był obserwowany. Że ktoś zaczął się obok garażu. Kobieta, która potem wykonała ten anonimowy telefon. To dlatego uznał, że powinien przerwać to szalone przedsięwzięcie. Najwyraźniej wyszedł z założenia, że został rozpoznany, w przeciwnym razie mógł po prostu stamtąd uciec i zostawić dziewczynkę własnemu losowi. Musiał jednak stworzyć wrażenie, jakoby chciał ją osobiście odprowadzić do domu. Spryciarz z niego.

– Jak pan sądzi – zapytał Robert – co zamierzał zrobić z tą małą?

Sean uniósł ręce w geście rezygnacji.

– Wykorzystać ją? Torturować? Zabić? Ian jest notowany od wczesnego dzieciństwa. Okropnie dręczył zwierzęta. Koty, króliki, żaby... cokolwiek mu wpadło w łapy. Terroryzował inne dzieci. W szkole, a nawet w przedszkolu, wszyscy się go bali. Wciąż pojawiały się skargi na niego i jego rodziców. Był oczywiście za młody. Opieka społeczna pozostawała z rodziną w stałym kontakcie. Dla wszystkich było jasne, że oto tyka bomba zegarowa.

– Rodzice, rodzina – zagadnęła Kate – co pan o nich wie?

Sean uśmiechnął się smutno.

– Rodzice nie byli złymi ludźmi. Totalnie przytłoczeni zachowaniem syna. To było ich jedyne dziecko. Dlaczego wyrósł na kogoś takiego? Nie wiem. Nie było ani przemocy, ani alkoholu, ani żadnego z owych klasycznych elementów. Może zabrakło miłości. Ojciec pracował w fabryce, matka sprzątała. Nie dbali zbyt o Iana, ale też się nad nim nie znęcali. Po prostu nie potrafili nawiązać z nim więzi i trzymali go na dystans.

– Ludzie pokroju Iana czasem tacy się rodzą – oznajmił Robert. – Czytałem o tym niedawno. Nierzadko brakuje innego wytłumaczenia.

Kate skinęła głową. Otóż to. Brutalny ojciec, pijana matka – to były stereotypy. Ale czasem nie miały zastosowania. Jak powiedział Stewart: nierzadko brakowało wytłumaczenia.

I to było najbardziej przerażające.

– Czy rodzice jeszcze żyją? – zapytała.

– Nie wiem – odparł Sean. – Wyjechali z West Bromwich, bo nie mogli znieść gadaniny sąsiadów. W naszym ośrodku nigdy się nie pojawili. Gdzieś się zaszyli, prawdopodobnie na drugim krańcu kraju. – Umilkł, a po chwili dodał: – Co dokładnie się stało?

– Musimy koniecznie odnaleźć Iana Slade’a – oznajmiła Kate. – Istnieją poważne przesłanki przemawiające za tym, że uprowadził kobietę. Ofiara jest ciężko ranna, być może to on właśnie spowodował jej wypadek. To ona mogła wykonać ów anonimowy telefon, który ostatecznie doprowadził do umieszczenia Iana w pańskim zakładzie.

Sean wybałuszył oczy.

– Zemsta? Czyżby Ian znał tę kobietę?

– Całkiem możliwe – przyznała Kate. – Jak sam pan stwierdził, Ian prawdopodobnie wiedział, że go wtedy obserwowano i rozpoznano, a skoro ta kobieta wiedziała, kim jest, można założyć, że on także ją znał. Nigdy jednak o tym nie wspominał, prawda?

– Nie. Prowadził regularne rozmowy ze swoim terapeutą. Gdyby rozmyślał o zemście, poinformowano by mnie o tym. Ian jest chyba jednak na to zbyt cwany. Chciał się stąd jak najszybciej wydostać, za wszelką cenę. Nie powiedziałby niczego, co dałoby nam jakikolwiek powód, by go tu zatrzymać na dłużej.

– Czy możemy porozmawiać z jego terapeutą? – zapytała Kate.

– Przebywa akurat na urlopie. Mamy sierpień, szczyt sezonu, co wcale państwu nie ułatwia prowadzenia śledztwa, prawda? O ile mi wiadomo, wyjechał z rodziną na południe Francji. Wróci za dwa tygodnie.

Kate westchnęła. W trakcie tego dochodzenia wciąż mieli pecha.

– Czy mówi coś panu imię i nazwisko *Sophia Lewis*? – zapytała.

Sean się zamyślił, ale po chwili potrząsnął głową.

– Nie. Nigdy ich słyszałem.

– Czy Ian Slade nigdy nie wymienił jej imienia i nazwiska?

– Nie. Przynajmniej nie w mojej obecności.

Może w rozmowie ze swoim terapeutą. Z którym spotkają się dopiero za dwa tygodnie. Kate podejrzewała jednak, że także od niego nie uzyskają żadnych istotnych informacji. Ian Slade chyba rzeczywiście był zbyt przebiegły, by zostawić jakikolwiek ślad, i musiał się nieźle bawić, wiedząc, że wszyscy chcieliby go wsadzić na dłużej za kratki, ale nie mieli nic, co mogliby przeciwko niemu wykorzystać.

– Panie Hedges, jeszcze jedno ważne pytanie – powiedziała. – Mamy mocne przesłanki świadczące o tym, że Ian Slade nie popełnił tej zbrodni samodzielnie. Jest w to zamieszany drugi mężczyzna i wygląda na to, że on również szuka zemsty.

Sean wyglądał na zdezorientowanego.

– Dwóch mężczyzn? Podwójna zemsta?

– To prawda – potwierdził Robert. – Zdecydowanie dwóch mężczyzn, dwie ofiary. To samo narzędzie zbrodni. Tych dwóch ofiar nic nie łączy – prócz faktu, że w obu przypadkach motywem wydaje się odwet. To doprowadziło nas do podejrzenia, że być może obaj mężczyźni połączyli siły, by wesprzeć się nawzajem w *krucjacie zemsty*. Z początku przyszło nam do głowy, że mogą to być ludzie, którzy przebywali razem w więzieniu, a teraz podejmują działania przeciwko tym, którzy w jakiś sposób przyczynili się do ich aresztowania.

– Rozumiem – powiedział Hedges. – A teraz podejrzewają państwo, że może tu chodzić nie o więzienie, tylko o moją placówkę?

– Zgadza się – przytaknęła Kate. – Kobieta, wykonując anonimowy telefon, sprawiła, że Ian Slade trafił tu na prawie dwanaście lat. Jeśli to była Sophia Lewis, wówczas motywem jest z pewnością zemsta. Kim jednak jest ów drugi mężczyzna? Czy Ian miał tu przyjaciół? Albo bliskiego przyjaciela?

Hedges znów się zamyślił.

– Trudny temat – odparł. – Ian był jednym z tych chłopców, których wszyscy się bali. I dlatego wszyscy starali się z nim dogadać. Miał wielu zwolenników, którzy mu schlebiali. Bliski przyjaciel... Hm, nic mi o tym nie wiadomo.

– Ktoś, z kim spędzał więcej czasu niż z innymi? – zapytał Robert.

– Nie wydaje mi się. Ale ja kieruję całym zakładem i jestem raczej z dala od codziennych zdarzeń. Jednakże *przyjaźń* jest ważnym tematem, takie rzeczy są mi zgłaszane, ponieważ umiejętność zawiązywania przyjaźni uważa się za istotną cechę, którą szczegółowo odnotowujemy. Nie przypominam sobie, bym słyszał o czymś takim w związku z osobą Iana. Jak mówiłem, owszem, miał zwolenników, którzy chcieli mu się przypodobać. Ale nie przyjaciół. Więcej informacji mógłby udzielić państwu jego terapeuta i kierownik grupy, ale on, jak już wspomniałem...

– ...przebywa akurat na urlopie – dokończył zrezygnowany Robert. – Ale z pewnością ma pan numer jego komórki? Musimy przynajmniej spróbować skontaktować się z nim telefonicznie.

– Trudno będzie go złapać – powiedział Hedges – chciał choć raz spokojnie odpocząć. Ale oczywiście dam państwu jego numer.

– Czy kiedykolwiek słyszał pan o *Kseni Paget*? – zapytała Kate. – Albo *Kseni Sidorowej*?

– Nie.

– Czy zna pan może miejsce pobytu Iana Slade'a? Gdzie mógłby się ukrywać?

– Niestety nie. W aktach znalazłem tylko ówczesny adres rodziny Slade'ów, ale...

– Koledzy już tam jadą – powiedziała Kate. – Pewnie już byśmy wiedzieli, gdyby tam przebywał.

Chronicznie zatroskana twarz Hedge'a jeszcze bardziej spochmurniała.

– Wiedziałem – odparł. – Kiedy Ian został zwolniony, wiedziałem, że wkrótce z jego powodu zjawi się u mnie policja. Było to dla mnie jasne jak słońce. Ale nic nie mogłem zrobić. Zupełnie nic.

Kate wstała.

– Znam dobrze to uczucie, panie Hedges. My także często mamy związane ręce. Jeśli cokolwiek pan sobie przypomni w związku z Ianem Slade'em, nieważne, jak banalne może się to wydawać, proszę się z nami skontaktować!

– Tak zrobię – obiecał Hedges.

7

Ksenia zastanawiała się, jak to się stało, że razem z Oliverem dali się zaskoczyć. Sasza, mierząc z pistoletu, był jeszcze bardziej przerażony niż oni. Było jasne, że spodziewał się zastać w mieszkaniu tylko jedną osobę, Olivera, i śmiertelnie się wystraszył, gdy zobaczył w kuchni Ksenię. Przy odrobinie determinacji pewnie zdołaliby odebrać mu broń, choć nawet przypadkowy wystrzał mógł się okazać niebezpieczny. Poza tym byli zdezorientowani i niezdolni do współdziałania.

Po kilku chwilach martwej ciszy Sasza rozkazał Oliverowi:

– Do łazienki!

Oliver ruszył przodem, biały na twarzy jak kreda. Uniósł ręce w intuicyjnym geście poddania się, by nie sprowokować przeciwnika do żadnej gwałtownej reakcji. Sasza nie wydawał się groźny ani zdeterminowany w działaniu, ale raczej przytłoczony sytuacją. Niemniej właśnie to wzbudziło u Olivera niepokój. Sasza nie mógł stracić panowania nad sobą.

Łazienka była pozbawiona okien, o czym Sasza nie mógł wiedzieć, ale prawdopodobnie się tego domyślił.

– Dobra – powiedział, zajrzawszy w mrok pomieszczenia. – Wchodź do środka.

Wyjął tkwiący od wewnątrz klucz, wyszedł, po czym zamknął za sobą drzwi. Oliver był uwięziony, nie mógł wezwać pomocy. Ksenia o tym wiedziała, bo jego telefon komórkowy leżał na kuchennym parapecie. Sasza tego nie sprawdził. Po prostu miał szczęście.

Następnie podszedł do niej i rozkazał:

– Siadaj!

Wstała przerażona zajściem, teraz znów usiadła. Jej komórka leżała w pokoju gościnnym. Znacznie większą szansę stwarzał telefon Olivera, ale dopóki celowano do

niej z pistoletu, był prawie tak samo poza jej zasięgiem, jakby znajdował się na Księżycu.

– Sasza – powiedziała – co ty robisz? Dlaczego zamknąłeś Olivera?

Podsunał sobie krzesło, usiadł naprzeciw niej.

– Nie mogę pilnować was obojga – wyjaśnił. Mówił poprawnie, ale bardzo powoli, a dobór właściwych słów sprawiał mu trudności. – Nie oboje naraz!

– Sasza...

– Bądź cicho. Muszę się zastanowić.

Popadł w głęboką zadumę. Ksenia uważnie go obserwowała. Gdyby minął ją na ulicy, pewnie by go nie rozpoznała, teraz jednak dostrzegła znajome rysy i charakterystyczne cechy. Jego głowa nadal zdawała się zbyt mała w stosunku do reszty ciała. Miał długą, cienką szyję. Urósł bardziej, niż można by się tego spodziewać po małym dziecku. Był w jakiejś mierze nieproporcjonalny: nogi raczej krótkie, przydługie tułów. Nadmiernie duże stopy. Miał bardzo delikatne dłonie. Sprawiał wrażenie mocno podenerwowanego.

– Dlaczego tu jesteś? – zapytał w końcu. – Ian mówił, że jest tylko Oliver.

– Kim jest Ian?

– Dlaczego tu jesteś? Oliver mieszka sam. Sprzątaczką przychodzi we wtorek.

– Przyjechałam wczoraj z niespodziewaną wizytą. Po raz pierwszy od wielu lat.

Znów się zmyślił. Ksenia odniosła wrażenie, że wiele czasu zajmuje mu przetworzenie tego, co usłyszał, i przygotowanie odpowiedzi. Był niedorozwinięty, i tak już zostało. Miał wielkie trudności z przeniknięciem sensu słów i nadaniem im odpowiedniego znaczenia.

– Dlaczego? – zapytał.

– Dlaczego przyjechałam w odwiedziny? Bez powodu. Po prostu.

– Hm.

Nachyliła się ku niemu.

– Dlaczego ty tu jesteś, Sasza? Co masz zamiar zrobić?

Spojrzał na nią z uśmiechem.

– Jestem wolny.

– Wolny?

– Zamknęli mnie. Teraz jestem wolny.

Próbowała się uśmiechać.

– To miło, Sasza.

– Tak.

– Ale to, co teraz robisz... – Wskazała na broń w jego drżącej dłoni. – To nie jest dobre. To tylko pogorszy sprawę.

Mozolnie się zastanawiał.

– Bądź cicho – powiedział w końcu. – Masz być cicho, okay?

– Okay.

Siedzieli naprzeciw siebie w milczeniu. Sasza nie sprawiał wrażenia człowieka zdeterminowanego, z całą pewnością nie zachowywał się jak zabójca, który bez wahania realizuje swój okrutny plan. Widocznie miał zamiar w ten czy inny sposób wyrównać rachunki z Oliverem, ale niespodziewanie pojawiła się Ksenia. Wiedziała, że jego słabo rozwinięty umysł zmagają się z faktem, że zastał odmienne od spodziewanych okoliczności. Był święcie przekonany, że spotka wyłącznie Olivera. Wiedział, że Oliver prowadzi samotne życie, wiedział nawet, że w każdy wtorek przychodzi do niego sprzątaczką. Czy to on był owym mężczyzną, którego Oliver spostrzegł po drugiej stronie ulicy? Na pewno nie był jednak człowiekiem z pociągu.

Czy zatem było ich dwóch?

– Sasza – odezwała się w końcu szeptem. – Twoje postępowanie nie jest dobre. Sprawi, że znów będziesz miał kłopoty. Kto ci kazał to zrobić? Ten... Ian?

Zamyślił się.

– Tak – odparł.

– Jest twoim przyjacielem?

Sasza skinął dumnie głową.

– Jest moim przyjacielem!

– To miło, że masz przyjaciela. Z pewnością dobrze ci życzy. Ale wiesz, to nie jest dobry pomysł. Może odłożysz broń? To mnie denerwuje. – Ksenia delikatnie się zaśmiała, ale jej głos zabrzmiał całkiem sztucznie. – Proszę, odłóż to. Zaparzę nam herbaty. I porozmawiamy.

Namyślał się, lecz po chwili potrząsnął głową.

– Nie. Zatrzymam broń. Dopóki nie przyjdzie Ian.

Wzdrygnęła się.

– Przyjdzie tu Ian? Twój przyjaciel?

Na twarzy Saszy znów pojawił się wyraz dumy. Miał przyjaciela. Był częścią planu. Był ważny.

– Tak. Wkrótce.

Serce Kseni jeszcze mocniej zadrżało. Jeśli ten tajemniczy Ian okaże się człowiekiem z pociągu, będą zgubieni. *On* był prawdziwym zabójcą, bezwzględny i nieznającym litości. To on pociągał za sznurki. Sasza był tylko marionetką, zupełnie nie zdawał sobie sprawy z tego, co się dzieje.

– Sasza, musisz nas wypuścić! – Mówiła stanowczo. – Mnie i Olivera. Proszę. Nie zmarnuj sobie życia. Nie wiem, co zamierzacie z nami zrobić, ale to zrujnuje ci życie.

Proszę, uwierz mi i nie pozwól na to!

Spojrzał na nią. W jego ciemnych oczach dostrzegła smutek, który niemal rozdarł jej serce.

– Już zniszczyliście mi życie – powiedział. – Już to zrobiliście.

8

W drodze powrotnej z Birmingham do Scarborough Kate otrzymała od Helen wiadomość, że funkcjonariusze z policji West Midlands nie znaleźli żadnego śladu Iana i Sophii ani w rzeczonym garażu i jego pobliżu, ani w dawnym domu rodziny Slade'ów. Nic również nie wskazywało na to, że kiedykolwiek tam przebywali.

– W dawnym domu Slade'ów mieszka teraz inna rodzina – oznajmiła Robertowi po zakończeniu rozmowy. – Całkiem nieświadomi ludzie.

– To byłoby mało prawdopodobne – odparł Robert. – Slade wydaje się dość inteligentny. Tak bardzo by nam tego nie ułatwił.

– Raczej nie – przyznała Kate. Wpatrywała się w letni krajobraz, spoglądała na skoszone już pola ciągnące się pod szarym sierpniowym niebem. – Ale to nie jest przecież łatwe, prawda? Musi ukrywać karetkę i sparaliżowaną kobietę. Może ją tylko przynosić na rękach. Wszystko to bardzo rzuca się w oczy. Właściwie nie może przebywać w mieście. W mieszkaniu. To byłoby zbyt ryzykowne.

– Jest mnóstwo odosobnionych domów. Zagród.

– Jak opłaca czynsz? Nie sądzę, by miał stałą pracę.

– Możliwe, że zaszył się w jakimś opuszczonym domostwie. W jakiejś podupadłej ruinie w sercu pustkowia. Jest lato. Da się wytrzymać.

– Albo jego towarzysz ma dom – powiedziała Kate.

– Jeśli przebywał w poprawczaku, to skąd może mieć dom?

– Odziedziczył?

Robert mruknął pod nosem. Nieszczęściem ich rozmów na temat obecnego dochodzenia było to, że zawsze prowadziły do konkluzji, iż wciąż wiedzą za mało. Że nawet jeśli zrobią krok naprzód, muszą pozostać bezczynni. Znali nazwisko i tożsamość domniemanego porywacza Sophii Lewis. Domyślali się nawet motywu.

Ale nic nie mogli z tym zrobić.

– Slade wyszedł rok temu – podsumował Robert. – Z czego on, do cholery, żyje?

Kate wzruszyła ramionami.

– Prace dorywcze. Do tego nie musi być nigdzie zameldowany.

Robert nie odpowiedział.

Jechali dalej w milczeniu. Kate zastanawiała się właśnie, jakie sensowne kroki winni teraz podjąć, gdy zadzwoniła jej komórka. Spodziewała się, że to Helen, ale na ekranie pojawił się nieznany numer. Odebrała.

– Inspektor Kate Linville.

– Kate? O Boże, Kate – usłyszała w słuchawce.

Zelektryzowana, wyprostowała się w fotelu.

– Colin?

– Kate, mój Boże, jak dobrze, że wreszcie cię złapałem! – zawołał Colin.

Chciała mu udzielić reprimendy, wyjaśnić, jak nieodpowiedzialnie, lekkomyślnie i nielojalnie się wobec niej zachował, ale coś jej podszeptało, że nie jest to odpowiedni moment.

– Gdzie jesteś? – zapytała zamiast tego.

Był bliski szloch.

– Gdzieś w Yorkshire Dales. O Boże. Ksenia ukradła mój samochód i nim odjechała.

– Co takiego?

– Tak, zostawiła mnie na pustkowiu. Uciekła. Zabrała mi samochód, telefon, wszystko.

– Ale dlaczego?

– Chyba chce wyjechać z kraju. Ona *musi* wyjechać. Jest uwikłana w potworną historię. Wszystko mi opowiedziała. Kate, możesz po mnie przyjechać? Proszę!

– Z czyjego aparatu dzwonicz?

– Znalazłem samotną wiejską zagrodę. Kobieta wzięła mnie za groźnego włóczęgę. Ale przynajmniej podała mi przez drzwi swój telefon. Kate, ja...

– Posłuchaj, jestem w drodze z Birmingham do Scarborough, więc dość daleko. Wyślę po ciebie policyjny patrol, dobrze? Może uda ci się zdobyć adres lub jakieś wskazówki, jak tam dojechać. Ale najpierw opowiesz mi, co się dzieje z Ksenią. W jaką historię się wplątała? I dlaczego chce wyjechać z kraju?

– Nie wiem, czy rzeczywiście chce wyjechać. Tylko tak uważam...

– Po kolei – przerwała mu Kate. – Colin, proszę. Mów, co się stało.

– To niewiarygodne – odparł Colin – niewiarygodne!

I zaczął opowiadać.

Siedzę w cholernej łazience w swoim mieszkaniu, w całkowitej ciemności. Włącznik światła jest na zewnątrz, drzwi są zamknięte. Dałem się tu wpakować bez słowa sprzeciwu, zmrożony strachem z powodu wycelowanej we mnie broni. Teraz myślę sobie, że popełniłem błąd, powinienem był stawić opór lub porozmawiać z Saszą. Skłonić go do odłożenia tego śmiesznego pistoletu... Wydaje mi się, że wcale nie miał zamiaru strzelać. Sprawiał wrażenie pozbawionego pewności siebie, zestresowanego i przybitego, jakby grał nie swoją rolę. Jakby ktoś nim zdalnie sterował. Był mało autentyczny.

Dopiero teraz zdałem sobie z tego sprawę. W odosobnieniu i całkowitej ciemności łazienki. W ciszy i spokoju... Cóż, spokój nie jest chyba właściwym słowem. Wcale nie jestem spokojny. W zaistniałej sytuacji byłoby to nader dziwne. Niemniej nie jestem już tak kompletnie zdezorientowany i zmieszany jak przedtem.

Kiedy wszedł.

Sasza.

Nie powinienem był otwierać drzwi. Przesyłka... Od razu wydało mi się to podejrzane. Niczego nie zamawiałem, w ogóle nie dostaję żadnych paczek. Już od wieków. Byłem zdumiony. Ale nie dość przezorny.

Nie spodziewałem się spotkać Kseni po tych wszystkich latach.

A także Saszy.

Cóż za zbieg okoliczności, że oboje pojawili się tutaj dzień po dniu. To zupełny przypadek, w tym sensie, że przecież nie uzgodnili tego między sobą. Z drugiej jednak strony od jakiegoś czasu sieć wisząca nad nami wszystkimi zaczęła się zaciskać, zniżać, gotowa, by nas pochwyć. Zwiastunami były strzały oddane w kierunku Kseni. Człowiek, który obserwował mój dom.

Czy kiedykolwiek sądziliśmy, że wyjdziemy z tego bez szwanku?

To ironia losu, że utknąłem akurat w łazience. Tamta scena, owa decydująca o wszystkim scena także rozegrała się w łazience. Choć w łazience z oknem. Rozświetlonej. Jaskrawym światłem. Tak mi się przynajmniej wydawało. Może dlatego, że to, co oświetliła lampa sufitowa, było niepojęte. Potworne.

Sierpień dwa tysiące czwartego.

– Jak to się mogło stać? – zapytała Ksenia z przerażeniem.

Mimo oszołomienia, mimo przerażenia, mój mózg pracował jak w gorączce.

Alice popełniła morderstwo. Trafi do więzienia. Nasza rodzina się rozpadnie.

Nie można było do tego dopuścić. Alice i ja straciliśmy dziecko. Mieliśmy już tylko siebie.

Problemem była Ksenia. Wiedziała. Przez chwilę, gdy spojrzałem w jej śnieżnobiałą twarz, odniosłem piorunujące wrażenie, że może się odwrócić, sięgnąć po telefon i zadzwonić na policję. Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że tego nie zrobi. Przebywała za granicą. Miała niejasny status zatrudnienia. Nie zrobiłaby nic pochopnego.

– Nie przestawała krzyżeć – odpowiedziała Alice na pytanie Kseni.

Ksenia wydawała się kompletnie zszokowana, nie można było wziąć jej tego za złe.

Alice powoli otrząsnęła się z odrętwienia. Wcześniej prosiła, żebyśmy nikomu nic nie mówili, teraz zdawała się rozumieć, że mam rację: nie sposób ukryć śmierci dziecka. Zwyczajnie nic nie robiąc.

– Musimy powiadomić policję – powiedziała.

– Tak – przytaknęła Ksenia. Obie kobiety wydawały się zdeterminowane.

– Chwila – odezwałem się – czy ty naprawdę wiesz, co mówisz, Alice? Pójdiesz do więzienia!

Skinęła głową.

– Tak.

Desperacko przycisnąłem obie pięści do oczu, a potem do obolałych skroni. Alice nie zdawała sobie sprawy z tego, co mówiła. Była w szoku, nie uświadamiała sobie, że oto podejmuje decyzję rozstrzygającą o całym jej życiu. I moim także. O wszystkim, co zbudowałem. Doradzałem ludziom w sprawach finansowych. Miałbym to nadal robić jako mąż kobiety, która utopiła własne dziecko i trafiła za to do więzienia? Nikt by do mnie nie przyszedł. Czy Alice przyłgnęłby do mnie na resztę życia jak brzydki zapach, jak niedająca się rozwiać aura. Byłem skończony. W życiu osobistym i zawodowym.

Gniew na Alice ponownie wezbrał we mnie z taką siłą, że chciałem do niej podejść i stłuc tę jej bladą, małą, chorą, zaburzoną twarz, a jednak zebrałem się w sobie. Nic by to nie dało, zupełnie nic. Nic by też nie pomogło, gdybym się schował, poddał własnemu przerażeniu i usiłował schronić przed własnym szaleństwem. Było jasne, że w ciągu następnych piętnastu minut trzeba coś postanowić.

Więcej czasu nie mieliśmy.

W mojej głowie zaczęła kiełkować myśl. Tak naprawdę tkwiła tam przez cały czas, ale nie miałem odwagi jej sobie uprzytomnić.

Bo z jednej strony było to nie do pomyślenia.

Z drugiej zaś nie mieliśmy innego wyjścia.

Patrzyłem to na jedną, to na drugą kobietę w nadziei, że któraś z nich wpadnie na tę samą myśl i to nie ja będę musiał ją wypowiedzieć. Nic jednak nie wskazywało na to, żebym doczekał się z ich strony jakiegokolwiek pomocy. Alice wpatrywała się w martwą Lenę leżącą na podłodze, w jej oczach czaiły się cierpienie, przerażenie i konsternacja. Wydawała się kompletnie nieobecna. Ksenia sprawiała wrażenie wstrząśniętej, ale

panowała nad sobą. Ona już zdecydowała. Należało powiadomić policję, Alice musiała ponieść konsekwencje. Nie było chyba innego sposobu. Lecz to nie jej życie zostanie zniszczone.

Musiałem więc działać.

– Alice załamie się w więzieniu – powiedziałem. – Nie możemy na to pozwolić.

Alice uniosła głowę, spojrzała na mnie przepęlnionymi bólem oczami.

– Już po mnie.

– Nie, wcale nie. Przejdziemy przez to. Poradzimy sobie.

Cicho jęknęła.

– Musimy wezwać policję – nagliła Ksenia.

– Oczywiście, że musimy. To jasne. Ale to wszystko nie może obciążyć Alice. W żadnym wypadku.

– Sir... Panie Walsh...

Tak trudno jej było zrozumieć.

– Zrobił to ktoś inny – oznajmiłem. – Rozumiecie?

Alice kompletnie nic nie rozumiała, widziałem to. Ale w oczach Kseni coś rozblęzło. Zrozumienie. Przerażenie.

– Na litość boską – powiedziała wstrząśnięta.

Mówiłem szybko. Aby ją przekonać, by przekonać samego siebie.

– To jedyny sposób. Sasza nie trafi do więzienia. Jest dzieckiem. Dzieckiem upośledzonym. Nie jest poczytalny.

– Nie może pan... nie może pan obwinić dziecka o morderstwo – powiedziała Ksenia.

Ona wciąż nie rozumiała.

– To nie było morderstwo – zaprzeczyłem. – Za cztery tygodnie skończy siedem lat. Dziecko w wieku niespełna siedmiu lat nie może popełnić morderstwa w sensie odpowiedzialności karnej. Zwłaszcza dziecko niepełnosprawne.

– Ale przecież nie zostawię go w spokoju. Uznają go za zagrożenie. Dla innych dzieci.

– Zapewne trafi do poprawczaka.

– Dla niego będzie to oznaczało koniec – odparła Ksenia. Patrzyła na mnie, jakbym był potworem. Albo czymś równie obrzydliwym. – Nie może go pan oddzielić od rodziny. Żeby wegetował w jakimś zakładzie...

– To Wielka Brytania, nie Rosja – powiedziałem ostrzej, niż zamierzałem. – Instytucje, o jakich pani być może myśli, u nas w ogóle nie istnieją. Mamy placówki, w których dziećmi opiekują się wykwalifikowani pedagodzy. Pewnie będzie mu tam lepiej niż u nas. Ci ludzie znają się na takich przypadkach.

– Takich przypadkach? Małych zabójców? On nie jest jednym z nich.

– Już raz próbował utopić dziecko – przypomniałem.

Alice obudziła się z letargu.

– On tego nie zrobił. Zawsze to powtarzałeś, Oliverze. Nie zrobił nic złego.

To prawda, zawsze tak twierdziłem. Taka była moja opinia. Ale nie mieliśmy teraz czasu na dogłębną analizę tych wszystkich spraw. Potrzebowaliśmy planu, potrzebowaliśmy go szybko – a do tego musiał być sensowny.

– Kseniu, to szczytna myśl, by nie oddzielać Saszy od rodziny – powiedziałem – ale zapomina pani, że ta rodzina przestanie istnieć. Lena nie żyje. Alice trafi na wiele lat za kratki. Ja muszę pracować. O jakiej zatem rodzinie pani mówi?

Spojrzała na mnie, chyba zrozumiała, że mam rację.

– Ale... – zaczęła mimo to.

– Nie możemy tego zrobić, Oliverze – stwierdziła Alice. Choć mało przekonująco.

– On i tak trafi do zakładu – oznajmiłem. – Bo ja nie będę mógł się nim zająć. Prawdopodobnie stracę klientów i będę musiał zaczynać od nowa, nie będę też w stanie płacić Kseni. On jest niedorozwinięty, zawsze taki będzie. Potrzebuje stałej opieki. Co za różnica?

– Różnica polega na tym, że ludzie do końca życia będą go postrzegać jako kogoś, kto zabił własną siostrę – zauważyła Ksenia.

– On jest upośledzony umysłowo. Nie będą go mogli winić.

Wszyscy milczeli. W moich słowach kryło się ziarno prawdy.

– Nie mamy więcej czasu – powiedziałem niespokojnie.

– Co, jeśli Sasza nie będzie współpracował? – zapytała Ksenia. Odetchnąłem głęboko. Przynajmniej nie odrzucała już mojego planu.

– On tego tak naprawdę nie zrozumie – odpowiedziałem, nie patrząc na żadną z kobiet.

– Będą się nim zajmować psychologowie – odparła Ksenia. – Będą go wypytywać. Oni wiedzą, jak należy się obchodzić z niedorozwiniętym dzieckiem.

Tak, owszem. Oczywiście dostrzegałem problem. Było to ogromne ryzyko, bez dwóch zdań, ale nasze zeznania, Alice i moje, zostaną skonfrontowane ze słowami Saszy, który ma trudności z formułowaniem zdań i prawdopodobnie nie będzie w stanie zrozumieć przedstawionych mu zarzutów.

– To nasza jedyna szansa – oznajmiłem. – Kseniu, pani nie weźmie w tym udziału. Pani status jest dość niejasny... – Pewnie wcale tak nie było, ale chciałem się jej pozbyć. Ksenia była chwiejnym elementem układanki. Choćby dlatego, że miała najmniej do stracenia. I łączyła ją z Saszą silna więź.

– Sasza z pewnością będzie o mnie wspominał – odparła.

Bez wątplenia. Ale Sasza pomiesza kolejność zdarzeń, zresztą jak zawsze.

– Mieszkała pani u nas – powiedziałem – jako opiekunka. Ale kilka tygodni temu wróciła pani do Rosji.

Zamrugła powiekami.

– Gdzie mam się podziąć?

– Musi pani natychmiast spakować swoje rzeczy – oświadczyłem. – Weźmie pani nasz rower z przyczepką. Będzie ciężko, ale dotrze nim pani do Nottingham. Tam wezwie pani taksówkę, pojedzie do hotelu. Dam pani pieniądze. Wystarczy na dwie lub trzy noce w hotelu i lot powrotny do Moskwy. Dobrze?

– Ja...

– Natychmiast – powiedziałem szeptem. – Nie mamy chwili do stracenia.

Czmychnęła do swojego pokoju. Bez słowa, zdruzgotana.

– Porozmawiam teraz z Saszą – oznajmiłem. – Potem zadzwonię na policję. Alice, kapałaś Lenę. Wyszłaś na chwilę, bo w kuchni zagotowała się woda. Kiedy wróciłaś, doszło do tego zdarzenia. Zobaczyłaś, jak Sasza wpycha Lenę pod wodę. Walczyłaś z nim. Wyciągnęłaś Lenę z wanny. Lecz było już za późno. Potem siedziałaś tu z nią, trzymając ją w ramionach. Tak cię zastałem, co zresztą odpowiada prawdzie. Rozumiesz?

Skinęła głową. Sprawiała wrażenie uległej. Zarówno ją, jak i Ksenię przekonałem, że nie ma innej drogi. Czy będą się trzymać tej wersji? Bóg jeden wie.

Zostawiłem w łazience zastygłą w bezruchu Alice oraz martwą Lenę. Rzut oka do pokoiku Kseni przekonał mnie, że była zajęta pakowaniem. Na szczęście wiele nie posiadała. Wkrótce nie będzie tu po niej śladu.

Wszedłem do salonu. Sasza nadal siedział pod stołem w wykuszu. Dygotał. Zauważyłem, że sprawiał dokładnie takie wrażenie, jakie było nam na rękę: wydawał się zszokowany, przerażony, całkowicie zbity z pantałyku. Jego ciemne oczy zdradzały strach. Jakimś sposobem zrozumiał, że stało się coś złego, że jego młodsza siostra nie żyje.

Wytłumaczę mu teraz, że to on ją zabił.

9

Oliver otrząsnął się ze wspomnień, gdy usłyszał dzwonek do drzwi. Natychmiast się wyprostował, zaczął uważnie nasłuchiwać. Kto to mógł być? Może sprzedawca, może kobieta z mieszkania piętro niżej, która często zapominała klucza. Sasza najprawdopodobniej jednak nikogo nie wpuści do mieszkania, użyje domofonu, żeby go spławić. Czy stojący na dole człowiek zauważy coś dziwnego? Obcy głos, i to jękającego się, niezdarnie mówiącego mężczyzny. Kto jednak wyciągnąłby stąd wniosek, że dwoje ludzi znalazło się w niebezpieczeństwie i było przetrzymywanych wbrew ich woli?

Jeśli to sąsiadka, nie tak łatwo da za wygraną, bo potrzebuje klucza. Czy Sasza w końcu jej otworzy? I czy on, Oliver, powinien wtedy zawołać? Krzyczeć? Czy może

naraziłby młodą kobietę na niebezpieczeństwo? Była zupełnie nieświadoma, a Sasza miał broń. Kto wie, do czego jest zdolny, gdy wpadnie w panikę.

Usłyszał, jak Sasza podchodzi do drzwi. Rozległ się dźwięk brzęczyka.

Sasza nawet nie zapytał, kto to.

A zatem wiedział, kto przyjdzie. Kogoś się spodziewał.

Pomocy?

Oliver poczuł, że pot oblewa mu całe ciało. Obawiał się, że ze względu na przytłaczający go ciężar odpowiedzialności Sasza zrobi coś, co zaszkodzi im wszystkim, był jednak święcie przekonany, że nie ma do czynienia z bezwzględnym zabójcą. Tak naprawdę Sasza nie był w stanie skrzywdzić nawet muchy. Można by z nim porozmawiać. Skazany na bezczynność w tej ciemnej łazience, Oliver przez cały czas miał nadzieję, że tak właśnie robi Ksenia: że pomówi z Saszą. Zawsze miała z nim dobry kontakt. Mogła go przekonać, że źle postępuje, że lepiej będzie, gdy wszyscy z sobą porozmawiają, wyjaśnią sobie sprawy, do których doszło wiele lat wcześniej.

Gdyby jednak pojawił się ktoś jeszcze... Prawdopodobnie człowiek zupełnie innego pokroju... Facet, który strzelał do Kseni w pociągu. Przed którym ledwo uszła z życiem.

Czy dokończy tutaj to, w czym mu wcześniej przeszkadzono?

Oliver podczołgał się ku wejściu, w ciemności uderzył głową o umywalkę, lecz stłumił w sobie krzyk bólu. Przyłgął uchem do drzwi. Musiał się dowiedzieć, kto się pojawił w mieszkaniu.

Drzwi wejściowe się otworzyły, a wtedy obcy męski głos powiedział:

– I jak? Wszystko zgodnie z planem?

Dosłyszał odpowiedź Saszy:

– Nie, wcale nie.

– Dlaczego? Co się stało?

– Dwoje... – odparł Sasza z lekkim zająknięciem. – Dwoje... ludzi.

– Jak to... dwoje?

– Ty... mówiłeś... że on jest sam... – Nieznajomy chyba się rozejrzał i widocznie zobaczył Ksenię, gdyż powiedział: – O, kogo my tu mamy? A to miła niespodzianka. Ksenia Paget. Ile to się musiałem za tobą uganiać. A teraz nieoczekiwanie się spotykamy. Szczęście się do mnie uśmiechnęło.

Odpowiedzi Kseni Oliver nie zrozumiał. Obcy roześmiał się głośno.

– Wyobraź sobie, że lubię polować. I dlatego nic nie szkodzi, że trochę dłużej to trwało. Byłoby miło stuknąć cię w pociągu. Ale miałem przez to jeszcze większą

frajdę. – Potem ton jego głosu się zmienił, widocznie zwrócił się ponownie do Saszy. – A gdzie Oliver?

– W... w... łazience – wyjąkał Sasza.

– Okay. Zanim się nim zajmujemy, zrobimy porządek z Ksenią. Wygląda tak, jakby była gotowa do wyjazdu. Czyż nie, Kseniu? Któż ma ochotę dźwigać brzemię odpowiedzialności? Nadszedł dzień obrachunku, skarbie. Będzie wesoło. To będzie dla nas obojga świetna zabawa.

Później z łoskotem otwierano i zamykano szuflady.

– To się nada – powiedział obcy. A po chwili: – Przepraszam, droga pani, teraz zaboli. Ale muszę zachować ostrożność.

Ksenia zawyła z bólu. Oliver podejrzewał, że związano ją sznurkiem znalezionym w jednej z kuchennych szuflad.

– Nie – powiedział zaniepokojony Sasza. – Ona nie może oddychać, Ian!

– Tak trzeba – wyjaśnił nieznajomy, który najwyraźniej miał na imię Ian. – W przeciwnym razie zaczniesz krzyczeć, a co wtedy pomyślisz sąsiedzi?

Zapewne włożył jej do ust knebel. O Boże, biedna Ksenia. Oliver poczuł mdłości na myśl, że ona cierpi i z trudem oddycha. Nie wróżyło to nic dobrego. Ten Ian był okrutny i zdeterminowany. Co nim powodowało?

Ian.

Oliver desperacko szukał w pamięci, ale nie mógł sobie przypomnieć nikogo o tym imieniu. Nie znał żadnego Iana, z żadnym nie miał nigdy do czynienia. Czyżby jeden z jego klientów? Nie, nie było wśród nich nikogo o tym imieniu. Przynajmniej nikogo takiego nie pamiętał. A przecieżby zapamiętał, gdyby po latach doprowadziło to do takiej historii, prawda?

Ktoś energicznym krokiem podszedł do drzwi łazienki, Oliver pośpiesznie się odsunął, ponownie uderzając się w głowę. Przekręcono klucz, otwarto drzwi. Rozbłysnęło jaskrawe światło, Oliver aż zmrużył oczy. W drzwiach pojawił się duży, ciemny cień.

– Oliver, ty gnido – powiedział – jak miło cię w końcu poznać.

Wzrok Olivera z wolna przyzwyczajał się do jasnego światła. Z każdą chwilą rozpoznawał kolejne szczegóły. Ogromna, mocno zbudowana postać. Znoszone dżinsy. Szara bluza ze śladami żółtka z przodu. Czarne, nieuczesane włosy. Twarz, która... Tak, Oliver nie byłby w stanie powiedzieć, dlaczego akurat ta twarz wzbudziła w nim dreszcz przerażenia. Szyderstwo, z jakim mężczyzna nań spojrzał? Nieskrywana radość płynąca z poczucia przewagi? Okrucieństwo w jego uśmiechu? Czy może lodowaty chłód kryjący się w jego oczach? Choć wyraźnie napawał się

sytuacją, przyjemność ta nie objęła jego oczu. Wydawały się martwe. Mroczne. Pozbawione blasku, połysku, wyrazu. Po prostu matowe i bez życia.

Nigdy wcześniej nie widział takich oczu. Kompletnie wyzutych z najdrobniejszego uczucia. Co mówiły o tym człowieku?

Zaczął dygotać. Głęboko w swym wnętrzu.

Ian spojrział na niego z pewnym zainteresowaniem.

– Nigdy wcześniej nie widziałem cię z tak bliska. Wiem co nieco o twoim życiu. Ale się tam wystąpiłem... – Wskazał ręką w stronę kuchni, mając na myśli drugą stronę ulicy. – Wydawało mi się, że znam wszystkie twoje nawyki. Wiem wszystko o twoim pustym życiu. Nic się w nim nie dzieje. Naprawdę nic.

Oliver nie był pewien, czy Ian oczekuje odpowiedzi. Przezornie milczał.

– Nikt cię nie odwiedza. Nigdy! A tu masz! Zjawiła się niania z dawnych lat. Tego się nie spodziewałeś, prawda? Ja też nie. Ale Sasza świetnie sobie z wszystkim poradził. Upieczemy zatem dwie pieczenie na jednym ogniu. – Roześmiał się. Brutalnym, złośliwym śmiechem.

Czego on ode mnie chce? – zastanawiał się Oliver. Ma coś do mnie?

– Z tego, co wiem, byłeś mózgiem całej tej podłej historii – powiedział Ian. – Siłą napędową. Inni cię posłuchali, co nie znaczy, że są niewinni. Ale to ty wszystko ukartowałeś. To ty wpadłeś na pomysł, żeby Sasza zapłacił za to, co zrobiła twoja żona.

Robi to dla Saszy. Ale na pewno nie z poczucia sprawiedliwości.

Ten facet to psychopata, sadysta. Nie obchodziło go, czy Sasza nadstawiał karku za innych. Oliver był o tym przekonany. Ian uwielbiał znęcać się nad ofiarą, a najlepiej kilkoma ofiarami. Chodziło mu wyłącznie o zaspokajanie swoich perwersyjnych popędów. Swojej nienawiści, skłonności do przemocy, do tortur.

– Sasza musiał długie lata wytrzymać w najgorszym poprawczaku w kraju – powiedział. – Przez was.

Oliver nie odważył się odpowiedzieć – w istocie nie mógł temu zaprzeczyć – lecz jego milczenie zdawało się prowokować Iana, bo ten nagle zrobił krok do przodu i prawą nogą kopnął Olivera z całej siły w brzuch. Mimo letniej pory nosił ciężkie skórzane buty. Całe ciało Olivera przeszył tak potworny ból, że z wrzaskiem zgiął się wpół i zwinął w kłębek. Poczł mdłości, przez chwilę bał się, że z wymiotuje. Kawa zmieszana z żółcią napłynęła mu do gardła. Przełknął, wydając z siebie zdławiony odgłos. Ian głośno się roześmiał.

– Boli, co? A to dopiero początek, Oliverze. Niewielka próbka tego, co cię czeka. Zapłacisz za to, co zrobiłeś Saszy. Za wszystko w życiu się płaci, wiedziałeś? – Facet

był kompletnie stuknięty. Całkowicie chory na umyśle. – Wiedziałeś? – powtórzył groźnie.

Oliver wymówił ciche „tak”. Wciąż czuł mdłości.

Ian wyszczerzył zęby.

– A masz! – Zrobił błyskawiczny ruch nogą, jakby ponownie zamierzał go kopnąć.

Oliver przewrócił się z krzykiem na bok, próbując chronić brzuch i głowę. Ian jednak się powstrzymał. Zanosił się śmiechem.

– On naprawdę się boi, stary drań! Tak to jest, gdy nie jesteś najsilniejszy!

Oliver zamrugął i zobaczył Saszę stojącego za Ianem. Sasza pobladł, wyglądał na zestresowanego. Nie spodziewał się takiego rozwoju sytuacji. Zastanawiał się, co Ian mu naopowiadał, jak miała się zakończyć ta wendeta. Prawdopodobnie nie torturami i morderstwem. Być może Sasza nic z tego nie rozumiał. Wydawał się posłuszny woli Iana, oddany mu i gotowy podążyć za nim tam, dokąd sam nie zamierzał pójść.

Samotny. Opuszczony. Ian pewnie wydał mu się jedynym przyjacielem, jedynym wsparciem w życiu i w świecie, w którym sam nie potrafił się odnaleźć.

– Ściągaj skarpetę – rozkazał Oliverowi Ian.

Oliver zamrugął przestraszony.

– Co takiego?

– Zdejmuj skarpetę!

Dygocąc, Oliver ściągnął but z prawej stopy i zwinął niebieską skarpetę na kostce. Podał ją Ianowi. Ten sprawnie ugniół ją w kłębek, pochylił się nad Oliverem, po czym włożył mu skarpetę do ust. Przerażony Oliver zaczął łapać powietrze. Gruba wełna tak głęboko utkwiała w jego gardle, że miał nieodparte wrażenie, że się dławi. Desperacko próbował usunąć z ust obce ciało, ale nie mógł poruszać językiem, dociśniętym do dolnego podniebienia.

– Taśma – zwrócił się Ian do Saszy.

Sasza wręczył mu brązową rolkę, Oliver wiedział, że ją także znalazł w jednej z kuchennych szuflad. Wydawał z siebie desperackie odgłosy oporu. Bał się, że się udusi.

Ian wcale się tym nie przejął. Oderwał kawałek taśmy i zakleił nim skośnie usta i połowę twarzy Olivera, na wszelki wypadek powtórzył to samo z drugim kawałkiem.

– Proszę. Wreszcie będzie siedział cicho.

Długim sznurkiem wprawnie i umiejętnie związał Oliverowi ręce i nogi. Zostawił go na podłodze jak dobrze związany pakunek.

Oliver czuł potworne mdłości. Starał się zwrócić Ianowi uwagę, dać mu do zrozumienia, że nie może go tak zostawić. Ale tamten nawet na niego nie spojrział. Odwrócił się do drzwi, zatrzasnął je za sobą, przekręcił klucz. Wyłączył światło.

Dławiąc się i sapiąc, zdjęty śmiertelnym strachem, Oliver leżał w zupełnej ciemności.

10

Nie pojawił się od wczesnego ranka. Sopię powoli ogarniał strach.

Mijała godzina za godziną, potwornie się ślimacząc, bez żadnych oznak upływającego czasu.

Zazwyczaj Ian przychodził w porze obiadu, jednak tym razem dzień włókł się niemilosiernie, a on się nie zjawiał. A może to jeszcze nie pora? Czy dzisiaj minuty ciągnęły się jeszcze powolniej niż zwykle?

Sophia zastanawiała się, czy można umrzeć z powodu samotności i nudy. Czytała o więzieniach w państwach totalitarnych, w których ludzi przetrzymywano całymi miesiącami w izolacji i ciemności. Podobno wielu z nich popadało w szaleństwo. Sophia potrafiła to sobie wyobrazić. Najpierw traciło się poczucie czasu, potem własnego istnienia. W tym mrocznym koszmarze nieskończoności, bezkształtnych dni, godzin, minut, pośród całkowicie bezgłośnej ciszy, która jednak grzmiała i dudniła, zaczynało się umieranie.

Takie właśnie myśli ją opadały, gdy leżała nieruchomo w ciemności.

Ja umrę. To już się zaczęło.

Tylko jedna osoba na świecie wiedziała, gdzie się znajduje – był to Ian, co oznaczało, że tylko diabeł wiedział, gdzie przebywa. Był panem jej życia i śmierci, a więc jej życie nie było nic warte.

Mogła mieć tylko nadzieję, że śmierć nastąpi szybko. Ian nie był tym jednak zainteresowany. Wpadła w jego ręce, a on nie odmówi sobie przyjemności płynącej z zemsty.

Ból brzucha, który odczuwała już rano, stawał się coraz silniejszy. Była już niemal pewna, że to infekcja pęcherza moczowego, i chociaż dysponowała niewielką wiedzą medyczną, przeczuwała, że powodem było ciągłe cewnikowanie. Cewnik nie był zmieniany od chwili wprowadzenia. Do organizmu wciąż przedostawały się bakterie. Jeśli ból się nasili, stanie przed kolejnym problemem. Porywacz się nie pojawiał, ale nawet jeśli w końcu przyjdzie, nie miała pojęcia, jak mogłaby mu zwrócić uwagę na swoją dolegliwość. Wcale się nie przejmował jej cierpieniem. Może jednak zrozumie groźbę pojawienia się stanu zapalnego... że co? Dostanie gorączki? Dojdzie do zakażenia krwi? Jeszcze coś gorszego?

Stłumiła w sobie narastającą panikę. Na to nie mogła sobie pozwolić. Co miałyby począć człowiek zdjęty paniką, skoro nie potrafił nawet poruszyć małym palcem, by tę

panikę gdzieś skierować, przemienić w jakąś formę ruchu, jeśli żadnego ruchu jego ciało nie mogło już z siebie wykrzesać?

Znowu zauważyła, że wzbierają w niej łzy. Była uwięziona, kompletnie unieruchomiona. Uwięziona w tym pokoju. Uwięziona we własnym ciele. Nawet jeśli jakimś sposobem zdołałaby się oswobodzić ze szponów Iana, nadal pozostanie dożywotnim więźniem.

Poczucie beznadziei tysiącem ciężarów przygniotło jej piersi. Z trudem oddychała. Spowiła ją ciemność, przeniknęła do jej wnętrza. Noc będzie trwać wiecznie, bez względu na to, co się wydarzy. W tym momencie zdała sobie sprawę, jak naiwna była jej wiara, że odzyska swoje dawne życie. Doktor Dane nic nie mówił na temat jej paraliżu, bo nie znalazł słów dających jakąkolwiek nadzieję. Znowu będzie mogła mówić. Ale już nigdy nie będzie mogła chodzić, biegać, jeździć na rowerze. Pływać. Tańczyć. Uściskać drugiego człowieka. Poczuci puls życia w swoim ciele.

To koniec.

Zmęczona zamknęła oczy.

Jakiś hałas sprawił, że drgnęła. Uniosła powieki. Czyżby wrócił?

Nie po raz pierwszy oznajmił jej, że wyjeżdża na kilka godzin, a mimo to nadal miała wrażenie, jakby ktoś krzątał się po domu. Odgłosy były jednak tak ciche i odległe, że nierzadko brała je za przywidzenie.

Również tym razem z początku nie była pewna, czy rzeczywiście ktoś jeszcze przebywa w tym domu. Prawdopodobieństwo, że powoli zaczynała tracić rozum, było bardzo wysokie, może słyszała rzeczy, które rozgrywały się wyłącznie w jej głowie. Być może wcale nie wychodził. Może tylko tak twierdził, w rzeczywistości jednak zostawał w domu. Żeby sprawdzić, czy nie próbuje się uwolnić i uciec? To niedorzeczne. Przecież nie mogła się nawet poruszyć. Ani trochę. Mógł ją zostawić, nie zamykając drzwi ani okien, i zniknąć nawet na cały dzień. Po powrocie zastałby ją leżącą dokładnie w tej samej pozycji co wcześniej.

Nasłuchiwała w napięciu, lecz wokół niej panowała niezmacona cisza. Nikogo nie było słychać. Wyglądało na to, że znów się przesłyszała.

Ból się nasilał. Należało niezwłocznie wymienić cewnik, potrzebowała antybiotyków.

Jej usta ułożyły się do krzyku. Po raz tysięczny w ciągu ostatnich dni i godzin.

Wybrzmiał bezgłośnie w jej myślach.

Wypadek na M1 wydłużył podróż z Birmingham na północ kraju. Kiedy utknęli w korku, Robert zaczął przeklinać, natomiast Kate na przemian próbowała się połączyć – niestety bezskutecznie – z przebywającym we Francji terapeutą Iana Slade’a oraz rozmawiać z Colinem, którego tymczasem odnalazł policyjny patrol i zabrał z pustkowiec w samym sercu Yorkshire Dales. Opowiedział jej niesamowitą historię Olivera i Kseni. Oraz Alice Walsh. Matki, która utopiła w wannie swoje roczne dziecko.

– Żeby mała w końcu przestała krzyczeć – powiedział z nieomal namacalną konsternacją w głosie. – Wyobrażasz to sobie, Kate?

Kate podzielała jego oburzenie, ale jako wyszkolona śledcza wiedziała, że przyczyny tak niewiarygodnego postępu są zazwyczaj złożone. Częstymi motywami były przemęczenie, brak snu i bezsilność oraz poczucie, że własne życie rozpląta się pośród krzyków i żądań całkowicie uzależnionego od matki niemowlęcia. A do tego usilne starania, by wszystko to – przemęczenie, smutek oraz pustkę – ukryć przed otoczeniem, gdyż młoda matka musi być przecież szczęśliwa, powinna się radować z narodzin dziecka, gotowa raczej umrzeć, niż pozwolić, by temu małemu, bezradnemu stworzeniu przytrafiło się coś złego. Liczne ludzkie zachowania darzy się zrozumieniem, brak go jednak dla matki, która nie kocha swojego dziecka. Kate pomyślała o Mai Price, przyjaciółce Kseni z Southend-on-Sea. Niemilknący wrzask synka i kompletnie wyczerpana kobieta, niewysprzątany dom, włączony telewizor, bezmyślne oglądanie nieciekawych programów, tylko po to, by jakoś przebrnąć przez monotonię dnia. Maya nie zabiłaby swojego dziecka. Niemniej wcale nie wyglądała na szczęśliwą matkę i właśnie za to setki razy przepraszała. Gdyż było to złamanie tabu.

– A potem zrzucili winę na ich adoptowanego syna – powiedział Colin. – Na Saszę. Jest lekko upośledzony umysłowo. Miał wtedy niespełna siedem lat. Zapewne w ogóle nie rozumiał, co się stało. Po wcześniejszym skandalu, kiedy to w przedszkolu jakoby próbował utopić inne dziecko w brodziku, nikt nie miał wątpliwości, że jest odpowiedzialny za śmierć swojej przyrodniej siostry. Zwłaszcza że nie zaprzeczył. Potakiwał tylko głową.

– Czy była przy tym Ksenia? – zapytała Kate.

– Nie. Wyjechała, zanim Oliver Walsh zadzwonił po pomoc. Dostała trochę pieniędzy. Walsh chyba wiedział, że stanowi zagrożenie, że nie wytrzyma psychicznie przesłuchania. Była przerażona jego planem, ale nie miała odwagi się sprzeciwić. Zniknęła. Nigdy więcej nie widziała Walshów, słyszała tylko, że wyprowadzili się z Nottingham, gdzie wówczas mieszkali. Prawdopodobnie przenieśli się na północ. Pozostałe informacje wyczytała w gazetach.

– Sasza trafił do poprawczaka – powiedziała Kate. Powoli wszystko zaczęło się układać w całość.

– Tak. Uznany za niepczytalnego. Ale stanowił zagrożenie i zdaniem policji oraz opieki społecznej nie sposób było oczekiwać, by rodzina nadal mieszkała z nim pod jednym dachem.

– Zakład w Birmingham?

Tego Colin nie wiedział. Jednak Kate uznała to niemal za pewnik. Kilkakrotnie próbowała dodzwonić się do kierownika placówki, ale nie odbierał telefonu. Także w sekretariacie nikt się nie zgłaszał.

– Musimy się spieszyć! – powiedziała gniewnie do Roberta.

– Nic na to nie poradzę – odparł, równie wściekły na ciągnącą się przed nimi kolumnę samochodów.

Następnie zadzwoniła do Helen, która zapewne porzuciła już nadzieję na spokojny weekend.

Przekazała jej wszelkie uzyskane tymczasem informacje.

– Jeśli to tylko możliwe, proszę się dowiedzieć, w którym poprawczaku umieszczono chłopca. Sasza Walsh. Birmingham, jak przypuszczam, ale musimy mieć pewność.

– Dobrze – odparła Helen, gorliwie wszystko notując.

Kate dosłyszała w słuchawce odgłos drapiącego po papierze długopisu.

– Należy przyjąć, że Sasza Walsh jest obok Iana Slade’a drugim podejrzanym. Jako że obaj najwyraźniej z sobą współpracują, funkcjonariusze muszą się wybrać do dawnego domu Walshów. Mało prawdopodobne, by Slade zaszył się tam z Sophią Lewis, ale należy wykluczyć nawet tak znikomą ewentualność. Nie mamy adresu, musi go pani ustalić. Potrzebuję też obecnego adresu Walshów. I to w pierwszej kolejności, gdyż inspektor Stewart i ja niezwłocznie się tam udamy.

Helen westchnęła.

– Zajmę się wszystkim.

Zakończyli rozmowę. Robert spojrział na Kate.

– Nie wiedziałem, że jedziemy do Walshów.

– To sensowny krok, prawda? Może przekażą nam jakieś informacje o swoim adoptowanym synu. Poza tym są w niebezpieczeństwie. Najlepiej, gdyby opuścili swoje mieszkanie, a my umieścilibyśmy ich w bezpiecznym miejscu. Nie sądzę, by ta kruczata dobiegła końca.

Robert przejechał samochodem kilka metrów, po czym znów wszystko stanęło w miejscu.

– W takim razie nawet nie wiemy, czy jedziemy we właściwym kierunku. Godzinami stoimy w korku, a tu nagle się dowiemy, że Walshowie mieszkają gdzieś na południowym wybrzeżu.

– Ksenia powiedziała, że przenieśli się na północ. Miejmy nadzieję, że to prawda.

Przynajmniej w tej kwestii mieli szczęście. Pół godziny później zadzwoniła Helen i podała im adres w Leeds.

– Mieszka tam Oliver Walsh. Udało mi się też dowiedzieć, że Walshowie się rozwiedli. Nie ustaliłam jeszcze, gdzie obecnie mieszka Alice Walsh.

– Dobrze. Proszę to sprawdzić, Helen. Ruszamy prosto do Olivera Walsha. Ale jego byłej żonie także grozi niebezpieczeństwo. Musimy ją jak najszybciej odnaleźć.

– Zrobię, co w mojej mocy – obiecała Helen.

W końcu minęli miejsce wypadku, w którym zderzyły się trzy samochody, odgrodzone teraz kordonem policyjnych radiowozów i karetok pogotowia. Dalej nic już nie utrudniało płynnego ruchu pojazdów.

– Powinniśmy dotrzeć do Leeds za trzy kwadransy – oznajmił w pewnej chwili Robert.

Kate zerknęła na niego z boku. Wyglądał na zmęczonego i zdeprymowanego. Zdawał sobie sprawę, że w istocie to Kate prowadziła śledztwo, on zaś tylko podążał jej śladem. Wiedział, że jako szef zawodzi na całej linii i że Kate milczy na ten temat tylko przez grzeczność i szacunek. Na dłuższą metę nie sposób jednak tak działać. Ona o tym wiedziała, wiedział i on.

Pod wskazany im przez Helen adres dotarli już po szóstej wieczorem. Cicha dzielnica na obrzeżach Leeds, mało uczęszczana ulica. Po obu jej stronach domy wielorodzinne stojące w niewielkich ogrodach. Żadnych bawiących się dzieci. Choć sierpniowy wieczór był jeszcze całkiem jasny. Może mieszkali tu w większości starsi ludzie. A może rodziny z dziećmi wyjechały na wakacje.

Kate od razu dostrzegła zaparkowany na poboczu samochód Colina.

– Ksenia jest tutaj – powiedziała. – To samochód, który ukradła mojemu przyjacielowi Colinowi.

– Co ona tu robi? – zapytał Robert, po czym wysiadł i rozprostował nogi zeszytniałe po długiej podróży.

– Śledzą ją. Podejrzewa, że stoi za tym Sasza. To oczywiste, że chciała porozmawiać z człowiekiem, który wówczas to wszystko ukartował.

– Będzie nam musiał sporo wyjaśnić – mruknął ponuro Robert. – Boże, co za historia. Jego żona zabija ich dziecko, a on zrzuca winę na niedorozwiniętego adoptowanego syna. Ten trafia na wiele lat do poprawczaka. Nawet rozumiem, czemu chce pociągnąć winnych do odpowiedzialności.

– Ja też to rozumiem, ale tak nie można. Na szczęście.

Robert wymamrotał coś pod nosem i ruszył w ślad za Kate. Przeszli przez ulicę w kierunku ogrodowej furtki.

Zadzwonili, ale nikt nie odpowiedział. Kate ponownie nacisnęła dzwonek, po czym spróbowała pchnąć furtkę. Była otwarta. Znaleźli się na wyłożonej płytami ścieżce prowadzącej do drzwi wejściowych.

– Może nie ma ich w domu – uznał Robert. Spojrzał w górę. – W jednym z okien ktoś się poruszył. Ale nie wiem, czy to mieszkanie Walsh.

Kate zmarszczyła czoło.

– Tak czy siak, dokąd mieliby pójść? Mają poważne sprawy do omówienia, nieprzeznaczone dla obcych uszu. I są w niebezpieczeństwie.

– Może dlatego wyjechali. W jakieś bezpieczne miejsce.

– Porzucając samochód Colina?

Dotarli do drzwi frontowych. Stojąca przed nimi młoda kobieta grzebała w torebce. Uniosła wzrok.

– Mój klucz... – Westchnęła z ulgą. – Mam. Znalazłam.

Kate wyciągnęła legitymację.

– Inspektor Kate Linville, policja North Yorkshire. Mój kolega, inspektor Stewart. Czy zna pani Olivera Walsh?

Kobieta wyglądała na zaskoczoną.

– Tak. Mieszka nade mną. Bardzo miły pan. Ma zapasowy klucz do mojego mieszkania, bo często swojego zapominam.

Robert zrobił krok do tyłu i wskazał w górę.

– Czy to okno należy do jego mieszkania?

Kobieta skinęła głową.

– Tak. Czy coś się stało? – zapytała bojaźliwie.

– Musimy z nim porozmawiać – uspokoiła ją Kate. Zamyśliła się. Jeśli Robert się nie pomylił, Walsh przebywał w domu. Ksenia była razem z nim. Dlaczego nie otworzyli drzwi?

Bo się boją. W ich sytuacji to zrozumiałe.

Ponownie zadzwoniła do drzwi, ale nadal nikt nie odpowiadał.

– Mogę państwa wpuścić – zaproponowała młoda kobieta. – Przynajmniej na klatkę schodową.

Kate skinęła głową. Miała złe przeczucia, to wszystko jej się nie podobało. Zrozumiała, że Oliver nie chciał wpuścić dwóch całkiem nieznanym mu osób, które najwyraźniej dostrzegł przez okno. A mimo to... Wewnętrzny głos zalecał jej ostrożność.

– Może powinniśmy wezwać wsparcie? – szepnęła do Roberta.

Potrząsnął głową.

– Wsparcie? Żeby przesłuchać dwie osoby?

Kobieta tymczasem otworzyła drzwi.

– Proszę. On mieszka na piętrze.

– Pani mieszka na parterze?

– Tak.

– Proszę zatem iść prosto do swojego mieszkania. Zamknąć za sobą drzwi i na razie ich nie otwierać. Dobrze?

– Coś się stało, prawda?

– Tak na wszelki wypadek – uspokajała Kate.

Młoda kobieta szybko otworzyła drzwi do mieszkania, zniknęła w środku. Słychać było odgłos dwukrotnie przekreślonego w zamku klucza.

Robert zmarszczył brwi.

– Wystraszyła ją pani!

– Sytuacja wydaje mi się podejrzana – wyjaśniła Kate. Stali na dole przy schodach, nasłuchując.

– Idziemy na górę – postanowił Robert. – Może w drzwiach jest wizjer, będą mogli obejrzeć nasze legitymacje. Policji na pewno otworzą.

– Policji Ksenia boi się prawie tak samo jak swoich prześladowców – mruknęła Kate. Ruszyła za Robertem. W połowie schodów był podest z oknem, przed którym na staromodnej drewnianej ławce stała duża terakotowa donica z nieokreśloną, przywiedłą rośliną. Dalej schody skręcały, po czym prowadziły prosto do korytarza i drzwi mieszkania.

– To muszą być drzwi do mieszkania Walsh – powiedział Robert i postawił stopę na pierwszym stopniu.

Drzwi na górze się otwarły, w tej samej chwili na klatce schodowej padły strzały. Robert zwałił się jak ścięte drzewo. Leżał na schodach z groteskowo wykręconymi kończynami.

Kate śmiertelnie się wystraszyła, odskoczyła do tyłu, chowając się za zakrętem schodów. Telefon komórkowy, który mocno trzymała w dłoni – by w razie potrzeby wezwać pomoc – wyslizgnął jej się z drżących palców i spadł w ciemną otchłań, prawdopodobnie do piwnicy. Kate usłyszała, jak roztrzaskuje się na kawałki.

Zakłęła w myślach. Cholera, przecież wiedziała, przeczuwała. Kiedy wreszcie nauczy się ufać podszeptom swojego wewnętrznego głosu?

Znowu rozległy się strzały. Jedna kula ponownie trafiła inspektora Stewarta, jego ciało drgnęło. Kate, leżąc płasko na brzuchu, próbowała ostrożnie przesunąć się do

przodu. Gdyby zdołała chwycić go za nogę, mogłaby go wyciągnąć z pola ostrzału. Każdy ruch mógł się dlań okazać niebezpieczny, ale jeszcze bardziej niebezpieczne było bez wątpienia pozostawienie go w tym miejscu. Nadto miał telefon komórkowy. Gdzieś schowany. Musiała niezwłocznie wezwać wsparcie, uzbrojony oddział. Ktoś tam na górze strzelał bez ostrzeżenia do każdego, kto zbliżył się do mieszkania, a także przetrzymywał zakładników. Należało ewakuować mieszkańców domu.

Już niemal dotarła do leżącego Roberta, gdy padły kolejne strzały. Kate ledwo zdołała się wycofać. Zaczęła gorączkowo rozmyślać. Nie było sensu próbować wydostać Roberta z linii ognia; kiedy tylko wysunęła się nieco do przodu, szalencie na górze zaczął strzelać, zwiększając tym samym ryzyko, że jej szef zostanie ponownie trafiony. Zastanawiała się, czy jeszcze żyje. Nie mogła tego ocenić. Leżał na schodach jak wielki, masywny worek piasku, idealny nieruchomy cel.

Co powinna zrobić? Nie miała broni, nie miała komórki, nie pozostało jej nic poza odwrotem. Mogła spróbować zadzwonić z mieszkania młodej kobiety na parterze, niemniej żelazna zasada nakazywała, by w podobnych sytuacjach w żaden sposób nie narażać cywilów, zwłaszcza jeśli przebywali w bezpiecznym miejscu za zamkniętymi drzwiami.

Inna możliwość to dotarcie do samochodu i przejazd do najbliższego posterunku. Kate przywołała w pamięci wyłożoną płytami ścieżkę prowadzącą do furtki. Z początku mogłaby posuwać się do przodu, mocno przywierając do ściany budynku, ale ostatni odcinek drogi musiałyby pokonać w otwartym terenie. A wtedy Ian Slade – założyła, że to on strzelał – z łatwością mógłby ją trafić z okna mieszkania. Nie rosły tam żadne drzewa ani krzewy, jedynie niska roślinność, niedająca żadnej osłony. Pozostawało jeszcze obejście domu przez ogród na jego tyłach. W tym przypadku musiałyby spróbować dotrzeć do ulicy, zataczając łuk przez jedną z sąsiednich posesji.

Dużo zmarnowanego czasu.

Jeszcze więcej czasu traciła, siedząc beczynn timer na schodach i pogrążając się w dywagacjach, podczas gdy inspektor Stewart walczył o życie, o ile w ogóle jeszcze żył. Ponadto istniało niebezpieczeństwo, że pozostali mieszkańcy lada chwila pojawią się w drzwiach wejściowych albo wyjdą ze swoich mieszkań.

Musiała działać szybko i rozważnie. Oblała się potem.

Padł kolejny strzał. Tym razem nie na klatce schodowej, lecz w mieszkaniu.

Czyżby zaczął strzelać do zakładników?

Kate zerwała się na równe nogi. Jednocześnie usłyszała odgłos kroków człowieka schodzącego po schodach. Ktoś jednym susem przeskoczył ciało inspektora Stewarta, zagradzając dolne stopnie. Od ciężkich butów aż zadudniły schody. Ogromna postać przesłoniła rozjaśniające wnętrze okno.

Kate ujrzała wycelowaną w siebie broń.
Zastanawiała się, jak to jest umrzeć.

12

Za kwadrans siódma owego sobotniego wieczoru na posterunku policji w Leeds zadzwonił telefon alarmowy. Oficer dyżurna usłyszała kobiecy głos, tak struchlały i cichy, że miała trudności ze zrozumieniem słów.

– Doszło do strzelaniny. Tutaj, w domu. Po tym, jak wpuściłam dwoje policjantów.

– Policja już tam jest?

– Tak. Ale potem doszło do strzelaniny, a teraz nic nie słychać. Od co najmniej dziesięciu minut.

– Może pani podać mi swój adres?

Kobieta podyktowała adres. Wydawała się potwornie wystraszona.

– To budynek wielorodzinny? – zapytała funkcjonariuszka.

– Tak. Tych dwoje policjantów przyszło do pana Walsha. On mieszka nade mną. Na pierwszym piętrze.

– Czy policjanci się wylegitymowali?

– Tak.

– Czy ktoś jest ranny?

– Nie wiem. Cały czas jestem w swoim mieszkaniu.

– W pobliżu znajduje się patrol, zjawi się u pani lada chwila. Proszę koniecznie pozostać w mieszkaniu. Proszę nie zbliżać się do okna i nikomu nie otwierać drzwi. Dobrze?

– Dobrze. – Nie trzeba jej było tego mówić. Nawet przez telefon sprawiała wrażenie skostniałej ze strachu.

Funkcjonariusze, którzy wkrótce potem przybyli na miejsce, ostrożnie podeszli do budynku, świadomi, że w każdej chwili ktoś może zacząć do nich strzelać.

Duże drzwi wejściowe na pierwszy rzut oka wydawały się zamknięte, okazało się jednak, że łatwo je otworzyć. Zamek nie do końca zaskoczył. Pewnie ktoś wybiegł z domu w pośpiechu.

Nie zapadł jeszcze zmrok, wewnątrz klatki schodowej było wyraźnie widoczne. Żadnego ruchu. Żadnego dźwięku.

Dwoje funkcjonariuszy weszło po schodach. Dotarli do podestu. Ujrzeli mężczyznę leżącego na wyższych stopniach. Policjantka natychmiast wyciągnęła telefon komórkowy.

– Potrzebna karetka. Szybko. I uzbrojona jednostka, to pilnie. Jak na razie jeden ranny.

Jej kolega pochylił się nad ciałem, próbował wyczuć puls.

– Martwy – sprostował. – Ten człowiek nie żyje. – Pogrzebał w kieszeni marynarki zmarłego, podczas gdy jego partnerka nie spuszczała z oka drzwi mieszkania na górze. Wziął do rąk legitymację Roberta. – Inspektor Robert Stewart. Wydział śledczy Scarborough. To policjant.

Spojrzeli po sobie.

– Cholera – mruknął funkcjonariusz.

Niespełna kwadrans później przed budynkiem aż zaroilo się od służb ratunkowych. Sanitariusze potwierdzili śmierć inspektora Stewarta. Uzbrojeni policjanci zabezpieczyli mieszkanie. W przedpokoju przed kuchnią znaleźli kolejnego martwego mężczyznę. Jego twarz była zanurzona w kałuży krwi. Został zabity strzałem w głowę z małej odległości.

W kuchni siedziała na krześle związana sznurem kobieta z kneblem w ustach, wydając z siebie odgłosy zadławienia. W łazience leżał w kącie mężczyzna, również skrępowany, z okrutnie wykręconymi kończynami, związany jak pakunek. Brutalnie wepchnięto mu głęboko do gardła knebel i zaklejono usta taśmą. Mężczyzna był bliski uduszenia. Natychmiast zabrano go do szpitala.

Na wpół martwy mężczyzna oraz dwóch martwych ludzi, jeden z nich to wysoki rangą policjant.

Funkcjonariuszka, która razem ze swoim kolegą pierwsza dotarła na miejsce zdarzenia, kilkakrotnie dzwoniła do centrum operacyjnego, gdzie pod dużą presją zbierano wszelkie informacje.

– Wydział śledczy w Scarborough potwierdza interwencję – poinformowano ją. – Inspektor Robert Stewart i sierżant Kate Linville pojechali tam, by porozmawiać z Oliverem Walshem. Właścicielem mieszkania.

– To człowiek, którego znaleźliśmy w łazience – wtrącił funkcjonariusz. – Tak twierdzi kobieta, która siedziała związana w kuchni. Ksenia Paget. Martwy mężczyzna w przedpokoju to jego adoptowany syn. Sasza Walsh. Strzał oddał inny mężczyzna, którego pani Paget zna tylko z imienia: Ian. Uciekł po tym, jak strzelił Saszy Walshowi w głowę.

Wymienili oszołomione spojrzenia.

– To zbiegły sprawca – powiedziała funkcjonariuszka, która rozmawiała z centralą. – Mamy zbiegłego sprawcę i zaginioną sierżant. Gdzie, do cholery, podziła się ta Kate Linville?

– Przechesujemy cały dom oraz okoliczne ogródki i ulice – oznajmił szef uzbrojonego oddziału. – Może ukryła się w bezpiecznym miejscu.

– W piwnicy leży zepsuta komórka! – zawołał ktoś. – Może należała do tej Linville?

Nikt nie powiedział tego na głos, ale wszyscy podejrzewali, że nie znajdą Kate Linville ani w tym budynku, ani w najbliższej okolicy.

Zniknęła bez śladu.

Razem z bezwzględnym zabójcą, który nie miał nic do stracenia.

Jeszcze nigdy tak bardzo nie cierpiałem. Nigdy nie czułem się tak bliski śmierci. Te godziny, które spędziłem w łazience, skrępowany i zakneblowany, z nieustannym wrażeniem, że się dławię... Byłem przekonany, że nie dam rady. Że umrę, zanim ten facet mnie zastrzeli. Byłem zdesperowany i zagubiony, w ciemności i bólu, beznadziei, strachu. We wszystkim, co szykuje nam piekło.

Potem usłyszałem strzały, ale nie wiedziałem, do kogo je oddano. Wreszcie zjawiała się policja i mnie uwolniła. Niewiele brakowało, a ucałowałbym funkcjonariusza, który wyciągnął mi knebel z ust, bo nigdy wcześniej nie czułem takiej wdzięczności.

Jestem teraz w szpitalu. Myślę, że Ksenia także tu przebywa, przez ostrożność, a także po to, by ją przebadano. Nie wiem, czy naszych drzwi strzegą policjanci, a jeśli tak, to albo po to, by nas chronić, albo by nas pilnować, pewnie jedno i drugie. Zostaniemy przesłuchani z powodu tamtej sprawy, próba jej zatuszowania byłaby teraz bezcelowa, zresztą jestem już tym zbyt zmęczony. Nie wiem, czy podlega przedawnieniu. Musimy stawić czoła temu, co zrobiliśmy.

W pewnym sensie jest to jakaś ulga.

Niewiarygodne, jak łatwo poradziłem sobie wówczas z sytuacją. Na pytania policji, a później także psychologów, czy wepchnął swoją młodszą siostrę pod wodę, Sasza odpowiadał twierdząco. Wiedziałem, że zawsze godził się na insynuacje, co prawdopodobnie wynikało z faktu, że bez wahania uznawał wyższość i autorytet innych osób i się im podporządkowywał. Nie sądził, że to możliwe, by jego wersja zdarzeń okazała się prawdziwa, dlatego w ogóle się nie wypowiadał. On był małym imbecylem, a wszyscy pozostali byli mądrzy i silni, więc ich słowa musiały być prawdą, nawet jeśli on zgoła inaczej zapamiętał przebieg wydarzeń.

Na Alice nie padło żadne podejrzenie. Zarzucano jej wprawdzie, że wyszła do kuchni i zostawiła roczną córeczkę pod opieką opóźnionego w rozwoju adoptowanego brata, wiedząc, że już wcześniej podejrzewano go o zaatakowanie małej dziewczynki, niemniej z uwagi na fakt, iż jako matka musiała znieść niewiarygodną tragedię, stratę własnego dziecka, traktowano ją łagodnie i wyrozumiale. Matka trudnego dziecka oraz niemowlęcia – można było sobie wyobrazić jej stres i przemęczenie. Popęłniła straszliwy błąd. Gorzko za to zapłaciła.

Zgodnie z zaleceniem opieki społecznej Sasza został nakazem sądowym skierowany do poprawczaka. Miałem potworne wyrzuty sumienia, ale bałem się, że jeśli zaprotestuję, to na mnie padnie podejrzenie. Jak moglibyśmy w tych okolicznościach nadal mieszkać razem z nim pod jednym dachem? Wysłano go do państwowego poprawczaka w Birmingham, najbliższej placówki tego typu.

Wszystko odbyło się dość sprawnie. Pani z opieki społecznej zabrała go z sobą jeszcze tego samego wieczoru. Alice siedziała w kącie salonu pod opieką psychologa. Mnie także zaproponowano jego pomoc, ale odmówiłem. Wolałem zostać blisko Alice, próbując podsłuchać, o czym mówiono. Bardzo się obawiałem, że się załamie i wyzna całą prawdę albo zapłacze się w sprzecznych zeznaniach. Nie mieliśmy czasu, by wielokrotnie powtórzyć naszą wersję wydarzeń, aż wryje się, by tak rzec, w naszych mózгах. Musieliśmy zmierzyć się z policją, psychologami, opieką społeczną, a następnie rzecz jasna z nieuniknioną obecnością mediów, a nasza naprędce sklecona historia musiała wyjaśnić wszelkie nasuwające się wątpliwości. A przecież byliśmy u kresu wytrzymałości, zszokowani i pogrążeni w traumie. Nie potrafiliśmy zachować zimnej krwi. Z drugiej jednak strony okazało się to dla nas korzystne: byliśmy kłębkami nerwów, to zrozumiałe, wszelkie inne zachowania byłyby dość dziwne. Prawdopodobnie darowano nam pewne niespójności w zeznaniach. Wszyscy rozumieli, że byliśmy kompletnie zdezorientowani.

Ksenia zniknęła, tak jak uzgodniliśmy, niemniej na samą myśl o niej wstrzymywałem oddech: co prawda zrobiła to, co jej poleciłem, ale widziałem i wyczuwałem, jaka była zszokowana. Tym, co zrobiła Alice, ale może nawet bardziej rozwiązaniem, które zaproponowałem i wcieliłem w życie. Nieprawdopodobny czyn Alice mogła sobie jeszcze jakoś wytłumaczyć – jej depresją, przemęczeniem, chroniczną rozpaczą. Może nie usprawiedliwić, ale poniekąd zrozumieć, jak mogło do tego dojść. Natomiast to, co zrobiłem ja, nappełniało ją przerażeniem. Pewnie też obrzydzeniem. Pytanie, czy jej sumienie to zniesie. Mogłem tylko mieć nadzieję i się o to modlić.

Sasza pozostał przez kilka dni pod nadzorem opieki społecznej i rodziny zastępczej, zanim przewieziono go do Birmingham. Powiedziano nam, że możemy go raz jeszcze zobaczyć, ponieważ w Birmingham będą obowiązywały ścisłe godziny odwiedzin i inne regulacje. Alice nie chciała o tym słyszeć, ja natomiast pojechałem, bo obawiałem się, że zagryzą mnie wyrzuty sumienia. Spotkanie odbyło się w dość ponurym pomieszczeniu: żółte linoleum na podłodze, w kącie umywalka, biurko. Na ścianie kilka plakatów reklamujących jakieś imprezy.

Sasza siedział na krześle, był blady i wychudzony. Na mój widok jego twarz się rozpromieniła, zerwał się na równe nogi i podbiegł do mnie. Wziąłem go w ramiona. Ciężko przełknąłem. Ocaliłem Alice przed więzieniem, które oznaczałoby dla niej śmierć psychiczną – ale jakim kosztem?

– Wracamy do domu? – zapytał Sasza w nieco urywany, mozolny sposób.

Potrząsnąłem głową.

– Niestety nie, mój chłopcze. Wiesz, dlaczego nie możemy?

Spojrzał na mnie, w jego wielkich ciemnych oczach czaił się głęboki smutek.

– Lena – powiedział.

– Tak. Wiesz, co zrobiłeś Lenie?

Skinął głową. Przejął się.

– Bardzo źle – szepnął.

– Tak, bardzo źle – powtórzyłem.

Był niewinny, ale doskonale odegrał swoją rolę. Bo uwierzył? Czy może dlatego, że sądził, iż dzięki temu zdoła zachować naszą miłość? Pewnie wszystkiego po trosze.

Spojrzał w kierunku drzwi, przy których stała pracowniczka opieki społecznej.

– Gdzie jest Alice? – zapytał.

Westchnąłem.

– Nie mogła przyjść. Jest w złym stanie. Jest jej bardzo smutno z powodu Leny.

Zamyślił się na chwilę.

– Czy już nigdy więcej nie zobaczę Alice?

– Ona potrzebuje czasu – odpowiedziałem.

– Czasu – powtórzył.

– Tam, dokąd teraz się udasz, będzie ci dobrze. Jest tam wiele innych dzieci...

Było to oczywiście fałszywe stwierdzenie. Sasza nigdy nie miał dobrych doświadczeń z innymi dziećmi, wręcz przeciwnie. Spojrzał na mnie przerażony.

– Dzieci?

– To bardzo miłe dzieci. I mili dorośli. Spodoba ci się. Jestem tego pewien.

Nie wydawał się przekonany.

– Alice – powiedział ponownie.

Niesamowite, jak bardzo był do niej przywiązany. Owszem, to ona spędzała z nim większość czasu. Ale w zasadzie nigdy się z nim nie dogadywała, od samego początku. Zamęczał ją, a ona na próżno usiłowała się pogodzić z jego upośledzeniem. Od tamtej pory zawsze odnosiła się do niego z pewną rezerwą.

Dlaczego stała się dlań źródłem wszelkich uczuć, całego życia – tego nie pojmuję. Kochał ją, bez względu na wszystko. A miłość wymyka się wszelkim próbom objaśnienia.

– Kiedy Alice poczuje się lepiej, przyjedzie do ciebie – zapewniłem.

Nigdy nie zapomnę jego spojrzenia, gdy wychodził z pokoju prowadzony za rękę przez panią z opieki społecznej. Nie wzbraniał się. Wydawał się zdesperowany, lecz zarazem całkowicie poddany swojemu losowi. Bo i co mógłby zrobić? Miał siedem lat i został przegnany z naszego życia. W tej chwili miał tylko dłoń tej obcej kobiety, która mocno go trzymała.

Ja natomiast wróciłem do Alice.

Próbowałem nas ocalić, to, co jeszcze zostało z naszego wspólnego życia.

Jak się miało okazać, nie zostało zupełnie nic.

Niedziela, 4 sierpnia

1

Dzień mijał tak powoli, jakby ktoś gdzieś zdecydował, że od tej pory zmrożony czas nie będzie biegł naprzód. Caleb Hale wpatrywał się w ściany własnego salonu, zastanawiając się, czy kiedykolwiek doświadczył tak męczącego i rozwlekłego dnia. Od chwili zawieszenia go w obowiązkach czas często mu się dłużył, dzień powszedni stracił swoją strukturę. Nie miało żadnego znaczenia, o której wstał z łóżka i czy w ogóle to zrobił. Nieważne było, czy jadł i pił, kiedy kładł się spać, czy brał prysznic, golił się, ubierał, czy też przez cały dzień siedział w salonie przy stole w slipkach i podkoszulku, gapiąc się nieruchomo przed siebie. Czasami, gdy transmitowano mecze piłki nożnej lub wyścigi Formuły 1, włączał telewizor. Przynajmniej słyszał wtedy wokół siebie głosy. Nie czuł się jednak ani trochę lepiej.

Tego dnia wszystko wyglądało inaczej.

Caleb nadal utrzymywał kontakt z policją z North Yorkshire. Był tam lubiany, wielu postrzegało jego zawieszenie jako zgoła coś więcej niż tylko akt niesprawiedliwości. Caleb dowiedział się, że niektórzy policjanci zaangażowani w ową pamiętną tragiczną akcję w Zatoce Północnej udali się nawet do naczelnika wydziału, by zaprotestować przeciwko jego zawieszeniu. Dwóch z nich stało wówczas na tyle blisko, by usłyszeć rozmowę telefoniczną przeprowadzoną przez Caleba z oszalałym Jaydenem White'em; jednomyślnie zeznali, że ich szef postąpił zgodnie z zasadami i nie popełnił żadnego błędu. Sytuacja okazała się beznadziejna, więc Caleb nie ponosił żadnej winy. Na nic się to zdało: siedem dziesiątych promila było nie do podważenia.

Już poprzedniej nocy dawni koledzy zadzwonili z wiadomością o śmierci Roberta Stewarta. Został zastrzelony przez kryminalistę, sprawca uciekł, a Kate Linville, która w chwili morderstwa prawdopodobnie stała obok Stewarta, zniknęła bez śladu.

Caleb przez całą noc nie zmrużył oka.

Robert Stewart nie żyje.

Czuł się przez niego zdradzony, niespodziewanie zaatakowany i wysadzony z siodła. Zbyt dobrze pamiętał chwilę, w której zdał sobie sprawę, *kto* go oczernił. Człowiek, po którym nigdy by się tego nie spodziewał. Prawie dwadzieścia lat bliskiej współpracy – w zawodzie, w którym najważniejsze było bezwzględne wzajemne zaufanie. Jego bezpieczeństwo zależało od Roberta, podobnie jak bezpieczeństwo Roberta od niego. Bez zaufania do partnera pracy tej nie sposób wykonywać.

Robert zniszczył to zaufanie, donosząc na niego do naczelnika.

A przecież we wcześniejszych latach sobie ufali, wspólnie pokonywali trudne i niebezpieczne sytuacje, doświadczali chwil, w których wystarczyło spojrzeć na partnera, by wiedzieć, co myśli. Rozumieli się i porozumiewali bez słów. Mieli stuprocentową pewność, że się nawzajem wspierają, nawet w najbardziej krytycznych momentach.

Caleb Hale pogrążył się w smutku. Nieważne, jak to wszystko się zakończyło. Opłakiwał swojego partnera, czując się zarazem, jakby śnił jakiś zły sen. Robert Stewart został zastrzelony. Zwyczajnie zabity na schodach bloku na obrzeżach Leeds. To niewiarygodne. To nie mogło być prawdą. A jednak wiedział, że wcale nie śni.

Nie mógł wszakże pozwolić sobie na pogrążenie się w cichym żalu, nie mógł zastygnąć w bólu. Myśli jak oszalałe krążyły w jego głowie. Co się stało z Kate?

Zniknęła. Bez śladu. Niewiele wcześniej zadzwoniła do centrali, informując, że razem z Robertem jadą z Birmingham do Leeds na przesłuchanie.

Przeszukano cały budynek, każde mieszkanie, w nadziei, że Kate gdzieś się schroniła, ukryła, kiedy niespodziewanie doszło do strzelaniny. Nigdzie jej jednak nie było. Ani w piwnicy, gdzie znaleziono jej roztrzaskany telefon, ani na strychu, ani w ogrodzie, ani w okolicznych ogródkach i domach. Coraz wyraźniej rysował się jedyny prawdopodobny scenariusz: zbiegły przestępca – nazywał się Ian Slade – uprowadził ją z sobą.

Kate wpadła w ręce psychopaty, szalonego zabójcy, dla którego życie ludzkie nie miało żadnej wartości. To był najgorszy możliwy scenariusz, oznaczał bowiem bezsilność. Kate i jej porywacz mogą przebywać wszędzie. Gdzieś w nocy. W pierwszym blasku dnia. W godzinach tej mozolnie upływającej niedzieli.

Caleb czuł się niemal rozdarty, mając świadomość, że nic nie może zrobić. *Że siedzi w domu.* Że nie jest na służbie. Cokolwiek się stanie, on w tym nie bierze udziału. Nie wiedział, co się właściwie dzieje. Czy dzieje się to, co właściwe. Śledczy prowadzący sprawę nie żyje, człowiek, który skupiał w swoich rękach wszystkie nici. Niezbyt umiejętnie, jak sugerowała Kate. A jednak. Caleb podejrzewał, że pracownicy wydziału biegają teraz w popłochu, usiłując zebrać wszelkie wątki sprawy.

Koszmar. Bo czas działał na niekorzyść Kate. Nieubłaganie.

Cały dzień Caleb się opierał. Pokusie. Na stole stała przed nim butelka whiskey, wpatrywał się w złocisty trunek. Obiecywał wybawienie, gdy okoliczności stawały się nie do zniesienia, obiecywał odurzenie, zapomnienie, dryfowanie w obszary, w których świat tracił swoją ostrość i potworność. Ale sięgnie po niego jedynie w razie konieczności. Po raz pierwszy od dłuższego czasu chciał zachować jasność umysłu.

Musiał być obecny, przytomny, musiał myśleć w sposób krystalicznie czysty. Musiał pomóc Kate. Nie wiedział tylko, jak miałyby to zrobić.

Z pewnością nie siedząc niemal całą dobę przy stole i wpatrując się w butelkę.

Wstał o zmierzchu. W lustrze wiszącym na ścianie naprzeciw stołu w jadalni zobaczył siebie – i był przerażony. Prawdopodobnie wyglądał tak od wielu dni, ale dopiero teraz spojrzął na siebie zupełnie trzeźwo. Ujrzał mężczyznę o zapadłych policzkach, zaczerwienionych oczach oraz skudlonych, przydługich włosach. Twarz pokrywał szary zarost. Miał na sobie poplamiony podkoszulek, pod pachami widniały ciemne ślady potu.

Wyglądał na rozbitego. I starego. Nie miał w sobie nic z bohatera, który mógłby uratować Kate Linville.

Drgnął gwałtownie, gdy zadzwonił dzwonek do drzwi.

Najchętniej udałby, że nie ma go w domu, ale być może ominą go wówczas jakieś ważne informacje.

Począł do drzwi – czuł, jakby zardzewiały mu wszystkie stawy – i otworzył je. Ujrzał sierżant Helen Bennett. Wyglądała na zmęczoną i przejętą.

– Dobry wieczór, szefie – powiedziała. – Muszę z kimś porozmawiać. Ma pan chwilę?

– Proszę wejść. – Zaprowadził ją do salonu. Był zażenowany stanem, w jakim go zastała. Brudny i zaniedbany. Przynajmniej nie był pijany. Mógłby się założyć, że tego właśnie się obawiała – i że odetchnęła z ulgą. Nie bełkotał ani się nie zataczał. Miał nadzieję, że dzięki temu przymknie oko na jego okropny wygląd. – Jakiś ślad Kate? – zapytał.

Stali naprzeciw siebie w salonie.

– Nie – odparła Helen. – To znaczy... Nic nowego. Boję się.

Wskazał na miejsce przy stole.

– Proszę usiąść. Obawiam się, że nie mam nic do zaproponowania. Nawet kawa się skończyła. Nie mam pani czym poczęstować.

– Nie szkodzi – zapewniła Helen. Usiadła przy stole.

Dostrzegł, że odwróciła wzrok od butelki whiskey, udając, że jej nie widzi. Nieustannie splatała palce dłoni.

– Wie pan, że inspektor Stewart nie żyje? – zapytała cicho.

Caleb skinął głową. Zdanie to dudniło mu w głowie. *Inspektor Stewart nie żyje.*

Wybrzmiało niewypowiedziane.

– Nie mogę w to uwierzyć – powiedział.

Oczy Helen wypełniał ból.

– Ja też nie potrafię. To zupełnie nierealne.

Caleb usiadł przy stole.

– Jak przedstawia się sytuacja? – zapytał wymuszonym rzeczowym tonem. – Znam podstawowe fakty. I wiem, co się stało w Leeds. Chodzi o dwóch sprawców. Jeden nie żyje. Drugi zbiegł.

Helen skinęła głową.

– Ian Slade, będący najprawdopodobniej mordercą inspektora Stewarta, zanim uciekł, zastrzelił swojego kumpla Saszę Walsha. Przypuszczalnie po to, by ten nie złożył zeznań na policji. Sasza Walsh był upośledzony umysłowo. Według zapewnień zarówno Kseni Paget, która była jego nianią, jak i kierownika poprawczaka, w którym Walsh spędził ponad trzynaście lat. Należy przyjąć, że był narzędziem w rękach Slade'a i w istocie nie chciał, by sprawy tak się potoczyły.

– A zatem Walsh i Slade poznali się w poprawczaku – podsumował Caleb. Przedtem obstawiał więzienie. Niewielka różnica.

Helen przytaknęła.

– Wczoraj rozmawiałam przez telefon z kierownikiem. Kate i inspektor Stewart byli u niego w sprawie Iana Slade'a, ale dopiero potem dowiedzieli się o Saszy Walshu. Rzeczywiście obaj należeli do jednej grupy. Nikt nie zauważył, by łączyła ich wyjątkowa przyjaźń, niemniej Ian Slade był kimś, o czyją przychylność wszyscy zabiegali. Ze strachu. Z nim należało żyć dobrze.

– Rozumiem. A co było motywem Slade'a?

Helen opowiedziała o historii z małą dziewczynką, a także o podejrzeniach Kate, że to Sophia Lewis zadzwoniła wówczas na policję.

– Była odpowiedzialna za wysłanie Iana do zakładu.

– Czy on wiedział, że to ona dzwoniła?

Helen wzruszyła ramionami.

– Jeśli nasza teoria jest poprawna, to pewnie tak.

– A Walsh?

– Sasza Walsh pochodził z Rosji, był adoptowanym dzieckiem Walshów. Olivera i Alice. Adoptowali go, bo nie mogli mieć własnych dzieci. – Helen przekazała Calebowi jak najbardziej zwięzły i dokładny opis tragicznych wydarzeń, które doprowadziły do śmierci małej Leny. – Winą obarczono Saszę – powiedziała. – Był jeszcze dzieckiem, miał niespełna siedem lat. Poważnie opóźniony w rozwoju lub nawet lekko upośledzony umysłowo. Oczywiście niewinny.

Caleb wlepił w nią wzrok.

– To rzeczywiście...

– Tak. Był całkowicie bezbronny. Można mu było wmówić wszystko, więc sam chyba w to uwierzył. Policja, sąd, opieka społeczna, nikt nie podał w wątpliwość jego wersji

wydarzeń. Możliwe, że Sasza nawet przyznał się do winy, muszę to jeszcze ustalić. W każdym razie został umieszczony w poprawczaku.

– Zemsta – powiedział Caleb. – Motyw obu młodych mężczyzn.

– Odbyłam długą rozmowę z Ksenią Paget – oznajmiła Helen. – Ona nie wierzy, że Sasza żywił prawdziwe pragnienie zemsty. Ponownie został wykorzystany. Przez Iana Slade'a. Potrzebował współnika, bo dzięki niemu mógł działać lepiej i sprawniej mylić tropy. Wmówił Saszy, że musi pociągnąć do odpowiedzialności wszystkich, którzy wówczas brali w tym udział. Ale wziął sprawy we własne ręce. To on strzelał w pociągu. Ksenia go rozpoznała.

– Uczestnicy tamtych wydarzeń to Ksenia Paget, Oliver Walsh i jego żona Alice? – zapytał Caleb.

– Tak. Oliver Walsh i Ksenia przebywają obecnie w szpitalu w Leeds. Mają policyjną ochronę. Oliver i Alice Walshowie są od wielu lat rozwiedzeni. Próbuje ustalić miejsce pobytu Alice.

– Jej także grozi niebezpieczeństwo.

– Tak. Oczywiście.

– A Slade przetrzymuje Sopię Lewis. I Kate.

– Zgadza się.

– Cholera – zaklął Caleb. Zamyślił się. – On musi mieć samochód, prawda? Tylko w ten sposób mógł się wydostać z Leeds.

– Ian Slade legitymował się dokumentami niejakiego *Jacka Gregory'ego*. Studenta z Manchesteru, który rok temu zaginął bez śladu. Jego samochodu także nie odnaleziono. Wygląda więc na to, że...

– Slade jeździ autem Gregory'ego.

– Poszukujemy tego samochodu. To ford transit.

Caleb potarł obolałe skronie.

– On musi mieć jakąś kryjówkę. Musi mieć gdzieś kryjówkę, do której zabrał Sopię Lewis. A teraz wiezie Kate. Jeśli...

– ...pozwolił obu nadal żyć – dokończyła Helen z ponurą miną.

Spojrzeli na siebie.

– To niewyobrażalne – powiedział cicho Caleb. – Nie potrafię sobie wyobrazić, że Kate...

– Musimy założyć, że ona wciąż żyje – odparła Helen. – *Musimy*. Tylko wtedy znajdziemy sposób, by ją uratować.

Znaleźć sposób. Znaleźć cokolwiek. Od czego zacząć?

– Koledzy sprawdzili dawny dom Slade'ów w Bromwich – wyjaśniła Helen – a także dom rodziny Walshów niedaleko Nottingham. Istniało podejrzenie, że za schronienie

mogły im posłużyć te opuszczone budynki. Niestety, pudło. W domu Slade'ów mieszka starsza para, która nigdy nie słyszała nazwiska Slade. Rodzina Slade'ów wyprowadziła się stamtąd wiele lat temu, nikt nie wie dokąd. A w domu Walshów mieszka samotna kobieta z dwójką dzieci, ona także nic nie wie o dawnych lokatorach. Funkcjonariusze twierdzą, że w obu przypadkach zetknęli się z autentyczną nieświadomością, zauważyli też lekkie przerażenie, jakie zawsze wywołuje nagłe pojawienie się policjantów. Żaden z tych domów nie byłby odpowiedni dla Slade'a.

– Ma takie miejsce – powiedział Caleb. Zacisnął prawą pięść. – Do diabła, przecież nie krąży po okolicy z dwiema porwanymi kobietami, z których jedna jest w stanie krytycznym. Zapewne ma takie miejsce, i Sasza Walsh je znał, dlatego musiał umrzeć.

– Problem w tym, że nasz wydział ma braki kadrowe – powiedziała Helen. – Pan jest zawieszony. Detektyw prowadzący sprawę nie żyje. Jego najbliższa współpracowniczka została uprowadzona. Oczywiście powstanie teraz specjalna grupa, ale ich wszystkich trzeba będzie dopiero zapoznać ze szczegółami. Czuję się bezradna. A najgorsze jest to, że przecież nie mamy czasu do stracenia. Może Kate i Sophia wciąż żyją. On jednak im nie daruje. Nie może.

– Helen, niewiele mogę zrobić... Nie mam uprawnień. – Mówiąc to, usilnie myślał o Kate. W dwóch sprawach w Scarborough prowadziła dochodzenie na własną rękę, bez żadnego upoważnienia – i wcale na to nie zważała. Pierwsze śledztwo dotyczyło jej ojca, który został nocą zaatakowany we własnym domu i w nader brutalny sposób zamordowany. Nie obchodziło jej, że naprzykrzała się innym, przede wszystkim jemu, Calebowi. Ktoś zabił jej ojca. Musiano by ją zwięzać i skuć, by przeszkodzić jej w odnalezieniu i schwytaniu mordercy.

Teraz to Caleb znalazł się w podobnej sytuacji – i poważnie rozważał, czy ma dać za wygraną i podporządkować się przepisom. Gdyby on i Kate kiedykolwiek się jeszcze spotkali, co by sobie o nim pomyślała?

Helen wstała. Jej ruchy świadczyły o zmęczeniu, mimika zdradzała, jak była roztrzęsiona i strapiona. Przygnębiał ją niepewny los Kate, choć niedługo ją znała. To z pewnością śmierć Roberta Stewarta najbardziej ją dotknęła. Współpracowała z nim od lat. Podobnie jak Caleb nadal nie mogła uwierzyć w to, co się stało.

– Przepraszam, szefie – powiedziała. – Wiem, że nic pan nie może zrobić. Nic panu nie wolno. Musiałam z kimś porozmawiać, myślałam, że oszaleję.

Caleb także wstał, odprowadził Helen do drzwi.

– Jestem z wami – odparł. – Jeszcze nie wiem, w jaki sposób, ale jestem z wami.

Spojrzała na niego z niedowierzaniem. Wzruszył ramionami.

– Nie mam jeszcze żadnego planu. Ale coś wymyślę.

Po raz pierwszy tego wieczoru na twarzy Helen pojawiło się coś na kształt uśmiechu.

– Wiem – szepnęła – zawsze udawało się panu coś wymyślić.

Ogrom jej zaufania niemal przytłoczył Caleba.

– Tak. Zgadza się. I dlatego teraz będzie podobnie.

Po wyjściu Helen zrobił kilka ważnych rzeczy, choć niezupełnie pomogły one Kate. Poszedł na górę do łazienki, wziął długi, porządny prysznic. Ogolił się. Włożył czyste ubranie, wszystkie brudne rzeczy wrzucił do pralki. Tego wieczoru nic więcej nie mógł uczynić, niemniej odzyskał poczucie siły oraz pewności siebie, by z wegetującej skorupy na powrót przemienić się w człowieka.

Zszedł do salonu, wziął ze stołu butelkę whiskey i wylał jej zawartość do zlewu. Zapach alkoholu przyprawił go o zawroty głowy. Boże, jakże on za nim tęsknił. Pot oblał całe jego świeżo umyte, pachnące mydłem ciało. Patrzył, jak złocista ciecz znika, cicho bulgocząc.

Zrobił głęboki wdech.

Kate potrzebowała go teraz trzeźwego. Potrzebowała stu procent jego intelektu i zdolności.

Zasługiwała na to, by dał z siebie wszystko.

Poniedziałek, 5 sierpnia

1

Od wczoraj miała pewność, że nie jest w domu sama. W pewnym momencie myślała nawet, że słyszy warkot samochodu, choć nie dałaby głowy. Zasnęła, pogrążając się w płytkim, niespokojnym śnie. Nie mógł być głęboki, gdyż ból coraz bardziej jej doskwierał. Zapalenie pęcherza się nasilało, ale nikt nie przyszedł jej z pomocą. Poza tym męczyły ją głód i pragnienie. Oceniała, że upłynęło około czterdziestu ośmiu godzin, odkąd Ian ostatnio się pojawił i dał jej coś do jedzenia i picia.

Długo tak nie wytrzyma.

Nie wiedziała, jaki to dzień tygodnia i miesiąca, niemniej na podstawie blasku oblewającego brzegi okiennej rolety założyła, że nastał nowy dzień. Wydawało jej się, że prócz *prawdopodobnych* odgłosów samochodu usłyszała dzień wcześniej także kroki na piętze. Skrzypnęła deska podłogowa. Być może to tylko wiatr hulał w belkowaniu... Nie, aż tak bardzo nie mogła się pomylić. Ian wrócił. Słyszała samochód i jego kroki.

Tylko dlaczego do niej nie przyszedł?

Może to przejaw jego sadyzmu. To całkiem do niego podobne. Wiedział, że jest głodna, że dręczy ją potworne pragnienie. Wiedział, że się boi.

Nie mógł sobie wymarzyć korzystniejszej sytuacji.

Pytanie, jak daleko gotów się posunąć.

Czuła, że ma wysoką gorączkę, a to oznaczało, że zapalenie okazało się poważne. Miała też okropne wrażenie, że przez cewnik nic więcej nie przepływa. Albo był zatkany, albo narząd wskutek skurczu nie funkcjonował normalnie. Zastanawiała się, co wie na temat zatrzymania moczu, lecz nie mogła sobie niczego przypomnieć, choć podejrzewała, że nie jest to żadna drobnostka. Ból się wówczas nasila, prawda? Choć intensywny, wciąż był do zniesienia. Stale jednak narastał, i jeśli nadal tak będzie, wkrótce stanie się nie do wytrzymania.

Wciąż nieustannie próbowała z desperacją składać słowa. Ściśle rzecz biorąc, już je składała, krystalicznie czyste unosiły się w jej głowie, ale nie potrafiła wydobyć ich z siebie. Nie przechodziły jej przez usta. Wątpliwe, czy Ian w ogóle by zareagował, gdyby dosłyszał jej wołanie o pomoc. Zignorowanie go zapewne sprawiłoby mu ogromną frajdę.

Była zagubiona, bardziej niż ktokolwiek na świecie.

Nie było żadnej nadziei na ratunek.

Pozostała jej tylko nadzieja na szybką śmierć, ale i to wcale nie było pewne. Choć poważnie ranna, była silną, zdrową, wytrenowaną osobą. To działało teraz na jej niekorzyść. Jej ciało tak łatwo się nie podda, kryło w sobie spore rezerwy. Wystarczająco duże na niekończącą się straszliwą walkę na śmierć i życie.

Nie wiedziała, co gorsze: pragnienie czy ból. Razem stanowiły czystą agonię.

Nie wspominając o strachu. I bezradności.

Bezradność była z nich najgorsza. Jeśli to zły sen, czas się z niego obudzić.

Jeśli to nie był zły sen, nadszedł czas, aby gorączka na tyle wzrosła, by uznać to wszystko za sen.

2

Wczesnym rankiem Caleb wszedł do samochodu i wyruszył w drogę. Do Birmingham dotarł późnym przedpołudniem. Choć nie był umówiony, nic nie było go w stanie powstrzymać przed odbyciem rozmowy z kierownikiem. Na szczęście nadal miał swoją służbową legitymację, chociaż powinien był ją oddać. W ogólnym zamieszaniu nie zwrócono na to uwagi, sam zaś Caleb nie czuł potrzeby, by o tym przypomnieć. Jego obecne postępowanie wpędzi go w jeszcze większe kłopoty, ale wcale na to nie zważał. Chodziło o Kate. Nic innego nie miało znaczenia.

Caleb wiedział, że Kate była w nim niegdyś zakochana po uszy, nie miał pojęcia, czy nadal coś do niego czuje. Nie związał się z nią, gdyż nie była kobietą w jego typie. Kate zwyczajnie nie była dlań dość atrakcyjna, widział to wyraźnie, mimo uznania, jakie dla niej żywił. Szara myszka, niemal zupełnie niewidoczna w tej swojej niepozorności. I okropnie się ubierała. Sam był przez kilka lat żonaty, przed ślubem i po nim – a pewnie również w trakcie trwania związku – miał wiele przelotnych, namiętnych romansów. Z pięknymi, pewnymi siebie, seksownymi kobietami. Kobietami, w których towarzystwie mógł się oderwać od rzeczywistości, podobnie jak robił to za pomocą alkoholu. Kobietami będącymi źródłem lekkości i namiętnego seksu, który uwalniał jego głowę od wszelkich uciążliwych myśli. Czasami Caleb nie wiedział, co go mocniej odurzało: seks czy whiskey. Ich połączenie było nie do pobicia.

Kate nie tylko przez wzgląd na swoją aparycję nie była jego ideałem, znacznie istotniejszy jawił się fakt, że miała nad wyraz zaniżone poczucie własnej wartości i skłonna była przyjmować agresywną postawę obronną, nawet gdy nikt jej nie atakował. Wietrzyła wrogów tam, gdzie ich w ogóle nie było. Nie potrafił zrozumieć, skąd w niej tyle niepewności, gdyż jednocześnie posiadała dar nadzwyczajnej intuicji,

którą kierowała się w trakcie śledztwa. Była mądrą kobietą, miała bystry, analityczny umysł, a prócz tego zdolność do przeczuwania zjawisk nieuchwytnych, mgliście unoszących się w przestrzeni. Czasem wyczuwała coś, co nie miało żadnego logicznego wytłumaczenia. Lepiej niż inni znani Calebowi ludzie odbierała wibracje. Zawsze był tym ogromnie zafascynowany.

Teraz, gdy jej życie znalazło się w niebezpieczeństwie, zdał sobie sprawę, że żywi coś więcej niż tylko podziw dla utalentowanej śledczej. Nie była kobietą, której pożądał lub kiedykolwiek by pragnął, lecz kimś, kogo nie chciał stracić. Co więcej, nie do zniesienia była myśl, że mogłoby jej zabraknąć. Żadna z kobiet nie wzbudziła w nim tego uczucia wewnętrznego zubożenia, jeśliby miał jej już nigdy nie spotkać.

Ogarnęła go wręcz panika. Musiał odnaleźć Kate. Uratować ją. Uwolnić. Zatroszczyć się o jej życie. By pozostała w *jego* życiu.

Był zmieszany intensywnością własnych uczuć, ale powiedział sobie, że to nie czas na ich analizowanie. Później.

Sean Hedges, kierownik poprawczaka w Birmingham, wcale nie był zaskoczony ponownym pojawieniem się policji, ponieważ od czasu rozmowy telefonicznej z Helen wiedział o dramatycznych sobotnich wydarzeniach i spodziewał się, że znów zostanie przesłuchany. Zaledwie rzucił okiem na legitymację Caleba.

– Jestem kompletnie oszołomiony i przerażony – wyznał. Rzeczywiście, nie wyglądał na kogoś, kto spokojnie przespał dwie ostatnie noce. – Sasza nie żyje. Policjant nie żyje. To... potworne. Po prostu potworne.

– Zniknęła też nasza koleżanka – dodał Caleb. – Prawdopodobnie została uprowadzona przez Iana Slade'a.

– Nadal nie ma po niej śladu?

– Nie. Muszę koniecznie porozmawiać z psychoterapeutą, który leczył Iana Slade'a. Oraz z opiekunem grupy, jej kierownikiem lub kimkolwiek, kto z nim na co dzień rozmawiał.

– W przypadku Iana Slade'a to ta sama osoba. Jego opiekun był również jego terapeutą. Ale przebywa na wakacjach na południu Francji.

– Potrzebuję numeru jego komórki. Muszę z nim porozmawiać.

Hedges westchnął.

– Sam od soboty usiłuję go złapać. Zamierzał nie włączać telefonu. Urlop...

– Nie obchodzi mnie jego urlop – przerwał mu Caleb. – Idzie o ratowanie dwóch kobiet, które wpadły w ręce psychopaty. Proszę natychmiast spróbować się z nim skontaktować. Z tym... terapeutą. Który najwyraźniej nie zdołał wyleczyć Iana Slade'a na tyle, by nie stanowił już zagrożenia dla innych!

Twarz Seana Hedge'a zmieniła barwę.

– Przepraszam, w przypadku psychopaty nie jest możliwe...

– Ale go wypuściliście.

– Nie mieliśmy nic, za co moglibyśmy go u nas zatrzymać!

Caleb zrozumiał, że nie jest sprawiedliwy.

– No dobrze. Bez urazy. Ale teraz muszę porozmawiać z tym człowiekiem, bez względu na to, w jakim miejscu na świecie wyleguje się w słońcu!

Caleb nie łudził się, że mu się uda, ale, o dziwo, Sean Hedges tym razem zdołał się połączyć ze swoim pracownikiem – prawdopodobnie dlatego, że po skończonym weekendzie nie odgradzał się tak szczelnie od świata. Nazywał się Kamil Abrowsky i leżał akurat przy basenie w wynajętym domu wakacyjnym na obrzeżach południowofrancuskiego Sanary. Nie odsłuchiwał jeszcze poczty głosowej, więc nie wiedział o podejmowanych przez Kate próbach połączenia ani pozostawionych przez nią wiadomościach. Był zszokowany, gdy szef zdał mu krótką relację z wydarzeń, a następnie oddał słuchawkę komisarzowi. Caleb usłyszał w tle głośne dzwonięcie cykad. Powietrze zdawało się od nich wibrować.

– Mówi komisarz Caleb Hale, wydział śledczy w Scarborough. Już pan wie. Musimy niezwłocznie odnaleźć pańskiego byłego pacjenta Iana Slade’a. Uprowadził dwie kobiety.

– Dobry Boże – mruknął Kamil Abrowsky. Urlopową sielanką błękitnego nieba, cykad, zapachu sosen i ciepła rozwiła się w ciągu kilku chwil.

– Czas nagli, panie Abrowsky. Uważamy, że obu kobietom grozi śmiertelne niebezpieczeństwo.

– Prawdopodobnie tak – przyznał z rezygnacją Abrowsky. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał złudzeń co do stanu psychicznego swojego byłego pacjenta.

– Panie Abrowsky, czy opiekował się pan również Saszą Walshem?

– Tak. Ale on nie mógł zrobić nic złego. Ten chłopak nie jest zdolny skrzywdzić nawet muchy.

– Czy kiedykolwiek miał pan wątpliwości co do wysuniętego przeciw niemu oskarżenia o utopienie młodszej siostry w wannie?

Abrowsky się zawahał.

– Tak chyba naprawdę było, on się do tego przyznał. Mimo to tamta historia jest jedną z nierozwiązanych zagadek w całej mojej karierze psychologa. Coś tu zwyczajnie nie pasuje. Trudno sobie wyobrazić, by... – Nie dokończył zdania.

– On tego nie zrobił – oznajmił Caleb. – Jak zdołaliśmy ustalić, dziewczynkę zabiła jego przybrana matka. Winę zrzucili na niego.

Abrowsky łapał powietrze.

– Nie!

– A jednak. Ale wracając do Iana Slade’a. Czy wspominał kiedyś o jakimś miejscu, możliwej kryjówce, dokąd mógł zabrać te dwie kobiety? Proszę pomyśleć. Jakieś schronienie? Mieszkanie kolegi? Jakaś... stara stodoła, w której bawił się w dzieciństwie... *Cokolwiek*. Czy o *czymś takim* wspominał? Wiem, że obowiązuje pana tajemnica, ale to naprawdę sprawa życia i śmierci.

Abrowsky znał Iana Slade’a, stąd sformułowanie Caleba nie wydało mu się przesadzone. Zastanawiał się tak intensywnie, że Caleb miał wrażenie, jakby słyszał chrzęst jego myśli.

– Sam nie wiem. Cholera, nic mi nie przychodzi do głowy. Był ten garaż, w którym ukrył dziewczynkę i...

– Już to sprawdziliśmy – wszedł mu w słowo Caleb. – Nie ma go tam. Byliśmy również w dawnym domu Slade’ów oraz Walshów. Mieszkają tam teraz inni ludzie. Ani śladu Iana Slade’a.

– Naprawdę chciałbym panu pomóc. Ale Ian miał dwanaście lat, gdy go do nas przywieziono. Mieszkał tylko z rodzicami. Nigdzie indziej.

– A Sasza? Działali razem, przy czym Slade jednoznacznie był siłą napędową, a Sasza niezdecydowanym pomocnikiem. Slade zastrzelił Saszę, zanim uciekł, prawdopodobnie dlatego, że Sasza znał jego kryjówkę.

– To jeden wielki koszmar – powiedział wstrząśnięty Abrowsky.

– Tak. Zdecydowanie. Czy Sasza wspominał o jakimś miejscu?

– Tak mi przykro, komisarzy. Bardzo chciałbym panu pomóc. Ale nic mi o tym nie wiadomo.

– Dobrze. Podam panu numer swojej komórki. Natychmiast pan do mnie zadzwoni, jeśli coś sobie przypomni.

– Oczywiście. Dobry Boże! Nie wiedziałem, że Ian i Sasza... że coś ich łączyło. Ale wie pan, Ian w ogóle nie miał przyjaciół. Wszyscy się go bali.

– Zostali zwolnieni mniej więcej w tym samym czasie?

– Ian dobre pół roku wcześniej.

– Zdaje się, że przynajmniej *jemu* Sasza wyznał, że nie zabił swojej siostry i został poświęcony przez własną rodzinę.

– Tak – przyznał niepokieszony Abrowsky. To był dla niego jako terapeuty prawdziwy cios. Przez całe lata nie udało mu się zaskarbić zaufania Saszy. Zdołał to natomiast zrobić Ian Slade, szalony psychopata.

Abrowsky westchnął głęboko. Zepsuto mu cały urlop.

Zapisał numer Caleba i obiecał się z nim skontaktować. Caleb miał nadzieję, że spędzi resztę dnia na przeszukiwaniu zakamarków swojej pamięci.

Pożegnał się z Hedge'em, prosząc o kontakt, jeśli coś istotnego przyjdzie mu do głowy, po czym wyszedł na ulicę i odetchnął świeżym powietrzem chłodnego sierpniowego dnia. Dwa dni wcześniej w tym samym miejscu stała Kate. Obok Roberta Stewarta.

– Gdzie jesteś, Kate? – szepnął. – Gdzie jesteś? Co mam teraz zrobić?

Rozmowa z Kamilem Abrowskim nie posunęła go ani o krok naprzód. Nawet jeśli zdołałby sobie przypomnieć o czymś ważnym, Caleb nie miał ani chwili do stracenia. Podobnie jak Kate. A najmniej ze wszystkich Sophia Lewis.

– Co byś teraz zrobiła, Kate? – Słuchał własnych słów, w nadziei, że usłyszy odpowiedź. *Co Kate zrobiłaby na jego miejscu?*

Wiedział, że prowadząc dochodzenie, Kate postępowała skrupulatnie i racjonalnie i że czasami miała problemy z dzieleniem się pracą. O wszystkim wolała przekonać się sama. Nie dlatego, że wątpiła w raporty i relacje swoich kolegów. Własne przecucia, własną intuicję w odniesieniu do ludzi, sytuacji i zdarzeń potrafiła rozwijać tylko wtedy, gdy sama była obecna na miejscu. Sama musiała zobaczyć, usłyszeć, chłonąć i poczuć. Dopiero wówczas mogła zrozumieć to, co niewypowiedziane, nieuchwytnie, kryjące się między wierszami.

Caleb postanowił osobiście pojechać do dawnego domu Slade'ów w Bromwich, a następnie do domu Walshów w Nottingham. W zasadzie nie spodziewał się, że dzięki temu zdobędzie nowe informacje, zwłaszcza że brakowało mu umiejętności Kate. Tak przenikliwą intuicją jak ona nie był obdarzony nawet w połowie. W gruncie rzeczy podejmowane przezeń kroki wynikały z czystej chęci działania. Bezczynność doprowadziłaby go do szaleństwa.

Adresy podyktowała mu Helen. Pierwszy z nich wprowadził do samochodowej nawigacji i ruszył w drogę. West Bromwich leżało w pobliżu Birmingham, na miejsce dotarł w pół godziny. Dom stał na końcu ponurej, długiej ulicy, wzdłuż której ciągnęły się nędzne, podupadłe budynki. Niektóre wydawały się niezamieszkałe lub ledwo się nadawały do zamieszkania, o czym świadczyły rozbite szyby w oknach, a w dwóch przypadkach nawet brak drzwi wejściowych. Dawny dom rodziny Slade'ów nie przynależał do jednej z licznych grup szeregowców, ale stał oddzielnie, w pewnym odosobnieniu. Dzięki temu był otoczony sporym ogrodem, a nie tylko małym ogródkiem od frontu oraz miniaturowym skrawkiem trawnika za domem. Ogród wyglądał na zaniedbany, był zarośnięty wysokimi krzewami jeżyn, w starciu z którymi mieszkańcy najwyraźniej dali za wygraną. Płot zachował się tylko częściowo. Na posesji znajdowało się miejsce do parkowania, temu miał zapewne służyć wybrukowany plac wyznaczony tuż obok wyłożonej płytami ścieżki prowadzącej do drzwi wejściowych. Żadnego samochodu jednak nie było. Może stał w szopie, po

części zasłoniętej przez dom. Caleb zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem. Czy zmieściłaby się w niej furgonetka?

Nigdzie nie zauważył dzwonnka, podszedł więc do drzwi wejściowych i zapukał. Po dłuższej chwili usłyszał odgłos kroków. Drzwi otworzył mężczyzna. Za nim stała kobieta. Oboje nie byli aż tacy starzy, jednakże bieda, brak perspektyw oraz letarg wyryły się na ich twarzach, przydając im wyraz, jakby posunęli się w latach bardziej, niż wskazywałyby ich rzeczywisty wiek. Oboje spojrzeli podejrzliwie na Caleba.

– Tak?

Wyciągnął legitymację.

– Komisarz Hale, wydział śledczy w Scarborough. Przyjechałem, ponieważ wcześniej w państwa domu mieszkała rodzina Slade’ów. – Poczł się dość głupio. Dokładnie z tego samego powodu zjawili się tu uprzednio jego koledzy – i nic nie wskórali.

– Już ktoś o to pytał – odparł mężczyzna. – Z policji. A my nie mogliśmy mu pomóc.

– Chciałem się osobiście rozejrzeć. Bardzo nam zależy na skontaktowaniu się z rodziną Slade’ów.

– Nie wiemy, gdzie się podziali – powiedział mężczyzna. – Wynajęliśmy ten dom.

– Pan jest...?

– Pan i pani Dales.

– A kto jest właścicielem? – zapytał Caleb.

– Dom należy do miasta. Przydzielili go nam jako mieszkanie komunalne. Płacimy niski czynsz. Od dawna nie mam pracy. – Pan Dales spoglądał bojaźliwie. – Czy coś nie tak? Powiedziałem to już pańskiemu koledze.

– Nie, w porządku. – Caleb się zamyślił. Było to zgodne z informacjami, które posiadał.

Rodzice Iana Slade’a zniknęli bez śladu, dom był własnością miasta, które ponownie go wynajęło, gdy stało się jasne, że nikt z rodziny się o niego nie upomni.

– Jedno pytanie – odezwał się Caleb. – Co znajduje się w szopie za domem?

– Nic – odparł Dales. – Jest pusta.

– Mogę zajrzeć do środka? – Caleb wiedział, że nie ma prawa tego robić, jeśli właściciele nie wyrażą zgody, zwłaszcza że nie był nawet na służbie. Całe to wypytywanie, jeśli pominąć wszelkie subtelności, odbyło się jednak w prawnej próżni, podobnie jak wcześniejsza rozmowa z Kamilem Abrowskim.

– Oczywiście – powiedział spieszenie Dales. Pewnie nawet nie wiedział, że mógłby odmówić. – Proszę bardzo. Drzwi są otwarte.

Caleb podszedł do szopy, otworzył duże drewniane wrota. Wewnątrz panował antracytowszary półmrok, przez szczeliny w ścianach i brakujące krokwie wnikało

trochę światła. Rzeczywiście, szopa była pusta. Przerażliwie pusta. Kryła dość miejsca na samochód wielkości furgonetki. Caleb obejrzał gliniane podłoże. Nie dostrzegł śladów opon, ale być może klepisko było na to za twarde.

Wszystko to wydawało się nieco absurdalne. Ci niczego nieświadomi ludzie jako współnicy nad wyraz groźnego przestępcy? Wydawali się roztrzęsieni, ale nie aż tak, jakby mieli cokolwiek do ukrycia. Po raz drugi zjawiała się w ich domu policja, to oczywiste, że zaczęli się martwić o dalsze losy swojego finansowanego przez państwo mieszkania.

Szukam po omacku, pomyślał Caleb.

Pożegnał się z Dalesami, którzy stali w drzwiach i bojaźliwie mu się przyglądali, po czym wrócił do samochodu.

Coś go wszakże zaniepokoiło. A raczej coś wydało mu się dziwne. Nie wiedział jednak, co to takiego. Może to było tylko wrażenie.

Teraz do Nottingham. Wizyta prawdopodobnie równie bezcelowa.

Dom rodziny Walshów stał w sporej odległości od miasta, na skraju małej wioski. Dawna wiejska zagroda, wyremontowana i wyposażona w nowe okna i dach. Przybudówka mogła niegdyś służyć za stodołę, ale boczne ściany zostały rozebrane, przez co wyglądała obecnie na wiatę garażową. Samochodu jednak nie było. Przynajmniej w tej chwili.

Caleb podszedł do drzwi frontowych. Również ta posiadłość zarastała dziką roślinnością, niemniej ze względu na to, że dom stał na wsi, a niewydzielony ogród stapał się z otoczeniem, nie wydawała się tak zaniedbana i podupadła jak dom w Bromwich. Przyroda podchodziła aż pod sam próg, kryło się w tym coś idyllicznego.

Obok drzwi wejściowych widniał przynajmniej dzwonek. Dźwięczał głośno i przeraźliwie. Caleb wyczekiwał. Po chwili drzwi otworzyła kobieta. Spojrzała podejrzliwie.

– Tak?

Wyciągnął legitymację.

– Komisarz Caleb Hale, wydział śledczy w Scarborough. Mam tylko parę pytań.

Kobieta westchnęła.

– Byli już tu pańscy koledzy!

– Wiem. To tylko rutynowa kontrola. – Caleb zdawał sobie sprawę, jak dziwnie to zabrzmiało. Naprawdę nie miał żadnych argumentów. – Pani...?

– Callaghan. Maud Callaghan.

– Pani Callaghan, czy może mi pani powiedzieć, od kogo wynajęła pani ten dom?

– Kupiłam go. Ściśle mówiąc, kupił go mój były mąż. Dla mnie i dzieci. – W jej głosie pobrzmiwały cynizm i rozgoryczenie. – Musiał jakoś ukoić swoje sumienie,

gdy zostawił mnie dla flądry, która mogłaby być jego córką.

– Rozumiem. I mieszka tu pani razem ze swoimi dziećmi?

– Z dwoma chłopcami. Trzynaście i piętnaście lat.

– Czy chłopcy są w domu?

– Nie. Na letnim obozie. Nad morzem. W Bournemouth.

Cały świat wyjechał za miasto. Stało się jasne, że Caleb węszył na próżno.

Spojrzał na wiatę.

– Nie ma pani samochodu?

– Nie. Nie stać mnie.

– To jak pani sobie radzi? Dość daleko stąd do miasta.

Maud Callaghan ruchem głowy wskazała za dom.

– Mam rower. Muszę sobie jakoś radzić.

– No tak. – Nie miał nic. Żadnego punktu zaczepienia. W gruncie rzeczy było to oczywiste. Zarówno rodzina Slade'ów, jak i Walshów już dawno przestały istnieć w swoim pierwotnym kształcie, obie doświadczyły tragedii, które wszystko zmieniły. Poszczególni ich członkowie rozjechali się we wszystkie strony świata. Domy przeszły w ręce nowych właścicieli.

Pożegnał się z Maud Callaghan i wrócił do samochodu, usiadł i na chwilę się zamyślił.

Ian Slade jakby zapadł się pod ziemię, mimo że porwał dwie kobiety, podróżował skradzionym samochodem i musiał się pozbyć furgonetki. Mógł ją zatopić w jakimś sztucznym jeziorze. Była zbyt duża i zbyt rzucała się w oczy, aby trzymać ją w bezpośrednim sąsiedztwie. Caleb nie miał co do tego żadnych wątpliwości. Nie było zatem sensu szukać dużej garaży. Poszukiwania furgonetki mogli sobie darować, przepadła.

Natomiast z całą pewnością nie pozbył się samochodu, należącego do – najprawdopodobniej martwego – studenta z Manchesteru. Chociaż to van, stosunkowo łatwo go było ukryć. Można zaparkować kilka ulic dalej, na parking, na polnej drodze. Było to dość ryzykowne, niemniej Slade musiał się liczyć z tym, że tymczasem odkryto jego fałszywą tożsamość i wszczęto także poszukiwania samochodu, toteż postępował roztropnie i wystrzegał się lekkomyślnych kroków. Być może już dawno ukradł tablice rejestracyjne innego samochodu i teraz się nimi posługiwał, a wtedy policja stała na przegranej pozycji.

Caleb obejrzał się i spojrzał w stronę drzwi. Pani Callaghan weszła już do środka. Może nie będzie zaskoczona tym, że wciąż nie odjechał.

Problem w tym, że Ian Slade skrywał w sobie tyle przestępczej energii, iż niemal wszystko mogło się zdarzyć. Mógł włamać się do jakiegoś pustego domu letniskowego

na południowym wybrzeżu i przewieźć tam swoje ofiary, mógł też zaatakować, a nawet zamordować jego właścicieli i umościć się w ich pokojach, nie wzbudzając niczyich podejrzeń. Oprócz Saszy mógł mieć też do pomocy innych kolegów z poprawczaka, którzy teraz ofiarowali mu schronienie. Ponieważ szczególna więź łącząca go z Saszą pozostawała tajemnicą, na nic by się zdało szukanie dalszych przyjaciół. Wszyscy się Slade'a bali, wszyscy próbowali żyć z nim w zgodzie. Nawet teraz z łatwością mógłby poprosić byłych kolegów o przysługę: pewnie wciąż baliby mu się sprzeciwić.

Czy to mógł być jakiś punkt zaczepienia? Sprawdzenie nazwisk byłych kolegów z poprawczaka, odnalezienie ich aktualnych adresów, przeprowadzenie dochodzenia? Zajęłoby to mnóstwo czasu, więcej, niż miały Kate i Sophia. Poza tym Caleb nie miał uprawnień do wszczęcia takiego postępowania. Mógłby jedynie dać wskazówki Helen, ona zaś musiałaby prosić o pomoc kolegów. Sięgnął po telefon. Da jej znać, choć miał nikłą nadzieję, że ta ścieżka doprowadzi ich do celu. Nie w *tak krótkim* czasie.

Musiał mu przyjść do głowy jakiś pomysł. I to genialny.

Kate, co ty byś zrobiła? – ponownie zapytał bezgłośnie, czekając, aż Helen odbierze telefon. Co byś zrobiła?

Helen w końcu się odezwała.

Kate nadal milczała.

3

Skuliła się na podłodze w niewielkim pokoju, w nieznanym sobie miejscu. Nie mogła mówić. Ledwo mogła oddychać. Kazał jej zdjąć skarpetę, którą następnie wepchnął zwiniętą w jej usta i zakleił taśmą. Miał przy tym sporą frajdę, dało się to wyczuć.

– Zawsze tak robię – powiedział. – Skarpeta do ust. Jak najgłębiej. Miło, prawda?

Nie mogła odpowiedzieć. Zmagала się z odruchem wymiotnym. Wydawała z siebie jedynie bulgot.

– W poprawczaku było kilku rosnących chłopaków. Zawsze robili tak z nami, słabszymi. Mieli przy tym wielki ubaw. Albo zanurzali nam głowy w muszli klozetowej, a my musieliśmy zlizywać wodę. Albo wsadzali nam skarpety głęboko do gardła i kazali przez kilka godzin siedzieć w toalecie. Wychowawcy niczego się nie domyślali albo nie chcieli tego zauważyć. I biada temu, kto choćby słówkiem o tym pisał, nigdy nie zaznałby już w życiu radości! – Uśmiechnął się do Kate. – Miałem jedenaście lat, kiedy trafiłem do zakładu. Długo nie cierpiałem. Dość szybko dorosłem. Potem tak samo robiłem z innymi. Było fajnie. Naprawdę zabawnie.

Kate próbowała ułożyć język w taki sposób, by wypchnąć skarpetę nieco do przodu. Choćby o milimetr, to złagodziłoby jej cierpienie. Język został jednak bezlitośnie unieruchomiony, błyskawicznie wysechł w zetknięciu z wełną, zdrętwiał i zeszywniał.

Zastanawiała się, jak długo tak wytrzyma. Odpowiedź była prosta: dopóki ten facet tego zechce. I dopóki sama się nie udusi.

– Sasza naprawdę cierpiał. Miał ledwie siedem lat, gdy trafił do poprawczaka, a do tego był bardzo chudy i wąły. I nie do końca w pełni rozumu. Duzi robili z nim, co chcieli. Naprawdę go zadręczali. Gdy tylko dorwali go w swoje łapy. Podobno utopił młodszą siostrę w wannie. Rośli chłopcy sami mieli sporo na sumieniu, ktokolwiek trafił do zakładu, nie był niewiniątkiem. Mimo to demonstrowali swoją moralną wyższość. Sasza był *dzieciobójcą*. Był na samym dole hierarchii. – Znowu się uśmiechnął. – Ktoś musi stać na samym dole. I za wszystko obrywać. Pozostali muszą czuć się ważniejsi. Nie bez powodu tam się znalazł. No cóż, skoro ktoś topi roczne dziecko...

Sapała. Nie ze względu na jego słowa. Ale dlatego, że mdłości się nasilały.

Przykucnął przed nią. Wciąż miał na twarzy ten przenikliwy grymas. Było w nim coś złego. Szalonego. Chorego. Zarazem jednak coś bardzo przebiegłego. Ian Slade był psychopata, ale psychopaci, o czym Kate aż za dobrze wiedziała, w żadnym razie nie są głupcami. Nie było powodu, by sądzić, że popełnił jakiś błąd – błąd, który sprawi, że policja odnajdzie jego kryjówkę. Był sprytny i bardzo pewny siebie. Widać, że panował nad sytuacją. Nawet w mieszkaniu Olivera Walsh, gdy dwie osoby niespodziewanie zadzwoniły do drzwi, nie stracił zimnej krwi. Nie wiedział, że to policjanci, zaczął strzelać, zanim sytuacja wymknęła się spod kontroli. Potem salwował się ucieczką. Kate niezupełnie wiedziała, dlaczego ją z sobą zabrał, zamiast zwyczajnie ją zastrzelić. W zasadzie była dla niego balastem. Być może dlatego, że ujawniła się jako policjantka. Kiedy na klatce schodowej wyrósł nagle przed nią jak ogromny cień, mroczny i potężny, całkiem zaciemniający blask bijący z niewielkiego okna, stojąc bezbronna dwa stopnie niżej, powiedziała:

– Sierżant Kate Linville, wydział śledczy w Scarborough. Natychmiast odłóż broń!

Spojrzał na nią zupełnie oszołomiony, prawdopodobnie nie strzelił do niej tylko dlatego, że jej bezczelność całkowicie go zaskoczyła. Potem jednak wyszczerzył zęby, po jego twarzy rozlał się ten obrzydliwy uśmiech, który tak bardzo drażnił Kate. Wtedy szepnął cicho:

– Ale numer. Policjantka...

Odniosła wrażenie, że w tym właśnie momencie postanowił pozostawić ją przy życiu, przynajmniej na razie. Może pomyślał, że przyda mu się jako zakładniczka.

A może po prostu uznał to za świetną zabawę.

Torturowanie gliniarza. Kate wiedziała, że niektórym przestępcom dawało to odurzające poczucie władzy.

Trzymając Kate na muszce, zmusił ją, by wsiadła do samochodu. Brudna, stara furgonetka, należąca prawdopodobnie do nieszczęsnego Jacka Gregory'ego. Kate poruszała się możliwie jak najwolniej, w nadziei, że zyska na czasie, dzięki czemu ludzie z okolicznych domów coś zauważą i zdołają wezwać policję. Nic jednak nie wskazywało na to, by ktokolwiek obserwował w tej chwili ulicę. Na podłodze furgonetki leżał materac. Po bokach stały duże plastikowe pudła. Kate pamiętała, że Jack Gregory używał furgonetki jako kampera. W pudłach prawdopodobnie znajdowały się naczynia, sztucce i inne przybory. Niestety, do niczego jej się nie przydadzą. Slade skrępował jej ręce i nogi. Nie miała szans na sięgnięcie po jakikolwiek przedmiot i użycie go we własnej obronie. Przynajmniej nie zakneblował jej ust.

Zastanawiała się, co zamierza z nią zrobić. I jak się miewa Robert Stewart. Przestał się ruszać, wyglądał jak wielka szmaciana lalka, którą ktoś niedbale porzucił na stopniach schodów. Modliła się o jego życie. By szybko otrzymał pomoc medyczną.

Modliła się, by przejść przez to wszystko obronną ręką, zarazem jednak zdawała sobie sprawę, że znalazła się w cholernie trudnym położeniu.

Oceniła, że podróż trwała niespełna dwie godziny.

Zapadła już noc, gdy w końcu się zatrzymali. Ian otworzył drzwi furgonetki. Taśmą zakleił Kate oczy i poluzował więzy na nogach, po czym kazał jej wysiąść. W pierwszej chwili ledwo mogła ustać na nogach. Była skrępowana w niewygodnej pozycji, jej mięśnie zupełnie zesztyniały. Wydała z siebie okrzyk bólu, ale Slade pozostawał niewzruszony. Przytknął jej między łopatki jakiś twardy przedmiot – domyśliła się, że to lufa pistoletu – i polecił ruszać przed siebie.

– Idziemy! Tylko bez ociągania!

Miała zasłonięte oczy, nic nie widziała, ostrożnie podreptała naprzód. Wtedy Ian wyprzedził ją o krok i otworzył drzwi. Weszli do wnętrza domu. Kamienne płytki pod stopami. Łokciem uderzyła o szorstki tynk ścian. Nieprzyjemna woń. Wilgoć, lekka stęchlizna. Dom od dawna niezamieszkały. Kate traciła nadzieję. Przez cały czas rozmyślała o tym, gdzie może się mieścić kryjówka Iana Slade'a, teraz nabrała podejrzeń, że wtargnął do opuszczonego domu, być może blisko wybrzeża, i że w najbliższym czasie nikt tu nie zajrzy i nie odkryje, co naprawdę dzieje się w środku. Slade zapewne sprawdził, czy może się w nim czuć bezpiecznie.

Nikt ich nie znajdzie.

Pytanie, czy Sasza Walsh znał to miejsce. Stał się dla Kate jedynym promykiem nadziei, ponieważ prawdopodobnie dałoby się go nakłonić do wyjawienia prawdy. Wciąż jednak dręczyła ją niepokojąca myśl: Ian nie zabrał z sobą Saszy. Zostawił go w mieszkaniu Walsha. Podjął nieobliczalne ryzyko, a to do niego zupełnie niepodobne.

Czyżby Sasza nie znał tego miejsca? I dlatego nie stanowił dla Iana zagrożenia? A dla Kate nie było żadnej nadziei?

Ani dla Sophii. Kate zastanawiała się, czy Sophia także przebywa w tym domu. Odważyła się o to zapytać.

– Trzyma pan tutaj także Sopię Lewis? Czy ona nadal żyje?

Zamiast odpowiedzieć, uderzył ją w twarz tak mocno, że uderzyła głową o ścianę. Z bólu napłynęły jej do oczu łzy.

– Nie zadajesz tu żadnych pytań – syknął. – Rozumiesz? Jeśli ktoś tu o coś pyta, to tylko ja!

Następnie weszli do jakiegoś pomieszczenia, dość ciasnego, jak zdołała ocenić, gdy Ian zerwał jej z oczu taśmę. Tak brutalnie, że poczuła, jakby wyrwał jej przy tym wszystkie rzęsy. Nie zdołała stłumić jęku. Zaśmiał się.

– Nikt cię jeszcze tak nie traktował, prawda? Najwyższy czas, ty głupia mała suko.

Był to niewielki pokój, raczej pomieszczenie gospodarcze. Świadczyło o tym kilka pustych regałów ustawionych wzdłuż jednej ze ścian. Wysoko umieszczone okno było zasłonięte żaluzją. Wnętrze rozjaśniało światło zwisającej z sufitu żarówki. Ian postarał się wprawdzie, by Kate nie wiedziała, gdzie się znalazła, ale nawet nie próbował ukrywać swojej tożsamości. Pozwolił jej zobaczyć swoją twarz, opowiedział o pobycie w zakładzie. Założył, że ona wie, kim jest, i wcale się tym nie przejął.

Tym bardziej niepokoiło to Kate.

Potem doszło do brutalnego kneblowania. Zmusił ją do zdjęcia skarpety, po czym wepchnął ją Kate do ust, ponownie związał jej nogi, mocniej zacisnął więzy na rękach. Wkrótce krew zupełnie przestała w nich krążyć. Na razie było to jeszcze znośne, lecz Kate wiedziała, że taki rodzaj krępowania niedługo wywoła silny ból. W tej chwili znacznie gorsze było uczucie dławienia. I suchość spowodowana obecnością w ustach wełny. Kate nie przypuszczała, że tak szybko może dojść do ich wysuszenia. I że to wywoła aż taki ból śluzówek.

W końcu obmacał całe jej ciało, przeszukał wszystkie kieszenie, sięgnął jej nawet pod ubranie, zabrał legitymację.

– To konieczne – wyjaśnił. – Ostrożności nigdy za wiele. Nie żebyś miała gdzieś ukrytą broń. Albo komórkę.

Kiedy przekonał się, że nie miała już niczego, co mogłoby mu zagrozić, przykucnął naprzeciw niej na podłodze i opowiedział, jak wyglądał ich pobyt w poprawczaku i jak bardzo z tego powodu cierpieli, zwłaszcza Sasza. Potem niemal z czułością pogładził swój pistolet.

– Dostałem go od byłego kumpla z zakładu. Wyszedł przed trzema laty. Dobre kontakty są ważne, prawda? Zawsze chciałem kropnąć jakiegoś gliniarza. I zrobiłem to dzisiaj. Twój kolega chyba nie żyje. Wyglądał na martwego, gdy tak leżał na schodach. Niestety, strzelając, nie wiedziałem, że to glina. To by było coś naprawdę ekstra. Ale po fakcie też nie jest źle!

Miała nadzieję, że się myli. Że Robert Stewart przeżył.

– Saszę też załatwiłem. Kulka w łeb. – Westchnął, zabrzmiało to fałszywie. – Biedaczek. Ale musiałem to zrobić.

Sasza nie żyje. Śmiertelny strzał musiał umknąć uwadze Kate wśród tych oddanych w stronę Roberta Stewarta. Teraz poznała prawdę: Sasza znał tę kryjówkę, ale on już nie mógł jej pomóc. Ian nie podjął ryzyka. Martwy człowiek nie przemówi.

– Niestety, Sasza stał się całkiem bezużyteczny – powiedział Ian. – Powinien był załatwić Sophię, kobietę, która zesłała mnie do tego domu wariatów w Birmingham. Ze względu na motyw nie mogłem pozwolić, by to mnie obarczono winą za morderstwo. Podobnie jak w przypadku Saszy. Miałem się zająć jego ludźmi. Obaj zapewnilibyśmy sobie w tym czasie alibi, siedzielibyśmy w pubach wśród mnóstwa ludzi. Ktoś z pewnością by nas zapamiętał... Sasza miał kropnąć Sophię, gdy rankiem wychodziła z domu. Wtedy jednak zdałem sobie sprawę, że on pewnie nie zdoła jej trafić, a to niepotrzebnie skomplikowałoby sprawę. Wpadłem więc na pomysł z drutem. Poznałem jej nawyki, oceniłem, że plan jest genialny. Gdyby wszystko dobrze poszło, skręciłaby kark podczas upadku, ale dla stuprocentowej pewności Sasza miał jej strzelić w głowę. Była łatwym celem, leżąc nieruchomo na ziemi. Ale on nawet tyle nie potrafił zrobić, strzelił niecelnie i uciekł.

Słaby punkt planu Iana. Wrażliwość Saszy. Nie miał w sobie zbrodniczego zapału.

– Kiedy przeczytałem w gazecie, że Sophia do końca życia będzie sparaliżowana, postanowiłem ją tak zostawić – ciągnął Ian. – Grubo. Nie było lepszej kary dla tej dzidzi. Potem jednak zdałem sobie sprawę z istniejącego ryzyka. Wiedziała, kto za tym stoi. I mogła mnie zdradzić. Każdy dzień stanowił zagrożenie. Musiałem ją unieszkodliwić. – Znowu się uśmiechnął. – Udało mi się. Zawsze wszystko mi się udaje. Jej porwanie to był dopiero wyczyn, prawda? Dzięki moim koneksjom zdobycie fałszywych papierów szkoły pielęgniarskiej nie stanowiło problemu. Furgonetkę zatopiłem w jeziorze. Szukaliście jej jak szaleni, prawda? Aż tak głupi nie jestem, żeby postawić ją obok swojego domu. – Był z siebie zadowolony. Z jego punktu widzenia

miał niestety po temu wszelkie powody. – Wiesz, Kate – zapamiętał jej imię – rzecz w tym, że jestem sprytniejszy niż większość ludzi. Po prostu mam lepiej poukładane w głowie. Na przykład w tym głupim poprawczaku... Przyjechałem tam dwa lata później niż Sasza. Szybko zrozumiałem, że ten biedny chłopiec nie miał nic wspólnego ze śmiercią swojej siostry. To oczywiste. On nie był typem człowieka, który mógłby kogokolwiek utopić. Po ulewie Sasza wędruje ulicą, zbiera dżdżownice i umieszcza je w ziemi. I patrzy pod nogi, by nie rozdeptać żadnego chrząszcza, gąsienicy czy czegoś innego. Taki już jest. Wiedziałem, że nigdy w życiu *nie utopiłby własnej siostry*. Ale terapeuci, wychowawcy i ten stuknięty dyrektor, wszyscy w to uwierzyli, zachodzili w głowę i się martwili... Gówno prawda. Zawsze uważałem, że nie powinniście tracić tyle energii na biednego Saszę. A raczej ustalić, kto naprawdę to zrobił. Ktoś topi niemowlę i uchodzi mu to bezkarnie. Szaleństwo, prawda?

Kate nie mogła odpowiedzieć. Nie chciała dać mu satysfakcji, wydając z siebie jakiś zduszony dźwięk. To spowodowałoby tylko nasilenie mdłości.

– W którymś momencie to z niego wydobyłem. Ufał mi bardziej niż dorosłym, dlatego w końcu mi o wszystkim powiedział. Zrobiła to jego rąbnięta matka. A jego przybrany ojciec obmyślił plan, jak rzucić całą winę na bezmózgiego Saszę. Brała w tym udział także jego niania. I wtedy wpadłem na pomysł, byśmy się zemścili. Sasza był co prawda wtajemniczony, ale tak naprawdę za tym nie stał. Chciał mi się przypodobać, a ja go chronilem. Dopóki mi schlebiał, duzi chłopcy nie odważyli się go tknąć, pewnie też miał cichą nadzieję, że nigdy tego planu nie zrealizujemy. Ale niezbyt dobrze znał Iana Slade'a. Ja nie chlapię ozorem. Ja działałam.

Znów był pełen animuszu. Czasami to właśnie takie samozadowolenie skłaniało przestępców do popełniania błędów. Kate nie raz się o tym przekonała. W tej jednak chwili Ian nie mógł postąpić niewłaściwie. Miał wszystko pod kontrolą.

– Obserwowałem wszystkich przez długie miesiące. Sophię. Olivera. Alice. Ksenię. Dowiedziałem się, gdzie kto mieszka. Poznawałem ich nawyki. Niezła to była jazda. W końcu wiedziałem już wszystko. Pojechałem za Ksenią do Londynu. Pociągami. I z powrotem. Z początku chciałem ją tylko nastraszyć, siedząc naprzeciw niej i gapiąc się na nią. Ale potem... przyszła mi ochota. Żeby ją zastrzelić.

Rzykownie. Wydawało się, że lubił igrać z ogniem. Mógł się jednak przeliczyć.

Patrzył na nią, jakby była ciekawym obiektem na stole w prosektorium.

– Co mam z wami zrobić? Z tobą i Sophią?

A więc Sophia żyje. Możliwe, że przebywa w tym samym domu. I co z tego? Mimo nawału myśli Kate nie miała pojęcia, jak mogłaby ją uratować. W gruncie rzeczy mogła liczyć wyłącznie na swoich kolegów, domyślała się jednak, jak bardzo byli bezradni.

– Sophia zniszczyła mi życie – powiedział Ian. – W takim zakładzie coś w tobie pęka. Prawdopodobnie nie potrafisz sobie tego wyobrazić. Pewnie dorastałaś w bezpiecznych warunkach, hołubiona przez mamę i tatę. Pomyślałem, że można by Sophię pogrzebać. W skrzyni. Co o tym sądzisz?

Słyszając to, nie mogła się powstrzymać od wydania z siebie odgłosu. Był to dziwny dźwięk, który w najmniejszym stopniu nie oddawał tego, co właśnie poczuła: śmiertelnego przerażenia. Zbyt dobrze go już poznała, by wiedzieć, że nie blefuje. Był brutalny, lubił okrucieństwo, które stało się dlań eliksirem życia. Był od niego uzależniony. A w przypadku Sophii w grę wchodziła jeszcze osobista nienawiść. Nienawidził jej z całego serca. Wzorem osób o podobnej konstrukcji psychicznej z powodu wybujałego narcyzmu nie potrafił przyznać, że porywając małą dziewczynkę, wszedł w konflikt z prawem i dlatego trafił do poprawczaka. Obwiniął wyłącznie Sophię. I pałał wściekłością. Złość narastała przez lata, kumulowała się, przybierała na sile. A teraz, gdy pękły wszystkie tamy, wybuchła z mocą, której nie sposób było powstrzymać. Nawet gdyby Kate mogła mówić, wiedziała, że w przypadku Iana Slade'a odwoływanie się do poczucia moralności na nic by się zdało. On nie miał w sobie ani krzty moralności. A jeśli nawet tliła się gdzieś jej iskierka – w co Kate raczej wątpiła – zagaśnie w szale trawiącej go nienawiści.

– Może z tobą zrobię tak samo – powiedział powoli. – Co o tym sądzisz? A wtedy nikt was nigdy nie znajdzie.

Uśmiechnął się.

Przerażona Kate zdała sobie sprawę, że jego nienawiść do policjantów prawdopodobnie dorównywała siłą nienawiści wobec Sophii.

Umrze, a on uczyni jej śmierć możliwie jak najbardziej bolesną.

4

Caleb nie wiedział, co począć. W końcu doszedł do wniosku, że może dobrze byłoby porozmawiać z Ksenią Paget i Oliverem Walshem. Może oni się domyślają, gdzie Slade ukrył się razem ze swoimi ofiarami. Wciąż tylko mglista nadzieja. Z pewnością zostali już przesłuchani, nie podając zapewne żadnych znaczących informacji. Caleb nie raz miał jednak okazję się przekonać, że wielokrotne przesłuchiwanie ludzi, i to przez różne osoby, nie jest pozbawione sensu. Problem w tym, że ludzie często o czymś wiedzą, ale nie rozumieją znaczenia niektórych szczegółów i dlatego wiele ważnych wskazówek zachowują dla siebie. Jedno celne pytanie, zadane we właściwy sposób, może prowadzić do zupełnie nowych spostrzeżeń. Decydującą rolę zarówno w pytaniach, jak i w odpowiedziach odgrywa nierzadko czysty przypadek.

A więc z powrotem do Leeds, gdzie według słów Helen, Walsh i Ksenia Paget przebywali w szpitalu. To nie będzie łatwe, z pewnością mieli policyjną ochronę. Caleb będzie ją musiał jakoś zmylić.

Zajmie się tym, gdy dotrze na miejsce.

Ruszył w kierunku M1. Był zatopiony w myślach, gdy nagle wyprzedził go policyjny radiowóz, który zaraz potem skręcił w zatokę parkingową, nakazując mu poleceniem wyświetlanym na tylnej szybie, by za nim podążył. Caleb cicho zaklął. Czy już zauważono, że prowadzi dochodzenie bez upoważnienia? Czy Dalesowie z Bromwich albo Maud Callaghan z Nottingham zadzwonili rozzłoszczeni na najbliższy posterunek, bo ktoś ponownie pojawił się u nich w domu i zadawał te same pytania, na które uprzednio nie potrafili odpowiedzieć?

Czy jednak z tego powodu wysłano by za nim policyjny patrol?

Zatrzymał się. Umundurowany oficer wysiadł z radiowozu, podszedł do samochodu. Caleb opuścił szybę.

– Dzień dobry. Przepraszam, ale przez dwie wioski przejechał pan o wiele za szybko. Chciałbym zobaczyć pańskie dokumenty.

Caleb odetchnął. Głupio z jego strony, że przekroczył prędkość, ale przynajmniej nie miało to nic wspólnego z prowadzonym przezeń dochodzeniem.

Pokazał prawo jazdy i dowód rejestracyjny, a na koniec swoją legitymację. Funkcjonariusz natychmiast się wyprostował.

– Och. Komisarz Hale. Nie wiedziałem...

Caleb machnął ręką.

– Nie szkodzi. Jechałem oczywiście za szybko.

– Sir, jeśli prowadzi pan śledztwo, to...

– Chodzi o uprowadzenie.

Oficer oddał mu dokumenty, zasalutował.

– W porządku. Przepraszam, że pana zatrzymałem. Pozory czasem mylą.

Skinął głową, odwrócił się i odszedł do radiowozu.

Caleb wlepił weń wzrok. Coś kiełkowało w jego głowie, jakaś myśl... Ten człowiek właśnie to powiedział.

Pozory czasem mylą.

Coś go dziś niepokoiło. Miał wrażenie, że coś dziwnego, choć nie potrafił tego określić.

Ta para w West Bromwich. Pan i pani Dales.

Dales.

Slade.

Te same litery. Tylko w innej kolejności. Slade i Dales.

Uporządkował zdobyte dotychczas informacje: Ian Slade trafił do zakładu w Nottingham w dwa tysiące szóstym roku. Jego rodzice wkrótce potem się wyprowadzili, nikt nie wiedział dokąd.

Prawdopodobnie nigdy ich nie szukano. Ludzie mogą zmieniać miejsce pobytu, o ile nie pozostawiają po sobie długów ani innych zobowiązań. Nikogo nie zdziwiło, że Slade'owie wyjechali. Ich syn, sam będąc jeszcze dzieckiem, praktycznie od samego początku przysparzającym problemów wychowawczych, porwał małą dziewczynkę i – czego można się było po nim spodziewać – zamierzał zrobić jej krzywdę. Trafił do osławionego poprawczaka, w którym trzymano najgorszą młodzież z całego kraju. Dla Slade'ów życie w Bromwich musiało stać się nie do zniesienia.

Co jednak, jeśli wrócili?

Jakie istniały dowody na to, że miasto podnajęło im dom w ramach pomocy socjalnej? Chyba jedynie zeznanie samych Dalesów. Caleb przypuszczał, że nikt tego nie sprawdził. Czy ktoś w ogóle przejrzał ich dokumenty? On na pewno nie. Jego współpracownicy pewnie też nie. Rutynowo sprawdzono to miejsce, lecz nikt nie przypuszczał, że kryje ono jakieś wskazówki na temat Iana Slade'a. Po tylu latach...

A jeśli to jego rodzice? Którzy zwyczajnie powrócili do swojego dawnego domu? Ponownie go wynajęli? Albo też nigdy nie rozwiązali pierwotnej umowy najmu, co byłoby nader kosztowne – choć niewykluczone.

Czy ich powrót nie wywołał poruszenia wśród sąsiadów? Czy przeprowadzono wywiad środowiskowy?

Może Dalesowie w ogóle nie wychodzili z domu. Może zaopatrywał ich syn.

Ian.

Czy to logiczne? Czy sąsiedzi nie rozpoznaliby Iana?

Miał dwanaście lat, kiedy go stamtąd zabrano. Teraz dwadzieścia cztery. Niełatwo było go rozpoznać. Pewnie zjawiał się wyłącznie pod osłoną ciemności. Artykuły spożywcze kupował w odległych miastach. Samochód parkował kilka ulic dalej.

To możliwe.

Oznaczałoby to, że Kate przebywa w domu w Bromwich. A on stał w jego progu. Może zaledwie kilka kroków od niej.

Dalesowie byli bardzo podenerwowani. Również Maud Callaghan zareagowała irytacją, gdy po raz drugi pojawiła się u niej policja, by przesłuchać ją w tej samej sprawie. Ona jednak nie sprawiała wrażenia zaniepokojonej. Natomiast strach Dalesów był wręcz namacalny.

Dales. Slade. Te dwa nazwiska nie dawały Calebowi spokoju.

Wybrał numer Helen, modlił się, żeby odebrała. Na szczęście nie czekał długo.

– Czy wie pani może, jak szczegółowo sprawdzono Dalesów w Bromwich? – zapytał bez ogródek. – Czy podane przez nich informacje zostały potwierdzone? Czy przeprowadzono wywiad środowiskowy?

Helen wydawała się zaskoczona.

– O ile mi wiadomo, było to tylko krótkie przesłuchanie przy drzwiach wejściowych. Dlaczego pan pyta? Pojawiły się jakieś niespójności? I gdzie pan w ogóle jest?

– Właśnie wracam z Nottingham. Odwiedziłem dawny dom Walshów, a wcześniej także Slade’ów. Czy nikt nie zwrócił uwagi na nazwiska tych ludzi? Dales?

Helen zamyśliła się na chwilę, po czym zawołała:

– Och!

– Ja także nie od razu na to wpadłem – przyznał Caleb. – Wie pani, czy któryś z kolegów zażądał okazania dowodów tożsamości?

– Tego nie wiem, ale... nie sądzę. Nie byli przecież o nic podejrzani, chodziło wyłącznie o sprawdzenie adresu i wypytanie o ewentualne wskazówki na temat miejsca pobytu małżeństwa Slade’ów. Nic nowego to jednak nie wniosło.

– Dalesowie byli zdenerwowani. Potwornie.

– Sir, czy uważa pan...?

– To mogą być Slade’owie, prawda? Rodzice Iana Slade’a, którzy zniknęli bez śladu.

– Czyżby powrócili?

– Dlaczego nie?

– Przecież sąsiedzi by ich rozpoznali – zauważyła Helen.

– Nikt ich nie pytał. Na przestrzeni lat sąsiedztwo mogło się po części zmienić. Być może Dalesowie rzadko też wychodzą z domu.

– Muszą robić zakupy.

– Może robi to za nich Ian.

Helen milczała przez chwilę, analizując zasłyszane informacje.

– Wszystko to – odpowiedziała z wahaniem – nie jest całkowicie pozbawione sensu. Niemniej to czyste spekulacje. Co zrobimy? Jeśli pójdę teraz do szefa i...

– Kto nadzoruje dochodzenie? – przerwał jej Caleb.

– Naczelnik we własnej osobie.

Szczególny przyjaciel Caleba. Człowiek, który wydał decyzję o jego zawieszeniu. Caleb mógł sobie wyobrazić, jak zareaguje, gdy się dowie, że jego uzależniony od alkoholu były współpracownik szuka Kate Linville na własną rękę, używając przy tym legitymacji, którą już dawno temu powinien był zwrócić.

Zamyślił się.

– Proszę posłuchać, wracam do domu Dalesów. Zobaczę, czy zdołam dowiedzieć się czegoś więcej. Może spróbuje pani tymczasem wyjaśnić, komu miasto wynajęło dom.

To by nam bardzo pomogło.

– Mogę to zrobić. Ale czy nie wolałby pan poczekać, aż to sprawdzę? Zanim zdecyduje się pan na dalsze kroki? – W głosie Helen pobrzmiwał niepokój, była zestresowana. Jeśli Caleb podejmie teraz jakieś działania, które w ostatecznym rozrachunku okażą się bezcelowe, przysporzy im to mnóstwo kłopotów, a do tego wyjdzie na jaw, że Helen współpracuje ze swoim zawieszonym byłym szefem.

Caleb odgadł jej myśli.

– Zachowam ostrożność. Nie podejmę żadnych konkretnych kroków, dopóki nie otrzymam od pani nowych informacji. Ale chcę tam pojechać. Dwukrotne pojawienie się policji mogło Dalesów wypłoszyć. Jeśli Kate i Sophia przebywają w ich domu, nie możemy czekać, aż zostaną stamtąd przeniesione.

– Oddzwonię do pana, gdy tylko dowiem się czegoś nowego – obiecała Helen i się rozłączyła.

Caleb ruszył w drogę. Dzień się wypogodził, błękit nieba połyskiwał spomiędzy chmur, rozpędzanych przez podmuchy lekkiego wiatru. Nim dotarł do Bromwich, świeciło słońce. Powróciła pełnia lata. Caleb nie miał jednak teraz do tego głowy.

Zaparkował naprzeciw domu Dalesów. Nikogo nie było widać. Zapuszczony ogród, zamknięte okna, cisza – dom wyglądał na opustoszały. Podobnie jak poprzednim razem. Mimo to Dalesowie w nim przebywali. Ci ludzie żyli w całkowitej izolacji. Z jakiego powodu?

Wysiadł. Zrobiło się znacznie cieplej. Zdjął marynarkę, niedbale rzucił ją na fotel kierowcy, założył okulary przeciwsłoneczne. Myśl, że Kate przetrzymywano gdzieś za tymi ciemnymi oknami, budziła w nim niepokój. Jeszcze gorsze było jednak podejrzenie, że tymczasem gdzieś ją wywieziono. Czy nie brakłoby na to czasu? Jazda zajęła mu ponad dwie godziny. Tyle prawdopodobnie by wystarczyło.

Przeszedł przez ulicę, wkroczył do ogrodu. Nie wiedział jeszcze, co powie, gdy znów stanie twarzą w twarz z Dalesami. Miał nadzieję, że go oświeci. Że wymyśli coś, co sprawi, że zaproszą go do środka.

Musiał tam wejść.

Nikt nie zareagował na pukanie do drzwi. Wszędzie panowała cisza. Odczekał, ponownie zapukał, potem jeszcze raz. Nic. Dalesów albo nie było w domu, albo nie zamierzali otworzyć.

Stawiając ostrożnie kroki, Caleb obszedł powoli dom. Świadectwa jego rozpadu napełniły go przygnębieniem i przerażeniem. Dach nie rokował nadziei, że zdoła się oprzeć naporowi ulewnego deszczu, okna, wiszące w ramach napęczniałych przez dziesięciolecia od wilgoci, z pewnością nie były w stanie uchronić zimą przed

mrozem. Przy budynku nigdy nie podjęto żadnych prac, nadawał się wyłącznie do rozbiórki.

Dotarł na tyły domu. Znajdował się tam niewielki ogród, zarosły wysoką pożółkłą trawą i dziko pleniącą się jeżyną. Był obramowany murem z czerwonej cegły, z którego odpadło już kilka fragmentów. Za murem ciągnęła się kolejna działka.

Wszystko kompletnie zrujnowane, a do tego niepozorne.

Caleba zelektryzował widok okien na tyłach domu. Zostały zabite deskami.

Czyżby szyby były wybite? Uszczelki zbyt porowate? A może zrobiono tak po to, by nikt nie zaglądał do wnętrza?

I bez tego byłoby to trudne. Ponieważ teren w tym miejscu lekko opadał, okna z tyłu domu znajdowały się nieco wyżej niż te od frontu. Wysoki mężczyzna postury Caleba, stojąc na palcach, ledwo mógł zajrzeć do środka, niżsi nic by nie zobaczyli. Mimo to ktoś zatroszczył się o to, by miejsce to całkowicie odizolować od świata zewnętrznego. Dlaczego?

Caleb poczuł przyspieszone bicie serca. Coś tu było nie tak, bez wątplenia. Dom sprawiał wrażenie całkowicie opuszczonego, nic nie wskazywało na to, by Dalesowie siedzieli w salonie, nie dając znaku życia. Zniknęli. Po jego wizycie. Przypadek?

A może zabrali Kate i Sopię?

Sami chyba by sobie z tym nie poradzi. Nie byli wprawdzie starzy, ale ogromnie sterani przez życie. Widać było, że niezdrowo się odżywiają i prawdopodobnie zażywają zbyt mało ruchu. Zmęczeni i pozbawieni wszelkiej energii, nie zdołaliby przenieść sparaliżowanej kobiety do samochodu. Do tego w samym środku dnia. Każdy z sąsiadów mógłby ich zobaczyć.

Nieważne. Musiał tam wejść. Musiał się dowiedzieć, kim są ci ludzie. Może znajdzie dowody, że kogoś tu przetrzymywano.

Caleb szarpnął za jedną z drewnianych desek umocowanych do okiennej framugi, bez przeszkód zdołał ją oderwać. Zasłona okazała się licha lub z biegiem lat zmurszała. Deska całkiem przegniła. Chyba założono ją dość dawno, co znów świadczyłoby o tym, że... Nieważne.

Oderwał pozostałe deski i stanął przed pustym otworem okiennym. Szyba była rozbita, z ramy wciąż sterczało kilka postrzępionych fragmentów. Caleb podciągnął się, chwyciwszy za parapet, po czym wczołgał ostrożnie do środka. Poczuł ostry ból w ramieniu, wiedział, że zranił się o odłamek szkła. Ból był potworny, ale zacisnął zęby. Zeskoczył na podłogę i znalazł się w niewielkim pomieszczeniu. Zdjął okulary przeciwsłoneczne.

Podwójne łóżko ze starannie wygładzoną narzutą. Szafa sprawiająca wrażenie, jakby po otwarciu drzwi miała się rozpaść. Kosz na bieliznę w kącie pokoju był

przepełniony. Najprawdopodobniej znalazł się w sypialni państwa Dalesów.

Drzwi do przedpokoju były otwarte. Caleb zlustrował go wzrokiem. Na ściennym wieszaku wisiało kilka płaszczy. Nic więcej.

Był już niemal pewien, że w domu nikogo nie ma. Odgłosy odrywanych desek wcale nie były ciche, każdy z domowników by je usłyszał. Nikt się jednak nie poruszył. Słychać było tylko ciekący kran.

Z korytarza prowadziło troje drzwi, z których jedno było otwarte. Caleb zajrzał do środka. Kuchnia, niewiarygodnie zapuszczona. Pleśń po kątach. Staromodna kuchenka gazowa. Zardzewiały kran, kapała zeń woda, prawdopodobnie nie sposób go było dokręcić. Stół i dwa krzesła, kilka szafek wiszących, pokrytych sztucznym tworzywem. Pod oknem podniszczona szara kanapa. Ogromny telewizor na regale. W pomieszczeniu czuć było przykry zapach zgniłego jedzenia i wilgoci.

Ubóstwo, w którym dorastał Ian Slade, było w tym domu widoczne na każdym kroku. Wręcz namacalne. Nie było jednak ani usprawiedliwieniem, ani wytłumaczeniem tego, na jakiego wyrósł człowieka i jakim był dzieckiem. Wielu ludzi dorastało w trudnych warunkach. Tylko nieliczni stawali się psychopatami.

Caleb wyszedł z kuchni, otworzył kolejno pozostałe drzwi. Jedne prowadziły do swego rodzaju rupieciarni, w której upychano wszystko, co niepotrzebne: zniszczone meble, kartony, plandeki, puste doniczki, potłuczone naczynia. Graty piętrzyły się aż po sufit. Z pewnością nikt by się tu nie zmieścił.

Za drugimi drzwiami kryła się łazienka. Było w niej ciemno, gdyż okno także zabito deskami. Caleb zapalił światło. Niemal poczuł mdłości, tyle tam było pleśni. Nic dziwnego, okna nie dało się otworzyć. Stały tam wanna z poźółkłą plastikową zasłoną prysznicową, toaleta, mała umywalka z wiszącym nad nią lustrem, na którego środku widniało pęknięcie. Caleb miał wrażenie, jakby kudłaty dywanik pełzał po podłodze, ale było to chyba jedynie przywidzenie.

Ten dom był jednym wielkim wysypiskiem. Więzieniem raczej nie.

Chyba że posiadał strych. Albo piwnicę.

Caleb spojrział w górę i w dół. Nigdzie nie dostrzegł włazu, ani w suficie, ani w podłodze.

Nic nie wskazywało na to, by kogokolwiek tu przetrzymywano.

Do diaska! A jednak był przekonany, że coś się tu kryło.

Zastanawiał się, co dalej. Miał tak niewiele możliwości, prawdę mówiąc, nie widział praktycznie żadnej. Nagle usłyszał szcęk przekręcanej w drzwiach wejściowych klucza. Stał w sieni przed drzwiami do łazienki. Pan i pani Dales weszli do środka i spojrzeli na niego ze zdumieniem. Dźwigali torby z zakupami, wyglądali na zmęczonych i spoconych od wysiłku.

Przez kilka sekund nikt nie odezwał się słowem. Potem pani Dales zaczęła krzyżeć:

– Włamywacz! Pomocy! Włamywacz! O Boże, pomocy!

Jej mąż przyjrzał mu się nieco bliżej, rozpoznał Caleba.

– To pan? – zapytał zdumiony. – Przecież jest pan z policji, prawda?

– Zgadza się – odparł Caleb.

– Tak nie można – powiedział Dales. – Nie może się pan ot tak, po prostu włamywać do cudzego domu.

Jego żona wyjęła z torby na zakupy telefon komórkowy. Nie po raz pierwszy Caleb pomyślał, jakie to dziwne, że tego typu ludzie, niby tacy biedni, zawsze mają najnowsze smartfony, a także największe telewizory.

Nie spuszcżając z niego oka, pośpiesznie wystukała numer.

– Tak, mówi Dales. Proszę natychmiast przyjechać. W naszym domu jest włamywacz. Tak, proszę! – Podyktowała swój adres.

– Policja wkrótce tu będzie – oznajmiła.

Caleb westchnął. Czekaało go mnóstwo kłopotów. Przyszło mu też na myśl, że podążał niewłaściwym tropem. Ta kobieta nie wezwałaby policji, gdyby była zamieszana w przestępstwo.

Intuicja, którą miał nadzieję dorównać Kate, całkowicie go zawiodła.

5

Na zewnątrz ludzie rozkoszowali się pogodnym sierpniowym dniem, ona tymczasem usiadła w niemal pustej szpitalnej kafeterii. Ksenia rzadko kiedy tak bardzo pragnęła wyjść z pokoju, zażywać ruchu na świeżym powietrzu, pocuć na skórze ciepło słonecznych promieni i wdychać woń lata. Lepsze to niż plastikowe stoły i krzesła w tym ogromnym pomieszczeniu, które wypełniał zapach gorących potraw, wywołujący u niej mdłości, lepsze niż bełkot głosów, łoskot kubków, talerzy i sztućców oraz widok ludzi w szlafrokach, strojach do biegania i pantoflach. Niektórzy ciągnęli za sobą stojaki do infuzji.

Jakież to przygnębiające.

Razem z Oliverem usiedli naprzeciw siebie, każde z kubkiem kawy. Ksenia wzięła też babeczkę czekoladową, ale nawet jej nie tknęła. Chciała schudnąć, a tego najlepiej nie odkładać na później.

Szpital posiadał niewielki ogród, ale ani Oliver, ani Ksenia nie byli pewni, czy mogą tam pójść. Policjant, który czatował przed drzwiami ich sąsiadujących pokoi i razem z nimi udał się teraz do kafeterii, strzegł ich bezpieczeństwa, dopóki Ian Slade przebywał na wolności, przypuszczalnie jednak miał również przeszkodzić im

w ewentualnej ucieczce. Będą musieli stanąć przed sądem. Pomogli w zatuszowaniu przestępstwa, zabójstwa małego dziecka, niesłusznie obciążyli winą innego człowieka – i to upośledzonego umysłowo chłopca. Wydarzenia te miały miejsce piętnaście lat wcześniej. Ksenia nie znała zasad przedawnienia, lecz miała nadzieję, że długi czas, jaki od tamtej pory upłynął, będzie przemawiał na jej korzyść. Alice, jak przypuszczała, będzie musiała ponieść główny ciężar odpowiedzialności, ale ona i Oliver nie byli rzecz jasna bez winy. Czy pomoże jej fakt, że przebywała wówczas w Anglii jako przyjezdna i pozostawała w całkowitej zależności od swoich pracodawców? W każdym razie będzie potrzebować prawnika.

– Dlaczego poślubiła pani mężczyznę, z którym jest pani taka nieszczęśliwa? – zapytał Oliver.

Opowiedziała mu o tym dziś rano, gdy powoli wędrowali po szpitalnych korytarzach. Nie ukrywała się już dłużej za fasadą prostego, uporządkowanego, spokojnego życia w szeregowcu w Bramhope. Wyznała, jak bardzo czuje się nieszczęśliwa. Niby po co miałyby wciąż zachowywać pozory, po co miałyby udawać?

Z przerażeniem rozmyślała o okresie, który nastąpił po śmierci Leny. Nie chciała wracać do Rosji. Żyła w ciągłym strachu, że wpadnie w ręce policji. Jej wiza wygasła, wiedziała, że będzie musiała wyjechać. Bała się również, że to, co się stało, wyjdzie wkrótce na jaw i że zostanie pociągnięta do odpowiedzialności. Całymi miesiącami ukrywała się roztrzęsiona w podwórzach, skoro tylko dostrzegła w oddali policjanta lub policyjny radiowóz. Przez ponad rok wiązała koniec z końcem, utrzymując się z prac dorywczych, zazwyczaj jako kelnerka w pubach, myjąc naczynia lub sprzątając toalety. Mieszkała w niewiarygodnie tanich, zaniedbanych pokojach, których jedyną zaletą było to, że ich właściciele nie zwracali zbyt dużej uwagi na jej dokumenty. Nigdy nie przebywała w jednym miejscu dłużej niż przez osiem do dziesięciu tygodni. Była uczestniczką potwornej zbrodni. Nie mogła ściągać na siebie uwagi.

Coraz bardziej oddalała się od Nottingham, aż w końcu trafiła do Leeds, miasta, o którym wcześniej nawet nie słyszała, które jednak wydało jej się wystarczająco odległe od miejsca tamtych potwornych wydarzeń. Nastąpiła zima, już druga po śmierci Leny. Znalazła pracę jako pomoc kuchenna w domu opieki, za to żadnego pokoju, gdzie mogłaby zaryzykować i zameldować się na podstawie nieważnej wizen. W swojej desperacji uościła się w końcu w piwnicy pustego, nowego budynku, lodowato zimnego, wilgotnego, wypełnionego wonią świeżego tynku, z drzwiami, które nie miały jeszcze klamek i pozostawały uchylone. W zasadzie miejsce to nie nadawało się do zamieszkania w samym środku zimy, ale przynajmniej znalazła dach nad głową i schronienie w czasie obfitych opadów śniegu. Na małej kuchence podgrzewała sobie

jedzenie w puszkach, kuląc się w śpiworze, który mimo braku pieniędzy musiała zakupić, gdyż bez niego zamarzłaby na śmierć.

– Tam właśnie pewnego ranka znalazł mnie Jacob – wyznała. – Pracuje w zarządzie nieruchomości i został przydzielony do tego kompleksu budynków. Zjawił się z kilkoma ludźmi z firmy budowlanej, aby dokonać wspólnej inspekcji. Leżałam w śpiworze, wyglądałam na bardzo zaniedbaną. Myśleli, że jestem ćpunką. Jacob mnie wtedy uratował, gdyż inni z miejsca chcieli wezwać policję. Uspokoił ich, mówiąc, że się mną zajmie. Zabrał mnie do siebie do domu, nakarmił, mogłam wziąć gorący prysznic i wyprać ubranie. – Przerwała. – Pomyślałam wtedy, że w końcu los się do mnie uśmiechnął.

– Ale Jacob nie zrobił tego z czystej miłości bliźniego – domyślił się Oliver.

Potrząsnęła głową.

– Od dawna szukał żony. Bez powodzenia, ponieważ żadna kobieta nie zdołała z nim wytrzymać. Aż tu nagle zjawia się osoba, którą może wspomóc w potrzebie, przez co będzie mu dozgonnie wdzięczna. A ja byłam na tyle głupia...

– Tak?

– Z początku wydawał się dość przystępny, w chwili słabości o wszystkim mu opowiedziałam.

– O wszystkim? – zapytał z przerażeniem Oliver. – O Alice? O Lenie? O Saszy? I o mnie?

Skinęła głową. Wlepiała wzrok w kubek kawy, powróciła w myślach do tamtego chłodnego dnia w salonie Jacoba, przypomniała sobie własną rozpacz, poczucie winy, strach.

– Po prostu musiałam komuś o tym powiedzieć. Dusiałam się. Nie potrafiłam już dłużej tego znieść.

– Tak – odparł Oliver – rozumiem to. – Sam miał przecież Alice. Ich małżeństwo się rozpadło, ale przynajmniej przez jakiś czas mogli rozmawiać o tym, co się wydarzyło. Ksenia została zupełnie sama.

– Miałam nadzieję, że mnie pocieszy. Że ukoji nieco moje sumienie. Potrzebowałam kogoś, kto by mi powiedział, że nic nie mogłam zrobić, że nie mogłam postąpić inaczej. Nie znałam Jacoba na tyle dobrze, by wiedzieć, że nie był odpowiednią osobą do takich zwierzeń. Jacob jest szczęśliwy, gdy innym źle się wiedzie. Nie wyobrażam sobie, by kiedykolwiek w życiu przyniósł komuś pociechę.

– I pani, oczywiście, także jej nie zaznała.

– Nie. Wręcz przeciwnie, zrobił z tego wielką aferę. Z dziką rozkoszą opowiedział mi nawet, co się ze mną stanie, jeśli to wszystko wyjdzie na jaw. Według jego słów

spędzę resztę życia w jakimś lochu w londyńskiej Tower. Z drugiej strony zdawałam sobie sprawę, że w istocie miał rację: nie ujdzie mi to na sucho. Z całą pewnością.

Oliver spojrział na nią smutnym wzrokiem.

– Nie powinniśmy byli pani w to mieszać.

Owszem, pomyślała Ksenia, i przez chwilę poczuła potworny gniew na siedzącego przed nią roztrzęsionego, nieszczęśliwego człowieka.

– To nie powinno było się wydarzyć – powiedziała. – Alice powinna była wziąć na siebie całą winę. To jedyna słuszna droga.

– Ona nie przeżyłaby w więzieniu.

– Sasza także nie przeżył.

Oliver milczał. I cóż miałby powiedzieć? Jego zachowania nic nie usprawiedliwiało.

– W każdym razie – ciągnęła rzeczowo Ksenia – Jacob od chwili, gdy poznał prawdę, pokazywał swoje prawdziwe oblicze. Miał mnie teraz w garści. Otwarcie groził, że pójdzie na policję, jeśli nie będę go słuchać. W ten sposób wymusił na mnie małżeństwo. Szantażował mnie, bym z nim została. Żyłam jak nieopłacana pracownica. Sprzątałam, gotowałam, dbałam o ogród. On zaś wydawał tylko polecenia i wszystkiego się czepiał. Zwłaszcza mnie. Mówił, że jestem brzydka i gruba. Nazywał mnie kompletnym nieudacznikiem, który miał szczęście, że spotkał kogoś takiego jak on. W końcu sama byłam gotowa w to uwierzyć. Czułam się nieszczęśliwa i poniżana. Miałam wrażenie, że ani dnia dłużej nie zniosę widoku tego człowieka. Ale co miałam począć? Poszedłby prosto na policję.

– Kto wie – powiedział Oliver. – Od któregoś momentu sam prawdopodobnie stał się współwinny. Wiedział o tej historii i przez całe lata jej nie wyjawiał.

– Zawsze mógł przecież zeznać, że dopiero co się dowiedział. Jego słowo przeciwko mojemu. To było zbyt ryzykowne. Nie odważyłam się.

– Teraz może pani od niego odejść – powiedział Oliver.

– Tak – przyznała Ksenia. – Dziwne, prawda? Być może trafię do więzienia. Ale od dawna nie czułam się taka wolna.

Oliver łyknął kawy.

– Ja się tak jeszcze nie czuję. To nie koniec sprawy. Ta porwana policjantka...

To było straszne. Wiedzieli, do czego zdolny jest Ian Slade, mogli sobie wyobrazić, jaki los czeka Kate. I chociaż nie ponosili winy za wendetę Iana, to jednak obie historie się przeplatały i to oni byli odpowiedzialni za to, że Sasza wpadł w szpony psychopaty i stał się narzędziem w jego rękach. Z ich winy musiał spędzić dzieciństwo i młodość w zakładzie, w którym spotykało się typków pokroju Iana Slade'a. To odwieczny problem więzień, poprawczaków i temu podobnych placówek: dopiero tam niektórzy wpadali w sieci zła.

Sasza przypłacił to życiem. Oni wszyscy ponosili za to winę – i nie byli w stanie mu tego wynagrodzić.

Rozmawiali z nimi dwaj policjanci. Chodziło o znalezienie ewentualnej kryjówki, w której Ian mógłby się schronić razem ze swoimi ofiarami. Łamali sobie nad tym głowy. Nic im jednak nie przychodziło na myśl.

– Sądzę, że jutro będziemy mogli opuścić szpital – oznajmił Oliver. – Zastanawiam się, czy pozwolą nam wrócić do domu.

– Chyba nie wierzą, że uciekniemy – odparła Ksenia. – Problem w tym, że ja nie mam gdzie się podziać. Za nic w świecie *nigdy* nie wrócę do Jacoba.

– Dziwne, że się nie pojawił.

– Nie może przemknąć obok naszego strażnika – powiedziała Ksenia, wykonując ruch głową w kierunku policjanta, który trochę znudzony opierał się o ścianę przy drzwiach. – Powiedziałam mu, że nie chcę go więcej widzieć.

– Rozumiem. Może zamieszka pani u mnie?

– To miłe, dziękuję. – Zamyśliła się. – Jeśli będę się mogła swobodnie poruszać, najpierw odwiedzę Colina Blaira. Człowieka, któremu zabrałam samochód. Muszę mu to wyjaśnić. Koniecznie.

– Dobrze. W razie czego wie pani, gdzie mnie szukać.

Uśmiechnęła się nieznacznie. Po raz pierwszy od lat życie kryło w sobie jakąś obietnicę. Pomimo prawnych konsekwencji, które ją czekały. W końcu wzięła na siebie odpowiedzialność za to, co zrobiła, a to ją uwolniło.

Pozostało jeszcze jedno: Kate Linville. Jej niepewny los.

Gdyby Kate nie wróciła, Ksenia nigdy nie poczułaby się wolna.

6

– Naczelnik jest wściekły – powiedziała zmartwiona Helen. – Może byłoby dobrze, gdyby pan przyjechał i sam mu wszystko wyjaśnił.

Caleb domyślał się, że tak pewnie byłoby najlepiej. Mógłby w ten sposób uratować swoją zawodową karierę – ale tego właśnie nie zrobi. Po rozmowie z szefem nie będzie mógł kontynuować poszukiwań Kate. Byłoby to zawodowym samobójstwem, lecz wiedział, że nie zniósłby bezczynnego siedzenia w domu. Prawdopodobnie jeszcze mniej rozsądne byłoby jednak, gdyby nie dawał znaku życia. Na ekranie telefonu widniało kilka nieodebranych połączeń od nadkomisarza. Najlepiej będzie, jeśli od razu poszuka sobie pracy nocnego stróża albo portiera.

– Pani sierżant, tego się będę trzymał – oznajmił. Zdanie to nie było pozbawione komizmu. Że co proszę? Czego zamierzał się trzymać? Nie miał nic, absolutnie nic na

swoją obronę.

– Sir, obawiam się, że ponowne przesłuchanie Olivera Walsha i Kseni Paget nie wniosło nic nowego. Natomiast podczas rozmowy z zarządem miasta Bromwich okazało się, że dawny dom rodziny Slade'ów faktycznie wynajęto Dalesom. Wszystko jest zatem w porządku.

– Wiem – powiedział znużony Caleb.

Patrzył przez okno samochodu. Dzień był coraz bardziej promienny i słoneczny, tymczasem jego nastrój coraz bardziej pochmurniał. Zaparkował przed pubem w nieznanym mu wiosce. Zamierzał zjeść jakąś przekąskę, ale właściwie nie miał apetytu i zamiast tego został w samochodzie, aby porozmawiać przez telefon z Helen. Na jego prośbę wezwana przez panią Dales policja sprawdziła dokumenty tożsamości małżonków – okazały się bez zarzutu. Byli ludźmi, za których się podawali. Nie zaginionymi rodzicami groźnego psychopaty, uwikłanymi w jego plany. Scena w zrujnowanym domu była krępująca i straszna. W rozmowie z przybyłymi na miejsce patrolowymi Caleb podał się za komisarza, lecz wkrótce dla wszystkich stało się jasne, że podążał niewłaściwym tropem i bezprawnie włamał się do cudzego domu. Caleb utrzymywał co prawda, że grozi mu niebezpieczeństwo, ale biorąc pod uwagę fakt, że miał do czynienia z niewinną parą małżonków, którzy nie wiedzieli, o co w tym wszystkim chodzi, jego tłumaczenie wydało się mało przekonujące. Pozwolono mu odjechać, był wysokim rangą funkcjonariuszem, jednak o zajściu najwyraźniej powiadomiono przełożonych.

Tak się zazwyczaj działo w podobnych przypadkach: gdyby Kate i Sophia przebywały w domu, działania Caleba też byłyby bezprawne, ale poza kilkoma ostrożnymi napomnieniami nie usłyszałyby złego słowa. Wręcz przeciwnie, okryłyby się sławą dokonania decydującego zwrotu w śledztwie. A tak wpakował się w poważne tarapaty. Postawił wszystko na jedną kartę – i przegrał.

– Mamy wieści z Kornwalii – kontynuowała Helen. – Rozmawiałam z policjantką z Camborne. Alice Walsh, która po rozwodzie wróciła do panińskiego nazwiska Coleman, od dwudziestego czwartego lipca uchodzi za zaginioną.

– O! – Caleb aż się wyprostował. – Co jeszcze o tym wiadomo?

– Od dnia rozvodu z Oliverem Walshem Alice Coleman mieszka w Redruth. Jej partnerka zgłosiła zaginięcie, ponieważ Alice wyjechała na seminarium w Bodmin, ale nigdy nie dotarła na miejsce. Dzieci znalazły jej samochód na poboczu wiejskiej drogi niedaleko Taunton i powiadomiły policję. Samochód był otwarty, kluczyki tkwiły w stacyjce. Brakowało bagażu i torebki. Od tamtej pory ślad po Alice Coleman zaginął.

– Nie wygląda to dobrze – mruknął Caleb. – To jasne, że Alice Coleman widnieje na liście Slade'a. Mieliśmy nadzieję, że ją ochronimy, ale...

– Ona mogła być pierwszą ofiarą – powiedziała Helen. – Ale nie sposób było ustalić jakiegokolwiek związku.

– Bo jeszcze dwa dni temu nie wiedzieliśmy, z czym mamy do czynienia. Cholera. Pytanie, czy ją także porwano.

– Wtedy Slade przetrzymywałyby trzy kobiety – zauważyła Helen.

– Może leżeć gdzieś martwa w zaroślach.

– To chyba nawet bardziej prawdopodobne – przyznała Helen.

Oboje umilkli przygnębieni. Alice Coleman zabiła własne dziecko, ale zarówno Caleb, jak i Helen mieli świadomość, że nie była morderczynią kierującą się niskimi pobudkami. Raczej kobietą, która nie potrafiła dojść do ładu z własnym życiem, nie była w stanie znieść ustawicznego napięcia nerwowego. Zdesperowana popełniła zbrodnię w afekcie, pod wpływem potwornego stresu emocjonalnego. Nie zasłużyła sobie na to, by zginąć z ręki kogoś takiego jak Ian Slade.

– No dobrze – powiedział w końcu Caleb. – Ten Slade zawsze wyprzedza nas o krok. Zdecydowanie ma nad nami przewagę.

– Co pan zamierza, sir? – zapytała Helen.

– Nie wiem – przyznał zmęczony. Rzadko kiedy czuł się taki bezradny. Przez kilka godzin przepełniała go ekscytacja, ale skończyła się ogromnym zawodem. Teraz zastanawiał się, jak mógł być na tyle głupi, by sądzić, że Ian Slade wybierze na kryjówkę swój dawny dom rodzinny. Był na to zbyt sprytny, zbyt cwany, zbyt ostrożny.

Zauważył, jak kiepsko się czuje, i postanowił jednak coś przekąsić. Może kilka dodatkowych kalorii pobudzi do pracy jego szare komórki.

– Idę coś zjeść – oznajmił. – Cały czas jestem pod telefonem. Proszę dać mi znać, jeśli pojawi się coś nowego.

Helen się zawahała, ale po chwili odparła:

– Tak, oczywiście.

Wiedział, o co ją prosi.

– Dziękuję. To nie jest takie oczywiste, zdaję sobie sprawę. Nie zapomnę tego, pani sierżant.

W zapadłej ciszy wyraźnie wybrzmiała myśl kołacząca się w głowie Helen: Caleb, przynajmniej zawodowo, nigdy nie będzie w stanie odwdziżyć się za to, co teraz dla niego robiła.

Zakończyli rozmowę, Caleb wysiadł z samochodu. Mimo upału włożył marynarkę, na ramieniu, w miejscu, gdzie zranił się sterczącym kawałkiem szyby w oknie domu Dalesów, miał zakrwawioną koszulę. Wdychał zapach świeżo skoszonej trawy. Nastął piękny sierpniowy dzień.

Dzień, którego każda minuta mogła przynieść Kate śmierć.

Na tyłach pubu znajdował się niewielki ogródek, Caleb usiadł przy stoliku pod drzewem. Prócz niego była tam tylko młoda para, oboje siedzieli, trzymając się za ręce, i poza sobą nie widzieli świata. A także starszy mężczyzna; pił kawę i czytał „Observera”.

Caleb przestudiował kartę, po czym zamówił kawałek quiche’a, zieloną sałatkę i wodę mineralną. Starał się odprężyć, wchłonąć nieco spokoju i ciepła słonecznego dnia. Wiedział, że intensywne rozmyślanie zwykle prowadzi donikąd. Podobnie zresztą jak poddanie się teraz swobodnemu biegowi myśli. Bo niczego, *absolutnie niczego* nie mógł się w tym przypadku uchwycić.

Zabrzączał telefon. Nadeszła wiadomość od Helen. Sięgnął po komórkę niczym tonący chwytający się brzytwy, ale to, co przeczytał, sprawiło, że nadzieja znów w nim zagasła.

Nic nowego, szefie, niestety. Tylko zgłoszenie zaginięcia Alice Coleman. Pomyślałam, że może to Pana zainteresuje. Ale nie sądzę, żeby wniosło to coś nowego.

Pojawiły się dane Alice Coleman, a następnie krótka relacja z zeznań złożonych na posterunku policji przez jej partnerkę. Raport funkcjonariusza wezwanego do samochodu porzuconego na poboczu wiejskiej drogi w Somerset.

Nic, o czym Caleb by nie wiedział.

Na końcu widniała fotografia Alice Coleman. Stała na plaży, zapewne w Kornwalii. Miała zmierzwiłone wiatrem włosy. Uśmiechała się, ale nieco sztucznie. Głęboko zasmucona kobieta, usiłująca wyglądać na zdjęciu trochę przyjaźniej.

Caleb przyjrzał się zdjęciu.

– Nie do wiary! – zawołał. Młoda para spojrzała na niego poirytowana.

Zerwał się na równe nogi.

7

Dręczyły ją ból i gorączka, głód i pragnienie. Była tym zaskoczona. Dawniej, kiedy chorowała i gorączkowała, ani myślała o jedzeniu. Ale wówczas nie była aż tak wygłodniała. Nabrała przekonania, że Ian planuje zagłodzić ją na śmierć. To mogło mu się udać. A wcześniej wykończy ją sepsa.

Wiedziała, że nie chce umierać. Chociaż miała świadomość, że prawdopodobnie już nigdy nie będzie mogła się poruszać i że życie w zupełnym bezruchu może jej w końcu zbrzydnąć. Wtedy powróci do rozmyślań o śmierci. O umieraniu na własnych warunkach.

Miała jednak pewność, że nie chce umrzeć *w ten sposób*. Nie w tym pokoju. Nie w tym domu. Powoli i w męczarniach.

I nie dlatego, że chce tego Ian Slade.

Miała jednak marne szanse.

W każdym razie nie powinna dłużej płakać. Przekonała się, że płacz ją osłabiał. Lecz nie wiedziała, czy to jej w czymś pomoże.

Realistycznie rzecz biorąc, żadna strategia nie okazała się pomocna.

Usłyszała odgłos kroków zbliżających się do drzwi jej pokoju, mimowolnie naprężyła mięśnie. Przynajmniej te, które wciąż potrafiła napiąć.

Drzwi się otworzyły. Za nimi paliło się światło, zawsze, jak zauważyła, nawet w ciągu dnia.

Ciemny korytarz pozbawiony okien. Jedna z wielu nic nieznaczących obserwacji.

Wysoka, masywna postać Iana Slade'a pochyliła się nad nią. Sophia zmusiła się, by nań spojrzeć, choć mimowolnie chciała zamknąć oczy.

Wyszczrzył zęby.

– Witaj, Sophio. Jak się masz?

Pierdol się, chciała mu odpowiedzieć. Ale nadal nie mogła wyartykułować ani słowa.

– Musisz być głodna i spragniona – powiedział z kiepsko udawaną troską w głosie. Przyłożył jej do ust kubek z wodą. Chciała cisnąć mu nim w twarz, lecz nie mogła się poruszyć, poza tym byłoby to nierozsądne. Groziło jej całkowite odwodnienie. Nie mogła sobie pozwolić na marnowanie wody.

Przez chwilę pozwolił jej pić, a następnie nakarmił ją ziemniaczanym purée i warzywami. Posiłek słony i wzmacniający, od razu to poczuła. Nie znosiła, gdy ją karmił jak jakiegoś malucha. Dotkliwy głód oraz rozsądek nakazywały jednak współpracować.

– Poza tym reszta wydaje się w porządku – stwierdził, gdy opróżniła talerz.

Nic nie było w porządku – ale jak miałyby mu to wyjaśnić? I kazać mu zmienić cewnik... Wątpiła, czy to potrafi. A na myśl o jego rękach między swoimi nogami dostawała mdłości.

Musnął jej policzek.

– Jesteś rozpalona. Masz gorączkę?

Kiedy wreszcie sobie uświadomi, że nie może odpowiadać na jego pytania? Pewnie i tak nie o to mu chodziło.

– Musiałaś coś złapać – powiedział. – Jesteś naprawdę gorąca. Dam ci paracetamol. Żebyś dłużej wytrzymała.

Paracetamol i dłużej wytrzymała nie dodawały otuchy. Wręcz przeciwnie.

– Chociaż – rzucił – prawdopodobnie zechcesz, żeby poszło szybciej. – Uśmiechnął się.

O czym ty mówisz, skurwielu?

Odgarnął jej z czoła kosmyk włosów.

– Policja depcze mi po piętach. Muszę cię przenieść. Tak mi przykro.

No dalej, wypluj to. Strach dusił ją w gardle.

Slade pochylił się niżej.

– Pochowam cię, moja droga. Nikt cię nigdy nie znajdzie.

Zabijesz mnie, a potem pochowasz?

Nie dosłyszał jej myśli, ale pewnie odgadł.

– Długo myślałem o tym, jak cię zniszczyć – powiedział z uśmiechem. – Nic mi nie przychodziło do głowy. To znaczy, kto lubi brudzić sobie ręce? – Jego uśmiech był łagodny jak u anioła, co w połączeniu z mroczną pustką w oczach wyglądało potworniej, niż Sophia mogła sobie wyobrazić. – No i jak sprawiedliwie ukarać za oddzielenie dziecka od rodziny i skazanie go na wychowywanie w jednym z najgorszych zakładów w Wielkiej Brytanii? To naprawdę trudne.

W tym momencie zrozumiała, co zamierzał. Zaparło jej dech. Pomimo gorączki poczuła nagle chłód. Nawet on... nawet on nie może tego zrobić.

– Wygodna skrzynia – powiedział. – I ładna dziura w ziemi. Będzie tam zimno i ciemno, Sophio. Taka była moja młodość. Zimna, mroczna, pozbawiona nadziei.

Nadal wstrzymywała oddech.

– Nikt cię nie znajdzie. To odludzie. Prawdziwe, potworne odludzie. Nie wydaje mi się, żeby ktokolwiek tamtędy przechodził. A jeśli nawet... Niestety, nie potrafisz krzyczeć.

Gapła się na niego.

Roześmiał się.

– Nie rób takiej miny! Naprawdę myślałaś, że ujdzie ci to na sucho? Po wszystkim, co mi zrobiłaś? Czy nie wiesz, że zawsze się płaci? Zawsze! – Wsunął pod nią obie ręce i uniósł ją wysoko. – Idziemy – powiedział.

W jej głowie zrodził się krzyk.

Krzyk strachu, rozpacz, bólu. Głośniejszy niż kiedykolwiek.

A jednak bezgłośny.

8

Sierpniowy wieczór wciąż był jasny, ale już niedługo miał zapaść zmrok. Spacer w upale był wyczerpujący, ale lepsze to niż gapienie się w ścianę.

I rozmyślanie, czy się postąpiło słusznie.

Z początku tak się wydawało, ale teraz już nie. Już od dawna. I nic nie poszło zgodnie z planem. Nic z tego, co jej obiecano, nie zostało spełnione. I ta biedna

sparalizowana kobieta leżąca bezradnie w małym pokoju na tyłach domu, pilnie potrzebująca opieki medycznej. A teraz jeszcze policjantka... Jaką odgrywała rolę? Dlaczego Ian ją uprowadził? I dlaczego Sasza się nie pokazał?

Przystanęła kilka kroków przed drzwiami, odgarnęła włosy z czoła. Czy powinna zrezygnować? Po prostu zniknąć? Wezwać policję? Na zawsze, jak podejrzewała, ścigana żądzą zemsty Iana Slade'a.

Była przerażona.

Wyjęła z kieszeni dzinsów klucz do drzwi wejściowych.

W tej samej chwili ktoś chwycił ją oburącz od tyłu, przytrzymał mocno w talii i zaszyję, a męski głos szepnął jej do ucha:

– Nie waż się krzyczeć! Ani słowa!

Była za bardzo wystraszona. Nie wydała z siebie żadnego dźwięku.

– Pani Coleman? Pani Callaghan? A może powinienem powiedzieć: pani Walsh? Jak mam się do pani zwracać?

Ani drgnęła.

Napastnik wygiął jej palce, którymi trzymała klucz. Zabrał go. Nie stawiała najmniejszego oporu.

Rozluźnił chwyt, odwrócił ją twarzą do siebie.

– Och – powiedziała zaskoczona. Policjant, który był u niej w południe. Nie pamiętała jego nazwiska. Już po raz drugi w ciągu trzech dni zjawiała się u niej policja. Kiedy poinformowała o tym Iana, wściekł się.

– Cholera jasna. Robi się tu za gorąco. Musimy stąd jak najszybciej uciekać.

– Co z więźniami? – odważyła się zapytać i poczuła się jak w kiepskim filmie. Więźniowie... Nigdy nie sądziła, że się pojawią.

– Mam już plan. Nie musisz go znać. Wszystkim się zajmę.

A teraz wrócił ten policjant.

Poczuła ulgę.

– Komisarz Caleb Hale – przedstawił się ponownie. – Pamięta pani?

Skinęła głową.

– Tak.

– Pani Alice Coleman. Dawniej Walsh. Rozpoznałem panią na zdjęciu udostępnionym przez poszukującą pani partnerkę.

Westchnęła. Zaprzeczanie byłoby bezcelowe, zresztą niby dlaczego miałyby to robić? I tak wszystko skończone – i dobrze.

– Czy Sophia Lewis jest przetrzymywana w tym domu? A Kate Linville?

– Tak. Sophia Lewis. I policjantka. Nie znam jej nazwiska.

– Gdzie jest teraz Ian Slade?

- Nie wiem.
- Czy może przebywać wewnątrz?
- Tak. Wyszłam na dwugodzinny spacer. Naprawdę nie wiem, gdzie on jest.
- Pewnie nadal jest uzbrojony?
- Tak.

– Dobrze. Proszę zostać na zewnątrz. Najlepiej poza posesją, proszę się schować za drzewem lub krzewem. Zrozumiano?

- Tak.

Wyszła z ogrodu, ukryła się za grupą drzew. Obserwowała, jak Caleb Hale otwiera drzwi i znika wewnątrz domu. Modliła się, żeby nie było tam Iana. Ten Hale nie miałby z nim żadnych szans. Zważywszy, że Ian ma broń.

I cechuje go absolutna bezwzględność.

W normalnej sytuacji byłby to właściwy moment na wezwanie posiłków, ale Caleb nie miał odwagi tego zrobić – nie po tym wszystkim, co się tego dnia wydarzyło. Pewnie i tak nie dostałby zezwolenia. Naczelnika chyba trafiłby szlag, gdyby tym sposobem się dowiedział, że Caleb nadal prowadzi dochodzenie.

Po omacku sprawdził wszystkie pomieszczenia parterowego domu. Salon, dwa małe pokoje, każdy z rozkładaną sofą, łazienka, kolejny pokój... W jednym z pokoi na tyłach domu natknął się na nosze służące do transportu pacjentów. Były puste.

Głos podszeptał mu, że Iana Slade'a rzeczywiście w domu nie ma. Puste nosze, na których Sophia leżała po uprowadzeniu, nie wróżyły nic dobrego. Minął kuchnię, otworzył następane drzwi, ostrożnie chowając się za ścianą.

Zobaczył Kate.

Przykucnięta w kącie, w świetle pojedynczej zwisającej z sufitu żarówki, miała skrępowane ręce i nogi, a usta zaklejone szeroką ciemnobrązową taśmą. Gdy na niego spojrzała, zaczęła się dławić i dyszeć.

Jednym susem znalazł się obok niej. Wiedział, że zada jej ból, ale była bliska uduszenia, więc jednym potężnym szarpnięciem zerwał taśmę z twarzy Kate. Łzy bólu wypełniły jej oczy. Wyciągnął z jej ust grubą skarpetę. Przeszły go ciarki na myśl, jak strasznie musiała cierpieć.

- Wody – wydusiła z siebie.

– Już. – Przeciął scyzorykiem nylonowe sznurki, którymi ten drań ją związał. Caleb ujrzał jej posiniąte ręce, wezbrała w nim nieopisana wściekłość. Facet był cholernym sadystą, marny jego los, gdy go dostanie w swoje ręce.

Na chwilę zostawił Kate samą, pobiegł do kuchni i zauważył kilka stojących na parapecie plastikowych butelek z wodą. Wziął jedną i wrócił. Kate piła, jakby umierała z pragnienia. Potem odezwała się dziwnie brzmiącym głosem:

– Gdzie jest Sophia Lewis?

– Zniknęła. Chyba jednak tu była. Nosze z karetki zostały w sąsiednim pokoju.

Kate zerwała się na równe nogi, ale kolana natychmiast się pod nią ugięły. Krążenie krwi zbyt długo pozostawało zaburzone. Caleb ją podtrzymał. Wziął ją w ramiona i poczuł, jak bardzo pragnęła w nich pozostać, podtrzymywana przez niego, mając zamknięte oczy. Była taka zmęczona, taka wyczerpana. U kresu sił.

Ale Kate nie byłaby sobą, gdyby w takiej sytuacji dała za wygraną. Nie czas na odpoczynek.

Uwolniła się z jego rąk, stanęła na chwiejnych, drżących nogach.

– Groził, że ją pogrzebie. Żywcem. To samo zamierzał zrobić ze mną.

– Co takiego? – Caleb wlepił w nią wzrok. – I myśli pani, że już się zabrał do...?

– Całkiem możliwe.

Szelest przy drzwiach do pokoju sprawił, że oboje drgnęli. Stała w nich Alice poszarzała na twarzy.

– Nie ma go tu, prawda? – zapytała. – Ale wróci.

– To Alice Walsh – wyjaśnił Caleb. – Albo raczej Alice Coleman, jak się teraz nazywa.

– Alice Walsh – powtórzyła Kate.

– Zakładam, że ten dom nadal do pani należy? – zapytał Caleb. – Dom, w którym mieszkała pani z rodziną?

Alice skinęła głową.

– Nigdy go nie sprzedalam. Ale też nigdy tu nie wróciłam. Dopiero jakieś dwa tygodnie temu.

– Ale dlaczego, na litość boską – zapytała Kate – pomaga pani Ianowi Slade’owi?

To nie był czas na wyjaśnienia. Mimo to nie rozumiała, nie potrafiła zrozumieć, jak *ktokolwiek...* z tym szaleńcem...

– Skontaktował się ze mną Sasza – wyjaśniła Alice. – Po zwolnieniu w zeszłym roku. Utrzymywałam z nim kontakt przez te wszystkie lata. Miał mój numer telefonu. Swojej partnerce o niczym nie mówiłam, nic nie wiedziała ani o Saszy, ani o Lenie. Nie miałam pojęcia, jak jej to wytłumaczyć.

– Porzucony samochód w Somerset... – powiedział Caleb.

Alice skinęła głową.

– Uciekłam. Długo się zadreślałam, ale w końcu postanowiłam zacząć nowe życie. Życie z Saszą. Musiałam mu to wynagrodzić.

Caleb niewiele wiedział o Alice Coleman, ale wszystko się zgadzało. Nie była złą osobą, choć określenie to dziwnie brzmiało w stosunku do dzieciobójczyni. Była całkowicie zdana na łaskę swoich nastrojów i emocji, lęków i ataków paniki. Jej

wewnętrzne dramaty zdominowały ją do tego stopnia, że wobec innych wykazywała się okrutną bezwzględnością. Zataiła przed partnerką nieprzyjemne fakty ze swojego życia. Odeszła, nie bacząc na to, że porzucony samochód wywoła w niej najgorsze obawy: myśli o zbrodni. Bezsenne noce, łązy kobiety, z którą niegdyś mieszkała, nie interesowały jej, pewnie nawet nie zdawała sobie sprawy, że tamta będzie przeżywać prawdziwe piekło. W zasadzie Alice dostrzegała wyłącznie siebie. Zawsze tylko siebie. Nawet kiedy postanowiła zaopiekować się Saszą, aby mu to *wynagrodzić*. Tak naprawdę była to tylko kolejna próba autoterapii.

– Zgodnie z umową przyjaciel Saszy zabrał mnie z drogi niedaleko Taunton. Ian Slade. Nie podobał mi się wcale, ale tymczasem sprawy nabrały własnego tempa. – Wzruszyła bezradnie ramionami. Wiadomo, co się stało: nagle wpadła w wir szaleńczej wendety Iana Slade’a i wkrótce nie wiedziała, jak się z niego wydostać.

– Kiedy zaczął deponować u pani swoje ofiary – powiedział Caleb, celowo wybierając cyniczne wyrażenia – sparaliżowaną kobietę, potem Kate, policjantkę... Nadal nie uważała pani za stosowne zgłosić się na policję?

– Bałam się – odparła krótko Alice, a Caleb nie mógł wziąć jej tego za złe. Nie czuć strachu przed Ianem Slade’em byłoby rażącym zaniedbaniem. Rozejrzała się wokół lękliwie pobłyskującymi oczami. – On może tu w każdej chwili wrócić. O Boże, tak bardzo się martwię o Saszę!

Caleb zdecydował, że nie jest to odpowiednia chwila, aby jej wyjawić, że Sasza nie żyje – zastrzelony przez człowieka, którego nazywał *przyjacielem* i za takiego prawdopodobnie uważał. Gdyby Alice się teraz załamała, jeszcze bardziej skomplikowałyby to sytuację.

Uścisnął więc tylko jej ramię pełnym otuchy gestem, który mógł dawać zarówno nadzieję, jak i pocieszenie.

– Czy powinniśmy wezwać posiłki? – zapytała Kate. – Mogę to zrobić w każdej chwili, ja... – Przełknęła resztę zdania. *Jestem na służbie*, zamierzała powiedzieć.

– Potrzebuję tylko pańskiego telefonu – wyjaśniła zamiast tego.

– Problem w tym... – odparł Caleb.

Od razu zrozumiała, o co mu chodzi.

– Kiedy tu wróci i zobaczy czekającą na niego policję – czy powie nam, gdzie jest Sophia?

– Głowy bym nie dał – przyznał Caleb. – Nawet gdyby wzięto to pod uwagę przy wydawaniu wyroku.

– Zastanawiam się, czy ma to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie. – Kate spojrzała na niego bojaźliwie. – Czy inspektor Stewart przeżył?

– Nie – odparł Caleb.

Kate jęknęła. Miała do Stewarta pewne zastrzeżenia, ale świadomość, że zginął, zwyczajnie zastrzelony na schodach domu wielorodzinnego w Leeds, była nie do zniesienia. Ian, oprócz prawdopodobnego zabójstwa Jacka Gregory'ego oraz kierowcy karetki, miał na sumieniu zamordowanie policjanta. I zabił także Saszę... Tak czy owak, na długie lata trafi do więzienia. A to oznaczało, że będzie mniej skłonny do negocjacji.

– Być może byłby jednak gotowy zawrzeć układ – poddał Caleb, jakby czytał w jej myślach. – Złagodzenie kary w zamian za ujawnienie kryjówki Sophii Lewis.

– Musimy się spieszyć – odezwała się zaniepokojona Alice.

Caleb i Kate spojrzeli po sobie.

– Zbyt ryzykowne – uznała Kate.

Ian był obłąkany. Świadomość, że nie wyjawiając miejsca, w którym pogrzebał Sophię, doprowadziłyby do szaleństwa pracujących nad sprawą śledczych, napełniłaby go tak potworną satysfakcją, że w zamian poszedłby do więzienia na dłużej. Zwłaszcza że pewnie i tak liczył się z wyrokiem dożywocia.

– Zróbcie coś – jęknęła Alice, rozglądając się strachliwie dokoła, jakby w każdej chwili mógł się pojawić za ich plecami.

– Jest tylko jeden sposób – powiedziała Kate.

Caleb od razu zrozumiał, co miała na myśli.

– Nie. Wykluczone.

– On chce to samo zrobić ze mną. Jeśli pójdzie pan w ślad za nami...

– Może wybrać zupełnie inne miejsce.

– Musimy zaryzykować.

– Do diabła, nie – zaproponował Caleb. – Za duże ryzyko. Co, jeśli stracę z oczu jego samochód? Jeśli mnie zauważy i zgubi? To nie wchodzi w rachubę, Kate.

– Czy widzi pan jakąś inną opcję? Żeby uratować Sophię?

Milczał.

– Czas płynie – nalegała Kate. Zbyt długo przebywali w tym domu. Ian mógł się lada chwila zjawić.

– Gdzie jest pański samochód?

– Kawałek dalej. Nie zauważy go, kiedy wróci.

– Ja też go nie widziałam – potwierdziła Alice.

– Jeśli was stracę... – podjął na nowo Caleb, ale Kate machnęła ręką.

– Będzie pan znał kierunek, w którym się udamy. W Leeds zapamiętałam numery rejestracyjne, zapiszę je panu. Wtedy postawi pan na nogi całą okoliczną policję.

Spojrzał na nią.

– Mimo to coś może pójść nie tak, Kate.

- Wiem – odparła.
- To czyste szaleństwo – powiedział – a do tego wbrew wszelkim przepisom, wie pani o tym?
- Pańska obecność tutaj również jest wbrew wszelkim przepisom.
- Nie mam wiele do stracenia.
- Jeśli teraz wezwiemy naszych kolegów – oznajmiła Kate – Slade nie powie ani słowa. To pewne. A na pomysł ze mną jako przynętą się nie zgodzą. Albo działamy sami, i to szybko, albo Sophia jest zgubiona. Więcej opcji nie mamy.
- Dobrze – zgodził się. – Nie ma pani swojego telefonu, Kate?
- Nie. Straciłam go w domu Walsha.
- W takim razie weźmie pani mój. Musi być pani w stanie nawiązać kontakt, a my musimy panią zlokalizować.
- A pani?
- Mam telefon na kartę – odparła Alice. – Może go pan wziąć.
- Mam cholerne przecucia – powiedział Caleb.
- Chodźmy – oznajmiła Kate. – Nie mamy czasu do stracenia!

9

Ian Slade miał wrażenie, że coś jest nie tak, ale poza instynktem, który podszeptował mu niejasne ostrzeżenia, nic na to nie wskazywało.

W domu było zupełnie cicho. Alice się nie pokazała, co wcale go nie dziwiło. Wciąż wychodziła na długie samotne spacerunki. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażała, wyraźnie było widać, że okoliczności coraz bardziej ją niepokoją. Najpierw Sophia, potem Kate. Alice nie rozumiała, co tak naprawdę się dzieje, ale tymczasem zdała sobie sprawę, że wplątała się w niecną historię. Ian już kilka razy się zastanawiał, czy nie powinien się jej pozbyć. I tak widniała przecież na jego liście zemsty. Czy stwarzała dodatkowe ryzyko? Była zmrożona strachem. Strachem przed nim. Bała się o siebie i o Saszę. Nie sądził, że podejmie jakieś działania, ale nigdy do końca jej nie zaufał. Ta kobieta była nieprzewidywalna. Cierpiała na głęboką depresję. Była szalona. Nie należał do osób przesadnie wrażliwych, a jednak utopienie własnego dziecka w wannie uznał za potworność. Podobnie jak to, co zrobiła Sasza. Choć to jej mąż, ten sukinsyn, wszystkim pokierował. Mimo to albo współdziałasz, albo nie. Alice nie stawiała oporu. Patrzyła, jak zabierają Saszę. Boże, jak wiele złego wyrządziła ta kobieta w swoim życiu.

Ostatecznie jej nie wyeliminował, dla dobra Saszy. Przynajmniej na razie. Z jakiegoś powodu Sasza był do niej przywiązany, dopóki go potrzebował, nie chciał

ryzykować, że się nerwowo załamie lub popadnie w kompletne szaleństwo. Alice rzeczywiście okazała się przydatna, kiedy w jej domu zjawiała się policja – czego zresztą Ian się spodziewał, kiedy się okazało, że ustalono tożsamość jego i Saszy oraz łączący ich związek. Zmienił Alice nazwisko oraz wmówił jej kilka istotnych fragmentów wiarygodnej historii jej życia – rozwiedziona, samotnie wychowująca dzieci matka, potomstwo na obozie, zgorzkniała, samotna – a Alice dobrze to odegrała. Prawdopodobnie dlatego, że niektóre z tych cech rzeczywiście do niej pasowały: była samotna i zgorzkniała. Potwornie sfrustrowana.

Jakby Ian znalazł się na jej miejscu.

Zastrzelił Saszę, bo nie mógł pozwolić na odkrycie kryjówki. Wiedział, że Alice zmieni front, jeśli się o tym dowie. Pozbycie się jej nie stanowiło problemu, ale policja była tu już dwukrotnie, za drugim razem wzbudziło to w nim czujność. Czy coś podejrzewali? Czy poskładali już fragmenty układanki? Nie miał czasu do stracenia. Trzeba było przenieść te dwie kobiety w inne miejsce, sam zaś musiał wydostać się z kraju. Z całego serca pragnął zadać Sophii Lewis bolesną śmierć – a pogrzebanie żywcem w drewnianej skrzyni metr pod ziemią w zapomnianym przez Boga zagajniku było *potwornie* bolesnym doświadczeniem. Jednakże Kate Linville w zasadzie w niczym nie zawiniła. Cóż, prowadziła przeciw niemu dochodzenie, ale to była jej praca. Choć policjant to w jego oczach nie zawód, lecz wada charakteru.

Kusiło go, by zostawić ją u Alice, skrupowaną i zakneblowaną, i nie podejmować dodatkowego ryzyka: kto wie, czy Alice tymczasem nie zmieniła zdania? Może po pogrzebaniu Sophii powinien stąd jak najszybciej zniknąć. Potem uznał jednak, że warto wziąć ze sobą zakładnika. Policjantka w jego rękach dałaby mu mnóstwo swobody. Jej koledzy nie mogliby zwyczajnie zacząć strzelać, gdyby go nagle odnaleźli. Zażądałby swobodnego przejazdu, grożąc, że wpakuje Kate kulę w łeb. Zamierzał dotrzeć razem z nią do Francji, a stamtąd przedostać się na Bałkany. Wyobrażał sobie, że tam z łatwością gdzieś się zaszyje. Wtedy pozbyłby się Kate. Jej strata. Mogła się wyuczyć porządnego zawodu.

Gdyby tylko nie ogarnęło go to głupie przecucie. To cholerne przecucie nieuchwytnego zagrożenia.

Zachowując czujność, ostrożnie przemierzał dom, zaglądał do każdego pokoju. Alice jeszcze nie wróciła. Frontowe drzwi były zamknięte. Głupia suka. Mogłaby choć raz pomyśleć, że zgłodnieje. Korona by jej z głowy nie spadła, gdyby przygotowała dla niego posiłek. Na kuchence nic jednak nie stało, nie pachniało też żadną potrawą. Pewnie nawet nie zrobiła zakupów, nie było więc ani chleba, ani sera, ani nic innego do jedzenia. Czym ona właściwie żyła? Była chuda jak szczapa. Nadmierne odchudzanie prawdopodobnie stanowiło element jej osobliwej formy autodestrukcji.

Kompletnie zwariowała.

Kate siedziała w małym pokoju obok kuchni dokładnie w takiej samej pozycji jak przedtem. Wyszczерzył zęby, widząc jej wykręcone kończyny. Dość mocno zaciągnął węzły. Musiała czuć ból. Z pewnością najbardziej dokuczała jej skarpetka w ustach.

Zerwał z jej twarzy taśmę i wyjął z ust skarpetę. Człowieku, kto w sierpniu nosi wełniane skarpety? Typowe dla tak niepozornej kobiety jak ta Kate. Brązowe wygodne półbuty. I wełniane skarpety.

– Wody – sapnęła Kate.

– Później – powiedział Ian. – Teraz musimy się stąd wydostać. – Przeciął scyzorykiem więzy krępujące jej nogi. – Żebyś mogła chodzić.

– Czy może pan rozwiązać mi ręce? Nie czuję palców.

– Przykro mi. To zbyt niebezpieczne. – Nie miał najmniejszego zamiaru uwolnić jej rąk. Był wprawdzie uzbrojony, w odróżnieniu od niej, ale jako policjantka przeszła zapewne szkolenie z technik walki wręcz i potrafiłaby go obezwładnić. Musiał zachować czujność. Była zawzięta i mądra. Nigdy nie poddałaby się bezwolnie losowi.

Nie poszłoby mu tak łatwo, jak w przypadku całkowicie sparaliżowanej Sophii.

– Wstawaj – rozkazał.

Zataczając się, stanęła na nogach. Minęło kilka chwil, zanim zdołała się na nich utrzymać.

– Mogę dostać trochę wody? – powtórzyła.

– Kiedy będziemy w samochodzie. Idziemy.

Chciał stąd odejść jak najszybciej. Zniecierpliwiony chwycił ją za ramię i pociągnął wzdłuż korytarza. Ze względu na długi bezruch szła niezdarnie, dwukrotnie nieomal upadła.

– Nie mogę normalnie iść.

– Nie udawaj! Do cholery, myślisz, że mam mnóstwo czasu?

– Czy zabieramy też Sophię Lewis?

Uśmiechnął się.

– Jej tu już nie ma.

– Gdzie ona jest?

– Już ci mówiłem.

Przystanęła.

– Nie zrobił pan tego!

– Pewnie, że zrobiłem. Zawsze robię to, co mówię.

– Panie Slade, popełnia pan straszne przestępstwo, dobrze pan o tym wie. Cokolwiek pan do tej pory zrobił, to ma zupełnie inny wymiar. Jeśli mi pan powie, gdzie jest Sophia, jeśli się pan podda, wstawię się u prokuratora...

– Stul pysk! Też mi, kurwa, deal! Dwa lata mniej za kratkami? – Zbliżył twarz do jej twarzy i z satysfakcją stwierdził, że lekko drgnęła. – Wcale się nie wybieram do więzienia, zapamiętaj to sobie. Ty i ja razem opuścimy Anglię. Na kontynencie rozplynę się w powietrzu. A ty będziesz moją cholerną tarczą na wypadek, gdyby po drodze twoi koledzy sprawiali jakieś kłopoty. Tak to działa, więc przestań mnie wkurzać swoim pieprzeniem.

– Panie Slade, jeśli naprawdę pogrzebał pan Sopię żywcem...

– Możesz być pewna, że tak właśnie zrobiłem.

– Proszę posłuchać, za tę potworną zbrodnię trafi pan na resztę życia za kratki. Daję panu gwarancję, że będzie pan mógł bez przeszkód wyjechać z Anglii, jeśli powie mi pan teraz, gdzie jest Sophia.

– Jeszcze nie zwariowałem. Oczywiście, że mnie aresztują na granicy!

– Będą odpowiednie instrukcje, żeby pana nie zatrzymywać.

Uśmiechnął się. Boże, jaka ona głupia. A co gorsza, uznała go za stukniętego.

– Szczerze mówiąc, *Kate Linville* – jej imię i nazwisko wymówił sztucznie i z pogardą – aż taka ważna nie jesteś. Wiem co nieco o tych rzeczach. *Sierżant śledcza*. Nie możesz mi niczego zagwarantować. Twoi przełożeni zrobią z ciebie miazgę i niezwłocznie to odwołają. Nie wspominając już o tym, że nie mam ochoty ratować tej suki Sopi. Ani trochę. Dostanie to, na co zasługuje. Nic tego nie zmieni.

– Będą pana szukać. I znajdą.

– Co ty powiesz, sierżantko?!

– Panie Slade... Ian...

– *Panie Slade... Ian...* – przedrzeźniał ją piskliwym, sztucznym głosem. – Zamknij się albo od razu cię zastrzelę. Tu i teraz. Rozumiesz?

Otworzyła usta, już zamierzała odpowiedzieć... On zaś pomyślał, że najlepiej będzie na powrót wepchnąć jej skarpetę do gardła, w przeciwnym razie ta przenikliwa policjantka się nie zamknie. Wtem usłyszał brzęczenie.

Wibracje.

Zamarł.

Na ciele tej cholernej kobiety coś brzęczało, a przecież się upewnił, że nie ma przy sobie komórki. Usłyszał jednak dźwięk telefonu.

Intuicja nigdy go nie zawiodła. Wiedział, że coś jest nie tak.

Usłyszał odgłos silnika, chwilę potem ujrzał, jak zardzewiały ford transit pędzi wyboistą drogą, wzbijając za sobą tumany pyłu. Caleb wyczekiwał w napięciu, mimo

to drgnął, zmrożony biegiem wydarzeń.

Dlaczego Ian Slade gnał, jakby sami diabli deptali mu po piętach?

– Co z nim? – zapytała nawet Alice, skulona na siedzeniu pasażera.

– Niech pani wysiada i zabarykaduje się w domu – polecił Caleb. – Tak jak ustaliliśmy. Szybko!

Cokolwiek miało się stać, nie chciał, by Alice znalazła się na linii ognia.

Alice wyskoczyła z samochodu i zatrzasnęła drzwi. Caleb natychmiast ruszył. Na chwilę stracił z oczu furgonetkę, bez obaw, Ian nie powinien go zobaczyć w lusterku wstecznym, jak wyłania się spomiędzy krzewów. Wiedział, że Slade będzie musiał jechać główną drogą przez wioskę, nie było innego rozsądnego sposobu, aby dotrzeć do drogi w kierunku Nottingham – stamtąd mógł ruszyć w dowolnym kierunku. Do tego czasu Caleb musiał mieć go w polu widzenia. Zamierzał dogonić go gdzieś w wiosce. Wówczas Slade nie będzie wiedział, skąd nadjechał, nigdy wcześniej go nie widział, z pewnością nie nabierze podejrzeń. Jeśli słowo *pewność* w ogóle pasowało do sytuacji. W gruncie rzeczy poważyli się na zupełne szaleństwo. Na samą myśl o tym, że w mijającym go samochodzie leży Kate, skrępowana i bezbronna, na łasce psychopaty, który mordował wchodzących mu w drogę ludzi, oblewał go zimny pot. Nie powinien był na to pozwolić, z każdą upływającą sekundą coraz lepiej to sobie uświadamiał. Za późno. Rozumiał niezłomną wolę Kate, by uratować Sophię Lewis, owszem, prawdopodobnie miała rację, nie było innego sposobu niż ten, który obrali. Niemniej ratunek nie mógł stwarzać zagrożenia dla innej osoby, to alfabet policyjnej pracy. A ryzyko, jakie podjęła Kate, było za duże.

O wiele za duże.

Dotarł do wiejskiej drogi prowadzącej przez sam środek niewielkiej miejscowości. Była cicha i pusta. Po prawej i lewej parkowało kilka samochodów. Wokół panował leniwy spokój. Sierpień i wakacje. Nie widać było nawet ludzi dojeżdżających do pracy. Gdzie, do cholery, podział się Slade? Nie mógł jechać tędy zbyt szybko, jeśli nie chciał niepotrzebnie ściągnąć na siebie uwagi. Powinien go zobaczyć.

– Kurwa – zaklął Caleb.

Ruszył dalej, przyspieszył. Dlaczego Slade przedtem tak pędził? Musiał czuć się pewnie, po co więc miałby ryzykować, mknąc z szaleńczą prędkością i zwracając na siebie uwagę policyjnego patrolu? Jakby próbował uciec przed pościgiem... Przecież nie mógł o tym wiedzieć. Nie mógł o tym, do cholery, wiedzieć.

Caleb związał Kate dokładnie tak, jak ją znalazł. Sam czuł fizyczny ból, gdy krępował ją więzami jak jakąś paczkę, zdając sobie sprawę z tego, jak bardzo boleśnie dadzą jej się we znaki już po krótkim czasie. Ona jednak nalegała.

– Jeśli zauważy, że coś się zmieniło, wszystko na nic.

Włożyła z powrotem ohydną skarpetę do ust, a Caleb przykleił taśmę, zabrał butelkę z wodą i wszystko uporządkował. Przez cały czas instynkt nakazywał mu przerwać tę akcję. Kate jednak wykazywała determinację, która uniemożliwiała zawrócenie z raz obranej drogi.

Już wcześniej ściszyli komórkę Caleba i ją ukryli. Krótco się naradzali, czy nie lepiej byłoby ją całkiem wyłączyć. W razie potrzeby Kate musiałyby ją ponownie włączyć i wprowadzić PIN. Poniechali tej myśli, ponieważ w krytycznej sytuacji cały proces mógłby potrwać zbyt długo. Kate wsunęła telefon do majtek.

– Mam nadzieję, że się tam nie zgubi – powiedziała.

Caleb westchnął.

– To wszystko jest...

– Nieodzowne – dokończyła Kate.

Caleb wyjął scyzoryk, którym wcześniej przeciął więzy Kate.

– Proszę go wziąć. Nie jest szczególnie pomocny przeciwko człowiekowi uzbrojonemu w broń palną, ale lepsze to niż nic.

– A gdzie go schowam?

W końcu Kate włożyła go do buta. Trochę uwierał, ale pewnie nie będzie musiała dużo chodzić.

Miała telefon komórkowy i scyzoryk. Caleb uznał, że wyposażenie to można określić jedynie jako *niewystarczające*.

Jechał tą przeklętą wiejską drogą, nie widząc żadnego śladu nędznej furgonetki, zwyczajnie nie mógł zrozumieć, jak to w ogóle możliwe. Dlaczego Ian ruszył tak szybko? I dlaczego najwyraźniej utrzymywał tę szaleńczą prędkość? Inaczej Caleb musiałby go przecież zauważyć. Widział wystarczająco daleko. *Powinien* go zobaczyć.

Zabręczała jego komórka, ściśle mówiąc, komórka Alice. Na wyświetlaczu zobaczył własny numer. Zapisali go w pamięci, by od razu wiedział, że dzwoni Kate.

Przyłożył telefon do ucha.

– Kate?

– Nie, to ja, Alice.

– Alice? Jak to możliwe?

– Telefon leżał tutaj, w domu. W korytarzu. Obok niego nóż.

– *Co takiego?*

– Musiał je znaleźć.

– Nie wierzę. Znowu ją przeszukał? – Caleb poczuł się nagle obezwładniony przez panikę, podobnego uczucia nigdy w życiu nie zaznał. Nie był człowiekiem, który łatwo panikował. Ale teraz...

– Wyświetla się połączenie – powiedziała Alice. – Sprzed jakichś dwudziestu minut.

– Przecież go wyciszyliśmy.

– Alarm wibracyjny nie został wyłączony – stwierdziła Alice. – Właśnie sprawdziłam.

– Niech to szlag! Dlaczego o tym nie pomyśleliśmy? Jak mógł go usłyszeć?

– Wibracje można usłyszeć, jeśli wokół jest bardzo cicho – wyjaśniła Alice. W jej głosie pobrzmiwała rozpacz.

– Cholera, to dlatego tak pędził. Wiedział, że ktoś tu jest. Próbował nas zgubić. – Caleb walnął pięścią w kierownicę. – I to mu się udało. – Zjechał na pobocze drogi, zatrzymał się. Nie było sensu jechać dalej. Iana tu nie było. Wybrałyby tę drogę, gdyby uznał, że nic mu nie grozi. Caleb domyślił się, że już w wiosce skręcił z głównej szosy w prawo lub w lewo, a następnie ruszył jakąś boczną drogą, może nawet polną ścieżką. Umknął, a Caleb nie miał zielonego pojęcia, który z czterech kierunków świata obrał.

Chciało mu się wyc. Taki stan dopadał go nawet rzadziej niż panika.

Weź się w garść, rozkazał sobie, weź się w garść, bo tylko pogorszysz sprawę.

– Widać, kto dzwonił? Czy jest jakieś nazwisko?

– Nie. Ale zostawił wiadomość w poczcie głosowej.

– Możesz ją wywołać i odtworzyć? – Nie miało to chyba większego sensu.

Alice potrzebowała kilku chwil na zapoznanie się z nieznanym sobie telefonem. Caleb usłyszał w końcu obcy głos nagranej wiadomości.

– Witam, komisarzu Hale. Rozmawialiśmy dziś rano przez telefon. Tu Kamil Abrowsky.

Caleb aż jęknął. Terapeuta. Pewnie coś sobie przypomniał i zadzwonił w najgorszym możliwym momencie.

– Zastanawiałem się i coś mi przyszło do głowy – kontynuował Abrowsky. – Sasza parę razy wspominał, że jego matka nadal posiada dom w okolicy Nottingham. Po kilku latach znów nawiązał kontakt z matką i zawsze miał nadzieję, że pewnego dnia razem tam zamieszkają. Nie wiem, czy ta wiadomość okaże się dla pana przydatna. Ale pytał pan o miejsce, w którym Slade i Sasza mogliby się schronić. – Umilkł na chwilę. – Cóż, może to panu pomoże – zakończył. – Do widzenia.

– Idiota! – warknął ze złością Caleb. – Gdyby przypomniał to sobie dziś rano, prawdopodobnie uratowalibyśmy obie. Sophia nadal by tam przebywała.

Nic ci teraz po złości. Patrz do przodu. Ratuj to, co jeszcze można uratować. *Jeśli wciąż istnieje jakaś szansa.*

Rozłączył się. Nie miał ochoty wysłuchiwać ewentualnych komentarzy Alice. Wystarczająco długo współdziałała z Ianem Slade'em. Najpóźniej w chwili, gdy

przywiózł Sophię Lewis, powinna była pójść na policję, nie zważając na obezwładniający ją strach.

Co powiedziała Kate? *Ma pan numery rejestracyjne i przybliżony obszar poszukiwań. Jeśli coś pójdzie nie tak, musi pan postawić na nogi całą policję.*

Coś poszło nie tak. Zdecydowanie.

Wybrał numer Helen. Na szczęście odebrała niezwłocznie. Zaczynał kochać tę kobietę. Bez niej od dawna nic by już nie działało.

– Helen, pilnie potrzebuję pani pomocy – zaczął. – Proszę posłuchać uważnie. Oto co się stało...

11

Z początku pędził z nadmierną prędkością, niebezpiecznie pokonując każdy zakręt. Teraz nieco zwolnił, gdyż za wszelką cenę chciał uniknąć spotkania z policyjnym patrolem. Taka kontrola prawdopodobnie oznaczałaby koniec podróży – jego numery rejestracyjne pewnie już ustalono, każdy policjant w kraju otrzymał polecenie, by go zatrzymać lub przynajmniej śledzić. W samochodzie wiozł zakładniczkę. Swój jedyny atut.

Wedle wszelkiego prawdopodobieństwa zdołał umknąć policjantom rozstawionym wokół domu. Nie wybrał głównej drogi prowadzącej z wioski, gnał bocznymi uliczkami, by ostatecznie opuścić miejscowość drogą szutrową. Nikt za nim nie jechał.

Kiedy zawibrował telefon, zamarł, lecz chwilę potem mierzył z pistoletu we wszystkich kierunkach, gotowy strzelać do każdego policjanta, który wszedłby do pokoju. Wtedy zdał sobie sprawę, że znalazł Kate zakneblowaną i związaną tak samo jak przedtem. Z pewnością funkcjonariusze policji czaili się w pobliżu, ale się nie ujawniali. Chcieli odnaleźć Sophię Lewis żywą. Będą go ścigać, choć musieli uważać, żeby niczego nie zauważył. Musi wystrzelić jak z procy... Miał nadzieję, że nie są rozstawieni po całej wiosce i na wszystkich drogach. Tak naprawdę prowadziła tamtędy tylko jedna porządna szosa, poza tym wyłącznie drogi polne i szutrowe, biegnące między pastwiskami i polami.

Żałował, że wrócił. Czuł lekki niepokój, teraz zrozumiał, że powinien był go usłuchać. Zawsze kierował się wskazaniem sprawnie działającego wewnętrznego radaru, ignorowanie go niezmiennie okazywało się błędem.

Stało się. Teraz musiał wymyślić sposób, jak się z tej sytuacji wywikłać. Nie chciał iść do więzienia. Za nic w świecie.

Brutalnie obmacywał Kate, aż jęczała z bólu. Rzeczywiście, telefon znalazł w jej majtkach. Miał ogromną ochotę dać jej za to naprawdę dotkliwą nauczkę, ale czas

naglił. Może później nadarzy się okazja, by jej odpłacić za ten perfidny podstęp.

– Ilu gliniarzy ukrywa się wokół domu? – zapytał.

– Nikogo tu nie ma – odpowiedziała. Miała czelność zaprzeczyć, nawet w obliczu jawnych dowodów. W odpowiedzi uderzył ją w twarz, głowa odskoczyła jej na bok jak piłka tenisowa. Nie mógł niestety użyć całej swojej siły, gdyż pewnie straciłaby przytomność, a to skomplikowałoby tylko sytuację.

W jej prawym bucie znalazł szczyryk. Z wściekłością cisnął nim o podłogę. Myśleli, *oni naprawdę myśleli*, że zdołają go przechytrzyć.

Gdy nastąpiła gwiaździsta sierpniowa noc, poczuł się nieco pewniej. Kate, związana i ze skarpetą w ustach, leżała z tyłu furgonetki na cuchnącym nieokreślonej wonią materacu, który nieszczęsny Jack Gregory zabierał na kempingowe wyprawy. Wonią wszelkiego rodzaju płynów ustrojowych, szczególnie zaś zimnego potu Sophii Lewis. Wiedziała, co ją czeka, gdy ruszy z nią w tę ostatnią podróż. Omal nie oszalała ze strachu, zdradzały to jej oczy. On jednak pozostawał niewzruszony. Wiedział, że to ona go wówczas wyspała. Trasa jej cholernego cowieczornego joggingu wiodła obok pustego garażu, w którym mógł zrobić tyle wspaniałych rzeczy z małą dziewczynką, na tyle głupią, że razem z nim wyszła z ogrodu swoich rodziców. Widział twarz Sophii, gdy wpatrywała się we wnętrze garażu. Potem uciekła ile sił w nogach, mając zapewne nadzieję, że jej nie rozpoznał. Od razu się domyślił, że wezwie gliny.

Po wypuszczeniu z poprawczaka z niemałym trudem zdobył jej adres. Żyjąc przez te wszystkie lata w ustawicznym napięciu, nigdzie się nie zameldowała. Dzięki byłej znajomej z West Bromwich dowiedział się, że uczy w jednej ze szkół w Manchesterze. Sprawdzał wszystkie po kolei, aż w końcu ją odnalazł. Napisał do niej anonimowy list, informujący, że on, Ian Slade, znowu jest na wolności. Zabawnie było patrzeć, jak wkrótce potem się wyprowadziła i zatrudniła w innej szkole. Cholernie się wystraszyła, głupia suka, i słusznie. Tam, gdzie teraz leżała, mogła spokojnie rozmyślać nad popełnionymi błędami. A właściwie nad jednym: nie powinna go była wtedy wydać.

Przed nim ciągnęła się spokojna, tonąca w mroku wiejska szosa. Jechali w kierunku południowo-wschodniego wybrzeża, ale wyłącznie bocznymi drogami. Raz za razem zmieniał trasę. Nie minął go prawie żaden samochód. W lusterku wstecznym już od ponad godziny nie dostrzegł żadnych świateł. Nikt za nim nie nadążył. Cudownie! Pewnie dostawali szału. Trzymał w samochodzie ich koleżankę, przynętę, ale to nie on wpadł w pułapkę, to ona znalazła się w potwornych tarapatach. Autora tego idiotycznego planu powinno się rozerwać na strzępy. Pięknie. Ian aż miał ochotę gwizdać, tak dobrze i pewnie się poczuł. Był górą. Cholernie sprytnie to wszystko obmyślił. Szpiegował ich wszystkich: Sopię. Ksenię. Olivera. Alice. Łatwo nie było,

ale nie dawał za wygraną, był uparty, przebiegły, świetnie potrafił kojarzyć fakty. W końcu się dowiedział, gdzie mieszkają, jak żyją. Udało mu się tylko dlatego, że zawczasu wystarał się o samochód, w którym mógł mieszkać i przenosić się swobodnie z miejsca na miejsce. Biedny Jack Gregory zabrał go z sobą, gdy stał na poboczu drogi i wystawiał kciuk, kiedy tylko nadjeżdżał pikap, kamper albo van. Gregory zatrzymał się i pozwolił mu wsiąść. Jego stary ford transit nie był szczytem marzeń, ale lepsze to niż nic. Przynajmniej przebudował go na kamper: wyposażył w materac, kuchenkę gazową, miał naczynia i sztuce... Gregory'ego pozbył się na opustoszałym parkingu w Yorkshire Dales, jednym ruchem podciął mu gardło, po czym zrzucił go do stromego skalnego wąwozu. Mało prawdopodobne, by ktokolwiek go tam znalazł.

Transit stał się dla niego i Saszy domem, dopóki Sasza nie przekonał Alice, by zamieszkała z nim w domu niedaleko Nottingham. Znacznie większym i bardziej komfortowym. Wtedy jednak zaczęły się problemy: Ian nie ufał Alice, dom zaś uznał za pułapkę. Którą się w końcu okazała. *Okazałaby*, poprawił w trybie przypuszczającym. Gdyby on nie wykazał się większym sprytem od nich wszystkich.

Chociaż, jeśli miał być szczerzy, o mały włos nie wpadł w ich sieci. Uratował go telefon komórkowy. A więc zupełny przypadek.

Gwizd zamarł mu na ustach. Cholernie mało brakowało. Nie mógł działać lekkomyślnie. Wciąż jeszcze nie był bezpieczny.

Pozostawało pytanie, co dalej. Nie zarzucił pierwotnego planu ucieczki na kontynent razem z Kate jako zakładniczką, niemniej sytuacja wyraźnie się pogorszyła. Każdy statek pasażerski wypływający z dowolnego portu w Anglii w ciągu najbliższych dni będzie obsadzony przez policję. Podobnie jak odprawa przed eurotunelem w Dover. Może to potrwać nawet tygodnie, gdyż są gotowi na wszystko, byleby uwolnić Kate. Nie zastrzelą go, bo potrzebują go żywego, jeśli chcą się dowiedzieć, gdzie ukrył Sopię Lewis. Wszystko to zapewniało mu pewną nietykalność, choć jedynie fizyczną. Chcieli go aresztować – i to mogło im się udać. Nie miał co do tego złudzeń. Mimo że wziął zakładniczkę. Był sam, w końcu opadnie z sił. Wciąż napędzała go adrenalina, ale zbyt długo już nie spał, nie przetrzyma kolejnych dwudziestu czterech czy czterdziestu ośmiu godzin. Jeśli zaśnie, złapią go.

Zerknął w lusterko wsteczne. Od przestrzeni bagażowej oddzielała go przegroda sięgająca niemal do sufitu, pozostawiając jednak szczelinę o podwójnej szerokości dłoni. Prawie nic nie było widać, zwłaszcza że z tyłu brakowało okien wpuszczających choćby odrobinę światła – w nocy i tak niewiele by to dało. Mimo że nie miał jasnego oglądu sytuacji, wcale się tym nie martwił. Kate była dobrze związana, leżała na

materacu jak porzucony, nieruchomy tobołek. Nie mogła mówić ze względu na knebel w ustach, ale gotów był się założyć, że nie spała. Czuwała.

Z pewnością rozpaczliwie rozmyślała o ucieczce. Oznajmił jej, że do Sophii jej nie zawiezie. Teraz chodziło o ratowanie samej siebie.

To jej się nie uda. Biedactwo.

– Chyba odłożymy naszą podróż do Francji – oświadczył. Odwrócił nieznacznie głowę do tyłu i mówił bardzo głośno, by mogła go zrozumieć. Stary grat strasznie hałasował, zagłuszając wszystko dokoła. – Mamy czas do końca świata, prawda?

Oczywiście, że to nie była prawda, głównie dlatego, że nie mieli pieniędzy. Z drugiej jednak strony z takimi problemami umiał sobie radzić.

– Myślę o jakimś domku letniskowym. Na południu Anglii. Co sądzisz o Kornwalii? Ładna okolica. Tam właśnie namierzyłem Alice. Spodobało mi się.

Nie odpowiedziała. Niby jak?

– Najlepsza byłaby para emerytów – ciągnął. – W domu mają zapasy, gotówkę i kartę debetową. Łatwo ich uciszyć. Można ich zamknąć w piwnicy. Albo po prostu kropnąć. Pożyjemy, zobaczymy.

To nie było takie proste, jak opisywał. Nawet starsi ludzie zazwyczaj byli w jakiś sposób powiązani. Mieli dzieci i wnuki, sąsiadów, przyjaciół. Nie miał czasu na szukanie kogoś, kto prowadził zupełnie samotnicze życie. Z szuflady w mieszkaniu Olivera Walsha zabrał kilka banknotów, ale na długo to nie wystarczy. Wizyta w supermarkecie czy na stacji benzynowej także stanowiła niemałe ryzyko... Dla pewności zerknął na wskaźnik poziomu paliwa. Jedna czwarta baku. To niewiele.

Poczuł, jak oblewa się potem. Dopiero co czuł się niezwykły, ale skoro tylko dokładniej ocenił swoje położenie, zdał sobie sprawę, jak mało miał powodów do euforii. Nie powinien był wracać. Powinien był pozbyć się Sophii, a potem jak najszybciej uciekać. Plan zabrania z sobą Kate jako tarczy nie był głupi, ale nie do końca przemyślany, a przede wszystkim stracił przy tym zbyt wiele czasu. Teraz utknął na Wyspach – przemieszczał się poszukiwanym przez policję samochodem, jego wizerunek, krążący zapewne od dawna w internecie, nazajutrz znajdzie się w każdej gazecie. A do tego w furgonetce przetrzymywał porwaną policjantkę...

Nie trać nerwów, nakazywał sobie. Coś wymyślisz. Zawsze coś ci przychodzi do głowy.

Ponownie zerknął do tyłu. Mrok. Chciałby usłyszeć jej oddech. Nie wiedział dlaczego, ale to by go uspokoiło.

Wtorek, 6 sierpnia

1

Minęła północ. Przynajmniej tak sądziła. Miała wrażenie, że byli w drodze już od wielu godzin i że ten samochód nigdy się nie zatrzyma. Ian nie zabierze jej do Sophii. A Caleb już dawno stracił z nimi kontakt, prawdopodobnie na samym początku. Jej plan opierał się na założeniu, że Ian pozostanie niczego nieświadomy, tylko wtedy mogłoby im się powieść. Kiedy się zorientował, co się dzieje, zniweczył wszystko, ruszając w szaleńczym tempie w drogę i krążąc zygzakami po wiosce.

Kate była zdana wyłącznie na siebie.

W tej chwili nie chodziło już o odnalezienie Sophii. Chodziło o ratowanie własnego życia. Na razie służyła Ianowi za żywą tarczę. Kiedy przestanie mu być potrzebna, nie przeżyje nawet dziesięciu minut dłużej.

Materac, na którym leżała twarzą do dołu, potwornie cuchnął. Resztkami jedzenia, spermy, moczu i stu innych rzeczy, których Kate nie potrafiła rozróżnić. Dopiero po jakimś czasie zdołała się przewrócić na bok. Nadal czuła smród, ale przynajmniej nie lgnęła już nosem do materaca. I mogła swobodnie oddychać. Najchętniej odwróciłaby się na plecy, ale wtedy całym ciężarem własnego ciała przygniotłaby skrępowane ręce, a wówczas ból wygiętych do tyłu ramion stałby się nie do zniesienia.

Kiedy uniosła nieznacznie głowę, przez wąską szczelinę nad przegrodą dostrzegła za przednią szybą mrok nocy, zobaczyła też czubek głowy Iana Slade'a. Był wysokiej postury, nieomal sięgał głową sufitu. Zapamiętała jego szerokie bary, muskularne ramiona. Nie mogła się z nim równać siłą. Nie wspominając o tym, że miał przy sobie broń.

Jedyną szansą byłby atak z zaskoczenia.

Jej wzrok szybko przywykł do panującego we wnętrzu mroku, mogła dostrzec zarysy pojemników ustawionych u wezglowia, które zauważyła już podczas poprzedniej jazdy. Kate wciąż podejrzewała, że zamordowany Jack Gregory trzymał w nich sprzęt biwakowy: naczynia, sztucce, szczoteczki do zębów, koce i ręczniki. Ze wszystkich tych rzeczy najbardziej interesowały ją sztucce. Zapewne miał widelce i noże. Również te większe, na przykład do krojenia chleba. Oznaczało to, że tuż obok niej leżały przedmioty, których można by użyć jako broni.

Była jednak całkowicie unieruchomiona, więc znajdowały się poza jej zasięgiem.

Ważne, aby zbyt wcześnie nie dawać za wygraną. Łatwo powiedzieć, zważywszy na wszystko, co wiedziała o przetrzymującym ją w niewoli człowieku. Zastrzelił inspektora Stewarta, z zimną krwią zabił swojego współnika Saszę, kiedy ten stał się dlań obciążeniem. Pozbawił życia studenta, do którego należała ta nędzna furgonetka, bo potrzebował samochodu. W pociągu próbował zastrzelić Ksenię. Nie wspominając o tym, co zrobił Sophii...

Jej szaleńczo wirujące myśli nagle znieruchomiały. Sophia. Coś tam było... coś związanego z Sophią...

On ją zakopał. Leżała w skrzyni w wydrążonej w ziemi dziurze. Gdzieś na pustkowiu. Kiedy Kate otrząsnęła się z przerażenia, jakie nieuchronnie ją ogarniało na myśl o losie Sophii, pozostało pragmatyczne pytanie: gdzie podziała się łopata?

Przewróciła się na plecy, ignorując przeszywający ból. Okrutnie wykręcił jej ramiona. Miała wrażenie, jakby ostatecznie zostały wybite ze stawów.

Na szczęście Slade niczego nie zauważył. Ten gruchot miał tak głośny silnik, tak potwornie klekotał i dudnił na każdym, choćby niewielkim wyboju drogi, że ledwie można się było usłyszeć i właściwie nie sposób się było porozumieć. Przypuszczała też, że w lusterku wstecznym Slade widzi jedynie kompletny mrok przestrzeni bagażowej. Najprawdopodobniej nie widział nawet jej cienia.

Energicznie odwróciła się na lewy bok, dzięki czemu mogła obejrzeć ścianę naprzeciwko bocznych drzwi przesuwanych. Zwykle plastikowe pojemniki. A przed nimi on.

Szpadel.

Wyczuła zapach resztek ziemi.

Jakże przyjemny w porównaniu z odorem materaca. Woń chłodnego, rześkiego, pierwszego dnia wiosny.

Powoli – wszystko toczyło się tak żałośnie wolno – przysunęła się bliżej łopaty, po czym zebrała w sobie całą odwagę i ponownie przewróciła się na plecy, a następnie na drugi bok, na którym wcześniej leżała. Tym razem ułożyła się w taki sposób, że jej związane nadgarstki znalazły się tuż przy ostrej krawędzi szpadla.

Pocieranie nylonowego sznurka, którym była związana, wzdłuż krawędzi łopaty było bolesne i męczące. Naciągnęła mięśnie, o których istnieniu nie miała pojęcia. Wkrótce ręce i ramiona bolały ją tak bardzo, że chciało jej się płakać. Ale wytrzymała. Gdyby zdołała oswobodzić ręce i chwycić nimi szpadel, miałyby szansę nawet w starciu z takim olbrzymem jak Ian Slade.

Nylonowy sznur zerwał się w chwili, gdy Ian zjechał z drogi i skręcił, wnosząc z nierówności nawierzchni, w polną drogę, po czym się zatrzymał.

Kate zerwała z twarzy taśmę i wyciągnęła z ust skarpetę. Łapała powietrze, starając się nie wydawać żadnych dźwięków. Wciąż jeszcze nie uwolniła nóg i nie mogła się swobodnie poruszać. Gdyby teraz do niej zajrzał, cały wysiłek poszedłby na marne.

2

Wysikał się na ściernisku i poczuł ulgę, przynajmniej fizyczną. Kiedy uniósł głowę, ujrzał gwiazdy na niebie. Noc sierpniowa rodem z książki z obrazkami. Aksamitna czerń. Wyczuwalny lekki powiew jesieni.

Puknął się w czoło. Jakby nie miał teraz nic lepszego do roboty, niż rozmyślać o jesieni albo o barwie nocnego nieba.

Czas naglił. Musiał zjechać z drogi. Najlepiej przed nastaniem świtu. Bez wątpienia był już poszukiwany w całym kraju.

Przeczuwał, że dotarli do Kentu. Słabo znał Anglię. Miał dwanaście lat, gdy trafił do tego przekłętego zakładu, opuścił go jako dwudziestokilkulatek. Na lekcjach geografii wcale nie uważał. Posiadał szczątkową wiedzę na temat poszczególnych hrabstw. To mógł być Kent.

Poszuka teraz odosobnionego domu i do niego wtargnie – albo zaskoczy mieszkańców we śnie i się ich pozbędzie, albo, co znacznie lepsze, znajdzie pusty dom i w nim się ukryje. Musi koniecznie się przespać, w przeciwnym razie zaśnie za kierownicą. Musi obmyślić plan. Musi się gdzieś zaszyć. Na pewien czas.

Wsiadł i uruchomił silnik. Jakiś domek... Nocą niełatwo będzie go znaleźć. Ale nie mógł czekać, aż nastanie dzień. Zegar na desce rozdzielczej wskazywał drugą w nocy. Na szczęście w sierpniu nie świta tak wcześnie jak w maju czy w czerwcu. Mimo to nie zostało mu zbyt wiele czasu.

Wrócił na wiejską drogę. Była tak wąska i kręta, że nikt by go nie wyminął. Gdyby natknął się teraz na policyjny patrol, byłby zgubiony. Nie mógł zawrócić, nie zdołałby wyminąć nadjeżdżającego z przeciwka pojazdu. Tak zazwyczaj bywało na podrzędnych drogach. Jeszcze jeden powód, by jak najszybciej znaleźć jakąś kryjówkę.

Jechał szybko. Za szybko. Nieważne. Przemierzał kompletne pustkowie.

Poczuł w sobie narastającą panikę. Niedobrze. Wywołała ją nie tylko niepewna sytuacja, w jakiej się znalazł, ale również świadomość, że popełnił ogromny błąd, wracając do domu po Kate. Od wielu godzin nie mógł się otrząsnąć z tej myśli i to go wykańczało. Bo właściwie on nie popełniał żadnych błędów, nie mówiąc już o tak głupich. Nie on! Fakt, że tak się jednak stało, gryzł się z jego wyobrażeniem o samym sobie. A to niweczyło jego pewność siebie. Jeśli ona zupełnie zaniknie, popełni

kolejne błędy, a wtedy... Zakazał sobie dalszych rozmyślań. Popadał w niekończącą się destrukcyjną spiralę.

Niestety, radio w tym cholernym gracie było zepsute. Inaczej mógłby przynajmniej upajać się muzyką. Może poczułby się lepiej. Może...

Wdepnął odruchowo pedał hamulca, gdy brama w ogrodzeniu pastwiska nagle zablokowała mu drogę. Telefon komórkowy i pistolet, leżące na siedzeniu pasażera, ześlizgnęły się na podłogę, ale nie zwrócił na to uwagi. Kiepska droga, w którą skręcił, kończyła się u wrót pastwiska. O ile mógł dojrzeć, nie prowadziła dalej – najgłupsze, co mógłby zrobić, to próbować się przedzierać przez grząską łąkę.

Gniewnie uderzył pięścią w kierownicę. Wszystko sprzysięgło się przeciwko niemu. Te idiotyczne polne drogi, te cholerne angielskie wioski. Zawsze się zastanawiał, jak ludzie mogą żyć na wsi. Nic, tylko krowy i owce, i te przekłete płoty.

Zdał sobie sprawę, że nie pozostało mu nic innego, jak tylko zawrócić, ale na tak wąskiej drodze oznaczało to zawracanie nieomal w miejscu.

Zabrał z podręcznego schowka latarkę, wysiadł i poświecił dokoła. Po prawej i lewej stronie ciągnęły się pola zżętej już kukurydzy. Płaskie rowy prawdopodobnie służyły do odprowadzania deszczówki, dla niego stanowiły jednak pewien problem: jeśli przekroczy ich krawędź, koła samochodu stracą przyczepność. Rowy jeszcze bardziej ograniczały mu pole manewru.

Klął długo i siarczyście, potem usiadł za kierownicą i zaczął zawracać. Milimetr po milimetrze, do przodu i do tyłu, nieznacznie skręcając kołami, znów nieco do tyłu, ponownie trochę do przodu... Ten stary gruchot nie miał wspomagania kierownicy, wkrótce poczuł ból w rękach. Niemal zupełnie zabudowana przestrzeń ładunkowa wcale nie ułatwiała sprawy, ponieważ mógł się kierować wyłącznie odbiciem w bocznych lusterkach, i tak niewystarczającym z powodu panujących ciemności. W rzeczywistości manewrował zupełnie instynktownie. Do przodu, do tyłu, do przodu, do tyłu...

Poczuł szarpnięcie, samochód obsunął się w tył.

– Kurwa! – wrzasnął.

Widocznie tylne koło ugrzęzło w cholernym rowie. Kilka razy, zupełnie bezsensownie, dodał wściekle gazu, ale poza dzikim rykiem silnika nic nie wskórał. Ten przekłety grat miał napęd na tylne koła, więc nic nie dało się zrobić.

Znowu wysiadł. Mocno się pocił, nie tylko wskutek fizycznego wysiłku przy manewrowaniu, ale także przez gniew i frustrację z powodu upływającego czasu. Musi znaleźć kryjówkę, zanim nastanie świt, zamiast jej szukać, utknął w rowie przy pastwisku dla owiec. Nie było to bynajmniej miejsce, w którym obawiał się natknąć na policyjny patrol, ale mogli się tam pojawić rolnicy, którzy w telewizji śniadaniowej

widzieli jego twarz i zdjęcie samochodu... Gniewnie kopnął w jedną z przednich opon z potwornie zużyтым bieżnikiem. Stan tego grata nie ułatwiał sprawy.

Jak się okazało, samochód utknął w rowie prawym tylnym kołem. Jedynym sposobem wydostania go stamtąd było podparcie koła. Będzie musiał nasypać do rowu ziemi i żwiru, w nadziei, że opona odzyska dostateczną przyczepność. Spojrzał w niebo. Nie było już aksamitnie czarne jak poprzednio. Powoli zaczęło się przemieniać w łagodną antracytową szarość. Niedługo zacznie świtać.

– Dobra, muszę pomyśleć – powiedział do siebie. Ciągłe kopanie w ślepych gniewie w koła samochodu nic mu nie da. Musiał działać, i to szybko.

Przypomniał sobie o szpadlu leżącym z tyłu pojazdu. Nie miał teraz ochoty patrzeć na tę idiotkę policjantkę, która spowodowała całe to zamieszanie, na szczęście nie będzie mu pleść głupot, bo w przeciwnym razie nie ręczył za siebie. Otworzył drzwi, które naoliwił kilka tygodni wcześniej, przez co przesunęły się bez wysiłku i prawie bezgłośnie. Wewnątrz panował mrok, cuchnęło. Zobaczył niewyraźny kształt Kate. Leżała na boku, dokładnie tak, jak ją ułożył.

Przypomniał sobie, że szpadel leżał po przeciwnej stronie, obok plastikowych pojemników, ale gdy teraz oświetlił to miejsce latarką, nic tam nie dostrzegł. Nic dziwnego, zważywszy na jego szaleńczą jazdę. Pewnie przesunął się na sam tył bagażnika.

Nie było innego sposobu, musiał wsiąść. Wspiął się i przeczołgał na kolanach, oświetlając wnętrze latarką. Gdzie, do cholery, podział się ten przeklęty szpadel? Taka rzecz nie rozplynęła się przecież w powietrzu, prawda?

Kiedy kątem oka zauważył jakiś ruch za plecami, wyczuwając go raczej, niż dostrzegając, próbował się odwrócić, ale było już za późno. Coś w ułamku sekundy przeszło powietrze, zaraz potem poczuł potworny ból w prawej pięcie, tak silny, że aż ryknął jak ranny byk, myśląc, że zaraz zemdleje. Ból przeszył całą nogę, rozlał się na biodra, przeniknął do klatki piersiowej, ścisnął serce, płuca, ściął mu oddech... Co się, kurwa, stało? *Co się stało?*

Ból tak bardzo go sparaliżował, że z największym trudem zdołał się odwrócić. Latarka wypadła mu z dłoni, leżała przed nim na metalowej podłodze. Zauważył, że Kate, zwinna jak wiewiórka, właśnie wyskakuje z samochodu. W rękę trzymała szpadel. Umysłowił sobie, że uderzyła go łopata w ścięgno Achillesa, prawdopodobnie je przecięła, może nawet rozłupała kość. Nagle poczuł mdłości, zwymiotował w kącie. Ból tymczasem rozsadzał mu głowę. Sądził, że paraliż objął całe jego ciało, spróbował poruszyć palcami najpierw prawej, potem lewej dłoni. Z powodzeniem. Nie był sparaliżowany. To ból całkowicie go obezwładnił.

A na to nie mógł sobie pozwolić. Nie mógł leżeć, kwiląc z bólu, i czekać, aż zjawi się policja i go aresztuje.

Drzwi przesuwne się zamknęły.

Zacisnął zęby. Łzy spływały mu po policzkach, gdy czołgał się w kierunku wyjścia. Zabije ją. Nawet gdyby to miała być ostatnia rzecz, jaką zrobi w życiu.

Już po niej.

3

Kate miała zeszywniałe nogi od długiego leżenia, ale zignorowała kurcze mięśni, wyskoczyła z samochodu i zasunęła za sobą drzwi. Szpadel nadal trzymała w dłoni. Wewnątrz pojazdu musiała uważać, nie mogła uderzać na ślepo, ponieważ ryzyko, że zada mu śmiertelną ranę tą ciężką żelazną łopata, było ogromne. Można nią było rozłupać człowiekowi czaszkę, oni zaś potrzebowali Iana żywego, w przeciwnym razie straciliby Sophie. Miała tylko kilka sekund, musiała precyzyjnie trafić w cel, by natychmiast unieszkodliwić przeciwnika. Unieruchomić go, przynajmniej na pewien czas, ale nie zabić. A wszystko to w ciasnocie i półmroku słabo oświetlonego przez latarkę bagażnika. Kiedy wszedł do środka, myślała, że zdradzi ją szaleńcze bicie jej serca, ale Ian niczego nie zauważył, świecił latarką, rozglądał się i potwornie oblewał potem, wyczuła jego woń. Błyskawicznie się wyprostowała, wycelowała w nogi i uderzyła. Jego morderczy ryk potwierdził, że go trafiła.

Teraz stała na zewnątrz przy polnej drodze, dysząc jak po długodystansowym biegu, i rozglądała się wokoło. Od razu oceniła sytuację: jedno z tylnych kół furgonetki zawisło nad płytkim rowem, samochód stał unieruchomiony w poprzek drogi. Przed nim widniała brama. Ian musiał zawracać, a wtedy koło się ześlizgnęło. Teraz zrozumiała, po co wszedł do środka: szukał łopaty, gdyż jedynym rozwiązaniem było nasypanie pod koło ziemi. Ona zaś leżała tuż obok szpadla, ze skrzyżowanymi na plecach ramionami i związanymi stopami. W rzeczywistości jednak zdołała się oswobodzić. Czekala na sprzyjającą okazję, wiedząc, że będzie miała tylko jedną szansę, nie więcej.

Zajrzawszy do kabiny kierowcy, stwierdziła, że kluczyk tkwił w stacyjce, ale na nic się to zdało, ponieważ nie mogła stąd odjechać. Zamierzała niezwłocznie ruszyć w drogę, gdyż w trakcie jazdy Ian nie mógłby opuścić przestrzeni bagażowej, nie narażając się przy tym na poważne obrażenia. Zatrzymałaby się dopiero przed najbliższym posterunkiem policji.

Nic z tego.

Rozejrzała się dokoła. Pustkowie jak okiem sięgnąć. Żadnej wioski, żadnej zagrody. Nic, tylko pola, łąki i pastwiska. Na horyzoncie zagajnik, jego niewyraźna sylwetka wyłaniała się z rzadniejącej nocy. Świt szybko szarzał. Gdzieś radośnie świergotał ptak.

Cudowna idylla, choć akurat teraz wolałaby się znaleźć blisko ludzi. Ian będzie próbował wydostać się z samochodu. W drzwiach przesuwnych nie było zamka.

Kate rzuciła szpadel, na tyle blisko, by mogła po niego sięgnąć, gdyby okazał się potrzebny, zarazem na tyle daleko, by nie wpadł w ręce Iana. Pochyliła się nad siedzeniem kierowcy, gorączkowo szukała na desce rozdzielczej czegoś w rodzaju centralnego zamka, ale furgonetka była stara jak świat. Na próbę przekręciła kluczyk i wciskała wszystko, co mogło włączyć blokadę, lecz nic nie wskórała.

Zamek nie działał, odjechać nie mogła. Ian miał telefon komórkowy oraz broń. Jeśli nie nosił ich przy sobie, w co usilnie wierzyła, musiały leżeć gdzieś tu z przodu.

Kate nie miała latarki, a świt nie był jeszcze dość jasny. Włączyła oświetlenie przy przedniej szybie, ale na próżno. Zauważyła, że nie wkręcono żarówki.

I wtedy odkryła, że coś leży na podłodze przed siedzeniem pasażera. Po ciemku nie mogła stwierdzić, co to takiego, ale *mógł* to być telefon komórkowy. Albo broń. Albo jedno i drugie.

Pochyliła się ponownie nad siedzeniem kierowcy i wyciągniętą ręką próbowała dosięgnąć przedmiotu. Chwilę potem poczuła żelazny uścisk wokół prawej kostki, szarpnięto ją do tyłu tak brutalnie, że aż się odwróciła i uderzyła twarzą o kierownicę. Na krótką chwilę zrobiło jej się czarno przed oczami.

– Zabiję cię! – dyszał Ian Slade. – Zabiję cię!

Ocknęła się. Miała wrażenie, że ma złamany nos, ale w tej chwili był to najmniejszy problem. Leżała na plecach na siedzeniu kierowcy, jej nogi wystawały z pojazdu, Slade trzymał jedną z nich. Wyrósł przed nią jak potężna wieża. W bladoszarym świetle budzącego się poranka ujrzała, że jego pobladłą twarz zalewa pot. Stał przechylony w lewo, najwyraźniej przenosząc na tę stronę cały ciężar ciała, by nie obciążać rannej nogi. Musiał potwornie cierpieć, mimo to zdołał wydostać się na zewnątrz i ją obezwładnić. Patrząc w jego oczy, zrozumiała, że on to robi, że ją zabije, choćby miał ją udusić gołymi rękami.

Próbowała oswobodzić nogę, ale trzymał ją żelaznym uściskiem. Już dawno by się na nią rzucił, ale rana potwornie dawała mu się we znaki, chwiał się na nogach i zaciskał zęby. Kate zgięła wolną nogę w kolanie, po czym kopnęła go w biodro z całej siły, na jaką mogła się zdobyć, leżąc w niekorzystnej pozycji. W normalnych warunkach na takim dryblasie nie zrobiłoby to większego wrażenia, a jednak zachwiał się i mimowolnie przeniósł na moment cały ciężar na zranioną stopę. Ryknął

przeraźliwie, ból musiał być nie do zniesienia. Na chwilę poluzował uścisk dłoni. Kate wyrwała nogę, w mgnieniu oka przeskoczyła na fotel pasażera, sięgnęła pod siedzenie, chwyciła pistolet, wyprostowała się. Przykucnęła na siedzeniu, Ian stał na zewnątrz. Z jego oczu sypały się iskry szaleństwa. Szaleństwa bólu, szaleństwa gniewu.

– Stój! – powiedziała Kate. Trzymała wycelowany w niego odbezpieczony pistolet. – Ani kroku dalej.

Przyczajony zmierzył ją wzrokiem. Podejrzewał, że go nie zastrzeli, ale skoro groziło jej śmiertelne niebezpieczeństwo, nie mógł być tego pewien. Czekał na moment, w którym mógłby wyrwać jej broń. Zauważyła to. Nie podda się, za nic w świecie.

Nagle skoczył do przodu. Nie zawahała się ani chwili, strzeliła.

Zgiął się wół, próbował przytrzymać się drzwi, ale osunął się i upadł na ziemię. Mruknął coś niezrozumiale pod nosem. Kate z wciąż odbezpieczonym pistoletem w dłoni ostrożnie przeczłgała się ku niemu po fotelu kierowcy. Dostrzegła, że spodnie na jego udzie zabarwiły się na ciemno. Trafiła go w nogę, co oznaczało, że tak szybko nie umrze, ale pilnie potrzebował pomocy medycznej, w przeciwnym razie może się wykrwawić na śmierć.

Miał zamknięte oczy, płytko oddychał. Kate uznała, że z jego strony nie grozi jej już żadne niebezpieczeństwo. Mimo to nie spuszczała go z oka i nadal mierzyła do niego z pistoletu, szukając po omacku telefonu. Znalazła go. Z pewnością komórka na kartę.

Wystukała numer Caleba, mając nadzieję, że odzyskał tymczasem swój telefon. Od razu odebrał.

– Tak?

– Caleb? Mówi Kate!

– Kate?! – krzyknął. – Kate?!

– Tak. To ja.

– Na litość boską, gdzie pani jest? Szukamy was po całym kraju. Wszystko w porządku?

– Tak. – Nos ją bolał, z trudem oddychała, ale uznała, że nie warto o tym wspominać. – Nic mi nie jest. Ale nie wiem, gdzie jesteśmy.

– A co ze Slade'em?

– Leży postrzelony obok swojego samochodu. Caleb, on pilnie potrzebuje lekarza. Mocno krwawi.

– Jakież wskazówki co do miejsca waszego pobytu?

Spojrzała przez przednią szybę. Zrobiło się znacznie jaśniej, ale to jej nic nie dało. Łąki, pola, pastwiska. Las.

– Teren jest dość płaski – powiedziała – więc zakładam, że nie pojechaliśmy na północ. Musielibyśmy dotrzeć daleko w głąb Szkocji. A tam teren jest bardziej górzysty.

– Nie wszędzie – zauważył Caleb.

– Zgaduję, że to Kent albo Sussex. Caleb, nie mogę stąd odjechać. Samochód utknął w rowie.

– Czy jest jakiś sposób, żeby go stamtąd wydostać?

– Nie wiem... – Spojrzała na porzuconą łopatę. – Tak, być może. Ale nie ma mowy, żeby umieścić Iana Slade’a w samochodzie. Sama na pewno nie dam rady go podnieść. Musiałabym go tu zostawić i...

– To nie jest dobry pomysł. Musi się nim pani zaopiekować. On musi przeżyć.

– Wiem. Porozmawiam z nim. – Odsunęła telefon z ucha. – Ian? Ian, słyszy mnie pan?

Mrugnął powieką. Dzięki Bogu. Był tak blady na twarzy, że przez chwilę pomyślała, że nie żyje.

– Ian, pilnie potrzebuje pan lekarza. Wykrwawi się pan na śmierć. Niech pan powie, gdzie jesteście. Jak się nazywa ostatnia wioska, przez którą przejeżdżaliśmy?

Otworzył oczy i spojrzał na nią. Uniósł nieco górną wargę, co prawdopodobnie miało być pogardliwym uśmiechem. *Pocałuj mnie gdzieś* – zdawał się mówić.

Potem znów spuścił powieki.

– Kate? – odezwał się Caleb.

Na powrót przyłożyła telefon do ucha.

– Południowa Anglia. Raczej na pewno. Kompletne odludzie.

Słyszała jego westchnienie.

– Spróbujemy was namierzyć. Przez cały czas desperacko staraliśmy się ustalić numer komórki Slade’a, ale nie mogliśmy zlokalizować żadnego odbiorcy, do którego kiedykolwiek dzwonił. No dobrze, mam teraz jego numer na wyświetlaczu. Myśli pani, że zdoła utrzymać go przy życiu?

– Zrobię wszystko.

– Będziemy się spieszyć.

Zakończyli rozmowę. Kate wysiadła z samochodu, zachowując ostrożność na wypadek, gdyby Slade znów chciał ją złapać za nogę. Nie wyglądał jednak na człowieka, który miałby dość sił na ponowny atak. Jego oddech stał się płytszy, a twarz przybrała bladoszary odcień. Plama krwi na udzie sięgała już do kolana, zabarwiła również ziemię. Zbyt szybko tracił za dużo krwi.

Na widok jego prawej stopy Kate aż zemdlilo. Zdawała się wisieć na ostatnim ściegnię. Prawie roztrzaskała mu szpadlem kostkę. Nie mogła stwierdzić, ile krwi

stracił. Nawet nie będąc lekarzem, miała jednak świadomość, że Slade'owi nie zostało wiele czasu. Bez natychmiastowej pomocy nie miał szans na przeżycie.

Weszła do bagażnika, pogrzebała w pojemnikach, znalazła mały ręcznik. Uklękła obok Iana, ręcznik złożyła w kostkę, przyłożyła go do rany postrzałowej i ucisnęła ją z całej siły. To był najskuteczniejszy sposób na zatrzymanie krwawienia. Ale przy takiej ilości krwi... Krwawienie nie ustawało. Kula prawdopodobnie trafiła w tętnicę.

– Slade, proszę. Nie może pan tego zrobić. Niech pan mi powie, gdzie jesteśmy.

Nawet nie drgnął.

– Niech pan powie, gdzie jest Sophia. Proszę!

Znowu brak jakiegokolwiek reakcji.

Zdjęła ręcznik z rany, widząc, że tym sposobem nie zdoła zatrzymać krwawienia, i przewiązała nim nogę powyżej miejsca postrzału. Pewnie to także na niewiele się zda, ale nic innego nie przyszło jej do głowy. Przyniosła butelkę wody, którą Ian trzymał na drzwiach kierowcy, i wlała mu nieco do ust. Pił z trudem. Z trudem też oddychał. Źle to wyglądało.

Sama upiła kilka łyków, zabrała telefon i pistolet.

– Zaraz wracam – powiedziała. Wątpliwe, czy ją usłyszał.

Kate pobiegła wąską szosą, a raczej kiepsko wyasfaltowaną polną drogą. Istniała szansa, że dotrze do nieco szerszej drogi, którą będzie przejeżdżał jakiś samochód. Albo zauważy gdzieś tablicę z nazwą miejscowości, drogowskaz, cokolwiek. Biegła ile sił w nogach, mimo że miała spuchnięty nos i nie mogła swobodnie oddychać.

Przy końcu ścieżki dotarła do wiejskiej drogi, wąskiej, ale bez wątpienia łączącej jakieś miejscowości. Kate zdecydowała się skrócić w lewo, choć równie dobrze mogła rzucić monetą: nie sposób było rozstrzygnąć, czy wybrała właściwy kierunek.

Biegła wzdłuż drogi, co chwilę przyspieszała. Zastanawiała się, czy nie lepiej zawrócić i spróbować ruszyć w przeciwnym kierunku, gdy nagle zobaczyła w oddali nadjeżdżający samochód. Szybko wepchnęła pistolet pod poplamiony krwią T-shirt. Wątpliwe, czy ktoś by się zatrzymał, widząc wyczerpaną kobietę w pomiętym ubraniu, na tym pustkowiu, na skraju drogi, we wczesnych godzinach poranka. A do tego z bronią w ręku.

Samochód się zbliżał. Niebieski fiat. Kobieta za kierownicą. Może będzie miała odwagę się zatrzymać. Kate żałowała, że nie miała przy sobie służbowej legitymacji. To dodałoby jej powagi.

Pojazd zwolnił. Kate energicznie machała ręką. Samochód się zatrzymał. Kobieta opuściła nieco szybę i podejrzliwie spojrzała na Kate.

– Co się stało?

– Miałam wypadek – powiedziała Kate. – Nieco dalej w górę drogi.

– Pani krwawi! – zauważyła kobieta.
– Mój towarzysz jest ranny. Prowizorycznie go opatrzyłam. Muszę wezwać policję i karetkę, ale nie wiem, gdzie jestem.
– Nie wie pani, gdzie jest?
– On prowadził, ja spałam. Nie znam nazwy ostatniej miejscowości, przez którą przejeżdżaliśmy.
– Najbliższa miejscowość to Charing. Jakies sześć kilometrów stąd. Jesteśmy na wiejskiej drodze, biegnącej równoległe do M-dwudzieścia, w kierunku Folkestone.
– Och, bardzo dziękuję. Wszystko jasne.
– Nie ma za co – odparła kobieta. Zmarszczyła czoło na widok zakrwawionego podkoszulka Kate. To było więcej niż podejrzane.
– Czy mogłaby mnie pani podwieźć z powrotem na miejsce wypadku? – zapytała Kate.

Zamiast odpowiedzieć, kobieta zamknęła okno, dodała gazu i czym prędzej odjechała. Kate nie mogła jej za to winić. Sama wielokrotnie ostrzegęła innych, by nie zabierali nieznajomych do samochodu.

Ponownie zadzwoniła do Caleba i przekazała mu uzyskane informacje.

– Przede wszystkim pilnie potrzebujemy karetki – sapała. – Slade naprawdę jest w kiepskim stanie. Bez pomocy nie przeżyje kolejnej godziny.

– Koledzy zaraz wyślą ambulans – oznajmił Caleb. – Czy do tego czasu może pani coś dla niego zrobić?

– Przewięzałam mu nogę, ale... – Trudno jej było oddychać, gdy biegła, rozmawiała przez telefon, a do tego puchł jej nos. – Pospieszcie się! – wyrzuciła z siebie, po czym się rozłączyła i pognęła ile sił w nogach.

Kiedy skręciła w ścieżkę prowadzącą do bramy pastwiska, ujrzała upiorną scenerię: budzący się letni poranek, zaczerwieniony horyzont, świergocące ptaki. Po łące wałęsały się owce, których w nocy w ogóle nie zauważyła.

Na pierwszym planie stojąca w poprzek drogi furgonetka. Przed nią leżący na ziemi ranny człowiek.

Człowiek, który jako jedyny w świecie wiedział, gdzie jest Sophia Lewis.

Osunęła się obok niego na kolana, zmagając się z oddechem. Z lękiem sprawdziła jego puls. Był ledwie wyczuwalny, podobnie jak bicie serca. Nadal tracił mnóstwo krwi. Życie z niego ulatywało. Zrozumiała, że nie doczeka przyjazdu karetki.

Dotknęła jego twarzy.

– Ian! Ian, słyszy mnie pan?

Zatrzepotał powiekami.

– Ian! Proszę!

Otworzył oczy. Miał zamglony wzrok. Ten człowiek umierał. Kate poczuła w gardle suchy szloch. Myślała o Sophii. Z desperacji mogłaby krzyknąć.

– Ian, niech pan posłucha, zostało panu raptem kilka minut. Karetka już jedzie, ale nie dotrze na czas. Rozumie pan?

Ian wydał z siebie niewyraźny dźwięk, Kate nic nie zrozumiała.

– Ian, niech mi pan powie, gdzie jest Sophia. Niech pan nie odchodzi z tego świata z ciężarem winy. Być może będzie pan musiał za to odpowiedzieć.

Nie zakładała, że Ian Slade wierzy w Boga, ale nawet ludzie niewierzący zastanawiali się czasem, co ich czeka po drugiej stronie, za progiem, który przekraczają ostatnim krokiem.

– Ian, niech pan nie odchodzi w ten sposób. Proszę. Niech mi pan powie, gdzie ona jest.

Spojrzał na nią. Jego wzrok nieco się wyostriżył. Wykrzywił usta w coś, co przypominało uśmiech.

Potem jego głowa opadła na bok.

Ian Slade nie żył.

Przez te wszystkie lata dwukrotnie odwiedziłem Saszę w zakładzie w Birmingham. Nie lubiłem tam jeździć, przepełniony poczuciem winy, a jednak dwa razy zebrałem się w sobie. Za pierwszym razem miał dwanaście lat, za drugim piętnaście.

Widziałem, że nie czuje się dobrze. Zawsze był... dziwny, a mimo to radosny, zwłaszcza w ostatnim czasie, w obecności Kseni. Teraz jakby zamknął się w sobie. Był blady i wychudły, zastraszone, zrozpaczone. Widziałem kilku typków, z którymi przebywał, i domyśliłem się, że nie ułatwiają mu życia. Był osobą, która z okrutną pewnością zawsze i wszędzie staje się ofiarą, a im trudniejsze środowisko, tym trudniejsza ta jego ofiara.

Powiedział mi, że Alice pisze czasem do niego listy. Byłem zaskoczony. Zawsze miałem wrażenie, że Alice już dawno odwróciła się od niego, że załamała się właśnie z powodu problemów, jakie wniósł do naszego życia. Wyglądało na to, że chciała odnowić więź, od której przez cały miniony czas uciekała.

Może było jej łatwiej zdobyć się na to z oddali. Bez codziennych ograniczeń. I bez ciężaru odpowiedzialności.

A może po prostu miała wyrzuty sumienia. Tak jak ja. Jeszcze gorsze.

Kiedy trzy lata później ponownie odwiedziłem Saszę, stanął przede mną piętnastolatek, wciąż za mały, za chudy, za blady... Zauważyłem, że wydawał się trochę bardziej odprężony. Miałem nadzieję, że już go tak nie dręczą – niby dlaczego miałyby tak być? Choć trochę urósł, nadal wyglądał bardzo mizernie, a nie jak ktoś, kto zdołałby się oprzeć jakimkolwiek atakowi, słownemu czy fizycznemu. Wciąż był klasyczną ofiarą.

Zapytałem go, jak sobie radzi. Odpowiedział, że wszystko się poprawiło.

– Znalazłeś sobie przyjaciół? – spytałem z nadzieją.

Zawahał się.

– Mam kogoś, kto się mną opiekuje – odparł w końcu.

– Opiekuje się?

Skinął głową.

– Inni już mnie nie mogą skrzywdzić. Jeśli to zrobią, będą mieli z nim do czynienia.

Nie zabrzmiało to jednak jak przykład klasycznej przyjaźni. Z niepokojem zastanawiałem się, o co chodzi w tym ochronnym związku. Obrońcy nie zawsze działają bezinteresownie. Co miała z tego ta druga osoba?

– Może mi go przedstawiś – zaproponowałem z udawaną beztroską.

Sasza od razu stał się niespokojny.

– Muszę sprawdzić, czy... on ma czas... On...

Reszta przepadła w niezrozumiałym pomruku.

Uzmysłowiłem sobie, że Sasza był całkowicie zdany na swojego opiekuna. Ale wiedziałem też, że się go bał.

– Dlaczego twój... znajomy tutaj przebywa? – zapytałem. Do tego zakładu nie trafiło się przecież dlatego, że się było miłym, normalnym facetem.

– Porwał dziecko.

– Porwał dziecko? – zapytałem przerażony. – Przecież sam musiał być jeszcze dzieckiem?

– Miał dwanaście lat. Wtedy porwał dziecko.

– I co z nim zrobił?

Sasza wzruszył ramionami.

– Nic. Schwytali go.

– No cóż.

Spojrzelśmy na siebie. Poczułem się nieswojo na myśl, że towarzysz Saszy porwał dziecko, Sasza zaś nic złego nie zrobił. Przebywał tu wśród młodocianych przestępców, sam przestępcą nie będąc.

Nie powinniśmy byli tego robić. Ale co mieliśmy począć?

Tamtego dnia nie poznałem owego kolegi. Nie pojawił się, a Sasza był zbyt nieśmiały, by go poszukać. Może przeczuwał, że chłopak mi się nie spodoba.

Po południu wyszliśmy z Saszą na lody. Kiedy usiadł naprzeciw mnie w kawiarni i z wyrazem szczęścia na delikatnej twarzy zjadał lody cytrynowe – małymi porcjami, by dłużej się nimi delektować – nagle wezbrało we mnie uczucie sympatii do niego i przez chwilę ledwo mogłem złapać oddech, tak bardzo ciążyło mi poczucie winy. Był delikatnym i dobrodusznym stworzeniem. Musiał przetrwać w nieodpowiednim dla siebie środowisku. Musiał się podporządkować podejrzanemu opiekunowi, bo inaczej by tam nie przeżył.

A wszystko to nie z własnej winy.

W spontanicznym geście położyłem dłoń na jego dłoni. Odłożył łyżeczkę do lodów i spojrzał na mnie z niepokojem.

– Tak?

– Przepraszam, Sasza – powiedziałem cicho – za to, jak to wszystko się potoczyło.

Nieznacznie się uśmiechnął. To był przejmująco smutny uśmiech.

– Wiem – odparł – ale nie przepraszaj. Robię to dla Alice.

Łyżka nieomal wypadła mi z ręki. Nie wiem, co dokładnie sobie wtedy pomyślałem. Nigdy nie kończyłem swoich rozmyślań o Saszy, bo zawsze były takie bolesne. Wychodziłem z założenia, że uwierzył w to, że spowodował śmierć swojej młodszej siostry. A przynajmniej uznał, że mieliśmy rację, nawet jeśli to w sobie tłumił... Miał dopiero siedem lat i był wyraźnie opóźniony w rozwoju. Miałem przynajmniej nadzieję, że w jego umyśle utrwali się niejasny, rozmyty obraz tamtego czasu i tamtego wydarzenia.

– Dla Alice? – powtórzyłem ledwo słyszalnie.

– Tak – powiedział. – Żeby nie musiała iść do więzienia.

On wiedział. Zrozumiał. Może różnił się od nas, ale nie był głupcem. Zawsze doskonale wiedział, co tak naprawdę się stało. Prawdopodobnie również w chwili, gdy przyznał się do wszystkiego przed pracownikami socjalnymi oraz policją.

On kochał Alice. W tej swojej miłości okazał wielkość i poświęcenie przewyższające wszystko, do czego zdolni byliśmy Alice, ja oraz każdy, kogo znałem.

Nigdy więcej go nie odwiedziłem.

Nie potrafiłem tego znieść.

Piątek, 9 sierpnia

– Wracają – powiedziała Ksenia. Stała przy oknie salonu w domu Kate i spoglądała w jasny, słoneczny dzień. – Przyjechał także komisarz.

– Zaparzę szybko kawę – odparł Colin. Włączył stojący w kuchni ekspres. Messy rozłożyła się na płytkach. Na dworze było dla niej za gorąco.

Colin wrócił do salonu i przystanął obok Kseni. Kate i Caleb szli ogrodową ścieżką w kierunku drzwi wejściowych. Caleb w czarnym garniturze, Kate w czarnej sukience, która jak większość jej ubrań wisiała na niej bezkształtnie, niezbyt modna i o wiele za ciepła jak na ten letni dzień. Colin uznał tę cechę za niezwykle ujmującą i mimo wszelkich wysiłków niezmienną: Kate nie potrafiła się elegancko ubrać.

Wracali z pogrzebu Roberta Stewarta. Colin wyobrażał sobie, jak się czują.

Podszedł do drzwi i je otworzył.

– Wejdźcie. Czy było bardzo źle? Chcecie kawy?

Oboje wyglądali na spoconych i zdeprymowanych.

– Bardzo chętnie – powiedziała Kate i zdjęła buty. Weszła do kuchni na bosaka. Caleb zdjął marynarkę i począpał za Kate.

Colin postawił na stole kuchennym dwa duże kubki cappuccino i dwie szklanki wody. Ksenia przyniosła świeże wiśnie pod kruszonką.

– Upiekłam – wyjaśniła. – Pomyślałam, że możecie być głodni.

Ksenia i Colin patrzyli na Kate i Caleba jak zatroskani rodzice, którzy chcą pomóc swoim dzieciom, ale nie wiedzą, jak to zrobić.

– To bardzo miłe, dziękuję, Kseniu – powiedziała Kate. Jej złamany nos był spuchnięty, skóra na nim zaczerwieniona. Wyglądała na wyczerpaną, wszyscy wiedzieli, że nie tylko z powodu pogrzebu.

Colin delikatnie dotknął ramienia Kseni.

– Chodź, zostawmy ich samych – zaproponował.

Ksenia skinęła głową. Wyszli z kuchni i dyskretnie zamknęli za sobą drzwi.

Kawa rozbudziła w Kate siły, które jak sądziła, już w niej zamarły. Z wdzięcznością poddała się ożywcemu działaniu kofeiny. Pogrzeb był tak strasznym przeżyciem, że nie wiedziała, jak to zniesie, nie płakała tylko dlatego, że jeszcze trudniej byłoby jej oddychać. Atmosfera małej kuchni, ogród na zewnątrz, Messy, która wstała i łąsiła się u jej stóp – wszystko to przyniosło jej odrobinę spokoju.

Caleb odstawił kubek. Na górnej wardze pozostał mu ślad białej mlecznej pianki.

– Czy oni tu teraz mieszkają? – zapytał, wskazując ruchem głowy w stronę drzwi. – Ksenia i Colin?

Kate wzruszyła ramionami.

– Cieszę się, że akurat teraz tu są. Ksenia za żadne skarby nie chce wracać do męża, zamieszka tu, dopóki nie będzie wiadomo, co się z nią stanie z powodu sprawy Walshów. A Colin wziął urlop i najwyraźniej na razie zostaje. – Zrobiła krótką przerwę. – Myślę, że coś się między nimi rodzi. Między Ksenią i Colinem. Ucieszyłoby mnie to.

– A więc nie ma do niej pretensji o to, że zostawiła go na pustkowiu i uciekła jego samochodem?

– Nie wydaje mi się. Dużo z sobą rozmawiali. On wie, że znalazła się w krytycznej sytuacji.

– To dobrze – powiedział Caleb. I cicho dodał: – Przynajmniej jakiś promyk nadziei, prawda? Na koniec tej całej tragedii.

Skinęła głową. Oboje nadal byli oszołomieni. Pogrzeb Roberta Stewarta był dla Caleba jeszcze gorszym przeżyciem niż dla Kate. Stał się pożegnaniem z całą epoką, z trwającą dwie dekady, pełną wzajemnego zaufania współpracą dwóch funkcjonariuszy. Nawet jeśli w ciągu ostatnich tygodni doszło między nimi do rozłamu, przeważyła pamięć o dobrych czasach.

Kate straciła swojego przełożonego. Nie zawsze się z sobą zgadzali, niedługo też się znali. Niemniej kiedy został postrzelony, stała tuż obok niego. Tego przeżycia, tego widoku nigdy nie byłaby w stanie zapomnieć.

Najgorsza była jednak tragedia Sophii.

Jej niepewny los.

Albo, w zależności od punktu widzenia, jej nazbyt pewny los.

Minęły cztery dni, odkąd Ian Slade zabrał ją z farmy w Nottingham. Nikt nie wiedział, czy rzeczywiście pogrzebał ją żywcem, czy też uprzednio zastrzelił. Wszczęto gorączkowe poszukiwania. Wzięto pod uwagę czas, jaki Slade spędził w poniedziałek w drodze, obliczono, jak daleko mógł dotrzeć, uwzględniając drogę tam i z powrotem, prędkość samochodu, styl jazdy, a także to, ile czasu potrzebował, aby gdziekolwiek i jakkolwiek pozbyć się Sophii. Doprowadziło to do nakreślenia ogromnego obszaru, który dniem i nocą przeszukiwały setki policjantów z psami. Tymczasem przeszła gwałtowna burza z ulewnym deszczem, niszcząc większość śladów i zapachów. Co więcej, wszyscy mieli świadomość, że jeśli popełniono zgoła niewielką pomyłkę w obliczeniach lub błędnie oszacowano jedną ze współrzędnych, w rezultacie nie uwzględniono sporego obszaru poszukiwań. Gdzieś jednak należało wyznaczyć granice. A przy tym nikt nie wiedział, czy Sophia Lewis wciąż żyje. Z każdą upływającą

godziną sytuacja robiła się coraz bardziej krytyczna. Gdziekolwiek Sophia się znalazła, czy w ogóle mogła się odżywiać? Slade mógł zadbać o to, by przedłużyć jej cierpienie.

Cień nadziei, dzięki której nikt nie był gotów zarzucić poszukiwań.

Cała Wielka Brytania śledziła jej losy. Media nieprzerwanie relacjonowały tę historię. Sophia Lewis wyparła z nagłówek gazet nawet Borisa Johnsona i jego brexitową kampanię „Leave”. W tym tliła się także szansa: cały kraj przyłączył się do poszukiwań. Każdy leśny spacerowicz, każdy turysta, każdy właściciel psa miał oczy szeroko otwarte. Pojawiły się setki doniesień od ludzi, którzy zauważyli coś podejrzanego w okolicy, zwłaszcza w czasie, gdy popełniono przestępstwo. Przede wszystkim wskazówki dotyczące furgonetki, którą widziano na opustoszałych terenach. Każdy trop był natychmiast sprawdzany.

Kate wymieszała drugą łyżkę cukru w resztkę kawy. Niezbyt to było zdrowe, ale słodycz poprawiała jej nastrój.

– Kate – odezwał się Caleb.

Podniosła wzrok, zaniepokojona natarczywością jego głosu.

– Tak?

– Odchodzę.

– Odchodzi pan? Jak to?

Bawił się łyżeczką. Wyglądał na znużonego, lecz zarazem zdeterminowanego.

– Przez cały czas zamierzałem wrócić do pracy zawodowej. Byłem na deskach, wie pani o tym, ale z tyłu głowy zawsze traktowałem to jako fazę przejściową. Okropny czas, z którego miałem nadzieję się otrząsnąć, a potem wrócić do pracy jako komisarz.

Zmierzyła go przerażonym wzrokiem.

– I już tak nie jest?

– Nie. Sprawa Jaydena White’a, która ostatecznie stała się moim przekleństwem, ale także los Sophii Lewis pokazały, że jeśli pozostanę w tym zawodzie, nigdy nie wyjdę z nałogu. Nigdy. Nie będę mógł dłużej znieść tego rodzaju wydarzeń, pewnie nigdy tego nie potrafiłem. Istnieje powód, dla którego piję. To ciągła konfrontacja ze złem na tym świecie. Z ludzkimi otchłaniami. Oraz świadomość, jak jesteśmy bezsilni.

– Nie zawsze jesteśmy bezsilni.

– Ale często, Kate. Jak dla mnie nazbyt często.

– Co zamierza pan zrobić?

– Nie wiem. Zobaczymy.

Rozparła się w fotelu. Miała wycucie sytuacji beznadziejnych i w tej właśnie chwili zrozumiała, że decyzja Caleba jest nieodwołalna. Nic jej nie zmieni.

– Przyjechałam do Scarborough ze względu na pana.

Skinął głową.

– Wiem. Zupełnie inaczej to sobie wyobrażaliśmy. Ale pani musi tu zostać, Kate.

– To nic pewnego, wie pan o tym.

Kate przebywała obecnie na urlopie, to było zupełnie co innego niż zawieszenie w czynnościach, ale wcale się o ten urlop nie prosiła. Wściekły naczelnik wydziału doradzał jej co najmniej dziesięciodniowy *odpoczynek* po tych *męczarniach* – ostatnie słowo wypowiedział dość cynicznie. Co będzie potem, zobaczymy. Było oczywiste, że samowolne działania Kate i Caleba, które na dodatek doprowadziły do prawdziwej katastrofy, będą miały swoje konsekwencje. Naczelnik mówił o *kompletnej porażce* i zasugerował, że cała ta historia dobrze by się dla Sophii Lewis skończyła, gdyby Kate, uwolniona przez Caleba – za co komisarz nie usłyszał jak dotąd słowa pochwały – wezwała na pomoc kolegów, dzięki czemu Ian Slade zostałby aresztowany po powrocie do domu Alice Walsh. Kate wiedziała, że się mylił. Wiedziała, że Ian nigdy nie ujawniłby kryjówki i że jedyną szansę skrywał plan, który razem z Calebem próbowali zrealizować. To, że zakończył się w tak dramatyczny sposób, niczego nie zmieniało.

– On pani nie zawiesi, Kate – oznajmił Caleb. – Musi sobie pogderać, ale skończy się na zwykłym upomnieniu. Nie mają wielu dobrych ludzi. Ja odszedłem. Robert Stewart nie żyje. Szef nie może sobie pozwolić na to, żeby pani także zniknęła. Przez następne lata musi pani zachować ostrożność, ale potem będzie po sprawie.

Przez następne lata... To strasznie długo. Ponury czas – i to bez niego.

– Ale chciałam pracować z *panem*!

– Dłużej nie mogę, Kate – powiedział cicho. – Zawiodłem. Na całej linii.

– Nie!

– Ależ tak. Popełniłem błąd w sprawie Jaydena White’a. A teraz znowu. Nie powinienem był użyć pani jako przynęty. Powinienem był zarzucić ten szalony pomysł. Slade nie żyje. Straciliśmy Sophię Lewis. Należało go aresztować i przesłuchać.

Dokładnie tak samo rozumował naczelnik. A jednak niesłusznie.

– Mieliliśmy powody, by tego nie robić. Caleb, wcale sobie tego nie ułatwiliśmy. Byliśmy przeświadczeni, że nic nie powie. Nadal jestem o tym przekonana – nic by nam nie powiedział. Może za osiem tygodni. Z radością wysłałby nas po jej zwłoki. Wcześniej nie powiedziałby ani słowa.

– Skąd ta pewność?

– Byłam w jego rękach. Tuż obok. Nigdy wcześniej nie czułam takiego chorobliwego zła, takiej perwersji. Nic by nie powiedział. Mogłabym przysiąc.

– No dobrze – odparł Caleb – już dobrze. – Wyglądał na wewnętrznie rozbitego.

Chciała wyciągnąć rękę i dotknąć jego policzka, ale nie miała odwagi.

– Najgorsze jest to – stwierdził Caleb – że mogła pani zginąć, Kate. Nie mogę się pozbyć tej myśli. Że położyliśmy na szali pani życie.

Skinęła głową. Właśnie za to, za lekceważenie podstawowych zasad, czekały ich spore kłopoty.

– Zdałem sobie sprawę... – zaczął, potem jednak umilkł i nagle powiedział: – Niech pani nie odchodzi, Kate. Proszę. Cokolwiek się stanie, niech pani nie odchodzi.

– Ze Scarborough?

– Z mojego życia. Ode mnie. Nie chcę, żeby pani odeszła.

– Nie odejdę – zapewniła Kate.

– Obieca mi to pani?

– Obiecuję.

Spoglądali przez okno, był słoneczny letni dzień. Oboje myśleli o Sophii. O tym, ile czasu upłynie, zanim, jeśli Sophia nie przeżyje, zdołają sobie wybaczyć tę gorzką porażkę.

Kate pomyślała o użytym przez Caleba określeniu: bezsilność.

Jego to słowo przybiło. W Kate rodziło opór. Nawet w takiej chwili.

A jednak się odważyła. Sięgnęła nad blatem stołu, chwyciła jego dłoń. Była ciężka i lodowato zimna.

Siedzieli tak, mocno się trzymając. Nic innego nie mogli zrobić.

Tego dnia, w tych godzinach, musiało im to wystarczyć.